

JEFFERY DEAVER

PANIĘSKI GRÓB

(Przełożył: Łukasz Praski)

Prószyński i s-ka  
2001

Dla Diany Keene,  
która jest moim natchnieniem,  
wnikliwym krytykiem,  
częścią moich książek,  
częścią mojego życia,  
z wyrazami miłości

#### PODZIĘKOWANIA

Szczególnie gorąco chciałbym podziękować Pameli Dormant z wydawnictwa Viking, której upór i cierpliwość (nie mówiąc o odwadze) mobilizują pisarzy, by jej wzorem dążyli do perfekcji. Czuję też głęboką wdzięczność wobec Debory

Schneider, mojej przyjaciółki i najlepszego agenta na świecie. Dziękuję również całej ekipie Vikinga/NAL, a zwłaszcza Barbarze Grosman, Elaine Koster, Michaeli Hamilton, Joemu Pittmanowi, Cathy Hemming, Matthew Bradleyowi (który wielokrotnie zasłużył sobie na tytuł Publicysty Walczącego) oraz Susan Hans O'Connor. Lista byłaby niekompletna bez innych życzliwych mi osób: wspaniałych ludzi z Curtisa Browna w Londynie, szczególnie Diany Mackay i Vivienne Schuster, a także przedstawiciele pierwszorzędnego brytyjskiego wydawcy Hodder Headline: mego redaktora Carolyn Mays, Sue Fletcher i Petera Laver'ego. Dziękuję Cathy Gleason z Gelfmana-Schneidera, dziękuję i pozdrawiam moją babkę Ethel Rider oraz siostrę Julie Reece Deaver, także pisarkę. Serdeczne dzięki należą się również Tracey, Kerry, Davidowi, Taylor, Lisie (wielbicielce ludzi X), Casey, Chrisowi oraz Bryanom Dużemu i Małemu.

1

Ubojnia

8:30

Osiem ptaszków drży w ciemnościach.

Chłodny wiatr wieje, odeszło już ciepło.

Mały żółty autobus szkolny, wdrapał się na strome wzniesienie autostrady i przez chwilę widziała tylko przypominające ogromną kołdrę pole jasnej pszenicy szerokości kilku tysięcy mil, która okrywała wszystko aż po horyzont, falując pod szarym niebem. Potem znów zaczęli zjeżdżać i linia horyzontu zniknęła.

- Rozpościerają swe szare skrzydełka

I odlatują w gęste obłoki.

Urwała, by spojrzeć na dziewczynki, które z aprobatą pokiwały głowami. Zorientowała się, że ignorując swoją publiczność, cały czas patrzyła na dywan pszenicy.

- Denerwujesz się? - zapytała Shannon.

- Nie pytaj - ostrzegła ją Beverly. - To przynosi pecha.

Nie, wyjaśniła im Melanie, wcale się nie denerwuje. Znów spojrzała na przesuwające się za oknem pola.

Trzy dziewczynki drzemały, lecz pięć pozostałych czekało na dalszy ciąg. Melanie zaczęła od początku, ale przerwano jej, nim zdążyła skończyć pierwszą linijkę wierszyka.

- Chwileczkę, co to za ptaszki? - Kielle zmarszczyła brwi.

- Nie przerywaj. - To siedemnastoletnia Susan. - Ludzie, którzy przerywają innym, to prostytutki.

- Wcale nie! - zaprotestowała gwałtownie Kielle. - A kto to?

- Prymitywni głupole - wyjaśniła Susan.

- Co to znaczy „prymitywny”? - Kielle była nieustępliwa. - Pozwól jej skończyć!

Melanie ciągnęła:

- Osiem ptaszków lata noc całą,

Aż słońce odnajdzie.

- Zaraz. - Susan zaśmiała się. - Przecież wczoraj było pięć ptaszków.

- Teraz ty przerywasz - zauważyła szczupła i chłopięca Shannon. -

Prostawko.

- Prostawko - poprawiła Susan.

Pucółowata Jocylyn pokiwała z zapałem głową, jak gdyby też zauważyła tę pomyłkę, ale była zbyt nieśmiała, by ją wytknąć. Nieśmiałość nie pozwalała jej robić wielu innych rzeczy.

- Ale was jest osiem, więc trochę zmieniłam wierszyk.

- Można tak zrobić? - zdziwiła się czternastoletnia Beverly. Była druga pod względem starszeństwa w grupie uczennic.

- To mój wiersz - odpowiedziała Melanie. - I ja decyduję, ile w nim będzie ptaszków.

- Ilu tam będzie ludzi? Na występie?

- Sto tysięcy. - Melanie wydawała się zupełnie poważna.

- Nie! Naprawdę? - Ośmioletnia Shannon była pełna entuzjazmu, a jej rówieśnica Kielle przewróciła oczami z miną o wiele starszej osoby.

Wzrok Melanie znów powędrował w stronę smutnego krajobrazu środkowowschodniego Kansas. Szarość ożywiały jedynie błękit stojących tu i ówdzie silosów zbożowych. Mimo że był już lipiec, na niebie wisiały ciężkie chmury i panował chłód; w każdej chwili mógł spaść deszcz. Mijały wielkie kombajny i wiozące sezonowych pracowników autobusy, które ciągnęły za sobą przewoźne toalety. Widziały rolników prowadzących wielkie deery, masseye i IH. Melanie zdawało się, że spoglądają nerwowo w niebo; był czas zbioru oziminy, a burza mogła zniweczyć osiem miesięcy żmudnej pracy.

Melanie odwróciła się od okna i z zakłopotaniem obejrzała paznokcie, które co wieczór przycinała i pieczołowicie opiłowywała. Przypominały błyszczące perłowe płatki. Uniosła dłonie i ponownie wprawiła je w ruch, recytując jeszcze kilku wierszyków i znacząc każde słowo starannym gestem. Żadna z dziewczynek już nie spała, cztery spoglądały za okno, trzy wpatrywały się w palce Melanie, a pulchna Jocelyn Weiderman uważnie obserwowała każdy ruch nauczycielki.

Te pola nigdy się nie skończą, pomyślała Melanie. Susan podażyła spojrzeniem za jej wzrokiem.

- Czarne - powiedziały jej ręce. - To wrony.

Tak. Nie pięć ani osiem, ale z tysiąc, całe stado. Ptaki obserwowały pola, autobus i zachmurzone, szarofioletowe niebo.

Melanie spojrzała na zegarek. Jeszcze nie dotarły nawet do autostrady. Do Topeki zostały trzy godziny drogi.

Autobus wjechał w następny pszeniczny kanion.

Wyczuła, że coś się święci, zanim jeszcze zdążyła pomyśleć. Później doszła do wniosku, że nie był to żaden impuls psychiczny ani przecucie; to widok grubych, zaczerwienionych palców pani Harstrawn, które zacisnęły się nerwowo na kierownicy.

Ruch dłoni.

Oczy starszej pani zmrużyły się nieznacznie. Ramiona drgnęły. O milimetr przechyliła się głowa. Ledwie dostrzegalne oznaki napięcia.

- Dziewczynki śpią? - zapytała tylko, po czym ponownie chwyciła kierownicę. Melanie przypadła do niej i dała znak, że nie, nie śpią.

Bliźniaczki Anna i Suzie, delikatne jak piórka, wyciągały głowy, usiłując coś zobaczyć zza szerokich ramion starszej nauczycielki. Pani Harstrawn odpędziła je ruchem ręki.

- Nie patrzcie. Siedzicie i popatrzcie przez drugie okno. Już! Patrzcie w lewo.

Melanie ujrzała samochód. I krew. Mnóstwo krwi. Zagoniła dziewczynki z powrotem na miejsca.

- Nie patrzcie - poleciała. Serce waliło jej jak młot, ręce stały się nagle bardzo ciężkie. - I zapnijcie pasy. - Gestykulowała z trudem.

Jocelyn, Beverly i dziesięcioletnia Emily od razu spełniły polecenie. Shannon skrzywiła się, zerkając ciekawie w stronę zakazanego okna. Kielle otwarcie zignorowała Melanie. Susan patrzyła, zauważyła Kielle. Czemu ja nie mogę?

Anna, jedna z bliźniaczek, siedziała bez ruchu, z dłońmi na kolanach, bledsza niż zwykle i przez to bardzo niepodobna do opalonej na brąz siostry. Melanie pogłaskała dziewczynkę po włosach. Pokazała za okno autobusu.

- Patrz na pszenicę - poradziła jej.

- Strasznie ciekawe - odparła sarkastycznie Shannon.

- Biedni ludzie. - Dwunastoletnia Jocelyn ocierała łzy obficie płynące po jej puciołowatych policzkach.

Ciennoczerwony cadillac wjechał prosto w metalowe stawidło. Spod maski unosiła się para. Samochód prowadził starszy mężczyzna. Jego ciało do połowy wystawało z wozu, głowa leżała na asfalcie. Po chwili Melanie dostrzegła drugi samochód, szarego chevroleta. Do kolizji doszło na skrzyżowaniu. Wszystko

wskazywało na to, że pierwszeństwo miał cadillac, ale zderzył się z chevroletem, który nie zatrzymując się, minął znak stopu. Szary samochód zniosło z drogi na pole wysokiego zboża. Wewnątrz nie było nikogo; wóz miał pogiętą maskę, a z chłodnicy unosił się słup pary.

Pani Harstrawn zatrzymała autobus i wyciągnęła dłoń do wysłużonej chromowanej klamki u drzwi.

Nie! - pomyślała Melanie. Jedź dalej! Stań przy jakimś sklepie spożywczym, Seven-Eleven, jakimś domu. Od wielu mil nie było żadnego budynku, ale coś musiało się w końcu pojawić. Nie zatrzymuj się. Jedź dalej. Mówiła to tylko w myślach, ale jej dłonie musiały się mimowolnie poruszać, bo Susan odpowiedziała:

- Nie, musimy stanąć. On jest ranny.

Ale krew, pomyślała Melanie. Muszą uważać na jego krew. Jest tyle chorób, jest AIDS.

Ci ludzie potrzebowali pomocy, lecz pomocy specjalistów.

Osiem ptaszków drży w ciemnościach...

Susan, młodsza od Melanie o osiem lat, pierwsza wyskoczyła z autobusu i podbiegła do rannego mężczyzny. Jej długie, ciemne włosy tańczyły na wietrze.

Potem wysiadła pani Harstrawn.

Melanie została z tyłu, przyglądając się. Kierowca leżał jak wypełniona trocinami lalka, miał w okropny sposób skrzywioną nogę. Zwisająca bezwładnie głowa, blade i grube dłonie.

Nigdy wcześniej nie widziała nieboszczyka.

Ale ten człowiek na pewno żyje. Przecież to tylko lekka rana. Po prostu zemdlął.

Dziewczynki po kolei odwracały się i wyglądały przez okna; pierwsze oczywiście Shannon i Kielle - para psotnic, Power Rangersi, ludzie X. Potem krucha Emily, z dłońmi złożonymi jak do modlitwy. (Jej rodzice nalegali, by co wieczór się modliła, żeby wrócił jej słuch. Powiedziała o tym tylko Melanie i nikomu więcej). Beverly instynktownie przyciskała ręce do piersi. Jeszcze nie miała ataku.

Melanie wysiadła i zaczęła iść w kierunku cadillaca. W połowie drogi zwolniła. Na tle szarego nieba, szarych pól pszenicy i jasnej wstęgi autostrady krew wydawała się bardzo czerwona; była wszędzie - na łysinie i piersi mężczyzny, na drzwiach samochodu i żółtej tapicerce.

Zadrzała z lęku. Odniosła wrażenie, jakby jej serce pomknęło w dół niczym wagonik kolejki górskiej.

Pani Harstrawn miała dwóch nastoletnich synów. Była pozbawiona poczucia humoru, choć bystrą kobietą, na której można było polegać i która była niezawodna jak wulkanizowany kauczuk. Spod swego kolorowego swetra wyszarpnęła połę bluzki i oderwała z niej szeroki pas, obwiązując tym prowizorycznym bandażem głowę mężczyzny, w której widniało głębokie rozcięcie. Pochyliła się nad nim, mówiła mu coś do ucha, a potem naciskała mu klatkę piersiową i wdmuchiwała powietrze w usta.

A potem nasłuchiwała.

Ja nie słyszę, pomyślała Melanie, więc nie mogę pomóc. Nic nie mogę zrobić. Lepiej wrócę do autobusu i przypilnuję dziewczynek. Serce nieco się uspokoiło. Dobrze, już dobrze.

Susan też przycupnęła obok mężczyzny, tamując krwotok z rany na szyi. Zerknęła z troską na panią Harstrawn. Poruszając zakrwawionymi palcami, zapytała na migi:

- Dlaczego tak krwawi? Proszę popatrzeć na jego szyję.

Pani Harstrawn obejrzała ją i również zmarszczyła brwi.

- Ma dziurę w szyi - odpowiedziała zdumiona nauczycielka. - Jak po kuli.

Melanie niemal zatkało ze strachu. Serce jak wagonik znów ruszyło w dół, a żołądek podjechał wysoko, bardzo wysoko. Przystanęła, ponieważ nie mogła dalej iść.

Potem ujrzała torebkę.

Leżała dziesięć stóp od niej.

Wdzięczna, że znalazła coś, co mogło odwrócić jej uwagę od rannego, podeszła do torebki i dokładnie ją obejrzała. Kunsztowny ścieg łańcuszkowy

świadczył, że musi to być wyrób drogiego projektanta. Melanie Charrol - dziewczyna ze wsi, zarabiająca rocznie szesnaście i pół tysiąca dolarów jako praktykantka ucząca niesłyszących - w ciągu dwudziestu pięciu lat swego życia nie dotykała przedmiotów pochodzących od znanych projektantów. Torebka była mała, wskutek czego wydawała się jeszcze cenniejsza. Jak świetlisty klejnot. Taką torebkę mogła nosić na ramieniu jakaś kobieta, wchodząc do biur w Kansas City albo nawet na Manhattanie i w Los Angeles. Stawiała taką torebkę na biurku, wyjmowała z niej srebrne pióro, by zapisać kilka słów, po których przeczytaniu sekretarki i asystenci zaczynali biegać we wszystkie strony.

Ale gdy Melanie przyglądała się torebce, zaczęła jej kielkować w głowie myśl, która rosła i rosła, by wreszcie zakwitnąć: gdzie podziewa się właścicielka torebki?

Wtedy padł na nią jakiś cień.

Mężczyzna nie był wysoki ani potężny, lecz wydawał się atletyczny: był muskularny - mięśnie, podobnie jak u koni, drgały tuż pod skórą. Widząc jego młodą i gładką twarz, przerażona Melanie wstrzymała oddech. Miał lśniące, krótko przycięte włosy, jego ubranie było szare jak sunące po niebie chmury. Uśmiechał się, ukazując białe zęby, ale Melanie ani przez chwilę nie wierzyła w szczerość tego uśmiechu.

W pierwszej chwili wydał się jej podobny do lisa. Potem jednak doszła do wniosku, że bardziej przypomina łasicę albo gronostaja. Za paskiem workowatych spodni dojrzała zatknięty pistolet. Melanie przerażona uniosła dłonie na wysokość piersi. Bezwiednie powiedziała na migi:

- Proszę, nie rób mi krzywdy.

Popatrzył na jej gestykulujące ręce i zaśmiał się.

Kątem oka dostrzegła Susan i panią Harstrawn, które zaniepokojone stały z boku. W ich kierunku szedł drugi mężczyzna, wysoki i potężnie zbudowany. Ubrany był w podobne rzeczy koloru spranej szarości. Miał zmierzwiłone włosy. Uśmiechał się jak ktoś wygłodniały; brakowało mu zęba na przodzie. Niedźwiedź, pomyślała bezwiednie Melanie.

- Jedziemy - dała znak do Susan. - Natychmiast.

Z oczyma utkwionymi w żółty bok autobusu, ruszyła w stronę przyklepionych do okien siedmiu wystraszonych twarzących.

Gronostaj chwycił ją za kołnierz. Melanie trzepnęła go w rękę, ale ostrożnie, bojąc się uderzyć go za mocno, żeby się nie rozgniewał.

Potrząsnął nią i krzyknął coś, lecz nic nie zrozumiała. Przestał się uśmiechać, mierzając ją zimnym, surowym spojrzeniem.

Twarz mu pociemniała. Melanie ogarnął obezwładniający strach. Opuściła rękę.

- Co... jest? - odezwał się Niedźwiedź. - Wydaje mi się... z tym.

Melanie kiedyś słyszała. Słuch zaczęła tracić w wieku ośmiu lat, kiedy miała już ukształtowane zdolności językowe. Umiała czytać z ruchu warg o wiele lepiej niż jej podopieczni. Czytanie z ruchu ust jest jednak sztuką najeżoną pułapkami, polegającą na znacznie bardziej skomplikowanych zasadach niż uważne obserwowanie samych warg. Trzeba równocześnie interpretować ruchy ust, języka, zębów, oczu i innych części ciała. Najlepsze efekty można uzyskać tylko wówczas, gdy zna się osobę, której słowa próbuje się rozszyfrować. Niedźwiedź był z innego świata niż Melanie, której życiem były staroangielskie wnętrza, herbata Celestial Seasoning i szkoły w małych miasteczkach Środkowego Zachodu. Nie miała pojęcia, co mówił ten mężczyzna.

Potężny człowiek wybuchnął śmiechem i splunął białą strużką. Jego wzrok przesunął się po jej ciele - zatrzymując się na piersiach ukrytych pod zapiętą pod szyję ciemnowiśniową bluzką, na czarno-popielatej długiej spódnicy i czarnych rajstopach. Niezręcznym ruchem skrzyżowała na piersi ręce. Niedźwiedź ponownie skupił uwagę na Susan i pani Harstrawn.

Gronostaj pochylał się w ich stronę, mówiąc coś - zapewne krzyczał, jak większość ludzi w kontaktach z głuchymi (i bardzo dobrze, bo wtedy mówili wolniej i łatwiej było odczytać ruchy ich warg). Mężczyzna pytał, kto jest w autobusie. Melanie ani drgnęła. Nie potrafiła. Zaciskała wilgotne palce na własnym ramieniu.

Niedźwiedź spojrział na zmasakrowaną twarz rannego i bezmyślnie tracił czubkiem buta jego głowę, przyglądając się, jak bezwładnie odchyła się na bok. Melanie zamarła; przeraziła ją zupełna bezcelowość tego kopniaka, zadanego od niechcenia, jak gdyby zwałisty człowiek kopał kamyk. Zaczęła płakać. Niedźwiedź popchnął Susan i panią Harstrawn w stronę autobusu.

Melanie zerknęła na Susan i błyskawicznym ruchem uniosła dłonie.

- Nie, nie rób tego! - powiedziały jej palce.

Ale było już za późno.

Susan wprawiła w ruch swe fantastycznie wysportowane ciało.

Sto dwanaście funtów mięśni.

Mocne ręce.

Gdy jej dłoń wystrzeliła w kierunku twarzy Niedźwiedzia, ten uchylił się zaskoczony, chwytając jej pięść kilka cali od swoich oczu. Zaskoczenie przerodziło się w rozbawienie i mężczyzna opuścił ramię, nie rozluźniając uścisku i zmuszając Susan, by uklękła. Wtedy popchnął ją, aż wylądowała w pyłe i ziemi, brudząc czarne spodnie i białą bluzkę. Niedźwiedź odwrócił się do Gronostaja i zawołał.

- Susan, nie! - powtórzyła na migi Melanie.

Dziewczyna była znów na nogach. Lecz tym razem Niedźwiedź przygotował się na jej atak. Chwycił ją i przez chwilę trzymał rękę na jej piersi. Nagle znudziła mu się ta zabawa. Mocno uderzył Susan w żołądek i dziewczyna padła na kolana, zwijając się z bólu i z trudem łapiąc powietrze.

- Nie! - dała jej znak Melanie. - Nie próbuj walczyć.

Gronostaj zawołał do Niedźwiedzia:

- Gdzie...?

Niedźwiedź wskazał pszeniczną ścianę. Miał dziwną minę - jak gdyby czegoś nie pochwalał, ale bał się otwarcie wyrazić swoją dezaprobatę.

- Nie... głowy... pierdołami - mruknął. Melanie powiodła wzrokiem w stronę, w którą patrzył - w łany zboża. Nie widziała zbyt dobrze, ale dostrzegła cień i zarys sylwetki pochylonego człowieka. Mężczyzna był drobny i muskularny. Chyba unosił rękę, jak w nazistowskim pozdrowieniu. Ramię na długą chwilę zawisło w powietrzu. Na ziemi leżała jakaś postać, ubrana chyba na zielono.

Właścicielka torebki, przemknęło przez myśl Melanie.

Nie, błagam, nie...

Ręka mężczyzny opuściła się wolno i spokojnie. Przez falującą pszenicę Melanie zauważyła niewyraźny błysk metalu.

Głowa Gronostaja lekko drgnęła; usłyszał jakiś dźwięk. Skrzywił się. Na twarzy Niedźwiedzia zjawił się natomiast uśmiech. Pani Harstrawn zasłoniła dłońmi uszy. Była przerażona. Miała doskonały słuch.

Melanie, płacząc, wpatrywała się w zboże. Zobaczyła cień ludzkiej postaci przycupniętej nad tamtą kobietą. Wysoka pszenica kołysała się wdzięcznie na niespokojnym lipcowym wietrze. Ramię mężczyzny powoli wznosiło się i opadało, raz, drugi. Przyglądał się uważnie leżącemu przed nim ciału.

Pani Harstrawn utkwiała nieruchome spojrzenie w Gronostaju.

- ...nam spokój... nie będziemy wam przeszkadzać...

Zaciskała mocno szczęki. Jej gniew i zdecydowanie dodały Melanie otuchy.

Gronostaj z Niedźwiedziem w ogóle nie zwrócili na nią uwagi. Zaczęli popędzać panią Harstrawn, Susan i Melanie w stronę autobusu.

Dziewczynki stłoczyły się z tyłu. Niedźwiedź wepchnął do środka panią Harstrawn i Susan, pokazując broń wypychającą mu spodnie. Melanie wsiadła jako ostatnia przed Gronostajem, który pchnął ją na tył autobusu. Potknęła się, ładując na pochlipujących bliźniaczkach. Przytuliła je mocno, a potem przygarnęła do siebie Emily i Shannon.

Świat Zewnętrzny, złapał je straszny Świat Zewnętrzny.

Zerknąwszy na Gronostaja, Melanie zauważyła, że mówi:

- Głucha jak... reszta.

Niedźwiedź wcisnął się z trudem na fotel kierowcy i uruchomił silnik. Spojrzał w lusterko wsteczne, zmarszczył brwi, a potem się odwrócił.

W oddali, na końcu asfaltowej wstęgi, widać było błyskający punkcik. Niedźwiedź wdusił klakson i Melanie poczuła wibracje sygnału dźwiękowego.

- Stary, co ty, kurwa... myślisz... - Odwrócił głowę i nie mogła zrozumieć pozostałych słów.

Gronostaj krzyknął w stronę zboża. Potem pokiwał głową, usłyszawszy zapewne odpowiedź. W chwilę później z pola wyjechał szary chevrolet. Choć był mocno uszkodzony, mógł jeszcze jechać; skręcił na pobocze i zatrzymał się. Melanie próbowała dojrzeć przez zboże twarz kierowcy, ale odbłask słońca w szybie był zbyt ostry. Wydawało się, że samochodu w ogóle nikt nie prowadzi.

Zaraz potem chevrolet wyskoczył na jezdnię, zarzucając tyłem. Autobus ruszył za nim, wjeżdżając w rzadki obłok błękitnego dymu, który wzbił się spod opon. Niedźwiedź rąbnął dłonią w kierownicę, odwrócił się na moment i warknął coś z wściekłością do Melanie. Nie miała jednak pojęcia, co do niej mówi.

Błyskające jasno światła zbliżały się - czerwone, niebieskie i białe. Przypominały pokaz sztucznych ogni z okazji święta Czwartego Lipca, który zorganizowano dwa tygodnie temu w parku w Hebronie. Melanie oglądała wtedy przecinające niebo barwne strumienie i czuła na skórze świetliste wybuchy.

Spojrzała wstecz na radiowóz policyjny. Wiedziała już, co się stanie. Przed nimi zgromadzi się setka radiowozów. Zatrzymują autobus i zmuszą tych ludzi, by wysiedli. Ci wyjdą z podniesionymi rękami. Uczennice i nauczycielki pojedą na jakiś posterunek, żeby złożyć zeznania. Tym razem nie będzie występu w Teatrze Niesłyszących w Topece - gdyby nawet udało im się zdażyć - po tym wszystkim nie potrafiłaby wyjść na scenę i recytować poezji.

A drugi cel wyprawy?

Może to był znak, że nie powinna jechać, nie powinna tego planować.

Omen.

Teraz chciała tylko wrócić do siebie. Do domu, który wynajmowała, zamknąć drzwi na klucz i wypić herbatę. No dobrze, i kieliszek porzeczkowej brandy. Wysłać faks do brata do szpitala w St. Louis i opowiedzieć mu wszystko. Rodzicom też. Melanie nerwowo owijała lok jasnych włosów wokół zgiętego środkowego palca, rozczapierzając pozostałe palce. Układ dłoni oznaczał „blask”.

Nagle poczuła szarpnięcie. Jadąc za szarym samochodem, Niedźwiedź skręcił z asfaltu w polną drogę. Gronostaj zmarszczył brwi. Zapytał o coś Niedźwiedzia, ale Melanie nie widziała jego twarzy. Zwalisty mężczyzna w odpowiedzi splunął tylko przez okno. Autobus skręcił raz i jeszcze raz, wjeżdżając w bardziej pagórkowaty teren. Zbliżali się do rzeki.

Przejechali pod drutem wysokiego napięcia, na którym siedziała setka dużych ptaków. Wrony.

Melanie spojrzała na jadący przed nimi samochód. Wciąż nie widziała kierowcy - człowieka, który był na polu pszenicy. Raz zdawało się jej, że ma długie włosy, potem, że krótkie albo że jest zupełnie łyсы lub ma kapelusz.

Szare auto gwałtownie skręciło w prawo i podskakując, ruszyło porośniętą chwastami dróżką. Melanie domyśliła się, że kierowca zobaczył przed sobą kilkadziesiąt policyjnych radiowozów, które pędziły im na ratunek. Zmrużyła oczy, wypatrując światła. Nie, nic nie jechało w ich stronę. Autobus skręcił za chevroletem. Niedźwiedź mrucał coś pod nosem. Gronostaj patrzył w tył na jadący ich śladem wóz policyjny.

Melanie odwróciła się i zobaczyła, dokąd zmierzają.

Nie! - pomyślała.

Błagam, tylko nie tam.

Nadzieja, że mężczyźni poddadzą się ścigającemu ich policjantowi, okazała się słodką fantazją. Zrozumiała, dokąd jada.

Do najgorszego miejsca na świecie.

Szary samochód wpadł nagle na wielkie zarośnięte chwastami pole. Na jego końcu, nad brzegiem rzeki, stał niski, opustoszały od dawna budynek przemysłowy z czerwonej cegły. Był ciemny i mocny jak średniowieczna twierdza. Przed budynkiem wciąż znajdowało się kilka ogrodzeń i pali pozostałych po zagrodach, w których dawno temu trzymano zwierzęta, ale pole odzyskała już preria Kansas, znacząc obszar swego posiadania turzycą oraz bawołą trawą.

Chevrolet pomknął prosto przed budynek, a autobus za nim. Obydwa pojazdy zahamowały ostro tuż na lewo od drzwi.

Melanie wpatrywała się w czerwonałą cegłą ściany.

Gdy miała osiemnaście lat i uczyła się jeszcze w szkole Laurenta Clerca, przywiózł ją tu pewien osiemnastoletni chłopak, podobno na piknik, ale w rzeczywistości po to, by robić to, co robią osiemnastolatki - ona też tego chciała, jak się jej wówczas wydawało. Ale kiedy wyekwipowani w koc wśliznęli się do środka i Melanie zobaczyła ponure pomieszczenia, wpadła w popłoch. Uciekła i już nigdy więcej nie zobaczyła ani zmieszanego chłopaka, ani tego budynku.

Dobrze go jednak pamiętała. Opuszczona rzeźnia, miejsce śmierci. Surowe, zimne i niebezpieczne.

Poza tym ciemne. Melanie nienawidziła ciemności - miała dwadzieścia pięć lat, a w nocy w jej sześciopokojowym domu paliło się pięć lampek.

Gronostaj otworzył na oścież drzwi autobusu i wywłókł na zewnątrz Susan i panią Harstrawn.

Radiowóz - w którym siedział tylko jeden policjant - zatrzymał się przy wjeździe na pole. Człowiek w mundurze wyskoczył z samochodu z pistoletem w rękę, ale znieruchomiał, gdy Niedźwiedź chwyciwszy Shannon, przystawił jej broń do głowy. Ośmiolatka zaskoczyła go, bo obróciła się gwałtownie i mocno kopnęła go w kolano. Skrzywił się z bólu, a potem potrząsnął dziewczynką, która przestała się szarpać. Niedźwiedź spojrział przez pole na policjanta, który pokazał, że chowa broń do kabury, a potem wsiadł z powrotem do radiowożu.

Niedźwiedź i Gronostaj popchnęli dziewczynki w kierunku wejścia do rzeźni. Niedźwiedź uderzył kamieniem w łańcuch, na który zamknięto drzwi, i przerdzewiające ogniwa puściły. Gronostaj wyciągnął kilka dużych worków z bagażnika szarego samochodu, w którym nadal siedział kierowca, przyglądając się budynkowi. Odblask wciąż nie pozwalał Melanie zobaczyć jego twarzy, ale zdawało się, że spokojnie ogląda wieżyczki i ciemne okna.

Niedźwiedź otworzył drzwi frontowe i razem z Gronostajem wpełchnęli dziewczynki do środka. Panował tu zapach charakterystyczny bardziej dla jaskini niż budynku. Ziemia, nawóz, pleśń, jakaś mdła woń rozkładu i zjełczałego tłuszczu zwierzęcego. Wnętrze stanowiło labirynt wąskich przejść, zagród, ramp i zardzewiałych urządzeń. Kanałów otoczonych balustradami i częściami starych maszyn. Wysoko ciągnęły się długie rzędy zardzewiałych haków na mięso. I panowała taka ciemność, jaką zapamiętała Melanie.

Niedźwiedź zagonił uczennice i nauczycielki do półokrągłego, wilgotnego pomieszczenia, wyłożonego kafelkami i pozbawionego okien. Na ścianach i cementowej podłodze widniały ciemnobrazowe plamy. Na lewo prowadziła zniszczona drewniana rampa. Z prawej znajdował się przenośnik z hakami na mięso, a pośrodku odpływ na krew.

Tu właśnie zabijano zwierzęta.

Chłodny wiatr wieje, odeszło już ciepło.

Kielle chwyciła Melanie za ramię i przycisnęła się do niej. Pani Harstrawn i Susan przytuliły pozostałe dziewczynki. Susan spoglądała z prawdziwą nienawiścią na obu mężczyzn, ilekroć któryś zatrzymał na niej wzrok. Jocylyn i bliźniaczki szlochały. Beverly z trudem chwytała oddech.

Osiem ptaszków nie miało gdzie lecieć.

Zbiły się w gromadkę na zimnej i wilgotnej posadzce. Obok przemknął szczur - ciemny kształt o matowym kolorze, jak kawałek starego mięsa. Po chwili drzwi ponownie się otworzyły. Oślepiąca ostrym światłem Melanie przysłoniła oczy.

Stał w drzwiach na tle zimnego blasku.

Niski i chudy.

Nie był ani łysy, ani długowłosy; miał zmierzwiłone ciemno-blond włosy i wymizerowaną twarz. Inaczej niż tamci dwaj, miał na sobie koszulkę z napisem „L. Handy”, który namalowano przy użyciu szablonów liter. Dla Melanie nie był to jednak żaden Handy - Lou czy Larry. Od razu przyszedł jej na myśl aktor z Teatru Stanowego Kansas, który grał Brutusa w „Juliuszu Cezarze”.

Wszedł do środka i ostrożnie postawił na podłodze dwa ciężkie płócienne worki. Drzwi zamknęły się i gdy tylko zniknęło szaroblade światło, zobaczyła jego jasne oczy i wąskie usta.

Melanie dostrzegła, jak Niedźwiedź mówi:

- Czemu... tutaj? Stąd nie ma wyjścia.



Potem, jak gdyby odzyskała słuch, w głowie wyraźnie zadźwięczały jej słowa Brutusa. Czasem głusi słyszą nierzeczywisty głos - ludzki, ale brzmiący zupełnie inaczej.

- To nie ma znaczenia - powiedział wolno. - Żadnego.

Mówiąc to, spojrzął na Melanie. Posłał jej słaby uśmiech, a potem wskazując kilka zardzewiałych żelaznych sztab, kazał swoim dwóm ludziom zabarykadować drzwi.

9.10

Od dwudziestu trzech lat nigdy nie zapomniał o rocznicy.

To dopiero mąż.

Arthur Potter odwinął papier, w który opakowano róże - w pełni rozwinięte kwiaty o dużych, miękko opadających płatkach, żółte i pomarańczowe. Powąchał. Ulubione kwiaty Marian. Jaskrawe, nigdy białe ani czerwone.

Zmieniły się światła. Ostrożnie odłożył bukiet na siedzenie obok i przemknął przez skrzyżowanie. Jego ręka powędrowała na rozsadzający spodnie brzuch. Skrzywił się. Jego barometrem był pasek, zapięty na przedostatnią dziurkę w zniszczonej skórze. W poniedziałek dieta, nakazał sobie półżartem. Wtedy będzie już w Waszyngtonie, zdaży strawić wszystkie pyszności przyrządzone przez kuzynkę i znów będzie się mógł skupić na liczeniu funtów własnej wagi.

Wszystko przez Linden. Bo tak... wczoraj wieczorem podała mu peklowaną wołowinę, ziemniaki z masłem, kapustę z masłem, sucharki (które można było posmarować masłem i skwapliwie tę możliwość wykorzystał), fasolę, pomidory z grilla i ciasto czekoladowe z lodami waniliowymi. Linden była kuzynką Marian, z linii McGillis, rodziny dziadka Seana, którego dwaj synowie, Eamon i Hardy, stanęli na czele rodu, ożenili się tego samego roku i którym urodziły się córki, jednemu dziesięć, a drugiemu jedenaście miesięcy po ślubie.

Arthur Potter, jedynak osierocony w wieku trzynastu lat, dziecko jedynaków, z radością został członkiem rodziny żony i wiele lat opracowywał genealogię rodu McGillisów. Na wykwintnym papierze listowym (nie miał komputera) prowadził szczegółową korespondencję i niemal z zabobonną dbałością tropił wszystkie zawiłości pokrewieństw klanu.

Najpierw drogą ekspresową Kongresu na zachód. Potem na południe. Z dłońmi ułożonymi na kierownicy w przepisowej pozycji „za dziesięć druga” i okularami nasadzonymi na mięsisty nos, Potter jechał przez robotnicze dzielnicę Chicago, mijając bloki, kamienice czynszowe i bliźniaki zalane letnim blaskiem słońca przysłoniętego chmurami.

W różnych miastach słońce wygląda inaczej. Arthur Potter objechał już świat parę razy i zgromadził niemało spostrzeżeń, które mogłyby się znaleźć w artykułach o tematyce podróżniczej, ale pewnie nigdy ich nie napisze. Jedyną spuścizną literacką Pottera zostaną więc prawdopodobnie notatki o genealogii, których pisanie i tak niebawem miał zarzucić.

Skręcił raz, potem drugi. Prowadził machinalnie, a nawet niedbale. Z natury był niecierpliwy, lecz dawno już przewyciężył tę wadę, jeśli istotnie to wada, i nigdy nie przekraczał wyznaczonego sobie limitu.

Skręcając wynajętym fordem w Austin Avenue, zerknął w lusterko wsteczne i zauważył ten samochód.

Mężczyźni jechali niebieskoszarym sedanem, zupełnie nijakim. Siedzieli mu na ogonie. Byli to dwaj młodzi ludzie, gładko ogoleni, prowadzący zapewne higieniczne życie i dbający o czystość własnych sumień.

Na czołach mieli wypisane, że są agentami federalnymi.

Serce Pottera załomotało.

- Cholera jasna - mruknął swym niskim barytonem. Z wściekłością skubnął zwisający podbródek, a potem szczerzej owinał kwiaty papierem, jak gdyby przewidywał, że za chwilę będzie musiał przyspieszyć. Jednak gdy znalazł ulicę, której szukał, i skręcił w nią, utrzymywał prędkość siedmiu mil na godzinę. Bukiet dla żony potoczył się i oparł o jego grube udo.

Nie, nie przyspieszył. Chciał sprawdzić, czy się nie pomylił i czy ludzie w samochodzie nie są po prostu biznesmenami, którzy jadą gdzieś sprzedawać komputery lub usługi drukarskie i zaraz pojedą swoją drogą.

Zostawiając mnie w spokoju.

Lecz samochód nie zrobił niczego takiego. Mężczyźni utrzymywali bezpieczną odległość, jadąc z taką samą prędkością jak ford Pottera.

Skręcił w znajomy podjazd i po pewnej chwili zatrzymał samochód. Szybko wysiadł z auta i przyciskając do piersi kwiaty, poczłapał ścieżką - krokiem w swoim przekonaniu zaczepnym, prowokując agentów, by go zatrzymali.

Jak go znaleźli?

Był taki sprytny. Parkował samochód trzy ulice od domu Linden. Prosił ją, żeby nie odbierała telefonów i wyłączała sekretarkę.

Pięćdziesięcioletnia kobieta, zupełnie niepodobna do Marian, mimo pokrewieństwa (po niewielkich zmianach genetycznych mogłaby być Cyganka), ochoczo spełniała jego polecenia. Była przyzwyczajona do zagadkowych poczynań kuzyna. Wierzyła, że takie zachowanie Pottera jest spowodowane jakimś niebezpieczeństwem, a on nie potrafił odwieść jej od tego przekonania, bo istotnie czyhało na niego niebezpieczeństwo.

Agenci zatrzymali wóz za jego foldem i wysiedli. Potter usłyszał za sobą ich kroki na żwirze.

Nie spieszyli się; dobrze wiedzieli, że mogą go znaleźć wszędzie. Nigdy nie uda mu się uciec.

Macie mnie, wy pewne siebie sukinsyny.

- Pan Potter?

Nie, dajcie mi spokój! Nie dzisiaj. Dziś jest szczególny dzień. Moja rocznica ślubu. Dwadzieścia trzy lata. Zrozumiecie, kiedy będziecie mieć tyle lat co ja.

Zostawcie mnie w spokoju.

- Pan Potter?

Obu młodych ludzi można było traktować wymiennie. Ignorując jednego, ignorowało się obydwu.

Przeciął trawnik i podszedł do żony. Marian, pomyślał, przepraszam za to. Ciągną się za mną kłopoty. Przepraszam.

- Dajcie mi spokój - szepnął. I nagle, jak gdyby usłyszawszy jego słowa, mężczyźni przystanęli - ponurzy, bladzi, ubrani w ciemne garnitury. Potter ukląkł i położył kwiaty na grobie. Zaczął odwijać z nich zielony papier, lecz kątem oka wciąż widział dwie sylwetki, więc zostawił bukiet, zacisnął oczy i zasłonił twarz dłońmi.

Nie modlił się. Arthur Potter nigdy się nie modlił. Kiedyś tak. Od czasu do czasu. Mimo że rodzaj pracy dawał mu prawo do ukrywanych przed innymi osobistych przesądów, przestał się modlić trzynaście lat temu, w dniu, kiedy żywa Marian stała się Marian umarłą, odchodząc w chwili, gdy on ze złączonymi dłońmi toczył skomplikowane negocjacje z Bogiem, w którego istnienie mniej lub więcej wierzył przez całe życie. Adres, pod który słał błagania, okazał się zupełnie zły. Błagania pozostały bez odpowiedzi. Wcale go to nie zdziwiło ani nie rozczarowało. A jednak przestał się modlić.

Teraz z zamkniętymi oczami uniósł rękę i odpędził gestem mężczyzn, których trudno było od siebie odróżnić.

A agenci federalni, zapewne zdjęci lękiem przed Bogiem (wielu z nich było wierzących), stali tam, gdzie przedtem.

Nie modlił się, ale szeptał coś do swojej oblubienicy, która leżała w tym samym miejscu przez długie lata. Jego usta poruszały się. Znał myśli Marian lepiej niż własne, dlatego nie miał problemów w porozumiewaniu się z nią. Obecność ludzi w garniturach przeszkadzała im jednak w rozmowie. Wreszcie podniósł się wolno, spoglądając na marmurowy kwiat wryty w granicie tuż nad nagrobkiem. Zamówił różę, ale kwiat bardziej był podobny do chryzantemy. Być może kamieniarz pochodził z Japonii.

Nie było sensu dłużej zwlekać.

- Pan Potter?

Z westchnieniem odwrócił się od grobu.

- Agent specjalny McGovern, a to agent specjalny Crowley.

- Tak.
- Przykro mi, że zakłócamy pana spokój. Moglibyśmy porozmawiać?
- Może chodźmy do samochodu - dodał McGovern.
- Czego chcecie?

- Chodźmy do samochodu. Proszę. - Nikt na świecie nie mówi „proszę” tak jak agencji FBI.

Potter poszedł z nimi do wozu, mając agentów po obu bokach. Dopiero stając przy aucie, zdał sobie sprawy, że jak na lipiec, wiatr jest dość silny i dziwnie chłodny. Spojrzał na grób. Zielony papier, w który opakowano kwiaty, łopotał targany podmuchami wiatru.

- Słucham. - Zatrzymał się raptownie, postanowiwszy, że dalej nie pójdzie.

- Przykro nam, że przerywamy panu urlop. Próbowaliśmy dzwonić pod podany przez pana numer, ale nie odpowiadał.

- Wysłaliście tam kogoś? - Potter martwił się, że wizyta agentów mogłaby zdenerwować Linden.

- Tak jest, ale gdy pana znaleźliśmy, daliśmy im znać przez radio.

Potter skinął głową. Spojrzał na zegarek. Dziś wieczorem mieli jeść zapiekanekę mięsno-ziemniaczaną. Z zieloną sałata. On miał się postarać o coś do picia. Piwo Samuel Smith Nut Brown dla siebie, dla - nich owsiany porter. Po kolacji karty z Holbergami z sąsiedztwa. Na ogół kierki.

- Bardzo źle? - spytał Potter.

- Jest zajście w Kansas - rzekł McGovern. - Sytuacja jest bardzo zła. Ma pan zorganizować sztab grupy operacyjnej. W Glenview czeka na pana odrzutowiec. Szczegóły ma pan tutaj.

Potter wziął ód młodego człowieka zaklejoną kopertę i ze zdziwieniem stwierdził, że ma na kciuku plamkę krwi - zapewne ślad po ukłuciu jakimś kolcem łądygi róży, która miała płatki jak opadające rondo letniego damskiego kapelusza.

Otworzył kopertę i przeczytał faks. Na dole widniał pospiesznie skreślony podpis dyrektora Federalnego Biura Śledczego.

- Kiedy się zabarykadował?

- Pierwsze zgłoszenie było o ósmej czterdzieści pięć.

- Jest z nim jakaś łączność?

- Jeszcze nie.

- Otoczeni?

- Tak jest. Stanowi z Kansas i kilku agentów z naszego biura w Wichicie. Nie wydostaną się.

Potter zapiął, a potem rozpiął swoją sportową marynarkę. Spostrzegł, że agenci patrzą na niego ze zbyt dużym szacunkiem, co trochę go zirytowało.

- Chcę, żeby moim wywiadowcą był Henry LeBow, a łącznościowcem Tobe Geller. Pisz się przez „e”, ale wymawia się „Toby”.

- Tak jest. Jeżeli nie uda się do nich dotrzeć...

- Tylko oni wchodzą w grę. Znajdziecie ich, gdziekolwiek są. Za pół godziny mają być przy barykadzie. Sprawdźcie, czy można sprowadzić Angie Scapello. Powinna być w centrali albo w Quantico. To specjalistka od behawioryzmu. Jej też dajcie samolot.

- Tak jest.

- Co z HRT?

Należący do FBI oddział, składający się z czterdziestu ośmiu agentów, był największą w kraju jednostką bojową używaną w akcjach antyterrorystycznych.

Crowley uznał, że złe wiadomości przekaże Potterowi McGovern.

- Z tym będziemy mieli kłopot. Jeden zespół został wysłany do Miami.

Akcja przeciw handlarzom narkotyków. Pojechało tam dwudziestu dwóch agentów.

Drugi zespół jest w Seattle. Napad na bank, po którym złodzieje wzięli zakładników. Pojechało dziewiętnastu. Pozbieramy ludzi i zrobimy trzeci oddział, ale trzeba będzie ściągnąć paru agentów z tamtych dwóch. Trochę to potrwa.

- Zadzwońcie do Quantico i zorganizujcie wszystko. Z samolotu zadzwonię do Franka. Gdzie jest?

- Przy akcji w Seattle - odrzekł agent. - Umówimy się z panem pod domem, jeżeli chce się pan spakować...

- Nie, pojedę od razu do Glenview. Macie syrenę i koguta?  
- Tak jest. Ale pańska kuzynka mieszka tylko piętnaście minut stąd...  
- Gdyby któryś z was był tak miły i zdjął papier z kwiatów na grobie. I ułożył je porządnie, żeby wiatr ich nie zdmuchnął, byłbym wdzięczny.  
- Tak jest. Zrobię to - powiedział szybko Cowley. Potter domyślił się, że mimo wszystko jest między nimi pewna różnica; McGovern nie potrafił układać kwiatów.

- Bardzo dziękuję.

Potter ruszył alejką za McGovernem. W drodze na lotnisko będzie się musiał jednak zatrzymać, żeby kupić gumę do żucia. Wojskowe odrzutowce wznosiły się tak szybko, że gdyby w chwili, w której koła maszyny odrywały się od asfaltu, nie wpakował do ust całej paczki wrigleya, jego uszy zamieniłyby się w dwa szybkiory ciśnieniowe. Nie cierpiał latać.

Jestem zmęczony, pomyślał. Tak cholernie zmęczony.

- Wróć, Marian - szepnęła, nie patrząc w stronę grobu. - Wróć.

2

Reguły akcji

10.35

Jak zawsze było w tym wszystkim coś z cyrku.

Arthur Potter stał za najlepszym samochodem miejscowego biura FBI, fordem taurusem, i przyglądał się sytuacji. Radiowozy policyjne ustawiono w koło, jak wozy pionierów; obok stały furgonetki dziennikarzy, reporterzy biegali uzbrojeni w masywne kamery, które trzymali jak ręczne wyrzutnie rakiet. Wszędzie stały wozy strażackie (każdy miał w pamięci Waco).

Nadjechała karawana złożona z trzech służbowych samochodów, a więc liczba federalnych wzrosła do jedenastu. Połowa ludzi była ubrana w granatowe polowe stroje, a reszta w garnitury - podróbki Brooks Brothers.

Samolot wojskowy z Potterem na pokładzie, przeznaczony do celów cywilnych, wylądował w Wichicie przed dwudziestoma minutami, a Potter przesiadł się do helikoptera, którym miał pokonać osiemdziesiąt mil dzielących lotnisko od małego miasteczka Crow Ridge.

Kansas było płaskie, tak jak się spodziewał, choć śmigłowiec wybrał trasę wzdłuż szerokiej rzeki okolonej drzewami, gdzie teren był w większości pagórkowaty. Pilot poinformował go, że właśnie tu przebiega granica między prerią wysokotrawiastą a prerią niskotrawiastą. Na zachód rozciągała się kiedyś kraina bizonów. Pilot wskazał małą kropkę na horyzoncie - Larned, w którym sto lat temu widziano czteromilionowe stado. Mówił o tym z wyraźną dumą.

Lecieli nad wielkimi farmami, rozciągającymi się na przestrzeni stu i dwustu tysięcy akrów. Lipiec wydawał się zbyt wczesną porą na żniwa, lecz na polach pszenicy uwijały się setki czerwonych i żółto-zielonych kombajnów.

A teraz, stojąc w chłodnym wietrze i mając nad głową niebo zaciągnięte gęstymi chmurami, Potter stwierdził, że bez wahania zamieniłby to wyjątkowo ponure miejsce na dzielnicę Chicago, którą nie tak dawno opuścił. W odległości stu jardów widać było podobny do zamku budynek przemysłowy z czerwonej cegły, który prawdopodobnie liczy sobie około stu lat. Przed nim stał szkolny autobus i poobijany szary samochód.

- Co to za budynek? - spytał Potter Hendersona, agenta specjalnego kierującego biurem FBI w Wichicie.

- Stara rzeźnia - odparł agent. - Pędzono tu bydło z zachodniego Kansas i Teksasu, zabijano, a mięso barkami transportowano do Wichity.

Podmuch wiatru zdzielił ich z siłą atakującego boksera. Potter zupełnie się tego nie spodziewał i musiał dać krok do tyłu, by utrzymać równowagę.

- Chłopcy ze stanowej pożyczyci nam to. - Wysoki i przystojny mężczyzna wskazał ruchem głowy pomalowaną na zgniózielony kolor furgonetkę, która

przypominała wóz kurierski UPS. Zaparkowano ją na lekkim wzniesieniu naprzeciw rzeźni. - Urządziliśmy tam stanowisko dowodzenia.

Poszli w kierunku samochodu.

- Za łatwy cel - zauważył Potter. Nawet strzelec amator nie miałby kłopotu z trafieniem w furgonetkę z odległości stu jardów.

- Nie ma obawy - uspokoił go Henderson. - To pancerny wóz. Szyby mają grubość jednego cala.

- Naprawdę?

Spoglądając jeszcze raz na mroczną rzeźnię, otworzył rozsuwane drzwi furgonetki i wszedł do środka. Przestronne wnętrze było ciemne, oświetlone tylko nikłym blaskiem górnych lampek, monitorów wideo i wskaźników diodowych. Potter podał rękę młodemu policjantowi, który stanął na baczność, zanim agent zdążył wejść do wozu.

- Nazwisko?

- Derek Elb. Sierżant. - Rudowłosy funkcjonariusz w nienagannie zaprasowanym mundurze wyjaśnił, że jest technikiem ruchomego stanowiska dowodzenia. Znał agenta Hendersona i zgłosił się na ochotnika, by zostać i pomóc w miarę swoich możliwości. Obrzucając bezradnym spojrzeniem skomplikowane panele, ekrany i rzędy przełączników, Potter wyraził mu swą szczerą wdzięczność. Pośrodku furgonetki stało duże biurko z czterema krzesłami. Potter usiadł na jednym z nich, a Derek z entuzjazmem akwizytora przystąpił do prezentacji urządzeń podsłuchowo-podglądowych i łączności.

- Mamy też małą szafkę z bronią.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie potrzebna - rzekł Arthur Potter, który w ciągu trzydziestu lat pracy w FBI nigdy nie użył broni w akcji. - Można tu odbierać sygnał satelitalny?

- Tak jest, mamy antenę. Jesteśmy w stanie odbierać każdy sygnał analogowy, cyfrowy i mikrofalowy.

Potter skreślił na kartce kilka liczb i podał Derekowi.

- Zadzwoń pod ten numer i poproś Jima Kwo. Powiedz, że mówisz w moim imieniu i podaj mu ten kod.

- Ten?

- Tak, ten. Powiedz, że chcemy mieć na... - machnął ręką w kierunku monitorów - na tym obraz z podglądu satelitarnego SatSurv. Razem z tobą będzie koordynował stronę techniczną. Ja się w tym gubię, szczerze mówiąc. Podaj mu współrzędne szerokości i długości geograficznej rzeźni.

- Tak jest - powiedział Derek, notując z zapałem. Był w siódmym niebie, w rajku techników. - Jak to się dokładnie nazywa? SatSurv?

- System podglądu satelitarnego CIA. Dzięki niemu będziemy mieli normalny i podczerwony obraz terenu.

- Chyba o tym gdzieś czytałem. Może w „Popular Science”. - Derek odwrócił się, żeby zadzwonić.

Potter pochylił się i wycelował szkła lornetki w rzeźnię, którą było widać przez grube szyby. Czerep budynku, nagi na tle wypalanej słońcem trawy jak zakrzepła krew na żółtej kości. Takie było wrażenie Arthura Pottera - byłego studenta literatury angielskiej. Lecz zaraz potem znów był Arturem Potterem - starszym negocjatorem FBI i wicedyrektorem specjalnego oddziału dochodzeniowo-operacyjnego - którego bystre oko zarejestrowało istotne szczegóły: grube ściany z cegieł, małe okna, lokalizację przewodów elektrycznych, brak linii telefonicznych, pusty teren wokół budynku oraz drzewa, kępy traw i pagórki, które mogły posłużyć za osłonę dla snajperów - swoich albo wroga.

Tył rzeźni przylegał do rzeki.

Rzeka, zamyślił się Potter. Może da się ją jakoś wykorzystać?

Da się?

Dach jeżył się attykami, jak w średniowiecznej twierdzy. Poza tym sterczał z niego wysoki, cienki komin i wystawała duża budka windy, które mogłyby utrudnić lądowanie helikopterowi, przynajmniej w tym porywistym wietrze. Mimo to z zawieszzonego w powietrzu śmigłowca funkcjonariusze oddziału szturmowego bez większych trudności mogli opuścić się na dach po linie. Potter nie zauważył żadnych świateł.

Uznał, że niedziałająca od dawna firma przetwórcza Webber & Stoltz bardzo przypomina krematorium.

- Pete, macie szczekaczkę?

- Jasne. - Henderson wysiadł z furgonetki i skulony pobiegł do swojego samochodu po megafon.

- Ale łazienki chyba nie macie? - spytał Dereka Potter.

- Mamy - odparł Derek, dumny jak paw z zaawansowanej techniki Kansas.

Wskazał małe drzwi. Potter wszedł tam i włożył pod koszulę kamizelkę kuloodporną. Pieczołowicie zawiązał krawat i narzucił z powrotem granatową marynarkę, zauważył, że na pasie kamizelki zostało niewiele luzu, ale jego myśli zaprzętały teraz inne sprawy niż własna waga.

Wysiadł, owiało go chłodne popołudniowe powietrze, wziął z rąk Hendersona czarny megafon i skulony ruszył ścieżką biegnącą między wzgórzami a radiowozami, każąc policjantom, w większości młodym i pełnym zapału chłopakom, schować pistolety i nie wychodzić z ukrycia. Kiedy był już sześćdziesiąt jardów od rzeźni, położył się na szczycie wzniesienia, przykładając do oczu szkła lornetki. Wewnątrz nie dostrzegał żadnego ruchu ani świateł w oknach. Nic. Zauważył, że we frontowych oknach nie ma szyb, ale nie wiedział, czy wybili je ci ludzie, żeby ułatwić sobie celowanie, czy też miejscowi chłopcy ćwiczyli tu rzucanie kamieniami i strzelanie z dwudziestkidwójki.

Włączył megafon, przypominając sobie w myślach, żeby nie krzyczeć, bo to zniekształci dźwięk, i powiedział:

- Mówi Arthur Potter. Jestem z Federalnego Biura Śledczego. Chciałbym z wami porozmawiać. Kazałem sprowadzić telefon komórkowy, który dostaniecie za dziesięć albo piętnaście minut. Nie zamierzamy was atakować. Nie grozi wam niebezpieczeństwo. Powtarzam, nie chcemy was atakować.

Nie spodziewał się żadnej odpowiedzi i rzeczywiście odpowiedziało mu milczenie. Pochylony wrócił do furgonetki, gdzie spytał Hendersona:

- Kto z miejscowych tu dowodzi?

- Tamten.

Za drzewem chował się wysoki jasnowłosy mężczyzna w bladoniebieskim garniturze. Miał nienaganną postawę.

- Kto to? - zapytał Potter, przecierając okulary połą marynarki.

- Charles Budd. Kapitan policji stanowej. Ma doświadczenie śledcze i w akcjach bojowych. Brak mu natomiast w negocjacjach. Konto ma czyste jak łąza.

- Jak długo jest w służbie? - Budd wydawał się Potterowi młody i niedoświadczony. Bardziej by pasował do działu wyposażenia u Searsa, gdzie powoli człapałby po linoleum, by z zażenowaniem przekładać na półkach gwarancje na jakieś urządzenia.

- Osiem lat. Dość szybko zdobył takie stanowisko.

- Kapitanie? - zawołał Potter.

Mężczyzna popatrzył na niego niebieskimi oczami, po czym zbliżył się do furgonetki. Uścisnęli sobie mocno dłonie i przedstawili sobie nawzajem.

- Cześć, Peter - powiedział Budd.

- Hej, Charlie.

- A więc to pan jest tym pistoletem z Waszyngtonu? - zwrócił się do Pottera. - Miło mi pana poznać. To prawdziwy zaszczyt.

Potter uśmiechnął się.

- Z tego, co wiem, sytuacja wygląda następująco. - Budd wskazał rzeźnię.

- W tamtych dwóch oknach zauważyliśmy jakiś ruch. Błysk, jakby światło odbiło się od lufy albo lunety. Nie jestem pewien. Potem...

- Zaraz do tego wrócimy, kapitanie Budd.

- Proszę mi mówić Charlie.

- Zgoda, Charlie. Ilu macie ludzi?

- Trzydziestu siedmiu funkcjonariuszy, pięciu miejscowych zastępców szeryfa. Plus chłopcy Pete'a. To znaczy - teraz pana.

Potter zapisał to w małym czarnym notesie.

- Ktoś z twoich ludzi ma doświadczenie w akcjach z zakładnikami?

- Z funkcjonariuszy? Kilku prawdopodobnie miało do czynienia z typowym napadem na bank albo sklep. Miejscowi na pewno nie brali udziału w czymś takim.

Tu trafiają się zwykle tylko pijani kierowcy albo podpici farmerzy, którzy w sobotę wieczorem na zabawie sięgają po nóż.

- Jaka jest struktura dowodzenia?

- Ja nadzoruję całość. Jest czterech dowódców - Trzech poruczników i sierżant mający wkrótce awansować - którym podlega tych trzydziestu siedmiu ludzi, podzielonych na mniej więcej równe oddziały. Dwa po dziesięć, jeden dziewięć- i jeden ośmioosobowy. Pisze pan to wszystko?

Potter znów się uśmiechnął.

- Gdzie zajęli stanowiska?

Budd wskazał grupki funkcjonariuszy rozproszone na polu gestem generała z wojny domowej, którego kiedyś pewnie będzie przypominać wyglądem.

- Broń? Pytam o wasze uzbrojenie.

- Z broni krótkiej mamy służbowe glocki. Oprócz tego około piętnastu karabinów gładkolufowych, dwunastki, osiemnastocalowe lufy. Mam sześciu mężczyzn i jedną kobietę uzbrojonych w M-16 z celownikami optycznymi. Wszyscy zajęli stanowiska w tamtych drzewach.

- Celowniki noktowizyjne?

Budd parsknął śmiechem.

- W okolicy takich nie mamy.

- Kto dowodzi miejscowymi ludźmi?

- Szeryf z Crow Ridge. Dean Stillwell. Tam stoi.

Wskazał chudego i wysokiego człowieka o gęstej czuprynie, który pochylony rozmawiał z jednym ze swych zastępców.

Zjawił się jeszcze jeden samochód, zatrzymując się z piskiem hamulców. Potter bardzo się ucieszył na widok twarzy za kierownicą.

Z auta wysiadł niski Henry LeBow i natychmiast nacisnął na głowę sfatygowany tweedowy kapelusz; jego łysa czaszka stanowiła doskonały cel, o czym mogli się nieraz przekonać przy okazji dwustu akcji negocjacyjnych, jakie przeprowadzili wspólnie z Potterem. Nieduży, pękaty i trochę nieśmiały LeBow był jedynym wywiadowcą, z jakim Potter naprawdę lubił pracować.

LeBow uginał się pod ciężarem dwu wielkich toreb, które miał zawieszane na ramionach.

Uścisnęli sobie serdecznie dłonie, po czym Potter przedstawił go Hendersonowi i Buddowi.

- Zobacz, co mamy, Henry. Przyczepę kempingową do własnej dyspozycji.

- Świetnie. I rzeczkę, można złowić jakieś rybki. Co to?

- Rzeka? Arkansas - rzekł Budd, wyraźnie akcentując drugą sylabę.

- Przypomina mi młodość - oświadczył LeBow.

Na prośbę Pottera Henderson wrócił do swojego samochodu, żeby przez radio porozumieć się z biurem FBI w Wichicie i sprawdzić, kiedy przyjadą Tobe Geller i Angie Scapello. Potter, LeBow i Budd wsiedli do furgonetki. LeBow podał rękę Derekowi, a potem z toreb wydobył dwa laptopy. Uruchomił je, podłączył do gniazdka w ścianie i dołączył małą drukarkę laserową.

- Linia specjalna? - spytał Dereka LeBow.

- Tam.

LeBow wcisnął wtyczkę do gniazda i ledwie połączył cały sprzęt, drukarka zaczęła mrużyć.

- Już coś miłego? - spytał Potter.

LeBow przeczytał faks i powiedział:

- Informacja z wydziału więziennictwa, raporty o wyrokach w zawieszeniu, wydruki z kartoteki i aktów oskarżenia. Bardzo wstępne, Arthur, bardzo surowe.

Potter podał mu materiał dostarczony przez agentów z Chicago i obszerne notatki, które zaczął sporządzać już w samolocie. W zwięzłych słowach była tam opisana ucieczka Lou Handy'ego i dwóch innych przestępców z więzienia federalnego w południowym Kansas, morderstwo popełnione na pewnym małżeństwie, do którego doszło na polu pszenicy kilka mil od rzeźni, oraz porwanie zakładników. Wywiadowca przejrzał wydruki, po czym zaczął stukać w klawisze jednego ze swych komputerów.

Otworzyły się drzwi i wszedł Peter Henderson. Poinformował ich, że Tobe Geller przybędzie lada chwila, a Angie Scapello powinna się zjawić w ciągu godziny. W Bostonie Tobe prowadził kurs tworzenia profili programów

komputerowych, co miało pomagać w ustaleniu tożsamości hakerów. Przyleciał stamtąd F-16 należącym do sił powietrznych. Powinien tu być za parę minut. Angie leciała odrzutowym transportowcem z Quantico.

- Angie? - odezwał się LeBow. - Bardzo się cieszę. Bardzo.

Agentka Scapello przypominała z wyglądu Geenę Davis, a jej wielkie brązowe oczy były niewymownie kuszące nawet wówczas, gdy zapomniała je umalować. Mimo to radość LeBowa nie miała nic wspólnego z jej atrakcyjnym wyglądem; Henry miał na myśli tylko jej specjalizację - psychologią zakładników.

W drodze do zabarykadowanej rzeźni Angie pewnie zatrzyma się w szkole Laurenta Clerca i zbierze, ile się da, informacji o zakładniczkach. Jeśli Potter dobrze ją znał, zdażyła już pewnie zadzwonić do szkoły i dowiedzieć się czegoś o dziewczynkach.

LeBow przykleił taśmą do ściany nad biurkiem duży arkusz papieru, a obok zawiesił na sznurku czarny flamaster. Podzielił arkusz na dwie części. Na lewej umieścił nagłówek „obietnice”, a na prawej „blef”. LeBow miał tu zapisywać wszystko, co Potter będzie proponował Handy’emu, i każdy blef, jakim go uraczy. Była to rutynowa procedura w negocjacjach z porywaczami. Powód wykorzystania takiej ściągki najlepiej mógłby wytłumaczyć Mark Twain, który zauważył, że aby dobrze kłamać, trzeba mieć dobrą pamięć.

Zaskoczony Budd zapytał:

- Naprawdę chcecie kłamać?

LeBow uśmiechnął się.

- A czym tak naprawdę jest kłamstwo, Charlie? - spytał Potter. - Prawda to bardzo niepewny grunt. Czy istnieją słowa w stu procentach szczerze? - Wydarł ze swego notesu kilka kartek i podał LeBowowi, który wziął je razem ze spływającymi z drukarki faksami i zaczął stukać w klawiaturę komputera oznaczonego napisem „Sylwetki”. Napis był bardzo stary i zrobiono go na kawałku przybrudzonej już taśmy maskującej. Drugi komputer opatrzony był napisem „Chronologia”. Na jego monitorze widniały tylko dwie linijki:

8.40 Porwanie zakładników.

10.50 Sztab akcji - Potter, LeBow - na miejscu.

Ekranu rzuciły niesamowity błękitny blask na okrągłą twarz Henry’ego; wyglądał jak człowiek z księżycy w wykonaniu Arthura Rackhama. Charlie Budd wpatrywał się z podziwem w migające po klawiszach palce LeBowa.

- Kurczę, połowa liter starta.

- Widziałem budynek - mruknął do Pottera LeBow. - Parszywa sytuacja. Za bardzo zasłonięty, żeby można było wykorzystać satelitę. Za mało okien na podgląd w podczerwieni albo na podsłuch. Poza tym za silny wiatr.

Tak jak w większości barykad, informacje będą musieli zdobywać w tradycyjny sposób - od zakładników, którzy zdołają uciec albo zostaną uwolnieni, i od dostarczających jedzenie i picie funkcjonariuszy, którym uda się może zajrzeć do środka.

LeBow utworzył małe okno na ekranie komputera „chronologicznego”.

Ukazały się na nim dwa cyfrowe stopery. Nad jednym był napis „upłynęło”, nad drugim „pozostało”.

Na prawym zegarze LeBow ustawił czas, dwie godziny i dziesięć minut, po czym wcisnął klawisz. Zegar ruszył. Henry zerknął na Pottera, unosząc pytająco brew.

- Wiem, Henry. - Jeśli nikt nie kontaktuje się z porywaczami zaraz po uprowadzeniu zakładników, denerwują się i zaczynają podejrzewać, że szykuje się próba odbicia. - Damy Tobe’emu jeszcze kilka minut, a potem zaczynamy odprawę - dodał negocjator. Spojrzał na obszar rozciągający się za nimi, na gruby dywan falujących na chłodnym wietrze traw. W odległości pół mili pracowały kombajny, które kreśląc na polach symetryczne wzory, kosiły pszenicę jak maszynka włosy rekruta.

Potter przyjrzał się mapie okolicy.

- Te drogi zostały zamknięte?

- Tak jest - odparł Budd. - Nie ma innego dojazdu.

- Zorganizuj bazę operacyjną na tyłach, Charlie. - Potter pokazał zakręt drogi milę na południe od rzeźni. - I niech gdzieś tam stanie namiot dla prasy. Daleko od rzeźni. Macie rzecznika prasowego?



- Nie - odrzekł Budd. - Jeśli ktoś musi składać oświadczenie o jakimś wydarzeniu z okolicy, zwykle ja to robię. Przypuszczam, że teraz też będę musiał.

- Nie. Chcę, żebyś został tu z nami. Przydziel to komuś niższemu stopniem.

- To operacja federalna, Arthur - wtrącił się Henderson. - Chyba ja powinienem składać oświadczenia.

- Nie, to musi być ktoś ze stanowej, niższy stopniem. W ten sposób uda się nam zatrzymać dziennikarzy w namiocie. Będą czekali, aż zjawi się ktoś z informacjami. Nie będą też raczej wsadzać nosa tam, gdzie nie powinni.

- No, nie wiem, kto mógłby się nadawać - rzekł niepewnie Budd, wyglądając przez okno, jak gdyby mógł się za nim ukazać policjant podobny do Dana RATHERA.

- Nie musi być dobry - mruknął Potter. - Wystarczy, żeby mówili, że złożę oświadczenie później. Koniec, kropka. Wybierz kogoś, kto się nie będzie bał powiedzieć: „Bez komentarzy”.

- Pismakom bardzo się to nie spodoba. Jak tylko na drodze numer 14 zdarzy się jakiś drobny wypadek, zaraz zjeżdża się tłum reporterów. Przy czymś takim jak dziś na pewno zjawia się dziennikarze z samego Kansas City.

Agent Henderson, który pracował kiedyś w Waszyngtonie, roześmiał się.

- Charlie. - Potter starał się powstrzymać uśmiech. - Są tu już CNN i ABC. Ludzie z „New York Timesa”, „Washington Post” i „Los Angeles Timesa”. Sky z Europy, BBC i Reuter. Reszta ważniaków jest w drodze. Mamy tu bombę tygodnia we wszystkich mediach.

- Bez żartów, to Brokaw też tu jest? Jezu, chciałbym go poznać.

- Wyznacz też teren zakazany dla prasy, w promieniu jednej mili wokół rzeźni, po obu brzegach rzeki.

- Co?

- Wyślij pięciu czy sześciu chłopaków w terenówkach i niech tam krążą. Jeśli znajdą w tej strefie jakiegoś reportera - kogokolwiek z aparatem albo kamerą - niech go aresztują i skonfiskują kamerę.

- Aresztować reportera? Nie możemy. Przecież tam są wszyscy... Nie można.

- Naprawdę, Arthurze - zaczął Henderson. - Nie możemy tego zrobić. Pamiętaj Waco?

Potter uśmiechnął się mdło do agenta. Myślał o stu różnych sprawach, rozważał, obliczał.

- I żeby nie było żadnych śmigłowców z dziennikarzami. Pete, mógłbyś sprowadzić z McConnell w Wichicie pary hueyów? Wyznaczcie strefę zamkniętą dla ruchu powietrznego w promieniu trzech mil.

- Mówisz serio, Arthurze?

- Tracimy czas - odezwał się LeBow. - Są w środku już dwie godziny i siedemnaście minut.

- Aha, trzeba też będzie zająć kilka pokoi w hotelu - powiedział do Budda Potter. - Jaki jest najbliższy?

- Days Inn. Cztery mile stąd, drogą. W Crow Ridge. W centrum, jeżeli można to tak nazwać. Ile pokoi?

- Dziesięć.

- W porządku. Dla kogo?

- Dla rodziców zakładniczek. Sprowadźcie tam też księdza i lekarza.

- Może lepiej ulokować ich bliżej. Gdyby musieli porozmawiać z dziećmi albo...

- Nie, lepiej nie. I wyślij tam kilku policjantów. Dziennikarze nie powinni niepokoić rodzin. Nie chcę, żeby ich nękali...

- Aresztować - mruknął Budd. - O rany.

- O co chodzi, kapitanie? - spytał pogodnie LeBow.

- Pieśnią stanu Kansas jest „Nasz dom na równinie”.

- Doprawdy? - rzekł Henderson. - I co?

- Znam reporterów i zanim wszystko się skończy, usłyszycie od nich sporo nieprzyjemnych słów.

Potter zaśmiał się. Potem wskazał na pola.

- Spójrz tam, Charlie, ludzi widać jak na dłoni. Mówiłem im, żeby się nie podnosili. W ogóle nie uważają. Każ im się schować za samochodami. Powiedz im, że Handy zabił już kilku policjantów. Henry, jakie miał przygody z bronią?

LeBow wcisnął kilka klawiszy i spojrzał na ekran.

- We wszystkich aktach oskarżenia jest przynajmniej jeden zarzut użycia broni. Strzelał do kilku osób, zabił dwie. Fort Dix, ćwiczenia na M-16, na strzelnicy konsekwentnie trafiał dziewięćdziesiąt na sto. Nie ma informacji na temat broni krótkiej.

- Proszę - powiedział do Budda Potter. - Powiedz im, żeby nie wystawiali głów.

Błysnęło jakieś światło. Potter zmrużył oczy i stwierdził, że pracujący na polu kombajn właśnie włączył reflektory. Oczywiście było jeszcze za wcześnie na zapalenie świateł, ale gęste chmury znacznie ograniczały widoczność. Spojrzał na drzewa rosnące z prawej i lewej strony rzeźni.

- Jeszcze jedna rzecz, Charlie - niech snajperzy zostaną na stanowiskach, ale daj im rozkaz, żeby nie strzelali, jeżeli porywacze nie zaatakują pierwi. Nawet gdyby mieli sytuację do oddania czystego strzału. Ci policjanci z karabinami są z jednostki specjalnej?

- Nie - odparł Budd. - Po prostu świetnie strzelają. Nawet dziewczyna. Zaczęła polować na wiewiórki, kiedy miała...

- I niech wszyscy, łącznie z nimi, rozładują broń. Wszyscy.

- Jak to?

- Nie mają wyrzucać magazynków, tylko opróżnić komory.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

Potter spojrzał na niego pytająco.

- Chciałem tylko... - zaczął szybko Budd. - Snajperzy też?

- W M-16 wystarczy odciągnąć zamek i strzelić w ciągu sekundy.

- Nie wystarczy, bo trzeba jeszcze ustawić celownik optyczny. Porywacze mogą w tym czasie oddać ze trzy strzały.

Facet ma tyle zapasu, pomyślał Potter, tyle talentu i racji. Ależ szykuje się dzień.

- Gdyby porywacze chcieli wyjść i zastrzelić zakładnika na naszych oczach, zdążymy zareagować. Jeśli do tego dojdzie, i tak wszystko skończy się wielką strzelaniną.

- Ale...

- Rozładować - powiedział stanowczo Potter. - Zrozum, Charlie.

Budd niechętnie skinął głową, powtarzając swoje zadanie:

- W porządku, wyślę kogoś, żeby złożył oświadczenie dla prasy - a właściwie, żeby nie złożył oświadczenia. Wygonię reporterów i nie dopuszczę ich bliżej niż na milę, zajmę pokoje w hotelu i powiem wszystkim, żeby nie wystawiali głów. Każę im rozładować broń.

- Dobrze.

- Rany. - Budd wysiadł z furgonetki. Potter obserwował go, jak pochylony biegnie do grupy policjantów. Wysłuchali go, wybuchnęli śmiechem, a potem zaczęli wyganiać reporterów z terenu.

Po pięciu minutach kapitan wrócił do wozu dowodzenia.

- Zrobione. Tak jak myślałem, reporterzy byli dość niezadowoleni.

Powiedziałem im, że to z rozkazu ważnego fedzia. Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe, że tak pana nazwałem - rzekł szorstkim głosem.

- Możesz mnie nazywać, jak sobie życzysz, Charlie. Teraz trzeba zorganizować szpital polowy.

- Z lądowiskiem dla samolotu medycznego?

- Nie. Trzeba sprowadzić specjalistów od urazów i oceny obrażeń.

Najlepiej wybrać miejsce niewidoczne z rzeźni. Takie, do jakiego można dotrzeć w sześćdziesiąt sekund. Przygotowane na wszystko, od oparzeń trzeciego stopnia do ran postrzałowych i zatruc pieprzem w sprayu. Z wyposażonymi salami operacyjnymi.

- Tak jest. Ale nie dalej niż piętnaście mil stąd mamy duży szpital.

- Być może, ale nie chcę, żeby porywacze słyszeli nadlatujący helikopter medyczny. Dlatego też śmigłowce dziennikarzy i nasze hueye nie mogą się zbliżyć na tyle, żeby porywacze mogli je usłyszeć.

- Dlaczego?

- Bo mogłoby im przyjść do głowy coś, o czym wcześniej nie pomyśleli. Gdyby nawet zażądali helikoptera, zamierzam im powiedzieć, że dzisiaj jest za silny wiatr, żeby latać.

- W porządku.

- Idź po dowódców. Po szeryfa Stillwella też. Zrobimy odprawę.

W tym momencie rozsunęły się drzwi i do auta wsiadł opalony, przystojny mężczyzna o ciemnych, kręconych włosach.

Zanim się przywitał, zerknął na panele sterowania wszystkich urządzeń i mruknął pod nosem:

- Świetnie.

- Witaj, Tobe.

- W Bostonie dziewczyny są piękne i wszystkie mają spiczaste cycki, Arthurze. Mam nadzieję, że to naprawdę ważne - powiedział do Pottera Tobe Geller.

Potter podał mu rękę i zauważył, że kropka w miejscu, gdzie przekłuł sobie ucho, jest dziś szczególnie widoczna. Przypomniał sobie, jak Tobe wyjaśniał swoim przełożonym w FBI, że kolczyk nosi od czasów, gdy pracował w policji jako tajniak. W rzeczywistości po prostu lubił kolczyki i miał ich całą kolekcję. Był absolwentem MIT i wykładowcą informatyki na Uniwersytecie Amerykańskim i w Georgetown. Uścisnął dłonie wszystkim po kolei, a potem popatrzył na laptopy LeBowa, szyderczo się uśmiechnął i mruknął coś o antykach. Usiadł na krześle za panelem urządzeń komunikacyjnych. Wymienili uprzejmości z Derekiem, po czym pograżyli się w świecie ekranowanych sygnałów analogowych, podsieci, klinów NDIS do programów obsługi pakietów, cyfrowego kodowania sygnałów i systemów wykrywania oscylacji w łańcuchach wieloprzewodowych linii naziemnych.

- Zaraz będziemy mieli odprawę, Tobe - powiedział mu Potter i dał znak Buddowi, by siedł wypełnić polecenia. - Pokaż, co już masz - zwrócił się do LeBowa.

LeBow obrócił komputer z sylwetkami porywaczy do Pottera.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - powiedział.

Jednak Pottera zupełnie pochłonał tekst migoczący jasną czcionką na błękitnym ekranie.

11.02

Najmniej walecznym stworzeniem jest królik amerykański - właściwie zając, który jest królikiem tylko z nazwy.

Jest to zwierzę stworzone do obrony, obdarzone maskującym futrem (szaroburym w ciepłych miesiącach i białym w zimie), uszami, które może dowolnie ustawiać jak anteny w stronę, skąd dochodzą groźne odgłosy, oraz oczami, dzięki którym widzi pełny obraz terenu. Ma szerokie siekacze roślinożercy, a pazury mogą mu służyć jedynie do zgarniania liści albo - w przypadku samców - do przytrzymywania samicy podczas tworzenia nowego pokolenia królików.

Ale kiedy zwierzę znajdzie się w sytuacji bez wyjścia i nie ma żadnej szansy ucieczki, rzuca się na przeciwnika z niebywałą zjadłością. Myśliwi znajdowali zwłoki oślepionych lub wypatroszonych lisów i żbików, które lekkomyślnie zapędziły królika w pułapkę, na przykład do jaskini, atakując go z typową dla drapieżników bezczelną pewnością siebie.

Najbardziej boimy się zamknięcia, mówił Arthur Potter podczas swych wykładów, a porywacze są najniebezpieczniejszymi i najbardziej zdeterminowanymi przeciwnikami.

Dziś w furgonetce dowodzenia przy zabarykadowanej rzeźni niedaleko Crow Ridge darował sobie ów przyrodniczy wstęp i powiedział po prostu:

- Przede wszystkim musicie zrozumieć, jak niebezpieczni są ci ludzie.

Potter przyglądał się swojemu zespołowi: ze strony federalnych miał Hendersona, LeBowa i Tobe'ego. Policje stanową reprezentowali Budd i jego zastępca Philip Molto, niski, małowówny oficer, który wyglądał na licealistę. Był jednym z dowódców grupy szturmowej. Pozostali - dwaj mężczyźni i kobieta -

mieli posępne miny i ponure spojrzenia. Byli uzbrojeni po zęby i pełni zapału do walki.

Dean Stillwell, szeryf Crow Ridge, sprawiał wrażenie zupełnego buraka. Rękawy miał o wiele za krótkie, a jego gęsta fryzura była stylizowana na wczesnych Beatlesów.

Kiedy rozpoczęli naradę, Charlie Budd przedstawił wszystkim Pottera.

- Poznajcie Arthufa Pottera z FBI, słynnego negocjatora z porywaczami. Mamy wielkie szczęście, że jest tu dziś z nami.

- Dziękuję, kapitanie - przerwał mu Potter w obawie, że Budd ma zamiar wywołać aplauz.

- Jeszcze jedno - ciągnął młody oficer. Zerknął przelotnie na Pottera. - Zapomniałem wcześniej o tym powiedzieć. Jestem w kontakcie z prokuratorem, który organizuje stanową jednostkę antyterrorystyczną. Tak więc naszym zadaniem...

Zachowując absolutny spokój, Potter wystąpił naprzód.

- Jeśli pozwolisz, Charlie... - Wskazał głową zebranych policjantów. Budd zamilkł, szczerząc zęby w uśmiechu. - Stanowa grupa nie wejdzie do akcji. W tej chwili zbiera się grupa federalna, która powinna tu być późnym popołudniem albo wczesnym wieczorem.

- Ale - zaczął Budd - chyba jednak prokurator stanowy...

Potter spojrział na niego z niewzruszonym uśmiechem.

- Rozmawiałem z nim jeszcze z samolotu, z gubernatorem również.

Ciągle się uśmiechając, Budd skinął głową. Negocjator przystąpił do szczegółów odprawy.

Wyjaśnił, że wcześniej rano z Callany, federalnego więzienia o najostrzejszym rygorze, położonego niedaleko Winfield przy granicy z Oklahoma, zbiegło trzech mężczyzn, mordując strażnika. Byli to Louis Jeremiah Handy, Shepard Wilcox i Ray „Sonny” Bonner. Podczas ucieczki samochodem na północ podróżujących cadillakiem. Handy i dwaj jego koledzy zamordowali dwoje ludzi podróżujących cadillakiem i zanim dogonił ich funkcjonariusz policji stanowej, zdążyli dojechać do starej rzeźni.

Handy ma trzydzieści pięć lat, został skazany na dożywocie za napad, podpalenie i morderstwo. Siedem miesięcy temu razem z Wilcoxem, swoją dziewczyną i jeszcze jednym sprawcą obrabowali kasę oszczędnościowo-kredytową Farmers & Merchants w Wichicie. Handy zamknął dwie kasjerki w środku i podpalił budynek. Bank spalił się do cna, a kasjerki zginęły w płomieniach. Podczas ucieczki zginął czwarty złodziej, dziewczyna Handy'ego uciekła, a Handy i Wilcox zostali aresztowani. Potter poprosił Henry'ego o pomoce wizualne.

LeBow dzięki skanerowi złożył razem kartotekowe zdjęcia wszystkich trzech porywaczy na jednym arkuszu, na którym widniały fotografie ich twarzy en face, z profilu i półprofilu, uwydatniające blizny i inne znaki szczególne. Kolejne kartki ze zdjęciami spływały teraz z drukarki, a LeBow podawał je uczestnikom narady.

- Zatrzymajcie jeden zestaw, a resztę rozdajcie podległym sobie funkcjonariuszom - powiedział Potter. - Niech każdy dostanie zdjęcia i wbije je sobie w pamięć. Gdyby doszło do kapitulacji, będzie trochę zamieszania, mamy tu dużo policjantów po cywilnemu i istnieje ryzyko, że ktoś mógłby nie rozpoznać porywaczy. Chcę, żeby wszyscy dobrze wiedzieli, jak ci ludzie wyglądają.

- Ten na samej górze to Handy. Drugi to Shep Wilcox. Jest najbliższą Handy'emu osobą, kimś w rodzaju przyjaciela. Pracowali razem przy trzech czy czterech skokach. Na ostatnim zdjęciu jest Bonner, ten z brodą. Przypuszczalnie Handy zna go od jakiegoś czasu, ale nigdy razem nie pracowali. Bonner ma na koncie napad z bronią w ręku, ale w Callanie siedział za ucieczkę do innego stanu. Jest podejrzany o serię gwałtów, skazano go tylko za ostatni. Kilkakrotnie ugodził ofiarę nożem - w trakcie gwałtu. Dziewczyna przeżyła. Miała siedemnaście lat, a kiedy składała zeznanie, musiała odwołać swoją jedenastą operację plastyczną. Henry, co możesz nam powiedzieć o zakładnikach?

- Na razie niewiele - odparł LeBow. - W rzeźni jest dziesięć zakładniczek. Osiem uczennic i dwie nauczycielki ze szkoły dla niesłyszących Laurenta Clerca w Hebronie. To miasteczko w Kansas, jakieś piętnaście mil stąd na zachód. Jechały na występ do Teatru Niesłyszących w Topece. Uczennice są w

wieku od siedmiu do siedemnastu lat. Niedługo powinienem mieć więcej danych. Wiemy, że są głuche, poza starszą nauczycielką, która normalnie mówi i słyszy.

Potter zorganizował już tłumacza języka migowego, lecz mimo to był świadomy kłopotów, jakie mogły się pojawić; wiele razy negocjował za granicą i z wieloma obcokrajowcami w samych Stanach. Znał niebezpieczeństwo i frustrację związane z sytuacją, gdy trzeba szybko i precyzyjnie przetłumaczyć ważną informację, od której często zależy ludzkie życie.

- Mamy więc sztab akcji, w skład którego wchodzi ja, Henry LeBow, mój człowiek od wywiadu i dokumentacji Tobe Geller, szef łączności i kapitan Budd, który będzie naszym łącznikiem z policją stanową i moją prawą ręką. Dowódcą sztabu będę ja. Trzeba jeszcze wybrać dowódcę akcji prewencyjnej.

- Sztab akcji ma dwa zadania. Po pierwsze, doprowadzić do kapitulacji porywaczy i uwolnienia zakładników. Po drugie, pomóc w ataku, gdyby zaszła konieczność przeprowadzenia szturmów. Polega to na zbieraniu informacji dla grupy odbijania zakładników, odwracaniu uwagi porywaczy i manipulowaniu nimi, by utrzymać liczbę ofiar na dopuszczalnym poziomie.

We wszystkich akcjach z przetrzymywaniem zakładników każdy chce być bohaterem i namówić złoczyńców, żeby wyszli z podniesionymi rękami. Jednak nawet największy zwolennik rozwiązań pokojowych musi pamiętać, że czasem jedynym wyjściem jest użycie broni. Ucząc negocjacji z porywaczami na kursie FBI, Potter zawsze na początku mówił swoim słuchaczom: „Każde uprowadzenie zakładników jest w istocie postępującym zabójstwem”.

Spojrzał w oczy zgromadzonych w furgonetce ludzi, przypominając sobie, że wśród przydomków, jakie mu nadawano, najłagodniejszym była „zimna ryba”.

- Każdą informację, jaką uda się wam zdobyć na temat porywaczy, zakładników, terenu, czegokolwiek - musicie natychmiast przekazać agentowi LeBowowi. Powinien je uzyskać nawet przede mną, jeżeli to będzie konieczne. Powtarzam, mam na myśli jakiegokolwiek informację. Jeśli dowiecie się, że któryś z porywaczy ma katar, nie sądzcie, że to nieważne. - Potter dostrzegł wymianę wymownych spojrzeń między dwoma młodymi policjantami. Ich miny świadczyły o tym, że setki razy słyszeli już podobne rzeczy. Patrząc prosto na nich, agent rzekł: - Oznacza to na przykład, że w leku na przeziębienie możemy przemycić głupiego jasia. Albo to znak, że facet bierze kokainę, co też będziemy mogli wykorzystać.

Młodzi ludzie byli wprawdzie dalecy od skruchy, ale powstrzymali się od sarkazmu.

- Teraz dowództwo akcji prewencyjnej. Kapitan Budd twierdzi, że być może niektórzy z was mają pewne doświadczenia z uprowadzeniami zakładników. - Powiódł wzrokiem po twarzach pewnych siebie młodych funkcjonariuszy. - Kto?

- Ja miałam - odezwała się szybko kobieta z policji stanowej. - Skończyłam kurs prowadzenia akcji odbijania zakładników w NLEA. Przeszłam też szkolenie z negocjacji.

- Wynegocjowała pani uwolnienie zakładników?

- Nie, ale kilka miesięcy temu wspierałam negocjatora podczas napadu na sklep.

- To prawda - wtrącił Budd. - Sally dowodziła grupą szturmową. Świetnie sobie poradziła.

- Udało się nam wprowadzić do sklepu snajpera - ciągnęła. - Ukrył się nad dźwiękochłonnym sufitem i miał w celowniku wszystkich sprawców. Zanim zdążył kogoś rąbnąć, poddali się.

- Ja też brałam udział w podobnej akcji - powiedział inny policjant, z wyglądu mniej więcej trzydziestopięcioletni, trzymając dłoń na kolbie służbowego automatu. - Należałem do grupy, która w zeszłym roku uratowała kasjerkę po napadzie na bank kasy oszczędnościowo-kredytowej Midwest w Topece. Czysta robota, stuknęliśmy wszystkich, a żadnemu zakładnikowi włos nie spadł z głowy.

Jeszcze inny policjant szkolił się w wojsku i dwa razy był w grupie, która przypuściła szturm na barykadę, odbijając wszystkich zakładników.

- Uratowaliśmy ich bez jednego strzału.

Peter Henderson przysłuchiwał się temu z pewnym zaniepokojeniem. W końcu przemówił:

- Może jednak lepiej sam się tym zajmę, Art. Skończyłem kurs standardowy i dla zaawansowanych. - Uśmiechnął się. - Poza tym czytałem twoją książkę. Kilka

razy. To mógłby być bestseller, jak powieści Toma Clancy'ego. - Nagle spoważniał i dodał cicho: - Chyba powinienem. Jestem z FBI i tak dalej.

Dean Stillwell uniósł głowę i zerknął na policjantów ubranych w kamizelki kuloodporne, którzy mieli zawieszane na biodrach pasy z amunicją. Jego ruch dał Potterowi pretekst, by nie zareagować na słowa Hendersona.

- Chce pan coś powiedzieć, szeryfie? - spytał go.

- Właściwie nie.

- Śmiało - zachęcił go Potter.

- Nie kończyłem żadnych kursów ani nie strzelałem do żadnych porywaczy zakładników. Ale mieliśmy chyba parę takich historii w Crow Ridge.

Dwaj policjanci uśmiechnęli się.

- Niech pan opowie.

- Parę miesięcy temu zdarzyła się ta sprawa z Abe Whitmanem i jego żoną, Emmą. Mieszkali na Patchin Lane. No wiecie, zaraz za Badger Hollow Road.

Uśmiechy zaczęły się przeradzać w tłumiony śmiech.

Stillwell roześmiał się uprzejmie.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego. To nie byli porywacze, do jakich jesteście przyzwyczajeni.

Budd spojrział krótko na policjantów, ci zaś zacisnęli usta, tłumiąc uśmieški.

- Co się stało? - zapytał Potter.

Stillwell zaczął mówić ze spuszczonym wzrokiem.

- Abe był zwykłym rolnikiem, prostym hodowcą świń.

Teraz Peter Henderson, choć był specjalnym agentem FBI, starał się powstrzymać uśmiech. Budd milczał. Potter dał Stillwellowi znak, by kontynuował, a Henry LeBow jak zwykle tylko słuchał.

- Zeszłej wiosny miał pecha, bo rynek półtuszy wieprzowych padł na pysk.

- Półtuszy wieprzowych? - spytała z niedowierzaniem policjantka.

- Po prostu ceny spadły. - Stillwell nie zauważył albo puścił mimo uszu drwinę w jej głosie. - No i bank cofnął mu kredyty i człowiek się załamał. Zawsze był trochę stuknięty, ale tym razem wzięło go na amen. Schował się w stodole ze strzelbą i nożem, którym sprawiał świnię na własny stół.

- Robił sobie te półtusze, tak? - odezwał się jeden z policjantów.

- Pewnie, że nie sam boczek - wyjaśnił serio Stillwell. - Ze świniami jest tak, jak u nas mówią: „Da się wykorzystać wszystko oprócz kwiku”.

W tym momencie dwaj policjanci nie mogli już powstrzymać wesołości. Negocjator uśmiechnął się zachęcająco.

- Dostałem telefon, że na farmie coś się dzieje. Pojechałem się rozejrzeć i przed stodołą zobaczyłem Emmę. Od dziesięciu lat była jego żoną. Nożem przeciął ją od pachwiny do mostka i odciął ręce. Abe zamknął się ze swoimi dwoma synami. Mówił, że zrobi z nimi to samo. Brian ma osiem lat, Stuart cztery. Dobre dzieciaki.

Żaden policjant już się nie uśmiechał.

- Kiedy tam przyjechałem, chciał odciąć po kolei palce Stuartowi.

- Jezu - szepnęła policjantka.

- I co pan zrobił, szeryfie?

Wzruszył chudymi ramionami.

- Nic specjalnego. Właściwie sam nie wiedziałem, co robić. Po prostu z nim gadałem. Podszedłem blisko, ale nie za bardzo, bo polowałem kiedyś z Abe'em i wiedziałem, że strzelec z niego pierwsza klasa. Skryłem się za taką małą górką. I zaczęliśmy do siebie wołać. Widziałem go w stodole, jakieś pięćdziesiąt stóp ode mnie. Siedział tam, trzymał nóż i swojego chłopaka.

- Jak długo pan z nim rozmawiał?

- Jakiś czas.

- Jaki?

- Chyba z osiemnaście, dwadzieścia godzin. Obaj ochrypliśmy od krzyku, więc kazałem jednemu z moich chłopców przywieźć telefony komórkowe. - Zaśmiał się. - Żeby przez to rozmawiać, musiałem przeczytać instrukcję. Nie chciałem podjeżdżać do niego wozem ani używać radia, ani megafonu. Pomyślałem sobie, że im mniej glin zobaczy, tym lepiej.

- I cały czas pan tam siedział?

- Jasne. Jak się zaczęło, trzeba skończyć zawsze to mówię. No, dwa razy musiałem odejść za, no wie pan, naturalną potrzebą, a raz po kawę. Ale nawet na chwilę nie pokazywałem głowy.

- Co się potem stało?

Znów wzruszył ramionami.

- Wyszedł. Poddał się.

- A dzieci? - zapytał Potter.

- Nic im się nie stało. Tylko zobaczyły matkę. Na to nie mogliśmy jednak nic poradzić.

- Zapytam pana o coś, szeryfie. Przyszło panu do głowy, żeby zaproponować wymianę chłopców na siebie?

Stillwell wyglądał na zakłopotanego.

- Nie. Ani razu.

- Dlaczego?

- Wydawało mi się, że to by zwróciło jego uwagę na dzieciaki. Chciałem, żeby o nich zapomniał i skupił się tylko na sobie i na mnie.

- I nie próbował pan do niego strzelać? Przecież musiał być odsłonięty.

- Pewnie, kilkanaście razy. Nie wiem, zdawało mi się, że tego właśnie nie chciałem, żeby komuś stała się krzywda. Jemu albo mnie, albo chłopakom.

- Odpowiedział pan celująco, szeryfie. Jest pan dowódcą akcji prewencyjnej. Zgadza się pan?

- Tak jest. Będę dumny, jeżeli będę mógł jakoś pomóc.

Potter zerknął na niezadowolonych oficerów ze stanowej.

- Wy i wasi funkcjonariusze podlegacie od teraz szeryfowi.

- Chwileczkę - zaczął Budd, lecz nie bardzo wiedział, co dalej. - Szeryf to porządny człowiek. Jesteśmy przyjaciółmi i też chodziliśmy razem na polowania. Ale... nawet pod względem technicznym - rozumie pan, szeryf jest lokalnym stróżem prawa, jego władza ogranicza się do miasteczka. Tu mamy przede wszystkim funkcjonariuszy policji stanowej. Nie może ich pan przekazać pod jego komendę. To by wymagało jakiegoś pełnomocnictwa, pozwolenia, nie wiem.

- A więc udzielam takiego upoważnienia. Możecie od tej chwili uważać szeryfa Stillwella za reprezentanta służb federalnych - rzekł spokojnie Potter.  
- Pełniącego funkcje agenta.

LeBow posłał Potterowi pytające spojrzenie. Żaden z nich nie znał procedury wymaganej do mianowania agentów federalnych podczas akcji.

Jedynie na twarzy Petera Hendersona wciąż widniał uśmiech.

- Ciebie to także dotyczy, Pete - zwrócił się do niego Potter. - I wszystkich agentów, którzy nie są związani z gromadzeniem informacji, zabezpieczaniem dowodów czy kontaktem z grupą szturmową.

Henderson wolno pokiwał głową i rzekł:

- Możemy chwilę porozmawiać, Art?

- Nie mamy zbyt dużo czasu.

Potter wiedział, o co chodzi, i rozumiał, że ich rozmowa nie powinna się odbywać w obecności pozostałych dowódców.

- Wyjdziemy na zewnątrz, co ty na to?

W cieniu furgonetki Henderson powiedział do niego ostrym szeptem:

- Przepraszam, Arthurze. Znam twoją reputację, ale nie oddam moich ludzi pod komendę jakiegoś wieśniaka.

- Moja reputacja nie ma tu nic do rzeczy, Pete. Liczy się moja władza.

Henderson znów skinął głową. Jego nieskazitelnie wykrochmalona i wyprasowana koszula oraz szary garnitur mogły stanowić przepustkę do każdej restauracji w promieniu mili od Kapitolu.

- Arthur, powinienem mieć więcej do powiedzenia w tej sprawie. Znam Handy'ego i...

- Skąd go znasz? - przerwał mu Potter. Ta wiadomość była dla niego niespodzianką.

- Moi agenci byli przy jego zatrzymaniu. Przesłuchiwałem go w banku po aresztowaniu. Pomagałem prokuratorowi przy akcie oskarżenia. Zamknęli go dzięki zebranym przez nas dowodom.

Handy został złapany na gorącym uczynku. Byli też naoczni świadkowie, więc dowody mogły najwyżej dopełnić formalności. Na pokładzie samolotu Potter

czytał protokół przesłuchania, które jak się teraz okazało, przeprowadził Henderson. Handy nie powiedział prawie nic poza „odpierdolcie się”.

- Każda informacja o nim może być cenna - powiedział Potter. - Ale nie masz odpowiedniego doświadczenia, żeby kierować akcją prewencyjną.

- A Stillwell ma?

- Ma odpowiednie cechy charakteru. I dobrą ocenę sytuacji. Nie jest kowbojem.

Ani biurokrata, dodał w myśli, co byłoby równie złe, jeśli nawet nie gorsze.

Henderson wbił wzrok w błoto.

- Nie ma mowy, Potter - warknął. - Tkwię w tym gównie wystarczająco długo. Nic się tu nie dzieje poza kradzieżami dżemów i dyktafonów z bazy lotnictwa. Czasem Indianie szczają do pieprzonych silosów. Chcę coś tu zrobić.

- Nie masz doświadczenia z zakładnikami, Pete. W drodze czytałem twoje papiery.

- Mam więcej doświadczenia z przestępcami niż ten twój czereśniak.

Kurczę, skończyłem prawo na Georgetown.

- Będiesz dowodził bazą operacyjną na tyłach. Będiesz koordynował pomoc medyczną i kontakty z prasą, zajmował się rodzinami zakładniczek i zaopatrzeniem ludzi w akcji.

Nastąpiła chwila ciszy. Henderson przyglądał się swemu koledze agentowi, starszemu od niego ledwie o kilka lat, z zaskoczeniem i rozbawieniem, które po chwili ustąpiły miejsca pogardzie. Na koniec uśmiechnął się lodowato i skinął głową.

- Niech cię szlag, Potter. Znam drugą stronę twojej reputacji - wszystko na pokaz.

- Baza na tyłach to ważne zadanie - ciągnął Potter, jak gdyby Henderson w ogóle się nie odezwał. - Tam będziesz bardzo cenny.

- Pieprzony świętoszek... Musisz Być w centrum zainteresowania, co? Boisz się, żeby ktoś o lepszej prezencji nie wypadł lepiej przed kamera?

- Chyba wiesz, że mam inne powody.

- Wiem? A co ja mogę wiedzieć? Tylko tyle że zjawiasz się w mieście z błogosławieństwem samego Admirala i wysyłasz nas po kawę. Po strzelaninie kiedy ginie kilkunastu naszych i jeden albo dwóch zakładników, zwołujesz konferencję prasową i przypisujesz sobie zasługi, a na nas zwalasz winę za to, że schrzaniiliśmy twój genialny plan. I wyjeżdżasz. Kto potem musi sprzątać to gówno, które po sobie zostawisz? Ja.

- Jeżeli to wszystko, co chciałeś...

Henderson zapiął marynarkę.

- Nie martw się, będę miał do powiedzenia jeszcze niejedno.

Oddalił się, nie zwracając uwagi na rzeczową uwagę Pottera, żeby uważał, bo może się stać łatwym celem dla strzelców z rzeźni.

11.31

Arthur Potter wsiadł z powrotem do furgonetki. Oczy zebranych tam policjantów śledziły go uważnie. Zastanawiał się, czy podsłuchiwali jego rozmowę z Hendersonem.

- Pora przejść do reguł akcji - powiedział, wyciągając z kieszeni faks.

Na pokładzie samolotu Potter rozmawiał dzięki połączeniu konferencyjnemu z dyrektorem FBI, zastępcą dyrektora kierującym wydziałem kryminalnym i Frankiem D'Angelo, dowódcą HRT, i spisał reguły akcji pod Crow Ridge. Poświęcił na to większą część lotu i spłodził dokument liczący dwie strony maszynopisu z pojedynczą interlinią, który uwzględniając każdą ewentualność rozwoju wypadków, dawał Potterowi szczegółowe rozkazy, jak poprowadzić akcję. Napisano go z wyjątkową ostrożnością. BATF\* [Bureau of Alcohol, Tobacco and Firearms - agencja amerykańskiego Departamentu Skarbu egzekwująca prawa federalne związane z handlem alkoholem, tytoniem, bronią palną i materiałami wybuchowymi (przyp. tłum.)] i FBI zostały ostro skrytykowane za sprawę Koresha w Waco, a samo biuro obrzucono błotem za sprawę Randalla Weavera z 1992 roku, w której reguły akcji



były sformułowane zbyt ogólnikowo. Strzelcy byli przekonani, że mają strzelać do każdej uzbrojonej dorosłej osoby, która wyjdzie pod muszkę. Snajper FBI przez pomyłkę zabił żonę Weavera.

Potter, patrząc przede wszystkim na Stillwella, powiedział:

- Pana zadaniem będzie powstrzymanie porywaczy. Wprawdzie to zadanie bojowe, ale pasywne. Żadne próby szturmowania nie wchodzi w grę.

- Tak jest.

- Utrzyma pan porywaczy wewnątrz obwodu, który wyznaczę. Może to będzie sam budynek rzeźni, może linia stu jardów wokół budynku. Porywacze nie mają prawa przekroczyć tej linii żywi. Gdyby któryś próbował, z zakładnikiem czy bez, pańscy ludzie mają zielone światło, rozumiano?

- Tak jest, mogą strzelać.

- Zgadza się. Strzelacie, żeby zabić. Nie podejmujecie żadnych prób zranienia, żadnego grożenia ani nie oddajecie strzałów ostrzegawczych. Strzelacie tylko po to, by zabić.

- Tak jest.

- Bez zgody kogoś ze sztabu nie wolno strzelać przez otwarte okna czy drzwi, gdyby nawet zagrożone było życie zakładnika.

Potter zauważył, że na te słowa twarz Budda pociemniała.

- Zrozumiałem - rzekł Stillwell. Dowódcy niechętnie skinęli głowami.

- Jeżeli do was otworzą ogień, zajmujecie stanowiska obronne i czekacie na pozwolenie użycia broni. W razie zagrożenia życia, waszego albo innego funkcjonariusza, możecie stosować siłę, by się obronić lub ochronić drugą osobę. Jednak tylko wtedy, gdy to zagrożenie jest realne.

- Realne - mruknął z przekąsem jeden z policjantów.

Mieli nadzieję, że sobie postrzelają, pomyślał Potter. Zerknął na zegar na monitorze komputera LeBowa.

- Za jakieś pięć minut nawiążemy kontakt. Zamierzam ostrzec porywaczy o linii bezpieczeństwa. Dam panu znać, szeryfie, kiedy zostaną uprzedzeni. Od tej chwili nie pozwoli im pan wyjść poza ustalony obwód, tak jak przed chwilą powiedziałem.

- Tak jest - odparł spokojnie szeryf i przejechał dłonią przez swoją czuprynę, burząc ją jeszcze bardziej.

- Na razie strefą bezpieczeństwa będzie cały teren poza budynkiem. Najpierw ktoś będzie musiał wyjść po telefon, ale potem nikt nie ma prawa przekroczyć progu bez białej flagi.

Stillwell skinął głową.

- Od Henry'ego dostaniecie wszystkie istotne informacje. Rodzaje broni, lokalizację porywaczy i zakładniczek, informacje o wyjściach z budynku i tak dalej. Nie będziecie mieli bezpośredniego kontaktu z porywaczami. I nie podsłuchujcie moich rozmów z Handym.

- Dobrze. Dlaczego nie?

- Bo zamierzam nawiązać z nim nić porozumienia i przemówić mu do rozsądku. Nie możecie sobie pozwolić nawet na odrobinę współczucia dla niego. Musicie być gotowi strzelać do niego bez chwili wahania.

- Zgoda.

- Nie chcę, żeby doszło do jakiegoś wypadku - ciągnął Potter. - Kapitan Budd wydał już rozkazy, żeby wszyscy rozładowali broń. Zgadza się? Łącznie ze snajperami?

Budd skinął głową. Zacisnął usta. Potter domyślał się, że kapitan jest bardzo zły. Zanim się to skończy, jego nastrój na pewno znacznie się pogorszy.

- Moich ludzi nie swędzą palce na spustach - powiedział urażonym tonem jeden z dowódców.

- Teraz nie, ale mogą zacząć swędzić. Po dziesięciu godzinach będą łapać za broń na widok własnego cienia. Dean, widziałeś pewnie jakieś błyski w oknach budynku. Zdawało ci się, że to celowniki, ale światło odbijało się pewnie od lusterek, takich jak w peryskopach. Porywacze uczą się tej sztuczki w więzieniu. Przekaż swoim ludziom, żeby nie wpadali w panikę, kiedy zobaczą błysk.

- Tak jest - powiedział wolno Stillwell. Chyba nigdy nie spieszył się z mówieniem.

- Kilka uwag na koniec - rzekł Potter. - Porywacze kryminaliści są zwykle mniej groźni niż terroryści. Nie chcą nikogo zabijać. Chcą uciec. Jeżeli będą mieli dość czasu, zorientują się, że zakładnicy to ogromny ciężar, a martwi zakładnicy oznaczają kłopoty. Ale w tej chwili nie potrafią myśleć racjonalnie. Są napompowani adrenaliną, ogłupiali i przerażeni.

- Musimy rozładować sytuację. Sprawić, żeby Handy uwierzył, że dzięki rozsądnemu działaniu przeżyje. Czas działa na naszą korzyść. Nie ustaliśmy żadnego terminu. Musimy wszystko przeciągać ponad własną wytrzymałość. A potem jeszcze dłużej i jeszcze.

- Kiedy HRT będzie na miejscu, przygotujemy plan szturmowy, ale to będzie ostateczność. Dopóki Handy będzie z nami rozmawiać, nie podejmiemy żadnej próby odbicia. Możemy to nazwać metodą wieprzową. - Potter uśmiechnął się do Stillwella, po czym ciągnął: - Najbardziej liczy się teraz granie na zwłokę. Czas męczy porywaczy, nuży, zbliża ich z zakładnikami.

- Syndrom Sztokholm - rzekł jeden z dowódców.

- Otóż to.

- Co to takiego? - zapytał inny.

Potter dał znak LeBowowi, który wyjaśnił:

- To znany z psychoanalizy proces przeniesienia, tyle że obiektem uczucia staje się porywacz. Nazwa pochodzi od napadu na bank w Sztokholmie jakieś dwadzieścia lat temu. Napastnik zmusił czwórkę pracowników, by weszli do bankowego skarbcza. Później dołączył do nich były współwięzień przestępcy. Siedzieli w zamknięciu pięć dni, a kiedy wreszcie się poddali, kilku zakładników było zakochanych w porywaczach. W ich przekonaniu to policjanci byli złoczyńcami. Złodziej i jego kumpel spod celi też rozbudzili w sobie uczucia do zakładników i nawet przez myśl im nie przeszło, że mogliby ich skrzywdzić.

- Pora zabrać się do pracy - oznajmił Potter. - Szeryf rozpocznie akcję prewencyjną, ja nawiążę kontakt z porywaczami.

Dean Stillwell nieśmiało dał znak dowódcom.

- Może wyjdziemy z wozu i spróbujemy przesunąć waszych ludzi na stanowiska, zgoda?

- Półtusa wieprzowa - powiedział czyjś głos, ale tak cicho, że usłyszał to chyba tylko Potter.

Srebrny strumyczek ciurkał jak z prysznica, wpadając przez szpary w suficie - prawdopodobnie jakaś stara deszczówka, która zebrała się w kałużach na dachu.

Krople padały na rdzewiejące haki, łańcuchy, gumowe pasy przenośników i niszczące maszyny, które Melanie Charrol widziała z ubojni, gdzie pilnowała dziewczynek. Siedmioletnie bliźniaczki, Anna i Suzie, tuliły się do niej. Beverly Klemper odgarniała swe jasne włosy z twarzy - jeszcze dziecinnie okrągłej, mimo że miała czternaście lat - ciężko łapiąc oddech. Reszta siedziała po drugiej stronie sali. Dziesięcioletnia Emily Stoddard wściekle tarła płamę z rdzy na swoich białych rajstopach, a po policzkach płynęły jej łzy.

Melanie zerknęła na panią Harstrawn i Susan Phillips, które przycupnęły blisko siebie, gwałtownie gestykułując. Na twarzy nastolatki, której blada cera kontrastowała z ciemnymi włosami, wciąż płonęła złość. W jej ciemnych oczach pali się ogień buntu, jak w oczach bojowników z dawnych ruchów oporu, pomyślała Melanie. Ich rozmowa dotyczyła dziewczynek.

- Boję się, żeby nie wpadły w panikę - mówiła Susan do starszej nauczycielki. - Muszą trzymać się razem. Gdyby któraś zaczęła uciekać, te gnoje mogą jej zrobić krzywdę.

Ze śmiałością typową dla swego wieku ośmioletnia Kielle Stone powiedziała na migi:

- Musimy uciekać! Jest nas więcej. Uda się.

Gdy Susan i pani Harstrawn zignorowały jej uwagę, w szarych oczach dziewczynki błysnął gniew.

Melanie przez cały czas zadręczała się myślą, że nie wie, co robić. Nie wie.

Mężczyźni prawie nie zwracali uwagi na dziewczynki. Melanie wstała i podeszła do drzwi. Zobaczyła, jak z płóciennych worków wyciągają ubrania. Brutus

zdjął koszulkę i zerknąwszy na Melanie, wszedł pod strumień wody, która spłynęła kaskadą po jego ciele. Zamknął oczy, unosząc twarz w stronę brudnego sufitu. Melanie zobaczyła jego gładkie, pozbawione owłosienia ciało, węzły mięśni i kilkanaście różowych blizn. Dwaj pozostali mężczyźni przebierali się, spoglądając na niego niepewnie. Kiedy zdjęli szare koszule, Melanie ujrzała nadruki na ich koszulkach. Gronostaj miał napis „S. Wilcox”, a Niedźwiedź - „R. Bonner”. Mimo to jednak, widząc kosmate cielsko Niedźwiedzia i chudego Gronostaja o szczypanych oczkach, nie mogła przestać nazywać ich w myśli zwierzęcymi przezwiskami, jakie im instynktownie nadała. A dostrzegłszy na twarzy trzeciego z nich wyraz rozbawienia i złośliwości, kiedy stał pod kaskadą wody, rozkładając ramiona jak Chrystus, zrozumiała, że „Brutus” jest dla niego o wiele lepszym imieniem niż jego własne imię i nazwisko - „L. Handy”.

Wreszcie wyszedł spod strumienia, wytarł się stara koszulą i włożył nową, z ciemnozielonej flaneli. Wziął z beczki olejowej pistolet i wlepił spojrzenie w swoich jeńców, a zagadkowy uśmiech nie zniknął mu z twarzy. Podszedł do kumpli. Wyjrżeli ostrożnie przez jedno z frontowych okien.

To niemożliwe, mówiła sobie Melanie, to się nie dzieje naprawdę. Przecież czekają na nią rodzice. Danny idzie jutro na operację. Odwiedzała brata w oddziałach pooperacyjnych po każdym z kilku zabiegów, jakie przeszedł w zeszłym roku. Czuła nedorzeczne pragnienie, by przekonać tych mężczyzn, że muszą je wypuścić; nie mogła zawieść brata.

Był jeszcze występ w Topece.

I naturalnie jej dalsze plany.

Idź, powiedz coś do niego. Błagaj, żeby wypuścił dziewczynki.

Przynajmniej bliźniaczki. Albo Kielle i Shannon. I Emily.

Albo Beverly, którą dręczyła astma.

No idź, zrób to.

Melanie ruszyła naprzód, lecz zaraz się obejrzała. Przyglądała się jej cała zgromadzona w ubojni dziewczątka.

Susan trochę dłużej zatrzymała na niej wzrok, a potem dała jej znak, by zawróciła. Melanie spełniła jej prośbę.

- Nie bójcie się - powiedziały do dziewczynek ręce Susan. Z uśmiechem przyciągnęła do siebie drobne bliźniaczki o kasztanowych włosach. - Niedługo stąd wyjdą i nas wypuszczą. Spóźnimy się tylko trochę na występ do Topeki. Co chcecie robić po występie Melanie? Niech każda powie po kolei.

Oszalała? - pomyślała Melanie. Przecież nie wyjdziemy stąd... Potem zdała sobie sprawę, że Susan mówi to tylko po to, by uspokoić dziewczynki. Miała rację. Prawda nie miała znaczenia. Trzeba było pocieszyć najmłodsze. Nie dać tamtym ludziom żadnego powodu, aby podeszli za blisko; przed oczyma stanął jej żywo obraz Niedźwiedzia trzymającego łapsko na piersi Susan i przyciskającego do siebie Shannon.

Żadna z nich nie miała jednak ochoty na zabawę. W końcu Melanie powiedziała na migi:

- Może pójdziemy na obiad?

- Do Arcades! - zamigotały nagle dłonie Shannon. - Z Mortal Kombat!

Kielle podniosła się.

- Chcę iść do prawdziwej restauracji. Zjem niedosmażony stek z ziemniakami i ciasto z...

- Całe ciasto? - spytała Susan z udawanym zaskoczeniem.

Połykając łzy, Melanie zastanawiała się, co powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Gestykulując niemrawo, powiedziała:

- Tak, po całym cieście dla wszystkich!

Dziewczynki zerknęły na nią, ale natychmiast wróciły spojrzeniem do Susan.

- Może was rozboleć brzuch. - Pani Harstrawn teatralnie zmarszczyła brwi.

- Nie - odparła Kielle. - Zjedanie całego ciasta to głupota. - Posłała Susan oburzone spojrzenie. - Tylko prostacy zjadają całe ciasta. Zamówimy sobie po małym kawałku. A ja zamówię kawę.

- Nie pozwalają nam pić kawy. - Jocylyn w końcu przestała trzeć załzawione oczy.

- Ja napiję się czarnej kawy - posiedziała na migi Shannon, która wcześniej kopnęła Niedźwiedzia w kolano.

- Ze śmietanką - ciągnęła Kielle. - Kiedy moja mama robi kawę, nalewa ją do szklanej filiżanki, a potem dodaje śmietanki i robi się taka biała chmura. Napiję się kawy w prawdziwej restauracji.

- Może lody kawowe. - Beverly usiłowała wciągnąć powietrze w płuca.

- Z posypką - dorzuciła Suzie.

- Z posypką i rodzynkami - dodała jej młodsza o trzydzieści kilka sekund siostra. - Jak u Friendly'ego!

I znów Melanie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nie mówię o takiej restauracji, ale o wytwornej restauracji. - Kielle nie rozumiała, dlaczego nikogo nie cieszy ta perspektywa.

Susan rozpromieniła się w uśmiechu.

- A więc postanowione. Wytworna restauracja. Stek, ciasto i kawa dla wszystkich. Tam gdzie nie wpuszczają prostaków!

Nagle dwunastoletnia Jocylyn wybuchnęła histerycznym płaczem, zrywając się na równe nogi. Pani Harstrawn poderwała się w tej samej chwili i zaczęła tulić do siebie pulchną dziewczynkę. Powoli udało się ją uspokoić. Melanie uniosła dłonie, by powiedzieć coś dowcipnego, żeby rozładować atmosferę. Wreszcie zaproponowała:

- Ciasto z bitą śmietaną.

Susan odwróciła się do Melanie.

- Ciągłe jesteś w stanie wyjść na scenę?

Młoda nauczycielka patrzyła przez moment na swą starszą uczennicę, a potem pokiwała głową, uśmiechając się.

Pani Harstrawn, popatrując nerwowo w stronę największego pomieszczenia rzeźni, gdzie rozmawiali trzej mężczyźni, powiedziała na migi:

- Może Melanie jeszcze raz wyrecytuje swoje wierszyki.

Melanie skinęła głową, czując, że ma w pamięci wielką dziurę. Jej repertuar składał się z dwudziestu kilku wierszyków, a teraz była w stanie przypomnieć sobie tylko pierwszą zwrotkę „Ptaszków na drucie”. Uniosła więc dłonie i zaczęła:

- Osiem ptaszków drży w ciemnościach.  
Chłodny wiatr wieje, odeszło już ciepło.  
Rozpościerają swe szare skrzydełka  
I odlatują w gęste obłoki.

- Ładne, prawda? - zapytała Susan, patrząc na Jocylyn. Dziewczynka otarła twarz rękawem swojej obszernej bluzeczki i skinęła głową.

- Ja też napisałam parę wierszy - pochwaliła się Kielle. - Pięćdziesiąt. Nie, więcej. O Superdziewczynie i Spidermanie. I o ludziach X. O Jean Grey i Cyclopsie. Shannon czytała!

Shannon pokiwała z zapałem głową. Na lewym przedramieniu dziewczynki widniał fałszywy tatuaż przedstawiający innego z ludzi X, Gambita, który Shannon zrobiła sobie flamastrem.

- Może nam powiesz jakiś? - zapytała ją Susan.

Zastanowiwszy się chwilę, Kielle uznała, że jej wiersze wymagają jeszcze poprawek.

- Dlaczego w tym wierszyku ptaszki są szare? - zapytała Beverly. Gestykulowała gwałtownie, jak gdyby chciała zdążyć z każdym zdaniem przed atakiem astmy.

- Bo wszyscy mamy w sobie trochę szarości - wyjaśniła Melanie zdumiona, że dziewczynki dochodzą do siebie, zapominając na chwilę o strasznym otoczeniu.

- Jak to ma być o nas, wolałabym zostać ładniejszym ptaszkiem - powiedziała Suzie, a jej siostra skinęła potakująco głową.

- Może czerwonym? - zaproponowała Emily ubrana w kwiecistą sukienkę. Była bardziej kobieca niż wszystkie pozostałe dziewczynki razem wzięte.

Wówczas Susan - która czasem wiedziała więcej niż Melanie; Susan, która w przyszłym roku wybierała się do college'u Gallaudet, z samymi piątkami - wyjaśniła zaciekawionym dziewczynkom, że tylko samce kardynała są czerwone. Samiczki mają brązowoszare upierzenie.

- A więc to są kardynały? - zapytała Kielle.

Gdy Melanie nie odpowiedziała, dziewczynka stuknęła ją lekko w ramię, po czym powtórzyła pytanie.

- Tak - odparła Melanie. - Oczywiście. Jesteście stadkiem ślicznych kardynałów.

- Nie arcybiskupów? - spytały dłonie pani Harstrawn. Susan roześmiała się. Jocylyn kiwnęła głową, ale wydawała się stropiona, że znów ktoś za nią spuentował sytuację.

Chłopięca Shannon, która pożerała książki Christophera Pike'a, spytała, dlaczego ptaki z wiersza Melanie to nie jastrzębie z długimi srebrzystymi dziobami i szponami ociekającymi krwią.

- To o nas? - zapytała Kielle. - Ten wierszyk?

- Może.

- Ale nas jest dziewięć razem z tobą - zauważyła Susan, wskazując swą nauczycielkę z logiką nastolatki. - A z panią Harstrawn dziesięć.

- Rzeczywiście - odpowiedziała Melanie. - Mogę zmienić wiersz.

Pomyślała: zrób coś. Ciasto z bitą śmietaną? Co za pierdoły. Przejmij inicjatywę!

Zrób coś!

Porozmawiaj z Brutusem.

Melanie nagle wstała i podeszła do drzwi. Wyjrzała na zewnątrz. Potem spojrziała na Susan, która spytała:

- Co robisz?

Oczy Melanie wróciły do trzech mężczyzn. Nie, pomyślała, nie możecie na mnie liczyć. To błąd. Nie dam rady. Pani Harstrawn jest starsza, Susan silniejsza. Kiedy coś mówi, ludzie - głusi czy nie - zawsze jej słuchają.

Nie potrafię...

Potrafisz.

Melanie dała krok w stronę głównego pomieszczenia, czując na skórze krople ciekącej z sufitu wody. Robiąc unik, by nie zderzyć się z hakiem na mięso, podeszła bliżej mężczyzn. Tylko bliźniaczki. I Beverly. Kto by się nie zlitował nad siedmioletnimi dziewczynkami? Kto by nie znalazł w sobie współczucia dla nastolatki z astmą?

Niedźwiedź zauważył ją i wyszczerzył w uśmiechu zęby. Gronostaj ładował baterie do przenośnego telewizora, więc nie zwrócił na nią uwagi. Brutus odszedł od tej dwójki i wyglądał przez okno.

Melanie przystanęła, oglądając się za siebie. Susan marszczyła zaniepokojona brwi. Znów spytała na migi:

- Co robisz?

Melanie odczytała w jej oczach dezaprobatę; sama poczuła się jak uczennica.

Zapytaj go. Napisz mu na kartce. „Wypuście najmniejsze, proszę”.

Ręce jej drżały, a serce waliło boleśnie. Kiedy Niedźwiedź coś zawołał, poczuła, że drży. Brutus powoli się odwrócił.

Popatrzył na nią, odrzucając do tyłu mokre włosy.

Melanie zamarła, czując na sobie jego spojrzenie. Pokazała, że chce coś napisać. Podeszedł do niej. Stała jak wryta. Wziął jej dłoń, obejrzał paznokcie i mały srebrny pierścionek na palcu wskazującym. Puścił. Spojrzał jej w oczy i wybuchnął śmiechem. Potem wrócił do tamtych dwóch, odwracając się do niej plecami, jakby nie stanowiła żadnego poważnego zagrożenia, jak gdyby była młodsza od swoich najmłodszych uczennic, jak gdyby w ogóle jej nie było.

Poczuła się podłej, niż gdyby ją uderzył w twarz.

Zbyt przestraszona, by podejść do niego jeszcze raz, i zbyt zawstydzona, by wrócić do dziewczynek, Melanie została tam i patrzyła przez okno na kordon radiowozów, skulone sylwetki policjantów i przerzedzoną trawę, która gięła się na wietrze.

Potter wpatrywał się w budynek rzeźni przez kuloodporną szybę furgonetki.

Niedługo będzie z nim musiał porozmawiać. Postać Lou Handy'ego zaczęła mu już przysłać wszystko inne. W negocjacjach czają się dwa zagrożenia. Po pierwsze, jeszcze przed ich rozpoczęciem porywacz wydaje się potężniejszy niż w

rzeczywistości, dlatego zaczyna się negocjować z pozycji obronnej - a Potter właśnie zaczynał odnosić takie wrażenie. Po drugie - trzeba pokonać własny syndrom Sztokholm, który jeszcze go czekał. To było nieuniknione.

- Telefon gotowy?

- Prawie. - Tobe wstukiwał numery do skanera na konsoli. - Mam zamontować mikrofon?

Porywaczom podrzucano zwykle lekkie i proste w obsłudze telefony komórkowe wyposażone w dodatkowy obwód nadawczy, który do stanowiska dowodzenia akcją przekazywał wszystkie rozmowy prowadzone przez aparat i numery, pod które dzwonili napastnicy. Zwykle rozmawiali tylko z negocjatorami, lecz czasem dzwonili do współników lub przyjaciół. Dzięki tym rozmowom zespół negocjatorów zyskiwał nową kartę przetargową albo przewagę taktyczną.

Czasami w telefonie ukrywano mikrofon wielokierunkowy. Umożliwiał podsłuchiwanie rozmów nawet wówczas, gdy porywacze nie korzystali z telefonii. Każdy negocjator marzy o tym, by wiedzieć wszystko, o czym mówi się za barykadą. Gdyby jednak znaleziono mikrofon, groziłby im odwet i bezpowrotna utrata zaufania ze strony napastników - czyli jedyne go atutu, jaki negocjatorzy mają w tej fazie akcji.

- Henry? - Potter zwrócił się do LeBowa. - Jak sądzisz, mógłby znaleźć?

LeBow zaczął stukać w klawisze, szperając w rosnącej szybko kartotece Handy'ego. Przewinął ekran.

- Nie chodził do college'u, w szkole średniej z matematyki i przedmiotów ścisłych miał piątki. Zaraz, mam coś... W wojsku uczył się trochę elektroniki. Nie zabawił długo w armii. Zadźgał nożem sierżanta. Tu nic nie ma... Nie, lepiej nie podkładać mikrofonu. Mógłby znaleźć. W technice był niezły.

Potter westchnął.

- Zostaw, Tobe.

- Szkoda.

- No.

Zabrzączał telefon i Potter odebrał. Do Wichity przyjechała agentka Angie Scapello i leciała helikopterem prosto do szkoły Laurenta Clerca w Hebronie. Razem z policjantką z Hebronu, która miała być tłumaczem języka migowego, powinna przyjechać za pół godziny.

Przekazał tę wiadomość LeBowowi, który wprowadził ją do komputera, mówiąc:

- Za dziesięć minut będę miał schemat wnętrza z CAD-a.

LeBow wysłał wcześniej jednego z agentów po plany architektoniczne i schematy wszystkich instalacji rzeźni. Miały być przesłane do stanowiska dowodzenia, a potem wydrukowane przez program projektowania wspomaganego komputerowo.

- Charlie - zwrócił się do Budda Potter. - Chyba musimy skonsolidować grupę zakładników. Porywacze będą chcieli mieć prąd, ale nie zamierzam na to pozwolić. Dostaną jedną lampę elektryczną, zasilaną baterią. Słabą. Żeby wszyscy siedzieli w jednym pomieszczeniu.

- Dlaczego?

- Zakładniczki i porywacze muszą być razem - powiedział LeBow. - Niech Handy z nimi rozmawia, niech je pozna.

- Nie wiem - rzekł kapitan. - Dziewczynki są głuche. To straszne miejsce. Jeżeli będą w pomieszczeniu oświetlonym jedną lampką, mogą... jak mawia moja córka, ześwirować.

- Ich odczucia nie mogą być dla nas najważniejsze - rzekł z roztargnieniem Potter, przyglądając się, jak LeBow przenosi informacje do swego pojemnego elektronicznego notatnika.

- Chyba się z panem nie zgodzę - powiedział Budd.

Cisza.

Tobe składał telefon, popatrując równocześnie w monitor telewizyjny, pokazujący kilka kanałów naraz na ekranie, który Derek Elb magicznym sposobem podzielił na sześć części. We wszystkich programach informacyjnych porwanie było tematem numer jeden. CBS i CNN nadawały specjalną relację. Piękne kobiety i przystojni mężczyźni o lakierowanych włosach trzymali mikrofony jak różki z lodami, mówiąc do nich z zaaferowaniem. Potter zauważył, że Tobe posługuje się

panelem sterowania, jak gdyby sam go zaprojektował, a potem przyszło mu do głowy, że może tak było w istocie. Geller szybko się zaprzyjaźnił z rudowłosym Derekiem.

- Niech pan pomyśli - upierał się Budd. - Nawet po południu rzeźnia sprawia okropne wrażenie. A w nocy? Rany, to będzie straszne.

- Bez względu na to, co się stanie - odparł Potter - najbliższe dwadzieścia cztery godziny nie będą dla dziewczynek przyjemne. Muszą to wytrzymać. Jedna lampa wystarczy.

Budd skrzywił się ze złością.

- Jest jeszcze inny powód. Jeżeli będzie ciemno, mogą wpaść w panikę. Będą próbowały uciekać i może im się stać krzywda.

Potter spojrzał na ceglane ściany starej przetwórnicy, ciemne jak zakrzepła krew.

- Chyba pan nie chce, żeby porywacze do nich strzelali - rzekł z gniewem Budd. LeBow zerknął na kapitana, ale Potter nie uniósł oczu.

- Gdybyśmy włączyli zasilanie - powiedział agent - będą się mogli ukryć w każdym miejscu rzeźni. Handy mogłyby je umieścić w dziesięciu różnych pomieszczeniach. - Potter w zamyśleniu złożył dłonie, jakby lepił niewidzialną kulę ze śniegu. - Nie możemy pozwolić, żeby je rozdzielono.

- A jakby tak podstawić ciężarówkę z generatorem - powiedział Budd - i przeciągnąć kabel? Dać kilka lamp warsztatowych - takich osłoniętych kratą i zawieszanych na hakach. I włączyć taką moc, żeby wystarczyło do oświetlenia głównego pomieszczenia. Gdyby wydał pan rozkaz szturmowy, odcięłoby się prąd i już. Z bateriami to inna sprawa. Poza tym w pewnym momencie będziemy się musieli porozumieć z dziewczynkami. Proszę pamiętać, że są głuche. Jak to zrobimy, jeżeli będzie ciemno?

O tej ważnej sprawie Potter wcześniej nie pomyślał. W razie szturmowy ktoś będzie musiał dziewczynkom dać znak do ucieczki i wskazać drogę.

Potter skinął głową.

- W porządku.

- Zajmę się tym.

- Wyznacz kogoś, Charlie.

- Tak właśnie chcę zrobić.

Tobe wcisnął parę przycisków. Wnętrze furgonetki wypełnił szum.

- Szlag by to trafił - mruknął, a do LeBowa rzekł: - Gdzieś blisko mam dwóch ludzi z Dużym Uchem. - Nazywano tak mały mikrofon paraboliczny, który w sprzyjających warunkach jest w stanie wychwycić szept z odległości stu jardów. Dziś był bezużyteczny.

- Cholerny wiatr - powiedział LeBow.

- Telefon gotowy - oznajmił Tobe, podając Potterowi mały szarooliwkowy plecak. - Obydwa obwody gotowe.

- Zaraz...

Zabrzączał telefon. Potter odebrał natychmiast.

- Potter.

- Agent Potter? Nie znamy się - powiedział w słuchawce miły baryton. - Jestem Roland Marks, zastępca prokuratora stanowego.

- Tak? - Potter był spokojny.

- Chciałem się podzielić z panem pewnymi przemyśleniami.

Potter poczuł zniecierpliwienie. Nie ma na to czasu, pomyślał.

- Jestem bardzo zajęty.

- Pozwoli pan, że wtrącę swoje trzy grosze na temat służb stanowych.

Potter miał Charliego Budda i jego ludzi, a do dyspozycji samochód dowodzenia. Nie potrzebował niczego więcej od stanu Kansas.

- Obawiam się, że to nie najlepsza pora.

- Czy to prawda, że uprowadzono osiem małych dziewczynek?

Potter westchnął.

- I dwie nauczycielki. Ze szkoły dla niesłyszących w Hebronie. Zgadza się, to prawda. Właśnie zamierzamy nawiązać kontakt z porywaczami i jest to pilne. Nie sądzę...

- Ilu jest porywaczy?

- Niestety nie mam czasu omawiać z panem szczegółów sytuacji. O wszystkim jest poinformowany gubernator, może się pan również zwrócić do naszego agenta specjalnego z Wichity, Petera Hendersona. Przypuszczam, że zna go pan.

- Oczywiście, że znam Pete'a. - Wahanie w jego głosie zdradzało, że nie bardzo ufa agentowi. - Może dojść do tragedii.

- Panie Marks, moje zadanie polega na tym, żeby do niej nie dopuścić. Mam więc nadzieję, że pozwoli mi pan robić, co do mnie należy.

- Pomyślałem sobie, że mogłaby pomóc osoba duchowna albo jakiś doradca. W Topece mamy własny wydział pomocy pracownikom. Może najlepszy...

- Odkładam słuchawkę - rzekł niemal wesołym tonem Potter. - O rozwoju wypadków będzie pana informować Pete Henderson.

- Chwileczkę...

Trzask przerwane połączenia.

- Henry, znajdź mi coś o Rolandzie Marksie. Zastępcy prokuratora stanowego. Spróbuj ustalić, czy może nam narobić kłopotów. Sprawdź, czy nie startuje w żadnych wyborach, czy nie szykuje się na jakieś stanowisko.

- Wygląda mi na łkającego nad krzywdą ludzką i uszczęśliwiającego wszystkich na siłę liberała - mruknął z niesmakiem Henry LeBow, który całe życie głosował na demokratów, nie wyłączając Eugene'a McCarthy'ego.

- No, dobrze - powiedział Potter, w jednej chwili zapominając o telefonie od prokuratora. - Trzeba znaleźć ochotnika z mocnym ramieniem. I jeszcze jedno. - Zapiął marynarkę i pokazał palcem drzwi. - Możemy wyjść na chwilę? - spytał Budda.

Na zewnątrz stanęli w cieniu furgonetki.

- Kapitanie - rzekł Potter. - Charlie, powiedz mi, co cię gryzie. O co chodzi? Że wszedłem na twoją działkę?

- Nie - padła chłodna odpowiedź. - Pan jest od federalnych, ja od stanowych. Zasada pierwszeństwa, konstytucja o tym mówi.

- Posłuchaj - powiedział stanowczo Potter. - Nie mamy czasu, żeby się cackać. Wyrzuć to z siebie. Albo nic nie mów i się dręcz, jak chcesz.

- Co mamy zrobić? Zerwać odznaki i zacząć się bić? - Budd zaśmiał się gorzko.

Potter nic nie odrzekł, tylko uniósł brwi.

- W porządku, powiem, co mnie gryzie. Pan jest podobno w tym dobry, ja nigdy nie prowadziłem negocjacji. Słyszę, jak pan wydaje rozkazy na prawo i lewo, jakby pan dokładnie wiedział, co robić, ale chyba zapomniał pan powiedzieć o jednej rzeczy.

- O czym?

- Prawie słowem nie wspomniał pan o tych dziewczynkach.

- A co z nimi?

- Myślę, że powinien pan wszystkim przypomnieć, że naszym najważniejszym celem jest uwolnienie żywych dziewczynek.

- Ach. - Potter rozglądał się po polu bitwy, myśląc o czymś innym. - Ale to wcale nie jest nasz najważniejszy cel, Charlie. Nasze reguły są naprawdę jasne. Jestem tu po to, żeby skłonić porywaczy do kapitulacji, a jeżeli nie zechcą się poddać, żeby pomóc grupie specjalnej nawiązać z nimi walkę i ich zneutralizować. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ocalić uprowadzone osoby. Dlatego właśnie ja, a nie HRT, reżyseruję to przedstawienie. Ale ci ludzie w rzeźni wyjadą z Crow Ridge tylko w plastikowych workach albo skuci kajdankami. Jeżeli oznacza to, że zakładniczki będą musiały zginąć, zginą. Znajdź mi teraz ochotnika - silnego, żeby dorzucił tam telefon. I daj mi ten megafon z łaski swojej.

Południe

Idąc przez płytki rów, który kończył się pod południową ścianą rzeźni, Arthur Potter powiedział do Henry'ego LeBowa:

- Będziemy potrzebować sprawozdań technicznych ze wszystkich przeróbek w budynku. I planów wszystkich systemów. Muszę wiedzieć, czy tu są jakieś tunele.

Wywiadowca skinął głową.



- Właśnie się robi. Sprawdzam też wszystkie dodatkowe instalacje.
- Tunele? - zapytał Budd.

Potter opowiedział mu o akcji terrorystów sprzed trzech lat, w posiadłości Vanderbilta w Newport w Rhode Island. Oddział HRT zupełnie zaskoczył porywaczy, wchodząc do piwnicy budynku przez tunel doprowadzający parę. Bogaty właściciel posiadłości kazał zainstalować piec daleko od domu, aby hałas i dym nie niepokoiły gości, nie wiedząc, że sto lat później jego postępowanie uratuje życie piętnastu turystów z Izraela.

Agent zauważył, że Dean Stillwell przegrupował policjantów i agentów, którzy zajęli niezłe stanowiska obronne wokół budynku. W połowie drogi do rzeźni Potter nagle przystanął i spojrzał w stronę połyskującej w oddali wody.

- Trzeba zatrzymać ruch na rzece - zwrócił się do Budda.

- Hm, to Arkansas.

- Już nam mówiłeś.

- Chcę powiedzieć, że to duża rzeka.

- Widzę.

- Po co zatrzymywać ruch? Sądziś, że mają wspólników na tratwach?

- Nie. - W milczeniu, jakie po chwili zapadło, Potter chciał sprowokować Budda do myślenia. Chciał, żeby kapitan wreszcie sam ruszył głową.

- Boisz się, że spróbują dopłynąć do jakiejś barki? Na pewno by się utopili. Tu są silne prądy.

- Ale mogliby chcieć spróbować. Chcę mieć po prostu pewność, że nawet nie przyjdzie im to do głowy. Podobnie jak z helikopterami.

- Dobrze, zrobię to - rzekł Budd. - Tylko do kogo mam zadzwonić? Do straży przybrzeżnej? Nie sądzę, żeby było coś takiego jak straż przybrzeżna rzek. - Był wyraźnie zdenerwowany. - Do kogo mam się zwrócić?

- Nie mam pojęcia, Charlie. Sam musisz się dowiedzieć.

Budd zadzwonił ze swojej komórki do biura i kazał swoim podwładnym sprawdzić, kto kieruje ruchem barek na rzece. Zakończył rozmowę krótko:

- Nie mam pojęcia. Sami musicie się dowiedzieć.

Agent Peter Henderson był w bazie operacyjnej na tyłach, organizując punkt medyczny i nadzorując współpracę z przybywającymi na miejsce policjantami i agentami, zwłaszcza agentami BATF i funkcjonariuszami federalnymi, jako że doszło do przemocy z użyciem broni i ucieczki z więzienia federalnego. W głowie Pottera wciąż brzmiały słowa wypowiedziane przez Hendersona na koniec ich rozmowy. Będzie miał jeszcze niejedno do powiedzenia. Nie martw się.

Powiedział do LeBowa:

- Henry, kiedy będziesz prześwietlał naszego przyjaciela z prokuratury, Rolanda Marksa, sprawdź też Hendersona.

- Naszego Hendersona?

- Aha. Nie chcę, żeby to kolidowało z pracą przy akcji, ale muszę wiedzieć, czy on też nie ma jakichś konkretnych planów.

- Jasne.

- Arthur - powiedział Budd. - Może powinniśmy tu sprowadzić matkę tego gościa, Handy'ego. Albo ojca, albo brata czy kogoś takiego.

LeBow pokręcił głową.

- Co? Powiedziałem coś głupiego? - zapytał Budd.

- Naoglądałeś się za dużo filmów, kapitanie. Ostatnią osobą, jakiej tu potrzeba, jest ksiądz albo członek rodziny.

- Jak to?

- W dziewięciu na dziesięć takich przypadków to rodzina jest najczęstszą przyczyną ich kłopotów - wyjaśnił Potter. - Nie znam też księdza, który by zrobił coś więcej poza rozdrażnieniem porywacza. - Z zadowoleniem zauważył, że Budd nie potraktował tego jak reprimendy, ale informację; zdawało się, że je zbiera i przechowuje gdzieś w zakamarkach pamięci.

- Agencji Potter. - Głos szeryfa Deana Stillwella przypłynął do nich z wiatrem. Stał obok nich, mierzwiąc swe gęste włosy. - Jeden z moich chłopaków rzuci ten telefon. Chodź tu, Stevie.

- Jak się nazywasz? - spytał Potter.

- Stephen Oates. Wystarczy Stevie.

Policjant był wysoki i chudy. Żuł tytoń. Świetnie by wyglądał w pasiastej bluzie na stanowisku miotacza na boisku baseballowym.

- Dobrze, Stevie. Nałóż tę kamizelkę i hełm. Powiem im, że podejdiesz. Podczołgasz się na to małe wyniesienie, widzisz? Obok tej starej zagrody. Nie wstając z ziemi, masz rzucić ten plecak w kierunku drzwi frontowych, najdalej jak potrafisz.

Tobe podał mu oliwkowy worek.

- A jeżeli plecak upadnie na tamte kamienie?

- Telefon wytrzyma, a torba ma w środku miękkie zabezpieczenie - rzekł Potter. - Poza tym jeśli rzeczywiście dorzucisz do kamieni, powinienes dać sobie spokój z policją i wstąpić do Royalsów. W porządku - powiedział głośno. - Panie, panowie, zaczynamy.

Chwycił megafon i poczołgał się na wierzchołek pagórka, skąd ostatnim razem próbował wołać do Handy'ego, sześćdziesiąt jardów od czarnych okien rzeźni. Położył się na brzuchu, wstrzymując oddech. Po chwili uniósł megafon do ust.

- Tu ponownie agent Potter. Dajemy wam telefon. Jeden z naszych ludzi rzuci go jak najbliższej budynku. To nie jest żadna sztuczka. Po prostu telefon komórkowy. Pozwolicie naszemu człowiekowi podejść?

Nic.

- Ludzie w budynku, słyszycie mnie? Chcemy z wami porozmawiać. Pozwolicie podejść naszemu człowiekowi?

Po chwili ciszy, która zdawała się trwać wiecznie, w jednym z okien załopotana żółta szmata. Prawdopodobnie była to odpowiedź pozytywna; odmowę wyraziłoby zapewne, posyłając w ich stronę kulę.

- Kiedy wyjdziecie po telefon, nie będziemy do was strzelać. Macie na to moje słowo.

Znów żółty sygnał.

Potter skinął głową Oatesowi.

- Ruszaj.

Policjant zaczął się wspinać skulony po trawiastej stromiźnie. Mimo to, jak zauważył Potter, stanowił łatwy cel dla strzelca ukrytego w budynku. Hełm był z kevlaru, ale przezroczysta przyłbica nie.

Nie odezwała się żadna z osiemdziesięciu osób otaczających stara rzeźnię. Jedynie wiatr szumiał, a gdzieś w oddali rozbrzmiał klakson ciężarówki. Od czasu do czasu z pół dolatywało sapanie silników wielkich deerów i masseyów. Odgłos ten był przyjemny, lecz jednocześnie niepokojący. Oates wdrapywał się na szczyt. Gdy już tam dotarł, przywarł płasko do ziemi, spojrział najpierw w górę, potem w dół. Do niedawna telefony rzucające porywaczom były duże i połączone z telefonem negocjatora zwykłym przewodem. Nawet najsilniejszy funkcjonariusz mógł go rzucić nie dalej niż trzydzieści stóp, często płacząc przy tym kable. Technologia komórkowa usprawniła negocjacje z porywaczami zakładników.

Oates jak wytrawny kaskader przeturlał się zza jednej kępy traw za drugą. Zatrzymał się w niskiej bawolej trawie, przetykanej drobnymi żółtymi kwiatami. Po chwili ruszył dalej.

Dobra, pomyślał Potter. Rzucaj.

Lecz policjant nie rzucał.

Oates jeszcze raz spojrział na rzeźnię, po czym pokonał wzniesienie, minął gnijące ogrodzenia i czołgał się dalej, jeszcze dobre dwadzieścia jardów. Z takiej odległości nawet kiepski strzelec mógłby trafić w dowolnie wybraną część jego ciała.

- Co on wyprawia? - szepnął zirytowany Potter.

- Nie wiem - odrzekł Stillwell. - Chyba dobrze mu wytłumaczyłem, co ma zrobić. Wiem, że bardzo się boi o dziewczynki i chce zrobić wszystko jak najlepiej.

- Jeżeli da się zastrzelić, to nie będzie najlepsze.

Oates dalej posuwał się w kierunku rzeźni.

Nie zgrywaj bohatera, Stevie, pomyślał Potter. Obawiał się nie tylko tego, że mogą go zastrzelić czy zranić. W przeciwieństwie do funkcjonariuszy oddziałów specjalnych i wywiadowców zwykłych gliniarzy nie uczy się technik obrony podczas przesłuchania. W rękach kogoś takiego jak Lou Handy, uzbrojonego

choćby w nóż czy agrafkę, Oates w dwie minuty wyśpiewa wszystko, co wie, wskazując lokalizację stanowisk każdego policjanta, zdradzając rodzaj broni i fakt, że HRT zjawi się na miejscu dopiero za kilka godzin - powie wszystko, co Handy zapraśnie wiedzieć.

Rzucaj ten cholerny telefon!

Oates dotarł do drugiego wzniesienia i szybko spojrzął na drzwi rzeźni, po czym zrobił unik. Kiedy nie padł żaden strzał, zmrużył oczy, cofnął się i cisnął telefon szerokim łukiem. Plecak minął kamienie, których tak się obawiał Oates, i wylądował trzydzieści stóp od łukowatego wejścia do przetwórnicy Webbera & Stoltza.

- Doskonale - mruknął Budd, klepiąc Stillwella po plecach. Szeryf odwzajemnił się powściągliwym, choć niepozobawionym dumy uśmiechem.

- Może to dobry znak - zauważył LeBow.

Nie chcąc odwracać się tyłem do ciemnych okien, Oates wycofał się w trawę rakiem i zniknął.

- Zaraz zobaczymy, który się odważy - powiedział Potter.

- To znaczy? - zapytał Budd.

- Chcę wiedzieć, kto z tej trójki jest najodważniejszy i najbardziej impulsywny.

- Może będą losować.

- Nie. Moim zdaniem dwaj nie wyjdą za żadne skarby, a trzeci nie będzie mógł wytrzymać. Chcę zobaczyć kim jest ten trzeci. Dlatego nie prosiłem bezpośrednio Handy'ego.

- Założę się jednak, że to będzie on - rzekł Budd.

Okazało się inaczej. Otworzyły się drzwi i wyszedł Shepard Wilcox.

Potter przyglądał mu się przez lornetkę.

Szedł swobodnym krokiem. Rozglądał się. Wolno zbliżył się do telefonu.

Zza pasa wystawała kolba pistoletu.

- Wygląda na glocka - odezwał się Potter, mając na myśli broń.

LeBow zapisywał skrętnie te informacje w notesie, by potem przenieść je do swego elektronicznego archiwum.

- Zdaje mu się, że jest kowbojem - powiedział.

- Wygląda na pewnego siebie - rzekł Budd. - Ale przypuszczam, że ma w ręku wszystkie karty.

- Nie ma żadnej karty - odparł cicho negocjator. - Ale i w jednym, i drugim wypadku człowiek jest bardzo pewny siebie.

Wilcox zaciepił rękę o pasek plecaka, spoglądając na rząd radiowozów. Uśmiechał się.

Budd roześmiał się.

- Wygląda jak...

Na polu rozległ się huk wystrzału. Kula z cichym pacnięciem wryła się w ziemię dziesięć stóp od Wilcoxa. Bandyta w ułamku sekundy chwycił pistolet i strzelił w kierunku drzew, skąd padł strzał.

- Nie! - krzyknął Potter. Skoczył na równe nogi i pognał w pole. Przez megafon wrzeszczał do ukrytych za radiowozami gliniarzy, którzy wyciągnęli pistolety albo trzymali w pogotowiu karabiny: - Wstrzymać ogień! - Jak oszalały machał rękami. Wilcox strzelił do Pottera dwa razy. Pierwszy pocisk zniknął w zaciągniętym chmurami niebie. Drugi roztrzaskał kamień jard od stopy Pottera.

Stillwell krzyczał do swojego laryngofonu:

- Nie odpowiadać ogniem! Do dowódców wszystkich oddziałów, nie odpowiadać ogniem!

Ale odpowiedziano ogniem.

Mimo że ziemia wokół niego pryskała od kul, Wilcox rzucił się na ziemię, starannie wycelował i strzelił trzy razy, rozbijając przednie szyby w trzech samochodach, a potem przeładował. Nawet w takiej opresji był niezłym strzelcem. Z okna rzeźni dobiegł terkot półautomatycznej śrutówki; powietrze przeszył świst pocisków.

Potter wciąż stał, wymachując rękami.

- Przerwać ogień!

Nagle wszystko ucichło. Na chwilę umilkł nawet wiatr i zapanowała zupełna cisza. W szare popołudnie wdarł się głuchy krzyk ptaka; był przejmujący. W powietrzu unosiła się słodka woń prochu i piorunianu rtęci ze spłonek.

Wilcox złapał plecak z telefonem i wycofał się w stronę rzeźni.

Potter zawołał do Stillwella:

- Dowiedz się, kto strzelał. Tego, kto strzelił pierwszy - wszystko jedno, kto to jest - przyślij do furgonetki. Tych, co otworzyli ogień, usuń z pola i niech każdy się dowie, za co zostali zwolnieni.

- Tak jest. - Szeryf skinął głową i oddalił się pospiesznie.

Ciągle stojąc, Potter skierował lornetkę na budynek rzeźni w nadziei, że zobaczy wewnątrz w chwili wejścia Wilcoxa. Lustrując parter, dostrzegł młodą kobietę, która wyglądała przez okno znajdujące się na prawo od drzwi. Była dwudziestokilkuletnią blondynką. Patrzyła prosto na niego. Coś odciągnęło jej uwagę i na moment się odwróciła, by popatrzeć w głąb rzeźni, po czym wróciła spojrzeniem na zewnątrz, w oczach miała przerażenie. Jej usta zaczęły się poruszać w dziwny sposób - otwierały się bardzo szeroko. Kobieta coś do niego mówiła. Potter obserwował jej usta, lecz nie potrafił zrozumieć wiadomości.

Odwrócił się i podał lornetkę LeBowowi.

- Henry, szybko. Kto to? Wiesz?

LeBow wstukiwał wcześniej do swojego komputera informacje o zakładniczkach. Zanim zdążył spojrzeć na okno, kobieta zniknęła. Potter opisał ją.

- Najstarsza uczennica ma siedemnaście lat. To pewnie jedna z dwóch nauczycielek. Chyba młodsza. Melanie Charrol. Ma dwadzieścia pięć lat. Jak dotąd nie otrzymaliśmy innych informacji na jej temat.

Wilcox wszedł do rzeźni. Potter wytężył wzrok, ale nie zobaczył nic poza ciemnością. Drzwi się zatrzasnęły. Potter znów zaczął obserwować okna. Miał nadzieję, że kobieta ponownie się pojawi. Nic jednak nie zobaczył. Próbował powtórzyć ruch jej ust. Najpierw wargi rozciągnęły się lekko, potem przymknęły; później rozchyliła usta i zamknęła, ale inaczej, jak do pocałunku.

- Powinniśmy zadzwonić. - LeBow dotknął ramienia Pottera.

Potter skinął głową i w milczeniu skierowali się do samochodu. Budd szedł za nimi, patrząc z wściekłością na jednego z policjantów, którzy otworzyli ogień do Wilcoxa. Stillwell właśnie dawał mu szkołę.

Szeroko rozchylone usta, potem zaokrąglone. Co próbowałaś powiedzieć?

- Henry - powiedział Potter. - Zanotuj: „Pierwszy kontakt z zakładniczką”.

- Kontakt?

- Z Melanie Charrol.

- Jaka wiadomość?

- Jeszcze nie wiem. Widziałem, jak poruszała ustami.

- No...

- Zapisz. „Wiadomość nieznana”.

- Dobra.

- I dodaj: „Zakładniczka zniknęła z pola widzenia, zanim szef sztabu akcji zdążył zareagować”.

- Może być - odparł skrupulatny LeBow.

W samochodzie Derek zapytał ich, co się stało, ale Potter nie zwrócił na niego uwagi. Wziął od Tobe'ego Gellera telefon i położył na biurku przed sobą, trzymając go oburącz.

Wyjrzał przez grubą szybę na pole gdzie ustało poruszenie, jakie zaczęło się po strzelaniu. Z przodu panował spokój; Dean Stillwell zdjął ze stanowisk trzech funkcjonariuszy, którzy złamali zakaz strzelania, a pozostali policjanci i agenci czekali z obawą i radością na bitwę - z radością, bo na każdego z napastników przypadało ich trzydziestu, bo stali za szczelną zasłoną solidnych aut, a ich ciała ochraniały kamizelki Owensa-Corninga, mieli u boku ciężką broń, w przytulnych domach czekały na nich żony, piwo i ciepłe zapiekanki.

Popołudnie było chłodne i wietrzne, nieco listopadowe, mimo że była dopiero połowa lata.

Zaraz się miało zacząć.

Odwróciwszy się od okna, wcisnął przycisk szybkiego wybierania numeru. Tobe włączył nagrywanie. Gdy nacisnął inny guzik, w głośniku nad ich głowami rozległ się sygnał.

Sygnał zabrzmiał pięć razy, dziesięć, dwadzieścia.

Potter poczuł, że głowa LeBowa odwraca się w jego stronę.

Tobe trzymał kciuki.

Po chwili: trzask.

- Mamy połączenie - szepnął Tobe.

- Tak? - odezwał się głośnik.

Potter głęboko nabrał powietrza.

- Lou Handy?

- Tak.

- Tu Arthur Potter. Jestem z FBI. Możemy porozmawiać?

- Lou, ten strzał padł przez pomyłkę.

- Teraz to pomyłka?

Potter słuchał uważnie, wychwycił w jego głosie lekki akcent z gór, z Wirginii Zachodniej. Słyszał pewność siebie, szyderstwo, znużenie. Kombinacja tych trzech elementów przejęła go lekkiem.

- Mamy człowieka na drzewie. Pomylił się. Jego broń wystrzeliła przez przypadek. Przywołamy go do porządku.

- Zastrzelicie go?

- To naprawdę był wypadek.

- Wypadki bywają zabawne. - Handy zachichotał. - Kilka lat temu byłem w Leavenworth i w pralni jeden gnojek zakrztusił się na śmierć kilkoma skarpetkami. To musiał być wypadek. Przecież nie żuł skarpetek celowo. Kto by robił coś takiego?

Opanowany, zimna krew, pomyślał Potter.

- Może chodzi o podobny wypadek.

- To zwyczajny wypadek, co poświadczam jako urzędnik federalny, Lou.

- Nieważne. Zastrzelę jedną z nich. Ene due rabe...

- Posłuchaj mnie, Lou...

Brak odpowiedzi.

- Mogę mówić do ciebie Lou?

- Otoczyliście nas, nie? Posadziłeś na drzewach tych gnojków z bronią, chociaż nie potrafia nawet utrzymać się na gałęzi. Chyba możesz do mnie mówić, jak ci się podoba.

- Posłuchaj mnie, Lou. Sytuacja jest naprawdę ciężka.

- Nie dla mnie. Dla mnie w ogóle nie jest ciężka. Mam tu śliczną blondyneczkę. Tyle że bez cycków. I ją sobie wybiorę.

Bawi się z nami. Blefuje na osiemdziesiąt procent.

- Lou, Wilcox był zupełnie odsłonięty. Nasz człowiek był oddalony nie więcej niż osiemdziesiąt jardów, miał M-16 z celownikiem optycznym. Nasi snajperzy potrafia sprzątnąć człowieka z tysiąca jardów.

- Ale dzisiaj mocno wieje. Może nie wziął poprawki na wiatr.

- Gdybyśmy chcieli zabić twojego człowieka, już by nie żył.

- Jeszcze raz ci mówię, to nieważne. Wypadek czy nie - warknął - muszę nauczyć twoich ludzi manier.

Blefował, ale już na sześćdziesiąt procent.

Spokojnie, powiedział sobie Potter. Kątem oka dostrzegł, że młody Derek Elb wyciera dłonie w spodnie i wkłada do ust kawałek gumy do żucia. Budd spacerował nerwowo, spoglądając przez okno.

- Uznajmy to za niefortunny wypadek, Lou, i zacznijmy rozmawiać o tym, o czym powinniśmy.

- Rozmawiać? - Wydawał się szczerze zaskoczony. - O czym mamy rozmawiać?

- O wielu rzeczach - rzekł niemal lekkim tonem Potter. - Po pierwsze, czy wszyscy dobrze się czują? Nie macie żadnych rannych?

Instykt kazał mu zapytać zwłaszcza o dziewczynki, ale negocjatorzy starają się unikać rozmów o zakładnikach. Porywacz musi myśleć, że jeńcy nie są wartościową kartą przetargową.

- Shep jest trochę wytracony z równowagi, ale poza tym wszyscy czują się doskonale. Zadzwoń zapytać za pięć minut. Jedna osoba może się poczuć trochę gorzej.

Potter znów zadał sobie pytanie: co ona mówiła? Przypomniał sobie twarz Melanie. Usta rozchylone, potem zaokrąglone...

- Potrzeba wam jakichś środków medycznych?

- Tak.

- Czego?

- Helikoptera do ewakuacji.

- To dość wygórowane życzenie, Lou. Miałem na myśli bandażę, morfinę, coś z tych rzeczy. Środki dezynfekcyjne.

- Morfina? Chyba nie po to, żeby nas przymulić, co? Chociaż pewnie byś tak chciał.

- Nie dostalibyście aż tyle, żeby odjechać, Lou. Trzeba wam czegoś?

- Tak, trzeba nam kogoś zastrzelić. Blondyneczkę. Wsadzić jej kulkę między cycki, których w ogóle nie ma.

- Przecież nikomu nic z tego nie przyjdzie, prawda?

Lubi mówić, myślał Potter. Jest niezrównoważony, ale lubi mówić. Czasami trudno przełamać milczenie. Małomówni są najbardziej niebezpieczni. Agent przygotował się do długiego, uważnego słuchania. Musiał przeniknąć myśli Handy'ego. Przejąc jego sposób mówienia, odgadywać, co zaraz powie, jakich użyje słów. Potter był gotów ciągnąć tę grę całą noc, by zanim będzie już po wszystkim, część jego osobowości stała się Louisem Jeremiahem Handym.

- Jak się nazywasz, bo zapomniałem - odezwał się Handy.

- Arthur Potter.

- Mówią ci Art?

- Raczej Arthur.

- Masz jakieś informacje o mnie?

- Trochę. Niewiele.

Podczas ucieczki zabiłem strażnika, pomyślał odruchowo Potter.

- Jak uciekaliśmy, zabiłem strażnika. Wiedziałeś o tym?

- Tak.

I dziewczyna bez cycków to dla mnie przyszcz, pomyślał Potter.

- I mogę zabić blondyneczkę, nie mrugnawszy okiem.

Potter wcisnął guzik wyciszenia głosu, dzięki któremu Handy nie mógł go słyszeć.

- O której dziewczynie on mówi? - spytał LeBowa. - Blondynka, dwanaście lat albo mniej.

- Jeszcze nie wiem - odparł wywiadowca. - Nie da się zajrzeć do środka i mamy za mało informacji.

- Dlaczego w ogóle chcesz komuś robić krzywdę, Lou? - powiedział do słuchawki Potter.

Zmieni temat, pomyślał.

Lecz Handy odparł:

- A czemu nie?

Potter znał teorię i doskonale wiedział, że powinien z nim mówić o błażych i zabawnych rzeczach, przeciągając rozmowę i zjednując go. Jedzenie, sport, pogoda, warunki w rzeźni, napoje. Zasada numer jeden brzmi: nigdy nie rozmawiaj z porywaczem o samym zajściu. Jednak Handy groził śmiercią jednej z zakładniczek i Potter ocenił, że prawdopodobieństwo blefu z jego strony zmalało do trzydziestu procent; nie mógł więc sobie pozwolić na gawędzenie z nim o hamburgerach i futbolu.

- Lou, wydaje mi się, że wcale nie chcesz nikogo zabijać.

- Jak to sobie wykombinowałeś?

Potter parsknął wymuszonym śmiechem.

- Jeżeli zaczniesz zabijać zakładniczki, będę musiał dojść do wniosku, że masz zamiar wszystkie powystrelać. Wtedy wyślę oddział specjalny, który was stamtąd wyciągnie.

Handy zaśmiał się cicho.

- Gdybyś miał ten oddział.

Potter i LeBow spojrzeli po sobie z zaniepokojeniem.

- Mam go - powiedział Potter. Ruchem głowy wskazał arkusz i część z nagłówkiem „Blef”. LeBow zanotował: „Handy poinformowany o nieobecności HRT”.

- Prosisz mnie, żebym się wstrzymał z zabijaniem dziewczyny?

- Proszę, żebyś nikogo nie zabijał.

- Sam nie wiem. Mam zabijać czy nie? Wiesz, jak to czasem jest, sam nie wiesz, czego właściwie chcesz. Pizzę czy hamburgera. Nie możesz się, kurwa, zdecydować.

Potter poczuł, że serce na moment przestaje mu bić; zdawało mu się, że Handy mówi szczerze: naprawdę nie umie się zdecydować. Jeżeli oszczędzi dziewczynkę, to nie dzięki rozsądnym argumentom Pottera, ale przez własny kaprys.

- Coś ci powiem, Lou. Przepraszę cię za tamten strzał. Dam ci słowo, że to się więcej nie powtórzy, a ty nie zastrzelisz dziewczyny. Co ty na to?

Spryciarz, cały czas myśli, kalkuluje. Potter nie potrafił znaleźć u niego żadnej cechy psychopaty. Napisał na kartce: „IQ?” i podsunął ją LeBowowi. „Nie mam”.

Handy nucił jakąś melodię. Potter słyszał tę piosenkę dawno temu, ale nie potrafił sobie przypomnieć gdzie i kiedy. Potem rozległ się wzmożony głośnikiem głos Handy’ego:

- Może jeszcze zaczekam.

Potter odetchnął. LeBow pokazał mu wzniesiony kciuk, a Budd uśmiechnął się.

- Cieszę się, Lou. Naprawdę. Jak stoicie z jedzeniem?

Mówisz serio? - uprzedził Potter.

- A ty co, najpierw jesteś gliniarz, potem zgrywasz się na pielęgniarkę, a teraz zacząłeś robić w aprowizacji?

- Po prostu chcę, żeby wszyscy w miarę dobrze się czuli. Dostaniecie kanapki i coś do picia, może być?

- Nie jesteśmy głodni.

- Noc może być długa.

Teraz albo milczenie, albo: To wcale nie potrwa tak długo.

- Nie sądzę, żeby to miało tak długo trwać. Słuchaj, Art, możesz mi wciskać gadkę o jedzeniu, lekach i innym gównie. Chcemy jednak czegoś innego i lepiej będzie, jak dostaniemy wszystko, bez takiego zawracania dupy, bo inaczej zaczynam zabijać, jedną po drugiej.

- Dobrze, Lou. Powiedz, czego chcecie.

- Najpierw z nimi pogadam. Potem wrócę do ciebie.

- Kim są ci „oni”, Lou?

- Szlag by cię trafił, Art, przecież wiesz. Shep i moi dwaj bracia.

LeBow stuknął Pottera w ramię i pokazał na ekran monitora, gdzie wyświetlił się tekst:

Handy jest jednym z trójki braci. Robert, 27 lat, ścigany listem gończym. Ostatnie miejsce zamieszkania, Seattle; podejrzany o poważną kradzież, nie stawił się na procesie, uciekł ze stanu. Najstarszy brat, Rudy, gdy zginał pięć lat temu, miał 40 lat. Sześć strzałów w tył głowy, sprawca nieznany. Podejrzany był Handy; nigdy nie postawiono mu zarzutu.

Potter zamyślił się nad genealogią Handy’ego. Jak wyglądała, od kogo się wywodził?

- Twoi bracia, Lou? - zapytał. - Naprawdę? Są tam razem z tobą?

Milczenie.

- I czterej kuzyni Shepa.

- No to macie tam spory tłok. Ktoś jeszcze?

- Doktor Holliday, Bonnie i Clyde, Ted Bundy, od cholery bandytów z Mortal Kombat i Luke Skywalker. I głodny duch Jeffreya Dahmera.

- Chyba lepiej będzie, jak się poddamy, Lou.

Handy znów wybuchnął śmiechem. Potter był zadowolony z tej wątkowej nici porozumienia. Poza tym cieszył się, że udało mu się powiedzieć magiczne słowo „poddać się”. Teraz Handy będzie musiał wziąć je pod rozwagę.

- Mój siostrzeniec zbiera komiksy - powiedział agent. - Na pewno ucieszy się z autografu. Pewnie nie ma tam Spidermana, co?

- Może by się znalazł.

Odezwał się faks i po chwili wypluł kilka kartek. LeBow przerzucił je szybko, zatrzymał wzrok na jednej i nagryzmolił u góry „ZAKŁADNICZKI”. Pokazał nazwisko dziewczynki i kilka linijek odręcznego pisma obok. Były to wstępne informacje od Angie Scapello.

Negocjacje z porywaczami zakładników to ciągły proces badania granic. Potter przeczytał faks i jeden szczegół przykuł jego uwagę.

- Lou, chciałbym cię o coś zapytać - rzucił od niechcenia. - Jedna z dziewczynek jest poważnie chora. Zgodziłbyś się ją uwolnić?

Zadziwiające, jak wiele mogą działać tak bezpośrednie prośby. Wystarczy zadać pytanie i zamilknąć.

- Naprawdę? - Handy wydawał się zaciekawiony. - Chora? Co jej jest?

- Ma astmę. - Może żarty na temat komiksowych bohaterów wywarły jakiś wpływ na Handy'ego.

- Która to?

- Czternaście lat, krótkie blond włosy.

Kiedy Handy przyglądał się zakładniczkom, Potter nasłuchiwał odgłosów w tle - odległych i głuchych.

- Jeżeli nie dostanie lekarstwa, może umrzeć - powiedział Potter. - Wypuść ją, zrób to dla mnie, a gdy przystąpimy do poważnych negocjacji, nie zapomnę tego gestu. Wiesz co, jeżeli ją wypuścisz, włączymy wam prąd. Będziecie mieli trochę światła.

- Włączysz zasilanie? - zapytał Handy tak nagle, że Potter drgnął zaskoczony.

- Sprawdziliśmy to. Budynek jest stary. Instalacja nie jest przystosowana do naszego prądu. - Potter wskazał rubrykę „Blef” i LeBow zrobił odpowiednią notatkę. - Ale przeprowadzimy kabel i będziecie mieli światło.

- Zrób to, wtedy pogadamy.

Handy zaczynał mieć nieznaczną przewagę. Czas postawić twarde warunki.

- Dobra, coś za coś. Posłuchaj, Lou, muszę cię ostrzec. Nie próbuj wydostać się z budynku. Snajperzy mają was na celowniku. W środku jesteście bezpieczni.

Potter spodziewał się, że Handy dostanie małego ataku złości. Zacznie kłać i rzucać wyzwiskami.

- Zawsze jestem bezpieczny - szepnął do telefonu Handy. - Kule przenikają mnie na wylot, nie robiąc mi krzywdy. Zażywam silne lekarstwo. Kiedy będę miał światło?

- Za dziesięć, piętnaście minut. Oddaj nam Beverly, Lou. Jeśli to zrobisz...

Trzask.

- Cholera - mruknął Potter.

- Za dużo gorliwości - powiedział LeBow, a Potter skinął głową. Popełnił klasyczny błąd, negocjując przeciw sobie. Zawsze czekaj, żeby druga strona sama o coś poprosiła. Kiedy wyczuł wahanie Handy'ego, zaczął naciskać, co zrozumiałe, podwyższając stawkę. Ale odstraszył kupca. Jednak w pewnym momencie musiałyby to zrobić. Napastników można naciskać do pewnego momentu i do pewnego stopnia przekupić. Połowa sukcesu zależała od wyczucia, kiedy co należało zrobić.

Potter wezwał Stillwella i poinformował go, że ostrzegł porywaczy, by nie opuszczali rzeźni.

- Gdyby wyszli, masz zielone światło, pamiętaj.

- Tak jest - odparł Stillwell.

- Kiedy ma przyjechać ten samochód z generatorem? - zapytał Budda

Potter.

- Za dziesięć minut. - Kapitan patrzył przez okno posępnym wzrokiem.

- O co chodzi, Charlie?

- O nic. Myślę sobie tylko, jak to dobrze, że wybiłeś mu z głowy strzelanie do dziewczynki.

Potter miał wrażenie, że myśli Budda zaprzęta coś więcej. Powiedział jednak tylko:



- Właściwie to sam Handy postanowił nie strzelać. Nie miałem w tym żadnego udziału. Kłopot w tym, że na razie nie wiem, dlaczego tak postanowił. Potter odczekał pięć minut, a potem wcisnął guzik szybkiego wybierania numeru.

Dzwonków było chyba z tysiąc.

- Mógłbyś to trochę ściszyć, Tobe? - Potter wskazał umieszczony wysoko głośnik.

- Jasne... jest połączenie.

- Tak? - szczechnął w głośniku Handy.

- Lou, za jakieś dziesięć minut będziecie mieli linię zasilania.

Cisza.

- Co z tą dziewczynką, z Beverly?

- Nie dostaniesz jej - odrzekł szorstko, jak gdyby zdziwiony, że Potter jeszcze się tego nie domyślił.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Sam powiedziałaś, że jeśli będzie prąd...

- Powiedziałem, że się zastanowię. Zastanowiłem się i nie dostaniecie jej.

Nigdy nie daj się wciągnąć w drobne sprzeczki.

- A zastanawiałeś się z kumplami nad tym, czego chcecie?

- Powiem ci potem, Art.

- Miałem nadzieję...

Trzask.

- Koniec połączenia - oznajmił Tobe.

Stillwell wprowadził do samochodu policjanta, niskiego i smagłego człowieka. Mężczyzna, zabezpieczywszy broń, oparł nieszczęsny karabin o ścianę i zbliżył się do Pottera.

- Przykro mi. Siedziałem na gałęzi i nagle ten podmuch wiatru...

- Dostaliście rozkaz, by rozładować broń - warknął Potter.

Gliniarz drgnął, zmieszany rozglądając się po wnętrzu furgonetki.

- No - powiedział Stillwell, wyglądający trochę zabawnie w kamizelce kuloodpornej nałożonej pod marynarkę. - Powiedz agentowi Potterowi to, co mnie powiedziałaś.

Policjant utkwiał w nim lodowate spojrzenie, oburzony nowym układem dowodzenia. Zwrócił się do Pottera:

- Nie dostałem tego rozkazu. Miałem załadowaną broń od początku. Taką mamy procedurę.

Stillwell skrzywił się, ale rzekł:

- Biorę za to odpowiedzialność, panie Potter.

- Rany... - Charlie Budd wystąpił naprzód. - Agencje Potter - zwrócił się do niego oficjalnie. - To moja wina. Wyłącznie moja.

Potter spojrział na niego pytająco.

- Nie poleciłem snajperom, żeby rozładowali broń. Zgodnie z rozkazem powinienem to zrobić. Doszedłem jednak do wniosku, że nie mogę mieć na polu bezbronnych ludzi. To moja wina. Ani tego funkcjonariusza, ani Deana.

- Zejdiesz ze stanowiska i przejdiesz do bazy na tyłach. Idź się zameldować agentowi Hendersonowi - po krótkim namyśle odezwał się do policjanta Potter.

- Ale to nie moja wina. To był wypadek.

- W moich akcjach nie ma wypadków - rzekł zimno Potter.

- Ale...

- To wszystko - przerwał Dean Stillwell. - Usłyszałeś rozkaz.

Odmaszerować.

Policjant chwycił broń i wyskoczył z samochodu.

- Przykro mi - rzekł Budd. - Zrobię to samo. Dean powinien być tu asystentem, nie ja.

Potter odciągnął kapitana na bok i szepnął do niego:

- Potrzebuję twojej pomocy, Charlie. Podjąłeś jednak samodzielną decyzję, kierując się własnym przekonaniem. Nie tego od ciebie oczekuję, rozumiesz?

- Tak jest.  
- Dalej chcesz być w sztabie?  
Budd wolno pokiwał głową.  
- Dobra, idź do ludzi i rozkaż im rozładować broń.  
- Agencie...  
- Arthur.  
- Muszę iść do domu, spojrzeć w oczy mojej żony i powiedzieć jej, że nie posłuchałem rozkazu agenta FBI.  
- Długo jesteś żonaty?  
- Trzynaście lat.  
- Poznaliście się na początku szkoły średniej?  
Budd uśmiechnął się ze smutkiem.  
- Jak ma na imię?  
- Meg. Margaret.  
- Macie dzieci?  
- Dwie dziewczynki. - Budd nadal miał nietęgą minę.  
- Idź już. Zrób, o co proszę. - Potter utkwił w nim spojrzenie.  
Kapitan westchnął.  
- Tak jest. To się już nie powtórzy.  
- Nie podnoś głowy. - Potter uśmiechnął się. - I tym razem nikogo nie wyznaczaj do zadania.  
- Tak jest. Sam wszystkich sprawdzę.  
Stillwell przyglądał się ze współczuciem Buddowi, który jak niepyszny wyszedł z furgonetki.  
Tobe układał stos kaset magnetofonowych. Wszystkie rozmowy z porywaczami miały być nagrywane. Magnetofon miał wbudowany dwusekundowy opóźniacz, a elektroniczny głos co minutę podawał czas, nie blokując przy tym rozmowy. Geller spojrział na Pottera.  
- Kto to powiedział: „Poznałem wroga - to my”. Napoleon? Eisenhower?  
- Chyba Pogo - odparł Potter.  
- Kto?  
- Postać z komiksu - powiedział LeBow. - Z dawnych czasów. Nie możesz pamiętać.

12.33

W pomieszczeniu robiło się coraz ciemniej.  
Było dopiero wczesne popołudnie, ale niebo zaciągnęło się sinymi chmurami, a małe okna w rzeźni nie wpuszczały do środka zbyt wiele światła. Muszę mieć ten prąd i to już, myślał Lou Handy, patrząc w gęstniejący półmrok.  
Z ciemnego sufitu kapała woda, kołysały się ciężkie łańcuchy. Wszędzie haki i górne przenośniki. Zardzewiałe maszyny wyglądały jak części samochodów, którymi bawił się olbrzym, lecz w pewnym momencie znużył się i cisnął nimi o podłogę.  
Olbrzym, Handy zaśmiał się w duchu. Co ja, do cholery, pieprzę?  
Spacerował po parterze rzeźni. Co za dzikie miejsce. Jak to jest, zarabiać kasę na rozwalaniu zwierząt? Handy pracował w wielu miejscach. Zwykle odwalał ciężką robotę. Nikt nie pozwalał mu obsługiwać żadnych skomplikowanych maszyn, dzięki którym mógłby zarobić dwa albo trzy razy więcej. Każdą robotę tracił po miesiącu albo dwóch. Kłótnie z brygadzystami, skargi, bójkki, chłanie w szatniach. Nie miał cierpliwości ani ochoty przebywać z ludźmi, którzy nie rozumieli, że nie jest taki jak oni. Że jest wyjątkowy. Żaden kutas się nie pokapował.  
Podłoga była z twardego jak beton drewna. Pięknie spojony dąb. Handy nie był rzemieślnikiem jak Rudy, ale umiał docenić dobrą robotę. Jego brat żył z kładzenia podłóg. Nagle Handy poczuł, jak ogarnia go złość na tego gnoja, Pottera. Z jakiegoś powodu agent przypomniał mu Rudy'ego. Rozwścieczył tym Handy'ego, który zaprzagnął mu odpłacić.

Poszedł do pomieszczenia, gdzie umieścił zakładniczki. Było półokragłe, wyłożone kafelkami, bez okien. Odpływ na krew. Pomyślał, że gdyby ktoś tutaj strzelił, wszystkim obecnym popękałyby bębenki.

Tym sikorkom i tak wszystko jedno, pomyślał. Przyjrzał się im po kolei. Dziwne, ale większość z tych dziewczyn była ładna. Zwłaszcza najstarsza, ta z ciemnymi włosami. Ta, która patrzyła na niego tak, jakby chciała powiedzieć: „Odpieprz się”. Ciekawe, ile ma lat: siedemnaście, osiemnaście? Uśmiechnął się. Odwróciła oczy. Handy popatrzył na pozostałe. No, ładne. Dziwiło go to jak cholera. Przecież wszystkie są kalekami i człowiek by się spodziewał, że dostrzeże na ich twarzach jakąś tępotę, jak u niedorozwiniętych dzieciaków - nawet gdyby były ładne, zawsze coś będzie nie tak, jak powinno. Ale nie, wyglądały całkiem normalnie. Kurwa, żeby tylko tak nie płakały. Wydają takie okropne dźwięki... Są przecież głuche - nie powinny tak skrzeczeć!

Nagle Handy'emu stanął przed oczyma jego brat.

W miejscu, gdzie czaszka Rudy'ego łączyła się z kręgosłupem, pojawiła się czerwona kropka. Potem coraz więcej, mały pistolet za każdym razem podskakiwał mu w ręce. Ciałem brata wstrząsnęło, potem Rudy zeszytniał i po krótkim upiornym tańcu znieruchomiał.

Handy doszedł do wniosku, że nienawidzi Arta Pottera bardziej, niż przypuszczał.

Poczłapał z powrotem do Wilcoxa i Bonnera, wyciągnął z płóciennego worka pilota i zaczął skakać po kanałach przENOŚnego telewizorka na baterie, który stał na beczce olejowej. Mówili o nich we wszystkich lokalnych programach i jednej ogólnokrajowej sieci. Jeden prezenter powiedział, że Lou Handy ma swoje pięć minut czy coś w tym stylu. Gliny kazały reporterom trzymać się tak daleko od nich, że na ekranie nie było widać nic znajomego, żadnego punktu zaczepienia. Przypomniał sobie sprawę O. J. Simpsona. W telewizji pokazywali białego mustanga, który jechał autostradą, a potem zaparkował pod jego domem. Śmigłowce krążyły tak blisko, że widać było twarz kierowcy i gliniarza czekającego na podjeździe. Wszyscy biali w świetlicy więziennej myśleli sobie: rozpierdoli ci łeb, czarnuchu. Wszyscy czarni myśleli: naprzód, O. J.! Jesteśmy z tobą, bracie!

Handy ściszył telewizor. Pojebane miejsce, pomyślał, rozglądając się po rzeźni. Czuł zapach gnijącego ścierwa.

Drgnął, bo usłyszał czyjś głos:

- Wypuść je i zatrzymaj mnie.

Poszedł do pomieszczenia w kafelkach. Kucnął i spojrzał na kobietę.

- Kim jesteś?

- Ich nauczycielką.

- To umiesz migać rękami tak jak one, nie?

- Umieję. - Patrzyła twardo na Handy'ego.

- Pojebany język - powiedział Handy.

- Wypuść je, proszę. Mnie możesz zatrzymać.

- Zamknij się - uciał i odszedł.

Wyjrzał przez okno. Na szczycie wzniesienia stała wysoka policyjna furgonetka. Mógłby się założyć, że właśnie tam siedzi Art Potter. Handy wyciągnął z kieszeni pistolet i wycelował do żółtego kwadratu na boku samochodu. Wziął poprawkę na odległość i wiatr. Opuścił broń.

- Mogli cię stuknąć, gdyby chcieli! - zawołał do Wilcoxa. - Tak mi powiedział.

Wilcox też patrzył przez okno.

- Glin od metra - powiedział w zadumie. - Kto to był? Ten gnój, z którym gadałeś?

- Z FBI.

- Ja pierdzielę - odezwał się Bonner. - To mamy tu fedzia?

- Zerwaliśmy się z federalnego pierdla. Myślałeś, że kto nas goni?

- Tommy Lee Jones - odparł Bonner. Grubas zatrzymał na chwilę wzrok na nauczycielce. Potem na dziewczynce ubranej w kwiecistą sukienkę i białe podkolanówki.

Handy zauważył to. Co za skurwiel.

- Nie, Sonny. Trzymaj go w swoich śmierdzących gaciach, słyszysz? Albo go stracisz.

Bonner burknął coś w odpowiedzi. Zawsze się wkurzał, kiedy słusznie go o coś oskarżano. Zaraz się jeżył.

- Odpierdol się.

- Mam nadzieję, że chociaż jednemu zrobiłem dodatkową dziurę w dupie - powiedział Wilcox swoim flegmatycznym tonem, który był jednym z powodów sympatii, jaką czuł do niego Handy.

- Powiedz, ile mamy? - spytał go Lou.

- Te dwie śrutówki i prawie czterdzieści kul - odrzekł Wilcox. - Jeden smitty z sześcioma nabojami, nie, czekaj, z pięcioma. Ale są jeszcze glocki z kupą amunicji. Trzysta sztuk.

Handy przemierzał wzdłuż i wszerz rzeźnię, przeskakując kałuże wody.

- Ten cholerny płacz działa mi na nerwy - warknął w końcu. - Myśleć się, kurwa, nie da. Ta gruba jest najgłośniejsza. W ogóle nie wiem, co się tam dzieje. Ten agent strasznie kręcił. Nie wierzę w ani jedno słowo. Sonny, zostaniesz z naszymi sikorkami. My z Shepem trochę się rozejrzemy.

- A jak wrzucą gaz łzawiący? - Bonner niepewnie wyjrzał przez okno. - Trzeba by mieć jakieś maski.

- Jakby wrzucili gaz łzawiący, wystarczy naszczać na pojemnik - wyjaśnił Handy.

- To działa? Gaz przestanie lecieć?

- No.

- Ale cyrk.

Handy zajrzał do sąsiedniego pomieszczenia. Starsza nauczycielka utkwiała w nim spojrzenie ciemnych oczu. Była w nich hardość i coś jeszcze.

- Jak się nazywasz?

- Donna Harstrawn. Ja...

- Powiedz mi, Donna, jak ona ma na imię? - zapytał wolno, wskazując najstarszą z uczennic, tę ładną z długimi, czarnymi włosami.

Zanim nauczycielka zdążył odpowiedzieć, dziewczyna pokazała mu wyprostowany środkowy palec. Handy ryknął śmiechem.

Bonner postąpił naprzód, unosząc rękę.

- Ty gówniario.

Donna rzuciła się, by zasłonić dziewczynę, która uniosła pięści z promiennym uśmiechem. Dziewczynki zaczęły wydawać ten swój pieprzony ptasi skrzek, a młodsza nauczycielka, blondynka, przestraszona uniosła w błagalnym geście dłoń.

Handy chwycił Bonnera za rękę i odepchnął.

- Nie bij, dopóki ci nie pozwolę. - Wskazał nastolatkę, pytając nauczycielkę: - Jak jej, kurwa, na imię?

- Susan. Proszę, wypuść...

- A tej? - Pokazując młodszą nauczycielkę.

- Melanie.

Me-la-nie. Ta go naprawdę wkurzyła. Kiedy ją nakrył, jak patrzyła przez okno zaraz po strzelaninie, złapał ją za ramię, a ta mało się nie zesrała ze strachu. Pozwolił jej swobodnie chodzić po rzeźni, bo wiedział, że nie narobi mu kłopotów. Z początku bawiło go, że jest taką płochliwą myszką. Potem wściekł się - na widok lęku w jej oczach miał ochotę tupnąć nogą, żeby zobaczyć, jak mysz podskakuje ze strachu. Brak ducha w kobiecie zawsze doprowadzał go do szału.

Ta suka była zupełnym przeciwieństwem Pris. Chciałby zobaczyć, jak walczą ze sobą. Pris wyciągnęłaby nóż myśliwski, który czasem nosiła za stanikiem, rozgrzany od jej lewego cycka, i rzuciłaby się na nią. Blondynka narobiłaby pod siebie. Wydawała się o wiele młodsza od Susan.

Tak, właśnie Suze go zaciekał. Mętne oczy starej Donny nic mu nie powiedziały, młodszą nauczycielkę miała w oczach tylko strach i nic poza tym. Ale ta Miss Nastolatek... z jej oczu można było wyczytać sporo, a ona w ogóle się tym nie przejmowała. Handy domyślał się, że jest bystrzejsza od tych dwóch razem wziętych.

I odważniejsza.

Jak Pris, pomyślał z uznaniem.

- Susan - powiedział wolno Handy. - Podobasz mi się. Masz jaja. Nie masz pojęcia, co do ciebie mówię, ale mi się podobasz. - Zwrócił się do starszej nauczycielki: - Powiedz jej to.

Po chwili wahania Donna zaczęła poruszać rękami. Susan posłała mu pogardliwe spojrzenie i odpowiedziała.

- Co mówi? - warknął Handy.

- Prosi, żebyś wypuścił najmłodsze dziewczynki.

Handy złapał kobietę za włosy i mocno pociągnął. Znow usłyszał ptasi skrzek. Melanie kręciła głową. Łzy płynęły jej ciurkiem po twarzy.

- Kurwa, co ona naprawdę powiedziała?

- Powiedziała: „Idź do diabła”.

Pociągnął mocniej, wrywając jej z czaszki kępki farbowanych włosów. Stara zawyła z bólu.

- Powiedziała - wydyszała Donna - powiedziała: „Jesteś dupek”.

Handy roześmiał się i pchnął nauczycielkę na ziemię.

- Proszę! - zawołała. - Wypuść dziewczynki. Zostaw mnie. Co za różnica, czy masz jedną zakładniczkę, czy sześć?

- Bo mogę parę zastrzelić i jeszcze mi trochę zostanie, głupia cipo.

Z trudem łapiąc powietrze, odwróciła się szybko, jak gdyby weszła do pokoju i zastała tam nagiego mężczyznę, który lubieżnie się do niej uśmiecha.

Handy podszedł do Melanie.

- Ty też sądzisz, że jestem dupek?

Donna zaczęła poruszać dłońmi, ale Melanie odpowiedziała, zanim starsza nauczycielka zdążyła przetłumaczyć pytanie.

- Co powiedziała?

- Powiedziała: „Dlaczego chcesz nam zrobić krzywdę, Brutusie? Przecież nic ci nie zrobiliśmy”.

- Brutusie?

- Tak cię nazywa.

Brutus. Brzmi znajomo, ale nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie słyszał to imię. Zmarszczył brwi.

- Powiedz jej, że sama dobrze zna odpowiedź na to pytanie.

Wychodząc z ciemnego pomieszczenia, Handy zawołał:

- Hej, Sonny, zaczynam się uczyć języka migowego. Pokażę ci.

Bonner uniósł wzrok.

Handy uniósł wyprostowany palec środkowy. Trójka mężczyzn wybuchnęła śmiechem, po czym Handy i Wilcox ruszyli korytarzem, który prowadził w głąb starej rzeźni. Kiedy badali labirynty przejść, ubojni i przetwórnici, Handy spytał Wilcoxa:

- Myślisz, że będzie grzeczny?

- Sonny? Kurwa, chyba tak. Normalnie to by już się na nie rzucił jak kogut na kury. Nie ma to jednak jak setka uzbrojonych gliniarzy za drzwiami, żeby fiut ci zmiękł. Co tu robili? - Wilcox gapił się na maszyny, długie stoły, przekładnie, regulatory i pasy.

- Jak ci się wydaje?

- Nie wiem.

- Przecież to pierdolona rzeźnia.

- Nazywa się „przetwórnia”.

- Możemy je zastrzelić i wypatroszyć. Też urządzimy sobie przetwórnice.

Wilcox pokazał starą maszynę.

- Co to jest?

Handy podszedł bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć. Uśmiechnął się.

- Stary silnik parowy. Sam zobacz.

- Co z nim robili?

- Widzisz, dlatego świat wpakował się w wielkie gówno - wyjaśnił Handy.

- Kiedyś to była turbina. - Pokazał zardzewiałą oś z rdzewiejącymi łopatkami. - Obracało się i odwalało całą robotę. To był wiek pary i gazu. Potem przyszedł wiek elektryczności i już nie było widać, co porusza maszyną. Znaczący się, parę i ogień widać, ale prądu nie. Później wybuchła druga wojna. Dzisiaj mamy wiek elektroniki. Komputery i tak dalej. Za cholerę nie widać, jak co działa.

Patrzysz sobie na układ scalony i nic nie widzisz, chociaż wszystko pracuje jak należy. Straciliśmy nad tym kontrolę.

- Strasznie to pojebane.
- Co, życie czy to, co powiedziałem?
- Nie wiem. Chyba wszystko. Życie.

Znaleźli się w dużej, ciemnej pieczarze. Pewnie jakiś magazyn. Tylne wyjście zostało zaklinowane albo zabezpieczone łańcuchem.

- Mogą wysadzić drzwi - rzekł Wilcox. - Wystarczy parę ładunków wybuchowych.

- Mogą też na nas spuścić bombę atomową. Wszystko jedno, dziewczyny i tak zginą. Sami się o to proszą, więc dostaną.

- A winda?  
- Nic się nie da zrobić - powiedział Handy, patrząc na dużą windę towarową. - Jak będą się chcieli spuścić na, linach, może się uda stuknąć kilku pierwszych. I pamiętaj, zawsze celuj w szyję.

Wilcox zerknął na niego i wycedził:

- To co będzie?

Znowu mam to coś w oczach, pomyślał Handy. Pris zawsze tak mówi. Niech to szlag, tęsknił za nią. Chciał poczuć zapach jej włosów, usłyszeć brzęk jej bransoletek, kiedy zmieniała biegi w samochodzie, poczuć ją pod sobą, jak wtedy gdy się pieprzyli na puszystym dywanie w jej mieszkaniu.

- Odeślemy im jedną - powiedział. - Dziewczynę?

- Tak.

- Którą?

- Nie wiem. Może tę Susan. Jest niezła. Podobają mi się.

- Pewnie będzie pierwsza do rżnięcia - rzekł Wilcox. - Dobry pomysł, żeby zesła Bonnerowi z oczu. Założę się, że jeszcze przed zachodem słońca zacząłby ją obwąchiwać. Albo tą drugą, Melanie.

- Nie - odparł Handy. - Najślabsze trzeba zostawić.

- Jestem za.

- Dobra, niech będzie Susan. - Zaśmiał się. - Nie każda może mi mówić w oczy, że jestem dupek, tyle ci powiem.

Melanie mocno objęła ramiona Kielle, wyjątkowo muskularne jak na ośmiolatkę, wyciągając rękę, by pogłodzić jedną z bliźniaczek.

Dziewczynki siedziały wciśnięte między nią a Susan. Melanie musiała przyznać sama przed sobą, że ów gest tylko częściowo miał dodać otuchy młodszemu; szukała też pociechy dla siebie; chciała być blisko swej ulubionej uczennicy.

Ciągle drżały jej ręce. Zdenerwowała się, kiedy Brutus przyłapał ją na wyglądaniu przez okno, gdy usiłowała przekazać wiadomość policjantowi na polu. A kilka minut temu naprawdę się przeraziła, ponieważ Brutus pokazał ją palcem, pytając panią Harstrawn o jej imię.

Zerknęła w stronę Susan. Dziewczyna patrzyła ze złością na starszą nauczycielkę.

- O co chodzi? - spytała na migi Melanie.

- Powiedziała mu, jak mam na imię. Nie powinna. Nie wolno nam z nimi współpracować.

- Musimy - odpowiedziała pani Harstrawn.

- Musimy uważać, żeby się nie rozgniewali - dodała Melanie.

Susan zaśmiała się szyderczo.

- Co za różnica, czy się rozgniewają, czy nie? Nie wolno nam się poddawać. To łajdacy. Najgorsi spośród Innych.

- Nie możemy... - zaczęła Melanie.

Niedźwiedź tupnął nogą. Melanie poczuła wibracje i drgnęła. Jego grube usta poruszały się bardzo szybko, więc Melanie zdołała wyczytać tylko:

„Zamknijcie się”. Odwróciła wzrok. Nie potrafiła znieść widoku jego twarzy, wywijających się na zewnątrz włosków brody, tłustych porów skóry.

Jego oczy wciąż zatrzymywały się na pani Harstrawn. I na Emily.

Kiedy na nią nie patrzył, Melanie powoli uniosła rękę, przechodząc z amerykańskiego języka migowego na standardowy, z literowaniem słów. Był to mało

poręczny i wolny sposób porozumiewania się, ale nie wymagał szerokich gestów, tylko małych ruchów samą dłonią.

- Nie denerwuj ich - powiedziały jej palce. - Spokojnie. - To gnoje. - Susan nie zamierzała rezygnować z gwałtownej gestykulacji uproszczonego kodu.

- Jasne. Ale ich nie prowokuj!

- Nie zrobią nam krzywdy. Martwe do niczego im się nie przydamy.

Melanie poczuła bezsilną złość.

- Mogą nam zrobić krzywdę, wcale nas nie zabijając.

Susan skrzywiła się tylko i odwróciła wzrok.

Co jej zdaniem mamy zrobić? - pomyślała wzburzona Melanie. Zabrać im broń i ich pozabijać? A jednocześnie pomyślała: dlaczego nie mogę być do niej podobna? Wystarczy spojrzeć jej w oczy! Jaka silna! Osiem lat młodsza ode mnie, ale przy niej czuję się jak dziecko.

Jej zazdrość można było częściowo przypisać wysokiemu miejscu, jakie Susan zajmowała w hierarchii świata Głuchych. Nie straciła słuchu po przyswojeniu sobie zdolności językowych - urodziła się głucha. Co więcej, była dzieckiem niesłyszących rodziców; Głucha wśród Głuchych. Już w wieku siedemnastu lat działała aktywnie na rzecz praw niesłyszących, dostała stypendium w Gallaudet w Waszyngtonie, upierała się przy amerykańskim systemie, ignorując standardowy „gramatyczny” język migowy, ostro sprzeciwiała się metodzie zmuszania głuchych do mówienia i czytania z ruchu warg. Susan Phillips była nowocześnie wykształconą młodą kobietą, Głuchą, piękną i silną. W trudnych chwilach Melanie wolała mieć u boku jedną Susan niż armię mężczyzn.

Poczuła, że czyjaś mała rączka szarpie jej bluzkę.

- Nie bój się - powiedziała na migi do Anny. Bliźniaczki siedziały przytulone do siebie, policzek przy policzku, patrzyły na Melanie wielkimi, pełnymi łez oczami. Beverly siedziała samotnie z rękami na kolanach i wzrokiem wbitym smętnie w podłogę, łapiąc z trudem oddech.

- Powinni tu być Jean Grey i Cyclops - powiedziała Kielle, mając na myśli swoich dwóch ulubionych X-ludzi. - Mogliby ich rozszarpać na kawałki.

- Nie, lepiej Potwór - sprzeciwiła się Shannon. - Pamiętasz? Ten, co miał ślepa dziewczynę? - Shajmon z zapalem studiowała historyjki Jacka Kirby'ego i sama zamierzała zostać autorką komiksów o superbohaterach.

- I Gambit - dodała Kielle, pokazując tatuaż Shannon.

W komiksach Shannon - zdaniem Melanie zaskakująco dobrych jak na ośmioletnią dziewczynkę - pojawiały się postaci niepełnosprawne, jak niewidomi i niesłyszący, które ratując innych ludzi i demaskując zbrodnie, zyskiwały moc odmiany. Dziewczynki - chuda i ciemnowłosa Shannon oraz niewysoka i jasnowłosa Kielle - zaczęły dyskutować o najlepszej broni, jaka mogłaby im pomóc się uratować: optyczna, plazmowa czy parapsychologiczna.

Emily przez chwilę łąkała w rękaw sukienki w czarne i fioletowe kwiaty. Potem pochyliła głowę i zaczęła się modlić. Melanie zobaczyła, jak dziewczynka unosi i otwiera piąstki, co w języku migowym oznaczało „ofiara”.

- Nie bójcie się - powtórzyła Melanie, gestykulując w stronę dziewczynek, które na nią patrzyły. Ale żadna nie zwróciła na to uwagi. Niektóre utkwily wzrok w Susan, która siedziała wpatrzona nieruchomo w stojącego u drzwi Niedźwiedzia. To ona była w centrum ich uwagi. Jej obecność dodawała dziewczynkom pewności siebie. Melanie stwierdziła, że z trudem powstrzymuje płacz.

I jeszcze ta ciemność, jaka je czekała dziś w nocy!

Melanie wychyliła się, by spojrzeć przez okno. Zobaczyła gnącą się na wietrze trawę. Wiatr Kansas, który nigdy nie słabnie. Melanie przypomniała sobie, jak ojciec opowiadał jej o kapitanie Edwardzie Smisie, który przybył do Wichity w dziewiętnastym wieku i wpadł na pomysł, by postawić żagle na wozach pionierów - tak powstały „szkunery” preriowe. Ojciec to bardzo zabawnie opowiadał i śmiała się, nie wiedząc, czy wierzyć w autentyczność historii, czy nie. Teraz na tamto wspomnienie poczuła bolesne ukłucie w sercu, pragnęła uciec ze starej ubojni w baśń albo inną rzeczywistość.

Nagle pomyślała: a ten człowiek na polu? Policjant?

Stojąc tam na pagórku, zdawał się emanować wielkim spokojem. Kiedy Brutus strzelił przez okno, a Niedźwiedź biegał w panice, potrząsając tłustym

brzuchem i rozrywając pudełka z amunicją, policjant wymachiwał ramionami, próbując powstrzymać ogień i opanować sytuację. Patrzył przy tym prosto na nią.

Jak go nazwać? Nie przychodziło jej do głowy żadne zwierzę. Wcale nie wyglądał na bohatera ani nie był elegancki. Był chyba dwa razy starszy od niej, ubrany byle jak. Nosił grube okulary i miał dobre parę funtów nadwagi.

Wreszcie ją oświeciło: de l'Epee.

Tak go nazwie. Charles Michel de l'Epee był osiemnastowiecznym opatem, który jako jeden z pierwszych naprawdę troszczył się o niesłyszących, traktując ich jak normalne, inteligentne istoty ludzkie. Był twórcą francuskiego języka migowego, na podstawie którego powstała później wersja amerykańska.

Przydomek idealnie pasuje do mężczyzny na polu, pomyślała Melanie, która знаła francuski i wiedziała, że nazwisko to oznacza rodzaj szabli. Jej de l'Epee był odważny. Tak jak jego pierwowzór, który przeciwstawił się Kościołowi utrzymującemu, że głusi są nienormalni i niedorozwinięci, stawiał czoło Gronostajowi i Brutusowi, choć wokół niego świstały kule.

Nadała do niego wiadomość - coś w rodzaju modlitwy. I zarazem ostrzeżenie. Zobaczył ją? Zrozumiał, co powiedziała? Na moment zamknęła oczy, koncentrując wszystkie myśli na de l'Epee. Jednak poczuła tylko otaczający ją chłód, własny lęk i - ku swemu przerażeniu - drżenie dębowej podłogi od zbliżających się kroków jednego, nie - dwóch mężczyzn.

Gdy Brutus i Gronostaj stanęli w drzwiach, Melanie zerknęła na Susan, która na widok napastników przybrała wrogą minę.

Ja też będę na nich wrogo patrzeć.

Spróbowała, ale broda zaczęła się jej trząść i Melanie znów się rozplakała.

Susan! Dlaczego nie mogę być taka jak ty?

Do dwóch mężczyzn dołączył Niedźwiedź. Pokazywał na główne pomieszczenie rzeźni. Mimo kiepskiej umiejętności czytania z ruchu warg w półmroku udało się jej częściowo zrozumieć, co do nich mówił. Chyba coś o telefonie.

- Niech skurwiel dzwoni - powiedział Brutus.

Melanie pomyślała, że to bardzo dziwne, czując, jak powoli przestaje płakać. Dlaczego tak dobrze rozumiem, co mówi? Dlaczego rozumiem tylko jego, a innych nie?

- Chcemy jedną odesłać.

Niedźwiedź o coś zapytał.

- Miss Głuchych Nastolatek - odrzekł Brutus. - Ruchem głowy wskazał Susan. Na twarzy pani Harstrawn pojawił się wyraz ulgi.

Boże, pomyślała z rozpaczą Melanie, chcąc ją wypuścić! Bez niej zostaniemy zupełnie same. Bez Susan. Nie! Zdusiła nowy wybuch płaczu.

- Wstawaj, skarbie - powiedział Brutus. - To twój... dzień. Idziesz do domu.

Susan pokręciła głową. Odwróciła się do pani Harstrawn i szybkimi, gniewnymi gestami przekazała jej jakąś wiadomość.

- Mówi, że nie pójdzie. Chce, żebyście wypuścili bliźniaczki.

Brutus roześmiał się.

- Chce, żebym ja... ?

- Wstań... - powiedział Gronostaj i pociągnął Susan, stawiając ją na nogi.

Serce Melanie zaczęło łomotać, a twarz oblała się gorącem, ponieważ ze zgrozą uświadomiła sobie, że pierwszą myślą, jaka przemknęła jej przez głowę, było: dlaczego to nie ja?

Wybacz mi, Boże. Wybacz, de l'Epee. Lecz po chwili znów wypowiedziała w myślach tę nieszczelną prośbę. I jeszcze raz. Myśl bez przerwy kołatała jej w głowie. Chcę do domu. Chcę usiąść sama z wielką miską popcornu i oglądać telewizję z teletekstem, chcę nałożyć słuchawki Kossa i poczuć wibracje muzyki Beethovena, Smetany i Gordona Boka...

Susan wyswobodziła się z uścisku Gronostaja. Popchnęła w jego stronę bliźniaczki. On jednak brutalnie odsunął je na bok i skrępował Susan ręce za plecami. Brutus patrzył przez półotwarte okno.



- Zaczekaj tu - powiedział do Susan, popychając ją na podłogę przy drzwiach. Obejrzał się za siebie. - Sonny, dotrzyмай towarzystwa naszym damom... ze sobą tego gnata.

Susan spojrzała do pomieszczenia bez okien.

Melanie zobaczyła jej oczy, które mówiły: Nie bójcie się. Nic się wam nie stanie. Dopilnuję.

Melanie zaraz odwróciła wzrok, lękając się, że Susan odczyta jej własne myśli i ujrzy natrętne i podłe pytanie: Dlaczego to nie ja? Dlaczego nie ja?

13.01

Arthur Potter patrzył na rzeźnię i otaczający ją teren przez żółtawe szyby furgonetki. Przyglądał się, jak jeden z funkcjonariuszy rozwija przewód elektryczny, idąc z nim w stronę drzwi frontowych. Na końcu kabla wisiało pięć osłoniętych kratownicą lamp. Policjant wycofał się, a z rzeźni ponownie wyszedł Wilcox z pistoletem w dłoni, żeby wziąć koniec przewodu. Potter miał nadzieję, że przeciągnie drut przez wejście, przez co drzwi musiałyby zostać otwarte, ale Wilcox włożył koniec kabla przez okno.

- Drzwi wciąż zabezpieczone - powiedział negocjator z roztargnieniem, a LeBow zapisał tę informację.

Nadeszły nowe fakсы. Więcej informacji o Handym i o dziewczynkach. LeBow łączywie przerzucił papiery, a potem zaczął wstukiwać ważne dane do swojego komputera. Mieli już plany architektoniczne i schematy instalacji rzeźni. Pomogły im w ustaleniu tylko jednego - że atak będzie bardzo trudny. Do budynku nie prowadził żaden tunel, a jeżeli dokumenty o zmianach projektowych z 1938 roku były dokładne, na dachu rzeźni prowadzono kiedyś poważne prace z zamiarem dobudowania czwartej kondygnacji, pozostałości po robotach utrudniłyby atak z helikoptera.

Nagle Tobe zamarł.

- Zdjęli pokrywę telefonu.

Z uwagą obserwował rząd swoich wskaźników.

- Działa jeszcze?

- Na razie tak. Szukają pluskiew.

Młody agent odetchnął.

- Zamknęli. Nie wiem, kto to robił, ale zna się na rzeczy.

- Kto, Henry?

- Na razie wam nie powiem. Dotychczasowe informacje wskazują na Handy'ego. Przeszedł szkolenie wojskowe.

- Jest połączenie - zawołał Tobe.

Potter pytająco uniósł brwi i odebrał telefon po pierwszym dzwonku.

- Słucham. To ty, Lou?

- Dzięki za światło. Szukaliśmy w lampach mikrofonów... w telefonie też. Nie znaleźliśmy nic. Uczciwy z ciebie człowiek.

Honor. Potter stwierdził, że to słowo coś znaczy dla Handy'ego. Znow starął się rozgryźć tego niezbadanego człowieka.

- Kim jesteś, Art? Starszym agentem? Agentem dowodzącym biurem regionalnym? Tak to nazywają, nie?

Nigdy nie daj napastnikowi do zrozumienia, że jesteś kimś, kto podejmuje ważne decyzje. Lepiej grać na czas, udając, że każde rozwiązanie omawia się z przełożonymi.

- Nie. Jestem jednym z wielu agentów specjalnych i tak się składa, że lubię sobie pogadać.

- Mam ci wierzyć?

- Jestem uczciwym człowiekiem, pamiętasz? - rzekł Potter, zerkając na tablicę „Blef”.

Czas rozładować napięcie i zbudować jakieś porozumienie.

- Co więc będzie z jedzeniem, Lou? Moglibyśmy wrzucić na ruszt hamburgery. Jakie lubisz?

Krwiste, pomyślał Potter. Ale mylił się.

- Słuchaj no, Art. Chcę, żebyś wiedział, jaki miły ze mnie gość.  
Wypuszczę jedną z nich.

Ta wiadomość bardzo przygnębiła Pottera. Akt spontanicznej wielkoduszności ze strony Handy'ego zepchnął ich do defensywy. Było to doskonałe posunięcie taktyczne. Potter stał się jego dłużnikiem i znowu równowaga sił między łowcą a zdobywcą została zaburzona.

- Musisz zrozumieć, że nie jestem taki zły.

- Jestem ci wdzięczny, Lou. Wypuścisz Beverly? Tę chorą dziewczynkę?

- Mhm.

Potter i reszta wyciągnęli szyje, by wyjrzeć na zewnątrz. Zobaczyli wąski pasek światła - otworzyły się drzwi rzeźni. Potem ukazała się niewyraźna plama bieli.

Odwróć jego uwagę od zakładniczek, pomyślał Potter.

- Zastanowiliście się już z kumplami, co was interesuje? Pora zabrać się do poważnych pertraktacji, Lou. Co ty na to...

W telefonie rozległ się trzask, a potem szum.

Nagle rozsunęły się drzwi furgonetki i do środka zajrzała głowa Deana Stillwella.

- Wypuszczają kogoś - powiedział szeryf.

- Wiemy.

Stillwell zniknął.

Potter przesunął się na obrotowym krześle. Nie widział wyraźnie. Chmury zgęstniały i pola pociemniały, jak gdyby nagle zaćmienie Słońca pograżyło Ziemię w mroku.

- Spróbuj wideo, Tobe.

Ożył ekran monitora, na którym ukazał się czarno-biały obraz frontu rzeźni. Drzwi były otwarte. Wyglądało na to, że palą się wszystkie lampy.

Tobe wyregulował czułość i obraz się ustabilizował.

- Kto to, Henry?

- Ta starsza, Susan Phillips. Siedemnaście lat.

Budd zaśmiał się.

- Zdaje się, że wszystko pójdzie lepiej, niż myśleliśmy. Może wypuści je jedna po drugiej.

Zobaczyli na monitorze, że Susan ogląda się za siebie. Potem popchnęła ją czyjaś ręka i drzwi się zamknęły.

- Świetnie - ucieszył się LeBow, który wyglądał przez okno tuż obok Pottera. - Siedemnastolatka. I bardzo dobra uczennica. Będzie nam mogła szczegółowo opowiedzieć, jak jest w środku.

Dziewczyna zaczęła się oddalać od budynku, idąc po linii prostej. Przez okulary Potter widział jej grobową minę. Ręce miała związane z tyłu, lecz nie dostrzegł śladów po obrażeniach doznanych podczas krótkiej niewoli.

- Dean - powiedział Potter do mikrofonu radiowego. - Wyślij do niej jednego ze swoich ludzi.

- Tak jest. - Szeryf mówił już do laryngofonu normalnym tonem; nauczył się wreszcie posługiwać sprzętem.

Zza radiowozu wysunął się policjant stanowy w kamizelce kuloodpornej i hełmie i pochylony ruszył w stronę dziewczyny, która oddaliła się już pięćdziesiąt stóp od rzeźni.

Arthur Potter wstrzymał oddech i zamarł.

A potem zadrzał, jakby cały zanurzył się w lodowatej wodzie. Zrozumiał, co się święci.

Być może odezwała się intuicja, którą wykształcił w sobie podczas wielu negocjacji. Nigdy żaden z porywaczy nie uwolnił zakładnika tak wcześnie. Uświadomił sobie, że Handy jest bezwzględny mordercą.

Potter nie był pewien, co naprowadziło go na tę myśl, ale w jednej chwili przerażenie ścisnęło mu serce.

- Nie! - Negocjator zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło, które z łoskotem runęło na podłogę.

LeBow zerknął na niego.

- O, nie! Chryste, tylko nie to!

Charlie Budd patrzył to na jednego, to na drugiego.

- Co się dzieje? - wyszeptał. - Co jest nie tak?

- On ją zabije - odparł cicho LeBow.

Potter szarpnął drzwi i wyskoczył z wozu. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Porywając z ziemi kamizelkę kuloodporną, prześliznął się między dwoma samochodami i co tchu pobiegł naprzeciw dziewczynie, wyprzedzając policjanta, którego wysłał Dean Stillwell. Jego gorączkowy rajd zaniepokoił policjantów, choć niektórzy uśmiechali się na widok korpulentnego człowieka, który biegł z kamizelką kuloodporną w ręce, wymachując trzymaną w drugiej dłoni białą chusteczką.

Dzieliło go od Susan jeszcze czterdzieści stóp. Dziewczyna szła spokojnie przez trawę, a zobaczywszy go, skręciła, żeby mogli się spotkać.

- Na ziemię, padnij na ziemię! - krzyknął Potter. Puścił chustkę, która niesiona silnym wiatrem poszybowała naprzód, i zaczął gwałtownie wymachiwać ręką, pokazując dziewczynie, co ma zrobić. - Na ziemię!

Oczywiście Susan nic nie słyszała, więc tylko zmarszczyła podejrziwie brwi.

Kilku funkcjonariuszy usłyszało okrzyki Pottera, wysunęło się zza osłaniających ich samochodów. Niepewnie sięgnęli po broń. Do Pottera dołączyły inne głosy. Jakaś policjantka rozpaczliwie machała do dziewczyny:

- Nie, nie, skarbie! Padnij na ziemię, na litość boską!

Susan nie słyszała ani słowa. Zatrzymała się i uważnie spojrzała na ziemię, przypuszczając zapewne, że Potter chce ją ostrzec przed niewidocznym obniżeniem terenu czy drutem, o który mogłaby się potknąć.

Ciężko dysząc, doprowadziwszy swe niemłode serce niemal do agonii, Potter zdołał zmniejszyć dzielący ich dystans do piętnastu stóp.

Pojedynczy strzał trafił dziewczynę prosto w plecy, a nad jej prawą pierśią wykwitł ciemnoczerwony kwiat. Potter był już tak blisko, że usłyszał przeokropny dźwięk uderzenia kuli, po którym nienawykłe do mówienia gardło wydało makabryczny jęk.

Susan stanęła, a potem runęła na ziemię.

Nie, nie, nie...

Podbiegł do dziewczyny i osłonił jej głowę kamizelką. Dogonił go tamten policjant, powtarzając bez przerwy: „Boże, o Boże”. Wycelował pistolet w okno.

- Nie strzelaj - rozkazał Potter.

- Ale...

- Nie! - Potter popatrzył w gasnące oczy Susan, a po chwili spojrzał na rzeźnię. W oknie na lewo od wejścia dostrzegł szczupłą twarz Lou Handy'ego. Z prawej natomiast, jakieś trzydzieści stóp od okien, w głębi ciemnego budynku, zdołał zauważyć przerażoną twarz młodej nauczycielki, tamtej blondynki, która wcześniej przesłała mu tajemniczą wiadomość i której imienia nie potrafił sobie teraz przypomnieć.

Dźwięki się czuje.

Dźwięk to po prostu zaburzenie w powietrzu, wibracja, rozbijająca się o nasze ciało jak fala. Może musnąć nasze brwi jak delikatna dłoń kochanka albo sparzyć skórę, wyciskając z naszych oczu łzy.

W piersi wciąż czuła odgłos wystrzału.

Nie, pomyślała Melanie. Nie, to niemożliwe.

Nie do pomyślenia.

Ale wiedziała, co zobaczy. Nie ufała głosom, ale wzrok rzadko ją mylił.

Susan, Głucha wśród Głuchych.

Susan, na której odwagę nigdy się nie zdobędzie.

Susan, która miała u swych stóp świat Głuchych i świat Innych.

Dziewczyna wyszła w straszny Świat Zewnętrzny, który ją zabił. Odeszła na zawsze. Miała maleńką dziurkę w plecach i rozwiane włosy. Zatrzymała się gwałtownie, idąc drogą, którą tak bardzo pragnęła pójść Melanie.

Oddech Melanie stał się płytki, kontury widzianych przedmiotów zatarły się i pociemniały. Pomieszczenie przekrzywiło się, na jej szyi i plecach wystąpił pot. Odwróciła się wolno i spojrzała na Brutusa, który zatykał za pas dymiący jeszcze pistolet. Ogarnęła ją beznadziejna rozpacz, bo nie ujrzała na jego twarzy żadnych uczuć - ani satysfakcji, ani żądzy, ani złośliwej dumy -

nic. Po prostu zrobił to, co zamierzał zrobić, i pewnie już nawet zapomniał o śmierci dziewczyny.

Włączył telewizor, zaglądając równocześnie do ubojni; tam w drzwiach stało i siedziało w rzędzie siedem dziewczynek, patrząc na Melanie i panią Harstrawn, która rzuciła się na podłogę, szlochając i rwąc włosy z głowy, a jej twarz zmieniła się w ohydny, wykrzywioną czerwoną maskę. Nauczycielka widziała zapewne, jak padł strzał, i zdała sobie sprawę, co to znaczy. Dziewczynki nie wiedziały. Jocylyn odgarnęła z twarzy ciemne włosy, które dość niefortunnie sama sobie obcięła. Gestykulowała, powtarzając bez przerwy pytanie:

- Co się stało? Co się stało? Co się stało?

Muszę im powiedzieć, pomyślała Melanie.

Ale nie potrafię.

Beverly, druga w kolejności po Susan najstarsza uczennica, zrozumiała, że stało się coś strasznego, lecz nie wiedziała dokładnie - albo nie chciała wiedzieć - co. Ujęła grubą dłoń Jocylyn i utkwiała wzrok w Melanie. Nabrała w uszkodzone płuca głęboki haust powietrza i drugą ręką objęła nierozłączne bliźniaczki.

Melanie nie przeliterowała imienia Susan. Z jakiegoś powodu nie potrafiła. Posłużyła się bezosobowym słowem „ona”, któremu towarzyszył gest w stronę pola.

- Ona...

Jak ma to powiedzieć? Boże, zupełnie nie mam pojęcia. Dłuższą chwilę przypominała sobie, jak wygląda słowo „zabić”. Przesuwało się wyprostowany palec wskazujący prawej dłoni w stronę odwróconej, lekko zgiętej lewej dłoni. Zupełnie jak trafiający w ciało pocisk, pomyślała.

Nie potrafiła tego powiedzieć. Wciąż widziała, jak uderzenie kuli rozrzuca ciemne włosy Susan, która łagodnie pada na ziemię.

- Ona nie żyje - powiedziały w końcu jej ręce.

Gest oznaczający „nie żyje” polegał na obróceniu prawej dłoni zwróconej wewnętrzną stroną w górę o sto osiemdziesiąt stopni; równocześnie wykonywało się odwrotny gest lewą dłonią. Melanie patrzyła na swą prawą rękę, myśląc, że jej ruch wygląda tak, jak gdyby rzucała garść ziemi do grobu.

Reakcje dziewczynek były różne, ale sprowadzały się do jednego: łez, przerażenia w oczach i urywanych od szlochu oddechów.

Melanie odwróciła się do okna; drżały jej dłonie. De l'Epee podniósł ciało Susan i wracał z nim za kordon radiowozów policyjnych. Melanie przyglądała się bezwładnym ramionom przyjaciółki, kaskadzie czarnych włosów i stopom - z jednej spadł but.

Piękna Susan.

Patrząc, jak de l'Epee znika za samochodem, Melanie odniosła wrażenie, że część jej niemego świata staje się jeszcze bardziej niema. Nie mogła sobie na to pozwolić.

- Rezygnuję, agencie Potter - powiedział cicho Charlie Budd.

Potter wstąpił do łazienki w furgonetce, żeby przebrać się w czystą koszulę, która magicznym sposobem zmaterializowała się w rękach jednego z ludzi Stillwella. Swoją, poplamioną krwią, cisnął do kosza; kula, która zabiła Susan, obryzgała go obficie krwią.

- Co jest, Charlie? - zapytał z roztargnieniem agent, wracając za biurko. Tobe i Derek siedzieli cicho przy swoich konsolach. Nawet Henry LeBow przestał stukać w klawisze i patrzył przez okno, z którego mógł widzieć tylko odległe pola pszenicy, w dodatku pod tym kątem zniekształcone przez grubą przyciemnioną szybę.

Przez przeciwległe okno furgonetki błysnęły światła karetki, która zabierała ciało dziewczyny.

- Zwalniam się - ciągnął Budd. - Wycofuję się z zadania i ze służby. - Mówił opanowanym głosem. - To moja wina. Wszystko przez tamten strzał sprzed półgodziny. Nie dałem snajperom rozkazu, żeby rozładowali broń. Zadzwoń do Topeki i znajdę kogoś na swoje miejsce.

Potter odwrócił się, wciskając w spodnie poły koszuli.

- Zostań, Charlie. Chcę cię mieć pod ręką.

- Nie. Popełniłem błąd i poniosę jego konsekwencje.  
- Do jutra możesz mieć jeszcze wiele okazji, żeby wziąć odpowiedzialność za każdą swoją wpadkę - odparł spokojnie Potter. - Ale tamten strzał snajpera nie miał nic wspólnego z tym, co zrobił Handy.  
- A więc dlaczego? Czemu to zrobił, na litość boską?  
- Wyłożył na stół swoje karty. Daje nam do zrozumienia, że nie żartuje. Że tanio nie sprzeda skóry.  
- I po to strzela z zimną krwią do zakładniczki?  
- Mamy tu najtrudniejszy rodzaj negocjacji, Charliex - odezwał się LeBow. - Jeżeli na samym początku jest morderstwo, zwykle jedyną szansą uratowania zakładników bywa szturm.  
- Wysoka stawka - mruknął Derek Elb.  
Najwyższa, pomyślał Arthur Potter. Chryste, ale to będzie dzień.  
- Jest połączenie - powiedział Tobe, a chwilę później zabrzączał telefon. Magnetofon automatycznie zaczął przesuwając taśmę.  
Potter wziął słuchawkę.  
- Lou? - spytał spokojnie.  
- Musisz zrozumieć jedną rzecz, Art. Nie zależy mi na tych panienkach. Obchodzą mnie tyle, co ptaszki, do których kiedyś strzelałem z werandy domu. Zamierzam się stąd wydostać i jeżeli będę musiał zabić jeszcze dziewczę, zrobię to. Rozumiesz? Słyszysz mnie?  
- Słyszę, Lou - odrzekł Potter. - Musimy sobie jednak wyjaśnić pewną rzecz. Jestem jedynym człowiekiem na świecie, który może cię stamtąd wyciągnąć żywego. Nikt inny. I musisz się ze mną liczyć. Ty też mnie rozumiałeś?  
- Zadzwoń potem, żeby przekazać nasze żądania.

13.25

Sprawa była skomplikowana i niebezpieczna. Nie chodziło o reelekcję. Chodziło o przyzwoitość i życie.  
Tak mówił sobie Daniel Tremain, wchodząc do rezydencji gubernatora. Prosty jak topola, skierował kroki przez zaskakująco skromnie urządzonej dom do przestronnego gabinetu.  
Przyzwoitość i życie.  
- Witam, kapitanie.  
- Dzień dobry, panie gubernatorze.  
Jego ekscelencja gubernator stanu Kansas, A. R. Stepps, patrzył na majaczący w oddali horyzont - pola zbóż takie same jak te, które finansowały towarzystwo ubezpieczeniowe jego ojca, dzięki czemu Stepps mógł się poświęcić służbie publicznej. Zdaniem Tremaina Stepps był doskonałym gubernatorem: miał koneksje, nie ufał Waszyngtonowi, wściekały go przestępstwa w Topece i zbrodniarze przysyłani przez Missouri do jego Kansas City, ale wytrzymywał to, mając w perspektywie emeryturę, którą chciał spędzić, wykładając w Lawrence i podróżując z żoną liniami Scandia.  
Ale dziś miał na głowie Crow Ridge.  
Gubernator uniósł wzrok znad faksu, który właśnie czytał, i przyjrzał się badawczo Tremainowi.  
Lustruj mnie, jeśli masz ochotę. Proszę bardzo. Oczywiście czarno-granatowy sprzęt szturmowy wyglądał dość osobliwie na tle oprawionych w ramki rycin przedstawiających kaczkę i mahoniowych pseudoantyków. Wzrok Steppsa najczęściej zatrzymywał się na dużym pistolecie automatycznym, który Tremain poprawił u pasa, siadając na ozdobionym pretensjonalnymi ślimacznicami krześle.  
- Zabił jedną, tak?  
Tremain skinął głową, którą zdobiły przerzedzone, krótko ostrzyżone włosy. Zauważył, że gubernator ma małą dziurkę na rękawie jasnoniebieskiego blezera i jest głęboko przerażony.  
- Co się stało?  
- Wygląda na morderstwo z premedytacją. Mam dostać dokładny raport, ale wszystko wskazuje na to, że nie było żadnego powodu. Miał ją wypuścić i dziewczyna wyszła z budynku, a potem strzelił jej w plecy.  
- Mój Boże. Ile miała lat?

- Była najstarsza. Kilkanaście. Mimo to...

Gubernator wskazał srebrny serwis.

- Kawy, herbaty? ... Nie? Nigdy pan tu nie był, prawda?

- W rezydencji gubernatora? Nie. - Dom trudno jednak było nazwać rezydencją; po prostu ładny dom, w którym tętniło życie rodzinne.

- Potrzebuję pańskiej pomocy, kapitanie. Chcę wykorzystać pańską wiedzę.

- Zrobię, co w mojej mocy, panie gubernatorze.

- Dziwna sytuacja. Ci ludzie uciekli z więzienia federalnego... którego, kapitanie?

- Z całym szacunkiem, panie gubernatorze, czasem mam wrażenie, jak gdyby w Callanie były drzwi obrotowe. - W ciągu ostatnich pięciu lat były tam cztery ucieczki. Nawet ludzie Tremaina złapali kilku zbiegłych więźniów, więcej niż służby federalne, których funkcjonariusze byli w opinii kapitana kimś w rodzaju za dobrze opłacanych opiekunek do dzieci.

Gubernator zaczął ostrożnie, jak ktoś próbujący wejść na pierwszy jesienny lód na jeziorze.

- Czyli, formalnie rzecz biorąc, są to uciekinierzy federalni, ale mają też na koncie wyroki stanowe. Być może nigdy ich nie odsiedzą, lecz są również przestępcami stanowymi.

- Akcją dowodzi jednak FBI. - Tremain dowiedział się od zastępcy prokuratora stanowego, że w tej sprawie nie skorzysta z jego usług. Kapitan nie znał się zbyt dobrze na hierarchii władz stanowych, lecz nawet dziecko wiedziało, że prokurator i jego podwładni pracują dla gubernatora. Ramię władzy wykonawczej. - Musimy się im oczywiście podporządkować. I może wyjdzie to nam na dobre.

- Ten Potter to dobry fachowiec... - rzekł gubernator, ale lekko zawiesił głos, pozostawiając na końcu zdania ledwie słyszalny znak zapytania.

Dan Tremain był profesjonalistą i nauczył się, by nigdy nie mówić niczego, co mogłoby zostać użyte przeciw niemu, jeszcze zanim opanował umiejętność zabezpieczenia naprzeciwległych wejść przed szturmem na zabarykadowany przez napastnika budynek.

- Podobno jest chluba FBI - powiedział, zakładając, że gdzieś niedaleko pracuje rejestrujący wszystko magnetofon, choć prawdopodobnie gubernator nie miał takich urządzeń.

- Ale? - Stepps pytająco uniósł brew.

- Moim zdaniem będzie twardy.

- To znaczy?

Za oknem tam i z powrotem poruszały się kombajny.

- To znaczy, że chce zmęczyć Handy'ego i zmusić do kapitulacji.

- Zdecyduje się w końcu na atak? Jeśli będzie musiał?

- Potter jest tylko negocjatorem. Federalna grupa HRT jest w drodze.

Powinni być na miejscu przed wieczorem.

- A jeżeli Handy się nie podda, wejdą tam i...

- I go zneutralizują.

Na okrągłej twarzy zjawił się uśmiech. Gubernator spojrzał tęsknie na popielniczkę, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Tremaina.

- Ile czasu upłynie, zanim zaatakują?

- Zgodnie z regułami atak jest ostatecznością. Kilka lat temu Rand Corporation robiła badania, z których wynika, że dziewięćdziesiąt procent zakładników ginie, kiedy robi się gorąco - podczas próby odbicia. Ale chciałem powiedzieć coś jeszcze, panie gubernatorze.

- Proszę. Niech pan będzie ze mną szczery.

Spod wściekle niebieskiego swetra gubernatora mignął skrawek papieru. Tremain poznał swój własny życiorys. Był dumny ze swojej kariery w policji stanowej, zastanawiał się jednak, czy nie znalazł się tu dlatego, że gubernator przeczytał krótki fragment o pracy w charakterze „konsultanta”, gdy Tremain po zwolnieniu z piechoty morskiej został wysłany do Afryki i Gwatemali.

- Badania Rand Corporation są dość dokładne. Ale tu w grę wchodzi jeszcze jeden fakt. Jeżeli zakładnik ginie stosunkowo wcześnie, negocjacje rzadko przynoszą skutek. Porywacz ma niewiele do stracenia. Czasem dochodzi do przesilenia psychologicznego i porywacz ma takie poczucie siły, że stawia coraz

większe żądania, których nikt nie może spełnić, a wówczas ma pretekst, żeby zabić zakładników.

Gubernator skinął głową.

- Jak pan ocenia Handy'ego?

- Po drodze czytałem jego kartotekę i chyba już znam jego profil psychologiczny.

- Czyli?

- Nie jest psychopata. Na pewno jest jednak amoralny.

Wąskie usta gubernatora na moment ułożyły się w uśmiech. Czyżby dlatego, pomyślał Tremain, że jego najemnik od mokrej roboty użył słowa „amoralny”?

- Moim zdaniem - ciągnął powoli, Tremain - zabije więcej dziewczynek. W ostateczności wszystkie. Jeżeli będzie mógł uciec, zabije wszystkie, dla symetrii.

Dla symetrii. Jak ci się to podoba, gubernatorze? Zajrzyj do mojego życiorysu w części „wykształcenie”. Mam dyplom z wyróżnieniem z Lawrence. Byłem najlepszy w szkole oficerskiej.

- Musimy wziąć pod uwagę jeszcze jedną rzecz - ciągnął kapitan. - Handy nie próbował za bardzo uciekać przed policjantem, który ich znalazł po południu.

- Nie?

- Był jeden policjant przeciw trzem uzbrojonym porywaczom. Jak gdyby Handy nie chciał uciekać, ale spędzić trochę czasu...

- Na czym?

- Z zakładniczkami. Rozumie pan, co mam na myśli. Same kobiety.

Gubernator podniósł swe ciężkie ciało z krzesła. Podszedł do okna. W oddali kombajny cesały płaskie pola. Dwie niezgrabne maszyny wolno zbliżały się do siebie.

Cholernie symetrycznie amoralne życie, co, gubernatorze?

- To nie jest zwykły porywacz, panie gubernatorze. Ma w sobie coś z sadysty.

- I naprawdę sądzi pan, że... skrzywdzi te dziewczynki? Wie pan, co mam na myśli?

- Myślę, że tak. Jeśli będzie mógł jednocześnie patrzeć przez okno. Jeden z jego kumpi to Sonny Bonner, który odsiadywał wyrok za gwałt. I za ucieczkę do innego stanu. Ale przede wszystkim został skazany za gwałt.

Na biurku gubernatora stały zdjęcia jego blond rodziny i czarnego labradora. Był też obrazek Jezusa Chrystusa.

- Pańscy ludzie są dobrzy? - zapytał gubernator szeptem.

- Bardzo dobrzy, panie gubernatorze.

Gubernator przetarł czerwone od niewyspania oczy.

- Może pan je stamtąd wydostać?

- Tak. Muszę zrobić wstępny plan operacji, żeby poznać liczbę ofiar, a potem oszacować przypuszczalne szkody.

- Kiedy będzie pan gotowy?

- Porucznik Carfallo ma zdobyć mapę terenu i plany architektoniczne budynku.

- Gdzie on teraz jest? Tremain zerknął na zegarek.

- Chyba na zewnątrz, panie gubernatorze.

Oczy gubernatora znów drgnęły nerwowo.

- Niech go pan poprosi, dobrze?

Chwilę później niski i krępy młody oficer rozwinął na biurku mapy i stare rysunki.

- Proszę o ocenę sytuacji, poruczniku - rzucił krótko Tremain.

Gruby palec wskazał kilka punktów na schemacie budynku.

- W tych miejscach da się zrobić wyłom. Wejdziemy, ogłuszemy ich granatami i weźmiemy w ogień krzyżowy. - Słyszac swobodny ton młodego oficera, gubernator znów się zaniepokoił. I słusznie, Carfallo był niebezpiecznym cwaniakiem. - Według mnie między wejściem a atakiem upłynie od sześciu do ośmiu sekund - ciągnął porucznik.

- To znaczy - wyjaśnił Tremain - sześć sekund od wysadzenia drzwi do namierzenia wszystkich trzech celów - czyli, hm, kiedy będziemy mieli wszystkich porywaczy na muszce.

- To dobrze?

- Doskonale. W ten sposób ofiary wśród zakładniczek będą minimalne albo nie będzie ich wcale. Nie można jednak oczywiście zagwarantować, że nikt nie zginie.

- Bóg nie daje nam gwarancji.

- Nie daje.

- Dziękuję, poruczniku - powiedział gubernator.

- Może pan odejść - warknął Tremain, a młody człowiek z kamienną twarzą zrobił w tył zwrot i zniknął.

- A co z Potterem? - spytał gubernator. - W końcu to on dowodzi.

- Jeszcze jedna ważna sprawa - odrzekł Tremain. - Zgodę na atak trzeba będzie odpowiednio umotywować.

- Odpowiednio umotywować - powtórzył w zamyśleniu gubernator. Po chwili zeszytniał, strzepując z mankietu zdradziecką szarobłękitną nitkę.

- Powiedzmy, że coś się stanie z łącznością między Potterem a Handym i między Potterem a ludźmi na polu. I powiedzmy, że ktoś z mojej grupy zauważy bardzo podejrzany ruch w rzeźni, który mógłby stanowić poważne zagrożenie dla funkcjonariuszy albo zakładniczek. Coś, na co Potter nie będzie mógł zareagować. Sądzę, że w takiej sytuacji powinniśmy mieć pełne prawo wkroczenia i zabezpieczenia terenu.

- Tak, tak, myślę, że tak. - Gubernator uniósł pytająco brew, lecz rozmyślił się i nie powiedział tego, co zamierzał. Uderzył dłonią w blat biurka.

- Dobrze, kapitanie. Moje instrukcje są następujące: pojedzie pan ze stanowym oddziałem specjalnym do Crow Ridge i udzieli wszelkiej pomocy i wsparcia agentowi Potterowi. Jeżeli z jakiegoś powodu agent Potter nie będzie w stanie dowodzić akcją, a napastnicy stworzą bezpośrednie zagrożenie dla zakładniczek albo funkcjonariuszy - albo kogokolwiek innego - ma pan prawo zrobić wszystko, co konieczne, by opanować sytuację.

Nagraj to na taśmę, jeśli chcesz. Któż może cokolwiek zarzucić mądrości i rozsądkowi tych słów?

- Tak jest. - Tremain zwinął mapy i rysunki. - Coś jeszcze, panie gubernatorze?

- Wiem, że najważniejszy jest teraz czas - rzekł wolno gubernator, poddając poważnego oficera ostatniej próbie. - Nie uważa pan jednak, że moglibyśmy poświęcić chwilkę na modlitwę?

- Będę zaszczycony, panie gubernatorze.

Obaj uklękli. Tremain zamknął swe zimne, niebieskie oczy. W gabinecie rozległy się słowa, wypowiedane szybko i wyraźnie, jak gdyby ich potok płynął prosto z serca Wszechmogącego, głęboko zatroskanego losem biednych dziewczynek, którym groziła śmierć w ciemnych korytarzach przetwórci Webbera & Stoltza.

Będziesz więc w domu.

Patrząc na zrozpaczoną kobietę, Melanie myślała: nikt nie może tyle płakać. Dotknęła ramienia pani Harstrawn, ale nauczycielka zanosła się jeszcze gwałtowniejszym szlochem.

Wciąż siedziały w okropnym pomieszczeniu ubojni. Cuchnące kałuże wody na posadzce z tęczową otoczką oleju. Brudne kafelki. Ani jednego okna. Zapach pleśni i gówna. I przenikająca ściany woń rozkładających się martwych zwierząt. Pomieszczenie kojarzyło się Melanie z łaźnią w „Liście Schindlera”.

Jej wzrok najczęściej zatrzymywał się na środku: na odpływie na krew, od którego promieniście rozchodziły się wąskie rynienki. Zaplamione na brązowo. Bardzo stara krew. Wyobraziała sobie ciele, które ryczy, potem wierzga i szamocze się, a krew tryska falami z przeciętego gardła prosto do odpływu.

Melanie zaczęła płakać, słysząc znów głos ojca mówiącego tamtej wiosny. Będziesz więc w domu. Będziesz w domu. Będziesz w domu...

Pomyślała o bracie, który leżał w szpitalnym łóżku sześćset mil stąd. Teraz już pewnie wie, już słyszał o zabiciu dwojga ludzi, którzy jechali cadillakiem, o porwaniu. Pewnie się martwi. Przykro mi, Danny. Bardzo bym chciała teraz być przy tobie.

Krew tryska w powietrzu...



Pani Harstrawn skuliła się i zadrżała. Jej twarz stała się sina i Melanie zapomniała na chwilę o własnej rozpaczce po Susan, obawiając się, że nauczycielka dostała udaru.

- Proszę - powiedziała na migi. - Dziewczynki się boją.

Ale kobieta nie zauważyła jej gestów albo nie potrafiła odpowiedzieć. Będziesz więc...

Melanie otarła twarz pani Harstrawn i przytuliła do piersi jej głowę. ...w domu.

Gdyby była w domu, jak chcieli rodzice (właściwie ojciec, ale decyzje ojca zawsze stawały się decyzjami obojga), nie znalazłaby się w tej rzeźni.

Ani żadna z nich.

I Susan by żyła.

Przestań o tym myśleć!

Obok ubojni przeszedł Niedźwiedź, zaglądając do środka. Ścisnął własne krocze, w połowie schowane pod okazałym brzuchem i warknął coś do Shannon. Pokazał na własne kolano, wspominał być może coś o tamtym kopniaku, jaki mu wymierzyła. Shannon próbowała mu posłać wrogie spojrzenie, ale spuściła oczy, patrząc na swoje ramię i trąc wykonany własnoręcznie, ale wyblakły już tatuaż z superbohaterem.

Brutus zawołał coś i Niedźwiedź uniósł głowę. Melanie zorientowała się, że grubas bardzo się go boi; zobaczyła w jego oczach autentyczny lęk. Zaśmiał się szyderczo. Zerknął na panią Harstrawn. Jednak najdłużej patrzył na najmłodsze dziewczynki, zwłaszcza na bliźniaczki i Emily - na jej sukienkę, białe podkolanówki i czarne błyszczące buciki. Sukienka została kupiona specjalnie z okazji występu Melanie w Teatrze Stanowym Kansas w ramach Lata Recytacji dla Niesłyszących. Ależ długo się jej przyglądał. Wreszcie z ociąganiem poszedł do głównego pomieszczenia rzeźni.

Wyciągnij je stąd, pomyślała Melanie. Wszystko jedno, co będziesz musiała w tym celu zrobić, ale wyciągnij je stąd.

A potem: nie mogę. Przecież Brutus mnie zabije. Zgwałci. Jest zły, jest z Zewnątrz. Pomyślała o Susan i znów zapłakała. Jej ojciec miał rację.

Będziesz więc w domu.

Wtedy by żyła.

Po występie w Topece nie byłoby żadnych sekretnych spotkań. Obeszłoby się bez kłamstw czy trudnych decyzji.

- Odsuńcie się pod ściany - poleciła dziewczynkom. Musiała je trzymać z dala od Niedźwiedzia, zabrać mu je z oczu. Posłusznie się przesunęły. Prawie wszystkie płakały, z wyjątkiem Shannon, na której twarzy malowała się złość i bunt. Kielle też miała suche oczy, choć wcale się nie buntowała i nie złościła, ale była dziwnie przygnębiona. Melanie bardzo to zaniepokoiło. Co dziewczynka miała w oczach? Cień tego, co wyrażały oczy Susan? Była dzieckiem o rysach dorosłej kobiety? Boże, jest w niej jakaś mściwość, chłód i czysta nienawiść. Czyżby ona miała zostać następczynią Susan? - zastanawiała się Melanie.

- To Magneto. - Kielle gestykulowała jakby od niechcienia, popatrując na Brutusa i zwracając się do Shannon. Był to przydomek, jaki ona nadała Handy'emu.

- Nie, to pan Okrutny - zaprotestowała Shannon. - Nie należy do Bractwa. Jest najgorszym z najgorszych.

Kielle zamyśliła się nad tym.

- Ale moim zdaniem...

- Przestańcie! - wtrąciła się do ich rozmowy Beverly. Jej ręce wznosiły się i opadały szybko i gwałtownie, jak jej pierś. - To nie jest jakaś głupia zabawa.

Melanie skinęła głową.

- Uspokójcie się już. - Och, pani Harstrawn! - błagała w duchu Melanie. Proszę... niech pani już nie płacze. Jej twarz czerwieniała, siniała, a ciałem targały dreszcze. Melanie uniosła ręce. - Nie poradzę sobie sama.

Ale pani Harstrawn była bezsilna. Milczała, leżąc na kafelkach podłogi z głową na jednej z rynienek, którą kiedyś płynęła krew umierających cieląt i jagniąt.

Melanie uniosła głowę. Dziewczynki patrzyły tylko na nią.

Muszę coś zrobić.

Ale pamiętała tylko słowa swojego ojca - wypowiedziane nierzeczywistym głosem - kiedy zeszłej wiosny siedział na huśtawce na werandzie ich domu. Był piękny poranek. Ojciec powiedział do niej:

- To jest twój dom i zawsze tu będziesz mile widziana. Rozumiesz, to kwestia przynależności i tego, co robi Bóg, by ludzie zostawali tam, gdzie powinni. Twoje miejsce jest tutaj, możesz tu pracować i przez swój, hm, problem nie wpadniesz w żadne kłopoty. Wola boska.

(Jak doskonale „słyszała” wtedy to, co mówił, wszystkie najtrudniejsze głoski. Tak dobrze, jak teraz rozumiała Handy’ego-Brutusa).

- Będziesz więc w domu - skończył ojciec i wstał, żeby zaprząć wóz ze zbiornikiem nawozu sztucznego. Melanie nie zdążyła nawet napisać odpowiedzi na bloczku, jaki w tym celu nosiła przy sobie.

Nagle uświadomiła sobie, że głowa Beverly kołysze się w przód i w tył. Dziewczynka dostała regularnego ataku astmy. Jej twarz pociemniała, oczy zamknęły się w rozpacz, a usta łapczywie wciągały powietrze. Melanie pogładziła ją po wilgotnych włosach.

- Zrób coś - powiedziały grube, niewprawne palce Jocylyn.

Cienie maszyn i drutów w pomieszczeniu stały się bardzo ostre, a potem zaczęły się chwiać. Melanie wstała i weszła do największego pomieszczenia rzeźni. Zobaczyła, że Brutus i Gronostaj przekładają lampy.

Może da nam choć jedną, proszę...

- Mam nadzieję, że on zginie, nienawidzę go - Kielle gestykulowała z pasją, krzywiąc się gniewnie, gdy spoglądała na Brutusa.

- Uspokój się.

- Chcę, żeby zginął!

- Przestań!

Beverly położyła się na podłodze, dając im znaki:

- Pomóżcie mi, proszę.

W drugim pomieszczeniu Brutus i Gronostaj usiedli obok siebie pod rozkołysaną lampą; światło odbijało się od krótkich jasnych włosów Gronostaja. Gapili się w mały telewizor, skacząc po kanałach. Niedźwiedź stał przy oknie, licząc coś. Pewnie radiowozy, pomyślała Melanie.

Podeszła do nich. Przystanąła dziesięć stóp od mężczyzn. Brutus obrzucił spojrzeniem jej ciemną spódnicę, ciemnoczerwoną bluzkę, złoty wisiołek - prezent od Danny’ego. Przyglądał się jej z tym swoim zaciekawionym uśmiechem. Nie tak jak Niedźwiedź, który gapił się na jej piersi i nogi. Ten patrzył przede wszystkim na twarz i uszy. Melanie zdała sobie sprawę, że w ten sam sposób przyglądał się zdruzgotanej pani Harstrawn - jak gdyby dodawał kolejny okaz do swojej kolekcji ludzkich tragedii.

Pokazała, że chce coś napisać.

- Powiedz - rzekł wolne i tak głośno, że wyraźnie poczuła na ciele wibracje. - Powiedz to.

Pokazała na swoje gardło.

- Nie możesz też mówić?

Nie będzie mówić. Choć z jej strunami głosowymi wszystko było w porządku. Straciła słuch stosunkowo późno, więc знаła podstawy artykulacji. Mimo to wzorem Susan Melanie unikała mówienia, bo nie było to w dobrym stylu. Świat Głuchych miał pretensje do ludzi, którzy balansowali na granicy obu światów - Głuchych i Innych. Melanie od pięciu czy sześciu lat nawet nie próbowała wypowiedzieć słowa.

Pokazała Beverly i ciężko wciągnęła powietrze. Dotknęła własnej piersi.

- Tak, ta chora... Co z nią?

Melanie udała, że łyka lekarstwo.

Brutus pokręcił głową.

- Gównu mnie to obchodzi. Wracaj tam i siedź.

Melanie złożyła dłonie jak do modlitwy, jak gdyby chciała go błagać.

Brutus i Gronostaj wybuchnęli śmiechem. Brutus zawołał coś do Niedźwiedzia i Melanie nagle poczuła, jak podłoga zadrżała od ciężkich kroków zwalistego mężczyzny. Silne ramię objęło ją w pół i Niedźwiedź powłókł ją do ciemnej ubojni. Jego palce mocno ścisnęły jej sutek. Odrzuciła jego dłoń, po czym znów się rozplakała.

Kiedy dotarli na miejsce, odepchnęła go, ładując na podłódze. Chwyliła jedną z leżących na podłódze lamp i przycisnęła do siebie, parząc sobie ręce. Mimo to ścisnęła ją kurczowo, jakby to była boja ratunkowa, która miała ocalić jej życie. Niedźwiedź pochylił się i wydawało się, że chce ją o coś zapytać.

Ale wtedy zrobiła to samo co tamtego dnia wiosną po rozmowie z ojcem na werandzie. Nie odpowiedziała, po prostu odeszła.

Tamtego majowego dnia wspięła się po skrzypiących schodach i usiadła na starym fotelu bujanym w swojej sypialni. Teraz leżała na posadzce ubojni. Znów była dzieckiem, młodszym nawet od bliźniaczek. Na szczęście mogła zamknąć oczy i w ten sposób odejść. Postronny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że zemdląca. W rzeczywistości jednak Melanie była daleko stąd, w jakimś innym, bezpiecznym miejscu, o którego istnieniu nie wiedział nikt prócz niej.

Podczas rekrutacji nowych negocjatorów Arthur Potter doznawał szczególnego uczucia, jak gdyby rozmawiał ze swoimi klonami. Opanowanymi, szarymi i zaniedbanymi gliniarzami w średnim wieku.

Przez pewien czas uważano, że negocjacje powinni prowadzić psychologowie; jednak choć barykada pod wieloma względami przypomina sesję terapeutyczną, terapeuci się tam nie sprawdzają. Mają zbyt analityczne umysły i koncentrują się na diagnozie. Rozmowa z porywaczem nie ma na celu ustalenia, czy ten pasuje do konkretnego modelu zaburzeń psychicznych, ale nakłonienie go, by wyszedł na zewnątrz z podniesionymi rękami. Wymaga to rozsądku, koncentracji, przenikliwego umysłu i cierpliwości (nad którą Potter pracował), zdrowego stosunku do samego siebie, rzadkiego talentu do mówienia i jeszcze rzadszej zdolności słuchania.

Najważniejsze jest jednak, by negocjator umiał panować nad swoimi emocjami.

Arthur Potter właśnie się z nimi zmagał. Usiłował wymazać z pamięci obraz eksplodującej tuż przed jego oczami piersi Susan Phillips, gorący dotyk kropelek krwi na twarzy. W ciągu lat negocjowania z porywaczami przetrzymującymi zakładników przeżył wiele podobnych doświadczeń. Nigdy nie był jednak tak blisko ofiary, którą zabito z zimną krwią.

Zadzwoił Henderson. Reporterzy słyszeli odgłos strzału i umierali z niecierpliwości, żeby zdobyć jakieś informacje.

- Powiedz im, że za pół godziny złożę oświadczenie. Do twojej wiadomości, Pete - ale nikomu ani słowa - właśnie zabił jedną zakładniczkę.

- O, Boże, nie. - Wydawało się jednak, że agent w ogóle się tym nie przejął; był wręcz zadowolony - może dlatego, że Potter wziął na siebie kierowanie akcją, która mogła się zakończyć wielką tragedią.

- Wykonał na niej wyrok. Strzelił jej w plecy. Słuchaj, to się może bardzo źle skończyć. Przekręć do Waszyngtonu i spróbuj ich pogonić z HRT, dobra?

- Dlaczego to zrobił?

- Bez wyraźnego powodu - odrzekł Potter i na tym skończyli rozmowę.

- Henry? - powiedział do LeBowa Potter. - Potrzebuję twojej pomocy. O czym mam nie mówić?

Negocjatorzy starają się wzmocnić porozumienie z porywaczami poprzez odwoływanie się do spraw osobistych. Lecz pytanie o jakiś drażliwy szczegół mogło doprowadzić zdenerwowanego porywacza do szału, a w konsekwencji nawet spowodować czyjąś śmierć.

- Mam mało danych - powiedział wywiadowca. - Chyba lepiej unikać tematu służby wojskowej. I nie pytać o brata, Rudy'ego.

- A rodzice?

- Nie wiemy, jak mu się układały stosunki z nimi. Trzeba będzie krażyć wokół tematu, aż dowiemy się czegoś więcej.

- Dziewczyna? Jak się nazywa?

- Priscilla Gunder. Tu chyba nie będzie żadnych problemów. Wyobrażali sobie, że są jak Bonnie i Clyde.

- Tylko że rzuciła go, kiedy poszedł siedzieć - wtrącił Budd.

- To ważne - rzekł Potter, postanawiając, że będzie czekać, aż Handy sam wspomni o dziewczynie, i przytakiwać mu albo powtarzać jego słowa.

- Zdecydowanie unikaj rozmowy o byłej żonie. Zdaje się, że bardzo między nimi iskrzyło.

- Czyli ogólnie stosunki międzyludzkie - podsumował Potter. Typowe dla kryminalistów, którzy brali zakładników. Psychopaci chcieli zwykle rozmawiać o byłym partnerze, którego wciąż kochali. Patrząc na rzeźnię, Potter oznajmił: - Chcę spróbować wydostać jedną z dziewczynek. Którą? Co na razie wiemy o zakładniczkach?

- Parę niepowiązanych ze sobą faktów. I nie będziemy mieli więcej, dopóki nie przyjedzie Angie.

- Pomyślałem sobie... - zaczął Budd.

- Słucham, mów.

- Pomyślałem o tej małej z astmą. Wspominałeś o niej wcześniej w rozmowie z Handym, ale teraz chyba ma dość jej ataków kaszlu - o ile znam się na astmie. Wydaje mi się, że takie rzeczy łatwo go wkurzają. Prawdopodobnie sam ma ochotę ją wykopać.

- Dobra myśl, Charlie - rzekł Potter. - Tylko że zgodnie z psychologią negocjacji, jeśli spotkasz się z odmową, trzeba przejść do innej sprawy albo osoby. Na razie nie ma co negocjować uwolnienia Beverly. Gdybyśmy próbowali ją wydostać, wykazalibyśmy słabość, a on nie może się zgodzić, jeżeli przedtem odmówił, bo też nie chce okazać słabości. Henry, masz coś o innych dziewczynkach?

- Tak, Jocylyn Weiderman. Mam informację od Angie, że chodziła do poradni z powodu depresji. Często płacze i miewa ataki hysterii. Bardzo możliwe, że wpadnie w panikę i zacznie uciekać. Wtedy mogą ją zabić.

- Kupuję - powiedział Budd.

- Dobrze - oświadczył Potter. - Spróbujmy z nią.

Sięgnął po telefon, ale Tobe powstrzymał go gestem.

- Jest połączenie - oznajmił.

Telefon zabrzączał i w tym samym momencie włączył się magnetofon.

- Halo? - powiedział do słuchawki Potter.

Cisza.

- Co u was, Lou?

- Nieźle.

Potter siedział tuż przy grubej szybie okna furgonetki, ale jego głowa była zwrócona w inną stronę - patrzył na ekran komputera LeBowa, gdzie wyświetlił się plan architektoniczny rzeźni. Najgorszy przypadek z możliwych, koszmar każdego oddziału szturmowego. W tym momencie Handy był chyba w dużym pomieszczeniu, w którym dawniej trzymano przeznaczone na rzeź zwierzęta. Z tyłu budynku jednak znajdowały się trzy poziomy przeróżnych klitek - biur, pakowni, pomieszczeń, gdzie mielono mięso i robiono kiełbasy, oraz przestrzeni magazynowych - które były połączone labiryntem wąskich korytarzyków.

- Musicie być już dość zmęczeni - zaczął Potter.

- Słuchaj, Art. Powiem ci, czego chcemy. Pewnie masz włączony magnetofon, ale będziesz udawał, że nie.

- Oczywiście, że nagrywamy każde słowo. Nie zamierzam kłamać. Znasz nasze procedury.

- Nie cierpię swojego głosu na taśmie. Kiedyś na procesie puszczali taśmę z moim zeznaniem. Nie podobało mi się. Nie wiem też, dlaczego się wtedy przyznałem. Chyba zależało mi, żeby komuś opowiedzieć, co zrobiłem tamtej małej.

Chcąc dowiedzieć się wszystkiego o tym człowieku, Potter zapytał:

- A co jej zrobiłeś, Lou? - W myśli podpowiadał mu: Byłem wobec niej bardzo nieprzyjemny. Chyba nie będziesz miał ochoty słuchać.

- Nic przyjemnego, Art. Naprawdę nic przyjemnego. Ale byłem dumny ze swojego dzieła.

- Skurwiel - mruknął Tobe.

- Nikt nie lubi słuchać swojego głosu z taśmy, Lou - ciągnął swobodnie Potter. - Raz do roku prowadzę takie seminarium szkoleniowe. Nagrywają je. Nie mogę tego potem słuchać.

Zamknij się, Art, i posłuchaj.

- Nic mnie to nie obchodzi, Art. Przygotuj sobie ołówek i słuchaj. Chcemy śmigłowiec. Duży. Ośmioosobowy.

Dziewięć zakładniczek, trzech porywaczy i pilot. Czyli pięć osób miało zostać. Co się z nimi stanie?

LeBow pisał wszystko na komputerze. Klawisze były wyłożone od spodu bawełnianą tkaniną, więc prawie nie było słycać ich stuku.

- W porządku, chcecie helikopter. Policja i FBI mają tylko małe, dwuosobowe. Potrzebuję trochę czasu, żeby sprowadzić...

- Mówiłem już, Art. Nic mnie to nie obchodzi. Śmigłowiec z pilotem. To po pierwsze. Zrozumiałeś?

- Jasne, Lou. Ale pamiętasz, co ci powiedziałem. Jestem tylko zwykłym agentem. Nie mam upoważnienia, żeby brać helikopter. Muszę pogadać z Waszyngtonem.

- Art, w ogóle mnie nie słuchasz. To twój problem. Dzisiaj będę to często powtarzał. Nic-mnie-to-nie-obchodzi. Czas płynie, a mnie jest wszystko jedno, czy zadzwonisz na lotnisko kilka mil stąd, czy do samego papieża w świętym mieście.

- W porządku. Mów dalej.

- Chcemy jakieś jedzenie.

- To dostaniecie na pewno. Jakieś szczególne życzenia?

- Z McDonalda. I dużo.

Potter dał znak Buddowi, który szeptem zaczął wydawać polecenia przez swój telefon.

- Jedzenie w drodze.

Wejść w niego. Przeniknąć jego myśli. Potter przypuszczał, że zaraz zażąda alkoholu.

- I sto sztuk pocisków, kaliber dwanaście, giwerę, kamizelki i maski przeciwgazowe.

- Lou, chyba dobrze wiesz, że nie mogę tego zrobić.

- Nie, nie wiem.

- Nie mogę wam dać broni, Lou.

- Nawet gdybym wam dał dziewczynę?

- Nie, Lou. Broń i amunicja nie mogą być przedmiotem transakcji. Przykro mi.

- Coś często używasz mojego imienia, Art. Hej, a gdybyśmy chcieli się potargować, którą z dziewczyn byście chcieli? Macie ochotę na jakąś konkretną? Powiedzmy, że nie rozmawialiśmy o żadnej broni i tak dalej.

LeBow uniósł brwi i skinął głową. Budd pokazał Potterowi uniesiony kciuk.

Melanie, pomyślał odruchowo Potter. Uważał jednak, że podjęli słuszną decyzję, iż należy zabrać dziecko narażone na największe ryzyko - Jocylyn, która miała problemy ze sobą.

Potter poinformował go, że szczególnie zależy im na jednej z dziewczynek.

- Opisz mi ją.

LeBow odwrócił monitor w stronę Pottera. Ten przeczytał szybko wyświetlony tam tekst i powiedział:

- Krótkie, ciemne włosy, nadwaga. Dwanaście lat. Ma na imię Jocylyn.

- Ona? Ta zapłakana gówniara. Skomli jak szczeniak ze złamaną łapą.

Krzyżyk na drogę. Dzięki, że wybraliście grubą, Art. Jeżeli nie zgodzisz się na broń i amunicję, zastrzelimy ją za pięć minut.

Trzask przerwane połączenia.

14.00

Do diabła, pomyślał Potter, waląc pięścią w stół.

- O rany - mruknął Budd. A potem: - Jezus.

Potter wziął lornetkę i dostrzegł małą dziewczynkę, której twarz ukazała się w oknie rzeźni. Jej puciołowate policzki lśniły od łez. Czując lufę pistoletu, która dotykała jej krótkich włosów, mała zamknęła oczy.

- Odliczaj głośno, Tobe.

- Cztery minuty trzydzieści sekund.

- To ona? - szepnął Potter do LeBowa. - Jocylyn?  
- Na pewno.  
- Zauważyłeś, że mają półautomaty kalibru dwanaście? - spytał spokojnie Potter.

LeBow przytaknął.  
- I zapewne kończy im się amunicja.  
Derek zerknął na nich, zdenerwowany ich zimną krwią.  
- Jezu Chryste - wychrypiał Budd. - Zrób coś.  
- Co?  
- Nie wiem, zadzwoń i powiedz, że dasz mu amunicję.  
- Nie.  
- Cztery minuty.  
- Ależ on ją zastrzeli.  
- Nie sądzę. - Zrobi to czy nie, zastanawiał się Potter. Naprawdę nie potrafił odgadnąć.  
- Popatrzcie - powiedział Budd. - Tylko popatrzcie! Przystawił jej pistolet do głowy. Nawet stąd widzę, że mała płacze.  
- Handy właśnie chce, żebyśmy to widzieli. Uspokój się, Charlie. Uzbrojenie nigdy nie może być przedmiotem negocjacji.  
- Ale on ją zabije!  
- Trzy minuty trzydzieści sekund.  
- A jeżeli już nie ma żadnej amunicji? - powiedział Potter, starając się opanować zniecierpliwienie. - I siedzi tam z dwoma pustymi pistoletami i półautomatem?  
- Mógł sobie zostawić jeden nabój, żeby go wykorzystać na dziewczynkę. Urowadzenie zakładników jest w istocie postępującym zabójstwem. Potter wpatrywał się w twarz zgnębionego dziecka.  
- Musimy założyć, że jest dziewięć potencjalnych ofiar - wszystkie zakładniczki. Ale sto pocisków kalibru dwanaście? Liczba ofiar mogłaby się co najmniej podwoić.  
- Trzy minuty - oznajmił Tobe.  
Na zewnątrz Stillwell chodził nerwowo, mierzwiąc swoją gęstą czuprynę. Spoglądał to na furgonetkę, to na rzeźnię. Nie słyszał rozmowy, lecz widział twarz biednej dziewczynki majaczącą w oknie. Wszyscy widzieli.  
- Dwie minuty trzydzieści sekund.  
- Wyślij mu ślepaki. Albo kule, które zablokują ich broń.  
- Niezły pomysł, Charlie. Tyle że nie mamy pod ręką nic takiego. Nie sądzę, żeby tak wcześnie marnował kolejną zakładniczkę. - Potter nie był jednak do końca o tym przekonany.  
- Marnował? - odezwał się nagle Derek, oficer techniczny. Potter miał wrażenie, że policjant dodał szeptem: - Skurwysyn.  
- Dwie minuty - powiedział z niewzruszonym spokojem Tobe.  
Potter pochylił się bliżej okna. Zobaczył funkcjonariuszy, którzy popatrywali z niepokojem na furgonetkę, ukryci za swoją linią Maginota zbudowaną z radiowozów.  
- Minuta trzydzieści sekund.  
Co Handy robi? O czym myśli? Nie umiem go przejrzeć. Potrzebuję więcej czasu. Muszę więcej z nim rozmawiać. Za godzinę na pewno bym wiedział, czy ją zabije, czy nie. Teraz mogę mieć tylko mgliste obawy.  
- Minuta - zawołał Tobe.  
Potter wziął telefon. Wcisnął guzik szybkiego wybierania.  
- Połączenie.  
- Lou.  
- Art, postanowiłem, że chcę jeszcze sto sztuk amunicji do glocka.  
- Nie.  
- W takim razie sto jeden sztuk. Jedną kulkę stracę za trzydzieści sekund. Będę musiał uzupełnić.  
- Nie ma mowy o amunicji, Lou.  
Derek skoczył na równe nogi i chwycił Pottera za ramię.  
- Zrób to. Na litość boską!

- Sierzancie! - wrzasnął Budd, odciągając go i wpychając w przeciwległy kąt wozu.

- Pamiętasz, jak na jednym filmie zastrzelili gościa z Wietkongu? - ciągnął Handy. - Dostał w głowę i krew siknęła w górę jak z fontanny.

- Nie mogę tego zrobić, Lou. Nie słyszysz mnie? Masz jakieś zakłócenia na linii?

- Masz przecież negocjować - szepnął Budd. - Rozmawiaj z nim. - Wydawało się, jakby zaczął żałować, że odciągnął Dereka Elba.

Potter nie zwrócił na niego uwagi.

- Dziesięć sekund, Arthurze - powiedział Tobe, nerwowo skubiąc swoje przekłute ucho. Odwrócił się od swoich wskaźników i patrzył przez okno furgonetki.

Minęło dziesięć sekund, minut albo i cała godzina. W aucie panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć dobiegającego z głośników szumu połączenia telefonicznego. Potter zdał sobie sprawę, że nie oddycha, więc zmusił przeponeę do działania.

- Lou, jesteś tam?

Żadnej odpowiedzi.

- Lou?

Nagle w oknie - czyjaś ręka opuściła lufę pistoletu, złapała dziewczynkę za kołnierz i wciągnęła w głąb rzeźni. Mała zaskoczona otworzyła usta.

Potter układał w myślach następną kwestię Handy'ego: Hej, Art, co się dzieje?

- Art, co u was? - odezwał się z głośników pogodny głos Handy'ego.

- Tak sobie. A u ciebie?

- Git. Umówmy się tak: do przylotu śmigłowca co godzinę zabiję jedną. Równy co godzinę. Zaczynam o czwartej.

- Słuchaj, Lou, od razu ci mówię: potrzebujemy więcej czasu, żeby sprowadzić taki duży helikopter.

Gówny mnie to obchodzi. Masz robić, co mówię, pomyślał Potter.

Ale Handy zapytał z żartobliwą groźbą w głosie:

- Ile chcesz czasu?

- Kilka godzin. Może...

- Nic z tego, kurwa. Masz czas do piątej.

Potter zamilkł na krótką, starannie odmierzoną chwilę.

- Chyba możemy spróbować.

Handy wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem.

- Jeszcze jedno, Art - dodał.

- O co chodzi?

Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy. Wreszcie Handy warknął:

- Do tych hamburgerów mają być fritos. Dużo.

- W porządku. Ale ja chcę dziewczynkę.

- Hej - szepnął Budd. - Może lepiej go nie naciskać.

- Którą?

- Jocylyn. Tę, którą wystawiłeś w oknie.

- Jocylyn - powiedział Handy z nieoczekiwanym ożywieniem, znów zaskakując Pottera. - Śmiesznie, że ma tak na imię.

Potter pstryknął palcami, wskazując na komputer LeBowa. Wywiadowca przewiął tekst z opisem sylwetki Handy'ego i razem z Potterem próbował odnaleźć osobę z jego życia, która nosiła to imię - matkę, siostrę, kuratorkę sądową. Nic.

- Dlaczego śmiesznie, Lou?

- Jakies dziesięć lat temu pieprzyłem jedną kelnerkę, która się tak samo nazywała, i było naprawdę nieźle.

Potter poczuł zimny dreszcz przebiegający go od nóg do ramion.

- Smakowita dupeczka. To było, zanim poznałem Pris.

Potter przysłuchiwał się tonowi jego głosu. Zamknął oczy i pomyślał:

Tamta Jocylyn też była zakładniczką i zabiłem ją, bo... Nie potrafił zgadnąć, co Handy tu powie.

- Od dawna o niej nie myślałem. Tamta moja Jocylyn też była zakładniczką. Nie robiła tego, co jej kazałem. Po prostu nie chciała. Musiałem użyć noża.

Niektóre rzeczy należą do jego stałego repertuaru, myślał Potter. Na przykład wesołe wzmianki o nożu. Jednak w słowach też można się było czegoś dopatrzeć. Nie robiła tego, co jej kazałem. Potter zapisał to zdanie na kartce i podsunął LeBowowi.

- Chcę, żebyś ją oddał, Lou - powiedział.

- Och, nie musisz się martwić. Jestem wierny mojej Pris.

- Kiedy przywiozą jedzenie, proponuję wymianę. Co ty na to, Lou?

- Niewiele z niej będzie pociechy, Art. Chyba się złała w portki. A może za rzadko chodzi pod prysznic. Nawet Bonner się do niej nie zbliża. Pewnie wiecie, jaki z niego jebaka.

- Zajmiemy się sprowadzeniem śmigłowca. Niedługo będziecie mieli jedzenie. Jesteś mi winien dziewczynkę, Lou. Jedną zabiłeś. Jedna mi się więc należy.

Budd i Derek patrzyli na Pottera z niedowierzaniem.

- Nie - odparł Handy. - Nie sądzę.

- W helikopterze będzie miejsce tylko dla czterech albo pięciu zakładniczek. Oddaj jedną. - Czasem trzeba kłamać, innym razem uderzyć. - Jezu Chryste, Lou - powiedział ostro Potter. - Wiem, że chętnie byś je wszystkie zabił. Dałeś to nam wyraźnie do zrozumienia. Więc ją wypuść, dobra? Jedzenie przyniesie wam policjant, niech wróci do nas z dziewczynką.

Milczenie.

- Naprawdę nie chcesz innej?

Właściwie chciałbym wszystkie, Lou, pomyślał Potter.

Już pora na żart? Czy jeszcze za wcześnie?

Zaryzykował.

- Tak naprawdę chciałbym wszystkie, Lou.

Nastąpił moment wstrząsającej ciszy.

Potem w głośniku rozległ się chrapliwy śmiech.

- Ale z ciebie pistolet, Art. Dobra, oddam wam małą. Zsynchronizujemy zegarki, chłopcy. Czas płynie. Dostajecie grubą za jedzenie. Macie piętnaście minut. Później mogę zmienić zdanie. A o piątej wielki, piękny helikopter.

Trzask.

- Dobrze! - zawołał Tobe.

Budd kiwał głową.

- Niezłe, Arthur. To było niezłe.

Derek przez chwilę siedział przy swoim pulpicie z ponurą miną, ale w końcu uśmiechnął się z trudem i przeprosił. Potter zawsze chętnie wybaczał młodzieńcze porywy, więc uściśnął życzliwie dłoń policjanta.

Budd uśmiechnął się z ulgą.

- Wichita jest lotniczą stolicą Środkowego Zachodu - powiedział. - Cholera, za pół godziny możemy mieć helikopter.

- Nie damy im żadnego helikoptera - odrzekł Potter. Wskazał na tablicę „Obietnice/ Blef”. LeBow zapisał: „Helikopter na osiem osób do siedemnastej, termin ultimatum upływa za godzinę”.

- Nie zamierzacie mu dać śmigłowca? - szepnął Budd.

- Oczywiście, że nie.

- No to skłamacie.

- Dlatego jest na tablicy w rubryce „Blef”.

LeBow powiedział już znad klawiatury:

- Nie możemy mu dać szansy ucieczki, zwłaszcza helikopterem.

- Ależ zabije następną o piątej.

- Tak tylko mówi.

- Ale...

- To już moje zadanie, Charlie - rzekł Potter, przywołując resztki cierpliwości. - Jestem tu po to, żeby mu wybić z głowy takie pomysły.

I z metalowego dzbanka nalał sobie kubek bardzo niedobrej kawy.



Potter wsunął do kieszeni telefon komórkowy i wysiadł z furgonetki. Szedł pochylony, aż znalazł się w naturalnym rowie, który chronił go przed obstrzałem z rzeźni.

Przez część drogi towarzyszył mu Budd. Młody kapitan dowiedział się, że ruch na rzece ma prawo zatrzymać policja z Hutchinson, więc polecił im to zrobić, wywołując gniew kilku najemców, których każdy metr barek towarowych płynących do Wichity kosztował dwa tysiące dolarów za godzinę.

- Nie sposób wszystkim dogodzić - zauważył negocjator, ale myślał o czymś innym.

Zrobiło się jeszcze chłodniej - dziwny był ten lipiec z temperaturą w okolicach dziesięciu stopni Celsjusza - a powietrze miało metaliczny smak, może od spalin pracujących niedaleko żniwiarek, kombajnów czy jak się nazywały te ryczące maszyny. Potter pomachał do Stillwella, który chodził tam i z powrotem między policjantami i uśmiechając się zdawkowo, rozmieszczał ich na stanowiskach.

Potter zostawił Budda, wsiadł do samochodu FBI i pojechał do bazy operacyjnej na tyłach akcji. Byli tu już dziennikarze ze wszystkich sieci i stacji lokalnych trzech stanów oraz reporterzy i korespondenci z gazet wielkomiejskich i agencji prasowych.

Zamienił parę słów z Peterem Hendersonem, który - mimo swych wad i niskich pobudek, jakie nim kierowały - szybko zorganizował tu niezłą bazę transportową i zaopatrzeniową oraz ustawił namiot dla prasy.

Dziennikarze znali Pottera, więc gdy tylko wysiadł z samochodu, obstąpili go rozgorączkowani i zaczęli zarzucać pytaniami. Agresywni, dociekliwi, zasadniczy, z klapkami na oczach - właśnie takich się spodziewał. W ciągu lat, jakie spędził na negocjacjach, w ogóle się nie zmienili. Jak zwykle w pierwszym odruchu Potter pomyślał: strasznie byłoby się ożenić z kimś takim.

Wspiął się na przygotowane przez Hendersona podwyższenie i spojrzał w białe światła i wycelowane w niego kamery.

- Około ósmej trzydzieści dziś rano trzech zbiegłych przestępców uprowadziło grupę zakładników: dwie nauczycielki i osiem uczennic ze szkoły dla niesłyszących Laurenta Clerca w Hebronie. Przestępcy uciekli z więzienia federalnego Callana.

W chwili obecnej zakładniczek są przetrzymywane w opuszczonym budynku fabrycznym nad rzeką Arkansas półtorej mili stąd, na obrzeżach miasteczka Crow Ridge. Teren otoczyło kilkuset funkcjonariuszy sił policyjnych, miejscowych, stanowych i federalnych.

Właściwie trochę ponad stu, ale Potter wobec przedstawicieli czwartej władzy wolał odrobinę nagiąć prawdę niż ryzykować, że porywacze mogliby usłyszeć wiadomości i nabrać zbytnej pewności siebie.

- Jedna z zakładniczek zginęła...

Na tę wiadomość reporterzy wstrzymali oddech, nastawiając uszu. W górę wystrzelił las rąk i rozległ się gwar wykrzykiwanych pytań, lecz Potter rzekł tylko:

- Dopóki o zajściu nie powiadomimy rodzin, nie zostanie ujawniona tożsamość ofiary ani pozostałych zakładniczek. Jesteśmy w trakcie negocjacji z napastnikami, którymi są Louis Handy, Shepard Wilcox i Ray „Sonny” Bonner. Podczas negocjacji prasa nie będzie miała prawa wstępu w okolice miejsca zajścia. Będą państwo na bieżąco informowani o przebiegu akcji. To wszystko, co mam do powiedzenia w tym momencie.

- Agencie Potter...

- Teraz nie będę odpowiadać na żadne pytania.

- Agencie Potter...

- Proszę powiedzieć, agencie Potter...

- Czy porównałby pan tę sytuację do akcji przeciw Koreshowi w Waco?

- Musicie zezwolić naszym helikopterom na start. Nasi adwokaci skontaktowali się już z dyrektorem...

- Czy to zajście jest pod jakimś względem podobne do sprawy Weavera sprzed kilku...

Potter wyszedł z namiotu prasowego, mijając trzaskające cicho flesze i oślepiający blask świateł kamer wideo. Zbliżał się już do samochodu, gdy usłyszał za plecami głos:

- Agencje Potter, poświęci mi pan minutę?

Potter odwrócił się i ujrzał podchodzącego do niego mężczyznę, który lekko utykał. Nie wyglądał jak typowy pismak. Nie był jednym z tych telewizyjnych przystojniaczków, a zadając pytanie, mimo napastliwości nie był agresywny, wskutek czego Potter nabrał o nim trochę lepszej opinii niż o pozostałych. Był starszy od innych, miał ciemną karnację i twarz poorly głębokimi bruzdami. Ten przynajmniej wyglądał jak prawdziwy dziennikarz. Jak Edward R. Murrow.

- Nie będzie żadnych indywidualnych rozmów - powiedział mu negocjator.

- Wcale nie proszę o rozmowę. Jestem Joe Silbert z KFAL w Kansas City.

- Jeśli pan pozwoli...

- Kutas z pana, Potter - oświadczył Silbert, bardziej zmęczony niż zły.

- Jeszcze nikt nie zakazał latać śmigłowcom prasowym.

Najwyższe stawki, pomyślał agent.

- Dostanie pan informacje w swoim czasie, jak wszyscy.

- Chwileczkę. Wiem, że nic was nie obchodzimy. Że jesteście tylko uprzykrzonymi mendami. Ale my też mamy swoje do zrobienia. To najważniejsza wiadomość dnia. Dobrze o tym wiecie. Potrzebujemy czegoś więcej niż oświadczenia i pseudokonferencji prasowej jak ta przed chwilą. Tak dostaniecie w dupę od Admirała, że potem dojdziecie do wniosku, że w Waco było lepiej.

Ostatnie zdanie powiedział takim tonem, jak gdyby znał dyrektora FBI osobiście.

- Nic na to nie poradzę. Musimy zachować całkowite bezpieczeństwo.

- Jeżeli będzie za dużo ograniczeń, ci młodzi chłopcy mogą zrobić jakiś desperacki krok, żeby tylko wejść na zakazany teren. Wykorzystają skanery deszyfrujące, żeby przechwycić jakieś wiadomości, będą udawać policjantów...

- To nielegalne.

- Powtarzam tylko to, o czym mówili między sobą. Zaczynają się burzyć. A ja nie mam ochoty stracić największej bomby przez głupotę jakiegoś żółtodzioba po szkole dziennikarskiej, który postanowi łamać prawo.

- Wydałem rozkazy, by w okolicy budynku aresztowano każdego, kto nie należy do sił policyjnych. Z dziennikarzami włącznie.

Silbert przewrócił oczami.

- Jezu, Arnettowi było chyba łatwiej w Bagdadzie. Myślałem, że jest pan negocjatorem. Może lepiej by się pan zabrał do negocjacji?

- Powinienem już wracać.

- Proszę! Niech pan posłucha mojej propozycji. Chcę zorganizować coś w rodzaju agencji prasowej. Dopuszczę pan blisko miejsca akcji jednego albo dwóch dziennikarzy naraz. Bez kamer, aparatów, radia czy magnetofonów. Tylko z maszynami do pisania i laptopami. Albo lepiej z długopisem i ołówkiem.

- Joe, nie możemy ryzykować, by informacje o naszych planach trafiły do porywaczy. Mogą mieć radio.

W głosie Silberta zabrzmiała nutka groźby.

- Jeżeli nie uchylicie zakazów, zaczniemy snuć domysły na własną rękę.

Kilka lat temu akcja w Miami poniosła fiasko właśnie przez dziennikarza radiowego, który opisywał na antenie atak oddziału specjalnego, co usłyszeli napastnicy. Okazało się, że reporter zastanawiał się głośno, do czego mogłoby dojść, ale porywacze w przekonaniu, że rzeczywiście zaczął się szturm, zaczęli strzelać do zakładników.

- To groźba - powiedział spokojnie Potter.

- Tornada też stanowią poważną groźbę - odparł Silbert. - Ale zdarzają się w życiu. Słuchaj, Potter, co mam zrobić, żeby cię przekonać?

- Nic. Przykro mi.

Potter odwrócił się w stronę samochodu. Silbert westchnął.

- Kurwa. A może chcesz czytać materiały, zanim je puścimy? Będziesz je mógł cenzurować.

Coś takiego zdarzyło mu się po raz pierwszy w całej karierze negocjatora. Próbuje utrzymać równowagę między Pierwszą Poprawką do konstytucji

a bezpieczeństwem zakładników i policjantów, miał złe i dobre stosunki z prasą, ale nigdy nie spotkał dziennikarza, który by się zgodził na kontrolę swoich materiałów.

- To zasadnicze ograniczenie - zauważył Potter, w szkole czwarty z prawa w swojej grupie.

- Kilku reporterów rozmawiało już o sforsowaniu barier. Gdybyś zgodził się wpuścić ze dwóch, toby ich powstrzymało. Posłuchaj mnie.

- A ty chcesz być jednym z tych dwóch.

Silbert uśmiechnął się.

- Oczywiście, że chcę. Chcę być w pierwszej dwójce. Za godzinę mam relację. No, co o tym myślisz?

Co myślał? Że połowę kłopotów w Waco stanowiły kontakty z prasą. Że jest odpowiedzialny nie tylko za życie zakładniczek, policjantów i agentów, ale za wiarygodność samego FBI i jego publicznego wizerunku. Że mimo zdolności negocjacyjnych brak mu zręczności politycznej. Wiedział też, że Kongres, urzędnicy wymiaru sprawiedliwości i Biały Dom będą czerpać informacje o tym, co się tu dzieje, głównie z CNN i „Washington Post”.

- W porządku - zgodził się Potter. - Możesz się tym zająć. W porozumieniu z kapitanem Charliem Buddem.

Spojrzał na zegarek. Zaraz przywiozą jedzenie. Powinien wracać. Pojechał do furgonetki, kazał Buddowi ustawić za nią mały namiot prasowy i spotkać się z Joe Silbertem w sprawie ustalenia szczegółów umowy z dziennikarzami.

- Dobra. Gdzie jedzenie? - spytał Budd, spoglądając z niepokojem na drogę. - Czas się kończy.

- Ten termin nie musi być sztywny - odparł Potter. - Jeśli porywacz zgodzi się uwolnić zakładnika, największa przeszkoda jest już pokonana. On już zrezygnował z Jocylyn.

- Tak sądzisz?

- Zajmij się tym namiotem.

Ruszył do furgonetki, stwierdzając nagle, że wcale nie myśli o jedzeniu, helikopterach ani Lousie Handym, tylko o Melanie Charrol. I nie o tym, jak cenna zakładniczką może być w negocjacjach ani czy im pomoże, czy przeszkodzi w razie szturmu. Nie, zamyślił się nad bardziej ulotnymi rzeczami. Przypomniał sobie ruch jej ust, gdy mówiła do niego z ciemnego okna rzeźni.

Co mogła wtedy powiedzieć?

Wyobrażał sobie, jak mogłaby wyglądać rozmowa z nią. Był człowiekiem, który całe życie słuchał innych, rozmawiał z nimi. A tu miał głuchoniemą.

Usta szeroko rozchylone, potem zaokrąglone przy zamknięciu.

Spróbował powtórzyć te ruchy.

Szeroko, zamknąć, otworzyć, ryjek...

Mam, pomyślał nagle. Usłyszał w głowie: „STRZEŻ SIĘ”.

Powiedział to głośno:

- Strzeż się.

Tak, to było to. Ale dlaczego takie staromodne wyrażenie? Oczywiście: żeby on mógł je odczytać z ruchu warg. Przesadnego ruchu. Jasne. Nie: „Uważaj” ani „ostrożnie”, ani „jest niebezpieczny”.

Strzeż się.

Trzeba powiedzieć Henry’emu LeBowowi.

Potter ruszył do furgonetki i gdy był dwadzieścia stóp od wozu, bezszelestnie zbliżyła się do niego limuzyna. Zdawało mu się, że mijając go, samochód lekko skręcił, jak gdyby chciał mu odciąć drogę. Otworzyły się drzwi i z auta wysiadł wysoki, ogorzały mężczyzna.

- Wygląda to jak desant w Normandii - powiedział tubalnym głosem. - Oddziały wylądowały. Wszystko pod kontrolą, Ike? Panujesz nad sytuacją?

Potter zatrzymał się i odwrócił. Mężczyzna podszedł do niego, a jego uśmiech, jeśli to w ogóle był uśmiech, zniknął. Powiedział:

- Agencje Potter, musimy porozmawiać.

Jednak nie od razu zaczęli rozmawiać.

Uderzył w nich zimny podmuch wiatru i mężczyzna szczerzej otulił się marynarką, po czym, mijając Pottera, wolno wszedł na stok wzniesienia i spojrział w kierunku rzeźni.

Zauważywszy numer rejestracyjny Kansas, agent zachodził w głowę, kim może być gość. Nie zatrzymując się, powiedział do niego:

- Lepiej niech się pan cofnie. Stoi pan na linii ognia.

Wysoki mężczyzna podał mu dłoń, jednocześnie ściskając mu ramię lewą ręką. Przedstawił się jako Roland Marks, zastępca prokuratora stanowego.

Ach, ten. Potter przypomniał sobie wcześniejszą rozmowę telefoniczną. Ogorzały mężczyzna jeszcze raz popatrzył na budynek rzeźni, stojąc zupełnie na widoku.

- Lepiej uważać - powtórzył zniecierpliwiony Potter.

- Do diabła, mają karabiny, tak? Z celownikami laserowymi? Może jeszcze fazery i torpedy fotonowe, jak w „Star Treku”?

Nie mam czasu na bzdury, pomyślał Potter.

Mężczyzna miał rzymski nos i okazała posturę. Jego obecność tutaj była jak błękitny blask plutonu w reaktorze.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedział Potter. Wszedł do furgonetki i pytająco uniósł brwi. Tobe wskazał rzeźnię.

- Jak myszka - rzekł.

- Co z jedzeniem?

Budd poinformował go, że przywiozą za parę minut.

- Przyjechał Marks. Henry, znalazłeś coś na jego temat?

- Jest tu? - LeBow skrzywił się. - Dzwoniłem w kilka miejsc.

Bezkompromisowy dogmatyk. Ostry jak brzytwa. Specjalizuje się w przestępstwach gospodarczych. Fantastyczny procent wyroków skazujących.

- Typ „nie uznaję częściowych zwycięstw”?

- Otóż to. Ale ambitny. Raz ubiegał się o mandat w Kongresie. Przegrał, ale chodzą pogłoski, że ciągle ma ochotę na przeprowadzkę do Waszyngtonu. Przypuszczam, że będzie próbował wykorzystać sytuację do własnych celów.

Potter już dawno nauczył się, że kryzys związany z uprowadzeniem zakładników często pociąga za sobą kryzys stosunków publicznych i na równi z ludzkim życiem ważą się losy wielu karier. Postanowił postępować z Marksem bardzo ostrożnie.

- Aha, napisz, że rozszyfrowałem wiadomość od zakładniczki. „Strzeż się”. Przypuszczalnie mówiła o Handym.

LeBow przez chwilę patrzył na niego bez słowa. Potem skinął głową i pochylił się nad klawiaturą.

Na dworze Potter powiedział do Marksa, drugiego pod względem wpływów i ważności prawnika w stanie Kansas:

- Czym mogę panu służyć?

- A więc to prawda? Słyszałem, że zastrzelił jedną z dziewczynek?

Potter wolno pokiwał głową. Mężczyzna zamknął oczy i westchnął. Jego usta przybrały wyraz głębokiego smutku.

- Dlaczego to zrobił, na litość boską? Oszalał?

- W ten sposób chciał nam powiedzieć, że nie żartuje.

- Mój Boże. - Marks potarł twarz grubymi, wałkowatymi palcami. - Długo rozmawiałem z prokuratorem stanowym o tej sprawie, agencie Potter. Ogromnie się denerwowaliśmy, więc postanowiłem jak najprędzej przyjechać na miejsca i sprawdzić, czy władze stanowe mogą coś zrobić. Słyszałem o panu, Potter. O pańskiej reputacji. Wszyscy o panu słyszeli.

Agent zachował kamienną twarz. Sądził, że przez telefon był wystarczająco nieuprzejmy, żeby prokurator nie pojawił się więcej w jego życiu. Wyglądało jednak na to, że dla Marksa tamta rozmowa w ogóle się nie odbyła.

- Nie pokazuje pan kart, prawda? Zapewne tak trzeba. Przecież w pewnym sensie przypomina to pokera. Z bardzo wysoką pulą.

Najwyższą, pomyślał znów Potter, pragnąc z całego serca, żeby ten człowiek dał mu spokój i zniknął stąd.

- Jak wcześniej mówiłem, w tym momencie naprawdę nie potrzebujemy niczego od władz stanowych. Mamy funkcjonariuszy policji stanowej, a Charlie Budd został moim drugim dowódcą.

- Budd?

- Zna go pan?

- Oczywiście. Dobry policjant. A wszyscy dobrzy policjanci są moimi znajomymi. - Rozejrzał się wokół. - Gdzie żołnierze?

- Oddział antyterrorystyczny?

- Myślałem, że już dawno są na pozycjach, gotowi do akcji.

Potter nadal nie był do końca pewien, jakie zamiary ma naprawdę Topeka.

- Nie skorzystam ze stanowej grupy specjalnej. Za kilka godzin będzie tu federalna HRT.

- To trochę komplikuje sprawę?

- Dlaczego? - spytał niewinnie Potter, przypuszczając, że Marks chce, by szturm przypuściła grupa stanowa.

- Mam nadzieję, że nie planujecie ataku. Przypomnę sprawę Weavera. I Waco. Zginęli wtedy niewinni ludzie. Nie chcę, żeby tutaj zdarzyło się coś podobnego.

- Nikt nie chce. Szturm jest ostatecznością.

Z twarzy Marksa opadła maska jowialnego gaduły i prokurator śmiertelnie spoważniał.

- Wiem, że pan tu dowodzi, Potter. Powinien pan jednak znać stanowisko prokuratora stanowego - rozwiązanie pokojowe za wszelką cenę.

Potter uzmysłowił sobie, że do pierwszego wtorku listopada pozostały niecałe cztery miesiące\*. [Dzień wyborów prezydenckich w USA; w tym samym czasie odbywają się również wybory stanowe i municypalne (przyp. tłum.).]

- Mamy nadzieję, że dojdzie do pokojowego rozwiązania.

- Jakie stawia żądania? - zapytał Marks.

Czas pociągnąć za smycz? Jeszcze nie. Potter doszedł do wniosku, że obrażony Roland Marks mógłby narobić sporo szkód.

- Typowe. Śmigłowiec, jedzenie, amunicja. Dam mu tylko jedzenie. Zamierzam zmusić go do kapitulacji albo przynajmniej do oddania tytułu dziewczynek, ile się da wynegocjować, zanim wkroczy HRT.

Spostrzegł, że twarz Marksa stała się jeszcze ciemniejsza.

- Nie chcę, żeby dziewczynkom stała się jakakolwiek krzywda.

- Oczywiście. - Potter zerknął na zegarek.

Zastępca prokuratora stanowego ciągnął:

- Podsunę panu pomysł: pozwolić mu uciec helikopterem w zamian za wydanie zakładniczek. W śmigłowcu instaluje pan jedno z tych sprytnych urządzeń z „Mission Impossible”, a po wylądowaniu zamyka pan wszystkich.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Umożliwienie im ucieczki jest rozwiązaniem, które stosujemy tylko wówczas, gdy nie można go uniknąć.

- Nie czyta pan Toma Clancy'ego? Można wykorzystać wszystkie pluskwy i nadajniki, jakie człowiek wymyślił.

- Mimo to ryzyko jest za duże. Już teraz mamy ofiarę śmiertelną, a w najgorszym razie zginie pozostałych dziewięć zakładniczek i kilku ludzi z oddziału HRT.

Zszokowany Marks otworzył szeroko oczy. Potter „zimna ryba” ciągnął:

- Jeżeli ucieknie, może zabić dwa razy więcej osób. Albo trzy, cztery razy więcej.

- Przecież tylko okradł bank. To zwykły złodziej, nie żaden seryjny morderca.

Ilu trzeba ofiar, by ktoś został zakwalifikowany do kategorii seryjnych morderców? Potter spoglądał na odległe o kilka mil wzgórze, na których stokach pracowały kombajny. Pilot helikoptera mówił mu, że pszenicę ozimą sieje się w listopadzie, a potem dodał, że niszcząc trawy pod uprawę zbóż, biały człowiek upokorzył Indian Potawatomi i przyczynił się do fali burz piaskowych, jakie nękały ten region w latach trzydziestych.

Gdzie to cholerne żarcie? - pomyślał Potter, denerwując się, ponieważ minuty uciekały.

- A więc taka ma być rola dziewczynek? - zapytał Marks, już niezbyt przyjaźnie. - Mają być ewentualnymi ofiarami, to jest wliczone w ryzyko?

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Otworzyły się drzwi i z wozu wyjrzał Budd.

- Jedzenie jest już prawie na miejscu, Arthurze. O, witam, panie Marks.

- Dzień dobry, kapitanie. Powodzenia. Nie będzie wam łatwo, ale staniecie na wysokości zadania.

- Staramy się - odrzekł ostrożnie Budd. - Pan Potter jest prawdziwym ekspertem. Właściwie powinienem mówić agent Potter.

- Odwołam się - powiedział Marks. - Poinformuję gubernatora.

Kiedy limuzyna znikła na horyzoncie, Potter spytał Budda:

- Znasz go?

- Niezbyt dobrze.

- Ma jakieś plany?

- Przypuszczam, że za kilka lat chciałby się przeprowadzić do Waszyngtonu. Ale to porządny człowiek.

- Henry podejrzewa, że jeszcze tej jesieni chce ubiegać się o urząd.

- Nic nie słyszałem. Chyba jednak polityka nie wchodzi tu w grę. Martwi się o dziewczynki. To podobno bardzo rodzinny człowiek. Ojciec kilkorga dzieci, same córki. Jedna ma kłopoty ze zdrowiem, więc chyba naprawdę współczuje tym głuchym dziewczynkom.

Potter zdażył zauważyć wytartą obrączkę Marksa.

- Możemy mieć przez niego kłopoty?

- Nie przypuszczam. Ten jego sposób bycia, żarty i tak dalej, to tylko pozory.

- Nie mam na myśli jego poczucia humoru. Jakie ma koneksje?

Budd wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem.

- Charlie, wszystko zostaje między nami. Muszę wiedzieć, czy może nam zaszkodzić.

- Chodzi ci o to, że poinformuje gubernatora? Że niby są dobrymi kumplami?

- Tak.

- Wątpię, czy w ogóle będzie z nim rozmawiał. Widzisz, są normalni republikanie i republikanie republikańscy.

- Dobra, dzięki.

- Popatrz, są wreszcie.

Wyboistą drogą nadjechał radiowóz policji stanowej i zahamował obok nich z piskiem opon. Jednak nie przywiózł big maców i fritos dla Handy'ego. Wsiadły z niego dwie kobiety. Angie Scapello ubrana w granatowy kostium, z bronią wystającą zza cienkiego blezera i kaskadą czarnych włosów opadającą na ramiona. Twarz przysłaniały jej ciemne okulary w turkusowych oprawkach. Za Angie stała młoda, krótkowłosa brunetka w mundurze policyjnym.

- Angie. - Potter uścisnął jej dłoń. - Pozna moją prawą rękę. Kapitan Charlie Budd, z policji stanu Kansas. Agentka Angeline Scapello.

Podali sobie ręce i skinęli uprzejmie głowami.

Angie przedstawiła im swoją towarzyszkę.

- Frances Whiting z departamentu policji w Hebronie. Będzie naszą tłumaczką języka migowego.

Policjantka przywitała się z mężczyznami, spojrzała w kierunku rzeźni i skrzywiła się.

- Zapraszam do środka - rzekł Potter, wskazując furgonetkę.

Henry LeBow ucieszył się z informacji, jakie przywiozła Angie. Szybko zaczął je wstukiwać do komputera. Potter miał rację; w chwili gdy usłyszała o uprowadzeniu - zanim zdażyli zatankować odrzutowiec - rozmawiała już z ludźmi ze szkoły Laurenta Clerca, zaczynając powoli opracowywać sylwetki zakładniczek.

- Fantastycznie, Angie - powiedział LeBow, stukając w szaleńczym tempie w klawisze. - Jesteś urodzonym biografem.

Otworzyła kolejną teczkę, pokazując zawartość Potterowi.

- Tobe - rzekł negocjator. - Mógłbyś to powiesić?

Młody agent wziął zdjęcia dziewczynek i przypiął do tablicy korkowej, tuż nad komputerowym planem budynku rzeźni. U dołu każdej fotografii Angie napisała czarnym flamastrem nazwiska i wiek dziewczynek.

Anna Morgan, 7 lat

Suzie Morgan, 7 lat

Shannon Boyle, 8 lat

Kielle Stone, 8 lat

Emily Stoddard, 10 lat

Jocelyn Weiderman, 12 lat

Beverly Klemper, 14 lat

Zdjęcie Susan Phillips zostało na stole.

- Zawsze tak robicie? - Frances pokazała materiały na ścianie.

Patrząc na zdjęcia, Potter powiedział z roztargnieniem:

- Żeby wygrać, trzeba wiedzieć więcej od wroga. - Przyglądał się uroczym bliźniaczkom, które były najmłodsze. Ilekroć myślał o dzieciach, zawsze stawały mu przed oczyma bardzo małe istotki - być może dlatego, że z Marian nie mieli dzieci - i obraz nieistniejącego syna czy córki zatrzymał się w czasie, jak gdyby Potter był wiecznie młodym mężem, a Marian jego, powiedzmy, dwudziestopięcioletnią żoną.

Patrz, powiedział do siebie. Przypatrzcie im się wszyscy. Po chwili zorientował się, że poza skulonymi nad pulpitemi Derekiem i Tobem wszyscy spoglądają na fotografię, jak gdyby powiedział to na głos.

Potter poprosił Angie o informacje o dziewczynce, która miała zostać uwolniona - Jocelyn Weiderman.

Korzystając tylko z pamięci, Angie powiedziała:

- Wszystko wskazuje na to, że dziewczynka ma kłopoty. Jest głucha postjęzykowo - straciła słuch po przyswojeniu sobie zdolności językowych. Można by pomyśleć, że dzięki temu jest jej łatwiej, i rzeczywiście - szybciej się uczy. Ale jest jeszcze strona psychologiczna. Ludzie tacy jak ona nie zostają łatwo członkami kultury Głuchych. Wiesz, co to znaczy? „Głusi” przez duże „G”?

Patrząc na budynek rzeźni i znów szukając Melanie, Potter zaprzeczył.

Angie dała znak Frances, która wyjaśniła:

- „Głusi” przez małe „g” to ludzie, którzy nie słyszą - których łączy ta sama ułomność. Natomiast „Głusi” przez duże „G” oznacza według Głuchych ich społeczność i kulturę.

- Najwyższy status mają głusi od urodzenia, których rodzice oboje byli głusi i którzy unikają mówienia i czytania z ruchu warg. Jeżeli ktoś ma słyszących rodziców i sam urodzi się ze słuchem, wie, jak mówić i rozumie mówiących, nigdy nie osiągnie tego samego statusu. Ale i tak jest o oczko wyżej od kogoś, kto stara się uchodzić za osobę słyszącą - co próbowała robić Jocelyn.

- Mamy więc pierwszą przyczynę kłopotów dziewczynki. - Nie akceptuje jej ani świat słyszących, ani świat Głuchych.

Na dodatek ma nadwagę. Nie jest przystosowana do społeczeństwa. Dlatego jest najbardziej prawdopodobne, że to ona pierwsza wpadnie w panikę. Jeśli tak się stanie, Handy może pomyśleć, że mała go atakuje. Zresztą Jocelyn może się nawet do tego posunąć.

Potter skinął głową, jak zwykle wdzięczny Angie, że asystuje mu przy akcji. Specjalizowała się w psychologii zakładników - pomagała im dojść do siebie, przypominać sobie rzeczy, które mogły się okazać przydatne w podobnych sytuacjach w przyszłości, przygotowywała byłych zakładników do roli świadków w procesach porywaczy.

Kilka lat temu Potterowi przyszło do głowy, żeby wziąć ją ze sobą na jedną z akcji. Miała analizować informacje pochodzące od zakładników oraz oceniać samych zakładników i porywaczy. Często towarzyszyła mu też podczas wykładów ze strategii negocjacji, jakie prowadził.

- W takim razie musimy zrobić wszystko, żeby zachowała spokój - zauważył Potter.

Panika podczas wymiany zakładnika bywa zaraźliwa. Często ma tragiczne skutki.

- Może pani nauczyć naszego funkcjonariusza jakiegoś użytecznego zwrotu?  
- zwrócił się Potter do Frances. - Żeby umiał coś do niej powiedzieć.

Frances poruszyła dłońmi.

- To znaczy: „Spokojnie”. Ale języka migowego bardzo trudno się nauczyć i zapamiętać poszczególne znaki. Wystarczy mały błąd, żeby kompletnie zmienić znaczenie. Jeżeli trzeba się porozumieć, lepiej używać codziennych gestów, na przykład „chodź tu” albo „idź tam”.

- I niech się uśmiecha - poradziła Angie. - Uśmiech to uniwersalny język. Tego właśnie potrzebuje mała. Jeśli trzeba będzie powiedzieć coś bardziej złożonego, może to napisać?

Frances kiwnęła głową.

- Dobry pomysł.

- Dzieci, które nie słyszą od urodzenia, czasem uczą się czytać znacznie później niż pełnosprawne. Ale Jocylyn nie słyszy postjęzykowo i... - Angie zabrała Henry'emu swoje notatki i znalazła informację, której szukała - ma wysoki iloraz inteligencji, poradzi sobie z każdym zapisanym poleceniem.

- Derek, masz jakieś notesy i coś do pisania?

- I jedno, i drugie - odparł Elb, wydobywając skądś plik notatników i garść czarnych pisaków.

Agent spytał Angie, czy nie ma przypadkiem zdjęć nauczycielek.

- Nie... czekaj. Chyba mam zdjęcie Melanie Charrol. Tej młodszej.

Ma dwadzieścia pięć lat, przypomniał sobie Potter.

- Minał termin dowozu jedzenia - oznajmił Tobe.

- Ach, jest - powiedziała Angie, podając fotografię Potterowi.

Strzeż się...

Zdumiał się. Ze zdjęcia spoglądała na niego twarz znacznie piękniejsza, niż się spodziewał. W przeciwieństwie do reszty zdjęć to było kolorowe. - Melanie miała falujące jasne włosy z mocno podkreśloną grzywką, gładką bladą skórę, promienne oczy. Agent odniósł wrażenie, że patrzy na zdjęcie profesjonalnej modelki, a nie zwykłej nauczycielki. W twarzy, poza oczami, było coś dzieciennego. Potter przypiął fotografię do tablicy, tuż obok zdjęć bliźniaczek.

- Ma tutaj rodzinę? - zapytał.

Angie zerknęła do notatek.

- Dziekan u Laurenta Clerca mówił, że jej rodzice mają farmę niedaleko szkoły, ale w ten weekend są w St. Louis. Brat Melanie miał w zeszłym roku wypadek i jutro czeka go jakaś skomplikowana operacja. Jutro chciała wziąć wolne, żeby go odwiedzić.

- Farma - mruknął Budd. - Najbardziej niebezpieczne miejsca pod słońcem. Jakie my tam czasem dostajemy wezwania...

Zabrzącał telefon na konsolocie - szyfrowana linia. Tobe wcisnął guzik, potem przez chwilę mówił do mikrofonu.

- CIA - poinformował zebranych. Zaczął bardzo szybko mówić do słuchawki. Nacisnął kilka klawiszy, poradził się z Derekiem i włączył monitor. - Kwo ma obraz z SatSurv, Arthur. Zobacz.

Monitor powoli ożywał. Na ciemnozielonym tle, jak na ekranie radaru, widać było jasnozielone, żółte i bursztynowe pasma.

Pojawił się zarys budynku rzeźni, który otaczało mnóstwo czerwonych punkcików.

- Zielony to ziemia - wyjaśnił Tobe. - Żółty i pomarańczowy to drzewa i naturalne źródła ciepła. Czerwone kropki oznaczają gliniarzy. - Rzeźnia była na ekranie niebieskozielonym prostokątem. Tylko w pobliżu wejścia i okien kolor się nie zmieniał. -Prawdopodobnie lampy emitują trochę ciepła. Niewiele z tego wynika. Tyle że nikogo nie ma na dachu.

- Powiedz im, żeby nadawali obraz cały czas.

- Wiesz, ile to kosztuje? - spytał Tobe.

- Dwanaście tysięcy za godzinę - rzekł LeBow, z zadowoleniem wstukując dane. - Zapytaj, czy w ogóle go to obchodzi.

- Nie wyłączaj tego, Tobe - powiedział Potter.



- W porządku. Skoro jesteśmy tacy bogaci, to chcę w tym roku podwyżkę z tytułu wzrostu kosztów utrzymania.

Otworzyły się drzwi, w których ukazał się policjant objuczony brązowymi torebkami. Wnętrze furgonetki wypełniła woń tłustych hamburgerów i frytek.

Potter usiadł na krześle, ujmując w dłoń telefon.

Za chwilę miała nastąpić pierwsza wymiana.

14.45

Znów zgłosił się Stevie Oates.

- Ty co, masochista? - spytał go Potter.

- Nudno tak siedzieć na tyłku.

- Tym razem nie trzeba niczego rzucać. Przejdziesz się tylko kawałek.

Dean Stillwell stał obok młodego policjanta, podczas gdy zgodnie z instrukcjami Pottera dwaj agenci FBI w kamizelkach nakładali mu pod mundur dwie warstwy cienkiej kamizelki kuloodpornej. Stali za furgonetką. W pobliżu Charlie Budd kierował ustawianiem wielkich reflektorów halogenowych wycelowanych w rzeźnię. Letni dzień miał jeszcze trwać dość długo, ale chmury zgęstniały, światło dzienne nikło z każdą minutą i wydawało się, że nadchodzi zmierzch.

- Wszystko gotowe, Arthurze - zameldował Budd.

- Strzelaj - rozkazał Potter, przez moment spoglądając na policjanta.

Halogeny ożyły, rozbłyskując ostrym białym światłem, którego snopy wydobyły z półmroku front i boczne ściany rzeźni. Kiedy Budd kazał wyregulować ustawienie reflektorów, światła skupiły się na drzwiach i oknach po obu stronach budynku. Z powodu silnego wiatru stojaki światła trzeba było obciążyć workami z piaskiem.

Nagle od pola doleciał zagadkowy dźwięk.

- Co to? - zastanawiał się na głos Budd.

- Ktoś się śmieje - rzekł Stillwell. - Któryś z chłopaków. Hank, co się tam dzieje? - spytał przez radio szeryf. Przez chwilę słuchał odpowiedzi, a potem spojrział na rzeźnię przez lornetkę. - Popatrzcie na okno.

Potter wytknął głowę zza furgonetki. Przy tych światłach nikt z rzeźni nie miał szans oddać celnego strzału. Zwrócił szkła lornetki w stronę okien.

- Bardzo zabawne - mruknął.

By ochronić się przed oślepiającym blaskiem, Lou Handy nałożył ciemne okulary. Teatralnym gestem ocierał sobie czoło i stroił głupie miny ku radości widzów.

- Dość tego - surowym tonem oznajmił swoim ludziom Stillwell. - To nie jest show Lettermana.

Potter odwrócił się z powrotem do Oatesa, ruchem głowy wskazał cienki materiał kuloodporny.

- Gdyby cię postrzelili, będziesz miał paskudnego sińca. Musisz jednak wyglądać jak najmniej groźnie.

Angie wytłumaczyła, że kiedy porywacze widzą człapiącego w ich stronę policjanta ubranego jak kosmitę, stają się bardzo nerwowi.

- Częścią sukcesu jest strój.

- Jestem zupełnie niegroźny. Tak się w każdym razie czuję. Mam zostawić broń? Pistolet?

- Nie, ale schowaj go - powiedział Potter. - Przede wszystkim sobie musisz zapewnić bezpieczeństwo.

- Ja...

- To rozkaz - powiedział uroczyście Stillwell. Oswoił się już ze swoją rolą dowódcy akcji.

- Podejdziesz bardzo powoli - ciągnął Potter. - Jedzenie będziesz trzymał przy boku, tak żeby je widzieli. Cokolwiek się stanie, nie możesz wykonywać gwałtownych ruchów ani biec.

- Dobrze. - Oates wyglądał, jakby uczył się rozkazów na pamięć.

Z furgonetki wysiadł Tobe Geller, trzymając w dłoni małe pudełko z podłączonym przewodem, który rozszerzał się, przechodząc w gruby i krótki czarny

pręt. Agent przymocował pudełko do paska Oatesa z tyłu, chowając je pod ubraniem. Pałeczkę przymocował do jego włosów za pomocą spinek.

- Arthurowi nie dałbym rady tego założyć - powiedział Tobe. - Trzeba mieć pełno włosów.

- Co to?

- Kamera wideo. I słuchawka.

- To maleństwo? Poważnie?

Tobe podłączył aparat do nadajnika, przeciągając kabelek przez plecy Oatesa.

- Rozdzielczość nie jest najlepsza - rzekł Potter - ale obraz przyda się, kiedy wrócisz.

- Jak to?

- Wydajesz się dość spokojny, Stevie - powiedział LeBow. - Jednak w najlepszym razie będziesz w stanie zapamiętać czterdzieści procent tego, co tam zobaczysz.

- Och, Stevie wygląda na pięćdziesiąt procent - sprzeciwił się Potter. - Jeśli się nie mylę.

- Sama taśma niewiele nam powie - ciągnął wywiadowca. - Ale powinna ci odświeżyć pamięć.

- Jasne. Te hamburgery nieźle pachną - powiedział wesoło Oates, lecz jego mina mówiła, że jedzenie jest ostatnią rzeczą, jaka teraz zaprzęta jego uwagę.

- Angie? - rzekł Potter.

Agentka podeszła do nich, odgarniając z twarzy falę włosów, którymi targał wiatr.

- Tu jest zdjęcie dziewczynki, którą mają wypuścić. Ma na imię Jocylyn. - Jeszcze raz szybko udzieliła mu instrukcji, jak ma się zachowywać.

- Nie mów do niej - zakończyła Angie. - Mała nie zrozumie i może wpaść w panikę przekonana, że to bardzo ważna informacja. Cały czas się uśmiechaj.

- Uśmiechać się. Jasne. Co to dla mnie. - Oates przełknął ślinę.

- Dziewczynka ma nadwagę i chyba nie może za szybko biegać - dodał Potter, rozkładając mapę terenu wokół rzeźni. - Gdyby mogła się pospieszyć, najlepiej będzie wskoczyć do tego rowu, ciągnącego się przed budynkiem, a potem biec ile sił w nogach. Bylibyście osłonięci. Ale w takiej sytuacji będziecie musieli wrócić prostą drogą i spokojnie.

- Jak ta dziewczyna, którą zastrzelili? - zapytał Budd, ku niezadowoleniu wszystkich obecnych.

- Dobrze, Stevie - ciągnął Potter. - Podejdiesz do samych drzwi. Jednak pod żadnym pozorem nie wolno ci wchodzić do środka.

- A jak powie, że nie uwolni małej, jeśli nie wejdziesz?

- Wtedy ją zostawisz. Zostawisz im jedzenie i wrócisz. Chyba jednak ją wypuści. Postaraj się stanąć jak najbliżej drzwi. Zajrzyj do środka. Spróbuj ustalić rodzaj broni, jaką dysponują, czy mają radio, sprawdź, czy są jakieś ślady krwi, może są tam też zakładnicy albo porywacze, o których nic nie wiemy.

- Jak mogliby się tam dostać? - spytał Budd.

- Mogli od dawna czekać w środku na Handy'ego i resztę.

- No pewnie. - Budd miał niewyraźną minę. - Nie pomyślałem o tym.

Potter dalej instruował Oatesa.

- Nie wciągaj go w żadną rozmowę, nie sprzeczasz się z nim, nie mów nic poza odpowiadaniem na pytania skierowane bezpośrednio do ciebie.

- Myśli pan, że będzie mnie o coś pytał?

Potter spojrzał na Angie, która powiedziała:

- Całkiem możliwe. Być może będzie próbował trochę się z tobą drażnić. Te ciemne okulary - jest w nim coś z figlarza. Może będzie chciał cię wypróbować. Nie chwyć przynęty.

Oates niepewnie kiwnął głową.

- Będziemy słuchać waszej rozmowy - ciągnął Potter - i w każdej chwili mogę ci coś podpowiedzieć przez słuchawkę.

Oates uśmiechnął się blado.

- To będzie najdłuższe sto jardów w moim życiu.

- Nie ma się czym przejmować - rzekł Potter. - W tej chwili Handy myśli przede wszystkim o jedzeniu, a najmniej o tym, żeby kogoś zastrzelić.

Logika tego argumentu zdała się przekonać Oatesa, choć Potter przypomniał sobie, jak przed kilku laty w podobny sposób zapewniał młodego policjanta, że nic mu nie grozi, a parę chwil później porywacz strzelił mu w kolano i nadgarstek, bo pod wpływem impulsu uznał, że nie potrzebuje środków przeciwbólowych ani bandażu, które przyniósł mu funkcjonariusz.

Do torby z hamburgerami Potter wrzucił inhalator dla astmatyków.

- Nie mów mu o tym. Niech sam go znajdzie i zdecyduje, czy dać go Beverly, czy nie.

Budd trzymał kilka notesów i pisaków, które dostali od Dereka.

- To też zapakować?

Potter zamyślił się. Notes i pisak umożliwiałyby zakładniczkom porozumiewanie się z porywaczami i w ten sposób zwiększałoby się prawdopodobieństwo wystąpienia syndromu Sztokholm. Czasem jednak drobne odstępstwa od wcześniej poczynionych ustaleń rozwścieczały napastników. Jednym z owych odstępstw był inhalator. Co Handy pomyśli o drugim? Spytał o zdanie Angie.

- Być może jest socjopata - odrzekła po chwili. - Ale jak dotąd nie miał żadnych ataków furii ani niekontrolowanych wybuchów, prawda?

- Nie. Na razie jest całkiem spokojny.

W rzeczywistości jego spokój był przerażający.

- W porządku - powiedziała Angie. - Możesz to włożyć.

- Dean, Charlie - rzekł Potter. - Chodźcie tu na chwilę. - Szeryf i Budd stanęli przy nim. - Kto u was najlepiej strzela z karabinu?

- Sammy Bullock i - jak sądzisz? Chris Felling? To znaczy Christine. Moim zdaniem jest lepsza od Sammy'ego. Dean?

- Gdybym był wiewiórką i siedziałbym czterysta jardów od Chrissy, a ona złożyłaby się do strzału, nie próbowałbym nawet uciekać. Zmówiłbym tylko paciorek.

Potter przetaił okulary.

- Niech załaduje broń i weźmie jednego człowieka, żeby obserwował okna i drzwi rzeźni. Jeśli Handy albo ktoś inny będzie chciał strzelać, Chrissy może otworzyć ogień. Niech jednak celuje w futryny i parapety.

- Mówiłeś, zdaje się, że nie będzie żadnych strzałów ostrzegawczych - powiedział Budd.

- Takie są reguły - oświadczył z rozwagą Potter. - I obowiązują cały czas - dopóki nie zdarzy się sytuacja wyjątkowa.

- Aha.

- Zajmij się tym, Dean.

- Tak jest. - Szeryf oddalił się pospiesznie, schylony.

Potter wrócił do Oatesa.

- No, dobrze. Gotów?

- Mogę ci powiedzieć „powodzenia”? - zapytała młodego policjanta Frances.

- Bardzo proszę - zgodził się skwapliwie Oates. Budd poklepał go w ramię osłonięte płytą z kevlaru.

Melanie Charrol znała dużo opowieści biblijnych.

Życie wielu Głuchych było niegdyś silnie związane z religią, niektórzy i dziś byli bardzo pobożni. Biedne Boże owieczki... wystarczy je pogłodzić po łebku i zmusić do nauki mowy przynajmniej po to, żeby przebrnęły przez katechizm, komunię i spowiedź (oczywiście tylko we własnym gronie, by nie wprawiać w zakłopotanie słyszających-wiernych). Opat de l'Epee, choć szlachetny i błyskotliwy, stworzył francuski model języka migowego przede wszystkim po to, by wszystkie duszyczki, jakie miał w swej pieczy, trafiły do nieba.

Były jeszcze śluby milczenia składane przez mnichów i mniszki, którzy przyjmowali za pokutę ową „przypadłość” nieszczęśników. (Być może sądzili, że dzięki temu lepiej usłyszą głos Boży, lecz Melanie mogła ich zapewnić, że to guzik warte).

Opierała się o wyłożoną kafelkami ścianę ubojni, w najokropniejszym miejscu Świata Zewnętrznego, jakie można sobie wyobrazić. Dziesięć stóp od niej

leżała na boku pani Harstrawn, ze wzrokiem utkwionym w ścianę. Już nie płakała - wyczerpała cały zapas łez i była teraz pusta, suchutka. Kobieta normalnie mrugała oczami i oddychała, ale równie dobrze mogła być w śpiączce. Melanie podniosła się, by wyciągnąć jej nogę z kałuży czarnej wody pokrytej skorupą zielonkawej piany zmieszanej z tysiącami owadzich ciał.

Religia.

Melanie przytuliła bliźniaczki, czując kruchość dwóch kręgosłupów przez dwie identyczne jasnoniebieskie bluzy kowbojskie. Usiadła obok nich, przypominając sobie pewną opowieść słyszana kiedyś w szkółce niedzielnej. O pierwszych chrześcijanach w starożytnym Rzymie, którzy czekali na męczeńską śmierć w Koloseum. Oczywiście nie chcieli się wyprzeć swojej wiary. Kiedy przyszli po nich centurioni, wszyscy - mężczyźni, kobiety, dzieci - klęczeli pogrążeni w modlitwie. Niedorzeczna historia, która mogła się zrodzić tylko w umyśle naiwnego autora książki dla dzieci, a tam zdaniem dorosłej Melanie Charrol podobna czytanka nigdy nie powinna się znaleźć. Jednak wtedy, gdy miała osiem czy dziewięć lat, opowieść chwyciła ją za serce. I nadal chwyciła.

Wpatrzyła się w odległe światła, zatracając się w medytacji w rytm pulsującego blasku żółtej żarówki, która rosła, kurczyła się, rosła i znów się kurczyła; światło zmieniało się w twarz Susan, a potem w ciało pięknej młodej kobiety, które rwał żółte pazury lwów.

Osiem ptaszków drży w ciemnościach...

Ach, nie, teraz jest siedem.

Czy Jocylyn też miała zginąć? Melanie wyjrzała za załom ściany i spojrzała na stojącą w oknie dziewczynkę. Jocylyn szlochała, kręcąc głową. Za ramię trzymał ją Gronostaj. Stali przy częściowo uchylonych drzwiach.

Gdzieś w pobliżu coś się poruszało. Odwróciła głowę - odruchowa reakcja osoby niesłyszącej na ruch gestykulujących rąk. Kielle miała zamknięte oczy. Melanie patrzyła na jej dłonie, poruszające się według powtarzającego się schematu, nie umiając odczytać wiadomości. Wreszcie zrozumiała, że Kielle wzywa Rosomaka, jeszcze jednego bohatera z komiksów.

- Zrób coś! - powiedziały dłonie Shannon. - Melanie! - Jej drobne palce młóciły powietrze.

Zrób coś. Racja.

Melanie pomyślała o de l'Epeem. Miała nadzieję, że myśl o nim ożywi jej zmartwiałe serce. Tak się nie stało. Była bezradna jak zwykle, kiedy patrzyła na Jocylyn, która obejrawszy się za siebie, zauważyła jej spojrzenie.

- Zabijają mnie - gestykulowała z płaczem dziewczynka; jej pucołowate i blade jak melon policzki lśniły od łez. - Pomóż mi, proszę.

Świat Zewnętrzny...

- Melanie. - Ciemne oczy Kielle zabłyśły. Dziewczynka nagle zjawiała się obok niej. - Zrób coś!

- Co? - odpowiedziała Melanie. - Mam go zastrzelić? Polecieć na skrzydłach i trafić go z góry?

- To ja coś zrobię - oświadczyła Kielle. Odwróciła się i ruszyła w stronę mężczyzn. Melanie bez namysłu skoczyła za nią. Mała była już w drzwiach ubojni, gdy nagle wyrósł przed nimi Niedźwiedź. Obie natychmiast się zatrzymały. Melanie otoczyła dziewczynkę ramieniem, zatrzymując wzrok na czarnym pistolecie, który tkwił za pasem Niedźwiedzia.

Wyszarpnij mu to. Strzel do niego. Nie myśl o tym, co będzie potem. Zrób to, przecież możesz. Jego brudne myśli są gdzie indziej. De l'Epee usłyszy strzał i przybędzie na ratunek. Złap ten pistolet. Strzelaj. Widziała już, jak naciska spust. Patrzyła na lśniący plastik rękojeści.

Niedźwiedź wyciągnął rękę i musnął jej włosy. Delikatnie, wierzchem dłoni. Miłosny, ojcowski dotyk.

W tym momencie Melanie zupełnie opuściły siły, jakie jeszcze mogły w niej drzeć. Niedźwiedź chwycił ją i Kielle za kołnierz i zawłócił z powrotem do ubojni. Straciły Jocylyn z oczu.

Jestem głucha, więc nie usłyszę jej krzyku.

Jestem głucha, więc nie usłyszę jej wołania o pomoc.

Jestem głucha, jestem głucha, głucha...

Niedźwiedź wepchnął je do kąta i zatarasował ciałem drzwi. Obrzucił krótkim spojrzeniem swych przerażonych jeńców.

Jestem głucha, więc już nie żyję. To bez znaczenia, nic już nie ma znaczenia.

Melanie zamknęła oczy, położyła na kolanach swoje piękne dłonie i wolna od pęt znów wymknęła się z ubojni.

- Włącz HP, Tobe - polecił Potter.

Byli już w furgonetce. Tobe otworzył aktówkę, w której spoczywał głosowy analizator stresu Hewlett Packard model 122, przypominający kardiomonitor.

- Sto dziesięć, z uziemieniem? - Wskazał głową gniazda. Derek Elb przytaknął.

Tobe podłączył do sieci i uruchomił maszynę. Wysunął się z niej wąski pasek papieru, jak paragon ze sklepowej kasy, a na ciemnym ekranie ukazała się zielona siatka. LeBow wskazał na Pottera, potem na siebie, Angie i na Budda.

- Stawiam na taką kolejność.

Frances i Derek przyglądali się ciekawie.

- Mylisz się, mój Watsonie - odparł Potter. - Moim zdaniem: ja, Angie, ty i Charlie.

Budd zaśmiał się niepewnie.

- O czym wy mówicie?

- Cicho wszyscy - powiedział Tobe, podtykając mikrofon Angie. - W czasie suszy szosa...

- Wystarczy - rzekł Tobe, kierując mikrofon w stronę Pottera.

- Miała baba koguta... - wyrecytował agent.

Henry LeBow zaczął deklamować przydługi cytat z „Burzy” Szekspira, lecz Tobe mu przerwał.

Budd podejrziwie zezował na zbliżający się do jego ust mikrofon.

- Trochę mnie denerwuje ten cyrk - powiedział.

Czwórka agentów parsknęła śmiechem.

- To analizator stresu - wyjaśnił zdziwionej Frances Tobe. - Czasem pomaga sprawdzić, czy ktoś mówi prawdę, ale najczęściej służy do oceny ryzyka. - Wcisnął guzik, a ekran podzielił się na cztery części. Cztery krzywe o różnych wierzchołkach i wklęsłościach znieruchomiały.

Tobe postukał w monitor, mówiąc:

- To Arthur. Nic nigdy nie wytrąca go z równowagi. Moim zdaniem regularnie sika w spodnie, ale jego głos nigdy tego nie zdradzi. Ty jesteś druga, Angie. Arthur miał rację. Otrzymujesz tytuł Zimnej Fladry. Ale Henry jest niewiele gorszy. - Zaśmiał się, pokazując ostatni wykres. - To nasz kapitan Budd, dość nerwowy osobnik. Proponowałbym jogę i ćwiczenia oddechowe.

Budd zmarszczył brwi.

- Gdybyś nie wsadzał mi tego do ust, lepiej by mi poszło. Albo gdybym wiedział wcześniej, o co chodzi. Dostanę jeszcze jedną szansę?

Negocjator wyjrzał na zewnątrz.

- Dzwonimy. Charlie, można wysłać Oatesa.

- Ruszaj, Stevie - powiedział Budd przez radio. Zobaczyli, jak policjant wślizguje się do rowu i zaczyna iść w stronę rzeźni.

Potter wcisnął guzik szybkiego wybierania numeru.

- Jest połączenie.

- Witaj, Lou.

- Art. Gruba gotowa jak indyk na Święto Dziękczynienia. Widzę, że chłopak od ciebie już idzie. Wziął dla mnie czekoladowy koktajl?

- To ten sam, który rzucił wam telefon. Ma na imię Stevie. Jest w porządku.

Potter pomyślał: To jeden z tych, co do nas przedtem strzelali?

- A może - powiedział Handy - to ten sam, który dał sygnał, żeby strzelać do naszego Shepa?

- Mówiłem ci, że to był wypadek, Lou. Powiedz, jak się wszyscy czują. Kogo to obchodzi?

- Dobrze. Przed chwilą zaglądałem.

Ciekawe, pomyślał negocjator. W ogóle nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Chce mnie uspokoić? Boi się? Może chce uspić moją czujność?

Albo na chwilę przestał grać drania i stał się normalnym Lou Handym, który na proste pytanie udziela logicznej odpowiedzi?

- Włożyłem też do worka lekarstwo na astmę.

Niech ją szlag trafi, kogo to obchodzi?

Handy roześmiał się.

- Dla tej, co tak świszczy? To ciężka zhora. Art, jak można spać przy takim dyszającym czymś?

- Jeszcze papier i pisaki. Gdyby dziewczynki chciały wam coś powiedzieć.

Cisza. Potter i LeBow spojrzeli po sobie. Był zły o papier?

Nie, po prostu rozmawiał z kimś w głębi rzeźni.

Niech o czymś myśli, byle nie o zakładniczkach i nie o Steviem.

- Jak się sprawują lampy? - spytał Potter.

- Nieźle. Ale te na zewnątrz są do dupy. Mogę je rozwalić?

- Wiesz, ile kosztują? Nie wypłaciłbym się.

Oates miał jeszcze do przebycia pięćdziesiąt stóp. Szedł spokojnym, równym tempem. Potter spojrział na Tobe'ego, który skinał głową i wcisnął kilka guzików na HP.

- Jesteś więc fanem McDonalda, tak, Lou? Nie ma to jak big mac.

- Skąd możesz wiedzieć? - zapytał sarkastycznie Handy. - Założę się, że nigdy nie jadłeś u Maca.

Angie pokazała mu wzniesiony kciuk, a Potter z zadowoleniem pokiwał głową. To dobry znak, kiedy porywacz odnosi się bezpośrednio do negocjatora. Proces przeniesienia przebiegał bez zarzutu.

- Pudło, Lou. Będziesz jadł to samo, co dwa razy w zeszłym tygodniu miałem na kolację. No, plus fritos. Też piłem koktajl. Waniliowy.

- Myślałem, że superagenci codziennie jedzą w najlepszych restauracjach. Steki i homary. I piją szampana. A potem pieprzą najładniejsze agentki.

- Cheeseburger z bekonem i ani kieliszka wina. A zamiast seksu druga porcja frytek. Naprawdę lubię moje kartofelki.

W niewyraźnym odbiciu w szybie Potter zauważył, że Budd wpatruje się w niego z wyrazem lekkiego niedowierzania na twarzy.

- Też jesteś gruby, jak ta mała, co ją trzymam za świńską nóżkę?

- Mógłbym spokojnie stracić parę funtów. Może nawet więcej niż parę.

Oates miał jeszcze pięćdziesiąt stóp do drzwi rzeźni.

Potter chciał wy badać więcej upodobań Handy'ego. Był jednak ostrożny. Czuł, że to może go rozdrażnić. Istnieje teoria, by porywaczy zakładników trzymać w stałym napięciu nerwowym, bombardując ich hałaśliwą muzyką lub bawiąc się ogrzewaniem i chłodzeniem opanowanych przez nich budynków. Potter nie wierzył w tę metodę. Stanowczość owszem, ale porozumienie przede wszystkim.

Handy był zbyt spokojny. Co go tak zajmowało? Myślenie? Muszę mieć większą kontrolę. W tym kłopot, pomyślał Potter - nie mogę przejąć od niego kontroli nad sytuacją.

- Chciałem cię zapytać, Lou... dość dziwna pogoda jak na lipiec, nie? Musi być wam zimno. Chcecie, żeby wam wykombinować jakieś ogrzewanie?

Nie, mamy tu trochę ciałek, którymi możemy się ogrzać - pomyślał Potter.

Lecz Handy odrzekł wolno:

- Może. W nocy ma być zimno?

Znów logiczna i rzeczowa odpowiedź. A w domyśle: być może szykuje się dłuższe oblężenie. Dzięki temu Potter będzie mógł przesunąć kilka terminów wyznaczonych przez Handy'ego. Zanotował te uwagi na kartce papieru i podsunął Henry'emu, by wprowadził je do komputera.

- Podobno chłodno i wietrznie.

- Pomyślę o tym.

Wystarczy posłuchać jego głosu, pomyślał Potter. Wydaje się tak rozsądny. Co mam o tym sądzić? Czasem zgrywa kowboja, innym razem mówi tonem agenta ubezpieczeniowego. Potter przebiegł wzrokiem schemat budynku rzeźni. Do rysunku przyklejono dwanaście żółtych karteczek samoprzylepnych, z których każda oznaczała porywacza lub zakładniczkę. Potter miał nadzieję, że ostatecznie zostaną umieszczone dokładnie w miejscach, w których naprawdę znajdowały się

poszczególne osoby. W tej chwili wszystkie karteczki były po jednej stronie schematu.

- Lou, jesteś tam?

- Pewnie, że jestem. A gdzie, kurwa, mam być? W samochodzie na I-70, w drodze do Denver?

- Nie słyszałem twojego oddechu.

Cichym, lodowatym tonem Handy powiedział:

- Bo jestem duchem.

- Duchem? - powtórzył Potter.

- Cicho jak kot podchodzę z tyłu, podcinam gardło i uciekam, zanim krew zdąży polecieć na ziemię. Wydaje ci się, że teraz jestem w rzeźni. W tym budynku, co przed sobą widzisz. Ale wcale mnie tam nie ma.

- Gdzie więc jesteś?

- Może właśnie zachodzę cię od tyłu, jestem tuż za samochodem. Widzisz, dobrze wiem, że siedzisz w tej furgonetce. I patrzysz przez okno. Może jestem pod tym oknem. Może czaję się w kępie traw, obok której przechodzi twój człowiek i jak będzie mnie mijał, odetnę mu jaja.

- A może ja też jestem w rzeźni, Lou.

Milczenie. Potter spodziewał się, że zaraz usłyszy śmiech.

Rzeczywiście, Handy wybuchnął szczerym śmiechem, dobywającym się prosto z brzucha.

- Dostanę dużo fritos?

- Bardzo dużo. Normalne i z grilla.

Stevie Oates był już przy budynku.

- Hej, puk-puk... Mamy gościa.

- Mam obraz - szepnął Tobe. Przygasił światła we wnętrzu furgonetki.

Wszyscy skupili się przy monitorze, na którym pojawił się obraz z kamery zainstalowanej nad prawym uchem Oatesa. Nie było za dobrze widać. Drzwi rzeźni uchylały się tylko na parę stóp, a szczegóły wewnątrz - rury, maszyny, stół - stały się niemal niewidoczne z powodu światła rzucanego przez rozkołysane lampy. Widać było sylwetkę tylko jednej osoby: Jocylyn, która zakrywała twarz dłońmi.

- Przyszedł ten chłopak od ciebie. Jak mu tam - Stevie? Chyba nigdy nie zastrzeliłem żadnego Stewiego. Wygląda cholernie nieswojo.

Głowy Jocylyn dotknęło coś, co wyglądało jak lufa. Ręce dziewczynki opadły wzdłuż ciała, a dłonie zacisnęły się w pięści. Z głośnika dało się słyszeć jej pochlipywanie. Potter modlił się, żeby snajper Stillwella zachował umiar.

Obraz wideo przez chwilę drżał.

Drzwi wypełniła sylwetka mężczyzny i zobaczyli lufę broni wycelowaną w Oatesa. Przez mikrofon zamontowany nad uchem policjanta usłyszeli:

- Masz broń? - Głos, który zadał pytanie, nie należał do Handy'ego.

Prawdopodobnie Wilcox; Bonner rzuciłby zdecydowanie większy cień.

Potter zerknął w dół, sprawdzając, czy wciska właściwie guziki, po czym powiedział do słuchawki w uchu Oatesa:

- Kłam. Bądź stanowczy, ale grzeczny.

- Nie mam. Tu macie, co zamawialiście. Jedzenie. Może teraz pan wypuści dziewczynkę... - Głos Oatesa w ogóle nie drżał.

- Dobrze, Stevie, świetnie ci idzie. Kiwnij głową, jeżeli z Jocylyn wszystko w porządku.

Obraz opadł lekko.

- Uśmiechaj się do niej.

Znów pochylenie.

- Masz mikrofon albo kamerę? - zapytał Oatesa Handy. Jego sylwetka pojawiła się obok Wilcoxa. - Nagrywasz mnie?

- Twój ruch - szepnął Potter. - Ale jeżeli powiesz „tak”, nie będzie wymiany.

- Nie - powiedział Stevie.

- Zabiję cię, jak się dowiem, że kłamiesz.

- Nie kłamię - odparł stanowczo i bez wahania Oates.

Dobrze, dobrze.

- Jesteś sam? Nikt się nie czai za drzwiami?

- Nie widzisz? Jestem sam. Jak mała?  
- Nie widzisz? - powtórzył, przedrzeźniając go Handy. Wysunął się z za Wilcoxa, stając w polu widzenia kamery. - Tu jest. Sam sprawdź.  
Nie zrobił żadnego ruchu, żeby ją puścić.  
- Wypuście ją - powiedział Oates.  
- Wejdź i sam ją zabierz.  
- Nie. Wypuście ją.  
- Masz na sobie kamizelkę?  
- Tak, pod koszulą.  
- Lepiej mi ją daj. Nam może się bardziej przydać.  
- Dlaczego tak uważasz? - odparł Oates. Jego głos zaczął się lekko łamać.  
- Bo tobie na pewno nie pomoże. Widzisz, możemy ci strzelić w łeb i zdjąć ci ten panczyk. Na to samo by wyszło, gdybyśmy ci strzelili w plecy, jak będziesz wracał. Może więc jednak dasz nam go teraz?  
Jeżeli Oates to robi, znajdują kamerę i nadajnik. I prawdopodobnie zabijają go na miejscu.  
- Powiedz im, że dobiliśmy targu - szepnął Potter.  
- Dobiliśmy targu - rzekł stanowczym tonem Oates. - Macie tu jedzenie. Oddajcie dziewczynkę. W tej chwili.  
Milczenie zdawało się trwać wieczność.  
- Połóż na ziemi - powiedział wreszcie Handy.  
Obraz drgnął, gdy Oates stawiał torbę na ziemi. Jednak policjant cały czas trzymał głowę skierowaną w stronę szpary w drzwiach. Niestety, zbyt duży kontrast nie pozwolił agentom zobaczyć prawie żadnego szczegółu wnętrza.  
- Masz - zatrzeszczał głos Handy'ego. - Bierz swoją Miss Piggy. Biegnij, maleńka, prosto do domu. - Rozległ się śmiech paru osób. Handy odsunął się od drzwi. Agenci stracili z oczu jego i Wilcoxa. Czyżby jeden z nich szykował się do strzału?  
- Cześć, skarbie - powiedział Oates. - Nie martw się, wszystko będzie dobrze.  
- Nie powinien do niej mówić - mruknęła Angie.  
- Przejdziemy się, co ty na to? Pójdziemy zobaczyć się z mamusią i tatusiem, co?  
- Lou - powiedział do telefonu Potter zaniepokojony, że porywacze zniknęli mu z oczu. Brak odpowiedzi. - Nie ufam mu - mruknął do swoich towarzyszy w furgonetce. - Cholera, nie ufam mu.  
- Lou?  
- Połączenie nie zostało przerwane - poinformował Tobe.  
- Nic do niej nie mów, Stevie - powiedział do Oatesa Potter. - Mała może spanikować.  
W odpowiedzi obraz lekko opadł.  
- W porządku. Wycofaj się stamtąd. Bardzo powoli. Potem zasłoń dziewczynkę, odwróć się i zacznijcie iść. Unieś głowę jak najwyżej, żeby hełm zasłaniał szyję. Gdyby do ciebie strzelili, przykryj małą ciałem. Otworzymy ogień osłonowy i jak najszybciej zabierzemy cię z powrotem.  
Z głośnika dobiegł ledwie słyszalny, niespokojny szept. Nie było jednak żadnej odpowiedzi.  
Nagle ekran monitora oszalał. Rozbłysło ostre światło, kontury się rozmazały i wszystko zaczęło podskakiwać.  
- Nie! - zawołał głos Oatesa. Potem rozległ się gardłowy pomruk i jęk.  
- Leży - powiedział Budd obserwujący pole przez lornetkę. - Rany.  
- Jezu! - krzyknął Derek Elb, patrząc w monitor.  
Nie słyszeli strzałów, ale Potter był niemal pewien, że Wilcox strzelił dziewczynce w głowę z pistoletu z tłumikiem, a teraz strzela do Oatesa. Obraz dalej wykonywał obłądny taniec, korowód rozmytych kształtów raz po raz przerywał osłepiający blask.  
- Lou! - wrzasnął Potter do telefonu. - Lou, jesteś tam?  
- Patrzcie! - krzyknął Budd, wskazując okno.  
Na szczęście nie stało się to, czego obawiał się Potter. Widocznie Jocylyn wpadła w panikę i skoczyła naprzód, masywnym ciałem przewracając Oatesa



na plecy. Biegła teraz przez wysoką trawę w kierunku pierwszej linii policyjnych radiowozów.

Oates zerwał się na nogi i ruszył za nią.

Potter postukał w guziki.

- Lou! - Grzmotnął pięścią w panel, włączając radio, przez które kontaktował się ze Stillwellem prowadzącym obserwację przez noktowizor. Obok szeryfa stała na stanowisku policjantka snajper.

- Dean? - powiedział do niego Potter.

- Tak jest.

- Widzisz coś w środku?

- Niewiele. Szpara w drzwiach ma nie więcej niż stopę szerokości. Ktoś tam stoi.

- A w oknach?

- Na razie nie ma nikogo.

Mimo swojej nadwagi Jocylyn prukała prosto do furgonetki jak olimpijski sprinter, wymachując ramionami i otwierając szeroko usta. Oates doganiał dziewczynkę, ale oboje stanowili doskonały cel.

- Powiedz snajperowi - zaczął Potter, gorączkowo lustrując okna rzeźni - niech odbezpieczy broń.

Mam dać rozkaz otwarcia ognia?

- Tak jest. Chwileczkę. Widzę Wilcoxa, stoi jakieś pięć jardów od okna. Ma broń i celuje.

Boże, pomyślał Potter. Jeśli snajper go trafi, Handy na pewno zabije w odwecie jedną z zakładniczek.

Strzeli czy nie?

Może Wilcox też wpadł w panikę, nie wiedząc, co się dzieje.

- Agencje Potter? - odezwał się Stillwell.

- Namierzyć cel.

- Tak jest... Chrissy ma Wilcoxa w celowniku. Mówi, że nie spudłuje. Nitki celownika dokładnie na czole.

Tak? Nie?

- Czekać - rozkazał Potter. - Obserwować cel.

- Tak jest.

Jocylyn oddaliła się już trzydzieści jardów od rzeźni. Oates był tuż za nią. Stanowili idealny cel. Seria pocisków skalibru dwanaście mogłaby im zgrudziotać nogi.

Zlany potem Potter wdusił dwa przyciski. Do telefonu powiedział:

- Lou, jesteś tam?

Po drugiej stronie był tylko szum połączenia albo oddech, albo nieregularne bicie serca.

- Każ się cofnąć snajperowi - rozkazał nagle Stillwellowi Potter. - Nie strzelać. Bez względu na to, co się stanie, nie strzelać.

- Tak jest - odparł Stillwell.

Potter pochylił się i czołem oparł o chłodną szybę.

W dwóch skokach Oates dopadł dziewczynki i pociągnął na ziemię. Mała, rozpaczliwie przebierając rękami i nogami, przewróciła się i razem z policjantem stoczyli się z pochyłości terenu, stając się niewidoczni z okien rzeźni.

Budd głośno odetchnął.

- Dzięki Bogu - mruknęła Frances.

Angie milczała, lecz Potter zauważył, że jej dłoń spoczywała na broni, ściskając kurczowo kolbę.

- Lou, jesteś tam? - zapytał znowu. Po chwili powtórzył.

Rozległ się suchy trzask, jak gdyby telefon owinięto w sztywny papier.

- Nie mogę rozmawiać, Art - rzekł Handy z pełnymi ustami. - Jem kolację.

- Lou...

W słuchawce trzasnęło i zapadła cisza.

Potter opadł na krzesło, przecierając oczy.

Frances zaczęła klaskać, a po chwili dołączył do niej Derek.

- Gratulacje - rzekł cicho LeBow. - Pierwsza udana wymiana.

Budd siedział poblady. Wolno wypuścił z siebie powietrze.

- Rany.

- Została nam tylko godzina i czterdzieści pięć minut do pierwszego terminu dostarczenia helikoptera - powiedział Potter.

Ze wszystkich osób w furgonetce tylko Tobe Geller wyglądał na strapionego.

Arthur Potter, bezdzietny ojciec, natychmiast to zauważył.

- Co jest, Tobe?

Agent stuknął w klawisze analizatora głosu i wskazał na ekran.

- To wykres twojego głosu podczas wymiany, Arthur. Mniejszy poziom zdenerwowania niż w przypadku umiarkowanie stresującej sytuacji.

- Umiarkowanie - mruknął Budd, przewracając oczami. - Dobrze, że nie masz mojego wykresu.

- A tu jest głos Handy'ego, przeciętna dziesięciosekundowa sekwencja. - Tobe stuknął w część ekranu, na której widać było niemal poziomą linię. - Stał w otwartych drzwiach, celowało w niego kilkadziesiąt luf, a sukinyin był mniej więcej tak zestresowany, jakby zamawiał sobie kawę w Seven-Eleven.

15.13

Nie poczuła huku strzałów ani drgań powietrza spowodowanych krzykiem.

Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Jocelyn-kluska była bezpieczna.

Tuląc do siebie bliźniaczki, Melanie kuliła się pod ścianą ubojni.

Kasztanowe włosy dziewczynek były wilgotne od łez i lepiły się im do policzków.

Melanie patrzyła na nagą żarówkę osłaniającą ją - z trudem - przed okrutnymi falami nadchodzącymi z Zewnątrz, które mogły ją roztrzaskać.

Jej palec począł nerwowo zaplatać pasmo włosów. Układ dłoni Melanie oznaczał słowo „blask”. Tak samo wyglądała „jasność”.

I „światło”.

Wzdrygnęła się, widząc ruch cienia. Do Gronostaja przypadła brodata postać Niedźwiedzia, który żując hamburgera, krzyknął parę słów. Nie doczekawszy się jednak odpowiedzi, zawołał coś jeszcze. Melanie nie potrafiła odczytać ani jednego słowa. Im bardziej ludzie się emocjonowali, tym szybciej i niewyraźniej mówili, a słowa stawały się zupełnie nieczytelne, jak gdyby nikt nie potrafił mówić wyraźnie wtedy, kiedy najbardziej trzeba.

Gronostaj spokojnie gładził swe krótko obcięte włosy, przypatrując się Niedźwiedziowi z lekko drwiącym uśmiechem. Prawdziwy kowboj, pomyślała Melanie. Okrutny jak inni, ale odważny i honorowy, a jeśli to są dobre cechy nawet u złych ludzi, wówczas stają się trochę lepsi. Nadszedł Brutus i Niedźwiedź nagle zamilkł. Chwyił tłustą łapą torebkę frytek i wycofał się do przeciwległej części pomieszczenia, gdzie usiadł i zaczął ładować jedzenie w gęstą brodę.

Brutus trzymał w ręce opakowanego w papier hamburgera. Spoglądał na niego rozbawiony, jak gdyby nigdy w życiu nie widział czegoś takiego. Nadgryzł kawałek i ostrożnie zaczął żuć. Przykucnął obok wejścia do ubojni, patrząc na dziewczynki i nauczycielki. Melanie pochwyciła jego wzrok i poczuła, że z przerażenia pali ją skóra.

- Hej, panienko - powiedział. Szybko spuściła oczy, czując mdłości.

Poczuła wibracje głuchego łomotu, spojrzała i wzdrygnęła się. Brutus grzmotnął dłonią w posadzkę tuż obok niej. Z kieszeni koszuli wyjął niebieskie tekturowe pudełeczko i rzucił jej. Był to inhalator przeciw astmie. Powoli otworzyła pudełko i podała inhalator Beverly, która chciwie wciągnęła lek.

Melanie odwróciła się do Brutusa, chcąc ruchem ust wyrazić podziękowanie, lecz on patrzył w drugą stronę - na panią Harstrawn, która dostała kolejnego ataku histerycznego płaczu.

- Coś z nią nie... tak bez przerwy.

Jak mogę rozumieć jego słowa, skoro nie rozumiem jego samego? Oto siedzi tu obok i przygląda się płaczącej kobiecie. Żuje hamburgera z tym przeklętym półuśmiechem. Nie można być aż tak okrutnym.

A może go rozumiem?

Melanie usłyszała znajomy głos. Będiesz więc w domu...

Wstań, wściekła się w duchu na starszą panią. Przestań płakać! Wstań i zrób coś! Pomóż nam. Przecież masz się nimi opiekować.

Będziesz więc...

Nagle jej serce zmroził lód, a strach pod wpływem gniewu wyparował. Gniewu i... czego jeszcze? Ciemnego ognia, jaki zaczął w niej tańczyć. Spojrzała w oczy Brutusa. Ten przestał jeść. Patrzył na nią bez drgnienia powieki, ale ona miała wrażenie, że do niej mruga, jak gdyby doskonale wiedział co Melanie myśli o pani Harstrawn i że on pomyślał sobie to samo. Przez ułamek sekundy biedna kobieta stała się obiektem ich wspólnej, bezlitosnej kpiny.

Z rozpaczą poczuła, że gniew odpływa, ustępując miejsca powracającemu lękowi.

Przestań na mnie patrzeć! - błagała go w duchu. Proszę! Opuściła drżącą głowę, ponownie wpadając w szloch. Znowu tak jak dotychczas siedziała z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami - uciekała. Do miejsca, w którym chroniła się już wcześniej przed rzeczywistością brudnej rzeźni. Do swojego sekretnego pokoju muzycznego.

Pokój jest w ciemnym drewnie, na ścianach wiszą gobeliny, wszędzie leżą poduszki, w powietrzu unosi się dym. Nie ma okien. Świat Zewnętrzny nie ma tu wstępu.

Stoi tu klawesyn z delikatnego palisandru, zdobiony filigranowymi kwiatuskami, inkrustowany hebanem i kością słoniową. Jest fortepian, którego ton przywodzi na myśl dźwięczący kryształ. Południowoafrykańskie berimbau, złoty wibrafon, przedwojenna gitara Martin o czystym tonie.

Od ścian odbija się głos Melanie, w którym brzmią instrumenty całej orkiestry. Mezzosoprany, sopran koloraturowe i alt.

Tego pokoju nigdy nie było i nigdy nie będzie. Był jednak zbawieniem dla Melanie. Kiedy drwiny w szkole stawały się nie do zniesienia, gdy nie mogła zrozumieć, co ktoś do niej mówi, gdy myślała o świecie, którego nigdy nie będzie w stanie doświadczyć, uciekała do pokoju muzycznego - jedyne miejsce, gdzie czuła się bezpieczna i które dodawało jej otuchy.

Zapomniała o bliźniaczkach, o dyszającej Beverly, o spazmach sparaliżowanej pani Harstrawn, o tym strasznym człowieku, który żywił się cierpieniem innych ludzkich istot. Zapomniała o śmierci Susan i własnej, która zapewne miała niedługo nadejść.

Siedząc na wygodnej kanapie w swoim pokoju, Melanie uznaje, że nie chce być sama. Potrzebuje czyjejś obecności. Kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Kogoś, z kim mogłaby się podzielić ludzkim słowem. Kogo mam tu zaprosić?

Melanie myśli o rodzicach. Ale nigdy przedtem ich tu nie zapraszała. Przyjaciele z Laurenta Clerca, z Hebronu, sąsiedzi, uczennice... Kiedy jednak myśli o nich, przed oczami staje jej Susan. I oczywiście brak jej odwagi.

Czasem zaprasza muzyków i kompozytorów - o których czytała, mimo że nigdy nie słyszała ich muzyki: Emmylou Harris, Bonnie Raitt, Gordona Boka, Patricka Balia, Mozarta, Sarria Barbera. Ludwiga oczywiście też. Ralpa Vaughana Williamsa. Nigdy Wagnera. Raz odwiedził ją Mahler, ale nie zabawił długo.

Stałym gościem w pokoju muzycznym był jej brat.

W istocie przez pewien czas Danny był tam jedynym gościem, ponieważ miała wrażenie, że z całej rodziny tylko on traktował jej niepełnosprawność zupełnie normalnie. Rodzice bez przerwy rozpieszczali córeczkę, trzymając ją w domu, nie pozwalając samej chodzić do miasta, wyskrobując ostatnie grosze na prywatnych nauczycieli i uzmysławiając jej niebezpieczeństwa czyhające na nią z powodu jej „defektu” - nigdy nie mówiąc wprost, że jest głucha.

Danny nie znosił jej nieśmiałości. Jeździła z nim do miasta ryczącą hondą 350, w czarnym kasku ozdobionym ognistymi skrzydłami. Zanim zupełnie straciła słuch, zabierał ją do kina i głośno powtarzał jej filmowe dialogi, czym doprowadzał do wściekłości innych widzów. Rodzice przyglądali się z niesmakiem, gdy paradował po domu w nausznikach dla pracowników obsługi naziemnej lotnisk, by się przekonać, jak wygląda świat siostry - bez dźwięków. Kochany Danny nauczył się nawet podstaw języka migowego i pokazał jej kilka zwrotów (takich, jakich nie mogłaby powtórzyć w obecności dorosłych Głuchych, choć później wzbudzały ogromny szacunek na dziedzińcu szkolnym u Laurenta Clerca).

Ach, lecz Danny...

Od jego wypadku w zeszłym roku nie miała sumienia zapraszać go ponownie. Próbuje teraz, lecz nie potrafi go sobie tu wyobrazić.

A dziś, otworzywszy drzwi, zastaje tu szpakowatego mężczyznę w średnim wieku, w niedopasowanej granatowej marynarce i okularach w czarnych oprawkach. Człowieka z pola przed rzeźnią.

De l'Epee.

A któż by inny.

- Dzień dobry - mówi głosem, który brzmi jak szklany dzwon.

- Witaj. - Wyobraża sobie, że ujmuje jej dłoń i całuje, trochę nieśmiało, a zarazem zdecydowanie.

- Jesteś policjantem, prawda? - pyta go.

- Tak - mówi.

Nie widzi go zbyt wyraźnie. Chęci nie ograniczają żadne bariery, z wyobraźnią jest inaczej.

- Wiem, że nie tak się nazywasz, ale czy mogę do ciebie mówić de l'Epee? Oczywiście zgadza się, jest przecież dobrze wychowany.

- Możemy chwilę porozmawiać? Tego mi najbardziej brakuje - mówienia.

Kiedy się już coś do kogoś powiedziało, rzuciło się w niego własnymi słowami we własnych uszach poczuło słowa rozmówcy. Język migowy już nigdy nie będzie tym, czym dotychczas.

- Naturalnie, rozmawiajmy.

- Chcę ci o czymś opowiedzieć. O tym, jak się dowiedziałam, że jestem głucha.

- Proszę... - Wydawał się szczerze zaciekawiony.

Melanie mówi mu, że chciała zostać muzykiem. Od chwili kiedy miała cztery albo pięć lat. Nie była cudownym dzieckiem, lecz miała wspaniały słuch i świetną pamięć do melodii. Uwielbiała każdy rodzaj muzyki - klasyczną, celtycką czy country. Wystarczyło, że usłyszała jakąś melodię jeden raz, by potem odtworzyć ją na rodzinnym pianinie Yamaha.

- A potem...

- Mów dalej.

- Gdy miałam osiem lat, prawie dziewięć, poszłam na koncert Judy Collins.

Po chwili ciągnie:

- Śpiewała a cappella jakąś piosenkę, której wcześniej nie słyszałam. Melodia, której nie da się zapomnieć...

Jak na zawołanie w wyimaginowanych głośnikach pokoju odzywa się wspomniana melodia grana na harfie celtyckiej.

- Mój brat miał program koncertu, więc nachyliłam się do niego i zapytałam o tytuł piosenki. Powiedział mi, że „Panieński grób”.

- Nie słyszałam - mówi de l'Epee.

- Chciałam zagrać tę piosenkę na pianinie - ciągnie Melanie. - To było... trudno to opisać. Miałam wrażenie, że muszę to zrobić. Musiałam się nauczyć tej piosenki. Nazajutrz po koncercie poprosiłam brata, żeby wstąpił do sklepu muzycznego i kupił mi nuty. Zapytał, jakiej piosenki. „Panieńskiego grobu”, powiedziałam. „Co to za piosenka?”, spytał. Był zdziwiony. Roześmiałam się. „Ta z koncertu, głuptasie. Ta, którą zaśpiewała na koniec. Sam mi mówiłeś, jaki jest tytuł. „ Wtedy on się zaśmiał. „Kto tu jest głuptas? «Panieński grób»? Co ty mówisz? To był «Pan ziemskich dróg». Stara pieśń gospel. Tak ci mówiłem”.

„Nie!”. Byłam przekonana, że słyszałam „Panieński grób”. Absolutnie pewna! Wówczas zdałam sobie sprawę, że wtedy po koncercie pochyliłam się, żeby go lepiej słyszeć, a kiedy któreś z nas jest odwrócone, nie słyszę, co Danny mówi. Gdy na niego patrzyłam, zawsze patrzyłam tylko na usta, nigdy w oczy ani na resztę twarzy. W ten sam sposób przez ostatnie sześć czy osiem miesięcy patrzyłam na każdego, kto ze mną rozmawiał.

- Pobiegłam prosto do sklepu z płytami w centrum - dwie mile od domu. Byłam zrozpaczona. Musiałam wiedzieć na pewno. Myślałam, że brat ze mnie zakpił i nienawidził go za to. Przysięgłam sobie, że mu się odwdzięczę. Pobiegłam do działu muzyki folk i zaczęłam przerzucać płyty Judy Collins. Rzeczywiście... „Pan ziemskich dróg”. Dwa miesiące później była już diagnoza: osłabienie słuchu,

o pięćdziesiąt decybeli w jednym uchu, o siedemdziesiąt w drugim. Teraz mniej więcej po dziewięćdziesiąt w każdym.

- Przykro mi - mówi de l'Epee. - Co się stało z twoim słuchem?

- Infekcja. Zniszczyła włoski w uchu.

- I nic się z tym nie da zrobić?

Nie odpowiada mu. Po chwili mówi:

- Myślę, że ty też jesteś Głuchy.

- Głuchy? Ja? - Uśmiecha się niezręcznie. - Przecież słyszę.

- Och, możesz być słyszającym Głuchym.

Wygląda na zdeorientowanego.

- Słyszający Głuchy - ciągnie ona. - Widzisz, tak nazywamy ludzi, którzy słyszą Innych. Ale niektórzy Inni są bardziej podobni do nas.

- Jacy to ludzie? - pyta. Czy jest dumny, że jest jednym z nich? Chyba tak.

- Ludzie, którzy żyją w zgodzie z własnym sercem - odpowiada Melanie - a nie kogoś innego.

Przez chwilę czuje wstyd, ponieważ sama nie zawsze słuchała własnego serca.

Słysząc początek utworu Mozarta. Albo Bacha. Nie jest pewna którego. (Dlaczego ta infekcja nie mogła się zdarzyć rok później? Przez dwanaście miesięcy mogłabym posłuchać jeszcze tyle muzyki. Na litość boską, ojciec przez cały czas tłoczył w głośniki na farmie lekką i łatwą muzykę z KSFT. W mojej biografii napiszą kiedyś, że wychowałam się na „Pearly Shells”, Tomie Jonesie i Barrym Manilowie).

- Muszę ci powiedzieć coś jeszcze. Coś, czego nikomu nigdy nie powiedziałam.

- Chciałbym to usłyszeć - zgadza się. Ale już po chwili znika.

Melanie traci dech ze zdumienia.

Pokój muzyczny znika, a ona znów jest w rzeźni.

Rozgląda się szeroko otwartymi oczami, spodziewając się ujrzeć Brutusa. Albo Niedźwiedzia, który z krzykiem biegnie w jej stronę.

Lecz nie, Brutusa nie ma. A Niedźwiedź siedzi samotnie za ubojnią i je z osobliwym uśmiechem na twarzy.

Co ją wyciągnęło z pokoju muzycznego?

Jakaś wibracja? Światło?

Nie, to był zapach. Zbudziła ją jakaś woń. Ale czego?

Wyczuła coś innego pomiędzy zapachem tłustego jedzenia, ciał, oleju i benzyny, rdzewiejącego metalu, starej krwi, zjełczałego tłuszczu i tysiącem innych woni.

I rozpoznała ten zapach. Ostry i wyraźny.

- Dziewczynki, dziewczynki - zaczęła gestykulować gorączkowo. - Chcę wam coś powiedzieć.

Głowa Niedźwiedzia zwróciła się w ich stronę. Zauważył. Jego uśmiech natychmiast zniknął i Niedźwiedź wstał. Chyba krzyczał: „Przestańcie!”.

- Nie chce, żebyśmy mówiły - powiedziały szybko dłonie Melanie. - Udawajmy, że to zabawa.

W kulturze Głuchych Melanie bardzo podobało się jedno - miłość do słów. Amerykański język migowy był podobny do innych. Był piąty w Stanach pod względem liczby użytkowników. Słowa i wyrażenia można było rozbić na mniejsze elementy strukturalne (kształt dłoni, ruch i położenie ręki względem ciała), tak jak słowa języków mówionych można podzielić na sylaby i głoski. Gesty przyczyniły się do powstania gier słownych, w które grali w dzieciństwie prawie wszyscy Głusi.

Niedźwiedź przypadł do niej wściekły.

- Co, do kurwy... robisz z... ?

Melanie zaczęły drzeć ręce. Udało się jej napisać palcem na zakurzonej podłodze: To zabawa. Gramy, widzisz? Układamy ręce w różne kształty.

- Co za kształty?

Zwierząt.

Pokazała słowo „głupi”, tworząc duże V z palca wskazującego i środkowego. Kształt dłoni przypominał łebek królika.

- Co to... być?

Królik, napisała.

Bliźniaczki odwróciły głowy, chichocząc.

- Królik... Mnie nie... królika - powiedział.

Pozwól nam grać. To przecież nic złego.

Zerknął na Kielle, która powiedziała na migi: „Jesteś gównem” i z uśmiechem napisała na kurzu: A to jest hipopotam.

- ...wam to z głowy. - Niedźwiedź wrócił do frytek i gazowanego napoju.

Dziewczynki zaczęły, aż zniknie im z oczu, a potem spojrzęły wyczekująco na Melanie. Kielle, już bez uśmiechu, spytała szorstko:

- Co nam chcesz powiedzieć?

- Wyciągnę nas stąd - odparły ręce Melanie. - To chcę wam powiedzieć.

Kiedy Arthur Potter i Angie Scapello przygotowywali się do przepytania Jocylyn Weiderman, którą jeszcze badali lekarze, rozległ się pierwszy strzał.

Był to tylko stłumiony huk, o wiele mniej niepokojący niż głos Deana Stillwella, który zaraz potem odezwał się w głośnikach w furgonetce:

- Arthur, mamy problem! Handy strzela.

Cholera.

- Ktoś jest na polu.

Zanim Potter spojrział przez okno, wcisnął guzik w mikrofonie i rozkazał:

- Powiedz wszystkim, żeby nie odpowiadali ogniem.

- Tak jest.

Potem podszedł do stojących przy przyciemnionej szybie Charliego Budda i Angie.

- Sukinsyn - szepnął Budd.

Z rzeźni padł drugi strzał, a kula trafiła w przegniły pał starego ogrodzenia, odłupując chmurę drzazg tuż obok ubranego w ciemny garnitur człowieka, który znajdował się sześćdziesiąt jardów od furgonetki. Intruz powiewał nad głową wielką chustką, niewątpliwie drogą.

- O nie - szepnęła w konsternacji Angie.

Potter poczuł, że robi mu się słabo.

- Henry, w swojej charakterystyce zastępcy prokuratora stanowego zapomniałeś wspomnieć, że jest skończonym idiotą.

Handy znów strzelił, trafiając w kamień za Rolandem Marksem. Zastępca prokuratora stanowego przystanął skulony. Znowu pomachał chustką. Po chwili ruszył wolno w stronę rzeźni.

Potter wcisnął przycisk telefonu. Wsłuchując się w niekończący się przerywany sygnał, mruknął:

- Odbierz, Lou.

Brak odpowiedzi.

Z głośnika rozległ się głos szeryfa:

- Arthurze, nie wiem, co robić. Ten kretyn myśli, że...

- To Roland Marks, Dean. Mówi coś do Handy'ego?

- Chyba krzyczy. Ale nic nie słyhać.

- Tobe, masz jeszcze na miejscu to Duże Ucho?

Młody agent powiedział coś do mikrofonu i wcisnął guzik na konsoli. Po kilku sekundach wewnątrz furgonetki wypełnił złowrogi szum wiatru. Zaraz potem przebił się głos Marksa.

- Lou Handy! Jestem Roland Marks, zastępca prokuratora stanu Kansas!

W furgonetce rozległ się wzmocniony huk wystrzału i wszyscy odruchowo się skulili.

- Drugie Duże Ucho jest wycelowane w rzeźnię - powiedział szeptem Tobe - ale nic tam nie słyhać.

Jasne. Bo Handy nic nie mówi. Po co strzępić język, skoro można swoje argumenty przedstawić kulami?

- Niedobrze - mruknęła Angie.

Znów usłyszeli głos prokuratora:

- Lou Handy, to nie jest żaden podstęp. Oddaj dziewczynki i w zamian weź mnie.

- Jezu - szepnął Budd. - Naprawdę chce to zrobić? - Był pod wrażeniem, a Potter powstrzymał się przed posłaniem kapitanowi groźnego spojrzenia.

Kolejny strzał, znacznie bliższy. Marks umknął w bok.

- Na miłość boską, Handy - powiedział zrozpaczony głos. - Wypuść dziewczynki!

Telefon cały czas dzwonił i dzwonił.

- Dean - odezwał się Potter do mikrofonu. - Przykro, mi to mówić, ale trzeba go powstrzymać. Zawołaj go przez megafon i spróbuj sprowadzić na bok. Gdyby się nie udało, wyślij po niego dwóch ludzi.

- Handy się z nim bawi - powiedział Budd. - Nie sędzę, żeby mu coś groziło. Gdyby go chcieli zabić, już by nie żył.

- Nie o niego mi chodzi - warknął Potter.

- Co?

- Staramy się wyciągnąć zakładników - wyjaśniła Angie. - Nie chcemy nowych.

- Utrudnia nam robotę - rzekł po prostu Potter, nie próbując tłumaczyć, że Marks popełnia potworny błąd.

Z gwizdem rykoszetu pocisk rozerwał kamień obok nogi Marksa. Prokurator utrzymał się na nogach. Odwrócił się, słuchając Deana Stillwella, którego głos przez Duże Ucho trafił do furgonetki. Na szczęście szeryf nie przestraszył się wysokiego stanowiska Marksa.

- Marks, niech pan natychmiast zejdzie z linii ognia, w przeciwnym razie zostanie pan aresztowany. Proszę wracać tędy.

- Musimy je uratować - rozległ się ostry głos Marksa. Brzmiało w nim zdecydowanie, ale jednocześnie strach. Serce Pottera na moment zamarło.

Następny strzał.

- Nie. Rozumie pan? Zostanie pan aresztowany.

Potter skontaktował się ze Stillwellem i powiedział mu, że doskonale sobie radzi.

- Powiedz mu, że sam stwarza zagrożenie dla dziewczynek.

Usłyszeli głos szeryfa na tle wyjącego wiatru.

- Nie! Chcę je uratować! - krzyknął zastępca prokuratora stanowego i znów ruszył naprzód.

Potter spróbował zadzwonić do Handy'ego. Znów bez rezultatu.

- Dobrze, Dean. Zdejmij go. Niech nikt nie strzela, pod żadnym pozorem. Stillwell westchnął.

- Tak jest. Mam ochotników. Pozwoliłem im użyć pieprzu w sprayu, gdyby się opierał. To chyba nic złego.

- Niech go też poczęstują ode mnie - mruknął Potter, po czym wrócił do okna.

Za linii drzew wysunęli się dwaj ludzie w hełmach i kamizelkach, którzy skuleni ruszyli na pole.

Handy strzelił jeszcze kilka razy. Nie zauważył policjantów i celował w Marksa. Chybił, ale jeden pocisk rykoszetem trafił w przednią szybę któregoś z radiowozów.

Dwaj funkcjonariusze biegli prostopadle w kierunku rzeźni, trzymając się blisko ziemi. Gdyby Handy zdecydował się na rozlew krwi, mógłby ich łatwo trafić w bok. Jeden z ludzi wyglądał znajomo.

- Kto tam pobiegł? - spytał Stillwella Potter - Czy to nie Stevie Oates?

- Tak jest.

Potter westchnął.

- Przed chwilą wrócił z akcji, Dean. Co on sobie wyobraża?

- Chciał znowu iść. Upierał się.

Potter pokręcił głową.

Marks był już czterdzieści jardów od rzeźni. Policjanci powoli go doganiali, sadząc przez wysoką trawę. Prokurator zauważył ich i wrzasnął, żeby dali mu spokój.

- Panie prokuratorze - odezwał się głos w głośnikach. Potter rozpoznał Oatesa. - Mamy rozkaz sprowadzić pana z powrotem.

- Pieprzyć rozkaz. Jeżeli zależy wam na dziewczynkach, zostawcie mnie w spokoju.

Usłyszeli echo śmiechu, który wyłapało Duże Ucho.

- Strzał do biegnącego dzika - powiedział głos Handy'ego na wietrze. Kolejny ogłuszający strzał. Za jednym z policjantów wzbił się w górę kamień. Obaj padli na ziemię i zaczęli się czołgać w stronę prokuratora.

- Marks - odezwał się zdyszany głos Oatesa. - Chcemy pana ściągnąć z powrotem. Przeszkadza pan w operacji prowadzonej przez służby federalne.

Marks zakręcił się w miejscu.

- Co zrobicie, żeby mnie zatrzymać? Podlegacie mi, nie zapominajcie o tym.

- Szeryf Stillwell dał mi rozkaz, żeby zatrzymać pana siłą. Zamierzam wypełnić rozkaz, panie prokuratorze.

- Stoisz pod wiatr, synu. Jeśli zaatakujesz mnie gazem, wszystko poleci na ciebie.

Handy znów strzelił. Kula rozłupała słupek dwie stopy od głowy Oatesa. Porywacz, widocznie wciąż rozbawiony, wybuchnął gromkim śmiechem.

- Jezu - odezwał się czyjś głos.

- Nie, panie prokuratorze - powiedział spokojnie Oates. - Mam rozkaz strzelić panu w nogę i odciągnąć pana na bok.

Potter i LeBow spojrzeli po sobie. Palec negocjatora wduślił przycisk w mikrofonie.

- On blef uje, Dean, prawda?

- Tak - odparł niespokojnie Stillwell. - Ale... chyba jest zdecydowany. Nie sądzisz?

Potter sądził, że tak.

- Zrobi to? - zapytał LeBow.

Potter wzruszył ramionami.

- Wyciągnął broń - powiedziała Angie.

Oates wycelował w nogi Marksa.

Wszystko zmierza ku pełnej katastrofie, pomyślał Potter.

- Panie prokuratorze - zawołał Oates. - Na pewno nie spudłuję. Jestem niezłym strzelcem i na pewno pana zatrzymam.

Zastępca prokuratora stanowego zawahał się. Wiatr wyrwał mu z dłoni chustkę, która poszybowała kilka stóp nad jego głowę.

Padł strzał.

Pocisk Handy'ego trafił w białą tkaninę. Podmuchał szarpnął chustką i poniósł ją daleko.

Przez Duże Ucho dobiegł ich z oddali śmiech Handy'ego. Marks obejrzał się na rzeźnię i zawołał:

- Handy, sukinsynu! Mam nadzieję, że zgnijesz w piekle.

Znowu śmiech - a może to tylko wiatr.

Zastępca prokuratora stanowego wyprostowany zszedł z pola. Jak gdyby spacerował po własnym podwórku. Potter z zadowoleniem obserwował, jak Stevie Oates z partnerem niczym psy myśliwskie wczołgiwali się za Marksem w kołyszącą się na wietrze wysoką trawę.

- Mógł pan wszystko zepsuć - powiedział ze złością Arthur Potter. - Co pan sobie, do cholery, wyobrażał?

Patrząc na niego, musiał zadzierać głowę - Marks miał ponad sześć stóp wzrostu - ale mimo to miał wrażenie, że przemawia do smarkacza przyłapanego na psocie.

Zastępca prokuratora stanowego zaczął stanowczo:

- Wyobrażałem sobie...

- Nigdy nie można wymieniać zakładników. Istota negocjacji polega na umniejszeniu ich wartości. A pan idzie do nich i mówi: „Weźcie mnie, jestem więcej wart od wszystkich dziewczynek”. Gdyby wymienił je na pana, nie mógłbym już nic zrobić.

- Nie rozumiem - rzekł Marks.

- Taki zakładnik jak pan - wyjaśniła Angie - wzmocniłby ich poczucie władzy i wrażenie, że to oni panują nad sytuacją. Handy zacząłby stawiać nowe żądania i nie byłoby mowy o ustępstwach. Nie zdołalibyśmy go nakłonić do żadnej rozsądnej decyzji.



- Cóż, chodziło mi tylko o biedne dziewczynki. Myślałem o tym, co tam przeżywają.

- Nie zgodziłby się ich wypuścić.

- Miałem zamiar go do tego namówić.

Zapisujący w komputerze przebieg incydentu LeBow przewrócił oczami.

- Nie aresztuję pana - oświadczył Potter. Wcześniej rozważał taką możliwość, lecz doszedł do wniosku, że skutki mogą być zbyt nieprzyjemne. - Jeżeli jednak jeszcze raz przeszkodzi pan w akcji, zrobię to i przekonam prokuratora generalnego, żeby osobiście dopilnował wykonania kary.

Ku zdziwieniu Pottera Marks nie okazał ani odrobiny skruchy. Owszem, zniknęła maska dowcipnisia; wydawał się jednak wręcz zirytowany faktem, że Potter przeszkodził mu w przeprowadzeniu jego planu.

- Wszystko pan robi ściśle według przepisów, Potter. - Duży palec wskazujący wycelował w agenta. - Ale w przepisach nie ma nic o psychopatach, których podnieca zabijanie dzieci.

Zabrzączał telefon. LeBow odebrał i po chwili poinformował Pottera:

- Lekarze zbadali Jocylyn, wszystko z nią w porządku. Chcesz już z nią porozmawiać?

- Tak, dziękuję, Henry. Powiedz im, żeby ją przyprowadzili. I Steviego Oatesa. - Do Marksa natomiast powiedział: - Poproszę pana o opuszczenie samochodu.

Marks pozapinał marynarkę i otrzepał z niej pył, który został po ćwiczeniach strzeleckich Handy'ego. Podeszedł do drzwi, mruczając coś pod nosem. Potterowi zdawało się, że usłyszał: „masz krew na rękach”. Reszty słów nie potrafił odgadnąć.

15.40

Przez parę minut zanosila się niepohamowanym płaczem.

Angie Scapello i Arthur Potter siedzieli z Jocylyn, za wszelką cenę starając się zachować spokój i wyglądać przyjaźnie, lecz w głębi serca pragnęli chwycić dziewczynkę za ramiona i wytrząsnąć z niej odpowiedzi.

Niecierpliwość, przekleństwo Arthura Pottera.

Uśmiechając się bez przerwy, kiwał pocieszająco głową, a pyzata dwunastolatka łkała, kryjąc w dłoniach okrągłą, zaczerwienioną twarz.

Otworzyły się drzwi i do furgonetki wszedł Stevie Oates, zdejmując hełm. Mimo chłodu jego włosy zlepił pot. Potter odwrócił się od dziewczynki i powiedział do młodego policjanta:

- Powinieneś na jakiś czas dać sobie spokój, Stevie.

- Tak jest, chyba tak zrobię. Ostatnie strzały padły... trochę za blisko.

- Szybko cię otrzeźwiły, co?

- Tak jest. Na pewno.

- Powiedz, co widziałeś, kiedy zaniósłeś im jedzenie. Wszystko, co udało ci się zauważyć.

Tak jak się Potter spodziewał, nawet mimo zapisu wideo z kamery umieszczonej nad swoim uchem Oates nie potrafił zbyt dużo powiedzieć o wnętrzu rzeźni.

- Co sądzisz o stanie psychicznym Handy'ego?

- Wygląda na spokojnego. W ogóle się nie denerwował.

Jakby kupował sobie kawę w Seven-Eleven.

- Nikt nie jest ranny?

- Nie zauważyłem.

LeBow wklepywał w komputer marne rezultaty zwiadu. Oates nie potrafił sobie przypomnieć nic więcej. Potter zwrócił rozżalonemu policjantowi uwagę, że jeśli nie widział krwi ani ciał, to dobry znak. Wiedział jednak, że jego mina nie potrafi zamaskować rozczarowania; zapewne nie uda im się wydobyć nic ważnego od dwunastoletniej dziewczynki, która ciągle płakała, kręcąc krótkie włosy na palcach zakończonych poobgryzаныmi paznokciami.

- Dzięki, Stevie. To na razie wszystko. Aha, jeszcze jedno pytanie. Naprawdę chciałeś postrzelić Marksa w nogę?

Młody człowiek nagle spowaźniał, a potem ostrożnie się uśmiechnął.

- Najlepiej powiem to tak: wiedziałbym, czy chcę, dopiero wtedy, gdy nacisnąłbym spust. Albo nie nacisnął. Zależnie od okoliczności.

- Idź i naley sobie kawy, Stevie - rzekł Potter.

- Tak jest.

Potter i Angie wrócili do Jocylyn. Mała miała bardzo zaczerwienione oczy; siedziała opatulona kocem, który dał jej któryś z ludzi Stillwella.

Wreszcie dziewczynka uspokoiła się na tyle, że Potter mógł zacząć zadawać jej pytania przez Frances Whiting. Negocjator spostrzegł, że gesty policjantki są eleganckie i oszczędne, a Jocylyn szerokie i niezręczne, dziwnie sztywne: przypuszczał, że to różnica między kimś, kto mówi płynnie, a kimś, kto wtrąca różne „hm” i „jakby”. Przez chwilę zastanowił się, jak Melanie posługuje się językiem migowym. Rwanym? Czy płynnie?

- Nie odpowiada na pana pytania - powiedziała Frances.

- A co mówi? - spytała Angie, wpatrując się swymi bystrymi, ciemnymi oczami w gesty dziewczynki.

- Że chce do rodziców.

- Są w motelu? - spytał Potter.

Kapitan zadzwonił i zapytał, po czym przekazał wiadomość agentowi.

- Powinni być za godzinę.

Frances przetłumaczyła jej tę informację. Nie potwierdzając, czy zrozumiała, dziewczynka dostała kolejnego ataku płaczu.

- Na pewno świetnie sobie poradzisz - powiedziała zachęcająco Angie.

Negocjator zerknął na zegarek. Pół godziny do wyznaczonego przez Handy'ego terminu dostarczenia helikoptera.

- Opowiedz mi o tych mężczyznach, Jocylyn. O tych złych mężczyznach.

Frances wprawiła dłonie w ruch i dziewczynka wreszcie odpowiedziała.

- Mówi, że jest ich trzech. Ci trzej... - Dziewczynka wskazywała ścianę.

- Są spoceni i brzydko pachną. A ten - pokazała zdjęcie Handy'ego - jest ich dowódcą. Brutus.

- Brutus? - powtórzył zdziwiony Potter.

Frances zadała jej pytanie i przyglądała się długiej odpowiedzi, podczas której Jocylyn wskazywała każdego z mężczyzn po kolei.

- Tak ich nazywała Melanie - powiedziała policjantka. - Handy to „Brutus”. Wilcox to „Gronostaj”, a Bonner - „Niedźwiedź”. Język migowy jest bardzo metaforyczny - dodała Frances. - Na przykład na słowo „łagodny” używa się znaku „jagnię”. Głusi często myślą poetycko.

- Czy ona wie, dlaczego znalazły się w rzeźni? - Potter zapytał o to Frances, lecz Angie poradziła mu:

- Zwracaj się bezpośrednio do niej, Arthurze. To jej doda otuchy, sprawi, że poczuje się bardziej dorosła. I nie zapominaj o uśmiechu.

Powtórzył więc pytanie, uśmiechając i zwracając się do Jocylyn, a Frances przełożyła jej odpowiedź. Na planie rzeźni mała pokazała kilka miejsc z przodu głównego pomieszczenia, a potem dotknęła zdjęć Handy'ego i Wilcoxa. Tobe przesunął żółte karteczki z ich nazwiskami, a LeBow postukał w klawiaturę.

Jocylyn pokręciła głową. Wstała i nakleiła karteczki dokładniej. Pokazała coś Frances, która powiedziała:

- Niedźwiedź - Bonner - jest w pomieszczeniu razem z jej koleżankami.

Jocylyn przesunęła karteczkę Niedźwiedzia do półokrągłej sali znajdującej się około dwudziestu pięciu stóp od frontu rzeźni. Tobe umieścił tam nazwiska wszystkich zakładniczek.

Jocylyn również poprawiła ich położenie, zdradzając ogromną precyzję.

- Teraz każdy jest dokładnie tam, gdzie jest naprawdę.

Wzrok Pottera spoczął na karteczce z nazwiskiem Melanie.

Otarłszy łzy, Jocylyn zaczęła gestykulować.

- Mówi, że Niedźwiedź patrzy na nie cały czas. Zwłaszcza na młodsze dziewczynki.

Bonner. Gwałciciel.

Potter spytał:

- Czy są tam jakieś drzwi albo okna, których nie ma na tym rysunku?  
Jocylyn przyjrzała się dokładnie. Potem pokręciła głową.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Widziałaś jakąś broń?

- Wszyscy mają broń. - Dziewczynka pokazała na biodro Tobe'ego.

- Jaka to broń? - zapytał.

Zmarszczyła brwi i ponownie wskazała biodro agenta.

- Czy jest podobna do tej, czy ma taki bębenek? - Wprawił w ruch obrotowy własny palec. - Rewolwery - powiedział wolno.

Jocylyn pokręciła głową. Jej niezdarne dłonie znów zaczęły gestykulować.

- Nie, mała mówi, że to czarne automaty. Takie jak ten. - Frances uśmiechnęła się. - Ona pyta, dlaczego jej pan nie wierzy.

- Wiesz, co to automat?

- Mówi, że ogląda telewizję.

Potter zaśmiał się i polecił LeBowowi zapisać, że według zeznań Jocylyn porywacze są uzbrojeni w trzy glocki albo podobną broń.

Jocylyn, niepytana, poinformowała ich, że mają kilkanaście pudełek amunicji.

- Pudełek?

- Tej wielkości - powiedziała Frances, gdy dziewczynka rozsunęła dłonie na odległość około sześciu cali. - Żółte i zielone.

- Remington - powiedział LeBow.

- I śrutówki. Jak ta. Trzy. - Jocylyn wskazała gładkolufową broń spoczywającą na półce.

- Jakies karabiny? - Potter wskazał oparty o ścianę M-16.

- Nie.

- Są cholernie dobrze przygotowani - zauważył Budd.

Potter dał znak Angie, która spytała:

- Czy ktoś jest ranny?

- Nie.

- Czy Handy - Brutus - rozmawia z kimś szczególnie często? Z nauczycielką czy którąś z dziewczynek?

- Nie. Tylko się na nas patrzy. - Na to wspomnienie do jej oczu znów napłynęły łzy.

- Doskonale ci idzie, skarbie - rzekła Angie, ściskając ramię dziewczynki. - Potrafiłabyś nam powiedzieć, o czym ci ludzie rozmawiają?

- Nie, przykro mi. Nie umiem za dobrze czytać z ruchu warg.

- Beverly dobrze się czuje?

- Może oddychać. Ale często ma ataki. Gorzej jest z panią Harstrawn.

- Poproś ją, żeby wytłumaczyła.

Frances obserwowała jej gesty, po czym rzekła:

- Wygląda na to, że zupełnie się załamała. Dobrze się czuła aż do śmierci Susan. Teraz nic, tylko leży i płacze.

Nie mają przywódcy, pomyślał Potter. Najgorsza sytuacja z możliwych. Mogą wpaść w panikę i uciekać na oślep. Chyba że władzę przejmie Melanie.

- Co z Melanie?

- Tylko siedzi i patrzy. Czasem zamyka oczy. To niedobrze - dodała od siebie Frances. - Głusi nigdy nie zamykają oczu w sytuacjach zagrożenia. Wzrok jest ich jedynym systemem ostrzegania.

- Czy ci ludzie walczą między sobą? - spytała Angie.

Jocylyn nie wiedziała.

- Wyglądają na zdenerwowanych? Zadowolonych? Przestraszonych? Smutnych?

- Nie są przestraszeni. Czasami się śmieją.

LeBow zapisał to w komputerze.

- Dobrze - powiedział Potter. - Dzielna z ciebie dziewczynka. Możesz teraz pojechać do hotelu. Niedługo będą tam twoi rodzice.

Dwunastolatka wytarła nos rękawem, ale nie ruszyła się z miejsca. Jej dłonie znów poruszyły się niezdarnie.

- To wszystko, o co chcecie mnie zapytać? - przetłumaczyła Frances.

- Tak. Możesz już iść. Ale dziewczynka znów o coś zapytała.

- Pyta, czy nie interesuje was telewizor? I inne rzeczy?  
Tobe, LeBow i Budd odwrócili głowy w stronę Pottera.

- Maja telewizor? - szepnął w konsternacji agent. Frances przetłumaczyła to maledź, a ta skinęła głową.

- Skąd go wzięli?  
- Mieli w workach razem z bronią. Przynieśli go ze sobą. To taki mały.  
- Maja radio?  
- Nie widziałam.  
- Często oglądają telewizję?  
Skinęła głową.

- Jakie rzeczy jeszcze maja?  
- Mówi, że maja jakieś narzędzia. Nowe. Zapakowane w plastik.  
- Jakie narzędzia?  
- Srebrne. Klucze. Szczypce. Śrubokręty. Duży błyszczący młotek.  
- Weź ją do służby, Arthur - rzekł Henry LeBow. - Jest lepsza od połowy twoich agentów.

- Coś jeszcze przychodzi ci do głowy, Jocylyn?  
Jej czerwone palce poruszyły się.

- Tęskni za mamą.  
- Jeszcze jedno - powiedział Potter. Zawahał się przez moment. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o Melanie. Ale stwierdził, że nie potrafi sformułować pytania. Spytał więc tylko: - Zimno tam?  
- Nie jest tak źle.  
Potter ujął pulchną i wilgotną dłoń dziewczynki i uściśnął ją.  
- Podziękuj jej, Frances. Bardzo, bardzo nam pomogła.  
Kiedy policjantka przetłumaczyła jej to, Jocylyn otarła twarz i po raz pierwszy się uśmiechnęła.

Angie poprosiła Frances, żeby powiedziała dziewczynce, iż za chwileczkę zawiezie ją do motelu. Jocylyn wyszła z policjantką, by poczekać na zewnątrz.

LeBow wydrukował listę rzeczy, które mieli w rzeźni porywacze. Podał ją Tobe'emu, a ten zawiesił ją obok schematu budynku.

- To przypomina przygodową grę komputerową - rzekł Tobe. - Masz klucz, czarodziejski miecz, pięć kamieni i kruka w klatce.  
Potter odchylił się na krześle ze śmiechem. Spojrzał na listę.

- Co o tym sądzisz, Henry? Narzędzia, telewizor?  
- W drodze z więzienia obrobili jakiś sklep?  
- Były jakieś zgłoszenia o włamaniu do sklepu między Winfield a Crow Ridge? - spytał Potter.

- To nie moja działka, ale zaraz sprawdzę. - Budd wyszedł z wozu.  
- Nigdy nie miałem tak dobrego sprawozdania od zakładnika, który tak krótko przebywał w środku - rzekł Potter. - Ma nadzwyczajne zdolności obserwacyjne.

- Bóg jej wynagrodził - powiedziała Frances.  
- Co sądzisz? - zwrócił się do Angie Potter.  
- Chyba jest po naszej stronie.

Z powodu syndromu Sztokholm zakładnicy często podawali negocjatorom i oddziałom antyterrorystycznym fałszywe informacje. Podczas jednej z akcji Pottera - negocjacje ciągnęły się tydzień - przed oknem, za którym ukrył się Potter, uwolniona zakładniczka zostawiła chusteczkę, by strzelec z opanowanego przez porywaczy budynku wiedział, gdzie strzelać. Zanim zdążył oddać strzał, zabił go snajper. W procesie Potter zeznawał na korzyść zakładniczki; dostała wyrok w zawieszeniu.

Potter zgodził się z oceną Angie. Jocylyn za krótko przebywała w rzeźni, by jej uczucia do Handy'ego i reszty uległy wynaturzeniu. Była po prostu przerażoną małą dziewczynką.

- Zabiorę ją do motelu - powiedziała Angie. - Spróbuję jakoś pocieszyć. Dodam otuchy innym rodzicom.

- Arthur - zawołał Henry LeBow. - Właśnie dostałem coś na temat Hendersona.

Potter zwrócił się do Angie, która wychodziła z samochodu:  
- Kiedy tam będziesz, sprawdź go. Denerwuje mnie ten facet.

- Mówisz o Hendersonie, agencji specjalnym z Wichity?

- Tak.

- Dlaczego cię denerwuje?

- Przeczucie. - Potter opowiedział o jego groźbach. I dodał, że bardziej martwi go fakt, iż Henderson z początku nic nie powiedział o przesłuchiwaniu Handy'ego po podpaleniu kasy oszczędnościowo-kredytowej. - Pewnie dlatego, że jego chłopcy schrzaniłi sprawę przy zatrzymaniu, pozwolili uciec jego dziewczynie i zranić dwóch gliniarzy. - Przesłuchanie też zresztą schrzaniłi, przypomniał sobie Potter, bo Handy poczęstował ich jedynie niewybrednymi epitetami. - Powinien nam jednak od razu powiedzieć, że brał w tym udział.

- Co mam zrobić? - zapytała Angie.

Potter wzruszył ramionami.

- Po prostu upewnij się, że nie wpakuje się w żadne kłopoty.

Posłała mu spojrzenie mówiące „a daj ty mi spokój”. Peter Henderson jako agent specjalny kierujący lokalnym biurem FBI miał prawo pakować się w każde kłopoty, na jakie miał ochotę, i podwładni tacy jak Angie Scapella nie mieli w tej sprawie nic do powiedzenia.

- Przynajmniej spróbuj, proszę. - Potter posłał jej całusa.

LeBow podał mu wydruk, wyjaśniając z drwiną w głosie:

- To tylko zwykłe dane biograficzne, ale można znaleźć szczegóły, których Henderson wolałby raczej nie ujawniać.

Potter zaintrygowany zaczął czytać. Pracując jako oficer dochodzeniowy w Departamencie Policji Chicago i chodząc do wieczorowej szkoły prawniczej DePaul, Henderson zdobywał coraz wyższe stopnie. Ukończywszy szkołę, wstąpił do FBI, w Quantico był najlepszy, a potem wrócił na Środkowy Zachód, gdzie odznaczył się w południowym Illinois i St. Louis, prowadząc sprawy wymuszeń i innych zbrodni popełnianych przez organizacje przestępcze. Był dobrym administratorem, pasował do idealnego modelu federalnego, było więc jasne, że otrzyma kierownicze stanowisko w Chicago, Miami czy nawet w południowej części Nowego Jorku. Potem droga kariery mogła go zawieść już tylko do Waszyngtonu.

Lub na salę sądową.

Kiedy Potter przeczytał relacje prasowe i dołączone szczegółowe notatki, które Henry jakimś cudem wyciągnął z baz danych FBI, zrozumiał, dlaczego Henderson został skierowany na boczny tor, czyli do Kansas. Sześć lat temu kilkunastu czarnych agentów pozwało FBI za rzekomą dyskryminację rasową przy przydzielaniu zadań, awansach i podwyżkach. Wśród oskarżonych ośrodków federalnych było również biuro w St. Louis i Henderson skwapliwie zaproponował, że będzie zeznawał na korzyść Murzynów. Niektórzy twierdzili, że zbyt skwapliwie. Spodziewano się, że po wygranej procesie nastąpi całkowita roszada na najwyższych stanowiskach i obecny dyrektor FBI zrezygnuje, a jego miejsce zajmie młody wicedyrektor, który zostanie pierwszym czarnym szefem Biura i - jak się spodziewał Henderson - będzie pamiętał o tych, którzy pozostali wierni sprawie.

Lecz kalkulacje Hendersona obróciły się przeciw niemu. Proces stracił impet i ugrzązł w sądach federalnych. Nie stawili się niektórzy z powodów; inni po prostu nie potrafili udowodnić aktów dyskryminacji. Młody czarny zastępca dyrektora, z pobudek nie tyle ideologicznych, ile ambicjonalnych, przeszedł do Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Dyrektor FBI, nie wywołując żadnego skandalu, odszedł na emeryturę, a jego miejsce zajął Admirał.

Renegat Peter Henderson został administracyjnie poćwiartowany i wypatroszony. Człowiek, któremu udało się założyć podsłuch w prywatnym mieszkaniu szefa gangu Maria Lacosty w Clayton w stanie Missouri, został odprawiony do stanu, w którym znajdował się środek geograficzny całego kraju, znanego przede wszystkim z drobnych kradzieży w bazie sił powietrznych McConnell oraz ciągłych wojen z urzędem do spraw Indian i BATF. Kariera trzydziestodwuletniego agenta utknęła w miejscu.

- Istnieje jakieś ryzyko? - spytał LeBowa Potter. - Wejdzie nam w drogę?

- Nie może nic zrobić - odparł wywiadowca. - W każdym razie oficjalnie.

- Nie ma nic do stracenia.

- Na pewno. Powiedziałem: oficjalnie nic nie może zrobić. Musimy go jednak mieć na oku.

Potter zachichotał.

- Mamy więc zastępcę prokuratora stanowego, który jest gotowy oddać się w ręce porywaczy, i agenta miejscowego biura, który chętnie oddałby im mnie.

Poznaliśmy wroga...

Odwrócił się do okna, myśląc o Melanie, przypominając sobie, co mówiła Jocylyn. Tylko zamyka oczy. Nic nie robi. Zastanawiał się, co to może znaczyć.

Z zamyślenia wyrwał go Tobe.

- Za godzinę i pięć minut Handy chce dostać helikopter.

- Dziękuję, Tobe - odparł Potter.

Spojrzał w stronę rzeźni, myśląc: klucz, czarodziejski miecz, pięć kamieni i kruk w klatce.

- Kapitanie.

Charlie Budd szedł w stronę furgonetki ze swojego cywilnego samochodu, gdzie przed chwilą w komputerze sprawdzał wszystkie zgłoszenia włamań z terenu czterech okręgów. Dziś okradzione tylko jeden sklep spożywczy, stację benzynową i kościół metodystów. W żadnym z tych miejsc łupem złodziei nie padły narzędzia, broń ani telewizor, które mieli przy sobie porywacze.

- Niech pan podejdzie, kapitanie - powiedział niski głos.

Rany, co znowu ?

Roland Marks, pałac papierosa, oparł się o furgonetkę dostawczą. Budd sądził, że prokurator jest już co najmniej dziesięć mil stąd, ale wszystko wskazywało na to, że zdecydował się pozostać.

- Był pan świadkiem tej małej parodii - oznajmił mu Marks. Kiedy Potter udzielał mu reprymendy, Budd siedział w kącie furgonetki. Kapitan rozejrzał się, po czym przeciął łąkę wysokiej trawy i zbliżył się do ogorzałego mężczyzny, stając tak, by nie leciał na niego dym. Milczał.

- Uwielbiam letnie popołudnia, kapitanie. Przypominają mi dzieciństwo. Codziennie grałem w baseball. Pan też? Wygląda pan na niezłego biegacza.

- Głównie czwórbój lekkoatletyczny. Biegi, pchnięcie kulą, skok o tyczce i skok w dal.

- No dobrze. - Marks znów zniżył głos, tak że ledwo go było słyhać. Budd dziwił się, że wszystko rozumie. - Gdybyśmy mieli luksusowe warunki, tobyśmy pokręcili się trochę jak na miłej wycieczce, pan zrozumiałby, co mam na myśli, i poszedł zrobić, co należy. Ale nie ma na to czasu.

Nigdy nie byłem stworzony do pracy w policji, pomyślał Budd, w pamięci odtwarzając po raz setny obraz padającej na ziemię siedemnastoletniej Susan Phillips. Nagle zakrztusił się, udając, że dostał ataku dziwnego kaszlu.

- Naprawdę jestem bardzo zajęty, panie prokuratorze. Muszę...

- Proszę mi odpowiedzieć tylko: tak lub nie. Czy w furgonetce dostrzegłem w pana oczach coś szczególnego?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Fakt, może rzeczywiście zrobiłem coś niewłaściwego. Ale w tym momencie nie myślałem zbyt logicznie. Nie jest pan jednak absolutnie pewien, czy to Potter miał rację. I - nie, zatrzymajmy się na tym. Myślę, że gdyby przeprowadzić w furgonetce głosowanie, większość ludzi stanęłaby po mojej stronie, nie po jego. Budd przywołał całą swoją odwagę i rzekł:

- To nie jest konkurs popularności, panie prokuratorze.

- Oczywiście, że nie. Ma pan rację. Chodzi o życie dziewczynek. Mam wrażenie, że Pottera nie bardzo obchodzi, czy przeżyją, czy nie.

- Nieee. To nieprawda. Bardzo mu zależy na dziewczynkach.

- A co widzę w pańskiej twarzy, kapitanie? To samo co w furgonetce, prawda? Umiera pan ze strachu o te maleństwa w rzeźni.

Naszym najważniejszym celem jest uwolnienie żywych dziewczynek...

- Niech pan to przyzna, kapitanie - ciągnął Marks.

- To dobry człowiek - rzekł Budd.

- Wiem. Ale co to ma da rzeczy?

- Robi, co może...

- Nie ma mowy - powiedział wolno Marks - żebym pozwolił dziewczynkom zginąć. A on nie wyklucza takiej możliwości... i to pana cały dzień gryzie. Mam rację?

- No...

Dłoń Marksa zanurzyła się w kieszeni marynarki, wyciągnął portfel i otworzył. Przez ułamek sekundy Buddowi przemknęła przez głowę nedorzeczną myśl, że prokurator chce mu pokazać legitymację służbową. Jednak to, co zobaczył, wywarło na nim o wiele większe wrażenie. Zza błyszczącej folii spoglądały na niego trzy małe dziewczynki. Jedna miała zmarszczone brwi i lekko zniekształcone rysy twarzy. Jego upośledzona córka.

- Pan też ma córki, Budd, zgadza się?

Kapitan przełknął ślinę przez ściśnięte gardło, starając się odwrócić wzrok od wpatrujących się w niego sześciu par ciemnych oczu. Nie potrafił.

- Niech pan sobie wyobrazi, że to one zostały porwane. A teraz niech pan sobie wyobrazi, że ktoś taki jak Potter mówi: „Do diabła, można je poświęcić”. Wyobraża pan to sobie, kapitanie?

Budd głęboko wciągnął powietrze. Wreszcie udało mu się odwrócić oczy. Portfel zamknął się z trzaskiem.

- Musimy go usunąć.

- Co?

- On podpisuje na nie wyrok śmierci! Co powiedział o spełnieniu żądań Handy'ego? No, Budd, niech pan odpowie jak oficer.

Kapitan, ignorując drwiącą uwagę, spojrział w oczy Marksa i powiedział:

- Mówił, że Handy wyjedzie stąd tylko w plastikowym worku albo skuty kajdankami. Jeżeli oznacza to, że zakładniczki będą musiały zginąć, zginą.

- Czy sądzi pan, że to do przyjęcia?

- Nie jestem od tego, żeby kogoś oceniać.

- Tylko wykonywałem rozkazy, co?

- Tak to wygląda.

Marks wypluł niedopałek papierosa.

- Na litość boską, kapitanie, przecież może pan dokonać oceny moralnej. Czy najważniejsze jest dla pana wypełnianie rozkazów tłustego agenta?

- Jest starszy stopniem, panie prokuratorze - odparł sztywno Budd. - Poza tym jest z FBI, a...

- Niech pan sobie zapamięta te słowa, kapitanie. - Zagniewany Marks przypominał natchnionego kaznodzieję. - I powtórzy je na pogrzebie tych dziewczynek. Mam nadzieję, że znajdzie pan w nich pociechę. - Potem sięgnął w głąb duszy Budda, boleśnie ją raniąc. - Mamy już na rękach krew jednej z dziewczynek.

Chciał powiedzieć - macie.

Budd znów ujrzał osuwającą się na kolana Susan Phillips. Siła wstrząsu na moment otworzyła jej usta i skrzywiła piękną twarz. Kiedy umarła, znów była piękna.

- Co? - szepnął Budd z oczami utkwionymi w owadzych reflektorach kombajnów. - Czego pan chce? - Zabrzmiało to tak dziecinnie, że zaraz się zawstydział, ale nie mógł się powstrzymać, by o to nie zapytać.

- Chcę, żeby Potter stąd zniknął. Negocjacje przejmie pan albo ktoś inny z policji stanowej i da tym skurwielowi helikopter za dziewczynki. Kiedy potem wylądują, namierzemy ich i wysadzimy w powietrze. Wszystko już sprawdziłem. Za pół godziny możemy mieć śmigłowiec wyposażony w urządzenie naprowadzające, które poda nam ich pozycję z odległości stu mil. Nie dowiedzą się, że ich ścigamy.

- Ale Potter twierdzi, że Handy jest zbyt niebezpieczny, żeby pozwolić mu uciec.

- Oczywiście, że jest niebezpieczny - powiedział Marks. - Ale gdy tylko ruszy się z rzeźni, stanie do walki z profesjonalistami. Z ludźmi, którym się płaci za ryzyko. Nie z bezbronnymi dziećmi.

Buddowi zdawało się, że z małych oczu Marksa za chwilę trysną rzęsiste łzy. Myślał o upośledzonej córce prokuratora, o wielu szpitalach, jakie musiała odwiedzić w ciągu krótkiego życia.

Zauważył, że Marks nie powiedział nic o skutku, jaki dla kariery Budda może mieć decyzja. Gdyby o tym wspomniał, kapitan na pewno na nic by się nie zgodził. Kiedy dochodziło do nieczystych zagrań, potrafił być bardzo uparty. Zniechęcił go fakt, że Marks zdał sobie z tego sprawę i wyraźnie unikał gróźb. Budd stwierdził, że już leży na macie i gapi się w sufit, niezdolny się ruszyć. Zaczęło się odliczanie.

O rany.

- Jak możemy sprawić, żeby Potter stąd zniknął?

Powiedział to, żeby zaszachować Marksa, lecz ten naturalnie był na to przygotowany. W prawej dłoni prokuratora pojawiła się mała czarna skrzyneczka. Przez krótką chwilę Budd pomyślał bez sensu, że to bomba. Patrzył na magnetofon.

- Ma pan go tylko skłonić do powiedzenia, że zakładniczki można poświęcić.

- To znaczy, że mam go nagrać?

- Otóż to.

- I... co potem?

- Mam przyjaciół w stacji radiowej w St. Louis. Puszczą taśmę w wiadomościach. Potter będzie musiał ustąpić.

- To będzie dla niego koniec kariery.

- Dla mnie też, jeśli się na to zdecyduję. Ale chętnie zaryzykuję. Na litość boską, chętnie poszedłbym tam zamiast dziewczynek. Potter raczej się do tego nie pali.

- Sam nie wiem.

- Uratujmy te dziewięć biednych dziewczynek, kapitanie. Co pan na to?

Markś wcisnął magnetofon niechętnemu Buddowi. Kapitan patrzył przez chwilę na aparat, a potem bez słowa wsunął go do kieszeni.

- Nie, myli się pan. W rzeźni jest tylko osiem osób. Udało mu się odzyskać jedną - powiedział jedynie.

Ale kiedy to mówił, Marks był już tak daleko, że nie mógł go usłyszeć.

16.10

Kapitan Charles R. Budd stał w rowie niedaleko furgonetki dowództwa akcji.

Rozdzielał zadania, ale przede wszystkim starał się nie zwracać uwagi na magnetofon, który zdawał się ciążyć w jego kieszeni jak tysiąc funtów gorącego metalu.

Potem o tym pomyślę.

Przydzielaj zadania.

Phil Molto przygotowywał stół dla prasy: stół z płyty pilśniowej, mała maszyna do pisania, papier i ołówki. Budd nie był pozeraczem wiadomości, ale przypuszczał, że te urządzenia będą bezużyteczne dla nowoczesnego reportera. Czy ci uroczy chłopcy i ładne dziewczyny w ogóle wiedzieli, jak się pisze na maszynie? Wyglądali na rozpieszczonych uczniów szkoły średniej.

Sądził jednak, że te przygotowania miały więcej wspólnego z polityką niż z dziennikarstwem. Skąd Potter wiedział, jak to urządzić? Może dlatego, że mieszkał w stolicy. W każdym razie to na pewno sprawa polityczna. A jeśli chodzi o politykę, młody kapitan czuł się zupełnie bezradny.

I zawstydzony. Magnetofon zmieniał się w ognisty plastik, który parzył mu nogę.

Zapomnij o nim. Do terminu ultimatum zostało pięćdziesiąt - pięćdziesiąt pięć minut. Wciąż uśmiechał się bezosobowo, lecz nie potrafił zapomnieć obrazu umierającej nastolatki.

Czuł przez skórę, że to nie koniec rozlewu krwi. Marks miał rację. Tam w furgonetce Budd był po stronie zastępcy prokuratora stanowego.

Czterdzieści dziewięć minut...

- W porządku - powiedział do porucznika. - Chyba dobrze. Pilnuj ich, Phil. Żeby siedzieli na tyłku. Mogą sobie pochodzić do linii i notować, co im się podoba...

Zastanawiał się, czy to będzie w porządku. Co na to powie Potter?

- ...ale każ im nałożyć kamizelki kuloodporne i niech nie wystawiają głów.

Milczący Phil Molto skinął głową.

Minutę później nadjechał samochód, w którym siedzieli dwaj mężczyźni. Wysiedli, mignęli akredytacjami i zaczęli się chciwie rozglądać. Starszy z nich powiedział:



- Jestem Joe Silbert z KFAL. A to Ted Biggins.

Budd ubawił ich strój - ciemne niedopasowane garnitury i czarne adidas. Wyobraził sobie, jak biegna korytarzem telewizji, krzycząc, „Bomba, bomba!”, a za nimi fruują papiery.

Silbert spojrział na stolik i wybuchnął śmiechem. Budd przedstawił swojego porucznika i siebie, po czym rzekł:

- Tyle mogliśmy zrobić.

- W porządku, kapitanie. Mam nadzieję, że nie będzie wam przeszkadzać, jeśli skorzystamy z własnych notatników?

Biggins dzwignął na stół duży komputer przenośny.

- Nie, jeżeli będziemy mogli przeczytać, zanim wyślecie informację. - Tak mu polecił Potter.

- Zachowamy - powiedział Silbert. - Mówimy „zachować”, nie „wysłać”. - Budd nie wiedział, czy dziennikarz żartuje.

Biggins pokazał palcem maszynę do pisania.

- Co to ma być?

Obaj reporterzy wybuchnęli śmiechem. Budd poinformował ich o zasadach. Powiedział, gdzie mogą wchodzić, a gdzie nie.

- Jeśli chcecie; możecie porozmawiać z kilkoma policjantami. Phil ich przysłał.

- Są z oddziału antyterrorystycznego?

- Nie, z oddziału K, są tam na drodze.

- Możemy porozmawiać z kimś z oddziałów specjalnych?

Budd uśmiechnął się, a Silbert odwzajemnił uśmiech, jak konspirator, ale zorientował się, że kapitan nie zdradzi, czy dojechał już oddział HRT.

- Chcielibyśmy też porozmawiać z Potterem - rzucił urażonym tonem Silbert. - Czy może będzie nas unikać?

- Dam mu znać, że już jesteście - rzekł Budd, największy dyplomata wśród policjantów. - Tymczasem Phil udzielił wam najświeższych informacji. Ma dane uciekinierów i ich zdjęcia. I pomoże wam nałożyć kamizelki. Pomyślałem sobie, że zainteresuje was ludzki wymiar naszej akcji. Co czuje policjant i tak dalej.

Reporterzy mieli poważne miny, ale Budd zastanawiał się, czy w duchu się z niego nie śmieją.

- Właściwie - powiedział Silbert - najbardziej interesują nas zakładniczkę. Z kim możemy o nich porozmawiać?

- Przyszedłem tu tylko przygotować dla was stanowisko. Agent Potter poda wam informacje, które uzna za stosowne. - Dobrze to powiedziałem pomyślał Budd.

- Mam parę spraw do załatwienia, więc was tu zostawię.

- Ale ja zostanę - rzekł Molto z rzadko u niego widzianym uśmiechem.

- To dobrze, poruczniku.

Komputer zawarczał i ożył.

Zapach, który wyrwał Melanie z jej pokoju, był mieszaniną woni błota, wody, ryb, oleju napędowego, metanu, gnijących liści, mokrej kory drzew.

Zapach rzeki.

Wiatr od wody był tak silny, że zakolysał lampą. Domyśliła się, że gdzieś z tyłu rzeźni musi być otwarte wyjście. Przyszło jej do głowy, że de l'Epee wysłał tam swoich ludzi, żeby poszukali miejsca, przez które dziewczynki mogłyby uciec.

Przypomniała sobie ich poranny przyjazd. Pamiętała kępy drzew z obu stron budynku, błotniste zbocze schodzące do rzeki, które w przygasłym blasku popołudnia na pewno było szare i zimne, poplamione kreozotem i smołą sterty czarnego drewna, pomost niebezpiecznie zawieszony nad wodą, dyndające opony odbojowe.

Opony... To dzięki nim wpadła na tę myśl. Kiedy była mała, każdego lata razem z Dannym biegła do Seversen Corner, przeskakując wyżłobione przez traktory koleiny i przecinając mgławicę pszenicy, prosto nad staw. Miał prawie akr i otaczały go wierzby i trzciny, których rdzenie przypominały styropian. Biegła szybko jak wiatr Kansas, żeby stanąć pierwsza na wzgórzu wychodzącym na staw i skoczyć przed siebie, chwytając się huśtawki z opony, która niosła ją tuż nad lustrzaną powierzchnią wody.

Potem mocno się odpychała, widząc przelatujące pod spodem chmury i niebo.

Z bratem spędzała nad stawem długie godziny - nawet dziś, gdy wychodziła z domu w ciepłe powietrze letniego wieczoru, myślała o tamtej gładkiej powierzchni. Danny dwa razy uczył ją pływać. Pierwszy raz, kiedy miała sześć lat, złapał ją za ręce i zanurzył w spokojnej, choć głębokiej wodzie stawu. Drugi raz było o wiele trudniej, gdy straciła słuch i zaczęła się bać tylu rzeczy. Miała dwanaście lat. Ale wysoki chłopiec o jasnych włosach, pięć lat od niej starszy, nie pozwolił jej dłużej unikać głębokiej wody i za pomocą języka migowego, którego nauczył się jako jedyny z całej rodziny Charrolów, namówił ją, by puściła łysą oponę Goodyeara. Po czym, stojąc w wodzie, spokojnie ją asekurował, nie pozwalając, by wpadła w panikę, aż w końcu przypomniała sobie wyuczone przed kilku laty ruchy.

Pływanie. Pierwsza rzecz, która przywróciła jej odrobinę pewności siebie po tym, jak pograżyła się w świecie ciszy.

Dziękuję, Danny, pomyślała. Za wtedy i za teraz. Bo dzięki temu wspomnieniu zaczęła wierzyć, że może uda się jej uratować swoje uczennice.

Rzeka płynęła tu szeroko. Powierzchnia była wzburzona, a nurt rwący, lecz Melanie pamiętała, że jakieś sto stóp dalej w wodzie tkwiło powalone drzewo, pod które rzeka naniosiła śmieci i połamane gałęzie, Wyobraziła sobie, jak dziewczynki cicho przemykają tylnymi korytarzami rzeźni, skaczą z pomostu do wody i płyną z prądem do drzewa, a potem przedzierają się przez gąszcz gałęzi i biegną, już wolne...

- Nigdy nie wolno lekceważyć wody - ostrzegał ją kiedyś Danny. - Nawet najspokojniejsza potrafi być groźna.

Arkansas w ogóle nie była spokojna. Czy miały jakieś szansę? Donna Harstrawn umiała pływać. Kielle i Shannon - komiksowe bohaterki - pływały jak małe wydry. (Melanie przypomina sobie krępa Kielle, której ciało jak piłka odbija się od trampoliny, i smukłą Shannon leniwie okrążającą basen). Bliźniaczki uwielbiają zabawy w wodzie. Ale nie umieją pływać. Beverly umie, lecz nie poradzi sobie z powodu astmy. Melanie nie wiedziała, co ze śliczną Emily; dziewczynka nigdy nie chciała zanurzać głowy i na basenie stała skromnie w jego płytkiej części.

Będzie musiała wymyślić jakąś deskę, tratwę dla tych, które nie umieją pływać. Ale z czego?

I jak je przeprowadzić na tył rzeźni?

Pomyślała o Dannym. Ale brat nie mógł jej pomóc. Powoli zaczynała ogarniać ją panika.

De l'Epee?

Wysyłała do niego swoje myśli, ale jedyną odpowiedzią był pocieszający szept, że policjanci znajdują dziewczynki, gdy uciekną przez rzekę. (Będą tam, prawda? Musiała wierzyć, że będą).

Cholera, myśli Melanie. Jestem zupełnie sama.

Nagle zapach się zmienia.

Otwiera oczy i widzi twarz Brutusa, kilka stóp przed sobą. Nie czuje już woni rzeki, ale mięso, nieświeży oddech i pot. Jest tak blisko, że z przerażeniem zauważa, iż plamki na jego szyi, które początkowo brała za piegi, to kropelki krwi właścicielki torebki, tamtej kobiety, którą rano zabił. Melanie wzdrygnęła się ze wstrętem.

- Siedź spokojnie - powiedział Handy.

Znów pomyślała, dlaczego tak dobrze rozumiem, co mówi? Siedź spokojnie. Bardzo trudno odczytać to z ruchu warg, a jednak była niemal pewna, że właśnie to powiedział. Brutus wziął ją za ręce. Próbowała się opierać, lecz nie potrafiła.

- Siedzisz tu sobie z zamkniętymi oczami... ręce ci się trzęsą jak łapy szopa pracza. Mówisz do siebie, tak?

W kącie pomieszczenia dostrzegła jakiś ruch. Kielle usiadła wyprostowana i patrzyła na niego. Twarz dziewczynki wyglądała dziwnie dorośle. Kielle mocno zaciskała szczęki.

- Jestem Jubilee! - powiedziała na migi. Była to jej ulubiona postać spośród ludzi X. - Zabiję go!

Melanie nie miała odwagi jej odpowiedzieć, ale wzrokiem błagała ją, by została na swoim miejscu.

Brutus zerknął na dziewczynkę, parsknął śmiechem i wycofał się do głównego pomieszczenia rzeźni, dając znak Niedźwiedziowi, żeby poszedł za nim. Po chwili wrócił z dużym kanistrem benzyny.

Kielle zamarła wpatrując się w czerwony pojemnik.

- Niech nikt się nie rusza. - Mówiąc to, Brutus patrzył w oczy Melanie. Potem na półce nad głowami dziewczynek postawił ciężki blaszany pojemnik, być może małą kadź do wytapiania tłuszczu, i nalał do niego benzyny. Gdy stawiał kanister w kącie, Melanie poczuła głuchy odgłos. Następnie Handy przywiązał do pojemnika drut i przeciągnął go do sąsiedniego pomieszczenia. Na podłodze i ścianach zatańczyły upiorne cienie, a światło wpadające przez drzwi rozbliysło mocniej. Nieoczekiwanie wrócił Brutus, niosąc jeszcze jedną lampę. Odkręcił z niej drucianą siatkę ochronną i przywiązał gołą oprawkę z żarówką do śruby w podłodze, bezpośrednio pod pojemnikiem z benzyną.

Niedźwiedź z aprobatą przyglądał się jego fachowym poczynaniom.

Kielle dała krok w stronę Brutusa.

- Nie - powiedziała na migi Melanie. - Wracaj na miejsce!

Brutus raptownie ukląkł i złapał Kielle za ramiona. Zbliżył twarz do jej twarzy i bardzo powoli powiedział:

- Popatrz, ptaszynko... jakieś kłopoty... albo ktoś będzie próbował was ratować, pociągnę za drucik i was usmażę.

Pchnął ją mocno i Kielle upadła na jedną z rynienek odprowadzających krew.

- Którą mam wybrać? - spytał Niedźwiedzia Brutus. Grubas przyjrzał się dziewczynkom, najdłużej zatrzymując wzrok na Emily, jej płaskiej piersi, białych podkolanówkach, bucikach z czarnymi paskami.

Niedźwiedź wskazał Shannon.

- ...kopnęła mnie. Tę weź.

Brutus spojrział na dziewczynkę, która odrzuciła w tył długie ciemne włosy. Tak jak Kielle, patrzyła na niego twardo, ale po chwili opuściła wzrok, a jej oczy napełniły się łzami. Melanie pojęła prawdziwą różnicę między dziewczynkami. Shannon Boyle umiała świetnie rysować, ale nie była Jubilee ani innym bohaterem. Była ośmioletnią dziewczynką o chłopięcej sylwetce, która umierała ze strachu.

- Lubisz kopać, co? - zwrócił się do niej Brutus. - Dobra, idziemy. - Wyprowadzili ją.

Co chcą z nią zrobić? Wypuścić jak Jocylyn? Melanie przypadła do drzwi - dalej nie miała odwagi się posunąć. Zobaczyła Shannon w zatłuszczonej oknie frontowym rzeźni. Brutus wyciągnął z tylnej kieszeni spodni pistolet. Przyłożył lufę do głowy dziewczynki... Nie! och, nie, nie...

Melanie zaczęła się podnosić. Jajowata głowa Niedźwiedzia natychmiast zwróciła się w jej stronę i grubas uniósł ostrzegawczo strzelbę. Opadła na zimną podłogę, patrząc bezradnie na swoją uczennicę. Shannon zamknęła oczy i otoczyła palcami bransoletkę z niebieskich i różowych nitek, którą przed miesiącem zawiązała na swoim przegubie. Powstrzymując łzy, Melanie przypomniała sobie, że dziewczynka obiecywała zrobić taką samą dla niej, ale nigdy się do tego nie zabrała.

Angie Scapello przystanęła w drodze z bazy na tyłach do furgonetki.

- Hej, kapitanie!

Gdyby Charlie Budd tego nie wiedział, nigdy by nie przypuszczał, że jest agentką FBI.

- Cześć - powiedział.

Przystanęła, by się z nim zrównać.

- Dużo pracowałaś z Arthurem? - zapytał nieoczekiwanie.

Zdenerwował się, chciał jakoś zacząć rozmowę.

- Przy trzydziestu czy czterdziestu akcjach. Może więcej.

- Musiałaś wcześniej zacząć.

- Jestem starsza, niż wyglądam.

Nie sądził, by słowo „starsza” w ogóle było stosowne w jej przypadku.

- To nie jest żaden bajer, jestem żonaty. - Budd niezręcznym ruchem pokazał błyszczącą obrączkę, bliźniaczkę tej, którą nosiła jego żona. - Ale powiedz mi, nie pracowałaś nigdy jako modelka? Pytam, bo Meg - moja żona - kupuje różne „Vogue” i „Harper’s Bazaar”. Mam wrażenie, jakbym cię widział w jakiejś reklamie.

- Całkiem możliwe. Parę lat temu, w czasie studiów, pokazywałam się w reklamach w czasopiśmie. Jeszcze przed dyplomem. - Roześmiała się. - Zwykle występowałam jako panna młoda, ale nie pytaj dlaczego.

- Może welon pasował do twoich włosów - rzekł Budd i poczerwieniał, bo jego komentarz zabrzmiał, jak gdyby zamierzał z nią flirtować.

- Wystąpiłam też w jednym filmie.

- Poważnie?

- Byłam dublerką Isabelli Rosellini. Stałam w śniegu w dalekich ujęciach.

- Faktycznie jesteś do niej podobna. - Budd powiedział to niepewnie, nie mając pojęcia, co to za aktorka. Miał nadzieję, że Rosellini występowała w jakimś filmie pokazywanym w Ameryce.

- Musiałaś się bardzo starać, żeby zostać tu ważną osobistością, prawda? - powiedziała.

- Ja, ważną osobistością? - zaśmiał się Budd.

- Podobno bardzo szybko awansowałaś.

- Tak?

- No, w takim młodym wieku jesteś już kapitanem.

- Jestem starszy, niż wyglądam - zażartował. - Zanim skończy się ta sprawa, będę o wiele starszy. - Spojrzał na zegarek. - Lepiej chodźmy do środka. Do ultimatum zostało niewiele czasu. Jak ci się udaje zachować taki spokój?

- Chyba kwestia przyzwyczajenia. A ty? Co powiesz o swoim rajdzie za maniakiem seksualnym w Hamilton?

- Gdzie o tym słyszałaś? - roześmiał się Budd. Dwa lata temu gnał sto dwadzieścia mil na godzinę po polnej drodze. - Nie sądzę, żeby wiadomości o moich wyczynach trafiły do „National Law Enforcement Weekly”.

- Słyszysz się to i owo. W każdym razie o pewnych ludziach.

Utkwiła spojrzenie swych brązowych oczu w oczach Budda, zielonych, coraz bardziej speszonych i zawstydzonych. Znów potarł policzek lewą dłonią, pokazując jej obrączkę, a potem pomyślał: Hej, bądź realistą. Naprawdę sądzisz, że ona na ciebie leci? Nie ma mowy. Po prostu uprzejmie rozmawia z miejscowym prostytutkiem.

- Lepiej pójde zobaczyć, czy Arthur mnie nie potrzebuje - rzekł Budd.

Nie zastanawiając się, wyciągnął do niej rękę. Zaraz tego pożałował, ale ona ujęła ją w obie dłonie i mocno uściśnięła, dając równocześnie krok w jego stronę. Poczł woń perfum. Wydawało mu się niemal nienaturalne, że agentka FBI używa perfum.

- Naprawdę się cieszę, że pracujemy razem, Charlie. - Posłała mu promienny uśmiech, jakiego od lat nie widział - od kiedy Meg przyłapała go na balu szkolnym z przewodniczącą grupy Młodych Metodystów, której wcześniej nigdy by nie podejrzewał o skłonności do flirtowania.

16.40

- Dwadzieścia minut do terminu ultimatum - zawołał Tobe Geller.

Potter skinął głową i wcisnął przycisk szybkiego wybierania numeru.

Handy odebrał, mówiąc:

- Wybrałem następną ptaszynę, Art.

Odwrócić jego uwagę od zakładników, niech myśli, że są bezwartościowi.

- Lou, pracujemy nad sprowadzeniem helikoptera - powiedział Potter. -

Nie tak łatwo go dostać.

- Ta mała nawet współpracuje, Art. Tamta gruba tylko ryczała. Strasznie mnie to wkurzało. Ta uroni łezkę czy dwie, ale jest twarda. Ma jakiś pieprzony tatuaż na ręce, wyobrażasz sobie?

Podziel się z nim własnymi spostrzeżeniami. Okaż mu swoje zainteresowanie. Dowiedz się paru rzeczy o nim.

- Wydajesz się zmęczony, Lou.  
- Nic podobnego. Jestem rześki jak mało kto.  
- Naprawdę? Można by pomyśleć, że nie spałeś całą noc, planując wielką ucieczkę.  
- Nie, przespałem osiem godzin jak dziecko. Poza tym nie ma to jak dobry kryzys, żeby dostać niezłego kopa. - W rzeczywistości w ogóle nie wydawał się zmęczony. Głos miał spokojny i zrelaksowany. Potter dał znak LeBowowi, ale ten już stukał w swoje klawisze.  
- No więc słucham, co to za problem z tym helikopterem, Art?  
Potter spojrzął przez lornetkę na okno, w którym stała ciemnowłosa dziewczynka o pociągłej twarzy. Zdażył już zapamiętać nazwiska i twarze. Wciskając guzik wyciszenia, powiedział do Angie:  
- To Shannon Boyle. Powiedz mi coś o niej. - A do telefonu: - Problem w tym, Lou, że helikoptery nie rosną na drzewach i nie są za darmo.  
Martwisz się o pieprzoną forszę w takim momencie?  
- Kurwa, przecież możesz zapłacić każdą cenę. Masz kasę, którą kradniecie podatnikom.  
- Jesteś podatnikiem, Lou?  
- Nie kupujemy już bomb atomowych, więc wydaj trochę na helikopter i uratuj życie kilku osobom, co?  
Angie stuknęła go w ramię.  
- Zaczekaj chwilę, Lou. Mam jakieś nowe informacje o śmigłowcu.  
- Ma osiem lat - szepnęła Angie. - Nie słyszy od urodzenia. Nie umie czytać z ruchu warg. Ma silną, niezależną osobowość. Brała udział w marszach protestacyjnych na rzecz ustanowienia głuchych dziekanów w szkołach dla niesłyszących w Kansas i Missouri. Podpisywała petycję w sprawie zwiększenia niesłyszącej kadry u Laurenta Clerca i jej podpis był największy. W szkole często się bije, zwykle wygrywa.  
Potter skinął głową. Jeżeli więc uda im się odwrócić jego uwagę, przy nadarzającej się okazji dziewczynka może spróbować uciec.  
Albo wykorzystać tę okazję, żeby zaatakować Handy'ego i... zginać.  
Ponownie wduślił przycisk wyciszenia i powiedział, nadając głosowi ton poirytowania:  
- Słuchaj, Lou. Chodzi tylko o małe spóźnienie. Chcesz duży śmigłowiec. Dwuosobowych mamy w bród. Ale ciężko znaleźć takie duże.  
- To twój problem, nie? Wpakuję kulę w śliczną cipeńkę za, niech sprawdzę, piętnaście minut.  
Zwykle należy umniejszać wartość zakładników.  
Czasami jednak trzeba błagać.  
- Ma na imię Shannon, Lou. Daj spokój, ona ma dopiero osiem lat.  
- Shannon - powtórzył w zamyśleniu Handy. - Chyba nie chwytasz, Art. Chcesz, żeby mi było przykro, bo jakiś biedny dzieciak ma imię. Shannon, Shannon, Shannon. Takie masz zasady, co, Art? Tak ci napisali w podręczniku dla fedziów?  
Faktycznie, strona czterdziesta piąta.  
- Ale widzisz, te zasady nie biorą pod uwagę kogoś takiego jak ja. Im lepiej poznaję te smarkule, tym większą ochotę mam je pozabijać.  
Trzymaj się tej linii. Strofuj go, naciskaj, wymieniaj z nim złośliwe uwagi. Wycofa się, jeżeli utrzymasz właściwą równowagę. Tak myślał Arthur Potter, zaciskając równocześnie dłoń na słuchawce i mówiąc niemal wesoło:  
- Wydaje mi się, że to wszystko gówno prawda, Lou. Chyba się z nami bawisz.  
- Myśl sobie, co chcesz.  
Głos agenta zabrzmiał trochę ostrzej:  
- Jestem już zmęczony tymi pierdołami. Próbujemy z tobą pracować.  
- Nie, chcecie mnie ustrzelić. Dlaczego nie macie odwagi się do tego przyznać? Gdybym miał cię w celowniku, rozwalilibym cię jak jelenia.  
- Nie, nie chcę cię zastrzelić, Lou. Nie chcę, żeby ktokolwiek zginął. Mamy kłopoty techniczne. Ciężko tu wylądować. Na polu z przodu jest pełno starych palików po ogrodzeniach. I wszędzie rosną drzewa. Na dachu helikopter nie siądzie, bo jest za ciężki. Trzeba...

- A więc macie plan budynku, co?

Negocjuj z pozycji siły - przypominając porywaczom, że zawsze rozważasz możliwość szturmu jako ostatecznego rozwiązania (w każdej chwili możemy rozwalić drzwi i koniec z tobą; pamiętaj, że nas jest dużo więcej). Potter roześmiał się, mówiąc:

- Oczywiście, że mamy. Mamy mapy, plany, schematy, rysunki i kolorowe zdjęcia na błyszczącym papierze, osiem na dziesięć. Jesteś na nich jak chłopak z okładek, Lou. Chyba cię to nie dziwi?

Cisza.

Za mocno przycisnąłem?

Nie, chyba nie. Zaraz wybuchnie śmiechem i spokojnie coś powie.

Zachichotał.

- Osłabiacie mnie, chłopaki.

- A pole od południa - ciągnął Potter, jak gdyby Handy w ogóle się nie odezwał - sam zobacz. Same rowy i wzniesienia. Niebezpiecznie byłoby sadzać tam ośmioosobowy śmigłowiec. Ten wiatr... to też spory kłopot. Nasz doradca lotniczy ma poważne wątpliwości.

Budd zmarszczył brwi, powtarzając bezgłośnie:

- Doradca lotniczy?

Potter właśnie wymyślił to stanowisko, więc tylko wzruszył ramionami, wskazując na tablicę „Blef”. Budd z westchnieniem zapisał kolejny punkt.

Srebrzyste narzędzia, nowe, jeszcze w opakowaniach.

Pottera bardzo korciło, by zapytać, do czego są im potrzebne. Nie mógł tego jednak zrobić. Ważne, żeby Handy się nie zorientował, co wiedzą na temat stanu ich posiadania. Jeszcze ważniejsze, by Handy nie zaczął podejrzewać, że uwolnione zakładniczki udzielają Potterowi wartościowych informacji, wówczas bowiem bardzo poważnie się zastanowi, zanim wypuści następne.

- Art - rzucił ostro Handy. - Powtarzam, to są twoje problemy. - Był już jednak mniej nonszalancki, więc chyba zaczął sobie zdawać sprawę, że problemy te dotyczą częściowo także jego.

- Daj spokój, Lou. To sprawa praktyczna. Nie chcę się wyklócać z tobą o helikopter, tylko próbuję ci powiedzieć, że nie możemy takiego znaleźć, i nie wiem, gdzie mogłoby wylądować. Jeśli masz jakiś pomysł, chętnie skorzystam.

Strategia negocjacji z porywaczami zakładników zabrania negocjatorowi proponować gotowe rozwiązania problemów i radzi obciążyć tym zadaniem drugą stronę. Niech napastnik miota się w niepewności i sam próbuje znaleźć wyjście.

Pełne niesmaku westchnienie.

- Kurwa.

Odłoży słuchawkę?

Wreszcie Handy powiedział:

- Może śmigłowiec na pływakach? Możesz to chyba załatwić, nie?

Nigdy nie zgadzaj się za szybko.

- Na pływakach? - powtórzył po chwili milczenia Potter. - Sam nie wiem. Będziemy musieli sprawdzić. To znaczy, że chcesz, by posadzić go na rzece?

- Jasne, że tak. A co myślałeś, że w kiblu?

- Zajmę się tym. Gdyby w pobliżu była jakaś osłonięta zatoczka, mogłoby się udać. Ale musisz nam dać więcej czasu.

Nie macie więcej czasu.

- Nie dostaniecie więcej czasu.

- Chwileczkę, Lou. Pływaki to świetny pomysł. Od razu się do tego zabieram, ale potrzebuję więcej czasu. Powiedz, czego za to chcecie.

- Helikoptera.

- I dostaniecie go. Tylko że trochę później, niż mieliśmy nadzieję.

Wymień coś innego. Coś, czego naprawdę chcesz. Jest coś takiego?

Milczenie. Potter pomyślał: broń, kasety porno i magnetowid, wypuszczenie kumpla z więzienia, pieniądze, alkohol...

- Tak, Art, chcę czegoś.

- Czego?

- Opowiedz mi o sobie.

Oj, bardzo źle.

Potter spojrział na Angie, która zmarszczyła brwi i ostrożnie pokręciła głową.

- Co takiego?

- Pytałeś mnie, czego chcę. Chcę, żebyś mi o sobie opowiedział.

Dobrze, jeśli porywacza ciekawi postać negocjatora, ale zwykle nawiązanie tak poważnego kontaktu następowało po wielu godzinach, a nawet dniach. Już drugi raz w ciągu kilku godzin Handy wyraził zainteresowanie Potterem, a agent nigdy jeszcze nie spotkał porywacza, który by pytał o niego tak bezpośrednio. Potter wiedział, że znalazł się w trudnym położeniu: mógł poprawić kontakt z Handym albo wbić klin między niego a siebie, gdyby powiedział coś, co się Handy'emu nie spodoba.

Strzeż się...

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko, co zechcesz mi powiedzieć.

- Nic szczególnego, pracuję po prostu w służbie cywilnej. - Poczul, że ma w głowie pustkę.

- Mów dalej, Art. Słucham.

Jak gdyby ktoś przekręcił w nim włącznik, Arthur Potter zapragnął nagle wyrzucić z siebie żal, każdy szczegół swojego życia, samotność, smutek... Chciał, żeby Lou Handy się o tym dowiedział.

- Jestem wdowcem. Żona umarła trzynaście lat temu, a dzisiaj jest rocznica naszego ślubu.

Przypomniał sobie, że LeBow mówił o niesnaskach Handy'ego z jego była żoną; odwrócił się do swego wywiadowcy, który zdążył już wyświetlić na monitorze część sylwetki Handy'ego. W wieku dwudziestu lat przestępca był już od dwóch lat żonaty. Żona wniosła pozew o rozwód z powodu maltretowania i sąd zakazał Handy'emu zbliżania się do niej. Zaraz potem Handy dokonał serii brutalnych napaści. Potter żałował, że wspominał o małżeństwie, ale gdy Handy po chwili zapytał go o powód śmierci żony, wydawał się szczerze zaciekawiony.

- Miała raka. Umarła dwa miesiące po tym, jak się dowiedzieliśmy.

- Ja nigdy nie byłem żonaty, Art. Nie znalazła się taka, żeby mnie uwiązać. Wolny ze mnie ptak, idę tam, gdzie mnie zawiedzie serce i kutas. Ożeniłeś się potem drugi raz?

- Nie.

- A co robisz, jak masz ochotę na cipkę?

- Większość czasu zajmuje mi praca, Lou.

- Tak lubisz swoją robotę? Jak długo pracujesz?

- W FBI całe dorosłe życie.

Dobry Boże, pomyślał z chwilowym rozbawieniem Potter, jak gdyby przyglądał się wszystkiemu z boku, on powtarza jak echo to co ja. Przypadek? A może bawi się ze mną w taki sam sposób, w jaki ja powinienem?

- Zawsze robiłem to, co teraz. Często pracuję osiemnaście godzin na dobę.

- Jak się wpakowałeś w to negocjacyjne gównno?

- Po prostu wpadłem. Chciałem być agentem, podobało mi się niebezpieczeństwo. Byłem naprawdę niezły w dochodzeniach, ale trochę za spokojny. W każdej sprawie widziałem drugą stronę medalu.

- No jasne - powiedział poważnie Handy. - Dlatego nie mogłeś wysoko zajść. Nie wiesz, że śliskie ryby pływają szybciej?

- Święta prawda, Lou.

- Musisz spotykać kupę pojebanych czubków.

- Och, z wyłączeniem obecnego towarzystwa, naturalnie.

Po drugiej stronie linii nie rozległ się śmiech. Tylko cisza. Potter zaniepokoił się, że lekka atmosfera prysła i usłyszawszy w jego głosie sarkazm, Handy poczuł się zraniony. Potter zapragnął go przeprosić.

Ale Handy rzucił po prostu:

- Opowiedz mi jakąś z twoich wojennych historii, Art.

Angie znów zmarszczyła brwi. Potter zignorował to.

- Jakies piętnaście lat temu negocjowałem z szaleńcem zabarykadowanym w ambasadzie zachodniemieckiej w Waszyngtonie. Gadałem z nim całe piętnaście godzin. - Roześmiał się. - Kazałem agentom biegać do biblioteki po książki o

filozofii politycznej. Hegel, Kant, Nietzsche... Wreszcie musiałem posłać po Cliffa Notesa. Urządziłem sobie stanowisko na tylnym siedzeniu cywilnego samochodu i rozmawiałem przez normalny telefon z drutem z tym idiotą, któremu się zdawało, że jest Hitlerem. Chciał mi dyktować własną wersję „Mein Kampf”. Jeszcze teraz nie mam pojęcia, o czym właściwie gadaliśmy przez cały ten czas.

W rzeczywistości szalenięc wcale nie twierdził, że jest Hitlerem, lecz Potter celowo chciał trochę przesadzić, by opowieść była zabawniejsza.

- Brzmi, jak gdyby to była jakaś pieprzona komedia.

- On nawet był zabawny. Ale jego AK-47 potrafił zaraz człowieka otrzeźwić.

- Jesteś psychologiem?

- Nie. Po prostu gościem, który lubi gadać.

- Musisz mieć niezłe ego.

- Ego?

- Jasne. Musisz przecież słuchać, jak ktoś taki jak ja mówi: „Ty parszywa gnido, zabiję cię przy pierwszej okazji”, a potem pytać go, czy do hamburgera woli colę czy herbatę mrożoną.

- Życzysz sobie cytrynę do herbaty, Lou?

- Cha, cha. Tylko to robisz?

- Jeszcze uczę. W szkole policyjnej w Fort McClellan. W Alabamie. I prowadzę szkolenia w Quantico w specjalnym oddziale dochodzeniowo-operacyjnym.

Teraz Henry LeBow posłał Potterowi poirytowane spojrzenie. Nigdy nie słyszał, żeby współpracujący z nim od dawna agent podawał tyle prywatnych informacji.

Handy powiedział powoli i cicho:

- Powiedz mi coś, Art. Nigdy nie zrobiłeś niczego złego?

- Złego?

- Naprawdę złego.

- Chyba zrobiłem.

- I chciałeś to zrobić?

- Czy chciałem?

- Nie słuchasz mnie? - Wydawał się nagle rozdrażniony. Zbyt częste powtarzanie może do ciebie zrazić porywacza.

- Właściwie te rzeczy nie są zwykle zamierzone. Wydaje mi się, że za mało czasu spędzałem z żoną. Potem, kiedy umarła, bardzo wcześnie, jak ci już mówiłem, zdałem sobie sprawę, ilu rzeczy nie zdażyłem jej powiedzieć.

- A idź w cholerę. - Handy zaśmiał się szyderczo. - To nic złego. Nie wiesz, co mam na myśli.

Potter poczuł się głęboko dotknięty tą uwagą. Chciał krzyknąć: „Wiem! I wiedziałem, że zrobiłem coś bardzo złego”.

- Mówię o zabijaniu - ciągnął Handy. - Zrujnowaniu komuś życia, zrobieniu z kogoś wdowca albo wdowy, osieroceniu czyichś dzieci. O czymś naprawdę złym.

- Nigdy nikogo nie zabiłem, Lou. Własnoręcznie.

Tobe spoglądał na niego. Angie nagryzmoliła na kartce: „Za bardzo się odsłaniasz”.

Nie zwracając na nich uwagi, otarł pot z czoła i nie odrywał wzroku od rzeźni.

- Ale przeze mnie zginęli ludzie. Przez zaniedbanie, błąd, czasem celowo. Widzisz, Lou, ty i ja pracujemy w tym samym biznesie, tylko po różnych stronach. - Chciał być dobrze zrozumiany, nic więcej. - Ale wiesz...

- Nie ukrywaj tego gówna, Art. Powiedz mi, jest coś, co cię szczególnie męczy?

- Nie... nie wiem.

- A ci ludzie, co niby przez ciebie zginęli?

Sprawdź go, pomyślał Potter. Co on zamierza zrobić?

Nic nie rozumiem. Kto to, u diabła, może wiedzieć?

- Hej, Art, mów dalej. Kto to był? Zakładnicy, których mogłeś uratować? Gliniarze, których wysłałeś nie tam, gdzie trzeba?

- Tak, i jedni, i drudzy.



Jeszcze porywacze. Ale o tym nie wspomniał. Ostrella, pomyślał nagle, jej pociągła, piękna twarz, węzowe ruchy. Ciemne brwi, pełne usta. Jego Ostrella.

- I to cię gryzie, hm?

- Gryzie? Pewnie, że tak.

- Kurwa - prychnął z pogardą Handy. Potter znów poczuł bolesne ukłucie.

- Widzisz, Art, jesteś dowodem, na to, że mam rację. Nigdy nie zrobiłeś nic złego i obaj dobrze o tym wiemy. Weźmy tych ludzi z cadillaca, tych dwoje, których zabiłem rano. Tak przy okazji, mieli na imię Ruth i Hank. Ruthie i Hank. Wiesz, dlaczego ich zabiłem?

- Dlaczego, Lou?

- Z tego samego powodu, dla którego za chwilę postawię tę małą Shannon w oknie i strzelę jej w tył głowy.

Nawet spokojny Henry LeBow drgnął. Frances Whiting zasłoniła usta wypielęgowanymi dłońmi.

- Czyli dlaczego? - zapytał z niezmaconym spokojem Potter.

- Bo nie dostałem tego, co mi się należało! Po prostu. Dzisiaj na polach wpierdolili się w mój samochód. I kiedy poszedłem zabrać im cadillaca, zaczęli uciekać.

Potter czytał raport policji Kansas. Wynikało z niego, że samochód Handy'ego przejechał znak stop i został uderzony przez cadillaca, który miał pierwszeństwo. Potter nie wspomniał o tym ani słowem.

- To sprawiedliwe, nie? Co tu więcej dodawać? Musieli zginać, a gdybym miał więcej czasu, na pewno bardziej by poczuli, że umierają. Nie dali mi tego, co powinienem dostać.

Mówił z zimną, nieubłaganą logiką.

Tylko bez ocen, powtórzył sobie Potter. Ale nie wolno go też chwalić. Negocjatorzy są neutralni. (Z bólem uświadomił sobie, że nie czuje wstrętu, jaki powinien czuć. Gdzieś w najgłębszym zakamarku serca był przekonany, że słowa Handy'ego mają sens).

- Art, nic z tego nie kumam. Kiedy mam powód, żeby kogoś zabić, mówią, że jestem zły. Kiedy gliniarz ma powód, żeby kogoś zabić, płacą mu za to i mówią, że jest dobry. Dlaczego jedne powody są w porządku, a inne nie? Zabijasz, kiedy ktoś nie robi tego, co ma zrobić. Zabijasz słabych, bo mogą być dla ciebie ciężarem. Co w tym złego?

Henry LeBow spokojnie notował. Tobe Geller obserwował swoje monitory i wskaźniki. Charlie Budd siedział w kącie ze wzrokiem wbitym w podłogę, obok niego przycupnęła Angie, słuchając z uwagą. Frances Whiting stała w innym kącie, niepewnie trzymając kubek kawy, na którą straciła całą ochotę; policja w Hebronie nigdy nie miała do czynienia z takimi typami jak Lou Handy.

W głośniku rozległ się śmiech.

- Przyznaj się, Art... nie miałeś nigdy ochoty nikogo zabić? Ze złego powodu?

- Nie, nie miałem.

- Naprawdę? - Był sceptyczny. - Zastanawiam się...

W furgonetce zapadła cisza. Po twarzy Pottera spłynęła strużka potu, którą zaraz starł.

- Słuchaj, jesteś podobny do tego gościa ze starego programu o FBI, Efrema Zimbalista?

- W ogóle nie. Wyglądam dość normalnie. Jestem zwykłym, skromnym gliniarzem. Jem za dużo ziemniaków...

- Frytek - przypomniał sobie Handy.

- Najbardziej lubię puree z sosem.

Tobe szepnął coś do Budda, który napisał na karteczce: „Minał termin ultimatum”.

Potter zerknął na zegar. Powiedział do telefonu:

- Chodzę w sportowych marynarkach. Lubię tweedowe i z wielbładzkiej wełny. Ale firma każe nam nosić garnitury.

- Garnitury? Lepiej zakrywają sadełko? Zaczekaj chwilę, Art.

Potter porzucił swoje fantazje i skierował lornetkę na okna rzeźni. Obok głowy Shannon, tuż przy jej ciemnych, potarganych włosach pojawiła się lufa pistoletu.

- Skurwysyn - szepnął Budd. - Biedna mała jest przerażona.

Frances zbliżyła twarz do okna.

- Och, nie, błagam...

Palec Pottera wcisnął guzik.

- Dean?

- Tak jest - zgłosił się Stillwell.

- Twój snajperzy są w stanie namierzyć cel?

Chwila milczenia.

- Nie. Widzą tylko lufę pistoletu i zamek. Handy stoi za nią. Strzelić można tylko we framugę okna.

- Hej, Art - odezwał się Handy. - Nigdy nikogo nie zastrzeliłeś?

LeBow uniósł wzrok, marszcząc brwi. Jednak Potter odpowiedział:

- Nie, nigdy.

Wepchnąwszy ręce do kieszeni, Budd zaczął spacerować, co było bardzo irytujące.

- A strzelałeś w ogóle z broni?

- Jasne. Na strzelnicy w Quantico. Podobało mi się.

- Naprawdę? Wiesz, jeżeli podobało ci się strzelanie, mogłoby ci się też spodobać strzelanie do kogoś. Żeby zabić.

- Chory skurwysyn - mruknął Budd.

Potter uciszył kapitana gestem.

- Wiesz co, Art?

- Co?

- Jesteś w porządku. Poważnie.

Słyszając od niego słowa aprobaty, Potter poczuł miły skurcz w żołądku.

Rzeczywiście jestem dobry, pomyślał. Wiedział, że jego pracy szczególnego charakteru nadaje empatia. Nie strategia, nie słowa ani rachuby czy inteligencja. Chodziło o coś, czego nie da się nauczyć na szkoleniu. Zawsze byłem dobry, powiedział sobie w myślach. Ale kiedy umarłaś, Marian, stałem się świetny. Nie miałem co zrobić z sercem, więc oddałem je takim typom jak Louis Handy.

I Ostrella...

Opanowanie przez terrorystów ambasady w Waszyngtonie. Po dwudziestogodzinnych negocjacjach z Potterem z ambasady sowieckiej ma wyjść Estonka, przepiękna blondynka. Dwunastu zakładników wychodzi, czworo zostaje jeszcze w środku. Wreszcie kapitulacja i kobieta wychodzi, ale nie trzyma rąk w górze, tylko na karku - co jest naruszeniem procedury zatrzymania porywaczy. Lecz Potter wiedział, że nie stanowiła żadnego zagrożenia. Znał ją tak dobrze jak Marian. Wyszedł zza barykady i zupełnie nieosłonięty zbliżył się do niej, żeby się przywitać, żeby ją objąć, żeby sprawdzić, czy nie ma zbyt ciasnych kajdanków, żeby się upewnić, czy przeczytają jej prawa w jej ojczystym języku. I nagle chlusnęła na niego jej krew po strzale snajpera, który zareagował błyskawicznie, gdy gwałtownym ruchem wyszarpnęła zza kołnierza pistolet i wycelowała go w twarz Pottera. (A jak on zareagował? Krzyknął do niej: „Na ziemię!”, i otoczył ją ramionami, pragnąc osłonić swoją nową miłość, czując na skórze kawałki jej roztrzaskanej czaszki).

Chciałeś kiedyś zrobić coś złego ?

Tak, Lou, chciałem. Jeżeli musisz wiedzieć.

Strzeż się...

Potter przez chwilę nie był w stanie wydusić słowa, gdyż obawiał się obrazić Handy'ego, który mógłby odłożyć słuchawkę. Bał się tego niemal tak samo jak śmierci dziewczynki.

- Posłuchaj, Lou. Mówię prawdę, pracujemy nad tym helikopterem i prosiłem cię, żebyś mi powiedział, za co jesteś skłonny sprzedać nam jeszcze jedną godzinę. Próbuje iść na kompromis - dodał. - Pomóż mi to zrobić.

Po krótkim milczeniu pewny siebie głos powiedział:

- Pić nam się tutaj chce.

Aha, chcemy się zabawić w kotka i myszkę.

- Pepsi? - podsunął nieśmiało agent.
- Wiesz, o czym mówię.
- Lemoniada ze świeżego sunkista?

LeBow stuknął w kilka klawiszy i pokazał ekran monitora Potterowi, który skinął głową.

- Szklanek mleka mamusi? - zakpił Handy.
- Czytając informacje o Wilcoxie, Potter powiedział:

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł, Lou. Shep zdaje się ma problemy z alkoholem, prawda?

Cisza.

- Chyba dużo o nas wiecie, chłopcy.
- Za to mi płacą tę nędzną pensję. Żebym wiedział wszystko.
- Umowa jest taka. Godzina za jakąś flaszkę.
- Nie dostaniecie nic mocnego. Nie ma mowy.
- Wystarczy piwo. Dla mnie nawet lepiej.
- Przyślę wam trzy puszki.
- Zaraz, zaraz. Skrzynkę.
- Nie. Trzy puszki słabego piwa.

Po drugiej stronie dał się słyszeć pogardliwy chichot.

- Wsadź sobie gdzieś słabe piwo.
- Więcej nie mogę wam dać.

Frances i Budd przykleili się do okna, nie odrywając oczu od Shannon. Usłyszeli pogodny głos Handy'ego:

- Ene due rabe, połknął bocian żabę... - Lufa przesuwiała się od jednego ucha dziewczynki do drugiego.

Zgłosił się Stillwell, pytając o rozkazy dla snajperów.

Potter zawahał się.

- Nie strzelać - powiedział. - Bez względu na to, co się stanie.
- Wykonuję - odparł Stillwell.

Usłyszeli płacz dziewczynki. Handy przycisnął jej lufę do czoła.

- Dam wam sześciopak - powiedział Potter - jeżeli oddacie mi tę małą.
- Nie przeginaj - szepnął Budd.

Znów chwila milczenia.

- Daj mi choć jeden powód, dla którego miałbym to zrobić.

LeBow przesunął kursor na kolejny akapit rozwijającej się „Biografii Louisa Handy'ego”. Potter przeczytał wskazany fragment i rzekł:

- Bo uwielbiasz piwo.

Handy dostał naganę od jednego z naczelników więzienia za pędzenie własnego piwa. Później ograniczono mu przywileje za przemycenie do celi dwóch skrzynek budweisera.

- Pomyśl - naciskał Potter - co ci zależy? Zostanie ci jeszcze mnóstwo zakładniczek. - Postanowił zaryzykować. - Poza tym to dość męcząca panienka. W szkole nie mówią o niej za dobrze.

Angie szeroko otworzyła oczy. Wspominanie o zakładnikach to zawsze ryzyko, bo w oczach porywacza staną się cenniejsi. Nigdy nie wolno mówić, że mogą być kłopotliwi albo niebezpieczni.

Znów milczenie.

Pora zarzucić przynętę.

- Jakie jest twoje ulubione? - zapytał agent. - Miller? Bud?
- Meksykańskie.

- W porządku, Lou. Sześć puszek corony, a ty wypuszczasz dziewczynkę i dajesz nam jeszcze godzinę na helikopter. I wszyscy są zadowoleni.

- Wolałbym ją zastrzelić.

Potter i LeBow spojrzeli po sobie. Budd znalazł się nagle bardzo blisko Pottera; grzebał rękami w kieszeniach.

Nie zwracając uwagi na młodego kapitana, Potter powiedział do Handy'ego:

- No dobrze, Lou. W takim razie ją zastrzel. Już mnie to zmęczyło.

Kątem oka zauważył, że Budd drgnął i na moment Potter przestraszył się, że kapitan skoczy na niego, wyrwie mu telefon i zgodzi się na wszystkie żądania Handy'ego. On jednak odwrócił się, nie wyjmując rąk z kieszeni. Frances wpatrywała się zszokowana w negocjatora.

Potter wcisnął guzik w telefonie.  
- Dean, być może Handy strzeli do dziewczynki. Gdyby tak się stało, pilnuj, żeby nikt nie odpowiedział ogniem.  
Chwila wahania.  
- Tak jest.  
Potter wrócił do Handy'ego. Ten nie rozłączył się, ale nic nie mówił. Głowa Shannon kołysała się w przód i w tył. Wciąż było widać czarny kanciasty kształt pistoletu.  
Kiedy w furgonetce rozległ się urywany śmiech Handy'ego, Potter podskoczył.  
- To taka gra w monopol? Kupujesz, sprzedajesz i tak dalej?  
Potter nie odezwał się ani słowem.  
- Dwa sześciopaki - warknął Handy. - Albo zrobię to w tej chwili. Głowa Shannon pochyliła się, dźgnięta pistoletem Handy'ego.  
- Dostaniemy dodatkową godzinę na helikopter? - zapytał Potter. - Powiedzmy do piętnaście po szóstej?  
- Odbezpieczył - poinformował go Dean Stillwell.  
Potter zamknął oczy.  
W furgonetce nie było słyhać ani jednego dźwięku. Zupełna cisza. Taka słyszy co dzień Melanie, myśli Potter.  
- Zgoda, Art - powiedział Handy. - Ale skurwiel z ciebie.  
Trzask przerwane połączenia.  
Potter opadł na krzesło, zamykając na moment oczy.  
- Masz to wszystko, Henry?  
LeBow skinął głową, kończąc pisać. Potem wstał i zaczął zdejmować karteczkę z imieniem Shannon ze schematu rzeźni.  
- Czekaj - rzekł Potter. LeBow zastygł w pół ruchu. - Po prostu zaczekajmy.  
- Pójdę po to piwo - odezwał się Budd i ciężko odetchnął.  
Potter uśmiechnął się.  
- Trochę gorąco, kapitanie?  
- Tak. Trochę.  
- Przyzwyczaisz się - rzekł Potter, a w tym samym momencie Budd powiedział:  
- Przyzwyczaję się.  
Ton kapitana był o wiele mniej optymistyczny niż Pottera. Agent i policjant wybuchnęli krótkim śmiechem.  
Angie dotknęła ramienia Budda, który skoczył jak oparzony.  
- Wyjdę z tobą po piwo, kapitanie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.  
- Ja, hm, nie, skąd - powiedział Budd i oboje wyszli z furgonetki.  
- Jeszcze jedna godzina - rzekł LeBow.  
Potter obrócił się na krzesło, by spojrzeć przez okno na budynek.  
- Henry, zapisz: „Zdaniem negocjatora opadło napięcie związane z początkową fazą -akcji. Handy zachowuje się spokojnie i zaczyna racjonalnie myśleć”,.  
- Czyli tak jak my - odezwała się Frances Whiting, która trzymając kubek w drżących rękach, rozlała kawę na podłogę furgonetki. Rudowłosy Derek Elb usłużnie rzucił się w kąt, by posprzątać.

17.11

- Co on robi Shannon? - zapytała na migi Beverly. Jej pierś unosiła się i opadała z wysiłkiem.  
Melanie wychyliła się i spojrzała. Twarz Shannon nie wyrażała żadnych uczuć. Jej ręce poruszały się i Melanie odczytała imię Profesora X, twórcy ludzi X. Podobnie jak Emily, dziewczynka wzywała na pomoc swoich aniołów stróżów.  
Niedźwiedź rozmawiał z Brutusem. Melanie widziała usta obydwóch.  
Wskazując Shannon, Niedźwiedź zapytał:  
- Dlaczego... ją oddać?

- Dlatego - odparł cierpliwie Brutus - że jeżeli tego nie zrobimy, wywalą drzwi i... wystrzelają nas.

Melanie cofnęła się prędko, mówiąc pozostałym dziewczynkom:

- Spokojnie tam sobie siedzi. Nic jej nie jest. Wypuszczą ją.

Wszystkie twarze pojaśniały.

Wszystkie, poza twarzą pani Harstrawn.

I Kielle. Mała Kielle, piegowaty, jasnowłosy ryś. Miała osiem lat, a jej oczy co najmniej dwadzieścia. Dziewczynka zerknęła zniecierpliwiona na Melanie, po czym odwróciła się i skuliła pod ścianą, zawzięcie nad czymś pracując. Co robiła? Tunel? Niech kopie. Przynajmniej będzie w bezpiecznym miejscu.

- Chyba będzie mi niedobrze - poinformowała na migi jedna z bliźniaczek, Suzie. Anna zapowiedziała to samo, ale zwykle powtarzała wszystko po odrobinę starszej siostrze.

Melanie uspokoiła je, że na pewno nie dostaną mdłości. Wszystko będzie dobrze. Przysunęła się do Emily, która zapłakana oglądała rozdarcie w sukience.

- W przyszłym tygodniu pójdziemy razem do sklepu - pocieszyła ją. - Kupię ci nową.

Wtedy jej martwe ucho pochwyciło szept de l'Epee. „Kanister”, rzekł i natychmiast zniknął.

Melanie poczuła zimny dreszcz przebiegający jej po plecach. Właśnie, kanister z benzyną. Odwróciła głowę. Stał tam, czerwono-żółty, o pojemności dwóch galonów. Ostrożnie zbliżyła się do niego, zamknęła korek i otwór wyrównawczy. Potem rozejrzała się po ubojni, w poszukiwaniu jeszcze czegoś.

Tak, tam.

Wzdłuż ścian prześliznęła się na drugą stronę pomieszczenia, badając tył rzeźni. Mimo ciemności dojrzała tam dwa wyjścia. Które prowadziło nad rzekę? Przypadkiem jej wzrok spoczął na podłodze, gdzie wcześniej wypisała w kurzu informację dla Niedźwiedzia o zabawie w zwierzęta. Zmrużywszy oczy, spojrzała na podłogę przed drzwiami - przed tymi po lewej było znacznie mniej kurzu. To tu - wiatr od rzeki przeciska się przez szparę i wydmuchuje kurz. Wiatr musi wpadać przez jakieś drzwi albo okno na tyle duże, by mogła się przez nie wydostać mała dziewczynka.

Beverly zakrztusiła się, dostając nowego ataku płaczu. Leżała na boku, łapiąc oddech. Inhalator niewiele pomógł. Niedźwiedź spojrzał na nią spode łba i coś zawołał.

Cholera. Ręce Melanie powiedziały:

- Wiem, że to trudne, ale spróbuj być cicho, skarbie.

- Boję się, boję.

O, Boże. Patrząc w przeciwległą stronę ubojni, przerażona Melanie otworzyła szeroko oczy, a jej dłonie zamarły w pół słowa.

Kielle trzymała przed sobą nóż - stary, o zakrzywionym ostrzu. A więc to dostrzegła w stercie śmieci i do tego usiłowała się dostać.

Melanie zadygotała.

- Nie! Odłóż to - poleciła.

W szarych oczach Kielle zobaczyła żądzę mordu. Dziewczynka wsunęła broń do kieszeni.

- Zabiję pana Okrutnego. Nie zatrzymasz mnie! - Jej ręce młóciły powietrze, jak gdyby już atakowała go nożem.

- Nie! Nie możesz tego zrobić w ten sposób!

- Jestem Jubilee! On mnie nie powstrzyma!

- To postać z komiksu - gestykulowała gwałtownie Melanie. - Nie istnieje!

Kielle nie zwróciła na nią uwagi.

- Jubilation Lee! Rozwalę go plazmą! Zginie. Nikt mnie nie powstrzyma!

Wyczołgała się z ubojni, znikając za zasłoną strużek wody ciekącej z sufitu.

Główne pomieszczenie przetwórnicy Webbera & Stoltza, w którego części przylegającej do frontu siedzieli trzej napastnicy, składało się z wielu przegród, gdzie kiedyś trzymano zwierzęta przeznaczone na rzeź. Teraz stały tu

urządzenia rzeźnicze - drewniane bloki, gilotyny z jednym i trzema stanowiskami, maszyny do patroszenia, wielkie kadzie do wytapiania tłuszczu.

Właśnie między tymi makabrycznymi sprzętami zniknęła Kielle, zamierzając zapewne okrążyć pomieszczenie i dojść do ściany frontowej, gdzie mężczyźni siedzieli przed telewizorem.

Nie...

Melanie uniosła się odrobinę, spoglądając na Niedźwiedzia - który jedyny z całej trójki miał widok na wewnątrz ubojni - i zamarła. Nie patrzył w ich stronę, ale wystarczyło, by lekko obrócił okrytą tłustymi włosami głowę, żeby je zobaczyć. W panice rozejrzała się po głównym pomieszczeniu rzeźni. Dostrzegła jasną główkę Kielle, która zniknęła za kolumną.

Melanie, wciąż skulona, przysunęła się bliżej drzwi. Przy oknie obok Shannon tkwił Brutus i wyglądał na zewnątrz. Niedźwiedź zerknął w stronę ubojni, lecz zaraz odwrócił się z powrotem do Gronostaja, który śmiał się z czegoś. Niedźwiedź pogładził trzymaną w ręce śrutówkę, odchylił się w tył i ryknął śmiechem, zamykając oczy.

Teraz. Zrób to.

Nie potrafię.

Zrób to, dopóki cię nie widzi.

Głęboki wdech. Teraz. Melanie wysliznęła się z ubojni i wpełzła pod gnijące przejście, powgniatane i powyginane od miliona kopyt. Przystanąła, usiłując przebić wzrokiem kaskadę ciekącej wody. Kielle... Gdzie jesteś? Myślisz, że możesz go zakłuć i zniknąć? Te twoje przeklęte komiksy!

Przemknęła pod strumieniami wody - lepkiej i lodowatej. Otrząsnawszy się ze wstrętem, ruszyła w głąb przepastnego pomieszczenia.

Co mała chce zrobić? Melanie przypuszczała, że podejść go od tyłu i wbić mu nóż w plecy. Minęła maszyny, rdzewiejący złom i gnijące drewno. Stosy łańcuchów i haków poplamionych krwią i najeżonych ostrymi kawałeczkami zaszuszonego mięsa. Kadzie były ohydne. Wydzielały obrzydliwą woń, przez którą Melanie nie mogła się pozbyć obrazu zwierząt tonących w bulgoczącym tłuszczu i łożu. Poczowała, jak zawartość żołądka podchodzi jej do gardła.

Nie! Bądź cicho! Najlżejszy dźwięk powie im, gdzie jesteś.

Z trudem opanowała mdłości, ale musiała uklęknąć, żeby odetchnąć chłodnym i wilgotnym powietrzem, które unosiło się niżej nad podłogą.

Spoglądając pod wysoką gilotynę, której ostrze dawno przeżarła rdza, spostrzegła cień dziewczynki przemykający od jednej kolumny do drugiej.

Melanie prędko ruszyła naprzód. Zdażyła ujsć dwie stopy, gdy nagle jej ramię zdrętwiało, zderzywszy się ze stalową rurą długości sześciu stóp, która stała oparta o kolumnę.

Nie!

Melanie objęła ramionami rurę. Kawał żelastwa musiał ważyć ze sto funtów.

Nie uniosę jej, nie utrzymam!

Rura zaczęła opadać szybciej, pociągając ją za sobą. W chwili gdy już, już wyslizgiwała się jej z rąk, Melanie rzuciła się na podłogę i przyjęła ciężar zardzewiałego metalu na własne ciało, napinając mięśnie brzucha. Syknęła z bólu, modląc się w duchu, by wiatr i szum wody zagłuszyły hałas i zduszony jęk, jaki wyrwał się z jej gardła. Przez dłuższą chwilę leżała jak ogłuszona.

W końcu zdołała się wysunąć spod rury i odtoczyć ją na bok - miała nadzieję, że bezgłośnie.

Och, Kielle, gdzie jesteś? Nie rozumiesz? Nie można ich wszystkich zabić. Znajdą nas i zabiją. Albo Niedźwiedź zabierze nas w głąb rzeźni. Nie widziałas, jak na nas patrzył? Nie rozumiesz, czego chce? Pewnie nie. Nie masz pojęcia.

Zaryzykowała spojrzenie w kierunku porywaczy. Uwaga mężczyzn skupiała się przede wszystkim na ekranie telewizora. Niedźwiedź od czasu do czasu zaglądał do ubojni, ale chyba nie zauważył braku dwóch osób.

Melanie zerknęła ponownie między nogami urządzenia i zauważyła błysk blond włosów. Kielle nieubłaganie zbliżała się do trzech mężczyzn pod oknem. Skradała się powoli z uśmiechem na twarzy. Prawdopodobnie zdawało się jej, że zabije wszystkich trzech naraz.

Dyszac ciężko po pojedynku z rurą, Melanie ruszyła po omacku korytarzem do zardzewiałej kolumny, za którą się ukryła. Wyjrzała zza rogu i ujrzała jasnowłosą dziewczynkę zaledwie dwadzieścia lub trzydzieści stóp od Brutusa, który nadal patrzył przez okno odwrócony do niej plecami. Jego dłoń lekko ścisnęła kołnierz Shannon. Gdyby któryś z mężczyzn wstał, żeby podejść do dziewczynki, i spojrzał w kierunku jednej z dużych kadzi, która leżała na boku - na pewno by zobaczył Kielle.

Dziewczynka napięła mięśnie. Gotowała się do skoku przez kadełko i ataku na Brutusa.

Może powinnam jej na to pozwolić? - pomyślała Melanie. Co się może stać, nawet przyjmując najgorsze? Kielle podejdzie jeszcze kawałek. Niedźwiedź ją zauważy i zabierze jej nóż. Uderzy ją i wepchnie z powrotem do ubojni.

Dlaczego mam ryzykować własne życie? Dlaczego mam się narażać na dotyk łap Niedźwiedzia? Spojrzenie oczu Brutusa?

Ale wtedy przed oczyma stanęła jej Susan. Zobaczyła czerwoną kropkę, jaka wykwitła na jej plecach, i wzburzone włosy, które wzniosły się jak czarny dym.

Spostrzegła, jak Niedźwiedź przygląda się z uśmiechem chłopięcemu ciału Emily.

Cholera.

Melanie zsunęła buty i wcisnęła je pod metalowy stół. Puściła się sprintem. Błyskawicznie przebyła wąski korytarz, omijając zwieszające się z sufitu żelastwo, pręty i rury, przeskakując drewniany blok.

W momencie gdy Kielle wstawiała, wyciągając rękę do krawędzi kadzi, Melanie złapała ją, jedną rękę kładąc na jej brzuchu, drugą zasłaniając usta. Upadły na ziemię, potracając umocowaną na zawiasach ciężką pokrywę kadzi, która się zatrzęsnęła.

- Nie! - zaprotestowała dziewczynka. - Pozwól mi...

Melanie zrobiła coś, czego nie odważyła się zrobić nigdy w życiu: uniosła otwartą dłoń i zamierzyła się na Kielle, celując w policzek. Dziewczynka spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. Nauczycielka opuściła rękę i zerknęła przez szparę między dwiema przewróconymi kadziami. Brutus odwrócił się w stronę, skąd dobiegł hałas. Gronostaj wzruszył ramionami i Melanie zobaczyła, że mówi: „wiatr”. Niedźwiedź wstał z ponurą miną i z bronią w ręku ruszył w ich kierunku.

- Do środka - poleciła Melanie, wskazując wielką stalową kadełko, która leżała na boku. Dziewczynka zawahała się przez chwilę, lecz zaraz wgramoliły się do środka, zamykając za sobą pokrywę jak drzwi. Ściany kadzi pokrywała jakaś lepka substancja, od której Melanie ścierpła skóra. Zapach był nie do zniesienia i znowu ledwo opanowała odruch wymiotny.

Na kadełko padł cień i Melanie poczuła wibrację wywołaną krokami Niedźwiedzia, który wszedł do korytarza. Przystanął dwie stopy od nich.

Bez przekonania rozejrzał się dookoła, po czym cofnął się do Shannon i pozostałych mężczyzn.

Kielle odwróciła się do Melanie, która w półmroku z trudem odczytywała jej słowa:

- Zabiję go! Jak mnie będziesz zatrzymywała, ciebie też zabiję!

Melanie wstrzymała oddech, gdy miała wycelowaną w nią ostry jak brzytwa nóż.

- Przestań! - poleciła jej gwałtownie Melanie. Co mam robić? - zastanawiała się. Oczyma wyobraźni widziała migające twarze Susan, pani Harstrawn, ojca, brata.

I de l'Epee.

Susan, pomóż.

De l'Epee...

Pomyślała nagle: nie ma Susan. Nie żyje. Zdażyła już nawet ostygnąć.

Z pani Harstrawn też żaden pożytek.

De l'Epee? To tylko złuda. Fałszywy gość w twoim nieistniejącym pokoju. Jeszcze jeden z twoich wyimaginowanych przyjaciół, z którymi prowadziłaś nieprawdziwe rozmowy, których kochałaś w samotności, uciekając od wszystkiego, co było rzeczywiste. Wszystko robię na odwrót! Słyszę muzykę tam, gdzie jej nie ma, nie słyszę ani słowa, kiedy ludzie stojący obok mówią do mnie, trzęsę się ze

strachu jak osika., kiedy powinnam być odważna i myśleć o ucieczce, o jednej z dróg...

„Panieński grób”.

Dziewczynka wyciągnęła rękę w stronę pokrywy kadzi,

- Kielle! - gestykulowała ze złością Melanie. - No dobrze... Jubilee.

Posłuchaj.

Dziewczynka spojrzała na nią uważnie, po czym skinęła głową.

- Naprawdę chcesz go zabić?

- Tak! - Oczy Kielle rozbliły.

- Dobrze. W takim razie zróbmy to razem. Zrobimy to tak, jak trzeba.

Kielle uśmiechnęła się przebiegle.

- Odwróć jego uwagę. Schowasz się za tamtą rurą. Widzisz? Zakradniesz się tam i schowasz.

- Co mam robić?

- Zaczekaj, aż dam ci znak. Kiedy będzie do mnie mówił, nie zauważy cię.

- A potem?

- Potem z całej siły wbijesz mu nóż w plecy. Zgoda?

- Tak! - Dziewczynka uśmiechnęła się. Zniknął już płomień z jej oczu, które były teraz zimne jak gład. - Jestem Jubilee! Nikt mnie nie powstrzyma!

Brutus był odwrócony plecami do wnętrza rzeźni, ale widocznie w pękniętej szybie zauważył jej odbicie. Odwrócił się.

- Proszę, proszę. A któż to?

Wygramoliwszy się z kadzi i cofnąwszy do drzwi ubojni, Melanie szła w ich stronę, uśmiechając się do Shannon.

Spojrzała na Handy'ego i pokazała, że chce coś napisać. Podał jej żółty notes i pisak. Napisała: „Nie rób jej krzywdy”. Ruchem głowy pokazała Shannon.

- Krzywdy? Chcę... oddać. Rozumiesz?

„Proszę, oddajcie też chorą dziewczynkę”, napisała. Dodaj, jak ma na imię, pomyślała. Może wówczas będą życzliwi. „Beverly”, dopisała.

Brutus uśmiechnął się, pokazując Niedźwiedzia.

- Mój przyjaciel... chce zatrzymać te ładniejsze... na jakiś czas.

Mówi to tylko po to, żeby sprawić wrażenie okrutnego, pomyślała Melanie. Zgadza się, rzeczywiście jest okrutny, ale nie tylko. Jest w nim coś jeszcze, coś dziwnego. Mieli ze sobą coś wspólnego. Czyżby dlatego, że tak dobrze rozumiem, co mówi? A może rozumiem go dlatego, że mamy ze sobą coś wspólnego?

Gronostaj odsunął się od okna, mówiąc:

- ...idą... dwa... paki.

Puścił oko do pozostałych, nie wyjmując z ust wykałaczkę. Lecz Brutus nie patrzył przez okno; czujnie rozglądał się po rzeźni, mrużąc oczy.

Co mam zrobić, żeby nie zauważył Kielle?

Zacząć go uwodzić? - pomyślała nagle.

Miłość znała tylko z książek, filmów i rozmów z dziewczynami. Owszem, chodziła z kilkoma chłopakami, ale z żadnym nie spała. Zawsze ten strach... Nie wiedziała, czego się właściwie boi. Może ciemności. Konieczności zaufania komuś. Oczywiście kłopot w tym, że nigdy nie spotkała nikogo, kto chciałby się z nią kochać. Było mnóstwo chłopaków, którzy chcieli się z nią pieprzyć, ale to wielka różnica. Kiedy mówi się „pieprzyć”, twarz odruchowo krzywi się we wrogim grymasie; „kochać się”... było miękkie, czyniło twarz bardziej przyjazną.

Nagle Brutus się roześmiał. Podszedł bliżej, chwycił ją i przyciągnął do siebie. Może był bystrzejszy, niż się spodziewała, a może to jej oczy nie potrafiły ukryć żadnego sekretu; w każdym razie Brutus doskonale wiedział, o czym myślała. Poglądził jej włosy.

Spodziewała się, że za chwilę poczuje jego dłonie na piersiach i między nogami. Przypomniała sobie, jak odskoczyła od jednego chłopaka, kiedy ten od razu dotknął jej w ten sposób. Aż uderzyła głową w gorącą lampkę oświetlającą wnętrze samochodu.

Brutus odwrócił głowę i powiedział coś do tamtych. Nie widziała jego ust.

Niedźwiedź i Gronostaj wybuchnęli śmiechem.



Gwałtownym ruchem odsunął ją od siebie, zbliżył twarz do jej twarzy i powiedział:

- Dlaczego miałbym mieć na ciebie ochotę? Na taką kalekę? Jesteś jak chłopak. Wolę kobiety. - Jego czarne oczy wwiercały się w nią. Melanie zaczęła pochlipywać. Z zadowoleniem obserwował jej przerażenie i wstyd. - Mam prawdziwą kobietę. Chcę tylko Pris. Ma ciało kobiety i oczy jak kobieta. Godzinami możemy się pieprzyć. A ty masz chłopaka?

Melanie nie potrafiła odpowiedzieć. Czuła, że zupełnie brak jej siły w ramionach, bezwładnie zwisających wzdłuż ciała. Kątem oka dostrzegła Kielle, która przemykała się między cieniami maszyn. Próbowwała powstrzymać łzy, nie chciała ich ocierać.

- Pris to jest ktoś. Niedojebana suka... Myślisz, że jestem zły? Ona jest gorsza. Nienawidzisz mnie? Jej też byś nie lubiła. To ona mogłaby cię pieprzyć. Lubi od czasu do czasu te zabawy, a chętnie sobie popatrzę. Jak stąd wyjdziemy, możemy się zabawić we trójkę.

Melanie odsunęła się, ale chwycił ją za ramię. Ucisk odciał jej dopływ krwi do rąk, w których poczuła nieznośne mrowienie.

Gronostaj, drapiąc się po krótkich włosach, wołał coś. Brutus odwrócił się do okna i wyjrzał. Melanie poczuła w powietrzu wibrację. Brutus spojrział na telefon, z uśmiechem puścił Melanie i podniósł słuchawkę.

- Halo...

Rozmawiał z de l'Epee? O czym mówili?

Niedaleko drzwi za rurami drżał cień Kielle. Dziewczynka trzymała w dłoni nóż.

- ...za chwilę - wołał Gronostaj, wskazując lufą okno.

Brutus z opuszczoną głową wciąż mówił do telefonu, bawiąc się zatkniętym za pasek pistoletem. Wydawał się znudzony; skrzywił się i odłożył słuchawkę. Potem wziął śrutówkę, odbezpieczył i podszedł do drzwi. Był zwrócony plecami do Kielle, którą dzieliło od niego dziesięć stóp. Dziewczynka wychyliła głowę. Z zewnątrz wpadł snop jasnego światła, które odbiło się od ostrza w jej ręce. Melanie dała jej znak „czekaj”.

Gronostaj chwycił Shannon za ramię i pociągnął pod drzwi. Brutus cofnął się odrobinę, kierując lufę broni na zewnątrz, a Gronostaj uchylił drzwi.

Na progu stanęła postać - ubrany na czarno policjant. Podał im dwie paczki piwa pakowanego po sześć puszek. Gronostaj wypchnął dziewczynkę za drzwi. Teraz!

Melanie powoli zbliżyła się do Brutusa i stanęła tuż za nim. Uśmiechnęła się do Kielle, która zdezorientowana zmarszczyła brwi. Wtedy Melanie po prostu podniosła dziewczynkę z ziemi, wyciągając jej z dłoni nóż.

Kielle w proteście potrząsnęła energicznie głową.

Ale Melanie obróciła się na pięcie tak szybko, że Brutus zastygł, nie mając pojęcia, co się dzieje. Melanie, cały czas się uśmiechając, okrażyła go, mocno trzymając zaskoczoną Kielle.

A potem wypchnęła ją za drzwi prosto w ramiona policjanta.

Przez chwilę nikt się nie ruszał. Melanie, uśmiechając się do Gronostaja, odpędziła zaskoczonego policjanta leniwym gestem, jak gdyby był uprzykrzoną ćmą, a potem powoli zaczęła zamykać drzwi.

- Kurwa - wyrzucił z siebie Brutus. Gronostaj ruszył naprzód, ale Melanie zatrzasnęła już drzwi i zaklinowała nożem Kielle. Gronostaj szarpnął masywną klamkę, lecz ta ani drgnęła.

Melanie osunęła się na kolana i zasłoniła twarz przed ciosami Gronostaja, które na nią spadły; jego kościste pięści trafiły ją w szczękę i szyję. Odciągnął na bok jej ręce i uderzył ją w czoło i podbródek.

- Ty pieprzona kurwo! - Mięśnie szczęki Brutusa drgały.

Wymierzył jej tylko jeden silny cios, po którym upadła na podłogę. Gramoląc się na nogi, chwyciła się parapetu i zobaczyła policjanta, który niósł dwójkę małych ludzi X. Biegł niezdarnie, uciekając rowem.

Na szyi poczuła wibracje męskiego głosu, krzyczącego coś z gniewem. Brutus biegł do drugiego okna. Stał o krok od niego i wycelował lufę broni na zewnątrz.

Melanie ruszyła w jego stronę.

Zdawało się, że nie dotyka stopami ziemi. Gronostaj chciał ją zatrzymać, ale został mu w dłoni tylko strzęp jedwabnego kołnierza. Z impetem zderzyła się z Brutusem, w którego oczach nie bez satysfakcji ujrzała zdumienie i ból, a nawet lęk, gdy upadł bokiem na kwadratowy kłoc drewna. Śrutówka grzmotnęła w ziemię, ale nie wystrzeliła.

Melanie spojrzała za okno. Policjant z dziewczynkami zniknęli za niedużym pagórkem. W chwilę potem kolba broni Gronostaja uderzyła ją w głowę tuż nad uchem, które od wielu lat było martwe. Upadła na kolana. Osłabła nie z bólu, lecz ze strachu. Ogarniała ją ciemność, bała się, że cios spowodował uszkodzenie jakiegoś nerwu i odtąd będzie już nie tylko głucha, ale i ślepa.

17.34

- Dostaliśmy od ciebie premię, Lou. Wielkie dzięki.

- Nie ode mnie - mruknął Handy

- Nie? A co się stało?

- Słuchaj. Wkurwiłem się.

- Dlaczego?

- Zamknij się i posłuchaj, Art. Nie chcę słuchać tych twoich pierdoł. - Jego głos był ostrzejszy niż w ciągu całego dnia. - Macie czterdzieści pięć minut na ten helikopter. Powiem ci coś jeszcze, panie agent. Ręka mnie świerzbi, żeby kogoś zabić. Wolałbym chyba nawet, żeby się wam nie udało. Nie będę już z tobą więcej handlował.

- Jak piwo?

- Wybrałem już jedną małą sukę. Ma dziesięć albo jedenaście lat. W takiej ładnej sukience.

- Emily - powiedziała Angie.

- I najpierw dam ją Bonnerowi. Wiesz, jaki on jest, nie? Masz te swoje pieprzone papiery na nasz temat. Musisz wiedzieć o jego drobnej przypadłości.

Negocjator nigdy nie wypowiada własnych ocen, niezależnie od rozwoju sytuacji - ani aprobaty, ani krytyki. Gdyby zaczął oceniać, oznaczałoby to, że istnieją jakieś normy dopuszczalnych i niedopuszczalnych zachowań, co mogłoby rozdrażnić porywacza albo dać mu pretekst do usprawiedliwienia jego czynów. Niebezpieczne może być nawet wygłaszanie pokrzepiających komunałów, bo porywacz mógłby pomyśleć, że negocjator nie traktuje sytuacji poważnie.

Rad nierad Potter powiedział tak znudzonym tonem, na jaki mógł się zdobyć:

- Lepiej tego nie rób, Lou. Wiesz, że, tak będzie lepiej.

W furgonetce rozległ się złośliwy rechot.

- Wszyscy mi mówią, co mam robić, a czego nie. Nienawidzę tego!

- Pracujemy nad sprowadzeniem śmigłowca, Lou. Spójrz na zewnątrz. Mamy wiatr wiejący z prędkością dwudziestu mil na godzinę, niskie chmury i mgłę. Chciałeś pływaki. A pływaki nie rosną na drzewach.

- Wieje dwanaście mil na godzinę, pułap chmur dwa tysiące stóp, a mgły jakoś nie widzę.

Telewizor, przypomniał sobie Potter, zły, że o nim zapomniał. Być może Handy oglądał prognozę po wiadomościach o siedemnastej. Nastąpiła długa minuta ciszy. Potter, wpatrując się w głośnik nad swoją głową, uznał, że za bardzo skupiają się na technicznym aspekcie procesów negocjacji. Pora na akcent osobisty.

- Lou?

- Tak.

- Pytałeś mnie, jak wyglądam. Powiedz im coś teraz o własnym wyglądzie.

- Kurwa, na pewno macie moje zdjęcia.

- Co można zobaczyć na fotkach z kartoteki? - odparł Potter i roześmiał się.

Handy zaczął mówić i od razu jego głos stał się spokojniejszy.

- Jak wyglądam? - Zamyślił się. - Opowiem ci coś, Art. Kiedyś w więzieniu, w którym siedziałem, wybuchł bunt. Działy się takie gówniane rzeczy jak zwykle. W pewnej chwili znalazłem się w pralni z gościem, z którym od dawna

się żarłem. Wiesz, gdzie się w pierdłu chowa rzeczy, których nie powinni znaleźć klawisze, nie? No więc wysrałem nóż do szkła, rozpakowałem i zabrałem się do faceta. Wiesz, dlaczego?

Powtarzaj jego pytanie i komentarze, pomyślał Arthur Potter-negocjator. Ale Arthur Potter-człowiek milczał.

- Bo jak mnie zapuszkowali, podszedł do mnie taki pieprzony twardziel i powiedział, że nie podoba mu się mój wygląd.

- I go zabiłeś. - Rzeczowe stwierdzenie faktu.

- No tak, ale nie o to chodzi. Jak umierał z flakami na wierzchu, pochyliłem się nad nim. Byłem ciekawy. Nachyliłem się naprawdę nisko i zapytałem, co dokładnie mu się we mnie nie podobało. I wiesz, co powiedział? Powiedział: „Wyglądasz jak sama śmierć”. Wiesz, co, Art? Potem zrobiło mi się przykro, że go zabiłem. Tak, sama śmierć.

Nie prowadź z nim tej gry, pomyślał nagle Potter. Zaczaruje cię. Ostrzejszym tonem powiedział:

- Lou, daj nam czas do siódmej. Jeżeli się zgodzisz, będę miał dla ciebie dobre wiadomości.

- Ale...

- To wszystko. Sprawia ci to jakąś różnicę? - Potter starał się, żeby w jego głosie nie zabrzmiała nuta prośby. Jak gdyby chciał dać Handy'emu do zrozumienia, że postawił wygórowane żądanie. Ryzykował, ale w jego przekonaniu ten człowiek nie miał szacunku dla tych, którzy jęczą i błagają.

Mimo to zdumiał się, gdy Handy rzekł:

- Dobra. Jezu! Ale załatw ten helikopter, Art. Inaczej koniec z małą w sukience.

Trzask.

Potter spokojnie polecił Tobe'emu ustawić zegar na nową godzinę ultimatum.

Otworzyły się drzwi furgonetki i stanął w nich policjant.

- Melduję, że dziewczynki są w namiocie medycznym.

- Nic im nie jest?

- Jedna upadła i zadrapała łokieć. Poza tym wszystko w porządku.

- Pójdę do nich. Przy okazji łyknę trochę świeżego powietrza. Frances, będziesz mogła tłumaczyć? Henry, odłącz się na chwilę i chodź z nami. Angie?

W zagajniku niedaleko furgonetki Potter posadził obie dziewczynki na składanych krzeselkach. Dołączył do nich Henry LeBow, zaopatrzony w przenośny komputer. Usiadł i uśmiechnął się do dziewczynek, które wpatrywały się w jego toshibę.

Przypominając sobie to, czego nauczyła go Frances, Potter przeliterował ich imiona w języku migowym. Widząc „S-H-A-N-N-O-N” i „K-I-E-L-L-E”, Shannon się uśmiechnęła. Potter wiedział, że dziewczynki są w tym samym wieku - miały po osiem lat - ale Shannon była wyższa. Lecz to Kielle - ponura, o trochę cynicznym spojrzeniu - wydawała się dużo starsza.

- Coś nie tak? - spytał Kielle Potter.

Gdy Frances uzyskała od małej odpowiedź, jej twarz stała się chłodna.

- Mówi, że próbowała go zabić.

- Kogo?

- Chyba ma na myśli Handy'ego. Nazywa go „pan Okrutny”.

Potter wyciągnął małe zdjęcia trójki uciekinierów. Twarz Kielle zastygła w gniewnym grymasie, a palec dziewczynki wskazał fotografię Handy'ego.

- Mówi, że to on zabił Susan, a ona chciała zabić jego. Melanie ją zdradziła. Jest Judaszem.

- Jak to? - zapytała Angie.

Kielle odpowiedziała w kilku gwałtownych gestach.

- Wyrzuciła ją za drzwi.

- Melanie?

Potter poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po plecach. Wiedział, że przyjdzie im za to zapłacić.

Shannon potwierdziła, że mężczyźni nie mieli żadnych karabinów, tylko śrutówki - jej ojciec był myśliwym, więc trochę znała się na broni. Ataki astmy

Beverly przybrały na sile, mimo że Handy dał jej lekarstwo. Powtarzała, że „gruby”, Bonner, krąży wśród nich i ciągle przygląda się Emily, która „jest ładniejsza i bardziej wygląda jak dziewczyna”.

- Czy któryś z nich was dotykał? - zapytała dyplomatycznie Angie.

Shannon przytaknęła, lecz Kielle machnęła przecząco ręką, dodając:

- Nie w taki sposób. Ale Niedźwiedź wygląda, jakby bardzo chciał.

Zatem Bonner stanowi osobne zagrożenie, pomyślał Potter, tak jak i Handy. I prawdopodobnie jest niebezpieczniejszy. Jak wszyscy przestępcy, którzy nie panują nad żądzą.

- Kto postanowił, że wypuszczą właśnie ciebie? - spytała Shannon Angie.

- On. - Dziewczynka wskazała Handy'ego.

- Tego Melanie nazywa Brutusem, prawda?

Shannon kiwnęła głową.

- My nazywamy go „pan Okrutny” albo „Magneto”.

- Jak myślisz, dlaczego wybrał ciebie? Był jakiś powód?

- Bo Niedźwiedź - Shannon wskazała zdjęcie Bonnera - mu kazał. -

Spoglądając na Angie, Frances powiedziała: - Shannon kopnęła go i rozgniewał się na nią.

- Nie chciałam go kopnąć. Nie myślałam, co robię... a potem się przestraszyłam. To chyba moja wina, że chciał nas spalić.

- Spalić? Jak to?

Shannon opowiedziała o pojemniku z benzyną zainstalowanym nad ich głowami. Twarz Frances zbladła.

- Niemożliwe, żeby to zrobił.

- Ależ tak - odparła Angie. - Ogień. Nowa zabawka.

- Cholera - mruknął Potter. Taka sytuacja niemal eliminowała szturm HRT. Przerazenie Henry'ego objawiło się w ten sposób, że na moment przestał stuknąć w klawisze. Po chwili jednak przystąpił do odnotowania opisu urządzenia.

Potter podszedł do drzwi furgonetki i wywołał na zewnątrz Budda, a potem dał znak Deanowi Stillwellowi. Negocjator zwrócił się do obu:

- Mamy tam w środku pułapkę. Gorącą niespodziankę.

- Gorącą? - zdziwił się Budd.

- Uzbrojoną bombę benzynową - ciągnął Potter. - Nie możemy dać mu najmniejszego pretekstu, by ją odpalił. Nie podejmujemy żadnej akcji, która mogłaby zinterpretować jako ofensywną. Sprawdzić jeszcze raz, czy broń jest rozładowana.

- Tak jest - powiedział Stillwell.

Następnie Potter zapytał Shannon, czy pamięta jeszcze o czymś dotyczącym mężczyzny i tego, co robią w rzeźni.

- Oglądają telewizję - tłumaczyła Frances. - Chodzą, rozmawiają, jedzą. Są dość spokojni.

Spokojni. To samo mówiła Jocylyn. Właśnie dlatego zdecydowali się na okupację rzeźni.

- Widziałaś narzędzia, które ze sobą mają?

Shannon skinęła głową.

- Używali ich?

- Nie.

- Pamiętasz, jakie to narzędzia?

Pokręciła przecząco głową.

- Możesz nam powiedzieć, o czym rozmawiają? - spytał Potter.

- Nie - odparła Frances. - Żadna z nich nie umie czytać z ruchu warg.

- Cały czas was obserwują? - zapytała Angie.

- Prawie cały czas. On jest straszny. - Shannon wskazywała fotografię Handy'ego. Kielle chwyciła ze złością jego zdjęcie i podarła. Potem zaczęła z rozmachem gestykulować.

- Mówi, że nienawidzi Melanie. Mogła go zabić. A on żyje i może zabić jeszcze więcej ludzi. Mówi, że nie bała się zginąć. A Melanie to tchórz i Kielle jej nienawidzi.

Podobnie jak po rozmowie z Jocylyn, Potter serdecznie uściskał ręce dziewczynkom i podziękował im. Shannon uśmiechnęła się, Kielle nie, lecz odwzajemniła się mocnym, wyrażającym pewność siebie uściskiem dłoni. Później

policjant odwiózł je do Crow Ridge na spotkanie z rodzicami. Przez kilka minut Potter naradzał się z Angie, a potem wsiadł do furgonetki. Agentka podażyła za nim.

Negocjator przetarł oczy, rozciągnął się na krześle i wziął kubek ohydnej kawy. Obok niego usiadł Derek.

- Nie rozumiem - powiedział, nie zwracając się do konkretnej osoby.

- Czego? - zapytał Budd.

- Uciekła zakładniczka, więc Handy jest wściekły. To rozumiem. Ale nie wścieka się o to, że stracił punkt przetargowy. Wścieka się z jakiegoś innego powodu. - Spojrzał po twarzach obecnych. - Angie? Nasz psycholog dyżurny. Możesz to wytłumaczyć?

Po namyśle odrzekła:

- Sądzę, że Handy'emu bardzo zależy na kontroli. Mówi, że zabija ludzi, bo nie robią tego, czego on chce. Słyszałam to wcześniej. Sprzedawczyni nie wkłada pieniędzy do worka złodzieja tak szybko, jak ten by sobie życzył, więc to ona jest winna, nie on. W rezultacie złodziej uznaje, że ma prawo ją zabić.

- Dlatego zabił Susan? - spytał Budd.

Potter wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Bardzo dobre pytanie, Charlie.

- Zgadza się - rzekła Angie. - Pytanie kluczowe.

- Dlaczego ona? - ciągnął Potter.

- Właściwie moje pytanie brzmi: dlaczego zabił? - powiedział Budd. - Po co posunął się do takiego kroku?

- Och, jeśli ktoś naruszy jego zasady, choćby odrobinę - odparła Angie - każda kara jest sprawiedliwa. Śmierć, tortury, gwałt. W świecie Handy'ego najdrobniejsze wykroczenie urasta do rozmiarów ciężkiego przestępstwa. Postawmy jednak pytanie, które wypowiedział Arthur. Dlaczego ona? Czemu Susan Phillips? To ważne. Henry, powiedz nam coś o tej dziewczynie.

Palec LeBowa nacisnął odpowiedni klawisz i agent zaczął czytać z ekranu:

- Siedemnaście lat, miała głuchych rodziców. Iloraz inteligencji sto czterdzieści sześć.

- Przykro tego słuchać - mruknął Budd.

- Najlepsza w klasie w szkole Laurenta Clerca. Ale posłuchajcie tego.

Była notowana.

- Co?

- W zeszłym roku brała udział w proteście w szkole dla niesłyszących w Topece, części College'u Hammersmith. Chcieli mieć głuchego dziekana. Aresztowano pięćdziesięciu studentów, a Susan zaatakowała policjanta. Odstąpiono od zarzutu o napaść, ale dostała wyrok w zawieszeniu za nadużycie prawa.

- Działała ochotniczo w Centrum Dwóch Kultur i Języków Środkowego Zachodu - ciągnął LeBow. - Tu jest artykuł, w materiałach od Angie. - Przebiegł kartkę wzrokiem. - To organizacja, która sprzeciwia się czemuś, co nazywają tu „ujednoczeniem”.

- Mówił mi o tym dziekan z Laurenta Clerca - odezwała się Angie. - To taki ruch, który chce zmusić Głuchych, by chodzili do normalnych szkół. Dość kontrowersyjny. Działacze Głuchych sprzeciwiają się tym pomysłom.

- No, dobrze - rzekł Potter. - Zostawmy to na razie. Kogo do tej pory wypuścił Handy?

- Jocylyn i Shannon - powiedziała Angie. - Mają ze sobą coś wspólnego?

- Raczej nie - rzekł Budd. - Wydaje się wręcz, że stanowią swoje przeciwieństwo. Jocylyn to spokojne, nieśmiałe stworzenie. Shannon jest żywa i zadziorna. Taka mała Susan Phillips.

- Angie? - zwrócił się do niej Potter. - Co myślisz?

- Znowu kwestia kontroli. Susan stanowiła bezpośrednie zagrożenie. Miała naturę buntownika. Prawdopodobnie otwarcie wystąpiła przeciw jego władzy. A Shannon kopnęła Bonnera... Handy mógł wyczuć podobne zagrożenie, tyle że na mniejszą skalę. Nie czuł potrzeby zabijania jej - czyli zaznaczenia swojej władzy w najbardziej skrajny sposób - ale chciał się jej pozbyć. Jocylyn? Cały czas płakała. Pociągała nosem. Działała mu po prostu na nerwy. To też forma podkopywania jego władzy.

- A nauczycielki? - spytał LeBow. - Moim zdaniem stanowiłyby poważniejsze zagrożenie niż dzieci.

- Niekoniecznie - odparła Angie. - Starsza, Donna Harstrawn, jest podobno w jakimś letargu. Z jej strony nic mu nie grozi.

- A Melanie Charrol?

- Dziekan mi mówił - powiedziała Angie - że wszyscy uważają ją za bardzo nieśmiałą osobę.

- Ale zobacz, czego dokonała - zauważył Potter. - Wydostała stamtąd Kielle.

- Przypuszczam, że to fuks. Działała pod wpływem impulsu. - Angie zapatrzyła się w okno. - Jakiś dziwny ten Handy.

- Z moich doświadczeń wynikałoby, że istotnie unikat - rzekł Potter. - Henry, przeczytaj nam ze swoich książek. Co o nim dotychczas wiemy?

LeBow spojrział w ekran i zaczął czytać monotonnym głosem:

- Louis Jeremiah Handy ma trzydzieści pięć lat. Od szóstego miesiąca wychowywała go tylko matka, ponieważ ojca alkoholika uwięziono. Ona też piła. Instytucje opiekuńcze rozważały możliwość umieszczenia Handy'ego i jego braci w domach zastępczych, ale nigdy do tego nie doszło. Nie ma żadnych dowodów, że był bity czy wykorzystywany, chociaż gdy jego ojciec został wypuszczony z więzienia - Lou miał wtedy osiem lat - kilka razy aresztowano go za pobicie sąsiadów. Ostatecznie ojciec znika, kiedy Handy kończy trzynaście lat, a rok później ginie w bójce w barze. Matka Handy'ego umiera rok później.

Frances Whiting pokręciła głową z nieokreślonym współczuciem.

- Pierwsze zabójstwo popełnił w wieku piętnastu lat. Zabił nożem, chociaż miał przy sobie pistolet, więc mógł użyć broni mniej okrutnej. Ofiara, jego rówieśnik, umierał bardzo długo. Sześć lat w więzieniu dla młodocianych, po wyjściu spędził na wolności dość czasu, żeby zaliczyć serię aresztowań za kradzieże samochodów, często połączone z rozbojem, napaścią, jazdą po pijanemu. Podejrzany o kradzieże w bankomatach i napady na banki. Dwa razy prawie go skazano za poważne przestępstwa, ale przed procesem świadkowie zostali zamordowani. Nie było żadnych dowodów, że brał w czymkolwiek udział.

Jego dwaj bracia też często wchodzili w konflikt z prawem. Jak już wam mówiłem, starszy został zabity pięć lat temu. Podejrzewano, że to dzieło Handy'ego. Losy młodszego brata są nieznane.

- W miarę rozwoju swojej kariery - kontynuował LeBow - Handy stawał się coraz okrutniejszy.

Agent wyjaśnił, że jego zbrodnie były coraz bardziej przypadkowe i charakteryzowały się coraz większą przemocą. Ostatnio zaczął zabijać bez widocznych powodów i - podczas napadu, za jaki skazano go ostatnim razem - podpalać.

- Powiedz nam, co się stało dokładnie podczas napadu w Wichicie - przerwał mu Potter. - W banku Farmers & Merchants.

LeBow przewiął tekst i zaczął:

- Handy, Wilcox, niejaki Fred Laskey, dwukrotnie skazany, i Priscilla Gunder - dziewczyna Handy'ego - obrabowali kasę oszczędnościowo-kredytową Farmers & Merchants w Wichicie. Handy kazał kasjerce wejść do skarbcza, ale kobieta ociągała się, więc się zdenerwował, pobił ją i razem z inną kasjerką zamknął w skarbcu, a potem wyszedł po kanister z benzyną. Oblał całe pomieszczenie i podpalił. Zatrzymano go właśnie przez pożar. Gdyby uciekli z tymi dwudziestoma tysiącami od razu, pewnie by ich nie złapano, ale podpalenie zabrało im dodatkowe pięć minut. Policja i Peter Henderson zdążyli bez hałasu podjechać.

Streścił pozostałą część dramatu: przed bankiem rozpętała się strzelanina. Dziewczyna uciekła, a Handy, Wilcox i Laskey ukradli samochód, ale milę dalej zostali zatrzymani na blokadzie. Wysiedli i zaczęli iść w stronę policjantów. Przed aresztowaniem Handy zdążył strzelić z ukrytej broni prosto w plecy Laskeya, zabijając go i raniąc dwóch funkcjonariuszy, a potem sam został ranny.

- Bezcelowe. - Budd pokręcił głową. - Zupełnie bez sensu podpalił bank i te dwie kobiety.

- Ależ nie, podpalenie to był dla niego sposób na odzyskanie kontroli nad sytuacją - powiedziała Angie.

- „Nie zrobili tego, czego chciałem. I kiedy chciałem” - zacytował go Potter.

- Może zaczniesz się specjalizować w takich jak Handy, Arthurze - rzekł Tobe.

Dwa lata do emerytury, pomyślał Potter. Akurat mi trzeba nowej specjalizacji. Zwłaszcza Lou Handych tego świata.

Budd westchnął.

- Wszystko w porządku, kapitanie? - spytał Potter.

- Nie wiem, czy się nadaję do takiej roboty.

- Świetnie sobie radzisz.

Jednak młody policjant miał rację. Nie nadawał się do tego rodzaju pracy. Nikt się do tego nie nadawał.

- Posłuchaj, Charlie, twoi ludzie pewnie się trochę niecierpliwią. Zrób rundkę z Deanem, spróbujcie ich uspokoić. Załatw dobrą kawę. I na litość boską, powiedz im, żeby nie wystawiali głów. Swojej też nie wystawiaj.

- Pójdę z tobą, Charlie - zaproponowała Angie. - Jeżeli Arthur nie ma nic przeciwko temu.

- Za chwilę go dogonisz, Angie. Muszę z tobą zamienić parę słów.

- Do zobaczenia za chwilę - zawołała, przysuwając krzesło bliżej Pottera.

- Angie, potrzebuję sojusznika - rzekł Potter. - Kogoś w środku.

Zerknęła na niego przelotnie.

- Myślisz o Melanie?

- Ten jej wyczyn to naprawdę był fuks? Może jednak możemy liczyć na jej pomoc?

Angie zamyśliła się.

- Kiedy Melanie chodziła do szkoły średniej, u Laurenta Clerca zabraniano używać języka migowego.

- Naprawdę?

- Chciano tam „ujednoczyć” kształcenie słyszących i niesłyszących. Ale Melanie czuła, że tłumi się jej możliwości - do podobnego wniosku dochodzi dzisiaj coraz więcej pedagogów. Opracowała więc własny język migowy, bardzo subtelny, z użyciem samych palców - więc nauczyciele nie mogli nic zauważyć, bo standardowy amerykański wymaga szerokich gestów rękami. Jej język rozprzestrzenił się w szkole lotem błyskawicy.

- Stworzyła język?

- Tak. Odkryła, że całą składnię i potrzebne słownictwo da się wyrazić przy użyciu dziesięciu palców. Wprowadziła więc kapitalny element zmienny, jakiego dotychczas w języku migowym nie było. Rytm. Do ułożenia palców dodała interwał czasowy. Zainspirowały ją chyba gesty dyrygenta.

Arthur Potter, który przecież zarabiał na życie używaniem języka, słuchał jej zafascynowany.

- Mniej więcej w tym czasie - ciągnęła Angie - zaczęły się akcje na rzecz włączenia do programu nauczania amerykańskiego języka migowego, a jednym z powodów, na które powoływali się głusi nauczyciele, był fakt, że wielu uczniów używa języka Melanie. Sama Melanie nie chciała mieć jednak nic wspólnego z protestami. Zaprzeczyła, że to ona jest autorką nowego języka - jak gdyby się obawiała, że dyrekcja ją za to ukarze. Chciała się tylko uczyć, a po szkole iść do domu. Niezwykle utalentowana i inteligentna. I bardzo bojaźliwa. Miała tego lata szansę na stypendium w College'u Gallaudet w Waszyngtonie. Odmówiła.

- Dlaczego?

- Nikt nie wie. Może z powodu wypadku brata.

Potter przypomniał sobie, że młody człowiek miał jutro operację. Zastanawiał się, czy Henderson skontaktował się z jej rodziną.

- Może - rzekł w zamyśleniu - to rodzaj nieśmiałości, który towarzyszy głuchocie.

- Przepraszam, agencie Potter. - Frances Whiting pochyliła się w ich stronę. - Podobnie jak rodzaj faszyzmu towarzyszy pełnieniu obowiązków agenta federalnego?

- Słucham? - zdumiał się Potter.

Frances wzruszyła ramionami.

- To stereotyp. Głusi muszą z tym sobie dawać radę całe życie. Że są najgorszymi z najgorszych. Że są głupi. Głusi i niemi. Że są nieśmiali... Helen Keller powiedziała kiedyś, że ślepotą odgradza człowieka od rzeczy, a głuchota od innych ludzi. A więc Głusi próbują to sobie rekompensować. Nie ma ludzi z innym upośledzeniem fizycznym, którzy by stworzyli własną kulturę i tożsamość. Jest wiele skrzywień - geje, niepełnosprawni ruchowo, atleci, wysocy, niscy, starsi, alkoholicy. Lecz tylko Głusi stanowią spójną i bojową grupę. Można o nich powiedzieć wszystko, ale nie, że są nieśmiali.

Potter pokiwał głową.

- Zrozumiałem lekcję.

W odpowiedzi policjantka się uśmiechnęła.

Agent spojrział na wyłysiałe pole za furgonetką.

- Mam wrażenie - odezwał się do Angie - że w negocjacjach z Handym dalej się nie posunę. Gdyby pomagał nam ktoś w środku, udałoby się uratować jeszcze trzy czy cztery osoby.

- Nie jestem pewna, czy ona będzie w stanie to zrobić - odparła Angie.

- Przyjąłem do wiadomości - powiedział. - Lepiej idź poszukać Charliego. Pewnie zachodzi w głowę, co się z tobą stało.

Angie wyszła z furgonetki razem z Frances, która zamierzała pojechać do motelu, żeby porozmawiać z rodzinami zakładniczek. Potter rozparł się na krzesle, przypominając sobie zdjęcie twarzy Melanie. Jej falujące blond włosy... Piękna, pomyślał.

Wyprostował się raptownie, śmiejąc się do siebie.

Piękna twarz? Co mu przychodzi do głowy?

Negocjatorowi nie wolno ulec syndromowi Sztokholm wobec zakładników. To pierwsza zasada każdej akcji. W razie potrzeby musi być gotów ich poświęcić. Mimo to nie potrafił przestać o niej myśleć. Dziwne, bo obecnie rzadko myślał o kobietach w kategoriach atrakcyjności. Od śmierci Marian przeżył tylko jedną romantyczną przygodę. Z miłą kobietą pod czterdziestkę. Ten związek od początku był skazany na niepowodzenie. Potter doszedł do przekonania, że nowe udane związki można tworzyć w wieku sześćdziesięciu lat i więcej. Ale kiedy się ma czterdzieści, pięćdziesiąt lat - nie ma szans. Kwestia braku elastyczności. I durność. No i zawsze te wątpliwości.

Wpatrzony w rzeźnię, myślał: w ciągu ostatnich piętnastu lat, od śmierci Marian, najpoważniejszych rozmów nie prowadziłem wcale z kuzynką Linden ani członkami jej klanu, ani z koleżankami z pracy, które niewinnie trzymały go pod ramię w Waszyngtonie. Nie, poważnie rozmawiałem z ludźmi, którzy trzymali naoliwione lufy przy głowach zakładników. Z krótkowłosymi kobietami, które miały wschodnie rysy, ale bardzo zachodnie nazwiska. Ze zbrodniarzami, psychopatami i potencjalnymi samobójcami. Wynętrzałem się przed nimi, a oni przede mną. Tak, podawali mi nieprawdziwe motywy i kłamali na temat swojej taktyki (ja też), ale wszyscy mówili mi całą prawdę o sobie: o swoich nadziejach, o umarłych i ciągle żywych marzeniach, o rodzinach, dzieciach i życiowych klęskach.

Opowiadali mu swoje historie z tych samych powodów, z których Arthur Potter opowiadał swoje. Żeby zmęczyć drugą stronę, nawiązać nic porozumienia, by „przenieść reakcję emocjonalną”, jak wyjaśniał podręcznik do negocjacji, którego sam był autorem (wysoki nakład, ósme wydanie).

I dlatego że ktoś po prostu chciał słuchać.

Melanie... porozmawiamy kiedyś ze sobą?

Zobaczył, że Dean Stillwell macha do niego, więc wyszedł do szeryfa, stając w wydzielającym silny zapach rowie. Spojrzął przelotnie na strzępki mgły unoszące się nad furgonetką. W końcu okazało się, że prognoza Handy'ego się nie sprawdziła. Obudziło to w nim nikłą nadzieję - być może niedorzeczną, ale jednak nadzieję. Spojrzął w popołudniowe niebo, po którym mknęły żółtosine chmury. W przerwie między dwiema skłębionymi masami dostrzegł księżyc, błądy rogalik zawieszony nad rzeźnią, dokładnie nad murem z krwistoczerwonej cegły.



Pojawili się nagle. Kilkunastu ludzi.

Zmienny wiatr zagłuszył ich przyjazd i zanim Potter się zorientował, otoczyli go i Deana Stillwella, który właśnie opowiadał o przystani za rzeźnią. Stillwell obejrzał wcześniej rzekę i przystań, po czym doszedł do wniosku, że mimo silnego prądu, o którym mówił Budd, była to nęcąca droga ucieczki. Szeryf postawił na kotwicy skif z uzbrojonymi ludźmi dwadzieścia jardów od brzegu.

Potter zauważył, że Dean Stillwell patrzy na coś ponad jego ramieniem. Odwrócił się.

Oddział był ubrany na czarno-granatowo, z pełnym wyposażeniem bojowym. Potter poznał stroje - kamizelki, mundury i kominiarki z gumowanej tkaniny, półautomatyczne H&K z celownikami laserowymi i latarkami. Brygada antyterrorystyczna, ale nie jego. Arthur Potter wolałby, żeby ci ludzie nie zbliżali się do rzeźni Webbera & Stoltza na odległość mniejszą niż sto mil.

- Agent Potter?

Skinienie. Bądź uprzejmy. Nie szarp smyczy bez potrzeby.

Uścisnął dłoń krótkowłosego czterdziestokilkuletniego mężczyzny.

- Jestem Dan Tremain. Dowódca jednostki antyterrorystycznej policji stanowej. - Z jego spokojnych oczu biła pewność siebie. I hardość. - Zapewne spodziewa się pan oddziału Delta.

- Oddziału HRT, mówiąc ściśle. Rozumie pan, kompetencje.

- Oczywiście.

Potter przedstawił mu Stillwella, na którego Tremain w ogóle nie zwrócił uwagi.

- Jak wygląda sytuacja? - spytał Tremain.

- Są otoczeni. Jedna ofiara śmiertelna.

- Słyszałem - rzekł Tremain, pocierając różowo-złotą obrączkę z wrytym krzyżem.

- Wydostaliśmy trzy dziewczynki, całe i zdrowe - ciągnął Potter. - W środku zostały cztery dziewczynki i dwie nauczycielki. Porywacze żądają helikoptera, którego nie zamierzamy im dać. Zagrozili, że o siódmej zabiją następną zakładniczkę, jeżeli do tej godziny nie dostaną śmigłowca.

- Nie chce pan im dać helikoptera?

- Nie.

- I co będzie?

- Spróbuję go zagadać.

- Może więc włączymy się do akcji? Czy jeżeli o oznaczonej godzinie będzie chciał zabić zakładniczkę, zezwoli pan na szturm?

- Nie - odrzekł Potter, spoglądając w stronę stolika prasowego, gdzie Silbert i jego asystent pilnie stukali w klawisze komputerów. Reporter zmierzył go ponurym spojrzeniem. Potter skinął mu głową, wracając do Tremaina.

- Chce pan powiedzieć - powiedział dowódca policji stanowej - że pozwoli mu zabić dziewczynkę.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Dopuszczalne ofiary...

Tremain przez chwilę w milczeniu patrzył mu w oczy.

- Mam wrażenie, że powinniśmy zająć pozycje. Na wszelki wypadek.

Potter popatrzył na oddział i dał znak Tremainowi, by odszedł z nim na bok. Weszli w cień za furgonetką.

- Gdyby miało dojść do szturmu, a mam nadzieję, że nie dojdzie, wówczas zrobi to mój oddział i tylko mój. Przykro mi, kapitanie. Takie są reguły.

I co? Pobiegnie donieść o tym gubernatorowi albo Admirałowi w Waszyngtonie?

Tremain zjeżył się, ale wruszył ramionami.

- Pan tu dowodzi. Ale ci ludzie są też winni przestępstw stanowych i nasze przepisy wymagają, żebyśmy byli na miejscu. I to są nasze reguły.

- Nie jestem przeciwny pańskiej obecności, kapitanie. Jeżeli stamtąd wyjdą i otworzą do nas ogień, chętnie skorzystam z pańskiego wsparcia. Na razie jednak, jak rozumiem, podlega pan moim rozkazom.

Tremain ustąpił.

- Słusznie. Powiedziałem moim ludziom, że prawdopodobnie ze trzy godziny będziemy pić kawę, a potem się zwiniemy i pojedziemy do domu.

- Miejmy nadzieję, że tak będzie, dla dobra nas wszystkich. Jeżeli chce pan zająć pozycje jako jeden z oddziałów prewencji, dowodzi nimi szeryf Stillwell.

Skinęli sobie chłodno głową i każdy, kto mógł słyszeć ich rozmowę, był pewien, że dowódca jednostki specjalnej za nic nie odda swoich ludzi pod komendę szeryfa z jakiejś zapadłej dziury. Potter miał nadzieję, że to wystarczy, aby Tremain wziął nogi za pas.

- Chyba zostaniemy na tyłach. Nie będziemy się pokazywać. Gdyby pan nas potrzebował, będziemy pod ręką.

- Jak pan sobie życzy, kapitanie - odparł Potter.

Zjawili się Budd i Angie. Szli właśnie w górę wzniesienia i nagle przystanęli. Budd rozpoznał Tremaina.

- Cześć, Dan.

- Charlie. - Uścisnęli sobie dłonie. Oczy Tremaina prześliznęły się po włosach i twarzy Angie, ale zupełnie niewinnie, bez żadnych seksualnych podtekstów, a gdy jego wzrok spoczął na jej piersi to tylko dlatego, że nosiła na szyi identyfikator FBI.

- Twoi chłopcy dowiedzieli się o naszych tarapatkach, co? - rzekł Budd. Tremain roześmiał się.

- Wie już każdy, kto ogląda telewizję. Kto od nas jest na stanowisku dowodzenia?

- Derek Elb.

- Derek Rudzielec? - Tremain znów wybuchnął śmiechem. - Muszę się z nim przywitać. - Bardziej jowialnym tonem zwrócił się do Pottera: - Ten chłopak chciał wstąpić do naszej jednostki, ale na widok jego włosów pomyśleliśmy, że stanowiłby za dobry cel dla snajpera.

Potter uśmiechnął się uprzejmie, zadowolony, że nie doszło do konfrontacji. Zazwyczaj negocjatorzy stanowi i federalni potrafią zgodnie współpracować, lecz zawsze napięcie pojawia się między negocjatorami a grupą specjalną drugiej strony. Potter w ten sposób tłumaczył to swojej grupie szkoleniowej: „Jedni mówią, a drudzy strzelają. Są jak noc i dzień, nikt tego nigdy nie zmienia”.

Tremain wszedł do furgonetki. Potter obrzucił spojrzeniem kilkunastoosobową grupę mężczyzn. Mieli ponure miny, wyglądali na fachowców i w akcji na pewno czuli się jak ryby w wodzie. Potterowi przyszedł na myśl Robert Duvall w „Czasie apokalipsy”. Przypuszczał, że ci ludzie też uwielbiają zapach napalmu o świcie. Skończył rozmawiać ze Stillwellem. Kiedy się odwrócił, osłupiały stwierdził, że oddział antyterrorystyczny zniknął, do ostatniego człowieka. Wsiadając do furgonetki, zauważył, że Tremaina też już nie było.

LeBow wprowadził do swojej dokumentacji informację o skifie z policjantami.

- Jaki mamy czas, Tobe? - Potter patrzył na tablicę „Obietnice/Blef”. Młody agent zerknął na zegar cyfrowy.

- Czterdzieści pięć minut - mruknął, po czym zwrócił się do LeBowa: - Powiedz mu.

- O czym? Wywiadowca wyjaśnił:

- Bawiliśmy się monitorem na podczerwień. Minutę temu złapaliśmy Handy'ego.

- Co robił?

- Ładował śrutówki.

Dowodzony przez kapitana Daniela Tremaina oddział antyterrorystyczny policji stanowej Kansas bezszelestnie wsunął się między drzewa rosnące sto jardów od budynku rzeźni.

Tremain od razu zauważył, że drzewka są już zajęte. Zajęli tu stanowiska snajper z policji stanowej i kilku miejscowych zastępców szeryfa. Na znak Tremaina ludzie wyszli spomiędzy drzewek i znaleźli się w rowie, który wiódł wokół bocznej ściany rzeźni. Niezauważeni przeszli przez lasek. Tremain dostrzegł opuszczony wiatrak wysokości około czterdziestu stóp, stojący wśród

trawy, w odległości pięćdziesięciu jardów od nich, bliżej rzeki. Obok wiatraka stali dwaj funkcjonariusze ze stanowej odwróceniu do oddziału specjalnego plecami, uważnie obserwowali rzeźnię. Tremain rozkazał policjantom wejść między drzewa i ukryć się, tak by nie było ich widać z północnej strony rzeźni i stanowiska dowództwa.

Oddział antyterrorystyczny wszedł do rowu biorącego początek obok wiatraka i zaczął się posuwać w stronę rzeźni. Tremain podniósł rękę i wszyscy przystanęli. Dwukrotnie stuknął się w hełm. Na ten znak ludzie włączyli odbiorniki. Porucznik Carfallo rozłożył mapę terenu i plany architektoniczne. Tremain wydobyl z kieszeni szkic wnętrza rzeźni, który Derek Rudzielec, szpieg Derek ze stanowej, przed chwilą w furgonetce wsunął mu w dłoń. Oznaczono na nim lokalizację wszystkich zakładniczek i porywaczy.

Tremain był dobrej myśli. Z dziewczynek nie stworzono żywych tarcz i nie trzymano ich tuż pod oknami. Nie było min-pułapek. Derek poinformował go, że ludzie w środku są uzbrojeni tylko w pistolety i śrutówki, nie mają żadnej broni maszynowej, kamizelek kuloodpornych, hełmów ani latarek. Oczywiście zakładniczki nie znajdowały się tak daleko od porywaczy, jakby sobie życzył, a pomieszczenie, w którym je przetrzymywano, nie miało zamykanych drzwi. Mimo to Handy'ego i resztę dzieliło od dziewczynek jakieś dwadzieścia stóp. Gdyby Handy usłyszał wybuch ładunków rozsadzających drzwi, potrzebowałyby mniej więcej pięciu sekund na doskoczenie do zakładniczek, rzecz jasna jeśli wcześniej postanowił zabić wszystkie w tym samym momencie. Podczas każdego szturm przez pierwsze sekundy panuje zamieszanie, gdy dezorientowani porywacze próbują ustalić, co się dzieje, i zająć dogodne pozycje obronne.

- Słuchajcie. - Wszyscy postukali się w osłonięte hełmem uszy i skinęli głową. Tremain pokazał mapę. - W środku jest sześć zakładniczek. Trzej porywacze - znajdują się tu i tu, ale mogą się poruszać po całym budynku. Jeden w miarę regularnie przychodzi sprawdzać dziewczynki. - Tremain skinął głową jednemu z ludzi. - Wilson.

- Tak jest.

- Pójdiesz dalej tym rowem, wzdłuż ściany budynku i zaczniesz obserwację przez jedno z okien.

- Kapitanie, może im pan powiedzieć, żeby przestawili to światło? - Joey Wilson wskazał halogenowe reflektory.

- Nie. To operacja tajna i nie wolno ci się pokazywać kolegom.

- Tak jest - odparł młody człowiek. Nie zadawał więcej pytań.

- Środkowe okno zasłania drzewo i autobus szkolny. Proponowałbym to.

- Tak jest.

- Pfenninger.

- Tak jest.

- Wrócisz do furgonetki dowództwa. Wypełnisz moje rozkazy zgodnie z tym, co omówiliśmy wcześniej. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Pozostała część oddziału zajmie pozycje tutaj. Wykorzystamy osłonę krzewów i drzew. Harding, wysuń się na czoło. Ruszamy.

Rozproszyli się w gasnącym blasku popołudnia tak szybko, jak szybko płynęła ciemna rzeka, ciszej niż wiatr, który giał trawę wokół nich.

- Chodźmy zapalić - rzekł Potter.

- Beze mnie - odrzekł Budd.

- Zapalimy wyimaginowanego papierosa, na niby.

- Jak to?

- Chodźmy na zewnątrz, kapitanie.

Oddalili się dwadzieścia stóp od furgonetki i stanęli między drzewami. Agent odruchowo się wyprostował; chyba każdy tak robił w obecności Charliego Budda. Potter przystanął, by porozmawiać z Silbertem i drugim reporterem.

- Wydostaliśmy dwie następne.

- Dwie? Które? - Silbert wyraźnie nie mógł usiedzieć z podniecenia.

- Bez nazwisk - rzekł Potter. - Powiem tylko, że to uczennice. Małe dziewczynki. Zostały wypuszczone całe i zdrowe. W rzeźni zostały więc cztery uczennice i dwie nauczycielki.

- Co im pan za nie obiecał?

- Niestety, nie mogę udzielić informacji na ten temat. Spodziewał się wdzięczności dziennikarza za sensację, lecz Silbert mruknął ponuro:

- Nie ułatwia nam pan roboty.

Potter zerknął na ekran komputera. Artykuł był opowieścią prowadzona przez anonimowego policjanta, który czekał na akcję - narrator podkreślał przede wszystkim nudę i zdenerwowanie. Potter uważał, że to niezły pomysł i powiedział o tym reporterowi.

Silbert prychnął pogardliwie.

- Toba była czysta poezja, gdybym mógł tu wsadzić jakieś konkretne wiadomości. Kiedy możemy z panem porozmawiać?

- Niedługo.

Agent z policjantem odeszli dalej w nieduży zagajnik znajdujący się za linią ognia. Potter skontaktował się z Tobe'em, powiedział mu, gdzie jest, i prosił o natychmiastowe połączenie z Handym, gdyby ten dzwonił.

- Ciekawe, Charlie, dokąd zmierza ten zastępca prokuratora stanowego. Budd rozejrzył się.

- Chyba pojechał do hotelu.

Potter pokręcił głową.

- Marks chce, żeby Handy dostał helikopter. Prokurator mi powiedział, że chce, aby Handy zginął. Przez najbliższe pół godziny dyrektor FBI będzie pewnie wisiął na telefonie. Zdarzało się już, że miałem telefon od samego prezydenta. Zapamiętaj moje słowa, Charlie, ktoś już pisze scenariusz, w którym to ja mam być czarnym charakterem.

- Ty? - zdziwił się Budd z niewytłumaczalnym smutkiem. - Przecież zostaniesz bohaterem.

- Ależ skąd. Broń ma większą siłę wyrazu niż słowa.

- A co z tym paleniem na niby?

- Gdy moja żona dostała raka, rzuciłem.

- Rak płuc? Mój wuj to miał.

- Nie. Rak trzustki.

Niestety, strona, z którą Potter negocjował zdrowie żony, odstąpiła od umowy. Mimo to Potter nie wrócił do papierosów.

- Czyli co, wyobrażasz sobie, że palisz?

Potter skinął głową.

- A kiedy nie mogę zasnąć, wyobrażam sobie, że biorę pigułkę nasenną.

- Jak jesteś w dołku, to sobie wyobrażasz, że jesteś szczęśliwy?

Arthur Potter odparł jednak, że w tym wypadku wyobraźnia nie działa.

Budd, który prawdopodobnie pytał o to z powodu stresu, jaki go dręczył przez ostatnią godzinę, w jednej chwili zapomniał o przygnębieniu i spytał:

- Jakiej marki nie palisz?

- Cameli bez filtra.

- Hej, czemu nie spróbować? - Mina mu zrzędlą i znów wydawał się przybity. - Ale nigdy nie paliłem. Może wyobrażę sobie, że piję jacka danielsa?

- Weź sobie podwójnego. - Arthur Potter zaciągnął się głęboko swoim papierosem na niby. Stali między surmiami i morwami, a Potter przyglądał się koleinom, które wyglądały jak ślady kół wozu. Zapytał o nie Budda.

- To? Autentyczne. Prowadził tędy szlak Santa Fe.

- To są autentyczne ślady kół? - Potter był szczerze zdumiony.

- Nazywają je błotnistymi dołami. Szlak przebiegał właśnie w tym miejscu, na zachód.

Potter, specjalista od genealogii, kopnął głęboką, twardą jak kamień koleinę, zastanawiając się, czy w jednym z wozów, które ją wyżłobiły, spał jako dziecko prapradziadek Marian, Ebb Schneider, podróżujący z Ohio do Nevady w roku 1868 z owdowiałą matką.

Budd wskazał głową budynek rzeźni.

- Zbudowano ją dlatego, że biegł też tędy szlak Chisholma. Łączył północ z południem, przebiegał z San Antonio do Abilene - naszego Abilene, w Kansas. Pędzono tędy bydło, z którego część przeznaczano na ubój i sprzedawano w Wichicie.

- Mam jeszcze jedno pytanie - rzekł po chwili Potter.

- Nie znam za dobrze całej historii stanu. To właściwie prawie wszystko, co wiem.

- Przede wszystkim zastanawiam się, Charlie, czym się tak okropnie niepokoisz.

Budd przestał się nagle interesować koleinami w ziemi.

- Jestem ciekawy, o czym właściwie chciałeś ze mną rozmawiać.

- Za czterdzieści minut muszę przekonać Handy'ego, żeby nie zabijał następnej dziewczynki. Nie mam zbyt wielu pomysłów. Chcę cię zapytać o zdanie. Co o nim sądzisz?

- Ja?

- Oczywiście, że ty.

- Sam nie wiem.

- W tej branży nigdy się nie wie. Przedstaw mi swoją hipotezę. Słyszałeś jego biografię. Rozmawiałeś z Angie... To jest kobieta, co?

- Jeżeli o to chodzi... Arthurze, jestem żonaty. Angie ciągle mnie zagaduje. Kilkanaście razy wspominałem o Meg, ale ona w ogóle nie zwraca na to uwagi.

- Powinno ci to pochlebiać, Charlie. Masz kontrolę nad sytuacją.

- W pewnym sensie. - Obejrzał się na furgonetkę, ale nigdzie nie dojrzał ciemnowłosej agentki.

Potter roześmiał się.

- Dobrze, powiedz mi wreszcie, co myślisz.

Budd nerwowo poruszał palcami, być może wyobrażając sobie, że trzyma szklaneczkę whisky. Potter palił tak jak w ciągu ostatnich lat, nie naśladował ruchów palacza, ale używając wyłącznie wyobraźni. Był to rodzaj medytacji.

- Wydaje mi się - powiedział wolno Budd - że Handy ma jakiś plan.

- Dlaczego?

- Częściowo wynika to z tego, co mówiła Angie. Wszystko, co robi, ma jakiś sens. Handy nie jest psychopata, który zabija dla przyjemności.

- Jaki plan masz na myśli?

- Nie wiem dokładnie. Chce nas w jakiś sposób przechytrzyć.

Budd wsunął ręce do tylnych kieszeni spodni. Potter pomyślał, że kapitan zachowuje się jak piętnastolatek na swoim pierwszym szkolnym balu.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Nie jestem pewien. To tylko wrażenie. Może chodzi o jego poczucie wyższości. Nie szanuje nas. Za każdym razem, kiedy z nami rozmawia, słyszę w jego głosie pogardę. Jak gdyby wiedział wszystko, a my nic.

To prawda. Potter sam to zauważył. Ani śladu rozpaczliwego, błagalnego tonu, nerwowych żartów, udawanej hardości; ani śladu rzeczy, które zwykle słyszało się od napastników przetrzymujących zakładników.

I najbardziej płaska linia na głosowym analizatorze stresu, jaką Potter kiedykolwiek widział.

- Ucieczka - ciągnął Budd. - Tak przypuszczam. Może chce podpalić budynek. - Kapitan zaśmiał się. - A może w tych workach ma uniformy strażackie i w zamieszaniu będzie się chciał wymknąć.

Potter skinął głową.

- Tak się już zdarzało.

- Naprawdę? - zdziwił się Budd, nie mogąc uwierzyć, że sam przewidział taką możliwość. Był z siebie bardzo zadowolony.

- Kiedyś przebrali się w stroje ratowników, innym razem w mundury policyjne. Ale wszyscy ludzie biorący udział w akcji dostali zdjęcia przestępców, więc od razu ich namierzono. Natomiast w naszej sprawie... nie wiem. Wydaje mi się, że to nie w jego stylu. Ale masz rację co do poczucia wyższości. To jest klucz. Powinniśmy go wykorzystać. Chciałbym tylko wiedzieć jak.

Budd znów nerwowo grzebał w kieszeniach.

- Te narzędzia mogą mieć z tym coś wspólnego. - Potter zamyślił się. - Może wzniecą pożar i ukryją się w jakiejś maszynie czy nawet pod podłogą. Wyjda dopiero, gdy zjawią się ratownicy. Trzeba dopilnować, żeby wszyscy, nie tylko policjanci, mieli ich zdjęcia.

- Zajmę się tym. - Budd znów zaśmiał się nerwowo. - Wyślę kogoś.

Potter uspokoił się. Myślał o Marian. O tych rzadkich wieczorach, gdy był w domu i siedzieli przy radiu, słuchając NPR i paląc wspólnie jednego papierosa, i pijąc jedną szklaneczkę sherry na pół. Od czasu do czasu, raz albo dwa razy w tygodniu, gasili papierosa i szli na górę do bogato zdobionego łóżka, rezygnując z wieczornych programów muzycznych.

- Te całe negocjacje - odezwał się Budd - robią mi mętlik w głowie.

- Jak to?

- Bo nie rozmawiasz z nim o takich rzeczach, o jakich ja bym mówił - wiesz, o jego żądaniach, o zakładniczkach i tak dalej. O sprawie. Ty z nim gawędzisz.

- Byłeś kiedyś u terapeuty, Charlie?

Młody kapitan wydał z siebie zduszony chichot, kręcąc głową. Być może w Kansas nie uprawiano psychoterapii.

- Ja byłem - rzekł Potter. - Po śmierci żony.

- Chciałem powiedzieć, że bardzo mi przykro z tego powodu. - I wiesz, o czym rozmawiałem z terapeutą? O genealogii.

- Co?

- To moje hobby. Drzewa genealogiczne, stopnie pokrewieństwa i tak dalej.

- Płaciłeś lekarzowi ciężkie pieniądze, żeby z nim gadać o swoim hobby?

- To były najlepiej wydane pieniądze w moim życiu. Zacząłem czuć to samo co terapeuta, a on to, co ja. Zbliżyliśmy się do siebie. Z Handy staram się postępować identycznie. Nie można wcisnąć guzika i kazać mu oddać zakładniczki. Podobnie jak lekarz nie jest w stanie cię wyleczyć naciśnięciem jednego guzika. Chodzi o to, żeby między nim a mną stworzyć rodzaj więzi. Handy musi mnie poznać, ja muszę poznać jego.

- Tak jakbyście chodzili ze sobą?

- Można i tak powiedzieć - rzekł bez uśmiechu Potter. - Chcę, żeby zobaczył moje myśli i zdał sobie sprawę, że jego sytuacja jest beznadziejna. Żeby wypuścił dziewczynki i poddał się, czując, że nie ma sensu dłużej tego ciągnąć. Nie musi tego rozumieć, wystarczy, że poczuje. Sam widzisz, że to zaczyna działać. Oddał dwie dziewczynki i nikogo więcej nie zabił, mimo że uciekła mu jeszcze jedna. - Potter ostatni raz zaciągnął się wyimaginowanym camelem. Zgasił.

Zaczął sobie wyobrażać, że wchodzi po schodach, trzymając za rękę Marian. Jednak obraz ten szybko się rozplynął.

- A ja muszę poznać jego myśli. Żeby go zrozumieć.

- Chcesz się z nim zaprzyjaźnić?

- Zaprzyjaźnić? Nie. Powiedziałbym raczej, że nawiązuję z nim pewien kontakt.

- I nie wyniknie z tego żaden problem? Przecież ludzie z HRT zaczną szturm z twojego rozkazu i co - rozkażesz zabić kogoś, kto stał ci się bliski? Zdradzisz go.

- Tak - odparł cicho negocjator. - To poważny problem.

Budd wypuścił powietrze, wpatrując się w żniwiarzy.

- Powiedziałaś...

- Co?

- Powiedziałaś, że jesteś gotowy poświęcić dziewczynki, żeby go dostać. To prawda?

Potter patrzył na niego przez chwilę, podczas gdy Budd utkwiał niespokojny wzrok w pracujących kilka mil od nich kombajnach.

- Tak. Moim zadaniem jest powstrzymanie Handy'ego. Takie mam rozkazy. Być może nie obejdzie się bez ofiar.

- Ależ to małe dziewczynki.

Potter uśmiechnął się ponuro.

- Jak można wartościować w ten sposób? Skończyły się czasy ratowania najpierw kobiet i dzieci. Życie to życie. Czy te dziewczynki bardziej na nie zasługują niż rodzina, którą Handy mógłby uprowadzić i zabić w przyszłym roku, gdyby udało mu się dzisiaj uciec? Albo dwaj policjanci z drogówki, których zastrzeli, gdy zatrzymają go za przekroczenie dozwolonej prędkości? Muszę

przyjąc, że zakładniczki już nie żyją. Jeżeli uda się niektóre uratować, tym lepiej, ale nie mógłbym działać, patrząc na to inaczej.

- Chyba jesteś dobry w tym, co robisz.

Potter nie odpowiedział.

- Sądziś, że zginie więcej osób?

- Obawiam się, że tak. To tylko hipoteza, ale takie odnoszę wrażenie.

- Dziewczynki?

Potter nie odpowiedział.

- Tymczasem mamy na głowie inny problem, Charlie - za co kupimy następną godzinę?

Budd wzruszył ramionami.

- Nie ma mowy o broni ani amunicji, zgadza się?

- To nie wchodzi w grę.

- Handy myśli, że dostanie helikopter, prawda?

- Tak.

- Skoro okłamujemy go w tej sprawie, czemu nie skłamać w innej? Obiecay mu jakiś dodatek do helikoptera.

- Nie można dać dzieciakowi zabawki bez baterii, to chcesz powiedzieć?

- Chyba tak.

- Świetnie, Charlie. Chodźmy to obgadać z Henrym.

Gdy wsiadali do furgonetki, Potter klepnął kapitana w ramię, a Budd odpowiedział najbardziej wymuszonym uśmiechem, jaki agent widział w życiu.

Mieli się podzielić na trzy grupy: Alfa, Bravo i Charlie.

Ludzie Dana Tremaina zgromadzili się z lewej, północno-zachodniej strony rzeźni, i ukryli w zagajniku. Na kamizelki kuloodporne nałożyli czarne kombinezony bojowe. Kominiarki i rękawice z nomexu. Okulary ochronne odsunęli na czoło.

Grupy Alfa i Bravo liczyły po czterech ludzi, dwóch uzbrojonych w półautomatyczne H&K MP-5 z celownikami laserowymi i halogenowymi latarkami, dwóch ludzi miało karabinki półautomatyczne H&K Super 90. Dwóch ludzi z grupy Charlie też miało MP-5, a dodatkowo granaty ogłuszające M429 Thunderflash oraz granaty M451 Multistarflash.

Wysłano na stanowiska dwóch następnych ludzi. Chuck Pfenninger - Goniec Jeden - w zwykłym mundurze znajdował się obok furgonetki dowództwa. Joey Wilson - Goniec Dwa - w stroju maskującym i w rynsztunku bojowym zajął miejsce pod środkowym oknem po lewej stronie głównego wejścia do rzeźni. Nie było go widać ani z furgonetki, ani z miejsca obok autobusu szkoły Laurenta Clerca i cienistego drzewa, gdzie zajęli stanowiska policjanci.

Tremain ponownie przeanalizował w myśli cały plan, punkt po punkcie. Gdy tylko Wilson zamelduje, że porywacze oddalili się od zakładniczek, Pfenninger rozwali generator w furgonetce ładunkiem L210, znanym jako minikoktajl Mołotowa. Była to niewielka bomba benzynowa umieszczona w specjalnym pojemniku z płyty pilśniowej, przypominająca kartonik z sokiem winogronowym albo ponczem owocowym. Pojemnik rozpadał się pod wpływem temperatury powstałej przy wybuchu i technicy kryminalistyki zabezpieczający miejsce zbrodni zwykle nie mogli wykryć przyczyny eksplozji. Jeśli zostanie podłożony we właściwym miejscu, odetnie łączność i zamknie policjantów w furgonetce. Konstrukcja pojazdu umożliwiała jazdę przez płomienie, wnętrze było dobrze izolowane i miało własny system tlenowy. Dopóki drzwi były zamknięte, nikomu w środku nic się nie powinno stać.

Wówczas Tremain oficjalnie przejmie dowodzenie akcją i „zadeklaruje”, że sytuacja osiągnęła moment krytyczny.

Zaraz potem trzy grupy oddziału antyterrorystycznego wejdą do rzeźni. Grupa Charlie za pomocą ładunku tnącego 521 zrobi dziurę w dachu i zrzuci na porywaczy dwa granaty ogłuszające. Alfa i Bravo wysadzą równocześnie drzwi boczne i tylne, prowadzące na rampę przystani, po czym wejdą do budynku, podczas gdy Charlie zrzuci drugie granaty - świetlne - które wybuchną z oślepiającym blaskiem, a policjanci spuszczą się z dachu po linie. Grupa Bravo natychmiast zajmie się zakładniczkami, Alfa i Charlie zaatakują porywaczy i zneutralizują, jeśli spotkają się z oporem z ich strony.

Teraz czekali na trzech funkcjonariuszy, którzy poszli sprawdzić boczne wejście, przystań i dach.

Dan Tremain leżał na brzuchu obok twardego, porucznika Carfallo i patrzył na rzeźnię, która wznosiła się nad nimi jak średniowieczna twierdza, mroczna i najeżona zębami wieżyczek. Kapitan powiedział do swoich ludzi:

- Wejdziecie po czterech. Atak pierwszej dwójki jest najważniejszy. Najpierw broń maszynowa, potem wsparcie gładkolufowej. Będzie to dynamiczne wejście z osłoną ogniową. Przerwiecie dopiero wtedy, gdy wszystkie wrogie cele zostaną zneutralizowane, a budynek zabezpieczony. W środku jest sześć zakładniczek, rozmieszczonych tak, jak pokazałem na mapie. Cztery to małe dziewczynki, które w panice mogą uciec. Gdy tylko znajdziecie się wewnątrz, musicie panować nad bronią i dokładnie celować przez cały czas. Zapamiętaliście? Przytaknęli.

Potem nadeszły złe wiadomości.

Jeden po drugim zgłaszali się zwiadowcy. Okazało się, że boczne drzwi są o wiele grubsze, niż wynikałoby to z rysunków: dębowe drewno grubości trzech cali plus stalowa blacha. Musieliby użyć czterech ładunków. Dla pewności. Grupa Alfa musiałaby w chwili wybuchu być znacznie dalej, niż planowano. Dotarcie do dziewczynek opóźniłoby się więc o kolejne sześć sekund.

Okazało się również, że na dachu dobudowano coś, czego nie uwzględniały oryginalne plany architektoniczne: niemal całą powierzchnię dachu pokrywały stalowe płyty, które przyśrubowano wiele lat temu. Żeby je przeciąć, należałoby użyć sporo C4. W starym budynku duża ilość plastycznego materiału wybuchowego spowodowałaby zawalenie dźwigarów - może nawet większej części dachu.

Od trzeciego zwiadowcy Tremain dowiedział się, że drzwi prowadzące na rampę przystani są uchylone na osiem cali i zablokowane. Były ze stali, zbyt grubej, by można je wysadzić.

Po naradzie z Carfallem kapitan zmienił plany. Postanowili zrezygnować z wejścia przez dach i od strony przystani i skierować dwie grupy jednym wejściem, przez północne drzwi. Wilson, stojący pod oknem, miał wrzucić do środka granat ogłuszający, a potem świetlny. Ryzykowne, bo w ten sposób stawał się widoczny dla kordonu policjantów i porywaczy; mogli go zastrzelić albo jedni, albo drudzy. Tremain doszedł jednak do wniosku, że nie ma innego wyboru.

Uznał, że potrzebuje jeszcze godziny, by przygotować skuteczny atak: znaleźć otwarte drzwi albo okno i obluzować zawiasy drzwi przeciwpożarowych, by użyć mniejszych ładunków.

Nie miał jednak dodatkowej godziny. Do kolejnego ultimatum pozostało dwadzieścia minut.

Wtedy zginie kolejna dziewczynka.

W końcu miał to być szturm prowadzony przez jedno wejście.

- Ustalamy - rzekł Tremain - że hasło „klacz” oznacza rozkaz szturm. Hasło „ogier” rozkaz wycofania. Powtórzcie.

Mężczyźni powtórzyli. Tremain poprowadził ich do rowu biegnącego obok rzeźni. Bezgłośnie przywarli do wilgotnej ziemi, nieruchomiejąc, bo tak im polecono, a życiem tych ludzi kierowały przede wszystkim rozkazy.

18.40

Joe Silbert nauczył się kiedyś pisać dwoma palcami na remingtonie, wydzielającym zapach oleju, tuszu i gorzko-słodką woń startej gumki, której wiórki wiecznie zapychały prowadnice karetki.

Technika niewiele się zmieniła i teraz walił palcami wskazującymi w duży przenośny compaqu. Pomarańczowy blask ekranu rozświetlał twarz jego i Teda Bigginsa, które wydawały się szare i wycieńczone. Silbert przypuszczał, że jako niemal dwa razy starszy od Bigginsa, wygląda zapewne dwa razy gorzej.

Philip Molto pilnie trzymał wartę, tak jak mu polecił nerwowo kapitan Budd.

- Co o tym myślisz? - spytał Bigginsa Silbert.

Biggins spojrział ponad ramieniem kolegi na gęsto zapisany tekst na ekranie i chrząknął.



- Mogę kontynuować? - Wskazał głową ekran.

- Nie krępuj się.

Biggins potrafił pisać diabło szybko. Jego palce śmigały po klawiszach cicho i niezauważalnie.

- Jakbym się z tym urodził - powiedział. Miał starannie ufryzowane włosy, choć był tylko inżynierem, a reporterem występującym przed kamerą był Silbert.

- Poruczniku - zawołał do Molta Silbert. - To już prawie koniec naszej zmiany. Zostawimy komputer dla drugiego zespołu. Zaczna tam, gdzie skończyliśmy.

- Tak to robicie?

- To wspólne przedsięwzięcie. Będzie pan miał oko na komputer?

- Jasna sprawa. O co chodzi?

Pytanie skierował do Silberta, który zmarszczywszy brwi, spoglądał między drzewa i krzewy jałowca za taśmą policyjną.

- Słyszałeś coś?

Biggins, który podnosił się z miejsca, rozejrzał się zaniepokojony.

- Tak.

Molto przekrzywił głowę, nasłuchując. Rozległy się kroki. Trzask gałązki, szuranie butów po ziemi.

- Tam nikogo nie ma - powiedział porucznik, trochę do siebie. - To znaczy, nikogo nie powinno tam być.

Twarz Silberta przybrała taki wyraz, jak gdyby wiele razy bywał na polu walki. Po chwili jego usta wygięły się w drwiący uśmieszek.

- To sukinsyn. Poruczniku, chyba mamy intruza.

Policjant, trzymając dłoń na pistolecie, zanurkował w krzaki. Kiedy wrócił, prowadził dwóch mężczyzn w czarnych dresach. Na piersiach dyndały im identyfikatory prasowe.

- Proszę, któż to nas odwiedził? - rzekł Silbert. - Walter Cronkite i Chet Huntley.

- Jeżeli chce pan ich aresztować - zwrócił się do Molta Biggins - to niech pan nie wspomina o wkroczeniu na niedozwolony teren, tylko postawi zarzut o bycie dupkiem pierwszego stopnia.

- Znacie się?

Jeden z pojmanyh się skrzywił.

- Silbert, jesteś skurwysyn. Wystawiłeś nas? Nie życzę sobie, żeby ten gówniarz się do mnie odzywał.

- Są z KLTV - powiedział do Molta Silbert. - Sam Kellog i Tony Bianco. Chyba zapomnieli, że pracujemy wspólnie.

- Odpierdol się - warknął Bianco.

- Zrezygnowałem z własnego materiału tak jak ty, Kellog - rzucił Silbert. - Mogłeś mieć swoją kolej.

- Jestem zmuszony was aresztować - powiedział do Kelloga i Bianca Molto.

- Gówno prawda, nie możesz tego zrobić.

- Zastanowie się nad tym w drodze do namiotu. Chodźcie.

- Zaraz, poruczniku - zaczął Kellog. - Dopóki tu jesteśmy...

- Jak się tu dostałeś, Kellog? - spytał Biggins. - Czołgałeś się na brzuchu?

- Ty też się odpierdol.

Molto odprowadził ich. Gdy tylko radiowóz zniknął, Silbert rzekł do Bigginsa:

- Teraz.

Biggins otworzył obudowę monitora i zdjął pokrywę. Ze środka wydobyl kamerę wideo Nippon LL3R, model subminiaturowy, wart sto trzydzieści tysięcy dolarów, który ważył czternaście uncji i został wyposażony w składaną dwunastocalową antenę paraboliczną i nadajnik. Pozwalał na transmisję obrazu w niemal całkowitej ciemności i miał teleskopowy obiektyw dokładny jak celownik snajperski. Kamera miała zasięg do trzech mil, co pozwalało wysłać sygnał do ruchomego centrum KFAL, gdzie koledzy Silberta (Tony Bianco i Sam Kellog, jak się okazało) będą wkrótce czekać na transmisję, jeżeli nie zostaną aresztowani. Gdyby jednak obaj padli ofiarami Pierwszej Poprawki, inni technicy byli gotowi złamać umowę.

Silbert otworzył aktówkę i wyjął z niej dwa nylonowe dresy - takie same jak te, które mieli na sobie Kellog i Bianco, z jedną różnicą - na plecach miały nadruk „Służba Federalna”. Obaj wciągnęli ubrania.

- Zaraz - powiedział Silbert. Pochylił się nad komputerem i skasował cały tekst, który wystukał Biggins - składający się z jednego zdania Miała baba koguta, wsadziła go do buta, napisanego ze trzysta razy. Shift i F3. Na ekranie pojawił się tekst artykułu o gliniarzu w akcji, napisany przez Silberta trzy lata temu; otworzyli go dzisiaj, gdy tylko włączyli komputer. Tak się spodobał temu kutasowi Potterowi.

Obaj mężczyźni wśliznęli się do rowu za furgonetką i ruszyli śladem Dana Tremaina i jego ludzi, którzy niedawno bezszelestnie zniknęli w mroku.

Kanister z benzyną.

To pierwsze przyszło jej na myśl, gdy otworzyła oczy i rozejrzała się po ubojni.

Emily, grając dobrą chrześcijankę, przycupnęła na kolanach przy Melanie i ocierała jej krew z oka. Było napuchnięte, lecz nie domknięte. Dziewczynka oderwała kawałek swej drogiej sukienki od Laury Ashley, by zebrać resztę krwi.

Melanie leżała bez ruchu, czekając, aż na dobre odzyska wzrok i przejdzie jej straszny ból głowy. Jedna z bliźniaczek, chyba Suzie, odgarnęła jej włosy z czoła drobnymi palcami.

Kanister z benzyną. Właśnie.

Wreszcie Melanie zdołała usiąść i podpełznąć do Beverly.

- Jak się czujesz? - spytała dziewczynkę.

Pot zlepiła jej jasną chłopięcą fryzurę. Skinęła głową, choć jej pierś nadal gwałtownie wznosiła się i opadała. Znow wpiła się ustami w inhalator. Melanie nigdy jej nie widziała w takim stanie. Lekarstwo jakby w ogóle nie pomagało.

Pani Harstrawn wciąż leżała na podłodze, na wznak. Musiała niedawno płakać, ale w tej chwili była spokojna. Melanie delikatnie zaczęła zdejmować jej sweter. Kobieta wymamrotała coś niewyraźnie. Melanie miała wrażenie, że powiedziałaś „Nie, zimno mi”.

- Muszę - powiedziała do niej na migi. Jej palce tańczyły tuż przed nosem starszej pani, lecz ta nic nie widziała.

Minutę później sweter pani Harstrawn został zdjęty. Rozejrzawszy się, Melanie niby przypadkiem rzuciła go pod ścianę, niedaleko miejsca, gdzie z podłogą stykało się łukowate przejście prowadzące do tylnej części rzeźni. Następnie przypadła do drzwi, by zajrzeć do głównego pomieszczenia. Niedźwiedź od czasu do czasu zerkał w ich stronę, ale wszyscy trzej mężczyźni w skupieniu wpatrywali się w ekran telewizora. Melanie spojrzała na bliźniaczki i używając ledwie widocznych gestów, powiedziała im:

- Podejdźcie do kanistra.

Spojrzały po sobie skonsternowane. Ich głowy poruszały się identycznie.

- Już, szybko! - Ruchy jej palców stały się gwałtowniejsze.

Podniosły się i wolno poczołgały w stronę czerwono-żółtego pojemnika.

Kiedy Suzie spojrzała na nią, kazała jej wziąć z podłogi sweter. Zrobiła go na drutach matka pani Harstrawn mieszkająca w Topece. Sweter był w jaskrawych kolorach - czerwonym, białym i niebieskim, co w tej chwili stanowiło duży minus - ale gdy dziewczynki będą już na zewnątrz, mogło okazać się bardzo korzystne. Lecz Suzie się nie ruszyła. Melanie powtórzyła polecenie. Nie ma czasu na ostrożność, dodała.

- Szybko! Łap go!

Dlaczego się waha? I patrzy na mnie.

Nie, nie na mnie...

Wtedy padł na nią cień.

Gdy Brutus chwycił ją za ramiona i obrócił ku sobie, przerażona wstrzymała oddech.

- Myślisz... pierdolonym bohaterem? Zabijałem już ludzi, którzy odważyli się na o wiele mniej.

Przez straszną chwilę obawiała się, że Brutus odgadł jej myśli, jakimś zwierzęcym szóstym zmysłem, i wiedział, co Melanie zamierza zrobić z kanistrem.

Ale zaraz pojęła, że mówił o wyrzuceniu za drzwi Kielle. Może cios pistoletem nie wydawał mu się dostateczną karą. Wyciągnął broń i przyłożył jej do skroni.

Nagle ogarnęła ją wściekłość; Melanie odepchnęła lufę, wstała i poszła do głównego pomieszczenia, czując na plecach wibracje jego krzyków. Nie zwracając na niego uwagi, szła dalej, do beczki olejowej, która służyła im za stół. Niedźwiedź wstał z miejsca i zrobił krok w jej kierunku, ale jego też zupełnie zignorowała. Wzięła papier i pisak, po czym wróciła do ubojni.

Napisała: „Bardzo się starasz nam pokazać, jaki jesteś zły, prawda?”. Rzuciła mu kartkę w twarz.

Brutus wybuchnął śmiechem. Wyrwał jej z rąk notes i cisnął na posadzkę. Patrzył na nią przez drugą chwilę, a potem rzekł dziwnie spokojnie:

-...sobie gadać. Nie mówię za dużo... do niewielu ludzi. Ale z tobą mogę. Czemu? ... dlatego, że mi nie odpowiesz. To dobrze, jak kobieta nie może odpowiedzieć. Pris to co innego, ona ma głowę na karku... umiem to docenić. Ale czasem zaczyna coś od rzeczy i... nie łapię, co do mnie mówi. A ty, wystarczy, że ci spojrzę w oczy i już cię rozumiem. Wyglądasz jak myszka, ale tak naprawdę możesz być kimś więcej. Jesteś, nie?

Melanie ze zgrozą uświadomiła sobie, że gdzieś w najgłębszych zakamarkach serca jego słowa sprawiają jej przyjemność. Ten przeokropny człowiek wyraził jej swoje uznanie. Ale zabił Susan, zabił Susan, zabił Susan, powtarzała sobie. Mnie może zabić w każdej chwili. Wiedziała o tym, lecz w tej chwili liczyło się jego uznanie.

Odłożył broń i zaczął się bawić sznurowadłami.

- Myślisz, że jestem zły... twoją przyjaciółkę. Rzeczywiście, jak tak na to patrzeć, to jestem zły. Nie... bystry i nie mam żadnych szczególnych zdolności. Ale przede wszystkim jestem zły. Nie mówię, że nie mam serca czy że nigdy w życiu nie płakałem. Kiedy ktoś mi zabił brata, płakałem przez tydzień. Tak jest. - Brutus przerwał, a między jego wąskimi wargami ukazały się spiczaste zęby. - A teraz ten skurwiel... - Wskazał głową telefon.

De l'Epee? Miał na myśli de l'Epee?

- On i ja prowadzimy teraz bitwę. I on przegra... Czemu? Bo zło jest proste, a dobroć skomplikowana. A proste zawsze zwycięża. Do tego się wszystko sprowadza. Tak działa natura, a ludzie, którzy ignorują prawa natury, zwykle wpadają w poważne kłopoty. Popatrz na was, głuchych. Wymrzecie przede mną. Jak czegoś potrzebuję, mówię: „Daj mi to”. Otwieram usta, wtedy ktoś robi to, czego chcę. A ty musisz robić te śmieszne rzeczy rękami. Musisz pisać. Skomplikowana sprawa. Jesteś kaleką... umrzesz, a ja będę żył. Natura.

Wezmę tę małą w sukience w kwiatki i zastrzelę ją za dziesięć minut, jeżeli... nie dadzą mi helikoptera. A chyba mi nie dadzą. Dla mnie to tak jakby się podrapać albo kupić oranżadę, kiedy chce mi się pić.

Popatrzył na Emily z tym swoim uśmieszkiem.

Nagle Melanie zorientowała się, że jego spojrzenie wyraża znacznie więcej niż wzrok porywacza patrzącego na swoją ofiarę. Zobaczyła wszystkie drwiny, jakich zaznała od kolegów szkolnych, wszystkie nieudane próby zrozumienia tego, co można zrozumieć tylko dzięki cudowi, jakim jest słuch. Ujrzała puste życie bez ukochanej osoby. Zobaczyła okładkę partytury zatytułowanej „Pan ziemskich dróg”, a w środku same czyste kartki.

Wola boska...

Wzrok Brutusa...

I pojęła sens, którego szukała w jego oczach.

Melanie skoczyła naprzód, atakując jego twarz ostrymi paznokciami.

Cofnął się zaskoczony, szukając broni. Wyciągnął pistolet zza pasa, a ona rzuciła się na broń. Pistolet wyleciał mu z ręki i wylądował na podłodze. Melanie nie potrafiła nad sobą zapanować, była jak oszalała, ogarnęła ją wściekłość, jakiej nigdy w życiu nie czuła. Przyszła nagle, rozdzierała ją i parzyła jak gorączka, której dostała w wieku ośmiu lat. Wtedy wszystko przestało być proste i stało się okropnie skomplikowane.

Jej długie palce wygimnastykowane przez lata używania języka migowego i zakończone perłowymi paznokciami orały jego policzek; uderzyła go w nos, sięgając do oczu. Gdy upadł na plecy, skoczyła mu na pierś, wciskając kolano w

splot słoneczny. Zabrakło mu tchu. Uderzył ją w pierś i zsunęła się na bok, lecz cios był zbyt słaby, by mogła poczuć ból.

- Jezu... ! - Jego żylaste ręce sięgnęły do jej gardła, ale odepchnęła je i sama chwyciła go za szyję, odpierając atak jego dłoni; nie potrafił jej dosięgnąć. Skąd ta siła? - pomyślała, waląc jego głową w beton podłogi i patrząc, jak jego twarz sinieje.

Może Niedźwiedź i Gronostaj rzucili się w jej stronę, może wycelowali w nią broń. Brutus milczał, bo nie mógł złapać tchu albo duma nie pozwalała mu wołać pomocy. Nie wiedziała, ale nic jej to nie obchodziło. Poza tym człowiekiem i złem, jakie ucieleśniał, wszystko inne przestało dla niej istnieć - dziewczynki, pani Harstrawn i dusza Susan Phillips, która według agnostycznych przekonań Melanie unosiła się nad nimi teraz niczym piękny serafin.

Chciała go zabić.

Nagle Brutus sflaczał jak szmata. Spomiędzy bladych warg wysunął się język. Boże,, zrobiłam to, pomyślała. Przerażona i przejęta usiadła, spoglądając na bliźniaczki, popłakującą Emily i dyszącą Beverly.

Nie zdążyła się obronić przed jego kolanem, które uniosło się nagle i z potworną siłą uderzyło ją między nogi. Wciągnęła powietrze, łapiąc się za krocze, a pięść Brutusa wylądowała na jej piersi, tuż pod mostkiem. Melanie zgięła się wpół, nie mogąc złapać tchu.

Wstał lekko, a ona zauważyła, że poza zadrapaniami na policzku nic mu się nie stało. Bawił się z nią. W małą przepychankę.

Po chwili złapał ją za włosy i powłókł do głównego pomieszczenia.

Wbiła paznokcie w jego dłoń, a on mocno uderzył ją w twarz. Zobaczyła wszystkie gwiazdy i jej ręce bezwładnie opadły. Po chwili zorientowała się, że stoi w oknie rzeźni i patrzy w wycelowane w budynek ostre światła.

Jej twarz przyciskała się do szyby, jak gdyby szkło miało zaraz prysnąć i rozplątać jej oczy. Nie, nie, tylko nie ta ciemność. Wieczna ciemność. Nie, błagam...

Podszedł do nich Gronostaj, ale Brutus odpędził go ruchem ręki. Wyciągnął pistolet. Odwrócił Melanie, by mogła widzieć jego usta.

- Gdybyś mówiła jak normalny człowiek, może powiedziałabyś coś, żeby się uratować. Ale nie możesz. Nie, jesteś wybrykiem natury i jeżeli nie dadzą nam śmigłowca, będziesz jeszcze większym dziwolągiem. Shep, ile czasu... ?

Gronostaj chyba się zawahał i powiedział coś, czego nie zrozumiała.

- Kurwa, ile zostało czasu? - Zakrwawioną twarz Brutusa wykrzywiła wściekłość.

Otrzymał odpowiedź i przyłożył Melanie broń do policzka. Potem powoli odwrócił jej twarz z powrotem do szyby i znów zobaczyła oślepiające reflektory.

Melanie. Przez mocne szkła lornetki Potter zobaczył jej twarz. To Melanie miała być następną ofiarą.

Budd, LeBow i Frances patrzyli przez okno. Przez radio zgłosił się Stillwell, mówiąc:

- Jeden z moich snajperów melduje, że Handy krwawi. Niewielka rana cięta.

- Dwanaście minut do ultimatum - rzekł Tobe. - Będzie połączenie.

Zadzwoił telefon, a Potter odebrał natychmiast.

- Lou, co... ?

- Mam nową, Art - odezwał się wściekły głos Handy'ego. - Nabrała śmiałości. Już jej chciałem wybaczyć, że oddała ci małą rozbójniczkę. Ale dziwka chciała się ze mną zabawić. Poskakać na sianie.

Spokojnie, upomniał się w myśli Potter. Znowu z tobą gra. Stłumił własną złość, stanowiącą odbicie wściekłości Handy'ego.

- Ona jest jakaś chora, Art. Sadosmaso, zdaje się. Nauczy się, nauczy. Masz dziesięć minut, Art. Jeżeli nie usłyszę helikoptera, zrobimy jej małą operację plastyczną kaliber dziewięć milimetrów. Kurwa, ten śmigłowiec ma tu być. Rozumiesz?

- Musimy go sprowadzić z Topeki. Tylko tam...

- Trzy mile na zachód stąd jest lotnisko. Dlaczego, kurwa, nie możecie sprowadzić maszyny stamtąd?

- Powiedziałeś, że...

- Dziesięć minut. Trzask.

Potter zamknął oczy i westchnął.

- Angie?

- Chyba mamy problem - powiedziała agentka psycholog. - Naprawdę chce jej zrobić krzywdę.

Sprawa zdecydowanie się skomplikowała. Potterowi zapewne udało się uzyskać jeszcze trochę czasu, gdyby Lou Handy był w dobrym nastroju i czuł, że panuje nad sytuacją. Ale Lou Handy dyszący żądzą zemsty, Lou Handy wściekły i poniżony na pewno nie był skłonny do żadnych ustępstw i miał ochotę poczuć zapach krwi.

Och, Melanie, dlaczego nie mogłaś zostawić go w spokoju? (Jednak czuł coś jeszcze - co to było? Duma, że miała odwagę przeciwstawić się Handy'emu, gdy ten próbował ją pobić za ocalenie Kielle? Podziw? I co jeszcze?).

Piękna twarz Angie o egzotycznych rysach wyrażała niepokój.

- O co chodzi? - spytał ją Budd.

- Handy mówił coś o operacji plastycznej. Co miał na myśli?

- Chyba nie chce jeszcze zabijać następnej osoby - odrzekł wolno Potter.

- Przestraszył się, że stracił za dużo zakładniczek, a tak naprawdę nic w zamian nie dostał. Chce ją więc zranić. Może wybić jej oko.

- Boże - szepnął Budd.

Tobe zawołał:

- Arthur, odbieram jakiś zakodowany sygnał nadawany gdzieś niedaleko.

- Jaka częstotliwość?

- Pytasz, ile megaherców?

- Nie obchodzi mnie cyferki. Kto to może być?

- Tej częstotliwości nie przydzielono nikomu.

- Nadawanie z odbiorem?

- Tak. I są sygnały zwrotne.

Niektóre operacje są tak tajne, że radiostacje policyjne używają specjalnych współdziałających ze sobą urządzeń kodujących, które zmieniają kod co parę sekund. Derek potwierdził, że radiowozy policji stanowej nie mają takiego wyposażenia.

- Gdzie to może być?

- W promieniu jednej mili.

- Prasa?

- Zwykle nie używają koderów, ale całkiem możliwe.

Potter nie mógł tracić teraz na to czasu. Zacisnął pięść i patrzył przez okno przez lornetkę. Zobaczył jasne włosy Melanie, czarny błysk pistoletu.

Starając się panować nad głosem, powiedział:

- Charlie... zastanawiałaś się dokładniej, jakich baterii Handy będzie chciał do swojej zabawki?

Budd uniósł bezradnie ręce.

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Nie... nie wiem. - Jego głos zaczął się łamać w rozpacz. - Zobacz, ile zostało czasu!

- Henry?

LeBow powoli przewinał bardzo długi już tekst o Louisie Handym.

Powiedział do zdenerwowanego Budda:

- Im pilniejsze zadanie, tym wolniej je trzeba wykonywać, kapitanie.

Zobaczmy, kiedy był młody, często kradł drogie auta. Może lubi samochody.

Spróbujemy w tym kierunku?

- Nie, moim zdaniem rację ma Charlie. Spróbujmy pomyśleć o czymś, co może mu pomóc w ucieczce.

- Na co jeszcze Handy wydaje pieniądze? - spytała Angie. - Niewiele kupuje. Nigdy nie miał żadnej nieruchomości, nigdy nie zrobił napadu na jubilera...

- Czym się może interesować? - zastanawiał się Potter.

Nagle Angie powiedziała:

- Raporty z okresów zawieszenia kary. Masz je, Henry?

- Wczytałem.

- Znajdź. Sprawdź, czy wystąpił kiedyś o uchylenie zakazu opuszczania wyznaczonego obszaru i dlaczego.

- Dobra myśl, Angie - rzekł Potter.

Rozległ się stukot klawiszy.

- Zgadza się, występował. Dwa razy wyjeżdżał z Milwaukee, gdzie mieszkał po zwolnieniu i jechał na ryby do Minnesoty. Na samą północ, niedaleko International Falls. I trzy razy do Kanady. Za każdym razem wracał, bez żadnych incydentów. - LeBow zmrużył oczy. - Ryby. To mi o czymś przypomina... - Wpisał polecenie przeszukiwania. - Jest, raport wychowawcy więziennego. Lubi łowić ryby. Wręcz uwielbia. Udało mu się zarobić parę punktów za wyjazd na pstragi nad strumień na terenie więzienia stanowego Pennapsut.

Minnesota, pomyślał Potter. Jego rodzinny stan. Kraina Tysiąca Jezior.

Kanada.

Budd, który stał w kącie, prezentując swą nienaganną sylwetkę, wciąż się kręcił.

- Rany. - Spojrzał na zegarek, po pięciu sekundach jeszcze raz.

- Charlie, proszę cię.

- Mamy tylko siedem minut!

- Wiem. Miałeś czas, żeby coś wymyślić. Masz coś?

- Sam nie wiem, o czym myślałem!

Potter znów spojrzał na Melanie. Przestań, rozkazał sobie. Zapomnij o niej. Nagle uniósł się na krześle.

- Mam. Lubi łowić ryby, szczególnie na północy, zgadza się?

- Tak - rzekł Budd. Powiedział to takim tonem, jak gdyby chciał zapytać: I co z tego?

Lecz LeBow zrozumiał. Pokiwał głową.

- Jesteś artystą, Arthurze.

- Podziękuj Charliemu. To dzięki niemu zacząłem się nad tym zastanawiać. Budd wyglądał na nieco zdetonowanego.

- Pięć minut - zawołał Tobe.

- Przeprowadzimy z nim lipną transakcję - powiedział szybko Potter, wskazując na tablicę „Blef”. LeBow wstał i chwycił pisak. Potter namyślał się przez chwilę. - Handy będzie chciał sprawdzić, czy mówię mu prawdę. Zadzwoń do tutejszego oddziału Federalnego Urzędu Lotnictwa. Gdzie to jest, Charlie?

- W Topece.

Potter zwrócił się do Tobe'ego:

- Chcę, żeby wszystkie połączenia z głównym numerem Urzędu Lotnictwa były kierowane bezpośrednio pod ten numer. - Wskazał na telefon w konsoli. Potter wiedział, że to żmudna praca, lecz Tobe bez słowa zabrał się do roboty, wciskając różne guziki i mówiąc do mikrofonu.

- Nie - zaprotestował Budd. - Nie ma na to czasu. Po prostu podaj mu ten numer. Skąd będzie wiedział, że to nie do Urzędu Lotnictwa?

- Za duże ryzyko, gdyby chciał sprawdzić. - Potter wziął słuchawkę i wdusił przycisk.

Odezwał się pełen entuzjazmu głos.

- Tak?

- Lou?

- Cześć, Art. Nastawiam uszu, ale helikoptera coś nie słyhać. Widzisz w oknie moją dziewczynę?

- Posłuchaj, Lou - powiedział spokojnie Potter, patrząc w okno. - Mam dla ciebie propozycję.

- Dziesięć, dziewięć, osiem...

- Posłuchaj mnie...

- Art, właśnie coś mi przyszło do głowy. Może właśnie taki masz sposób na zrobienie czegoś złego. Może naprawdę jesteś skurwysynem.

- Helikopter jest prawie gotowy.

- A dziewczyna też prawie gotowa. Ryczy jak bóbr, Art. Mam już dość. Mam was dosyć. Nie traktujecie mnie poważnie. - Zaczął zdradzać wściekłość. - Nie robicie tego, co wam każę!

Angie pochyliła się bliżej Pottera. Usta Budda poruszały się w niemej modlitwie.

- W porządku, Lou - warknął Potter. - Wiem, że ją zastrzelisz. A ty wiesz, że nie będę ci w tym przeszkadzał.

Wnętrze furgonetki wypełnił głuchy szum.

- Przynajmniej mnie wysłuchaj.

- Według mojego zegara została nam na to jakaś minuta. Góra dwie.

- Lou, pracowałem nad tym całą godzinę. Nie chciałem nic mówić, dopóki wszystko nie będzie gotowe, ale teraz powiem. Już się prawie udało.

Niech ciekawość narasta.

- No, co takiego?

- Daj mi jeszcze godzinę, nie rób dziewczynie krzywdy, a dostaniesz od nas prawo do uzyskania od Urzędu Lotnictwa zgody na lot do Kanady.

Przez sekundę panowała cisza.

- Co to ma, kurwa, znaczyć?

- Możesz to załatwić bezpośrednio z urzędem. Nie będziemy wiedzieli, dokąd lecisz.

- Ale pilot będzie wiedział.

- Pilot będzie miał kajdanki, dla siebie i zakładniczek. Wylądujesz w Kanadzie, gdzie będziesz miał ochotę, unieruchomisz maszynę i radio i zanim je znajdziemy, upłynie dobre parę godzin.

Milczenie.

Potter posłał Tobe'emu rozpaczliwe spojrzenie, unosząc pytająco brwi.

Młody człowiek, obficie się pocąc, głęboko odetchnął i powiedział bezgłośnie:

- Staram się.

- W helikopterze znajdziesz jedzenie i wodę. Chcesz plecaki, buty do marszu? Do diabła, Lou, możemy ci dać nawet wędki. To naprawdę dobry układ. Nie rób jej krzywdy. Daj nam jeszcze godzinę, a polecisz.

- Muszę pomyśleć.

- Zdobędę nazwisko szefa urzędu i zaraz oddzwonię. Trzask.

Tobe z niewzruszonym spokojem patrzył w swoje nieruchome wskaźniki, po czym walnął konsolę pięścią, mówiąc:

- Gdzie jest, kurwa, nasz przekaz?

Potter złożył ręce i patrzył przez okno na Melanie Charrol - która wyglądała jak własny portret złożony z maleńkich drobin barw i światła, niczym z pikseli na ekranie telewizyjnym.

Kapitan Dan Tremain wychylił się naprzód, odsuwając gałąź cicho jak kot.

Z tego miejsca widział tylko róg okna, w którym trzymano młodą kobietę. Tremain był jednym z najlepszych strzelców w jednostce antyterrorystycznej i często żałował, że stanowisko dowódcze nie pozwala mu wziąć do ręki remingtona i z pomocą naganiacza namierzyć i zneutralizować cel oddalony o osiemset albo tysiąc jardów.

Ale dziś dowodził bezpośrednim szturmem. Snajperzy będą bezużyteczni, więc przestał myśleć o niewyraźnym celu w oknie i skupił się na zadaniu.

Zegarek Tremaina pokazał siódmą.

- Minął czas ultimatum - powiedział kapitan. - Goniec Jeden, melduj.

- Ładunek na generatorze gotowy.

- Czekaj na rozkaz.

- Zrozumiałem.

- Goniec Dwa, melduj.

- Wszystkie cele w głównym pomieszczeniu, zakładniczki bez opieki, z wyjątkiem kobiety w oknie.

- Zrozumiałem - rzekł Tremain. - Grupy A i B, jaki stan?

- Grupa A do bazy. Załadowane, odbezpieczone.

- Grupa B, załadowane, odbezpieczone.

Tremain wsparł but o kamień i ukląkł na jedno kolano. Utkwił oczy w Handym. Wyglądał jak sprinter czekający na sygnał startera. I za kilka minut rzeczywiście miał się zmienić w biegacza, szybszego od wiatru.

- Zrobione - zawołał Tobe, po czym dodał: - Przynajmniej teoretycznie.

Potter potarł dłoń. Przełożył telefon do drugiej ręki, po czym zadzwonił do Handy'ego i poinformował go, że jest zgoda na lot. Podał mu numer biura Urzędu Lotnictwa.

- Jak się nazywa ten gość? - warknął Handy. - Z kim mam rozmawiać?

- Don Creswell - odparł Potter. Tak się nazywał mąż jego kuzynki Linden. LeBow zanotował nazwisko na tablicy, której część „Blef” była już niemal pełna.

- Zobaczymy, Art. Zadzwoń. Dziewczyna będzie stała tuż obok mnie i z moim wielkim gnatem przy głowie, dopóki nie będę zadowolony.

Trzask.

Potter odwrócił się i spojrzął na monitor Tobe'ego.

- Musisz to zrobić, Henry - powiedział. - Zna mój głos.

LeBow skrzywił się.

- Mogłeś mi dać trochę czasu na przygotowania, Arthurze.

- Nie tylko tobie.

Chwilę później Tobe powiedział:

- Połączenie z rzeźni... nie do nas... cyfry... jeden, dziewięć zero trzy, pięć pięć pięć, jeden dwa jeden dwa. Informacja telefoniczna w Topece.

Usłyszeli głos Handy'ego, który pytał o numer regionalnego biura Urzędu Lotnictwa. Dyżurny podał mu numer. Potter odetchnął z ulgą.

- Miałeś rację - rzekł Budd. - Nie ufa ci.

- Koniec połączenia - szepnął bez potrzeby Tobe. - Połączenie z rzeźni do Topeki, przeniesione z łącza międzymiastowego do... wskazał telefon na biurku, który zaczął dzwonić. - Kurtyna w górę.

LeBow nabrał powietrza i skinał głową.

- Zaraz - odezwał się gorączkowo Budd. - Przecież powinna odebrać sekretarka albo recepcjonistka.

- Cholera - rzucił Potter. - Jasne. Angie?

Siedziała najbliżej telefonu.

Trzeci dzwonek. Czwarty.

Skinęła energicznie głową i chwyciła słuchawkę.

- Federalny Urząd Lotnictwa - powiedziała lekkim tonem. - Czym mogę służyć?

- Chcę rozmawiać z Donem Creswellem.

- Chwileczkę. Kto mówi?

Śmiech.

- Lou Handy.

Zasłoniła dłonią mikrofon słuchawki, pytając szeptem:

- Jak mam go połączyć?

Tobe zabrał jej słuchawkę, stuknął w nią paznokciem i podał LeBowowi.

Potter mrugnął do Angie.

LeBow znów nabrał powietrza i powiedział:

- Creswell.

- Cześć, Don. Nie znasz mnie.

Chwila milczenia.

- To w pana sprawie dzwonił do mnie ten facet z FBI? Louis Handy?

- Tak, ten facet. Powiedz, to lipa, co mi nagadał? Lipa, nie?

Tęgi i dobroduszny LeBow odciął się ostro.

- Lipa, nie lipa, coś panu powiem. Mam tu piekło. Sześćdziesiąt samolotów co godzinę wchodzi w naszą przestrzeń powietrzną, a to znaczy, że trzeba zmieniać kurs co najmniej trzem czwartym z nich. I to same loty rejsowe. Na początku powiedziałem temu agentowi, że się nie da, ale był upierdliwy jak jasna cholera, jak całe FBI. Powiedział, że mi się dobierze do dupy, jak nie zrobię tego, co mi każe. No i co, lipa, nie lipa, muszę zrobić, co chce.

- Czyli co dokładnie?

- Nie mówił panu? Pozwolenie na lot do zachodniego Ontario z przywilejem M-4.

Doskonale, Henry, pomyślał Potter, nie odrywając wzroku od sylwetki Melanie.

- Co?

- To u nas klauzula bezwzględnej uprzywilejowania. Zastrzeżona dla samolotu prezydenckiego i przylatujących głów państw. Mówimy na to „pozwolenie papieskie”, bo dostaje je papież. Proszę posłuchać albo lepiej niech pan to sobie zapisze. Musi pan dopilnować, żeby pilot helikoptera wyłączył transponder. Pokaże panu, gdzie to jest, i sam pan będzie mógł go wyłączyć albo rozbić czy coś. Wtedy nie namierzemy was radarem.



- Bez radaru?  
- To część przywileju M-4. Robi się tak, żeby samolotu dostojnika nie wzięły na cel rakiety przeciwlotnicze.  
- Transponder. Coś chyba słyszałem. Ile będziemy mieli czasu?  
LeBow spojrział na Pottera, który pokazał mu osiem palców.  
- Dostaniecie korytarz na osiem godzin. Potem zrobi się za duży tłok i trzeba będzie zmienić plany lotów.  
- Dobra. Wystarczy.  
- Załatwiamy to. Wszystko powinno być gotowe za... zaraz sprawdzę.  
Potter uniósł dwa palce.  
- Za jakieś dwie godziny.  
- Gównu. Godzina maksimum, inaczej zabiję tę ślicznotkę, którą mam obok.  
- O, Boże, pan mówi pow... ? Oczywiście. Godzina. Ale muszę mieć pełną godzinę. Proszę, niech pan nikomu nie robi krzywdy!  
W głośniku rozległ się szyderczy śmiech Handy'ego.  
- Hej, Don, mogę cię o coś zapytać?  
- Oczywiście.  
- Jesteś teraz w Topece?  
W furgonetce zapadła cisza. Potter odwrócił się od okna i popatrzył na LeBowa.  
- Pewnie, a gdzie?  
Potter pstryknął palcami i wskazał komputer Henry'ego. Wywiadowca zdziwił się, ale zaraz skinął głową. Cicho wcisnął kilka klawiszy. Wyświetliła się informacja: „Ładowanie encyklopedii”. Komunikat zaczął migać.  
- Ładnie w tej Topece? - zapytał Handy.  
Ładowanie... ładowanie...  
Szybciej, pomyślał z rozpaczą Potter. Szybciej!  
- Mnie się podoba.  
Komunikat z ekranu zniknął i pojawił się na nim kolorowy tytuł encyklopedii. LeBow stukał w klawiaturę jak szalony.  
- Dawno tam mieszkasz?  
Ależ Handy jest spokojny, pomyślał Potter. Trzyma lufę w oku dziewczyny, ale nie tracąc zimnej krwi, wciąż myśli o wszystkim.  
- Jakiś rok - zmyślił na poczekaniu LeBow. - Jak się pracuje u Wujka Sama, przerzucają cię często z miejsca na miejsce. - Nagle jego palce zatrzymały się nad klawiszami. Wyświetlił się komunikat: „Błąd przy przeszukiwaniu”.  
Im pilniejsze zadanie...  
Henry znów zaczął stukać. Wreszcie na ekranie pojawiła się mapa z tekstem, a w rogu kolorowy zarys miasta.  
- Wyobrażam sobie. Jak tego agenta FBI, co do ciebie dzwonił. Andy'ego Palmera. Też musi sporo jeździć.  
LeBow nabrał powietrza, by odpowiedzieć, lecz Potter szybko nagryzmolił na kartce: „Nie reaguj na nazwisko”.  
- Cholera, pewnie tak.  
- Tak się nazywa, nie? Andy?  
- Chyba. Nie pamiętam. Podał mi tylko kod, żeby wiedział, że naprawdę jest z FBI.  
- Macie swoje kody? Jak szpiedzy?  
- No, ale powinienem zająć się już waszą sprawą.  
- Co za rzeka tam płynie?  
- Tu, w Topece?  
- Tak.  
LeBow nachylił się, czytając z ekranu notkę o mieście.  
- Ma pan na myśli rzekę Kansas? Tę, co przecina miasto na pół?  
- Tak. Kiedyś tam łowiłem. Mój wujek mieszkał w starej dzielnicy. Takie badziewiaste domki i brukowane ulice.  
Henry LeBow wychylał się tak daleko, że lada chwila mógł spaść z krzesła. Czytał jak szalony.  
- Aha, w Potwin. Szczęściarz z pańskiego wujka. Ładne domy. Ale ulice wcale nie są brukowane, tylko z cegły. - Na łysinie agenta perliły się srebrne, kropelki potu.

- Masz tam swoją ulubioną restaurację?

Chwila milczenia.

- U Denny'ego. Mam sześcioro dzieci.

- Sukinsyn - warknął Handy.

Trzask odkładanej słuchawki.

- Koniec połączenia - oznajmił Tobe.

LeBow patrzył na telefon. Drżały mu ręce.

W oknie stłoczyły się cztery głowy.

- Podziała? - mruknęła Frances.

Nikt nie odważył się odpowiedzieć na to pytanie. Tylko Charlie Budd się odezwał, ale zdołał tylko wykrztusić:

- O rany.

- Baza do Gońca Dwa.

- Goniec Dwa, zgłaszam się - szepnął porucznik Joey Wilson, stojący tuż pod oknem rzeźni, w cieniu autobusu szkolnego.

- Podaj lokalizację celów.

Policjant na moment uniósł przyczerzoną twarz i zajrzał do środka.

- Dwaj porywacze w głównym pomieszczeniu przy oknie. Handy trzyma na muszce jedną zakładniczkę. Ma glocka, a lufa znajduje się przy głowie dziewczyny. Nie mogę stwierdzić, czy broń jest odbezpieczona. Wilcox nie ma w ręku broni, ale ma glocka za pasem. Bonner ma półautomatycznego mossberga kalibru dwanaście. Ale znajduje się trzydzieści stóp od pomieszczenia, w którym są zakładniczki. Dobra sytuacja. Z wyjątkiem dziewczyny w oknie,

- Jesteś w stanie trafić Handy'ego?

- Nie. Jest schowany za rurami. Nie mam pozycji do czystego strzału. Bonner chodzi tam i z powrotem. Może uda mi się go namierzyć, nie wiem.

- Czekaj.

Dawno minął już termin ultimatum. Handy mógł w każdej chwili zastrzelić biedną kobietę.

- Goniec Jeden? Melduj.

- Goniec Jeden, jestem przy generatorze. Ładunek uzbrojony.

Boże, żeby tylko nie schrzanić, pomyślał Tremain, nabierając powietrza w płuca.

- Goniec Jeden? - powiedział do Pfenningera, który pewnie stał przyczajony obok generatora z przewodem detonatora L-210 w ręku.

- Goniec Jeden, zgłaszam się.

- Hasło...

- Goniec Dwa do bazy! - rozległ się napięty głos Wilsona. - Zakładniczka bezpieczna. Powtarzam, Goniec Dwa do bazy. Handy wycofał się. Odkłada broń. Bonner zabiera dziewczynę z powrotem do pozostałych zakładniczek.

Tremain spojrział w stronę okna, w którym nie było już dziewczyny.

- Bonner zostawił ją z zakładniczkami i wrócił do głównego pomieszczenia.

- Hasło „ogier” - powiedział Tremain. - Do Gońców i wszystkich grup, „ogier”, „ogier”, „ogier”. Potwierdzić odbiór.

Wszyscy potwierdzili.

Dan Tremain - doświadczony dowódca jednostki specjalnej, znany ze swoich zdolności do szybkiego myślenia - opanował się i zmówił cichą modlitwę do sprawiedliwego i miłosiernego Boga, dziękując Mu za ocalenie dziewczyny. Przede wszystkim dziękował jednak za dodatkowy czas, który chciał wykorzystać na przygotowanie szturm. Wierzył, że z Jego pomocą uwolni biedne owieczki z rąk krwawych barbarzyńców.

- Połączenie - powiedział Tobe. - Z rzeźni.

Potter odebrał dopiero po dwóch dzwonekach.

- Art?

- Lou, właśnie dzwonił Creswell.

- Powiedział mi, że jesteś kutas. Nawet nie wiedział, jak się nazywasz.

- Mam swoich wrogów. Większość wśród pracowników rządowych. Przykro mi to mówić. I co ze sprawą?

- Umowa stoi - rzekł wesoło Handy. - Masz jeszcze godzinę.

Potter milczał, rozmyślnie przeciągając ciszę.

- Art - powiedział niepewnie Handy. - Jesteś tam jeszcze?

Z ust negocjatora wyrwało się ciche westchnienie.

- Co jest? Zachowujesz się, jakby stało się coś niezwykłego.

- No...

- Powiedz, o co chodzi.

- Nie wiem, jak cię o to poprosić. Już się zgodziłeś dać nam dodatkową godzinę i...

Wypróbuj więc, myślał Potter. Co naprawdę sądzi o mnie Handy? Jak bardzo zdołaliśmy się do siebie zbliżyć?

- Proś, skoro musisz, Art. No już, kurwa.

- Creswell mówił, że uzyskanie zgody może się przeciągnąć do wpół do dziesiątej. Musi się porozumieć z Kanadą. Mówiłem, że musi się uwinąć w godzinę. Powiedział, że nie da rady tak szybko. Mam wrażenie, jakbym nie dotrzymał słowa...

I rzeczywiście, gdzieś w głębi serca czuł, że sprawia mu zawód - kłamiąc mu w żywe oczy z takim opanowaniem.

- Wpół do dziesiątej?

Długie wahanie.

- Kurwa, przeżyję to jakoś.

- Naprawdę, Lou? - zdumiał się Arthur Potter. - Wielkie dzięki.

- Wszystko dla mojego kumpla Arta.

Wykorzystaj jego dobry nastrój.

- Lou, mogę cię jeszcze o coś zapytać?

- Wal.

Mam nacisnąć czy nie?

Angie uważnie go obserwowała. Gdy ich oczy spotkały się, powiedziała bezgłośnie: „Śmiało”.

- Lou, może ją wypuścisz? Melanie?

Dobra, Art. Jestem w dobrym nastroju. Lecę do Kanady, więc możesz ją sobie wziąć.

Głos Handy'ego chłodem przypomniał stal.

- Czasami prosisz mnie o zbyt wiele, skurwielu. Nie powinienes tego robić.

Telefon umilkł.

Potter uniósł brwi, zdziwiony tym wybuchem. Ale po chwili wszyscy w furgonetce zaczęli się śmiać i klaskać. Potter odłożył słuchawkę i przyłączył się do ogólnej radości. Klepnął LeBowa w plecy.

- Świetna robota. - Spojrzał na Angie. - Oboje doskonale się spisaliście.

- Zasługujesz na Oscara - oświadczył Budd. - Tak jest, sam na pewno głosowałbym na ciebie.

- A M-4? - zapytał Potter. - Co to jest przywilej M-4?

- W zeszłym roku byłem z Doris w Anglii - wyjaśnił LeBow. - To był numer autostrady, o ile dobrze pamiętam. Nieźle brzmi, nie? - Był z siebie bardzo zadowolony.

- A rakiety przeciwlotnicze naprowadzane radarem? To było dobre - rzekł Budd.

- Lipa.

- O rany. Wszystko kupił.

Po chwili znów spowaźnieli. Potter spojrział przez okno na budynek, gdzie wciąż przetrzymywano sześć zakładniczek, które przynajmniej jeszcze przez jakiś czas były bezpieczne - jeżeli Handy dotrzyma słowa. Nagle wszyscy równocześnie ryknęli śmiechem, ponieważ Tobe Geller, czarodziej elektroniki, wyszeptał z nabożeństwem „pozwolenie papieskie”, żegnając się gestem bogobojnego katolika.

19.15

- No, Charlie, jakie wieści z frontu?

Budd stał w rowie obok furgonetki. Mocno przyciskał do ucha telefon komórkowy - jak gdyby się bał, że ktoś będzie podsłuchiwał. Roland Marks miał donośny, dudniący głos.

Zastępca prokuratora stanowego znajdował się w bazie na tyłach.

- Huśtawka, raz w górę, raz w dół - odparł Budd. - Agent Potter dokonuje naprawę nadzwyczajnych rzeczy.

- Nadzwyczajnych? - spytał z przekąsem Marks. - Może wskrzesił tę dziewczynę, co? Jak Łazarza?

- Udało mu się wyciągnąć jeszcze dwie zakładniczki i kupić kilka godzin. Jest...

- Ma pan dla mnie prezent, o który prosiłem? - spytał spokojnie Marks. Otworzyły się drzwi furgonetki i ukazała się w nich Angie Scapello.

- Jeszcze nie - odparł Budd, starając się, by kłamstwo zabrzmiało przekonująco. - Niedługo. Muszę kończyć.

- Chcę mieć taśmę w ciągu godziny. Zgłosi się do pana mój przyjaciel z prasy.

- Tak jest, w porządku - powiedział. - Porozmawiamy później.

Wcisnął przycisk, zwracając się do Angie:

- Ci szefowie. Czasem lepiej by było bez nich.

Agentka trzymała dwa kubki z kawą. Jeden wyciągnęła do niego.

- Z mlekiem, bez cukru. Może być? - zapytała.

- Agent LeBow dowiedział się z moich akt, co?

- Mieszkasz tu w okolicy, Charlie?

- Kupiliśmy z żoną domek jakieś piętnaście mil stąd.

Dobrze. Znow mógł wspomnieć o Meg.

- Ja mam mieszkanie w Georgetown. Tyle jeżdżę, że nie ma sensu kupować niczego na stałe. Poza tym mieszkam sama.

- Nigdy nie byłaś mężatką?

- Nie. Jestem starą panną.

- Akurat starą. Masz najwyżej dwadzieścia osiem.

Roześmiała się.

- Podoba ci się życie na wsi? - spytała Angie.

- Pewnie. Dziewczynki chodzą do dobrych szkół. Pokazywałem ci zdjęcia mojej rodziny?

- Tak, Charlie. Dwa razy.

- No więc mają dobre szkoły i dobre drużyny. Piłka nożna to dla nich całe życie. Poza tym nie jest drogo. Mam trzydzieści dwa lata i własny dom na czterech akrach. Na Wschodnim Wybrzeżu raczej bym nie mógł sobie na to pozwolić. Przyjechałem raz do Nowego Jorku i kiedy się dowiedziałem, ile ludzie płacą za mieszkania...

- Jesteś wierny żonie, Charlie? - Utkwiła w nim swe ciepłe, brązowe oczy.

Przełknął kawę, na którą zupełnie nie miał ochoty.

- Tak, jestem. Szczerze mówiąc, chciałem z tobą porozmawiać. Myślę, że jesteś bardzo interesującą osobą i twoja pomoc tutaj jest naprawdę bardzo cenna. Musiałbym też być ślepy, żeby nie zauważyć, że jesteś bardzo piękna...

- Dziękuję, Charlie.

- Ale nie potrafię zdradzić nawet w myślach, jak tamten prezydent - jak mu było, Jimmy Carter? Nie pamiętam. - Wszystko to już przećwiczył i denerwował się, że co chwilę przełyka ślinę. - Jasne, Meg i ja mamy swoje problemy. Ale kto nie ma? Kłopoty to część każdego związku i trzeba je pokonać, tak samo jak razem przeżywa się dobre czasy. - Nagle przerwał, zupełnie zapominając końcówki swojej przemowy, więc zaimprovizował: - Właśnie to chciałem ci powiedzieć.

Angie podeszła bliżej i dotknęła jego ramienia. Potem uniosła twarz i pocałowała go w policzek.

- Bardzo się cieszę, że mi to mówisz, Charlie. Moim zdaniem najważniejszą cechą każdego związku jest wierność. Lojalność. Nieczęsto się to dzisiaj spotyka.

Przez moment się zawahał.

- Chyba masz rację.

- Pojadę do motelu spotkać się z dziewczynkami i ich rodzicami. Chciałbyś pojechać ze mną? - Uśmiechnęła się. - Jako przyjaciel i współpracownik ze sztabu akcji?

- Chętnie. - Ku wielkiej uldze Budda nie wsunęła mu ręki pod ramię, kiedy poszli do furgonetki. Powiedzieli Potterowi, gdzie będzie ich mógł znaleźć, a potem skierowali kroki do radiowozu, który miał ich zawieźć do położonego niedaleko Days Inn.

Siedziały w ubojni, w przedsionku piekła. Wszystkie miały twarze mokre od łez.

To, co się teraz rozgrywało - ledwie kilka stóp od nich - przeszło ich najgorsze wyobrażenia. Oby skończyło się jak najprędzej, myślała Melanie, bezgłośnie błagając o to gestami drżących palców. Na litość boską.

- Nie patrzcie - poleciała wreszcie dziewczynkom. Ale wszystkie patrzyły - żadna nie potrafiła odwrócić oczu od tego straszego spektaklu.

Niedźwiedź leżał na pani Harstrawn, która miała rozpiętą bluzkę i spódnicę podciągniętą wyżej pasa. Melanie jak sparaliżowana obserwowała jego podskakujący goły tyłek. Patrzyła, jak jego ręce ugniatały jedną pierś pani Harstrawn, białą jak napięta skóra potężnego mężczyzny. Patrzyła, jak ją całuje, wsuwając jej na siłę język w usta.

Przerwał na moment i obejrzał się przez ramię na swoich kompanów. Brutus i Gronostaj siedzieli przed telewizorem, popijając piwo. Śmiali się. Jak ojciec i brat Melanie, siadający w niedzielę przed telewizorem, jak gdyby to małe czarne pudełko było czarodziejskim przedmiotem, które pozwala im ze sobą rozmawiać. Niedźwiedź odwrócił się, chwycił panią Harstrawn pod kolana i uniośł jej nogi. Znow zaczął niezgrabnie podrygiwać.

Melanie zdołała się w końcu uspokoić.

Uznała, że już czas. Nie mogły dłużej czekać. Nie odrywając wzroku od zamkniętych oczu Niedźwiedzia, napisała parę słów w notesie, który wcześniej wydarł jej z rąk Brutus. Wyrwała kartkę, starannie ją złożyła i wsunęła do kieszeni Anny. Dziewczynka uniosła głowę. Jej siostra bliźniaczka również.

- Idźcie do rogu - poleciała na migi Melanie. - Tam gdzie stoi kanister.

Nie chciały. Panicznie bały się Niedźwiedzia i strasznej rzeczy, którą robił ich nauczycielce. Ale wymowność gestów Melanie i stanowczość w jej oczach sprawiły, że bliźniaczki posłusznie ruszyły w stronę rogu pomieszczenia. Melanie kazała im wziąć sweter pani Harstrawn.

- Zawiążcie go na kanistrze. Idźcie...

Nagle Niedźwiedź zerwał się z nauczycielki i zwrócił się w stronę Melanie. Jego zakrwawiony sztywny organ połyskiwał czerwonofioletowo. Intensywny zapach zmieszanych woni potu, piżma i kobiecych soków spowodował u niej silne mdłości. Krocze Niedźwiedzia znajdowało się naprzeciw jej twarzy. Wyciągnął dłoń, by dotknąć jej włosów.

- Przestań z tym pieprzonym machaniem... - Jego ręce zaczęły nieudolnie naśladować język migowy.

Melanie rozumiała jego reakcję. Była typowa. Ludzie zawsze się bali języka migowego. Dlatego tak bardzo chcieli zmusić głuchych do mówienia, żeby przestali posługiwać się językiem migowym, który stanowił tajemny szyfr, atrybut sekretnego stowarzyszenia.

Wolno skinęła głową, jeszcze raz spoglądając na sterczący członek.

Niedźwiedź wrócił do pani Harstrawn, ścisnął jej piersi, rozsunął nogi i ponownie wbił się w nią. Kobieta uniosła dłoń w śmiesznym geście protestu. Odtrącił rękę.

Bez znaków migowych...

Jak będzie rozmawiać z dziewczynkami? Jak powie bliźniaczkom, co mają zrobić?

Przypomniała sobie jednak własny język, który wymyśliła, mając szesnaście lat, gdy ryzykowała, że dostanie po łapach od nauczycieli - których większość pochodziła ze świata Innych - za używanie języka migowego w szkole Laurenta Clerca. Był to prosty system, na który wpadła, obserwując Georga Soltiego, dyrygenta. W muzyce metrum i rytm były w równym stopniu częścią utworu jak melodia; Melanie trzymała ręce blisko podbródka i mówiła do swoich koleżanek

kształtem i rytmem ruchów palców oraz mimiką. Pokazała wszystkim swoim uczennicom podstawy tego języka - kiedy porównywała różne systemy -lecz nie wiedziała, czy bliźniaczki pamiętają je na tyle dobrze, by zrozumieć.

Nie miała jednak wyboru. Uniosła dłonie i zaczęła rytmicznie poruszać samymi palcami.

Anna z początku nie zrozumiała i zaczęła odpowiadać w amerykańskim języku migowym.

- Nie - poinstruowała ją Melanie, marszcząc znacząco brwi. - Bez znaków migowych.

Przekazanie wiadomości było teraz najważniejsze, bo dzięki temu miała nadzieję ocalić przynajmniej bliźniaczki, a może jeszcze jedną dziewczynkę - biedną chorą Beverly albo Emily, której szczupłe białe nogi łakomie oglądał Niedźwiedź, zanim przyciągnął do siebie Donnę Harstrawn i rozłożył jej nogi gestem głodnego, otwierającego paczkę z jedzeniem.

- Weźcie kanister - mówiła w swoim oszczędnym języku Melanie. - Zawiążcie na nim sweter.

Po chwili dziewczynki zrozumiały i ruszyły do rogu. Drobne rączki zaczęły owijać kanister kolorowym materiałem.

Po chwili kanister był już otulony swetrem.

- Wyjdźcie tylnymi drzwiami. Tymi po lewej. Wiatr od rzeki wydmuchał spod nich kurz.

- Boimy się.

Melanie skinęła głową, lecz była uparta.

- Musicie.

Nieznaczone kiwnięcie dwu główek. Przejmująco smutne. Siedząca obok Melanie Emily zadrżała. Dziewczynka była przerażona. Melanie wzięła jej rękę i trzymając ją za plecami, by nie zauważył Niedźwiedź-, przeliterowała jej:

- B-ę-d-z-i-e-s-z n-a-s-t-ę-p-n-a. N-i-e m-a-r-t-w s-i-ę.

Emily kiwnęła głową. Melanie powiedziała do bliźniaczek:

- Idźcie za zapachem rzeki. - Poruszyła nozdrzami. - Rzeka. Wąchajcie.

Dziewczynki znów skinęły głowami.

- Trzymajcie się swetra i skaczcie do wody.

Obie energicznie potrząsnęły przecząco głowami.

Melanie spiorunowała je wzrokiem.

- Tak!

Potem Melanie spojrzała na starszą nauczycielkę i z powrotem na dziewczynki, tłumacząc w ten sposób, co może je spotkać. Wtedy bliźniaczki zrozumiały. Anna zaczęła pochlipywać.

Melanie nie mogła na to pozwolić.

- Przestań! Idźcie już.

Bliźniaczki stały za Niedźwiedziem. Żeby je zobaczyć, musiałyby wstać i odwrócić się.

Bojąc się użyć rąk, Anna nieśmiało pochyliła się i rękawem otarła twarz. Obie równocześnie pokręciły przecząco głowami.

Melanie zaryzykowała i szybko powiedziała w normalnym języku migowym:

- Tam jest opat de l'Epee. Czeka na was.

Niedźwiedź miał zamknięte oczy i nie zauważył jej gestów.

Dziewczynki otworzyły szeroko oczy.

De l'Epee?

Zbawca Głuchych. Legenda. On był dla nich niczym Lancelot, król Artur. Jak sam Tom Cruise! Niemożliwe, żeby czekał na nie pod rzeźnią. A jednak Melanie miała tak poważną minę i tak się upierała, że musiały przystać na jej pomysł.

- Musicie go znaleźć. Dasz mu kartkę, którą włożyłam ci do kieszeni.

- Gdzie on jest? - spytała Anna.

- To starszy człowiek, grubszy. Ma siwe włosy, okulary i niebieską marynarkę.

Skinęły entuzjastycznie głowami (choć nie tak sobie wyobrażały legendarnego opata).

- Znajdźcie go i oddajcie mu kartkę.

Niedźwiedź spojrział na nią, więc Melanie nadal niewinnie unosiła rękę, jak gdyby ocierała zaczerwienione od płaczu oczy, które teraz były jednak suche.

Wrócił, do przerwanych ruchów, a Melanie cieszyła się w duchu, że nie słyszy świńskich pochrząkiwań, jakie na pewno dobywały się spomiędzy jego grubych warg.

- Gotowe? - spytała dziewczynki.

Oczywiście, że były gotowe; żeby spotkać swego idola, były gotowe wskoczyć w ogień. Melanie jeszcze raz zerknęła na Niedźwiedzia, któremu pot z czoła kapał prosto na policzki i rozkołysane piersi pani Harstrawn. Miał zamknięte oczy. Zbliżał się do końca - Melanie czytała kiedyś na ten temat, ale nie za bardzo rozumiała.

- Zdejmijcie buty. Powiedzcie de l'Epee, żeby był ostrożny.

Anna skinęła głową.

- Kocham cię - powiedziała na migi. Suzie powtórzyła to samo za siostrą.

Melanie wyjrzała przez drzwi. Brutus i Gronostaj wciąż siedzieli przed telewizorem na drugim końcu rzeźni. Dwa razy kiwnęła głową. Dziewczynki wzięły swoją boję z ubranego w sweter kanistra i zniknęły za rogiem. Melanie uważnie obserwowała Niedźwiedzia, by sprawdzić, czy bliźniaczki nie narobiły hałasu. Chyba udało im się zachować ciszę.

By odwrócić jego uwagę, pochyliła się i wytrzymując groźne spojrzenie grubasa, powoli i ostrożnie rękawem otarła jego pot z twarzy nauczycielki. Najpierw był zaskoczony jej gestem, a potem wpadł w złość. Pchnął Melanie na ścianę. Uderzyła głową w kafelki. Siedziała tam, dopóki nie skończył i legł na pani Harstrawn, ciężko dysząc. Wreszcie stoczył się z niej. Na udzie kobiety Melanie dostrzegła połyskującą plamę. I krew. Niedźwiedź ukradkiem zajrzał do sąsiedniego pomieszczenia. Udało mu się; Brutus i Gronostaj najwyraźniej nie zauważyli, co zrobił. Usiadł, zapiał brudne dżinsy i opuścił spódnice pani Harstrawn, niedbale zapinając jej bluzkę.

Schylając się, przybliżył twarz do twarzy Melanie. Udało się jej wytrzymać jego wzrok - było to straszne, ale za wszelką cenę musiała go powstrzymać od rozglądania się po ubojni.

- Ani słowa... tym, co... łaś... - wycedził.

Graj na zwłokę. Zyskaj więcej czasu dla bliźniaczek.

Pokręciła głową, marszcząc brwi.

Spróbował jeszcze raz, wypluwając z siebie te same słowa.

Znów potrząsnęła głową i pokazała swoje ucho. Rozzłościł się nie na żarty.

Wreszcie pokazała na zakurzoną podłogę. Napisał palcem: „Jak im powiesz, już nie żyjesz”.

Wolno skinęła głową.

Starł napis i pozapinał koszulę.

Czasem wszyscy, nawet Inni, są niemi, głusi i ślepi, jak umarli; dostrzegamy tylko tyle, ile pozwolą nam zobaczyć nasze żądze. To straszne i niebezpieczne kalectwo, ale czasami, tak jak teraz, może być dobrodziejstwem. Niedźwiedź wstał chwiejnie, wepchnął koszulę do spodni i rozejrzał się z widocznym zadowoleniem na poczerwieniałej twarzy. Po chwili wyszedł, nie zauważywszy, że w miejscu, gdzie siedziały bliźniaczki, są tylko dwie pary butów, a dziewczynki zniknęły, uciekając na wolność z tego potwornego miejsca.

Przez kilka lat byłam tylko Głucha.

Żyłam życiem Głuchej, głucho jadłam i oddychałam.

Melanie rozmawia z de l'Epee.

Uciekła do swojego pokoju muzycznego, ponieważ nie mogła znieść myśli o Annie i Suzie skaczących do Arkansas, ciemnej jak trumna. Tak będzie lepiej dla nich, powtarza sobie Melanie. Przypomina sobie, jak Niedźwiedź przyglądał się dziewczynkom. Cokolwiek się stanie, tak będzie lepiej dla nich.

De l'Epee poprawia się na krześle, pytając, co ma na myśli, mówiąc o byciu Głuchą.

- Ruch Głuchych zaczął działać u Laurenta Clerca, kiedy byłam w przedostatniej klasie szkoły średniej. Ruch Głuchych przez duże „G”. Skończyła się nauka mowy i czytania z ruchu warg, szkoła wreszcie zaczęła uczyć standardowego angielskiego języka migowego. Takie ustępstwo na odwal się. W końcu, gdy skończyłam szkołę, zgodzili się na amerykański język migowy.

- Interesują mnie języki. Opowiedz mi o tym. (Powiedziałyby coś takiego? To moja fantazja; tak, na pewno).

- Amerykański język migowy pochodzi z pierwszej szkoły dla głuchych założonej we Francji w latach sześćdziesiątych osiemnastego wieku przez twojego imiennika. Opata Charles'a Michela de l'Epee. Podobnie jak Rousseau wierzył, że istnieje pierwotny język ludzkości. Trwały, absolutnie zrozumiały i czysty. W którym można bezpośrednio wyrazić wszystkie emocje i tak jednoznaczny, że nie sposób w nim skłamać ani nikogo oszukać.

Słyszając to, de l'Epee uśmiecha się.

- Uzbrojeni we francuski język migowy Głusi urosli w siłę. Na początku dziewiętnastego wieku do Ameryki przyjechał nauczyciel ze szkoły de l'Epee, Laurent Clerc, i razem z Thomasem Gallaudetem - pastorem z Connecticut - założyli w Hartford szkołę dla głuchych. Używano tam francuskiego języka migowego, ale zaczął się mieszać z miejscowymi systemami - zwłaszcza z dialektem z Martha's Vineyard, gdzie wiele osób było dziedzicznie obciążonych głuchotą. Tak powstał amerykański język migowy. To on przede wszystkim pozwolił Głuchym prowadzić normalne życie. Widzisz, zanim dziecko skończy trzy lata, musi opanować język - mówiony albo migowy. Inaczej w pewien sposób zostanie opóźnione w rozwoju.

De l'Epee patrzy na nią z cieniem drwiny.

- Wydaje mi się, że dokładnie się tego nauczyłaś.

Melanie kwituje to śmiechem.

- Kiedy w szkole zapanował amerykański język migowy, zaczęłam żyć ruchem Głuchych. Nauczyłam się dogmatów ruchu. Przede wszystkim dzięki Susan Phillips. To było niesamowite. Susan była jednocześnie moją uczennicą i nauczycielką. Zobaczyła kiedyś, jak próbuję czytać z ruchu czyichś ust i moje oczy latają w górę i w dół. Podeszła do mnie i powiedziała: „Pojęcie «słyszający» ma dla mnie tylko jedno znaczenie. Jest przeciwieństwem mnie”. Zawstydziałam się. Później mówiła mi, że termin „słabo słyszający” jest dla nas nie do przyjęcia, bo definiuje nas według pojęć świata Innych. Jeszcze gorsi są „czytający z ruchu warg”, ponieważ ci chcą uchodzić za słyszających. Nie ujawniają się. Gdy ktoś czyta z ruchu warg, mówiła Susan, musimy go „ratować”.

- Wiedziałam, o czym mówi, ponieważ przez wiele lat próbowałam udawać osobę słyszącą. Jest zasada „planuj z wyprzedzeniem”. Zawsze myśleć o tym, co będzie, przewidywać, o co cię spytają, prowadzić ludzi w pobliże zatłoczonych i głośnych ulic, żeby mieć pretekst do proszenia ich, by krzyczeli albo powtarzali to, co mówią.

- Jednak kiedy poznałam Susan, zerwałam z tym wszystkim. Tępiłam czytanie z ruchu ust, byłam przeciw ujednoliceniu kształcenia. Uczyłam języka migowego. Zostałam poetką i występowałam w teatrach dla głuchych.

- Poetką?

- Chciałam zastąpić czymś muzykę, a poezja wydawała mi się do tego najlepsza.

- Jak wyglądają wiersze w języku migowym? - pyta.

Tłumaczy mu, że rymy, zamiast na podobieństwie dźwiękowym, polegają na podobieństwie ułożenia dłoni oznaczającego ostatnie słowo w wersie w stosunku do znaków oznaczających ostatnie słowa w poprzednich wersach. Melanie recytuje:

Osiem ptaszków drży w ciemnościach.  
Chłodny wiatr wieje, odeszło już ciepło.  
Rozpościerają swe szare skrzydełka  
I odlatują w gęste obłoki.

„Ciemności” i „ciepło” oznacza zbliżony gest, z wewnętrzną stroną dłoni zwróconą do siebie. „Skrzydła” i „obłoki” pokazuje się podobnymi ruchami rąk unoszonych od ramion w górę.

De l'Epee słucha zafascynowany. Przygląda się, jak Melanie deklamuje jeszcze kilka swoich wierszy. Co wieczór poleruje paznokcie śmietanką o migdałowym zapachu, więc są gładkie i błyszczące jak wyszlifowane kamienie. Przerwała w pół wersu i zamyśliła się.



- Wszędzie działałam - mówi. - W Narodowym Stowarzyszeniu Niesłyszących, w Centrum Dwóch Kultur, w Narodowym Stowarzyszeniu Niesłyszących Lekkoatletów.

De l'Epee kiwa głową. Chciałaby, żeby i on jej o sobie opowiedział. Jest żonaty? Czy ma dzieci? Jest starszy, niż się wydaje, czy młodszy?

- Widzę całą swoją dotychczasową karierę. Miałam być pierwszą kobietą zarządcą farmy.

- Farmy?

- Możesz mnie pytać o uprawę kukurydzy, o bezwodny mocznik. Chcesz dowiedzieć się czegoś o pszenicy? Pszenica czerwona pochodzi z rosyjskich stepów. Ale jej nazwa nie ma nic wspólnego z polityką - w Kansas, nie ma o tym mowy. Ma po prostu taki kolor. „Bursztynowe fale zboża...”. Możesz mnie pytać o korzyści siewu bez orania albo jak wypełnić sprawozdanie finansowe dla UCC, by dodatkowo zabezpieczyć uprawy, które jeszcze nie weszły. „Zwiększenie areału oraz akcesoria wyżej wymienionego gospodarstwa...”.

Wyjaśniła, że jej ojciec był właścicielem sześciuset sześćdziesięciu akrów położonych w środkowopółdniowym Kansas. Był szczupły i miał w sobie zmęczenie, które często mylnie brano za surowość. Nie cierpiał na brak chęci do pracy, lecz brak talentu, który sam nazywał łutem szczęścia. I przyznawał - tylko przed sobą - że sam sobie nie poradzi. Oczywiście większość udziałów oddał synowi. Lecz dzisiejsze farmy to duże przedsiębiorstwa. Harold Charrol zamierzał uczynić swoimi współnikami oboje dzieci - syna Danny'ego i córkę Melanie, oddając im trzecią część udziałów i tworząc w ten sposób spółkę rodzinną.

Melanie niechętnie odnosiła się do tych planów, choć perspektywa pracy z bratem cieszyła ją. Spokojny chłopak wyrósł na zrównoważonego mężczyznę, zupełnie niepodobnego do rozgoryczonego ojca. Kiedy złamała się łopatką w hederze kombajnu, ojciec pomstował na los, stojąc bez ruchu i patrząc ze złością na zniszczone urządzenie, a Danny potrafił zniknąć na jakiś czas i wrócić z sześciopakami napojów i kanapkami i już po chwili mieli zaimprovizowany piknik. „Naprawimy sukinsyna wieczorem. Na razie jedzmy”.

Przez jakiś czas wierzyła, że takie życie może być całkiem przyjemne. Przeszła nawet kursy rolnicze i wysłała do „Silent News” artykuł na temat życia osoby niesłyszącej na farmie.

Ale potem, zeszłego lata, Danny miał wypadek i stracił zdolność i ochotę do pracy na roli. Charrol, który musiał mieć dziedzica, nie mając innego wyjścia, zwrócił się do Melanie. Była kobietą, co stanowiło większe upośledzenie niż utrata słuchu, ale przynajmniej miała wykształcenie i lubiła pracować.

Planował uczynić Melanie swoją jedyną współpracowniczką. Czemu nie? Odkąd skończyła siedem lat, jeździła razem z nim w klimatyzowanej kabinie Johna Deere'a, pomagając mu zmieniać biegi. Nakładała okulary ochronne, maskę i rękawice niczym wiejski chirurg, po czym napełniała zbiornik mocznikiem; siedziała obok ojca na zebraniach United Produce i jeździła z nim w specjalne miejsca przy drodze znane tylko wtajemniczonym, gdzie ukrywali się nielegalni imigranci, którzy dzień w dzień pracowali na czarno przy żniwach.

„Rozumiesz, to kwestia przynależności i tego, co robi Bóg, by ludzie zostawali tam, gdzie powinni. Twoje miejsce jest tutaj, możesz tu pracować i przez swój, hm, problem nie wpadniesz w żadne kłopoty. Wola boska. Będziesz więc w domu”.

Powiedz mu, myśli Melanie.

Tak! Jeśli nie mówiłaś nikomu, powiedz o tym de l'Epee.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczyna.

Kieruje na nią spokojny wzrok.

- Właściwie chcę się do czegoś przyznać.

- Jesteś za młoda, żebyś miała do czegoś się przyznawać.

- Po występie w teatrze w Topece nie chciałam od razu wracać do szkoły.

Chciałam pojechać do St. Louis zobaczyć się z bratem. Jutro ma operację.

De l'Epee kiwa głową.

- Ale przed wyjazdem zamierzałam zrobić coś jeszcze w Topece. Byłam z kimś umówiona na spotkanie.

- Powiedz.

Powinna powiedzieć? Tak? Nie?

Tak, postanawia. Musi. Ale kiedy już, już zaczyna mówić, nagle coś jej przeszkadza.

Zapach rzeki?

Wibracja zbliżających się kroków.

Brutus?

Zaniepokojona otworzyła oczy. Nie, nic nie ma. W rzeźni panował spokój. W pobliżu nie było żadnego z trzech napastników. Zamknęła oczy, próbując wrócić do pokoju muzycznego. Ale de l'Epee już tam nie było.

- Gdzie jesteś? - zawołała. Ale zorientowała się, że choć jej usta się poruszają, nie słyszy już słów.

Nie! Nie chcę, byś odszedł. Wróć, proszę cię...

Melanie zdała sobie sprawę, że z pokoju nie wypłoszył ich wcale wiatr od rzeki; to była jej wina. Znowu zamknęła się w sobie, zawstydzona, nie mogąc się zdobyć na wyznanie.

Nawet przed człowiekiem, który pragnął słuchać wszystkiego, co chciała powiedzieć, o największych głupstwach i najbardziej strzeżonych tajemnicach.

W odległości pięćdziesięciu jardów dostrzegli błysk światła.

Joe Silbert i Ted Biggins szli cicho przez pole wzdłuż lewego boku rzeźni. Silbert wskazał światło - odbłysk blasku wielkich halogenów odbity od lornetki albo jakiegoś elementu wyposażenia bojowego ludzi z jednostki antyterrorystycznej.

Biggins marudził, że światła są za ostre.

- Chcesz, żebym do nich poszedł i kazał je zgasić? - spytał szeptem Silbert. Strasznie chciało mu, się palić. Szli dalej między drzewami, aż znaleźli się na otwartej przestrzeni. Silbert spojrział przez kamerę, wciskając zoom. Zobaczył, że policjanci z jednostki specjalnej zbili się w gromadę na porośniętym wznesieniu, skąd rozciągał się widok na rzeźnię. Jeden z funkcjonariuszy - ukryty za autobusem szkolnym - stał przy samej rzeźni, skulony pod oknem.

- Cholera, dobrzy są - szepnął Silbert. - Jeden z najlepszych oddziałów, jakie widziałem w akcji.

- Pieprzone światła - mruknął Biggins. - Chodźmy dalej.

Kiedy przecinali puste pole, Silbert szukał oddziałów patrolowych.

- Myślałem, że wszędzie będziemy mieli opiekunów.

- Te światła to o kant dupy potłuc.

- Za łatwo idzie - mruknął Silbert.

- Boże. - Biggins patrzył w górę.

- Bomba - szepnął Silbert, śmiejąc się cicho.

Obaj mężczyźni patrzyli na wznoszący się przed nimi stary wiatrak.

- Nareszcie światła nie będą przeszkadzać - powiedział Biggins jak zacięta płyta.

Czterdzieści stóp nad ziemią. Będą mieli fantastyczny widok na całe pole. Uśmiechnięty Silbert zaczął się wspinać. Na szczycie stanęli na chybotałej platformie. Wiatrak stał od dawna nieużywany i nie miał skrzydeł. Niebezpiecznie kołysał się na wietrze.

- Kołysanie będzie przeszkadzać?

Biggins wyciągnął z kieszeni składany jednonogi statyw i rozciągnął go, dokręcając śruby blokujące.

- Co na to poradzę? Myślisz, że noszę w kieszeni steadicam?

Widok był doskonały. Silbert zobaczył policjantów po lewej stronie rzeźni. Pomyślał nie bez uznania o agencie Potterze, który patrząc mu w oczy, twierdził z przekonaniem, że szturm nie będzie. Było jasne, że bliski atak jest nieuchronny.

Silbert wydobyl z kieszeni mały mikrofon z gąbkową osłoną. Z telefonu komórkowego, którego sygnał był kodowany, zadzwonił do wozu transmisyjnego znajdującego się na tyłach, w pobliżu namiotu prasowego.

- Ty złamasie - powiedział do Kelloga, który odebrał. - Miałem nadzieję, że skopią ci tyłek.

- Nie, powiedziałem temu gliniarzowi, że mogą posunąć twoją starą, to mnie wypuścił.

- Tamci są przy stoliku?

- Tak.

W rzeczywistości Silbert nie powiedział żadnemu z reporterów o umowie o agencyjnym zbieraniu informacji. On, Biggins, Kellog i Bianco oraz dwóch dziennikarzy, którzy siedzieli teraz przy stoliku, udając, że piszą na wypatroszonym compaą artykuły - wszyscy pracowali w KFAL w Kansas City.

Biggins podłączył mikrofon do kamery i rozłożył antenę paraboliczną. Przyczepiwszy ją do poręczy wiatraka, zaczął mówić do mikrofonu:

- Raz, dwa, raz...

- Skończ z tymi pierdołami, Silbert. Dasz nam jakiś obraz?

- Ted ustawia poziom. - Silbert pokazał na antenę i Ted zaczął ją regulować. - Przełączam się na radio - rzekł reporter, biorąc mikrofon i wpychając do lewego ucha słuchawkę.

Po chwili Kellog powiedział:

- Jest. Pięć na pięć. Jezu Chryste, ale obraz. Gdzie wy, kurwa, jesteście? W helikopterze?

- Zawodowcy znają się na rzeczy - odparł Silbert. - Dobra, dawajcie mnie na antenę. Jestem gotowy. Żebyśmy zdążyli, zanim nas zastrzelą.

Usłyszał w słuchawce trzask, szum zakłóceń i po chwili przerwana w pół kwestii reklamę Toyoty.

- A teraz łączymy się z Crow Ridge w stanie Kansas - zapowiedział baryton prowadzącego. - Uciekinierzy z więzienia porwali i przetrzymują kilka uczennic i dwie nauczycielki ze szkoły dla niesłyszących Laurenta Clerca. Relację na żywo z miejsca dramatu przeprowadzi Joe Silbert z Kanału 9. Łączymy się z tobą, Joe.

- Ron, widzimy teraz rzeźnię, w której porywacze przetrzymują grupę zakładniczek. Jak państwo mogą zauważyć, budynek otoczyły setki policjantów. Ustawiono kilka reflektorów halogenowych, których ostre światło skierowano w okna rzeźni, prawdopodobnie po to, żeby uniemożliwić napastnikom strzelanie do policji.

Jednak ani światła, ani obecność funkcjonariuszy nie były w stanie zapobiec śmierci zakładniczki, która zginęła sześć godzin temu właśnie na tym polu. Od jednego z policjantów dowiedziałem się, że dziewczynka została uwolniona i szła przez trawę, wracając do rodziny i przyjaciół, gdy nagle napastnicy strzelili jej w plecy. Tak jak mówiłeś, Ron, dziewczynka była głucha i zdaniem mojego rozmówcy błagała w języku migowym o pomoc i dawała znaki swojej rodzinie, że ją kocha.

- Joe, czy ustaliłeś tożsamość tej dziewczynki?

- Nie, jeszcze nie, Ron. Dowodzący akcją bardzo niechętnie udzielają nam informacji.

- Ile zakładniczek zostało porwanych?

- W tym momencie w środku pozostają cztery dziewczynki i dwie nauczycielki.

- A więc kilka udało się uwolnić?

- Zgadza się. Do tej pory uwolniono trzy w zamian za spełnienie żądań porywaczy. Nie wiemy, na jakie ustępstwa zgodzili się dowodzący akcją.

- Joe, co możesz nam powiedzieć o widocznych na ekranie policjantach?

- Są to członkowie elitarniej jednostki antyterrorystycznej policji stanowej Kansas. Nie mamy żadnych oficjalnych informacji na temat planowanego odbicia zakładniczek, ale relacjonowałem już podobne wydarzenia i doświadczenie podpowiada mi, że szykują się do szturm.

- Co się może stać twoim zdaniem, Joe? Mam na myśli przebieg ataku.

- Trudno powiedzieć, ponieważ nie wiem dokładnie, w której części budynku przetrzymywane są zakładniczki, jakie jest uzbrojenie napastników i tak dalej.

- Mógłbyś podzielić się z widzami swoimi domysłami?

- Oczywiście, Ron - rzekł Silbert. - Chętnie.

Dał znak Bigginsowi, używając jednego z gestów, które kiedyś między sobą ustalili. Znak oznaczał: „Zbliżenie”.

Zabrali się do pracy od razu, ponieważ zupełnie nie wiedzieli, ile mają czasu do następnego terminu ultimatum.

Kapitan Dan Tremain porozumiał się z grupą Bravo i dowiedział się, że znaleźli odpowiednie drzwi, które można sforsować - w pobliżu przystani z tyłu rzeźni - ale znajdowały się w polu widzenia uzbrojonych ludzi czuwających w skifie zakotwiczonym dwadzieścia jardów od brzegu rzeki.

- Jeżeli podejdziemy bliżej, zobaczą nas.
- Nie ma innego dostępu do drzwi?
- Nie.

Goniec Dwa miał jednak dobre nowiny. Zaglądając do wnętrza rzeźni, Joey Wilson obejrzał przeciwną ścianę - z południowo-wschodniej strony - i stwierdził, że naprzeciwko drzwi przeciwpożarowych, które zamierzała sforsować grupa Alfa, znajduje się dość duża powierzchnia białej jak położonego tynku. Zastanawiał się, czy nie ma pod nim drugich drzwi. Wstępne rozpoznanie z zewnątrz nie potwierdziło jego podejrzeń. Tremain wysłał innego człowieka pod przystanią na drugą stronę budynku. Dostał się do miejsca, o którym mówił Wilson, i zameldował, że istotnie są tam drzwi - niewidoczne, bo oplecione bluszczem.

Tremain polecił mu przewiercić drzwi za pomocą wytłumionego dremela wyposażonego w długie i cienkie tytanowe wiertło do pobierania próbek. Badając wyciętą próbkę, odkryli, że drzwi mają grubość zaledwie jednego cala, są nadgniłe i przeżarte przez termyty i mrówki. Między drzwiami a warstwą tynku, która miała grubość trzech ósmych cala, ziała szpara szerokości dwóch cali. Cała konstrukcja była więc o wiele słabsza niż drzwi po drugiej stronie. Kilka ładunków mogło załatwić sprawę.

Tremain był zachwycony. Lepsze to niż pokonywanie drzwi na przystań, bo wejście z dwu stron naraz umożliwiało natychmiastowe otwarcie ognia krzyżowego. Porywacze nie będą mieli szans odpowiedzieć ogniem. Tremain naradził się z Carfalem i na nowo podzielił oddział - tym razem na dwie grupy. Bravo przejdzie pod przystanią na południowo-wschodnią stronę rzeźni. Alfa zajmie pozycje przy wejściu północnym, bardziej z tyłu budynku, ale bliżej zakładniczek.

W momencie wejścia Alfa rozdzielił się na dwie grupy: trzech ludzi ruszy do zakładniczek, a trzech zaatakuje porywaczy, podczas gdy czteroosobowa grupa Bravo wejdzie od południa, zaskakując napastników od tyłu.

Tremain rozważał plan: podejda głębokimi rowami, wykorzystają element zaskoczenia, zaatakują granatami ogłuszającymi i świetlnymi, potem otworzą ogień krzyżowy. Dobry scenariusz.

- Baza do wszystkich grup i gońców. Zsynchronizujemy czas. Za chwilę zaczniemy odliczać czterdzieści pięć minut do rozkazu ataku, kiedy powiem „start”. Gotowi? Uwaga: pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, start.

Policjanci potwierdzili synchronizację.

Będzie...

Usłyszał przebijający się przez szum nerwowy głos:

- Dowódca Bravo do bazy. Mamy jakiś ruch. Od strony przystani. Ktoś ucieka.

- Zidentyfikować.

- Nie da rady. Wymykają się przez główne drzwi wychodzące na przystań. Nie widzę wyraźnie. Tylko że ktoś się porusza.

- Porywacz?

- Nie wiadomo. Przystań zasypana śmieciami.

- Zamontować tłumiki.

- Tak jest.

Policjanci mieli grube rury tłumików do swoich H&K. Przy opróżnianiu przynajmniej jednego albo dwóch magazynków będzie słychać tylko cichy szum, a przy wietrze ludzie w skifie nie usłyszą zapewne żadnego dźwięku.

- Namierzyć cel. Ogień półautomatyczny.

- Cel namierzony.

- Jak wygląda cel, Bravo?

- Naprawdę ciężko zobaczyć, ale ma czerwono-biało-niebieską koszulę.

Jestem chyba w stanie go zneutralizować, ale nie potrafię zidentyfikować. W każdym razie trzyma się blisko ziemi. Czekam na wskazówki.

- Jeżeli zidentyfikujesz porywacza, otwórz ogień.

- Tak jest.

- Trzymaj cel. I czekaj.

Tremain skontaktował się z Gońcem Dwa, który zaryzykował i zajrzał przez okno. Po chwili funkcjonariusz poinformował:

- Jeżeli ucieka porywacz, to musi być Bonner. Nie widzę go. Jest tylko Handy i Wilcox.

Bonner. Gwałciciel. Tremain z radością wymierzyłby mu karę w imieniu Boga.

- Dowódca Bravo, co z celem? Idzie do wody?

- Zaraz... tak, idzie. Właśnie wskoczył. Straciłem go. Nie, mam go znowu. Mam powiedzieć ludziom w łodzi? Przepłynię tuż obok nich.

Tremain zastanawiał się.

- Baza, zgłoś się.

Jeśli to Bonner, może uciec. Ale przynajmniej nie będzie go w środku podczas szturmów. Jedna osoba z głowy. Gdyby - choć to niemożliwe - była to zakładniczka, mogłaby utonąć. Prąd był tu wyjątkowo silny, a rzeka głęboka. Jednak żeby ją ratować, musiałyby ujawnić swoją obecność, co oznaczało odwołanie operacji i narażenie na niebezpieczeństwo pozostałych zakładniczek. Nie, pomyślał, to nie może być żadna z nich. Żadna mała dziewczynka nie mogła uciec trzem uzbrojonym mężczyznom.

- Nie, Bravo, nie informuj ludzi w łodzi. Powtarzam, nie informuj łodzi.

- Zrozumiałem, baza. Chyba jednak nie musimy się nim przejmować. Płynie prosto w środek nurtu. Wątpię, żebyśmy go jeszcze kiedyś zobaczyli.

3

Dopuszczalne ofiary

19.46

Co to jest?

Zastępca szeryfa Crow Ridge, Arnold Shaw, nie miał pojęcia i nic go to nie obchodziło.

Szczupły trzydziestoletni stróż prawa większą część swego krótkiego życia zawodowego spędził na łodziach. Wyprawiał się na sumy, łowił na troling szczupaki i okonie. Kilka razy jeździł nawet na nartach wodnych na jeziorze Ozarks. I nigdy nie miał takiego ataku choroby morskiej jak teraz.

Cholera. Co za męka.

Razem z Buzzym Marboro stali na kotwicy jakieś dwadzieścia jardów od brzegu rzeki, patrząc jak sroka w gnat w przystań z tyłu rzeźni, zgodnie z rozkazem ich szefa, Deana Stillwella. Wiało wyjątkowo paskudnie, nawet jak na Kansas, a płytki skif kołysał się i podskakiwał jak karuzela z wirującymi krzeselkami.

- Nie czuję się zbyt dobrze - wymamrotał Shaw.

- Tam - powiedział Marboro. - Popatrz.

- Nie chce mi się.

Jednak spojrzął tam, gdzie wskazywał Marboro. Dziesięć jardów w dół rzeki coś oddalało się od nich z nurtem. Obaj byli uzbrojeni w wysłużone krótkolufowe remingtony i Marboro wziął na cel podskakujący na fali kształt.

Jakiś czas temu od przystani dobiegł ich jakiś plusk, ale choć uważnie obserwowali wodę, nie zauważyli uciekających porywaczy.

- Gdyby ktoś wskoczył...

- Widzielibyśmy - mruknął Shaw, kuląc się przed wiatrem.

- ...teraz mógłby dopłynąć aż tam. Tam gdzie teraz jest to coś.

Cokolwiek to jest.

Shaw starał się zapomnieć o wczorajszej kolacji, na którą żona zrobiła mu zapiekankę z tuńczyka.

- Źle się czuję, Buzz. Powiedz, o co ci chodzi.

- Widzę rękę! - Marboro zaczął wstawać.

- O, nie, nie rób tego. I tak dość mamy kołysania. Nie podnoś tyłka. Tuńczyk, zupa grzybowa, groszek, a do tego wszystkiego smażona cebula z puszki.

Cholera, dłużej nie wytrzymam, zaraz rzygnę.

- Wygląda jak ręka i popatrz tam - czerwone i białe - niech to szlag, chyba uciekła jedna z zakładniczek!

Shaw odwrócił się i spojrzał na kształt tuż nad powierzchnią wzburzonej wody, który unosił się i opadał. Widział go co parę sekund. Nie potrafił jednak zidentyfikować. Wyglądało jak sieć rybacka, tyle że, jak zauważył Marboro, było biało-czerwone. Shaw stwierdził, że widzi też trochę niebieskiego.

Odpywało od nich prosto na środek rzeki, bardzo szybko.

- Nie widzisz ręki? - zapytał Marboro.

- Nie... czekaj. Rzeczywiście, jakby podobne do ręki. - Z ociąganiem, pokonując ciężenie znękanego żołądka, Arnie Shaw wstał. Uznał, że poczuł się przez to jakieś tysiąc razy gorzej.

- Nie widzę dobrze, może to gałąź.

- Nie wiem. Popatrz, jak szybko płynie. Niedługo będzie w Wichicie. - Shaw pomyślał, że od choroby morskiej woli wyrwanie zęba. Nie - dwóch zębów.

- Może porywacze wyrzucili to coś, żeby odwrócić naszą uwagę. Rzucimy się to ratować, a oni uciekną tylnym wyjściem.

- A może to zwykły śmieć - rzekł Shaw, siadając. - Słuchaj, co nam w ogóle przychodzi do głowy. Gdyby to były dziewczynki, chyba nie przepłynęłyby obok nas tak sobie, nie wołając o pomoc. Przecież mamy mundury. Widać, że jesteśmy zastępcami szeryfa.

- Jasne. Co mi przychodzi do głowy? - powiedział Marboro i też usiadł.

Jedna para czujnych oczu zwróciła się ponownie w stronę tyłu rzeźni. Druga para zamknęła się, a jej właściciel rozpaczliwie starał się opanować bulgotanie w żołądku.

- Umieram - szepnął Shaw.

Dziesięć sekund później otworzył oczy.

- A niech to szlag jasny - wycedził, prostując się raptownie.

- Też sobie przypomniałeś? - Marboro kiwał głową.

Rzeczywiście Shaw właśnie sobie przypomniał - że zakładniczki są głuchonieme i nie byłyby w stanie wołać o pomoc. Nawet gdyby przepływały tuż obok burty skifu.

Była to pierwsza przyczyna jego zaniepokojenia. Drugą był fakt, że sobie uświadomił, iż był mistrzem pływackim i trzy lata z rzędu wygrywał międzyuczelniane finały stanowe, podczas gdy Buzz Marboro potrafił przepłynąć najwyżej dziesięć jardów pieskiem.

Shaw zaczął głęboko oddychać - nie z powodu czekającego go skoku do wody, ale by uspokoić znękaną żołądek - zdejmując równocześnie broń, kamizelkę, hełm. Ostatni oddech. Skoczył na głowę w ciemną, wzburzoną wodę i silnie pracując ramionami, ruszył w kierunku tajemniczego kształtu, który nieubłagany nurt znosił prosto na południowy wschód.

Arthur Potter patrzył w okno, w którym pierwszy raz zobaczył Melanie.

Potem spojrzał w okno, w którym o mały włos jej nie zastrzelono.

- Chyba utknęliśmy - powiedział wolno. - Jeśli szczęście nam dopisze, uda się wyciągnąć jeszcze jedną czy dwie, ale na tym koniec. Potem zmusimy go do kapitulacji albo trzeba będzie napuścić na niego oddział HRT. Niech mi ktoś poda prognozę.

Potter miał nadzieję, że rozpęta się jakaś straszliwa burza i zyska pretekst, by opóźnić dostarczenie helikoptera.

Derek Elb przekręcił gałkę i włączył Weather Channel. Potter dowiedział się, że pogoda w nocy będzie wyglądać podobnie - wiatr i miejscowe przejaśnienia. Bez deszczu. Wiatr miał wiać z północnego zachodu z prędkością od piętnastu do dwudziestu mil na godzinę.

- Trzeba będzie trzymać się wersji, że wiatr przeszkadza w lądowaniu śmigłowca - rzekł LeBow. - Ale to też może być ryzykowne. Piętnaście mil na godzinę? W wojsku Handy latał pewnie hueyami, które lądowały przy dwa razy silniejszych wietrze.

W głośniku odezwał się głos Deana Stillwella, który jak zwykle lakonicznie poprosił o rozmowę z Henrym LeBowem.

- Tak? - odezwał się wywiadowca, pochylając się nad mikrofonem.

- Agent Potter mówił, żeby przekazywać ci wszystkie informacje na temat porywaczy.

- Zgadza się - przytaknął LeBow.

Potter wziął mikrofon i spytał, czego Stillwell się dowiedział.

- Jeden z policjantów może zajrzeć do środka, co prawda pod kątem, ale sporo widać. Powiedział, że Handy i Wilcox krążą po rzeźni i uważnie się rozglądają po całym budynku.

- Rozglądają się?

- Przesuwają rury i maszyny. Jak gdyby czegoś szukali.

- Domyślacie się czego? - zapytał LeBow.

- Nie. Myślałem, że sprawdzają miejsca na kryjówkę.

Potter skinął głową Buddowi, przypominając sobie, że to on wpadł na pomysł, że porywacze mogą się ubrać w uniformy ratowników podczas kapitulacji albo szturm jednostki specjalnej. Zdarzało się też czasem tak, że porywacze otwierali okno z tyłu budynku, a potem chowali się w różnych schowkach albo przestrzeniach obsługowych na dzień albo dwa, dopóki policjanci nie doszli do wniosku, że już dawno ich nie ma.

LeBow zanotował tę informację i podziękował szeryfowi. Potter powiedział:

- Chcę mieć pewność, że każdy ma zdjęcia porywaczy. Będziemy musieli powiedzieć Frankowi i HRT, żeby dokładnie przeczesał budynek, jeżeli to naprawdę wygląda na ucieczkę.

Znów usiadł na krześle, patrząc na budynek przetwórni.

- Przy okazji. - Z głośnika odezwał się ponownie Stillwell. - Zamówiłem jedzenie dla ludzi na polu, a Heartland lada chwila dostarczy wam kolację.

- Dziękuję, Dean.

- Heartland? W porządku - powiedział Derek Elb, szczególnie zadowolony z tej wiadomości.

Potter nie myślał jednak o jedzeniu. Jego uwagę zaprzętało coś o wiele poważniejszego - pytanie, czy powinien spotkać się z Handym, czy nie. Coraz bardziej goniły ich nowe terminy ultimatum, podejrzewał też, że Handy niecierpliwie się i lada chwila postawi jakieś niemożliwe żądanie. Być może przy spotkaniu oko w oko Potter będzie mógł go złamać łatwiej niż podczas rozmowy telefonicznej.

Myślał: może dzięki temu zobacze też Melanie.

Może będę miał okazję ją ocalić.

Jednak bezpośrednie spotkanie dowódcy akcji z porywaczem było najniebezpieczniejszą formą negocjacji. Oczywiście, istniało zagrożenie fizyczne; uczucia porywaczy wobec negocjatora, zarówno pozytywne, jak i negatywne, są skrajne. Często wierzą, czasem podświadomie, że jeśli zabiją negocjatora, zyskają władzę, jakiej nie zdobyliby w inny sposób, że wśród sił policyjnych zapanuje chaos lub miejsce negocjatora zajmie ktoś mniej twardy. Nawet gdyby nie doszło do użycia przemocy, istnieje niebezpieczeństwo, że w oczach porywacza negocjator straci autorytet i szacunek.

Potter oparł się o okno. Co w tobie siedzi, Handy? Co cię napędza?

Coś się musi dziać w tym twoim chłodnym umyśle.

Kiedy mówisz, słyszę ciszę.

Kiedy nie mówisz ani słowa, słyszę twój głos.

Kiedy się uśmiechasz, widzę... co? Co widzę? W tym właśnie kłopot. Nie wiem.

Otworzyły się drzwi i wewnątrz furgonetki wypełniła woń jedzenia. Młody zastępca szeryfa z Crow Ridge wniósł kilka pudełek pełnych plastikowych pojemników z jedzeniem i kartonowych z kawą.

Kiedy pudełka znalazły się na stole, Potter poczuł nagły przypływ apetytu. Spodziewał się typowo barowego żarcia bez smaku - gorących kanapek z wołowiną i galaretki owocowej. Lecz wykładając kolejne dania na stół, młody człowiek wyliczał:

- To mus wiśniowy, to pieczywo cebulowe, kiełbaski ziołowe, paszteciki z koźliny i jagnięce, marynowana pieczeń wołowa, ziemniaki z koperkiem.

- Heartland to słynna restauracja prowadzona przez menonitów - wyjaśnił Derek Elb. - Przyjeżdżają tam ludzie z całego stanu.

Przez następne dziesięć minut jedli w milczeniu. Potter próbował zapamiętać wszystkie potrawy, by po powrocie do Chicago opowiedzieć wszystko Linden. Kuzynka zbierała egzotyczne przepisy. Dopijał drugi kubek kawy, gdy nagle kątem oka dostrzegł, jak Tobe zastyga, słuchając radiowego komunikatu.

- Co? - powiedział zszokowany agent do mikrofonu. - Proszę powtórzyć, szeryfie.

Potter odwrócił się do niego.

- Jeden z ludzi Deana właśnie wyłowił z rzeki bliźniaczki!

Wszyscy obecni wstrzymali oddech z zaskoczenia, a po chwili wybuchnęli radością. LeBow zdjął z planu rzeźni dwie karteczki z nazwiskami dziewczynek i przykleił je z boku. Następnie wziął ich zdjęcia i odłożył razem z fotografiami Jocylyn, Shannon i Kielle do teczki z napisem „Uwolnione”.

- Badają je teraz lekarze, podejrzewają hipotermię. Poza tym nic im się nie stało. Człowiek Deana mówił, że wyglądają jak zmokłe kury, ale lepiej im tego nie powtarzać.

- Zadzwoń do hotelu - polecił Potter. - Trzeba poinformować rodziców. Słuchając kolejnych wiadomości, Tobe wybuchnął śmiechem.

- Już do nas jada, Arthur - powiedział. - Koniecznie chcą się z toba widzieć.

- Ze mną?

- Jeżeli to ty jesteś starszym mężczyzną w okularach i ciemnej marynarce. Tylko ich zdaniem nazywasz się de l'Epee... Potter pokręcił głową.

- Jak?

Frances parsknęła krótkim śmiechem.

- Opat de l'Epee. Twórca pierwszego powszechnie stosowanego języka migowego.

- Dlaczego tak się mam nazywać?

Frances wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Głusi uważają go za swojego patrona, niemal świętego.

Dziewczynki przyjechały pięć minut później. Urocze bliźniaczki, opatulone w kolorowe koce od samego Barneya (jeszcze jeden cud Stillwella), w ogóle nie przypominały już zmokłych kur. Patrzyły na Pottera z wielkim respektem, ale nie wydawały się przestraszone. W nieporadnym jeszcze języku migowym wyjaśniły przez Frances, jak dzięki Melanie uciekły z rzeźni.

- Melanie? - spytała Angie. Kiwnęła Potterowi głową. - Myliłam się. Zdaje się, że jednak masz w środku sojusznika.

Czy Handy wiedział, co zrobiła? Jak długo będzie tolerował jej opór, zanim ją skrzywdzi? I jak krwawa będzie tym razem zemsta?

Zamarł, gdy zobaczył, jak na twarzy Frances odmalowuje się przerażenie. Policjantka odwróciła się do niego, by przetłumaczyć relację dziewczynek.

- Małe niezwykle rozumieją, co się stało, ale moim zdaniem jeden z nich gwałcił nauczycielkę.

- Melanie? - spytał szybko Potter.

- Nie. Donnę Harstrawn.

- O, Boże, nie - powiedział cicho Budd. - I te dzieci to widziały?

- Bonner? - odezwała się Angie.

Twarz Pottera nie wyrażała nawet odrobiny udręki, jaką teraz przeżywał. Skinął głową. Oczywiście, to musiał być Bonner. Jego wzrok spoczął na zdjęciach Beverly i Emily. Obie młode, obie bardzo kobiece.

Potem spojrział na twarz Melanie.

Angie zapytała dziewczynki, czy to Handy kazał Bonnerowi położyć się na nauczycielce, czy może grubas zrobił to z własnej woli.

Frances przetłumaczyła:

- Niedźwiedź - tak nazywają Bonnera - kiedy to robił, cały czas się rozglądał. Jak gdyby nie chciał, żeby go na tym przyłapano. Dziewczynki myślą, że Brutus - Handy - byłby zły, gdyby go zobaczył.

- Czy Brutus był miły dla którejś z was? - zapytała bliźniaczki Angie.



- Nie, jest straszny. Patrzy tylko na nas takimi zimnymi oczami jak ktoś z komiksu Shannon. Pobił Melanie.

- Zrobił jej poważną krzywdę?

Jedna z dziewczynek pokręciła głową.

- Niedobrze - powiedziała Angie, spoglądając na plan rzeźni. - Zakładniczki i porywacze są dość blisko, ale nie zanoszą się na syndrom Sztokholm.

Im więcej o nich wiem, tym większą mam ochotę je zabić.

Potter spytał bliźniaczki o narzędzia i telewizor, ale nie potrafiły powiedzieć mu nic nowego. Potem jedna z nich podała mu małą kartkę. Papier zamókł, lecz można było przeczytać tekst zapisany wodoodpornym pisakiem, który przekazał im Derek.

- To od Melanie - powiedział Potter i zaczął czytać na głos: - „Drogi de l'Epee, tak dużo chciałabym ci napisać, ale nie ma czasu. Uważaj na Handy'ego. To zły człowiek - najgorszy na świecie. Powinieneś wiedzieć: Handy i Wilcox to przyjaciele. Handy nie cierpi Niedźwiedzia (grubego). Niedźwiedź jest nienasycony”.

LeBow poprosił go o kartkę, by wpisać wiadomość do komputera.

- Papier się rozpada - powiedział do niego Potter. Podyktował tekst, a Henry wstukał go do komputera.

Jedna z bliźniaczek wysunęła się do przodu i nieśmiało coś pokazała. Potter uśmiechnął się, spoglądając pytająco na Frances.

- Proszę o autograf - poinformowała go policjantka.

- Mój?

Jak na komendę skinęły głowami. Potter wyciągnął z kieszeni pióro - srebrzyste wieczne pióro, które zawsze przy sobie nosił.

- Spodziewają się podpisu „Opat de l'Epee” - dodała Frances.

- Ach, tak, oczywiście. Tak też się podpiszę. Każdej osobno.

Dziewczynki wzięły kartki, przyjrzały im się, a wychodząc, trzymały je ze czcią. Jedna przystanęła i powiedziała coś na migi do Frances.

- Melanie powiedziała coś jeszcze - przekazała policjantka. - Kazała panu uważać.

Strzeż się...

- Pokaż mi, jak w języku migowym powiedzieć: „Dziękuję. Jesteście bardzo dzielne”.

Frances pokazała i Potter nieudolnie powtórzył jej gesty. Dziewczynki uśmiechnęły się w identyczny sposób, po czym chwyciły się Frances, która miała je przekazać funkcjonariuszowi, a ten miał je zawieźć do Days Inn.

Budd usiadł obok Pottera.

- Po co Melanie nas o tym informuje? - zapytał, pokazując przemokłą kartkę. - O zachłanności Bonnera, o tym, że tamci dwaj się przyjaźnią?

- Bo myśli, że możemy to jakoś wykorzystać - odparła Angie.

- Co?

Potter spojrział na kawałek zamokłego papieru. Wiadomość była opatrzona podpisem: „Ściskam, Melanie C”. - i dlatego nie pokazał kartki Henry'emu. Złożył mokrą kartkę i wsunął do kieszeni.

- Sprawdź Bonnera - polecił LeBowowi Potter.

Wywiadowca zaczął czytać tekst na ekranie monitora. Ray „Sonny” Bonner prowadził nijakie życie. Siedział za przestępstwa na tle seksualnym, drobne kradzieże, przemoc domową, zakłócanie porządku publicznego. Był dość tępy, a jego działaniami kierowała przede wszystkim żądza. Był też kapusiem, dziesięć lat temu zeznawał w procesie o kradzież przeciw własnemu współnikowi.

Potter i Angie spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się.

- Doskonale.

Decyzja została podjęta. Potter nie spotka się oko w oko z Handym. Zarysował się nowy plan strategiczny. Owszem, bardziej ryzykowny, ale być może znacznie lepszy.

Charlie Budd zorientował się nagle, że Angie i Potter przyglądają mu się badawczo.

- Co myślisz, Henry? - spytał Potter.

- Powiedźcie... - zaczął niepewnie Budd.

- Moim zdaniem nadaje się idealnie - rzekł LeBow. - Prostolinijny, szczerzy. I ma miły baryton.

- Masz przed sobą poważne zadanie, Charlie - powiedział Potter.

- Ja? - Młody kapitan osłupiał. - A co niby miałbym robić?

- Przejmiesz negocjacje.

- Co?!

- I chcę, żebyś porozmawiał z Handym o kapitulacji.

- Tak jest - odparł Budd, po czym dodał: - Chyba żartujesz.

- Nadajesz się idealnie; Charlie - powiedziała Angie.

- W rozmowach z nim poruszyłem już ten temat - mówił Potter. - Teraz nadszedł czas pomówić o poddaniu się jako realnym wyjściu z sytuacji. Oczywiście nie zgodzi się. Ale zapamięta, że istnieje takie rozwiązanie i zacznie rozważać różne możliwości.

- Ale to jeszcze nie wszystko - powiedział LeBow, jak zwykle nie odrywając oczu od ekranu.

- Podwyższamy stawkę - rzekł Potter i zaczął coś notować w żółtym notesie.

- Wiesz, wydaje mi się, że nie będę w tym zbyt dobry.

- Udałaś kiedyś kogo innego? - spytała Angie.

- Na święta przebieram się za Świętego Mikołaja, żeby sprawić trochę radości dzieciakom, moim i brata. I tyle. Nigdy nie grałem na scenie, nawet nie miałem ochoty.

- Dam ci scenariusz. - Potter pomyślał przez chwilę, a potem wyrwał z notatnika kilka stron i zaczął pisać od nowa. Musiały to być bardzo szczegółowe notatki, bo zapisał gęsto dwie strony.

- Tu masz najważniejsze punkty. Taki szkic. Przeczytaj to, dobrze? Budd przebiegł wzrokiem tekst.

- Jasne, tylko myślę, że jeszcze nie jestem gotowy. Powinienem poćwiczyć czy coś.

- Nie ma czasu na ćwiczenia - oświadczył Potter. - Dam ci tylko kilka wskazówek na temat negocjacji.

- Mówisz poważnie?

- Posłuchaj, Charlie, skup się. Musisz szybko przełamać jego wątpliwości i przekonać go, żeby w to uwierzył. - Stuknął palcem w żółtą kartkę.

Twarz Budda znieruchomiała, kiedy kapitan zasiadł przy biurku, na którym spoczywał telefon komórkowy.

- Powtarzaj to, co on mówi. Na przykład, powie ci, że chce lody. Ty na to: „Lody, oczywiście”. Powie, że jest zły. Mówisz wtedy: „Jesteś zły?”. W ten sposób okazujesz mu swoje zainteresowanie, nie wyrażając żadnych ocen. To wytrąca go z równowagi i zmusza do zastanowienia. Ale trzeba to robić z umiarem, bo inaczej zrazisz go do siebie.

Budd skinął głową. Zaczął się obficie pocić.

- Musisz przyjąć do wiadomości jego uczucia, ale nie możesz ich podzielać - rzekła Angie.

- Zgadza się - przytaknął Potter. - To twój wróg. Nie sankcjonujemy przemocy i dlatego źle postępuje. Ale powinieneś mu wytłumaczyć, że wiesz, co czuje. Rozumiesz? Nie skacz z tematu na temat. Musisz mieć świadomość, jak brzmi twój głos i jak szybko mówisz. Od razu cię ostrzegam, że nabierzesz zbyt ostrego tempa. Staraj się mówić wolno i rozważnie. Odniesiesz wrażenie, jakbyś był pod wodą.

- Kiedy zadasz mu pytanie, a on nie odpowie - powiedziała Angie - nie przerywaj ciszy. Musisz być opanowany.

- Nie pozwól mu sobą manipulować. Zarówno celowo, jak i podświadomie będzie groził, mówił bardzo szybko albo milczał. Musisz po prostu cały czas myśleć o swoim celu. - Potter ponownie stuknął w kartkę, tym razem z poważniejszą miną. - Najważniejsze, żebyś nie pozwolił mu się sprowokować. Niech się wścieka, niech mówi najgorsze rzeczy, ty musisz pozostać niewzruszony. Niech się z ciebie śmieje. Niech cię obraża. Masz być ponad to. Po tobie to spływa, rozumiesz? - Potter pochylił się i szepnął: - Może mówić, że zabije wszystkie dziewczynki. Może nawet strzelić, żebyś pomyślał, że właśnie kogoś zabił. Może ci powiedzieć, że będzie je torturował albo gwałcił. Zignoruj to.

- Co mam mówić? - spytał z rozpaczą w głosie Budd. - Kiedy to powie, co mam mówić?

- Najlepiej w ogóle nic. Gdybyś się poczuł zmuszony do reakcji, powiedz po prostu, że to nie przyczyni się do rozwiązania sprawy.

- O rany.

Potter spojrział na zegarek.

- No, pora na przedstawienie. Gotów? - spytał Budda.

Młody kapitan skinął głową.

- Naciśnij jedynekę.

- Co?

- Na klawiaturze szybkiego wybierania - wyjaśnił Tobe. - Wciśnij jedynekę.

- I potem mam z nim rozmawiać?

- Rozumiesz scenariusz? - zapytał Potter.

Budd znów kiwnął głową. Potter wskazał telefon.

- O rany. - Kapitan sięgnął po telefon i wdusił przycisk.

- Jest połączenie - szepnął Tobe.

- Hej, co u ciebie, Art? - rozległ się głos z głośnika. Ton Handy'ego wydawał się protekcjonalny.

- Tu Charlie Budd. Lou Haudy?

- A kto ty jesteś, do kurwy nędzy?

Budd patrzył w leżącą przed nim kartkę.

- Jestem z biura prokuratora stanowego.

- O kurde.

- Chciałbym z tobą parę minut pogadać.

- Gdzie Art?

- Nie ma go tu.

- Co się, kurwa, dzieje?

Budd przełknął ślinę. No już, Charlie, pomyślał Potter. Nie ma czasu na tremę. Stuknął w leżący na biurku notatnik.

- Dzieje? - powtórzył kapitan. - Co masz na myśli?

- Chcę rozmawiać tylko z nim.

- Z kim?

- Z Artem Potterem. A co myślałeś?

Budd głęboko nabrał powietrza.

- A czemu nie ze mną? Nie jestem wcale gorszy.

- Jesteś od prokuratora?

- Zgadza się. Chcę z tobą porozmawiać o kapitulacji.

Zwolnij, napisał Potter.

- Dowcipny prokurator. Pierdol się, koleś.

Budd miał już spokojniejszą minę.

- Co, nie lubisz prawników?

- Uwielbiam.

- Opowiedzieć ci kawał, Lou? - rzekł Budd.

Potter i LeBow spojrzeli po sobie zdumieni.

- Jasne, Charlie.

- Przyszła baba do ginekologa i pyta, czy można zajść w ciążę przez seks analny. Lekarz na to: „Jasne, a któredy pani zdaniem rodzą się prawnicy?”.

Handy ryknął śmiechem, a twarz Budda oblała się purpurą.

W ciągu dwudziestu lat prowadzenia negocjacji Potter nigdy nie opowiadał porywaczowi dowcipów. Pomyślał, że powinien chyba wprowadzić jakieś poprawki do swojego podręcznika.

- Arthur załatwia ten helikopter dla ciebie - ciągnął Budd. - Chodzi o jakieś pływaki czy coś w tym rodzaju, Niedługo powinien wrócić.

- Lepiej, żeby maszyna była tu za godzinę i dwadzieścia minut.

- O ile wiem, Lou, Arthur robi, co się da. Ale posłuchaj, nawet jeżeli dostaniesz śmigłowiec, prędzej czy później cię znajdą. - Budd patrzył w leżącą przed nim kartkę. - Kiedy tylko ktoś się dowie, kim jesteś i że strzeliłeś dziewczynie w plecy, wiesz, co się stanie. Zgarną cię i nagle znajdziesz się na pace karetki, a potem zdarzy się jakiś wypadek.

- Grozisz mi?

- Nie, do cholery. Próbuje cię ocalić. Mówię ci po prostu, co będzie potem. Zresztą sam wiesz.

- Nikt mnie nie znajdzie. Wsadź sobie w dupę ten pomysł, że mogę się poddać. Nic z tego. Będziecie tu musieli wejść. I znajdziecie mnie z sześcioma martwymi zakładniczkami.

Potter wskazał zdjęcia bliźniaczek. LeBow zmarszczył brwi. Jak to się stało, że Handy nie wie jeszcze o ich ucieczce?

- Słuchaj, Lou - ciągnął Budd. - Możemy ci zaproponować układ.

- Układ? Co za układ?

- Dostałbyś coś w rodzaju nietykalności. Oczywiście nie całkowita, ale...

- Wiesz, co zrobiłem?

- Co zrobiłeś? - Powtarza po nim jak zawodowiec, pomyślał Potter.

- Zabiłem dzisiaj kilku ludzi. Nie mówimy o nietykalności, tylko o... jak się, kurwa, to nazywa, co daje ci książdz?

Budd spojrział na Pottera, który bezgłośnie powiedział:

- Dyspensa.

- Dyspensa.

- No więc mam trochę inne zdanie, Charlie prokuratoru. Muszę mieć helikopter, bo inaczej wypuszczę na dziewczynki mojego przyjaciela Bonnera. Znasz Bonnera? Stoi mu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Cud, kurwa, natury. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Mógłbyś go zobaczyć w pierdłu. Zamykają dzieciaka za kradzież auta, a już stoi przy nim Bonner i zanim chłopakowi wyschną palce po oddawaniu odcisków, mówi do niego: „Pochyl się, aniołku. Nóżki szerzej”.

Potter ścisnął za ramię Budda, na którego twarzy odmalowało się cierpienie. Stuknął w żółtą kartkę.

- Gdzie Art? - zapytał nagle Handy. - Wolę rozmawiać z nim niż z tobą.

- Już mówiłem, że próbuje skombinować helikopter.

- Niech mnie szlag, jeżeli nie słucha nas teraz przez szczekaczkę. Jest blisko ciebie? Pewnie mógłby bez problemu wsadzić, ci kutasa w usta. Hej, jesteś ciotą, Charlie? Bo wydaje mi się, że tak.

Budd poprawił słuchawkę w dłoni.

- Agent Potter próbuje zdobyć to, co go prosiłeś.

Zginęli, bo nie dali mi tego, czego chciałem. Potter z aprobatą kiwnął głową.

- Chcę helikopter, inaczej Bonner dostanie małą.

- Lepiej tego nie rób, Lou. Daj spokój. Przecież pracujemy razem, nie?

- Ostatnim razem chyba nie grałem w twojej drużynie, Charlie.

Budd otarł pot z czoła. Potter, czując się jak dyrygent orkiestry, dał mu znak, pokazując dalszą część tekstu zapisanego na żółtej kartce.

- W mojej drużynie? - odrzekł Budd. - Mylisz się, Lou. Ja jestem po twojej stronie. I chcę ci zaproponować układ. Tobie i Wilcoxowi.

Potter położył palec na ustach, dając mu znak, by zamilkł. Kapitan przełknął ślinę. Angie podała mu kubek wody. Budd wypił, posyłając jej niewesoły uśmiech.

Handy milczał.

Budd chciał coś powiedzieć, lecz Potter pokręcił głową.

Wreszcie odezwał się Handy:

- Mnie i Shepowi?

- Zgadza się.

- Jaki układ? - spytał już ostrożniej.

Budd spojrział na notatki.

- Nie dostaniecie kary śmierci, tylko dożywocie.

- Obaj?

Potter wyczuł w jego głosie niepewność. Pięknie, pomyślał. Po raz pierwszy w ciągu dzisiejszego dnia Handy nie wiedział, o co chodzi. Agent pokazał Buddowi uniesiony kciuk.

- Tylko ty i Wilcox - oświadczył stanowczym tonem kapitan.

- A co z Bonnerem?

Potter pokiwał ręką, co miało oznaczać wahanie.

- No, mówię tylko o was dwóch.
- A dlaczego nie mówisz o Bonnerze?

Potter zmarszczył gniewnie brwi. Budd skinął głową i rozdrażnionym tonem powiedział:

- Bo nie chcę mówić o Bonnerze. Proponuję układ tobie i Wilcoxowi.
- Skurwiel z ciebie, Charlie.
- Skurwiel?
- Nie mówisz mi wszystkiego.

Potter położył palec na ustach. Zapadła cisza.

Doskonale, pomyślał Potter. Świetnie sobie radzi. Wreszcie skinął Buddowi głową.

- Mówię ci wszystko. - Budd podniósł wzrok znad kartki i spojrzał przez okno na rzeźnię. - I mówię to dla waszego i nie tylko waszego dobra. Powinniście się poddać. Nawet jeśli uciekniecie stąd helikopterem, staniesz się najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Ameryce Północnej. Twoje życie zmieni się w piekło, a kiedy cię złapią, zginiesz. Dobrze o tym wiesz. Morderstwo nie ulega przedawnieniu.

- Co mam powiedzieć Bonnerowi?

Potter zacisnął dłoń w pięść.

- To mnie nie obchodzi - odparł szorstkim tonem Budd. - Jego nie dotyczy...

- Czemu nie?

Wahaj się, napisał Potter. Handy przerwał długie milczenie.

- Kurwa, coś przede mną ukrywasz. Co?

- Chcesz iść na ten układ czy nie? Ty i Wilcox. Chcę was uratować przed śmiertelnym zastrzykiem.

- A ja chcę pierdolony helikopter i go dostanę. Powiedz to Artowi. Chuj wam wszystkim w dupę.

- Nie, zaczekaj...

Trzask.

Budd zamknął oczy i położył telefon na biurku. Jego ręce drżały.

- Wspaniale, Charlie. - Potter poklepał go po plecach.

- Dobra robota - powiedziała Angie, mrugając do niego.

Budd zaskoczony uniósł wzrok.

- Jak to, wspaniale? Przecież się wkurzył. Rzucił słuchawką.

- Nie, jest w takim stanie, w jakim miał się znaleźć. - LeBow zanotował przebieg tego wydarzenia razem z godziną. Po stronie tablicy zatytułowanej „Blef” zapisał: „Układ o przyznanie się do zbrodni federalnych zawarty przez prokuratora Budda z Handym i Wilcoxem: w zamian dożywocie zamiast kary śmierci”.

- Tak sądzisz? - Budd wstał zza biurka.

- Zasiałeś ziarno. Musimy zobaczyć, czy zakiełkuje. - Gdy oczy Pottera i Angie się spotkały, oboje wymienili znaczące, poważne spojrzenie. Zanim Budd zdążył to zauważyć, Potter szybko odwrócił wzrok.

20.16

- Zostało pięć minut.

Dan Tremain zadzwonił do gubernatora i razem postanowili, że szturm jednostki specjalnej nastąpi o zaplanowanej wcześniej porze. Przekazał tę informację swoim ludziom przez krótkofalówkę z kodowanym sygnałem.

Goniec Jeden, Chuck Pfenninger, zajął pozycję niedaleko furgonetki dowodzenia, a Goniec Dwa, Joey Wilson, ukryty za autobusem, był gotów wrzucić przez okno do rzeźni granaty ogłuszające. Grupy Alfa i Bravo szykowały się do ataku przez północno-zachodnie i południowo-wschodnie wejście.

Tremain był pewny siebie. Choć porywacze mogli zakładać, że szturm nastąpi od strony oznaczonego wyjścia pożarowego, nie mogli się jednak spodziewać ataku przez drzwi południowo-wschodnie.

Za pięć minut wszystko się skończy.

Lou Handy patrzył na telefon, czując coś, czego dziś jeszcze nie zaznał: zwątpienie.

Skurwysyn.

- Gdzie on jest? - warknął, patrząc na drugą stronę rzeźni.

- Bonner? Siedzi tam z panienkami - odrzekł Wilcox. - Albo żre. Nie wiem. Co jest?

- Coś dziwnego. - Handy zaczął chodzić tam i z powrotem. - Chyba wszedł z nimi w układ. - Powtórzył Wilcoxowi słowa prokuratora.

- Proponują nam układ?

- Coś w tym rodzaju. Dożywocie w Leavenworth.

- Lepsze od igiełki. Najgorsze przed wbiciem igiełki jest szczanie.

Wiesz? Po prostu nie umiesz tego powstrzymać. Mówię ci, ja wychodzę. Nie zamierzam łać w spodnie przed wszystkimi.

- Hej, stary. - Handy utkwiał we współniku chłodny wzrok. - Spadamy stąd. Nie zapominaj o tym.

- Nie, jasne, że nie.

- Myślę, że ten kutas był z nimi od początku.

- Dlaczego? - spytał Wilcox.

- A jak, kurwą, myślisz? Kasa. Żeby skrócić odsiadkę.

Wilcox wbił wzrok w ciemną czeluść rzeźni.

- Sonny to skurwiel, ale nie zrobiłby tego.

- Przecież zrobił to, nie tak dawno temu.

- Co?

- Zakapował kogoś. Gościa, z którym był na robocie.

- Wiedziałeś? - spytał zaskoczony Wilcox.

- Jasne, że wiedziałem - odrzekł ze złością Handy. - Ale był nam potrzebny.

Ale jak Bonner porozumiał się z federalnymi? Od momentu ucieczki przecież prawie nie spuszczał go z oka.

Prawie. Handy przypomniał sobie, że to Bonner poszedł załatwić samochód. Kiedy wydostali się z pudła, Bonner przepadł na pół godziny. Handy przypomniał sobie, jak się dziwił, że tak długo go nie ma, i myślał: jeżeli nas zostawił, to będzie bardzo długo umierał.

Pół godziny na sprowadzenie bryki z ulicy znajdującej się osiem przecznic dalej. Kupa czasu, żeby zadzwonić do federalnych.

- Ale miał mały wyrok - zauważył Wilcox. Za ucieczkę do innego stanu Bonner dostał cztery lata.

- Czyli był najlepszy, żeby z nim wejść w układ - odparł Handy. - Federalni nigdy nie skracają wyroków dłuższych niż kilka lat.

Poza tym Bonner miał dodatkowy bodziec: przestępcy seksualni byli więźniami, którzy najczęściej budzili się z odłamkiem szkła wbitym w gardło albo wyciętym z blaszanej puszki nożem w brzuchu. Ewentualnie nie budzili się w ogóle.

Wilcox niepewnie spojrział w głąb mrocznej rzeźni.

- Jak myślisz, co zrobić?

- Myślę, że powinniśmy z nim pogadać.

Przeszli przez główne pomieszczenie, przez, gnijące rampy, którymi kiedyś pędzono bydło, mijając długie stoły, na których rozcinano ciała zwierząt, i rdzewiejące gilotyny. Stanęli w drzwiach ubojni. Bonnera nie dostrzegli. Usłyszeli jednak niedaleko głośny szum strumienia moczu. Gruby sikał do studzienki albo pompy ściekowej.

Handy rozejrzał się po ubojni - starsza kobieta leżała zwinięta w kłębek. Była ta z ciężkim oddechem i ta ładna. I Melanie, która usiłowała patrzeć na niego hardo, ale miała w oczach strach. Po chwili zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak.

- Gdzie są małe? - spytał cicho.

Jego wzrok spoczął na dwóch parach błyszczących czarnych bucików.

- Skurwysyn - rzucił przez zęby Wilcox. Pobiegł korytarzem, gdzie prowadziły ślady małych stóp odcisnięte w kurzu.

Melanie otoczyła ramionami dziewczynkę z astmą, kuląc się pod ścianą. Zza rogu wyłonił się Bonner i przystanął.

- Co jest? - Mrugał niepewnie, spoglądając w twarz Handy'ego.
- Gdzie one są, ścierwo?
- Kto?
- Małe. Bliźniaczki!
- Ja... - Bonner cofnął się. - Pilnowałem ich. Cały czas. Przysięgam.
- Cały czas?
- Poszedłem się odlać, to wszystko. Słuchaj, Lou, muszą gdzieś tu być.

Znajdziemy je. - Gruby niespokojnie przełknął ślinę.

Handy patrzył z wściekłością na Bonnera, który ruszył w stronę Melanie, wołając:

- Gdzie one są? - Podchodząc do niej, wyciągnął z kieszeni pistolet.
- Lou! - krzyknął z sąsiedniego pomieszczenia Wilcox. - Jezu Chryste.
- Co? - wrzasnął Handy, obracając się na pięcie. - O co, kurwa, znowu

chodzi?

- Mamy większy kłopot. Chodź, zobacz.

Handy pobiegł do Wilcoxa, który pokazywał na telewizor.

- Potter, ty kłamco jebany!

Na ekranie widać było doskonałe zbliżenie frontu i bocznej ściany rzeźni. Reporterom udało się prześliznąć przez policyjną blokadę i ustawić kamerę gdzieś blisko, w wysoko umieszczonym punkcie - prawdopodobnie na szczycie tego starego wiatraka położonego na północ od budynku. Obraz lekko drgał, ale nie mieli wątpliwości, że widzą pod oknem gliniarza z brygady antyterrorystycznej - dwadzieścia stóp od miejsca, w którym stali teraz Handy i Wilcox.

- Jest więcej - zawołał Wilcox. Wskazał widoczne na ekranie garby w rowie na północ od rzeźni.

- Możliwe. Cholera, tak. Musi być kilkunastu.

Dziennikarz powiedział:

- Wygląda na to, że szturm może nastąpić w każdej chwili...

Handy spojrzał na wyjście przeciwpożarowe w północnej ścianie budynku. Zaklinowali drzwi, ale wiedział, że ładunki wybuchowe mogą je rozwalić w parę sekund. Krzyknął do Bonnera:

- Łap flintę, będzie gorąco.
- Cholera. - Bonner odciągnął zamek mossberga i puścił.
- Przez dach? - zapytał Wilcox.

Tylko tędy oddział antyterrorystyczny mógł się szybko dostać do środka - bocznym wejściem i przez dach. Przystań znajdowała się za bardzo z tyłu. Jednak patrząc w sufit, Handy zobaczył gęstą sieć kanałów, przewodów wentylacyjnych i przenośników z hakami. Nawet gdyby ładunkiem wybuchowym otworzyli dach, musieliby przeciąć całą tę instalację.

Handy spojrzał na pole przed rzeźnią. Poza gliniarzem pod oknem - ukrytym za szkolnym autobusem - nikt więcej z tamtej strony się nie zbliżał.

- Wejść przez tamte drzwi, z boku.

Handy ruszył wolno w kierunku okna, pod którym chował się policjant. Dał znak Wilcoxowi, wskazując jego broń. Ten uśmiechnął się, wyciągnął zza pasa pistolet i przeładował.

- Podejdz z tyłu - szepnął do niego Handy. - Do tamtego okna. Odwróć jego uwagę.

Wilcox skinął głową, padł na brzuch i poczołgał się do bocznego okna. Handy też zaczął się czołgać - do okna, za którym czaił się policjant. Wilcox przyłożył usta do otworu w strzaskanej szybie i wydał ptasi skrzek. Handy nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Gdy Wilcox zaskrzeczał jeszcze raz, Handy szybko wyjrzał przez okno. W odległości dwu stóp zobaczył, policjanta, który zdezorientowany odwrócił się w stronę, skąd dobiegał dziwny hałas. W tym momencie Handy złapał go za hełm i mocnym szarpnięciem uniósł go z ziemi. Gliniarz wypuścił z rąk karabin maszynowy, który miał zawieszony na ramieniu, i chwycił Handy'ego za przeguby, szamocząc się, bo pasek hełmu zaczął go dusić. Wilcox skoczył na pomoc i wspólnymi siłami wciągnęli policjanta do środka.

Handy założył mu podwójnego nelsona, a Wilcox kopnął go w krocze, zrywając mu broń maszynową, wyciągając pistolet i granaty. Gliniarz zgiął się wpół i runął na posadzkę.

- Skurwysynu - krzyczał Handy, kopiąc go z wściekłością. - Pokaż no się!  
- Zdarł mu hełm, kominiarkę i gogle. Policjant opuścił nisko głowę. Handy wyciągnął z kieszeni nóż, otworzył i przyłożył ostrze do policzka młodego człowieka. - Chciałeś mi strzelić w plecy? Taki z ciebie chojrak? Zachodzisz człowieka od tyłu jak jakiś pieprzony czarnuch!

Gliniarz znów zaczął się szamotać. Handy ciachnął go w policzek i wzdłuż szczęki popłynęła strużka krwi. Uderzył go pięścią w twarz raz, potem drugi, zaczął bić bez opamiętania. Po chwili odsunął się i odwrócił, kopiąc go w brzuch i krocze.

- Hej, Lou, uspokójj...

- Zajebię go! Chciał mi strzelić w plecy! Chciał mi, kurwa, strzelić w plecy! Taki jesteś? Taki honorowy?

- Odpierdol się - wykrztusił policjant, zwijając się bezsilnie na podłodze. Handy odwrócił go na brzuch, uderzył, a potem skuł mu ręce jego własnymi kajdankami.

- Gdzie są tamci? - Handy wbił nóż w udo chłopaka. - Gadaj! - Wcisnął głębiej ostrze. Gliniarz krzyknął.

Handy zbliżył twarz do jego twarzy.

- Pójdiesz stąd prosto do piekła, Handy.

Nóż zagłębił się jeszcze bardziej. Z ust policjanta wyrwał się następny krzyk. Handy dotknął wąskiego brzeżku rany. Potem uniósł do ust palec, do którego przylepiła się odrobina krwi. Pchnął mocniej nóż, pogrążając go głębiej w udzie policjanta. Znów krzyk.

Zobaczymy, kiedy chłopak pęknie.

- Jezu - jęknął gliniarz.

Prędzej czy później musi puścić farbę. Wystarczy trochę pociągnąć w górę tym kawałkiem stali, a zacznie śpiewać. Zaczął wolno przesuwając nóż w kierunku krocza, krojąc udo policjanta.

- Nie wiem, gdzie są tamci! Jestem tylko zwiadowcą. Nagle Handy'emu znudziła się zabawa z nożem i uderzył chłopaka pięścią, z większą wściekłością niż poprzednio.

- Ilu? Którędy chcą wejść?

Gliniarz splunął na własną nogę.

I nagle Handy'emu stanął przed oczyma obraz sprzed wielu lat: uśmiechnięta szyderczo twarz Rudy'ego - w każdym razie wyglądało to na szyderstwo. Brat odwrócił się. Miał w portfelu dwieście dolarów, należące do Handy'ego - tak w każdym razie sądził Handy. Rudy odchodził, poświęcając bratu tyle uwagi, co zeszcłemu gównu. Handy'ego ogarnęła paląca wściekłość, wywołując taki ból, jak gdyby ugodził go nóż ze stali węglowej.

- Gadaj! - wrzasnęła. Jego pięść znów wymierzyła cios, potem kolejny. Wreszcie Handy wstał.

- Chuj z tobą. Chuj z nimi.

Pobiegł do ubojni i wyrócił pojemnik z benzyną. Chłodna ciecz rozlała się po całym pomieszczeniu, ochlapując dziewczynki i nauczycielki. Ta dziwka Melanie, bojaźliwa mysz, pociągnęła je do kąta, ale nie mogły uciec przed benzyną.

Handy skierował karabin maszynowy policjanta w boczne drzwi.

- Shep, niedługo tu wejdą. Jak tylko ich zobaczę, strzelę pierwszym w nogi. Ty rzuć to - wskazał granat - do tamtych, żeby zajęła się benzyna. Paru gliniarzy musi przeżyć, żeby mogli opowiedzieć, co się stało tym małym. Jak to się stało, że się spaliły.

- Jasne, stary. - Wilcox wyciągnął z gładkiego czarnego granatu zawleczkę i z palcem na dźwigni opóźniającej stanął na progu ubojni. Handy odciągnął kurek H&K, celując w drzwi.

- Arthurze, jakieś zamieszanie pod oknem - powiedział przez radio Dean Stillwell. - Drugim na lewo od wejścia.



Potter przyjął meldunek i przez lornetkę spojrział na budynek rzeźni. Widok okna zasłaniał mu autobus i drzewo.

- Co to było, Dean?

- Jeden z moich ludzi mówi, że wyglądało na to, jakby ktoś przechodził przez okno.

- Porywacz?

- Nie, ten ktoś wchodził do środka.

- Do środka? Ktoś inny może to potwierdzić?

- Tak jest. Drugi funkcjonariusz twierdzi, że też to widział.

- Tak...

- Jezzu, Arthur - szepnął Tobe. - Zobacz.

- Kto to? - wycedziła Angie. - Kto to jest, do cholery?

Potter odwrócił się, by spojrzeć na ekran telewizyjny, w który patrzyła agentka. Po chwili zorientował się, że nadają wiadomości - odbiornik był nastawiony na Weather Channel. Ze zgrozą uświadomił sobie, że ogląda szturm na rzeźnię.

- Zaraz - powiedział Budd. - Co się dzieje?

- ...specjalny materiał. Wygląda na to, że jeden z policjantów próbujących dostać się do rzeźni sam został porwany.

- Gdzie jest ta kamera? - spytał zdumiony LeBow.

- Nie ma czasu się nad tym zastanawiać - rzekł Potter. Mimo woli przemknęło mu przez myśl pytanie: czy to jest właśnie zemsta Hendersona?

- Tremain - zawołał LeBow. - To Tremain!

- Kurwa - powiedział katolik Tobe. - Stąd te kodowane sygnały, które odbierałem. Sam zorganizował operację.

- Pułapka w środku! Tremain nic nie wie o pułapce.

- Pułapka? - powtórzył zdenerwowany Derek.

Potter wstrząśnięty spojrział na niego. W jednej chwili zrozumiał rozmiar zdrady. Informacji jednostce specjalnej na temat akcji udzielił Derek Elb. To musiał być on.

- Na jakiej częstotliwości nadaje Tremain? - krzyknął, przyskakując do stołu i chwytając rudego policjanta za kołnierz.

Derek pokręcił głową.

- Powiedz mu, na litość boską! - krzyknął Budd.

- Nie mam dostępu. Częstotliwość polowa. Nie da się wejść.

- Mogę ją złamać - powiedział Tobe.

- Nie, jest z kodowanym sygnałem zwrotnym, męczyłbyś się z godzinę.

Przepraszam, nie wiedziałem... nic nie wiedziałem o pułapce. - Potter przypomniał sobie, że dowiedzieli się o bombie benzynowej poza furgonetką, w szpitalu polowym.

- Zmajstrowali tam bombę zapalającą, sierżancie - wybuchnął Budd.

- Boże, nie - wymamrotał cicho Derek.

Potter chwycił telefon i wcisnął guzik. Nikt nie odbierał.

- Lou, pospiesz się. Pospiesz się!... Tobe, masz dalej na linii obraz z SatSury?

- Tak. - Agent wduślił przycisk i monitor rozjarzył się. Zobaczyli w zasadzie taki sam zielononiebieski obraz terenu co poprzednio, tyle że teraz po obu stronach rzeźni widniały małe czerwone kropeczki.

- Siedzą w rowach. Prawdopodobnie wejdą przez północno-zachodnie i południowo-wschodnie okna albo drzwi. Zrób mi szybki wydruk.

- Dobra. Czarno-biały będzie szybciej.

- Już!

Zabrzęczała drukarka, a Potter przycisnął do ucha telefon, wsłuchując się w spokojny, miarowy sygnał.

- Lou, Lou, Lou... odbierz! Rzucił telefon na biurko.

- Henry, co oni zrobią?

LeBow skoczył na równe nogi i spojrział na wydruk wysuwający się powoli z maszyny.

- Wysadzą te drzwi po lewej. Ale nie wiem, co zrobią z prawej. Tu nie ma drzwi. Nie da się rozwalić ściany nośnej ładunkami tnącymi. - Pokazał wiszący na

ścianie plan przetwórci. - Popatrz na tę przerywaną linię. Kiedyś mogły tu być drzwi. Pewnie Tremain je znalazł. Wejdą z obu stron.

- W jednym rzędzie?

- Tak. Muszą.

- To...

Wybuch był bardzo cichy. Nagle w furgonetce zrobiło się ciemno. Frances wydała krótki okrzyk. Wnętrze wypełnił gryzący dym, a rozjaśniało je tylko upiorne żółte światło wpadające przez grube szyby i błękitny blask monitorów obu komputerów Henry'ego LeBowa.

- Nie ma zasilania - powiedział Tobe. - Mamy...

- Arthur! - LeBow pokazał na okno, za którym z boku samochodu tańczyły płomienie.

- Co się stało? Jezu, Handy nas zaatakował?

Potter podbiegł do drzwi. Otworzył je i krzyknął, odskakując od języków ognia i parzącego gorąca, które buchnęło do wnętrza furgonetki. Szybko zatrzasnął drzwi.

- Nie da się włączyć zasilania - poinformował ich Tobe. - Rezerwowe zasilanie też szlag trafił.

- Ile mam czasu? - wrzasnął do Dereka Potter.

- Ja...

- Odpowiedz albo za godzinę będziesz w pudle. Ile czasu minie od wyłączenia zasilania do szturmu?

- Cztery minuty - szepnął Derek. - Robiłem tylko to, co...

- Nie, Arthurze - zawołała Angie. - Nie otwieraj!

Potter szarpnął drzwi. Poleciał do tyłu i zajął się rękaw jego marynarki. Na zewnątrz widać było tylko morze ognia. Potem do wozu wdarła się woń palonej gumy i oleju i wszyscy rzucili się na podłogę w poszukiwaniu powietrza.

Wyłączając koder, Dan Tremain powiedział:

- Agencje Potter, agencje Potter! Mówi kapitan Tremain. Proszę się odezwać. Nic się panu nie stało?

Tremain obserwował pożar na wzgórzu. Pomarańczowe płomienie i buchające w górę skręcone słupy czarnego dymu wyglądały strasznie. Kapitan dobrze znał furgonetkę, sam często z niej korzystał i wiedział, że wszyscy w środku są bezpieczni, jeśli nie otworzą drzwi. Mimo to pożar wyglądał bardzo groźnie.

Nie było teraz czasu zaprzętać sobie tym głowy. Jeszcze raz powiedział do mikrofonu:

- Agencje Potter... Derek? Jest ktoś w furgonetce? Proszę się zgłosić.

- Tu szeryf Stillwell, kto mówi?

- Kapitan Dan Tremain, policja stanowa. Co się dzieje?

- Furgonetka się pali, kapitanie. Nie wiemy. Być może Handy'emu udało się trafić.

Dziękuję, szeryfie, pomyślał Tremain. Rozmowa była nagrywana w centrali policji stanowej. Komentarz Stillwella stanowił doskonałe uzasadnienie decyzji Tremaina o rozpoczęciu akcji.

- Nikomu nic się nie stało? - zapytał dowódca jednostki specjalnej.

- Nie możemy się dostać do furgonetki. Nie możemy...

Tremain przerwał połączenie i na kodowanej częstotliwości wydał rozkaz:

- Grupa Alfa, grupa Bravo. Hasło „klacz”. Hasło „klacz”. Uzbroić ładunki. Sześćdziesiąt sekund do detonacji.

- Alfa, ładunek uzbrojony.

- Bravo, ładunek uzbrojony.

- Otworzyć ogień - powiedział Tremain, pochylając głowę.

Arthur Potter, z piętnastofuntową nadwagą i marnym doświadczeniem sportowym, rzucił się na ziemię tuż obok płomieni, które dwaj policjanci usiłowali bezskutecznie zdusić gaśnicami.

Wylądował na ziemi, oglądając z niepokojem palące się rękawy. Jeden z policjantów krzyknął i zaatakował go ciekłym dwutlenkiem węgla. Dotknięcie

rozpylonego lodowatego płynu zabolalo bardziej niż ogień, choć Potter widział rany na swoich rękach i wiedział, jakie cierpienia go jeszcze czekają.

Jeżeli w ogóle przeżyje.

Nie ma czasu, nie ma już czasu...

Zerwał się na nogi i nie zwracając uwagi na tłącą się tkaninę marynarki i ból, puścił się biegiem, włączając po drodze megafon.

Z mozołem pokonywał pole, minał linię radiowozów, kierując się prosto w stronę rzeźni. Opanowując oddech, krzyknął:

- Lou Handy, posłuchaj mnie! Mówi Art Potter. Słyszysz mnie?

Sześćdziesiąt jardów, pięćdziesiąt.

Brak odpowiedzi. Ludzie Tremaina ruszą lada chwila.

- Lou, zaraz zostaniesz zaatakowany. To nielegalna operacja. Nie miałem z nią nic wspólnego. Powtarzam: to błąd. Ludzie są w dwóch rowach z północnej i południowej strony rzeźni. Możesz otworzyć ogień krzyżowy z okien po tych stronach. Słyszysz mnie, Lou?

Z trudem łapał powietrze, próbując wołać przez megafon. Nagle poczuł ból w piersiach i musiał zwolnić.

Stał na wierzchołku wzgórza, stanowiąc idealny cel - niemal dokładnie w tym miejscu, gdzie strzelono w plecy Susan Phillips - i krzyczał:

- Chcą wysadzić boczne drzwi, ale nie powstrzymasz ich przed wejściem. Zajmij pozycje w oknie na południowy wschód i północny zachód. Od południa są drzwi, o których nie wiesz. Są zasłonięte. Też je wysadzą. Lou, posłuchaj mnie. Strzelaj im w nogi. Mają kamizelki, więc strzelaj w nogi! Najlepiej ze śrutówek. Strzelaj w nogi.

W rzeźni panował absolutny spokój.

Błagam...

- Lou!

Cisza. Słyszać było tylko świst wiatru.

Potter zauważył jakiś ruch od strony północnego rowu. Z kępy trawy uniósł się hełm. W jego stronę zwróciły się szkła lornetki.

A może był to teleskopowy celownik H&K MP-5?

- Lou, słyszysz mnie? - zawołał znów Potter. - To nielegalna operacja. Zajmij pozycje strzeleckie przy północnych i południowych drzwiach. Drzwi od południa zasłania warstwa tynku albo coś w tym rodzaju.

Nic... cisza.

Niech ktoś w końcu...

Na litość boską, niech się ktoś odezwie!

Wreszcie jakiś ruch. Potter spojrział w tę stronę - na północ od rzeźni.

Na szczycie wzgórza siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt jardów od niego stanął jakiś człowiek w czerni, wysunął biodro i przyglądał się Potterowi. H&K miał zawieszony na ramieniu. Potem jeden po drugim policjanci zaczęli wypełzać z rowów po obu stronach rzeźni. Podskakujące hełmy znikwały w krzakach. Oddział stanowy wycofywał się.

W rzeźni nadal panowała niezmacona cisza. Lecz Arthur Potter był załamany. Wiedział, że teraz musi nastąpić odwet. Tak okrutny i amoralny, na jaki będzie stać Handy'ego, który był konsekwentny tylko w jednym - zawsze dotrzymywał słowa. Zapewne w jego świecie panowała jego własna sprawiedliwość, zła, ale mimo wszystko sprawiedliwość. A słowo złamali przed chwilą dobrzy.

Potter, LeBow i Budd cofnęli się i stali z założonymi rękami, przyglądając się, jak Tobe gorączkowo rozciągał przewody, ciął i splatał.

Potter patrzył na Dereka Elba, którego odprowadzali dwaj agenci Hendersona, po czym spytał Tobe'ego:

- Sabotaż?

Tobe - którego znajomość balistyki niemal dorównywała wiedzy na temat elektroniki - nie miał pewności.

- Wygląda na zwykłą benzynę. Czerpaliśmy z generatora sporo mocy. Ale ktoś mógł podłożyć L210 i nie bylibyśmy mądrzejsi. W każdym razie teraz nie mam czasu szukać. - I dalej demontował, łączył i sklejał chyba po kilkanaście przewodów naraz.

- Wiesz, że to sabotaż, Arthurze - powiedział LeBow.

Oczywiście, że Potter wiedział. Prawdopodobnie Tremain zostawił w generatorze ładunek zdalnie odpalany.

- Mógłby być zdolny do czegoś takiego? - spytał z niedowierzaniem Budd.  
- Co chcesz zrobić?

- W tej chwili nic - odparł negocjator. Jako człowiek żył przeszłością; jako zawodowiec prawie nigdy nie oglądał się za siebie. Nie miał czasu ani ochoty na zemstę. Musiał myśleć o zakładniczkach. Pospiesz się, Tobe, niech to wszystko zacznie już działać.

Do furgonetki wróciła Frances Whiting. W namiocie medycznym podano jej tlen. Miała trochę brudną twarz i oddychała z niejakim trudem, lecz poza tym nic jej się nie stało.

- Trochę większe emocje niż w Hebronie, co? - zagadnął ją Potter.

- Nie licząc wezwań do sądu w sprawach wykroczeń drogowych, ostatni raz aresztowałam kogoś jeszcze za kadencji Busha.

Wciąż było czuć intensywną woń przypalonej gumy i plastiku. Ręce Pottera okrywały plamy oparzeń. Zniknęły włosy na grzbietach dłoni, a szczególnie dokuczał mu piekący nadgarstek. Nie miał jednak czasu na wizytę u lekarzy. Musiał najpierw nawiązać kontakt z Handym i postarać się zminimalizować skutki odwetu, którego plan na pewno zaczął kiełkować w głowie porywacza.

- Dobra - zawołał Tobe. - Powinno grać.

Cudotwórca wcześniej przeprowadził linię z oddalonego wozu z generatorem i wszystkie urządzenia w furgonetce ożyły.

Potter chciał poprosić Budda, żeby zostawił otwarte drzwi i wywietrzył wóz, ale zorientował się, że drzwi nie ma. Spaliły się. Usiadł za biurkiem, chwycił telefon i wduślił przycisk.

W furgonetce rozległ się elektroniczny sygnał.

Po drugiej stronie nikt nie odbierał.

Henry LeBow znów zaczął stukać w klawisze. Stłumiony odgłos pisania bardziej niż cokolwiek przywrócił Potterowi pewność siebie. Z powrotem w pracy, pomyślał i skupił się na telefonie.

Odbierz, Lou. Szybciej. Za dużo przeszliśmy, żeby tak łatwo wszystko się teraz rozpadło. Za dużo czasu minęło, za bardzo zbliżyliśmy się do siebie...

Odbierz ten cholerny telefon!

Z zewnątrz dobiegł głośny pisk, z tak bliska, że Potter z początku pomyślał, że to sprzężenie. Zahamowała limuzyna Rolanda Marksa, który wyskoczył z samochodu i obrzucił nadpaloną furgonetkę krótkim spojrzeniem.

- Widziałem wiadomości! - krzyknął, nie zwracając się, do nikogo w szczególności. - Co się, kurwa, stało?

- Tremain nabroił - odrzekł Potter, ponownie wybierając numer Handy'ego i spoglądając chłodny na prokuratora.

- Co?

LeBow wyjaśnił.

- Nie mieliśmy o niczym pojęcia, panie prokuratorze - powiedział Budd.

- Chcę z nim porozmawiać, i to natychmiast - mruknął Marks. - Gdzie...

Ktoś z impetem wpadł do środka i pchnął w bok Pottera. Ten upadł ciężko na plecy.

- Ty sukinsynu! - krzyknął Tremain. - Ty pieprzony sukinsynu!

- Kapitanie! - ryknął na niego Marks.

Budd i Tobe chwycili za ręce dowódcę jednostki specjalnej i odciągnęli go. Potter podniósł się wolno. Dotknął głowy, w którą uderzył się, padając. Krwi nie było. Dał znak, by puścili Tremaina. Budd i Tobe zrobili to niechętnie.

- Ma jednego z moich ludzi, Potter. Dzięki tobie, zdrajco.

Budd zeszytniał i dał krok naprzód. Potter powstrzymał go gestem i poprawił sobie krawat, patrząc na poparzone ręce. Zrobiły się już duże pęcherze, a ból stawał się coraz bardziej dokuczliwy.

- Tobe - powiedział spokojnie. - Puść nam, proszę, taśmę. Tę z KFAL.

Zaszumiał magnetowid i rozjarzył się monitor. U dołu ekranu ukazało się niebiesko-biało-czerwone logo stacji wraz z napisem „Na żywo... Joe Silbert”.

- Fantastycznie - rzekł cierpko prokurator, patrząc w ekran. - Ma jednego z twoich - rzekł Potter - bo zluzowałeś ludzi, którzy nie dopuszczali reporterów w okolice rzeźni.

- Co? - Tremain nie spuszczał wzroku z monitora.

LeBow nie przerywał pisania. Nie unosząc głowy, powiedział:

- Handy was widział. Ma tam telewizor.

Tremain nic nie odrzekł. Potter zastanawiał się, czy myśli teraz: nazwisko, stopień, numer.

- Spodziewałem się po tobie czegoś innego, Dan - powiedział Marks.

- Gubernator... - wyrzucił z siebie kapitan, nim zdążył się ugryźć w język. - Nawet jeżeli widział, mogliśmy uratować dziewczynki. Byłyby już wolne. Mogliśmy mimo wszystko je stamtąd wyciągnąć!

Dlaczego nie czuję złości? - zastanawiał się Potter. Dlaczego na niego nie wrzeszczę, przecież o mały włos wszystkiego nie zniszczył. O mały włos nie zabił dziewczynek, nie zabił Melanie. Dlaczego?

Bo tak będzie okrutniej, zrozumiał nagle. Powiedzieć mu prawdę prosto z mostu, bez emocji.

Zrobiłeś kiedyś coś złego, Art?

- Handy zmajstrował pułapkę, kapitanie - powiedział Potter ze spokojem służącego. - Bombę benzynową z bardzo czułym zapłonem. W momencie wysadzenia drzwi dziewczynki spłonęłyby żywcem.

Tremain utkwiał w nim wzrok.

- Nie - wyszeptał. - Nie. Niech mi Bóg wybaczy. Nic nie wiedziałem. - Silny mężczyzna wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć.

- Połączenie z rzeźni - zawołał Tobe.

W chwilę później zadzwonił telefon, który Potter natychmiast odebrał.

- Lou?

To było do dupy, Art. Myślałem, że jesteś moim przyjacielem.

- Art, to było cholerne świństwo. Kutas z ciebie, nie przyjaciel.

- Nie miałem z tym nic wspólnego. - Mówiąc to, Potter patrzył na Tremaina. - Jeden policjant narozrabiał.

- Chłopaki mają fajny sprzęt. Mamy granaty i pistolet maszynowy.

Potter dał znak LeBowowi, który pociągnął Tremaina na bok i zapytał odrętwiałego kapitana, jakie uzbrojenie miał porwany funkcjonariusz.

W drzwiach stanęła jakaś postać. Angie. Potter dał jej znak, by weszła.

- Lou - powiedział do telefonu negocjator. - Przepraszam cię za to, co się stało. Na pewno nic takiego się więcej nie powtórzy. Masz na to moje słowo. Słyszałeś mnie, kiedy mówiłem przez megafon. Podałem ci potrzebne informacje. Wiesz, że to nie ja zaplanowałem tę operację.

- Pewnie masz już te małe dziewczynki.

- Tak, Lou, już są u nas.

- Ten prokurator, Budd... to jego robota, co, Art?

Znów chwila wahania.

- Nie mam informacji na ten temat.

Potter domyślał się, że Handy wykaże rozsądek.

Albo zupełnie oszaleje.

- Ale z ciebie magik, Art. No, dobra, powiedzmy, że ci wierzę, że to nie ty urządziłeś ten pieprzony desant. Mówisz mi, że jakiś stuknięty gliniarz robi to, czego nie powinien. Ale ty powinieneś lepiej wszystkiego pilnować, Art. Na tym chyba polega prawo, nie? Odpowiadasz za wszystkich, którzy z tobą pracują.

Angie zmarszczyła brwi.

- Co? - spytał Budd, widząc jej bezradną minę. Podobny wyraz twarzy miał Potter.

- O co chodzi? - szepnęła Frances Whiting.

Potter chwycił lornetkę, starł z niej tłusty osad dymu i spojrzął za okno.

Chryste, nie...

- Lou - rzekł z rozpaczą Potter. - Lou, to była pomyłka.

- Jak strzelaliście do Shepa, to też była pomyłka. Nie dostaję helikoptera na czas i to też nie wasza wina... Jeszcze mnie nie poznałeś, Art?

Aż za dobrze.

Potter odłożył lornetkę. Odwrócił się od okna, spoglądając na zawieszony nad planem rzeźni zdjęcie. Która tym razem? - pomyślał.

Emily?

Donna Harstrawn?

Beverly?

Nagle pomyślał: Melanie. Handy wybierze Melanie.

Frances zrozumiała i z jej ust wyrwał się krzyk:

- Nie! Zrób coś, błagam!

- Nic się nie da zrobić - szepnęła Angie.

Tremain zbliżył do szyby swą zgnębioną twarz i popatrzył na rzeźnię.

W wozie rozległ się spokojny i rzeczowy głos Handy'ego:

- Jesteś bardzo do mnie podobny, Art. Lojalny. Tak myślę. Jesteś lojalny wobec tych, którzy robią to, co mają robić, a nie masz czasu dla tych, którzy tego nie robią. - Przerwa. - Wiesz, o czym mówię, nie? Ciało zostawiam na zewnątrz. Możecie po nie przyjść. Z białą flagą.

- Lou, nic nie mogę zrobić? - Potter usłyszał we własnym głosie ton rozpacz. Nie cierpiał tego, ale nie potrafił się opanować.

Kto to będzie?

Angie odwróciła się.

Budd ze smutkiem pokręcił głową. Nawet hałaśliwy zwykle Marks nie umiał znaleźć odpowiednich słów.

- Tobe - powiedział cicho Potter. - Ścisz trochę.

Agent spełnił jego prośbę. Ale i tak wszyscy drgnęli na odgłos wystrzału, który rozległ się we wnętrzu furgonetki jak głośny metaliczny huk.

Potykając się, szedł w stronę rzeźni, przed którą leżały zwłoki, blade w jaskrawym świetle halogenów. Zdarł kamizelkę kuloodporną i rzucił na ziemię. Potem hełm.

Dan Tremain szedł ze łzami w oczach, patrząc na nieruchome, zakrwawione ciało, przypominające szmacianą lalkę.

Wspiął się na szczyt wzniesienia, dostrzegając kątem oka policjantów, którzy wychynęli zza swoich zasłon. Wszyscy patrzyli na niego; wiedzieli, że to on jest odpowiedzialny za to, co się stało, za morderstwo dokonane z zimną krwią. Tremain doczekał swojej golgoty.

W oknie budynku stał Lou Handy z bronią wycelowaną prosto w pierś kapitana. Było to bez znaczenia, bo Tremain nie mógł stanowić żadnego zagrożenia; pas ze służbowym glockiem zrzucił parę jardów dalej. Kroczył naprzód, zataczając się i łapiąc równowagę jak pijany, któremu został już tylko przemożny instykt przeżycia. Jego rozpacz pogłębiał widok twarzy Handy'ego - czerwonych oczu głęboko osadzonych pod wydatnymi łukami brwiowymi, ciemnego zarostu na policzkach. Patrząc na zgnębioną minę policjanta, uśmiechał się niewinnie, z ciekawością. Jak gdyby próbował smaku nieznannej potrawy.

Tremain wpatrywał się w ciało. Oddalone od niego pięćdziesiąt stóp, czterdzieści. Trzydzieści.

Oszalałem, pomyślał Tremain. I szedł dalej, patrząc w czarny wylot lufy broni Handy'ego.

Dwadzieścia stóp. Ostra czerwień krwi, bladą skórą.

Usta Handy'ego poruszały się, lecz Tremain nic nie słyszał. Może Bóg postanowił, że mam ogłuchnąć, jak te biedne dziewczynki.

Dziesięć stóp. Pięć.

Zwolnił. Wszyscy policjanci stali, nie odrywając od niego wzroku. Handy mógł sobie wybrać któregokolwiek, oni też mogli go bez trudu trafić, ale na pewno nie padnie tu ani jeden strzał. Tak było w wigilię Bożego Narodzenia podczas pierwszej wojny światowej, gdy wrogie sobie oddziały dzieliły się jedzeniem i śpiewały kolędy. I pomagały sobie nawzajem zbierać i grzebać zmasakrowane ciała rozrzucone na ziemi niczyjej.

- Co ja zrobiłem? - powiedział cicho. Padł na kolana i dotknął zimnej dłoni.

Przez chwilę płakał, a potem dźwignął bezwładne ciało - Joeya Wilsona, Gońca Dwa - i uniósł je bez wysiłku, spoglądając równocześnie w okno. Na twarz Handy'ego, z której zniknął uśmiech i która wyrażała teraz zagadkowe zainteresowanie. Tremain zapamiętał jego lisie rysy, zimne oczy i sposób, w jaki przesuwał czubkiem języka po górnej wardze. Dzieliło ich zaledwie parę stóp.

Tremain odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę pozycji oddziałów policyjnych. Słyszał w głowie jakąś ulotną melodię. Przez moment nie wiedział, co to może być, lecz zaraz potem zagrały dudy, które pamiętał sprzed lat, a melodia zmieniła się w „Pana ziemskich dróg”, tradycyjną pieśń graną na pogrzebach poległych policjantów.

20.45

Arthur Potter rozmyślał nad naturą ciszy.

Siedział w namiocie szpitala polowego. Patrzył w podłogę, a tymczasem lekarze zajmowali się jego poparzonymi dłońmi i ramionami.

Dnie i tygodnie ciszy. Ciszy głębszej od najgłębszej gęstwiny, wiecznej, nieprzeniknionej ciszy. Czy tak wygląda codzienne życie Melanie?

Sam dobrze poznał ciszę. Pusty dom. Niedzielne poranki, które wypełniały tylko odgłosy urządzeń i instalacji pracujących w domu. Spokojne letnie popołudnia spędzane w samotności na werandzie. Lecz Potter był człowiekiem żyjącym w stanie zawieszenia, dla którego cisza, przynajmniej w dobre dni, stanowiła oczekiwanie na nowy początek życia - na dzień, w którym spotka kogoś takiego jak Marian, kogoś innego niż porywacze, terroryści i psychopaci, z kim podzieli się swoimi myślami.

Kogoś takiego jak Melanie?

Nie, oczywiście, że nie.

Poczuł chłodne dotknięcie na wierzchu dłoni i zobaczył, że lekarz nakłada mu jakąś maść, która natychmiast koi ból.

Arthur Potter myślał o zdjęciu Melanie, które wisiało nad planem rzeźni. Rozmyślał o swojej reakcji na to, co zrozumiał kilka minut temu, że Handy zabije następną zakładniczkę. Była pierwszą osobą, która przyszła mu na myśl.

Przeciągnął się. Gdzieś z tyłu chrupnął jakiś staw, a Potter upomniał się w myśli: nie bądź idiotą.

Jednak w innym zakamarku duszy Arthura Potter, byłego studenta literatury angielskiej, odezwała się myśl: Jeżeli jesteśmy szaleni, to musi być miłość. Nie miłość do karier zawodowych, w których ważą się losy życia; nie do naszych bogów ani naszego dążenia do piękna i wiedzy. Nie do naszych dzieci, pełna pragnień i niepewności. Ale miłość. Bo miłość to nic innego jak czyste szaleństwo i rzuca się w jej wir, chcąc ulec namiętności i szaleństwu. W sprawach sercowych świat zawsze będzie wobec nas szczodry i wyrozumiały.

Zaśmiał się do siebie i pokręcił głową - wrócił do rzeczywistości, czując powracający ból poparzonych rąk. Przecież ona ma dwadzieścia pięć lat, a ty masz ponad dwa razy więcej. Jest głucha, pisane dużą i małą literą. I, na litość boską, dziś jest rocznica twojego ślubu. Dwudziesta trzecia. Nie zapomniałeś o ani jednej. Dość tych absurdalnych myśli. Czas wracać do wozu. Do pracy.

Lekarz dotknął jego ramienia. Potter drgnął i spojrzał na niego.

- Gotowe, proszę pana.

- Tak, dziękuję.

Wstał i niepewnym krokiem ruszył z powrotem do furgonetki.

W drzwiach stanęła jakaś postać.

Potter uniósł wzrok i ujrzał Petera Hendersona.

- Dobrze się czujesz? - spytał agent specjalny.

Potter wolno skinął głową. Tremain był głównym sprawcą, lecz Potter mógłby postawić swoją tygodniową pensję, że Henderson też odegrał jakąś rolę w niedoszłym szturmie na rzeźnię. Ambicja? Pragnienie powrotu do FBI, które go zdradziło? Trudno to jednak będzie udowodnić. Trudniej niż przypuszczenie, że pod generator podłożono bombę benzynową. Wnioski płynące z analizowania badań ludzkich intencji są zawsze ulotne.

Henderson spojrzał na jego oparzenia.

- Zarobiłeś sobie tym na medal.

- Pierwsza rana odniesiona w akcji. - Potter uśmiechnął się.

- Arthur, chcę cię przeprosić za to, że się tak wtedy uniosłem. Robota tutaj jest taka nudna, miałem nadzieję, że coś się zacznie dziać. Wiesz, jak to jest.

- Jasne, Pete.

- Tęsknię za starymi czasami.

Potter uściśnął mu dłoń. Rozmawiali o Joem Silbercie i jego kumplach dziennikarzach. Z początku chcieli skierować tę sprawę do prokuratora, lecz po chwili doszli do wniosku, że nie mieliby co im zarzucić. Utrudnianie pracy organom ścigania to dość śliski zarzut, a przy braku innego postępowania karnego przeciwko podejrzanym sędziowie zwykle stawali po stronie Pierwszej Poprawki. Potter ograniczył się do rozmowy z Silbertem. Podszedł z groźną miną do dziennikarza, który stał otoczony kręgiem policjantów, spokojny jak aresztowany przywódca rewolucji. Agent powiedział mu, że będzie pomagać we wszystkim wdowie po zmarłym policjancie, która niewątpliwie wniesie sprawę za spowodowanie śmierci męża przeciw stacji telewizyjnej i osobiście Silbertowi i Bigginsowi, żądając milionowego odszkodowania.

- Zamierzam być jej świadkiem - oznajmił Potter reporterowi, którego maska spadła w jednej chwili, a pod nią ukazał się przestraszony człowiek w średnim wieku o wątpliwym talencie i kiepskim statusie majątkowym.

Negocjator zasiadł z powrotem na krześle i przyglądał się przez żółte okno budynkowi rzeźni.

- Ile mamy czasu do następnego ultimatum?

- Czterdzieści pięć minut.

Potter westchnął.

- Teraz będzie ciężko. Muszę się zastanowić. Handy jest wściekły. W dużym stopniu stracił kontrolę.

- Na domiar złego - powiedziała Angie - to ty pomogłeś mu ją odzyskać. Co samo w sobie jest formą utraty kontroli.

- Czyli ma ogólną urazę, a do mnie w szczególności.

- Choć przypuszczalnie sam sobie z tego nie zdaje sprawy - odparła Angie.

- Sytuacja bez wyjścia. - Potter zatrzymał wzrok na Buddzie, który patrzył przygnębiony na rzeźnię.

Zadzwoił telefon. Tobe zdmuchnął sadzę ze słuchawki i odebrał.

- Tak - powiedział młody człowiek. - Przekażę mu. - Odłożył słuchawkę.

- Charlie, to był Roland Marks. Pytał, czy możesz się z nim teraz zobaczyć. Jest z nim ktoś, kogo masz poznać. Powiedział, że to bardzo ważne.

Kapitan nie odwrócił się od okna.

- On... gdzie on jest?

- Przy bazie na tyłach.

- Mhm. Dobra. Arthur, możemy chwilę pogadać?

- Jasne. -Wyjdziemy?

- Zaczęłaś palić na niby? - spytał Potter.

- Cały oddział przejął od Arthura tę metodę - rzekł Tobe. - Henry zaczął uprawiać wyimaginowany seks.

- Tobe - warknął znad klawiatury LeBow.

- Nie miałem na myśli nic złego, Henry - dodał młody agent. - Ja chodzę do wyimaginowanych Anonimowych Alkoholików.

Budd uśmiechnął się blado i wyszedł z Potterem z wozu. Temperatura spadła o dziesięć stopni i negocjator miał wrażenie, że jednocześnie przybrał na sile wiatr.

- O co chodzi, Charlie?

Zatrzymali się. Popatrzyli na furgonetkę i wypalone pole wokół niej - szkody spowodowane pożarem.

- Arthur, muszę ci o czymś powiedzieć. - Budd sięgnął do kieszeni i wyciągnął magnetofon. Patrzył na niego chwilę, obracając aparat w dłoniach.

- Ach, o tym? - Potter pokazał mu małą kasetę.

Kapitan zmarszczył brwi i otworzył kieszeń magnetofonu. W środku była kaseta.

- Tamta jest czysta - wyjaśnił Potter. - To specjalna kaseta. Nie da się na niej nagrywać.



Budd wcisnął przycisk odtwarzania. Z małego głośnika rozległ się szum zakłóceń.

- Wiedziałem, Charlie.

- Ale...

- Tobe ma swoje czarodziejskie sposoby. Wyniuchał sprzęt rejestrujący na taśmie magnetycznej. Zawsze szukamy na miejscu pluskiew. Powiedział mi, że ktoś ma magnetofon i że tą osobą jesteś ty.

- Wiedziałeś? - Patrzył na agenta, po czym pokręcił głową, jak gdyby w pogardzie dla samego siebie - że wyszedł na głupka w sprawie, która od początku nie wydawała mu się zbyt mądra.

- Kto to był? - spytał Potter. - Marks? Gubernator?

- Marks. Te dziewczynki... naprawdę bardzo się nimi przejmuję. W zamian za ich uwolnienie był gotów spełnić wszystkie żądania Handy'ego. Potem chciał go wytropić. Miał zainstalować jakieś specjalne urządzenie naprowadzające w śmigłowcu. Mówił, że dzięki temu namierzy się ich z odległości stu mil, a oni niczego się nie domyśla.

Potter kiwnął głową skwaszonemu kapitanowi.

- Tak przypuszczałem. Każdy, kto jest gotów poświęcić siebie, jest gotów poświęcić też innych.

- Ale jak zamieniłeś kasety? - spytał Budd.

Angie Scapello wyszła z otwartej furgonetki i skinąwszy im głową, przeszła obok Budda, dotykając lekko jego ramienia.

- Cześć, Charlie.

- Hej, Angie - odrzekł bez uśmiechu.

- Która u ciebie godzina? - zapytała go.

Spojrzał na przegub lewej ręki.

- Cholera, nie mam zegarka. Dostałem go od Meg za...

Angie podała mu jego pulsara.

Budd wszystko zrozumiał.

- Więc to tak. - Opuścił głowę jeszcze niżej, choć wydawało się to już niemożliwe. - O rany.

- Na kursie w departamencie Baltimore uczyłam rozpoznawania kieszonkowców - wyjaśniła. - Pożyczyłam sobie magnetofon, kiedy byliśmy na spacerze i rozmawialiśmy o lojalności. Wtedy zamieniłam kasety.

Budd uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Niezła jesteś. Muszę ci to przyznać. Kurczę, cały dzień coś chrzanię. Nie wiem, co powiedzieć. Zawiodłem was.

- Przyznałeś się. Nie stało się nic złego.

- To był Marks? - zapytała Angie.

- Tak. - Budd westchnął. - Z początku wydawało mi się, że ma rację - że powinniśmy zrobić wszystko, by uratować dziewczynki. Nawet dziś rano powiedziałem Arthurowi, co o tym myślę. Ale miałaś rację, życie to życie. Nieważne, czy chodzi o dziewczynkę czy policjanta. Musimy zatrzymać go tutaj.

- Doceniam szlachetne motyw Marksa - rzekł Potter. - Jednak musimy się trzymać ustalonych rzeczy. Możliwe do przyjęcia straty. Pamiętasz?

Budd zamknął oczy.

- Stary, o mały włos nie zламаłem ci kariery.

Negocjator roześmiał się.

- Wręcz przeciwnie, kapitanie. Uwierz mi, tylko ty byłeś w niebezpieczeństwie. Gdybyś dał komuś tę kasetę, skończyłaby się twoja kariera w policji.

Podenerwowany Budd wyciągnął do niego rękę.

Potter uścisnął ją serdecznie, choć Budd nie odwzajemnił uścisku, ze wstydu albo w obawie, by nie urazić opatrzonych bandażami ran na skórze agenta.

Zamilkli, a Potter spojrzał w niebo.

- Kiedy ultimatum?

Budd ponownie spojrzał na przegub, lecz po chwili zorientował się, że trzyma zegarek w prawej dłoni.

- Czterdzieści minut. Co jest? - Oczy kapitana powędrowały do tej samej żółtawej chmury, na którą patrzył Potter.

- Mam złe przeczucia. Co do tego ultimatum.

- Dlaczego?  
- Po prostu przeczucie.  
- Intuicja - powiedziała Angie. - Słuchaj go, Charlie. Zwykle się nie myli.

Budd opuścił wzrok i spostrzegł, że Potter patrzy na niego.

- Przykro mi, Arthurze, skończyły mi się pomysły.

Potter omiótł spojrzeniem trawę, tu i ówdzie poczerniała od ognia i przykryta cieniem furgonetki.

- Helikopter - nieoczekiwanie wyrzucił z siebie.

- Co?

Potter był już zdecydowany.

- Zdobądź mi helikopter.

- Myślałem, że nie chcesz, mu dać śmigłowca.

- Wystarczy mu go tylko pokazać. Duży. Co najmniej sześciuosobowy. Jak się da, większy: z ośmioma albo dziesięcioma miejscami.

- Jak się da? - wykrzyknął Budd. - Gdzie, jak ci znajdę helikopter?

Potterowi przemknęła przez głowę pewna myśl.

Lotnisko.

Gdzieś niedaleko było lotnisko. Próbował sobie przypomnieć. Skąd to wiedział? Ktoś mu mówił? Nie przejeżdżał obok żadnego lotniska. Budd mu o tym nie powiedział; Henderson też nie. Gdzie...

To Lou Handy. Porywacz wspomniał w rozmowie, że helikopter może być na lotnisku. Musiał je mijać w drodze do rzeźni.

Powiedział o tym Buddowi.

- Wiem - rzekł kapitan. - Mają tam kilka śmigłowców, ale nie wiem, czy będzie jakiś pilot. Gdyby się udało znaleźć helikopter w Wichicie, sprowadzimy go na czas. Ale, cholera, sprowadzenie pilota potrwa dłużej niż czterdzieści minut.

- Mamy tylko czterdzieści minut, Charlie. Do roboty.

- Prawda... - Melanie płacze.

De l'Epee jest jedynym człowiekiem, który nie powinien patrzeć na jej łzy. Mimo to Melanie płacze. De l'Epee wstaje z krzesła i siada na kanapie obok niej.

- Prawda jest taka - ciągnie Melanie - że nie lubię siebie, nie lubię tej osoby, którą się stałam, której jestem częścią.

Nadszedł czas, żeby wszystko wyznać i teraz nic jej nie powstrzyma.

- Mówiłam ci o tym, jak stawałam się jedną z Głuchych? Jak poświęciłam temu całe życie?

- Głucha Miss Pracy na Farmie?

- Nie chciałam tego. Ani trochę. - Zaczynały ją ponosić nerwy. - Męczyło mnie to świadome udawanie. Postępowanie ludzi ze świata Głuchych, te ich uprzedzenia - a tak, mają uprzedzenia. Zdziwiłbyś się. Uprzedzenia do mniejszości, do innych niepełnosprawnych. Mam dość tego wszystkiego! Mam dość życia bez muzyki. Mam dość ojca...

- Tak, dlaczego? - pyta.

- Mam dość tego, że wykorzystuje moją głuchotę przeciwko mnie.

- Czemu to robi?

- Bo przez to jeszcze bardziej się boję! Przez to siedzę w domu. Mówiłam ci o fortepianie? Na którym chciałam grać „Panieński grób”? Sprzedali go, gdy miałam dziewięć lat. Mimo że jeszcze słyszałam na tyle dobrze, że mogłam grać parę lat. Powiedzieli - właściwie ojciec powiedział - że nie chcą, żebym zaczęła kochać coś, co stracę. - Dodaje: - Ale naprawdę dlatego, że chciał mnie zatrzymać na farmie.

Będziesz więc w domu.

Melanie patrzy w oczy de l'Epee i mówi coś, czego nigdy nikomu nie powiedziała.

- Nie mogę go nienawidzić za to, że chciał mnie zatrzymać w domu. Ale sprzedał fortepian. Tym mnie skrzywdził. Nawet gdybym miała grać jeszcze tylko jeden dzień, lepsze to niż nic. Nigdy mu tego nie wybaczę.

- Nie mieli prawa tego robić - zgadza się. - Ale przecież udało ci się uciec. Znalazłaś pracę z dala od domu, jesteś niezależna... - Jego głos milknie. A teraz najtrudniejsze.

- O co chodzi? - pyta cicho de l'Epee.

- Rok temu - zaczyna Melanie - kupiłam sobie kilka nowych aparatów słuchowych. Na ogół żadne nie działają, ale te wychwytywały dźwięki o określonej wysokości. W Topece był recital, na który chciałam iść. Kathleen Battle. Czytałam w gazecie, że miała śpiewać jakieś pieśni gospel i pomyślałam...

- Że zaśpiewa „Pana ziemskich dróg”?

- Chciałam sprawdzić, czy coś usłyszę. Bardzo chciałam iść. Ale nie mogłam się wyrwać. Nie umiem prowadzić samochodu, a autobusem tłukłabym się w nieskończoność. Prosiłam brata, żeby mnie zawiózł. Cały dzień pracował na farmie, ale powiedział, że mnie podzuci.

- Zdażyliśmy na koncert w ostatniej chwili. Kathleen Battle wyszła na scenę w pięknej niebieskiej sukni. Uśmiechnęła się do publiczności i... zaczęła śpiewać.

- I co?

- Wszystko na nic. - Melanie głęboko oddycha, bawi się palcami. -

Wszystko...

- Dlaczego jesteś taka smutna?

- Aparaty słuchowe w ogóle nie działały. Wszystko się pomieszało. Prawie nic nie słyszałam, a dźwięki, które do mnie docierały, wydawały się brzmieć fałszywie. Wyszliśmy w przerwie. Danny robił, co mógł, żeby mnie pocieszyć. I... Melanie milknie.

- Jest coś jeszcze, prawda? Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć.

Ależ to boli. Widzi słowa tylko w myślach, lecz według podstępnych zasad panujących w jej pokoju muzycznym de l'Epee słyszy je doskonale. Nachyla się bliżej.

- Co boli? Powiedz.

Tak dużo chce mu powiedzieć. Potrafiłaby użyć miliona słów, by opisać tamten wieczór, a żadne nie oddałoby grozy, jaką wówczas przeżyła.

- Mów - zachęca de l'Epee. Tak jak zachęcał ją brat. Jak nigdy nie robił ojciec.

- Wyszliśmy z sali koncertowej i wsiedliśmy do samochodu Danny'ego.

Spytał, czy chcę iść na kolację, ale nie byłabym w stanie niczego przełknąć. Poprosiłam go, żeby jechał do domu.

De l'Epee przybliżyła się do niej. Ich kolana stykają się. Dotyka jej ręki.

- Co dalej?

- Wyjechaliśmy z miasta, dostaliśmy się na autostradę. Jechaliśmy małą toyotą Danny'ego. Sam ją wyremontował. Wszystko zrobił. Jest świetnym mechanikiem. Naprawdę niesamowitym. Jechaliśmy dosyć szybko.

Przerywa na moment, by opadła fala smutku. Smutek nigdy jej nie opuszcza, ale nabiera głęboko powietrza - przypominając sobie, że tak się robi, kiedy się chce coś powiedzieć - i stwierdza, że może mówić dalej.

- Rozmawialiśmy w samochodzie. De l'Epee kiwa głową.

- Ale rozmawialiśmy w języku migowym. Czyli musieliśmy na siebie patrzeć. Ciągłe pytał, dlaczego jestem smutna, czy to przez aparaty słuchowe, czy mam żal, czy ojciec męczył mnie sprawą farmy... Wciąż...

Znów bierze głęboki oddech.

- Danny patrzył na mnie zamiast na drogę. O, Boże... nagle zjawiła się tuż przed nami. Nie widziałam, skąd nadjechała.

- Co?

- Ciężarówka. Wielka, z ładunkiem metalowych rur. Chyba zmieniała pas ruchu, kiedy Danny nie patrzył i... Boże, nic już nie mógł zrobić. Te wszystkie rury pędziły na nas tysiąc mil na godzinę...

Krew. Mnóstwo krwi.

- Wiem, że hamował i próbował skręcić. Ale było za późno. Nie... och, Danny..

Krew trysnęła jak z podciętego gardła cielaka.

- Prawie że zjechał na bok, ale jedna rura przebiła się przez przednią szybę...

De l'Epee ściska jej dłoń.

- Mów - szepcze.

- Ta rura... - Prawie nie może tego wykrztusić. - Rura odcięła mu rękę. Jak krew spływająca rynienkami do tej strasznej studzienki pośrodku

ubojni.

- Przy samym barku. - Zaczyna szlochać na to wspomnienie. Krew.

Zdumienie na twarzy brata, który odwrócił się do niej i długo coś mówił, czego nie mogła zrozumieć, a nie miała sumienia prosić go, by powtórzył.

Krew trysnęła na dach samochodu i rozlała się na jego kolanach, a Melanie, krzycząc w przerażeniu, próbowała nałożyć jakąś opaskę na kikut. Ona, która nie umiała wydać głosu. Danny, wciąż przytomny, kiwając głową, siedział zupełnie oniemiały.

Melanie mówi do de l'Epee:

- Parę minut później przyjechała karetka i sanitariusze zatamowali krwotok. Uratowali mu życie. Zawieźli go do szpitala i lekarze w ciągu kilku godzin przyszyli rękę. Przez ostatni rok przeszedł mnóstwo operacji. Jutro też ma operację - w St. Louis. Są tam już moi rodzice. Myślą, że odzyska pięćdziesiąt procent władzy w ręce. Jeżeli będzie miał szczęście. Ale po tym wszystkim farma w ogóle przestała go interesować. Prawie cały czas leży w łóżku. Czyta, ogląda telewizję. To wszystko. Jak gdyby jego życie skończyło się po tym, jak...

- To nie była twoja wina - mówi de l'Epee. - Winisz się za to, prawda?

- Kilka dni po wypadku ojciec zawołał mnie na werandę domu. To zabawne, ale wszystko, co mówi, rozumiem z ruchu ust. (Jak u Brutusa, myśli, wolałabym, żeby tak nie było).

- Usiadł na huśtawce, popatrzył na mnie i powiedział; „Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś. Nie miałaś prawa namawiać Danny'ego na tę głupią wyprawę. Tylko i wyłącznie dla własnej przyjemności. Jesteś winna nie ma co do tego dwóch zdań. To tak jakbyś uruchomiła silnik w kombajnie do zbierania kukurydzy, gdyby coś się zacięło, a Danny grzebałby w środku.

Bóg odebrał ci słuch, czego nikt nie chciał. To wstyd, ale nie grzech, dopóki rozumiesz, jak powinnaś postępować. Wróć do domu i spróbuj naprawić to, co zrobiłaś. Po zakończeniu roku rzuć pracę w szkole. Jesteś to winna bratu. A zwłaszcza mnie.

Tu jest twój dom i zawsze tu będziesz mile widziana. Rozumiesz, to kwestia przynależności i tego, co robi Bóg, by ludzie zostawali tam, gdzie powinni. Twoje miejsce jest tutaj, możesz tu pracować i przez swój, hm, problem nie wpadniesz w żadne kłopoty. Wola boska. - A potem pojechał spryskać pole nawozem, mówiąc: - Będziesz więc w domu.

To nie było pytanie. To był rozkaz. Wszystko już postanowione. Nie ma dyskusji. Chciał, żebym przyjechała do domu w maju. Ale wstrzymałam się przez parę miesięcy. Wiem, że w końcu ustąpię. Zawsze ustępuję. Chciałam po prostu mieć jeszcze te kilka miesięcy dla siebie. - Wzrusza ramionami. - Gram na zwłokę.

- Nie chcesz farmy?

- Nie! Chcę muzyki. Chcę ją słyszeć, nie tylko czuć wibracje... Chcę słuchać szeptu ukochanego, gdy znajdę się z nim w łóżku. - Nie mogła uwierzyć, że mówi mu o takich intymnych sprawach - o których nigdy z nikim nie rozmawiała. - Nie chcę już być dziewczicą.

Skoro już zaczęła, wyznaje wszystko.

- Nie cierpię poezji, w ogóle mnie nie obchodzi! To głupie. Wiesz, co chciałam robić w Topece? Po występie w teatrze? Miałam umówione spotkanie. - Jego ramiona otaczają ją, a Melanie przytula się do niego, kładzie mu głowę na ramieniu. Podwójnie dziwne uczucie: być tak blisko mężczyzny i porozumiewać się z nim, nie patrząc na niego. - Jest coś takiego jak wszczepy ślimakowe. - Musi na chwilę przerwać, po czym ciągnie: - W uchu wewnętrznym montują elektroniczny chip. Łączą go przewodem z tym czymś, procesorem mowy, który zmienia dźwięki w impulsy przewodzone do mózgu... Nie mogłam o tym powiedzieć Susan. Chciałam kilkanaście razy. Ale nienawidziłaby mnie za to. Nienawidziła samej myśli, że można próbować leczyć głuchotę.

- Te implanty działają?

- Mogłam spróbować. Mam dziewięćdziesięcioprocentowy obustronny ubytek słuchu, ale to stan przeciętny. Potrafię jednak usłyszeć dźwięki w pewnych rejestrach i implant mógłby je wzmocnić. Jednak nawet gdyby nie działały, jest coraz więcej rzeczy do wypróbowania. Przez najbliższe pięć, sześć lat będzie dużo coraz nowocześniejszych rzeczy, które mogą się przydać takim jak ja - głuchym ludziom na wsiach, sprzedawcom i po prostu zwykłym ludziom, którzy chcą słyszeć.

Myśli: a ja chcę słyszeć... Chcę słyszeć, jak szepczesz mi do ucha, kiedy się Kochamy.

- Ja... - Usta de l'Epee poruszają się, lecz głos powoli zanika.

Cichnie i cichnie, by wreszcie zupełnie umilknąć.

Nie! Mów do mnie. Co się stało?

Lecz teraz w drzwiach pokoju muzycznego staje Brutus. Co tu robisz?

Wyjdź! Wynos się! To mój pokój. Nie chcę, żebyś tu przychodził!

Uśmiecha się, spoglądając na jej uszy.

- Prawdziwy wybryk natury - mówi.

Potem oboje znaleźli się w ubojni i Brutus wcale nie mówił do niej, tylko do Niedźwiedzia, który stał ze skrzyżowanymi w obronnym geście ramionami. Napięcie unosiło się między nimi jak gęsty dym.

- Wydałeś nas? - spytał Niedźwiedzia Brutus.

Niedźwiedź pokręcił głową, mówiąc coś, czego Melanie nie zrozumiała.

- Odebrali je na zewnątrz. Te dwie najmniejsze.

Bliźniaczki! Były bezpieczne! Melanie przekazała tę wiadomość Beverly i Emily. Młodsza rozpromieniła się w uśmiechu, zaczynając drżącymi palcami składać dziękczynne modlitwy.

- Ty je wypuściłeś, nie? - mówił do Niedźwiedzia Brutus. - Od początku miałeś taki plan.

Niedźwiedź kręcił głową. Znów coś powiedział.

- Rozmawiałem z... - warknął Brutus.

- Z kim? - zdawało się, że spytał Niedźwiedź.

- Z prokuratorem, z którym się umówiłeś.

Twarz Niedźwiedzia pociemniała.

- Kłamstwo. Stary, kurwa, to kłamstwo.

Zza niego wynurzył się Gronostaj, mówiąc coś. Niedźwiedź wycelował oskarżycielski palec w Melanie.

- To ona. Ona...

Brutus odwrócił się w jej stronę. Zmierzyła go zimnym spojrzeniem, po czym wstała i ruszyła po mokrych płytkach posadzki, niemal krztusząc się od duszącego zapachu benzyny. Zatrzymała się tuż przy Donnie Harstrawn. Dała Brutusowi znak, by się zbliżył. Z oczyma utkwionymi w twarzy Niedźwiedzia, Melanie uniosła jej spódnicę, ukazując zakrwawione uda kobiety. Głową wskazała Niedźwiedzia.

- Ty mała dziwko! - Niedźwiedź zrobił krok w jej stronę, ale Brutus chwycił go za ramię i wyrwał mu z pasa broń, rzucając ją do Gronostaja.

- Głupi skurwielu!

- No i co? Zerznąłem ją, i co z tego?

Brutus uniósł brew, a potem wy dobył pistolet. Odciągnął kurek, który zaraz wskoczył z powrotem na miejsce, później nacisnął jakiś guzik i wyciągnął metalowy magazynek, w którym trzyma się resztę naboju. Włożył pistolet do ręki Melanie. Broń była zimna jak kamień, ale dotknąwszy kolby, Melanie z przerażeniem poczuła, jak gdyby przebiegł ją prąd elektryczny.

Niedźwiedź coś wymamrotał; kątem oka Melanie dostrzegła, że jego usta się poruszają. Nie mogła jednak oderwać oczu od pistoletu. Brutus stanął za nią i skierował lufę prosto w pierś Niedźwiedzia. Przytrzymał rękoma jej dłonie. Poczuła kwaśną woń niemytego ciała.

- Co ty! - Niedźwiedź miał groźną minę. - Przestańcie sobie robić ja...

Brutus coś do niej mówił; czuła na twarzy wibracje, ale nic nie rozumiała. Wyczuwała jego silne podniecenie, sama też czuła coś podobnego - jakby miała gorączkę. Niedźwiedź uniósł ręce. Znów coś mamrotał. Potrząsnął głową.

Broń parzyła ją, jak gdyby była radioaktywna. Niedźwiedź odsunął się trochę, a Brutus skorygował położenie pistoletu, by lufa cały czas mierzyła w jego pierś. Melanie stanęło przed oczami jego cielsko na biednej pani Harstrawn. Przypomniała sobie, jak patrzył na szczupłe nóżki bliźniaczek, na ich płaską pierś. Naciśnij spust, pomyślała. Naciśnij! Zaczęła się jej trząść ręka.

Znów poczuła wibracje słów Brutusa. Usłyszała w głowie jego nierzeczywisty głos, dziwnie spokojny i kojący.

- Zrób to - powiedział.

Dlaczego to nie chce strzelać? Przecież rozkazuję mojemu palcowi nacisnąć spust.

Nic.

Niedźwiedź płakał. Po jego tłustych policzkach płynęły łzy, wpadały w gęstą brodę.

Dłoń Melanie trzęsła się coraz bardziej. Brutus przytrzymał ją mocniej.

I wtedy pistolet lekko szarpnął w tył. Melanie wstrzymała oddech, czując na twarzy gorący podmuch z lufy. Na piersi Niedźwiedzia ukazała się mała czerwona kropeczka, a grubas złapał się za ranę i patrząc przed siebie, runął na wznak.

Pistolet sam wystrzelił! To nie ja, nie ja!

Przysięgam!

Powtarzała to sobie, a jednak... jednak wcale nie była taka pewna. W ogóle nie była pewna. Przez chwilę - tuż przed tym, jak uświadomiła sobie grozę tego, co się wydarzyło - byłaby wściekła, gdyby to nie ona okazała się odpowiedzialna za jego śmierć. Gdyby to palec Brutusa ostatecznie pociągnął za spust.

Brutus odsunął się i z powrotem załadował magazynek, po czym pociągnął kurek, który wskoczył na miejsce.

Usta Niedźwiedzia poruszały się, oczy wydawały się ciemne. Patrzyła na twarz nędznika, który zdawał się oskarżać wszystkich o spisek przeciw sobie, za co musiał zapłacić życiem. Melanie nie próbowała nawet zrozumieć, co mówił.

Pomyślała: czasem głuchota bywa błogosławieństwem.

Brutus przeszedł obok Melanie i spojrzał na Niedźwiedzia. Coś do niego powiedział. Strzelił mu w nogę, która drgnęła spazmatycznie. Twarz Niedźwiedzia skurczyła się z bólu. Po chwili Brutus strzelił w drugą nogę. Wreszcie spokojnie wymierzywszy, strzelił w wielki brzuch. Ciało Niedźwiedzia zadygotało, wyprężyło się, a potem znieruchomiało.

Melanie rzuciła się na podłogę, przygarniając do siebie Emily i Beverly.

Brutus schylił się i przyciągnął ją blisko siebie. Jego twarz znajdowała się kilka cali od jej twarzy.

- To nie dlatego, że zerznął starą. Dlatego że nie zrobił tego, co mu kazałem. Pozwolił uciec tym małym i chciał nas zakapować. Siadaj tu i siedź.

Jak mogę rozumieć jego słowa, skoro nie rozumiem jego samego?

Jak? - zastanawia się Melanie. Słyszę go doskonale, jak ojca.

Będiesz więc w domu...

Jak to możliwe?

Oczy Brutusa zmierzyły ją od stóp do głów, jak gdyby świetnie znał odpowiedź na to pytanie i czekał, aż to do niej dotrze. Potem spojrzał na zegarek, pochylił się i złapał za ramię Emily. Pociągnął ją do głównego pomieszczenia; dziewczynka składała dłonie w rozpaczliwej modlitwie.

Handy śpiewał.

Rozmawiali z Potterem przez telefon. Potter zadzwonił, pytając:

- Lou, co u was? Zdaje się, że słyszałem strzały.

Na melodię „Streets of Laredo” Handy całkiem niezłym głosem zanucił:

- U mnie na zegarku pozostał kwadransik...

- Słyszę, że jesteś w dobrym nastroju, Lou. Jak stoicie z jedzeniem?

W jego głosie nie było słyhać niepokoju. Czy to naprawdę były strzały?

- Rzeczywiście, trochę się ożywiłem. Ale nie mam ochoty rozmawiać o swoim nastroju. To chyba nudne, nie? Opowiedz mi o moim złotym helikopterze, który już do nas leci. Dostanę taki z brylantowym wirnikiem, Art? I żeby w kabinie siedziała jakaś cycata laska.

Co to były za strzały?

Spoglądając w monitor pokazujący obraz z wycelowanej w okno rzeźni kamery z obiektywem teleskopowym, zobaczył dziesięcioletnią jasnowłosą Emily Stoddard o wielkich oczach i trójkątnej twarzyczce. Przy jej policzku błyszczał nóż Handy'ego.

- Chce ją zranić - szepnęła Angie. Po raz pierwszy dzisiaj w jej głosie było słycać napięcie. Tak jak Potter wiedziała, że Handy to zrobi.

- Lou, mamy już helikopter. Jest w drodze.

Dlaczego tak się dobrze trzyma? Po tak długim czasie większość porywaczy chodziła już po ścianach. Zrobiliby wszystko, żeby dobić interesu.

- Zaczekaj chwilę, Lou. To chyba pilot. Zaczekaj, zaraz do ciebie wrócę.

- Nie trzeba. Helikopter ma być za czternaście minut.

- Zaczekaj, dobrze?

Potter wcisnął przycisk wyciszenia i spytał:

- Co ty na to, Angie?

Agentka patrzyła przez okno. Nagle powiedziała:

- Nie żartuje. Naprawdę to zrobi. Już się nie chce targować. I wciąż jest wściekły z powodu szturmu.

- Tobe?

- Nikt nie odbiera.

- Cholera. Przecież nosi telefon w kieszeni?

- Lou, jesteś tam jeszcze?

- Czas płynie, Art.

Potter postarał się, żeby w jego głosie zabrzmiało roztargnienie.

- Aha, powiedz mi, Lou, co to były za strzały?

Stłumiony chichot.

- Ciekawy jesteś, co?

- To były strzały?

- Nie wiem. Może coś strzelało ci w głowie. Może czujesz się winny za przypadkową śmierć tego gliniarza po tym, jak przypadkowo próbowaliście nas zaatakować. I miałeś taki omam słuchowy.

- Wydawało się nam, że to prawdziwe strzały.

- Może Sonny przypadkiem się postrzelił, kiedy czyścił broń.

- To co się stało?

- Szkoda, jeżeli ktoś liczył, że Sonny będzie świadkiem, ale tak się nieszczęśliwie stało, że czyścił glocka, nie sprawdzając, czy w komorze jest pocisk.

- Nikt od nas się z nim nie porozumiewał, Lou.

- W każdym razie teraz na pewno się nie porozumie. Głowę za to daję.

LeBow i Angie spojrzeli na Pottera.

- Bonner nie żyje? - spytał Handy'ego negocjator.

Zrobiłeś kiedyś coś złego, Art?

- Masz dwanaście minut - odrzekł wesoło Handy.

Trzask.

- Mam go. Budd - powiedział Tobe.

Potter chwycił słuchawkę.

- Charlie, to ty?

- Jestem na lotnisku, mają helikopter. Ale nie mogę znaleźć nikogo, kto by poleciał.

- Musi ktoś być.

- Tu jest szkoła lotnicza i jakiś facet mieszka z tyłu budynku, ale nie otwiera drzwi.

- Za dziesięć minut musi tu być helikopter, Charlie. Wystarczy przelecieć nisko nad rzeką i posadzić go na tym dużym polu na zachodzie. Pół mili stąd. To wszystko.

- Wszystko? O, rany.

- Powodzenia, Charlie - powiedział Potter, ale Charliego nie było już po drugiej stronie.

Charlie Budd przebiegł pod wielkim helikopterem sikorsky. Był to stary model, jeden z tych, które wylądowały z oceanu kosmonautów po wodowaniu, w czasach gdy NASA prowadziła projekty Gemini i Apollo. Maszyna była pomalowana na

pomarańczowo, czerwono i biało - w barwy Straży Przybrzeżnej - choć znaki dawno już zamalowano.

Lotnisko było małe, bez wieży kontrolnej. Za trawiastym pasem startowym powiewał tylko rękaw lotniczy. Na ziemi stało kilka maszyn - pipery i cessny - starannie zabezpieczonych przed częstymi tutaj trąbami powietrznymi.

Budd walnął pięścią w drzwi małej budy, która stała za jednym z hangarów. Tabliczka obok drzwi głosiła: „Szkola Helikopterowa, D. D. Pembroke. Lekcje, loty. Godzinne i całodzienne”.

Mimo napisu można było odnieść wrażenie, że znajduje się tu przede wszystkim mieszkanie. Na progu leżała sterta listów, a przez okienko w drzwiach Budd zobaczył żółte światło, niebieski kosz z ubraniami i zwisającą z końca łóżka stopę. Przez dziurę w skarpecie przeziierał goły palec.

- Otwierać! - Budd załomotał jeszcze mocniej. - Otwierać, policja!

Palec u nogi drgnął, zatoczył koło i znieruchomiał.

Kapitan znów zaczął walić pięściami w drzwi.

- Otwierać!

Właściciel palca chyba głęboko spał.

Pod łokciem Budda okno ustąpiło bardzo łatwo. Otworzył od wewnątrz drzwi i wszedł do środka.

- Halo, proszę pana!

Na łóżku leżał mężczyzna na oko sześćdziesięcioletni, ubrany w kombinezon i koszulkę. Jego rozczochrane jasne włosy sterczały na wszystkie strony. Chrapał donośnie jak silnik sikorski'ego.

Budd chwycił go za ramię i brutalnie potrząsnął.

D. D. Pembroke, jeśli to istotnie był D. D. Pembroke, na chwilę otworzył załzawione, przekrwione oczy, spojrzął na Budda i przewrócił się na drugi bok. Przynajmniej przestał chrapać.

- Proszę pana, jestem z policji stanowej. To bardzo pilne. Niech się pan obudzi! Natychmiast potrzebujemy helikoptera.

- Odejdź - wymamrotał Pembroke.

Budd poczuł woń jego oddechu i stwierdził, że mężczyzna tuli do siebie opróżnioną butelkę dewara niczym uśpionego kotka.

- Niech to szlag. Halo, proszę pana. Musi pan polecieć helikopterem.

- Nie mogę lecieć. Nie mogę. Idź stąd. - Pembroke nie poruszył się ani nie otworzył oczu. - Jak się pan tu dostał? - zapytał bez cienia ciekawości.

Kapitan odwrócił go i potrząsnął za ramiona. Butelka spadła na betonową podłogę i stłukła się.

- Pan jest Pembroke?

- Tak. Cholera, to była moja butelka.

- Niech pan posłucha, chodzi o sprawę na szczeblu federalnym. - Budd dostrzegł słoik kawy rozpuszczalnej stojący na zaśmieconym i lepiącym się od brudu stoliku. Odkręcił wodę nad zardzewiałym zlewem i nie czekając, aż się ogrzeje, napełnił kubek. Potem wysypał do zimnej wody cztery kopiaiste łyżeczki kawy i wetknął brudny kubek w ręce Pembroke'a.

- Niech pan to wypije. Musimy ruszać. Chcę, żebyśmy polecieeli helikopterem do rzeźni przy drodze, niedaleko stąd.

Pembroke, nie otwierając oczu, powąchał zawartość kubka.

- Jakiej rzeźni? Co to za syf?

- Do rzeźni nad rzeką.

- Gdzie moja butelka?

- Niech pan to wypije, to pana postawi na nogi. - Granulki kawy nie rozpuściły się; unosiły się na powierzchni jak grudki brązowego lodu. Pembroke upił mały łyk, po czym splunął na łóżko i rzucił kubkiem.

- Jeeezu!

Dopiero teraz zorientował się, że stoi przy nim człowiek w niebieskim garniturze i kamizelce kuloodpornej.

- Kim pan jest, do kurwy nędzy? Gdzie moja...

- Muszę mieć helikopter. Natychmiast. Operacja federalna, wyjątkowa sytuacja. Musimy polecieć do rzeźni nad rzeką.

- Tam? Do tej starej? Przecież to trzy mile. Szybciej pan będzie samochodem. Kurwa, nawet pieszo! Jezu słodki... moja głowa. Uuuuu...



- Muszę tam lecieć śmigłowcem. Mam upoważnienie, by zapłacić panu każdą sumę.

Pembroke opadł na łóżko. Jego oczy zaczynały się zamykać. Budd pomyślał, że nawet gdyby udało mu się wystartować, prędzej czy później obaj by zginęli.

- Chodźmy. - Policjant złapał go za paski kombinezonu.

- Kiedy?

- Teraz. Natychmiast.

- Nie mogę latać, kiedy chce mi się spać.

- Spać. No, dobrze. Ile pan sobie liczy za lot?

- Sto dwadzieścia za godzinę.

- Zapłacę pięćset.

- Jutro. - Zamierzał się znów położyć. Oczy mu się kleiły; zaczął szukać po omacku butelki. - Niech pan stąd lepiej spada.

- Otwórz pan oczy.

Pembroke spełnił polecenie.

- Cholera - mruknął, widząc przed sobą lufę czarnego pistoletu automatycznego.

- Proszę pana - zaczął Budd cichym i uprzejmym tonem. - Teraz pan wstanie i pójdzie do helikoptera. Polecimy dokładnie tam, gdzie panu każe. Rozumiemy się?

Skinienie głową.

- Jest pan trzeźwy?

- Jak świnia - odparł Pembroke. Przez całe dwie sekundy miał otwarte oczy, a potem znów opadł z sił.

Melanie opierała się o ścianę, gładząc jasne, zlepione potem włosy Beverly. Biedna dziewczynka z trudem łapała każdy oddech.

Młoda kobieta wychyliła się i wyjrzała za drzwi. Emily stała w oknie, zalewając się łzami. Brutus odwrócił się raptownie, popatrzył na Melanie i dał jej znak, by podeszła.

Nie idź, powiedziała sobie. Musisz stawiać opór.

Po chwili wahania wyszła z ubojni i zbliżyła się do niego.

Idę, bo nie mogę się powstrzymać.

Idę, bo on tego chce.

Poczuła na ciele chłód bijący od podłogi, od zwisających z góry metalowych łańcuchów i haków na mięso, od strumyczków tłustej wody, wilgotnych ścian pokrytych plamami pleśni i bardzo starej krwi.

Idę, bo się boję.

Idę, bo razem z nim zabiłam człowieka.

Idę, bo go rozumiem...

Brutus pociągnął ją bliżej.

- Myślisz, że jesteś ode mnie lepsza, co? Uważasz się za dobrego człowieka. - Mogłaby przysiąc, że powiedział to szeptem. Twarze ludzi zmieniają się, gdy szepczą. Wyglądają, jak gdyby mówili szczerą prawdę, lecz w rzeczywistości starają się nadać kłamstwu pozory wiarygodności.

„Dlaczego go sprzedajemy? Skarbie, dobrze wiesz, co powiedział lekarz. Chodzi o twoje uszy. Oczywiście, jeszcze trochę słyszysz, ale będzie coraz gorzej, pamiętaj, co ci powiedzieli. Lepiej, żebyś nie zaczynała czegoś, z czego po kilku latach będziesz musiała zrezygnować. Robimy to dla ciebie”.

- Widzisz, za jakieś trzy minuty, jeżeli nie przyleci śmigłowiec, zranię ją nożem. Zabiłbym ją, gdybym miał więcej zakładniczek. Ale nie mogę sobie pozwolić na stratę następnej. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Emily stała ze złączonymi dłońmi i patrzyła za okno, a jej ciałem wstrząsał szloch.

- Widzisz... - Brutus mocno zacisnął na jej ramieniu palce. - Gdybyś była dobrym człowiekiem, naprawdę dobrym, powiedziałaabyś: „Weź mnie, nie ja”.

Przestań!

Uderzył ją w twarz.

- Nie, nie zamykaj oczu. Jeżeli więc nie jesteś tak do końca dobra, musi być w tobie coś złego. Gdzieś w środku. Pozwalasz, żebym zranił małą zamiast ciebie. Przecież byś nie umarła. Nie zabiję jej. Zadani jej tylko trochę bólu.

Żeby ci skurwiele tam... wiedzieli, że nie żartuję. To co, nie jesteś gotowa znieść trochę bólu dla swojej przyjaciółki? Jesteś zła... tak jak ja?

Potrząsnęła głową.

Brutus odwrócił głowę; Gronostaj także. Domyśliła się, że zadzwonił telefon.

- Nie odbieraj - powiedział do Gronostaja Brutus. - Za dużo tego gadania. Zmęczony już jestem... - Przesunął kciukiem po ostrzu noża. Melanie zamarła. - Chcesz? Chcesz stanąć na jej miejscu? - Nożem zakreślił w powietrzu ósemkę.

Co by zrobiła Susem?

Melanie wahała się, choć dobrze znała odpowiedź. Wreszcie skinęła głową.

- Tak - powiedział, unosząc brwi. - Poważnie?

- Dwie minuty - zawołał Gronostaj.

Melanie jeszcze raz kiwnęła głową, po czym objęła pochlipującą Emily, nachyliła się do policzka dziewczynki i delikatnie odsunęła ją od okna.

Brutus pochylił się, zbliżając nos do ucha Melanie. Naturalnie nie słyszała jego oddechu, lecz miała wrażenie, jakby wciągał w nozdrza jakąś woń - zapach jej strachu. Oczy utkwiała w noż. Który wędrował po jej skórze: po policzku, nosie, potem ustach i szyi. Poczuała, jak stal ostrza przesunęła się na pierś i niżej, na brzuch.

Poczuała też wibrację jego głosu, więc odwróciła się, by spojrzeć na jego usta:

- ...mam cię ciąć? W cycek? Mała strata - przecież nie masz chłopaka, który by cię macał, nie? Ucho? To też by było bez sensu... Widziałaś ten film „Wściekłe psy”?

Ostrze uniosło się i prześliznęło po jej policzku.

- A może oko? Głucha i ślepa. Dopiero by było z ciebie dziwo.

Nie mogła dłużej tego znieść i zamknęła oczy. Próbowwała przypomnieć sobie melodię „Pana ziemskich dróg”, ale nie potrafiła wygrzebać jej z pamięci. „Panieński grób”...

Nic, nic, tylko cisza. Muzyka może być wibracją lub dźwiękiem, ale nie jednym i drugim.

Nawet dla mnie.

No, pomyślała, rób, co masz zrobić, i skończmy z tym.

Lecz nagle odepchnął ją brutalnie. Otworzyła oczy, łapiąc równowagę. Brutus śmiał się. Zrozumiała, że cała scena poświęcenia się za Emily to tylko zabawa. Znów bawił się jej kosztem. Powiedział:

- Nie, nie. Wobec ciebie, myszko, mam inne plany. Będiesz prezentem dla mojej Pris.

Przekazał ją w ręce Gronostaja, który chwycił ją mocno. Szamotała się, lecz uchwyt miał jak imadło. - Brutus pociągnął Emily z powrotem do okna. Wzrok dziewczynki na chwilę spotkał się z oczyma Melanie i Emily znów złożyła ręce, modląc się z płaczem.

Brutus objął ramieniem głowę Emily i podniósł ostrze noża na wysokość jej oczu.

Melanie bezskutecznie szarpała się w żelaznym uścisku Gronostaja.

Brutus spojrział na zegarek.

- Czas minął.

Emily łkała; jej złączone palce drżały, odmawiając gorączkowe modlitwy.

Brutus mocniej ścisnął zakleszczoną głowę dziewczynki. Odsunął o kilka cali dłoń trzymającą nóż, celując ostrzem dokładnie w środek jej zamkniętego prawego oka.

Gronostaj odwrócił wzrok.

Nagle jego ramiona drgnęły jak gdyby w zaskoczeniu. Spojrział prosto w ciemny sufit.

Brutus także.

Wreszcie Melanie poczuła.

Dobiegające z góry głuche dudnienie, jak werbel na kotłach. Zbliżyło się, przechodząc w ciągły dźwięk, jaki z kontrabasu może wydobyć smyczek. Niesłyszalny ton, który Melanie poczuła na twarzy, ramionach, gardle i piersi.

Muzyka to dźwięk albo wibracja. Nigdy jedno i drugie.

Przelatywał nad nimi helikopter.

Brutus wychylił się przez okno i spojrział w niebo. Kościstymi palcami odblokował i złożył nóż; Melanie przypuszczała, że rozległ się przy tym głośny trzask. Zaśmiał się i powiedział coś do Gronostaja; tym razem Melanie nie zrozumiała ani słowa, co z jakiegoś powodu bardzo ją rozzłościło.

21.31

- Coś blado wyglądasz, Charlie.

- Przez tego pilota - powiedział do Pottera Budd, wchodząc chwiejnym krokiem do furgonetki. - Rany, już myślałem, że się przekręcę. Facet w ogóle nie trafił w pole, posadził śmigłowiec pośrodku trzysta czterdziestej szóstej, prawie na dachu ciężarówki. Mówię wam, co za przeżycie. Potem wyrzygał się przez okno i zasnął. Ja wytrzymałem, dopóki nie zatrzymał się silnik. Ten zapach tutaj nie najlepiej mi robi na żołądek. - Po wzorowej postawie Budda nie został nawet ślad; kapitan ciężko opadł na krzesło.

- Dobra robota, Charlie - powiedział Potter. - Handy zgodził się dać nam jeszcze trochę czasu. Lada chwila przyjedzie oddział HRT.

- A co potem?

- Zobaczymy, co nam przyniesie los - rzekł w zamyśleniu Potter.

- Kiedy do was jechałem - mówił Budd, patrząc prosto w oczy Pottera - słyszałem komunikat. W środku padł strzał?

LeBow przerwał pisanie.

- Handy zastrzelił Bonnera - rzekł wywiadowca. - Tak się nam wydaje.

- Moim zdaniem Handy i Wilcox - ciągnął Potter - potraktowali nasz manewr bardziej serio, niż się spodziewaliśmy - o tym, że Bonner ma z nami układ. Podejrzewali, że ich zakapował.

- Nic nie mogliśmy zrobić - powiedział od razu LeBow. - Nie domyśliliśmy się.

- Nie dało się przewidzieć - rzekł Tobe głosem cyborga z jednej z powieści fantastycznych, które ciągle czytał.

Charlie Budd - fałszywy prokurator, naiwniak z policji stanowej - był jedyną uczciwą osobą z całej grupy, bo tylko on milczał. Dalej patrzył na Pottera, aż ich spojrzenia się skrzyżowały. Oczy młodego człowieka mówiły: rozumiem, że wiedziałeś, co się stanie, już wtedy, gdy dałeś mi ten scenariusz; od początku Potter zamierzał posłużyć się Buddem, by zasiać między Handym a Bonnerem ziarno nieufności.

Lecz w jego spojrzeniu było coś jeszcze. Jego wzrok mówił: w porządku, Potter, wykorzystałeś mnie, żeby zabić człowieka. Zagrałeś fair; w końcu to ja cię szpiegowałem. Ale teraz nasze grzechy się wyrównały, zniosły się nawzajem. Co się stało w wyniku tej wzajemnej zdrady? Pozbyliśmy się jednego porywacza, i dobrze. Już nic ci nie jestem winien.

Zadzwoił telefon - komórka Budda. Kapitan odebrał. Słuchał przez chwilę, co jakiś czas kwitując wiadomości znaczącym „mhm”. Potem zakrył mikrofon.

- Co powiecie na to? Dzwoni mój komendant wydziału, Ted Franklin. Mówi, że w McPherson, niedaleko stąd, mieszka policjantka, która negocjowała z Handym kilka lat temu w napadzie na sklep. Franklin chce wiedzieć, czy ma ją do nas sprowadzić, żeby pomogła.

- Handy poddał się wtedy?

Budd przekazał pytanie i wysłuchał odpowiedzi, po czym rzekł:

- Poddał się. Zdaje się, że nie było żadnych zakładników. Wszystkim udało się uciec, a jednostka antyterrorystyczna miała zaraz szturmować. Zupełnie inaczej niż tu.

Potter i LeBow spojrzeli po sobie.

- Dobra, niech przyjedzie - powiedział negocjator. - Bez względu na to, czy będzie nam mogła pomóc bezpośrednio, czy nie, już widzę, jak Henry się oblizuje na myśl, że będzie miał co dodać do swoich ksiąg.

- Rzeczywiście.

Budd przekazał dowódcy informację, a Potter przez chwilę pocieszył się myślą, że będzie miał nowego sojusznika. Wyciągnął się na krzesło, myśląc głośno:

- Może da się uwolnić jeszcze jedną albo dwie zakładniczki przed przyjazdem HRT?

- Co można mu jeszcze dać? - spytała Angie. - Coś, o co nie prosił? LeBow przewinał informacje na ekranie.

- Prosił o transport, jedzenie, alkohol, broń, kamizelki, elektryczność...

- Normalne rzeczy - stwierdziła Angie. - Każdy porywacz ma takie same żądania.

- Ale nie chciał pieniędzy - odezwał się nagle Budd.

Marszcząc brwi, Potter zerknął na część tablicy z napisem „Obietnice”, gdzie notowali wszystko, co dotychczas dali Handy’emu.

- Masz rację, Charlie.

- Nie chciał? - zdziwiła się Angie.

LeBow pogrzebał w swoich informacjach, po czym potwierdził, że Handy ani razu nie wspominał o pieniądzach.

- Jak na to wpadłeś? - zwrócił się do kapitana.

- Widziałem w jednym filmie - wyjaśnił Budd.

- To porwanie ma konkretny cel - zauważył LeBow. - Handy nie liczy na żaden zysk. Uciekł z więzienia.

- Tamten facet też - rzekł Budd. Potter i LeBow spojrzeli na kapitana, który zarumienił się i dodał: - ten z filmu. Grał go chyba Gene Hackman. A może grał twoją rolę, Arthur. Hackman to dobry aktor.

- Zgadzasz się z Charliem, Henry - powiedziała Angie. - To prawda, że wielu porywaczy kryminalistów nie chce pieniędzy. Ale Handy ma w sobie coś z najemnika. Większość zarzutów, pod jakimi go przedtem aresztowano, dotyczyła kradzieży.

- Spróbujmy więc kupić ze dwie zakładniczki - rzekł Potter. - Co mamy do stracenia? - Zwrócił się do Budda: - Możesz zdobyć jakąś gotówkę?

- O tej porze?

- Natychmiast.

- Jezu, chyba tak. W centrali powinni mieć coś pod ręką. Może dwieście.

Wystarczy?

- Mam na myśli sto tysięcy dolarów w banknotach o różnych numerach serii i w niskich nominałach. W ciągu, powiedzmy, dwudziestu minut.

- A - powiedział Budd. - To nie dam rady.

- Zadzwoń do DEA\* [Drug Enforcement Administration - agencja ds. walki z handlem narkotykami (przyp. tłum.)] - odezwał się LeBow. - Powinni mieć jakieś pieniądze na zakup, w Topece albo Wichicie. Zrobimy przekaz między agencjami. - Dał znak Tobe’emu, który znalazł w książce i wstukał odpowiedni numer telefoniczny. LeBow zaczął mówić do mikrofonu zamontowanego do słuchawek w podobny sposób, w jaki stukał w klawisze komputera - cicho i szybko.

Potter wzięł swój telefon i zadzwonił do Handy’ego.

- Cześć, Art.

- Co u ciebie, Lou? Gotowy do startu?

- Jasna sprawa. Polecieć do przytulnej ciepłej chaty... albo do hotelu.

Albo na bezludną wyspę.

- Gdzie dokładnie, Lou? Może wpadnę cię odwiedzić?

Masz to poczucie humoru, Art.

- Lubię gliniarzy z poczuciem humoru, stary sukinsynu. Gdzie mój śmigłowiec?

- Bliżej się nie dało wylądować, Lou. Na polu zaraz za drzewami. Okazało się, że rzeka jest zbyt wzburzona na lądowanie na pływakach. Posłuchaj mnie, Lou. Widziałeś helikopter. Jest sześćoosobowy. Wiem, że chciałeś na osiem, ale udało się załatwić tylko taki. - Miał nadzieję, że Handy nie przyjrzał się maszynie zbyt dokładnie; w starym sikorskim mogłaby się zmieścić połowa drużyny Washington Redskins. - Mam więc propozycję. Powiedzmy, że kupię od ciebie ze dwie zakładniczki.

- Kupisz?

- Jasne. Mam zgodę, żeby ci zaproponować do pięćdziesięciu tysięcy za każdą. W maszynie nie będzie miejsca dla wszystkich plus pilot. Nie ma półek na bagaż podręczny. Sprzedaj mi dwie.

Niech cię szlag, Art, mógłbym jedną zastrzelić. Wtedy będziemy mieli w cholere miejsca.

Ale powie to ze śmiechem.

- Wiesz co, mam pomysł. Zamiast oddać ci jedną, lepiej ją zastrzelę. I od razu zrobi się więcej miejsca. Dla nas i naszych eleganckich walizek.

I głośno zarechotał.

- Lou, jeśli ją zabijesz, nie dostaniesz pieniędzy. Zrobiłbyś zadymę, jak mówi mój siostrzeniec. - Potter mówił to życzliwym tonem, bo czuł, że udało mu się odbudować więź. Nic porozumienia znów była pewna i mocna. Negocjator wiedział, że Handy serio rozważa jego propozycję.

- Pięćdziesiąt tysięcy?

- Gotówką. Banknoty z różnych serii, niskie nominały.

Chwila wahania.

- Dobra, ale tylko jedna. Resztę zostawiam.

- Lepiej dwie. Zostaną ci też jeszcze dwie. Nie bądź zbyt zachłanny.

Gównu, Art. Daj mi setkę za jedną. Na więcej nie licz.

- Nie - rzekł Handy. - Dostaniesz jedną. Za pięćdziesiąt tysięcy.

Ostatnie słowo.

Potter zerknął na Angie. Zdumiona pokręciła głową. Handy nawet się nie targował. Potter zamierzał udawać, że się targuje, a potem przystać na sto tysięcy za jedną dziewczynkę.

- No, dobrze, Lou. Niech będzie.

- Ale coś jeszcze, Art.

W głosie Handy'ego zabrzmiał jakiś nowy ton, którego Potter jeszcze nie słyszał i który go zaniepokoił. Nie miał pojęcia, o co chodzi. Gdzie mógł się odkryć?

- Tak?

- Musisz mi powiedzieć którą.

- Jak to, Lou?

Znowu ten śmieszek.

- Przecież to proste pytanie, Art. Którą chcesz kupić? Wiesz, o co chodzi. Przychodzisz do dealera używanych samochodów i mówisz: „Wezmę tego chevroleta albo tamtego fordą”. Twoje pieniądze, twój wybór. No więc - którą chcesz?

Serce. Tam Potter nie miał żadnej osłony. W sercu.

Budd i Angie spojrzeli na agenta.

Tobe miał spuszczoną głowę, skupiony na swoich skaczących wskaźnikach.

- Cóż, Lou... - Potter nie wiedział, co powiedzieć. Po raz pierwszy dzisiaj był niezdecydowany. Na domiar złego niezdecydowanie wkradło się też do jego głosu. Nie powinno do tego dojść. Wahanie w negocjacjach jest niedopuszczalne. Porywacz natychmiast je zauważy i zdobywa dzięki niemu ogromną przewagę. Ktoś taki jak Handy, z obsesją na punkcie władzy, słysząc nawet sekundę pauzy w głosie Pottera, może się poczuć niepokonany.

Potter miał wrażenie, jak gdyby milcząc, podpisywał wyroki na wszystkie cztery zakładniczki.

- To trudne pytanie - próbował zażartować.

- Pewnie. Faktycznie wydajesz się cholernie speszony.

- Tylko...

- Pomogę ci, Art. Zapraszam cię do salonu używanych zakładniczek. Oto stara nauczycielka. Ma spory przebieg i jest dość zniszczona. Słowem wrak, gruchot. To robota Bonnera. Ostro nią jeździł. Chłodnica do tej pory przecieka.

- Jezu - wymamrotał Budd.

- Skurwysyn - wycedziła zwykle łagodna Angie.

Potter utkwiał oczy w znajomych żółtych oknach rzeźni. Myślał: Nie! Nie rób mi tego! Nie!

- Dalej, całkiem ładny blond model, Melanie.

Skąd zna jej imię? - pomyślał z niezrozumiałą złością Potter. Powiedziała mu? W ogóle z nim rozmawia?

Zakochała się w nim?

- Sam ją nawet polubiłem. Ale jeżeli ją zechcesz, jest twoja. Dalej, gówniara, która nie umie oddychać. I na koniec nasza mała śliczna w sukience, która o mało co nie została Panną Jednooką. Wybieraj.

Potter stwierdził, że patrzy na zdjęcie Melanie. Przestań, polecił sobie. Odwróć wzrok. Zrobił to. Teraz myśl! Która z nich jest narażona na największe ryzyko?

Która stanowi największe zagrożenie dla jego władzy?

Starsza nauczycielka? Nie, absolutnie nie. Mała Emily? Nie, zbyt krucha, kobieca i młoda. Beverly? Jak zauważył Budd, jej choroba mogła irytować Handy'ego.

A co z Melanie? Komentarz Handy'ego o tym, że ją polubił, mógł świadczyć o rozwoju syndromu Sztokholm. Czy to wystarczy, żeby się zawahał, zanim ją zabije? Prawdopodobnie nie. Ale jest starsza. Jak mógł prosić o dorosłą osobę, pozostawiając u niego dzieci?

Melanie, krzyczało bezsilnie serce Pottera, chcę cię ocalić! To samo serce gotowało się z wściekłości na Handy'ego, który pozostawił mu wybór.

Otworzył usta; nie mógł mówić.

Budd zmarszczył brwi.

- Mamy niewiele czasu. Może się wycofać, jeżeli teraz nie wybierzemy.

LeBow dotknął jego ramienia, szepcząc:

- W porządku, Arthur. Wybierz, którą chcesz. To naprawdę nieważne.

A jednak ważne. Każda decyzja w negocjacjach z porywaczem jest ważna.

Znów przyłapał się na tym, że patrzy na zdjęcie Melanie. Blond włosy, duże oczy. Strzeż się, de l'Epee.

Potter wyprostował się.

- Beverly - powiedział nagle do telefonu. - Dziewczynka z astmą. - Zamknął oczy.

- Hm. Dobry wybór, Art. Przynajmniej nie będzie już rzezić. Przez to charczenie już ją chciałem stuknąć, dla zasady. Dobra, jak dostanę forszę, wyślę ją wam.

Handy rozłączył się.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

- Nie cierpię tego dźwięku - odezwała się Frances Whiting. - Już nie chcę więcej słuchać odkładanej słuchawki.

Potter opadł na krzesło. LeBow i Tobe patrzyli na niego bez słowa.

Powoli odwrócił się do okna i spojrział na zewnątrz.

Wybacz mi, Melanie.

- Cześć, Arthur. Podobno ciężko tu u was.

Frank D'Angelo był szczupłym mężczyzną z sumiastym wąsem, spokojnym jak staw w bezwietrzny letni dzień. Szef jednostki specjalnej HRT dowodził akcjami szturmowymi w kilkudziesięciu negocjacjach prowadzonych przez Pottera. Właśnie przyjechali agenci jednostki - ściągnięci z operacji na Florydzie i w Seattle - i zgromadzili się w rowie za furgonetką.

- Mieliśmy długi dzień, Frank.

- Zmajstrował bombę pułapkę, tak?

- Na to wygląda. Zamierzam wyprowadzić go na krótkiej smyczy, a potem zatrzymać albo zneutralizować. Ale to już twoja specjalność.

- Ile zakładniczek zostało w środku? - zapytał D'Angelo.

- Cztery - odparł Potter. - Mniej więcej za dziesięć minut odzyskamy jeszcze jedną.

- Chcesz spróbować namówić go do kapitulacji?

Ostatecznym celem każdej negocjacji jest nakłonienie porywaczy do poddania się. Jeżeli jednak zrobi się to tuż przed przysłaniem im helikoptera lub innego środka transportu, mogą, nie bez racji, domyślić się, że propozycja kapitulacji jest w istocie zawołanym ultimatum i że koniec końców zostaną zaatakowani. Z drugiej strony, jeśli nastąpi szturm, prawdopodobnie będą ofiary i negocjator przez resztę życia będzie się zastanawiał, czy istniała szansa skłonienia porywaczy do kapitulacji bez rozlewu krwi.

W grę wchodził jeszcze czynnik zdrady. Syndrom Judasza. Potter obiecywał Handy'emu jedno, dając mu w rzeczywistości coś zupełnie innego. Możliwe - nawet całkiem prawdopodobne - że negocjator przyczyni się do jego śmierci. Mimo że Handy był złym człowiekiem, Potter i on stanowili swoistą parę współników, więc agent jeszcze przez długie lata będzie zapewne przeżywał zdradę partnera.

- Nie - rzekł wolno agent. - Nie będzie próby nakłonienia do kapitulacji. Zrozumie to jako ultimatum i domysli się, że planujemy szturm. Wtedy nie uda się go już wyciągnąć.

- Co tu się stało? - zapytał D'Angelo, wskazując spaloną część furgonetki.

- Później ci o tym opowiem - uciał Potter.

W wozie D'Angelo, Potter, LeBow i Budd zasiedli nad planami architektonicznymi rzeźni i okolic oraz mapami z SatSurv.

- Tu są zakładniczki - wyjaśnił Potter. - Przynajmniej tak przedstawiała się sytuacja godzinę temu. O ile wiemy, nie zlikwidował jeszcze bomby benzynowej.

LeBow znalazł opis urządzenia i odczytał na głos.

- Jesteś pewien, że wyciągniesz jeszcze jedną? - spytał dowódca jednostki specjalnej.

- Kupujemy ją za pięćdziesiąt tysięcy.

- Może dziewczynka będzie nam w stanie powiedzieć, czy pułapka dalej stanowi zagrożenie - rzekł D'Angelo.

- Nie sądzę, żeby to miało znaczenie - powiedział Potter, spoglądając na Angie, która przytaknęła. - Z bombą czy bez, i tak ma zakładniczki w rękę. Wystarczy mu chwila - jedna czy dwie sekundy - żeby je zastrzelić albo wrzucić tam granat.

- Granat? - D'Angelo zmarszczył brwi. - Macie listę uzbrojenia?

LeBow zdążył już ją wydrukować. Dowódca HRT przeczytał szybko.

- Ma MP-5? Z teleskopem i tłumikiem? - Pokręcił skonsternowany głową.

Ktoś zastukał w burtę furgonetki i w drzwiach stanął młody agent z oddziału D'Angela.

- Melduję, że zakończyliśmy wstępne rozpoznanie.

- Proszę. - D'Angelo wskazał mapę.

- Z tej strony są drewniane drzwi obite stalową blachą. Wygląda na to, że ładunki już są założone.

D'Angelo spojrzał pytająco na Pottera.

- Robota nadgorliwych chłopców ze stanowej. Od nich ma właśnie H&K.

D'Angelo pokiwał drwiąco głową, gładząc swe oryginalne wasy.

- Od południa są jeszcze jedne drzwi - ciągnął agent - ze znacznie cieńszego drewna. Z tyłu, od strony rzeki, znajduje się przystań załadownicza, tutaj. Drzwi otwarte na tyle szeroko, że paru niedużych mogłoby się przecisnąć bez sprzętu. Obok są mniejsze drzwi ze zbrojonej stali, zardzewiałe, zamknięte na głucho. Tu rura odpływu, dwadzieścia cztery cale, zamknięta stalową kratą. Wszystkie okna na piętrze zakratowane, pręty średnicy trzech ósmych cala. Ze swoich pozycji porywacze nie widzą tych trzech okien. Dach pokryty stalowymi płytami grubości pięciu szesnastych cala, a szyb jest zabezpieczony, nie ma dostępu. Kłapa do szybu jest z metalu, przypuszczam, że gdybyśmy się chcieli dostać tędy, od wejścia do ataku upłynie dwadzieścia, trzydzieści sekund.

- Długo.

- Tak jest. Jeżeli wejdziemy po czterech jednymi i drugimi drzwiami, z osłoną ogniową od okna, a dwóch wpadnie od strony przystani, według naszej oceny uda się zakończyć atak w osiem do dwunastu sekund.

- Dzięki, Tommy - powiedział D'Angelo do agenta, a następnie zwrócił się do Pottera: - Nieźle, gdyby nie ta pułapka. Jak syndrom Sztokholm?

- Prawie zerowy - poinformowała Angie. - Twierdzi, że im lepiej kogoś poznaje, tym większą ma ochotę go zabić.

D'Angelo znów przyglądał was.

- Dobrze strzelają?

- Powiedzmy, że potrafią zachować spokój pod ostrzałem - rzekł Potter.

- To lepsze niż najcelniejsze oko.

- Mają już na sumieniu kilku policjantów - powiedział Budd.

- Zabili ich w strzelaninie, a jednego rozstrzelali z zimną krwią - dorzucił Potter.

- No, tak - rzekł wolno D'Angelo. - Moim zdaniem nie możemy wejść. Ze względu na bombę benzynową i granaty. No i jego stan psychiczny.

- Może w drodze do śmigłowca? - spytał Potter. - Maszyna stoi tutaj. - Stuknął w mapę.

Patrząc na zaznaczone na mapie pole, D'Angelo skinął głową.

- Chyba tak. Wycofamy wszystkich z widoku i pozwolimy im przejść przez ten zagajnik.

- Handy wybierze własną drogę - wtrąciła Angie. - Nie sądzisz, Arthurze?

- Masz rację. Będzie chciał wszystkim sam pokierować. I prawdopodobnie nie wybierze prostej trasy.

D'Angelo i Potter zaznaczyli cztery przewidywalne trasy wiodące z rzeźni do helikoptera. LeBow naniósł je na mapę. D'Angelo rzekł:

- Na drzewach umieszczę snajperów: tu, tu i tu. Ludzie na ziemi zakamuflują się wzdłuż wszystkich czterech tras. Kiedy przejdą porywacze, snajperzy wezmą ich na cel. Potem ogłuszymy całą grupę. Agenci leżący na ziemi złapią zakładniczki i pociągną na dół. Jeśli porywacze spróbują otworzyć ogień, snajperzy ich unieszkodliwią. Co o tym sądzisz?

Potter wpatrywał się w mapę.

Upłynęła chwila milczenia.

- Arthur?

- Tak, wydaje mi się, że plan jest dobry, Frank. Bardzo dobry.

D'Angelo wyszedł z wozu, by wydać rozkazy swoim ludziom.

Potter spojrział na fotografię Melanie i z powrotem usiadł na krześle, patrząc za okno.

- Czekanie jest najtrudniejsze, Charlie. Najgorsze ze wszystkiego.

- Widzę.

- I to nazywamy operacją ekspresową - rzucił znad wskaźników i ekranów Tobe. - Tylko jedenaście godzin. Tyle co nic.

Nagle przez otwarte wejście ktoś wpadł do furgonetki z takim impetem, że wszyscy poza Potterem odruchowo sięgnęli po broń.

Na progu stał Roland Marks.

- Agencie Potter - rzekł lodowatym tonem. - Czy dobrze rozumiem, że chcecie go zdjąć?

Potter spojrział ponad jego ramieniem na uginające się na wietrze drzewo. Wiatr znów przybrał na sile. To dobrze - tym wiarygodniej zabrzmiało kłamstwo o tym, że rzeka jest zbyt wzburzona, żeby mógł na niej wylądować śmigłowiec.

- Tak, chcemy.

- Właśnie rozmawiałem z pańskim towarzyszem, agentem D'Angelo. Podzielił się ze mną pewną niepokojącą informacją.

Potter nie mógł zaufać Marksowi. W ciągu zaledwie kilku godzin przez niego dwa razy negocjacje zawisły na włosku; prokurator też ledwo uszedł z życiem podczas swojego marszu na rzeźnię. Teraz znów przystąpił do ataku. Jeszcze kilka sekund i agent będzie musiał go aresztować, ponieważ być może stanowi to jedyny sposób, by się pozbyć natręta.

Potter uniósł pytająco brew.

- Podobno ryzyko, że jedna z zakładniczek zginie, wynosi pięćdziesiąt procent.

Potter oceniał ryzyko na czterdzieści procent. Jednak Marian zawsze robiła mu wyrzuty za jego nieuleczalny optymizm. Negocjator podniósł się powoli z miejsca i wyszedł przez spalone drzwi, dając znak prokuratorowi, by poszedł za nim. Na zewnątrz wyciągnął z kieszeni jego magnetofon, pokazał mu i schował z powrotem. Marks zamrugał.

- Ma pan coś jeszcze do powiedzenia? - spytał Potter.

Twarz Marksa nagle złagodniała, lecz tylko na moment, jak gdyby miał już na końcu języka przeprosiny i w ostatniej chwili postanowił je w sobie zdusić.

- Nie chcę, żeby dziewczynkom stała się krzywda - wyjaśnił w końcu.

- Ja też nie chcę.

- Na litość boską, niech pan go wsadzi do śmigłowca, niech Handy wypuści zakładniczki. Kiedy wyląduje, Kanadyjczycy rzucają się na niego jak horda Hunów.



- Ależ on wcale nie zamierza lecieć do Kanady - odparł zniecierpliwiony Potter.

- Myślałem... ale to specjalne pozwolenie, które załatwiali pańscy ludzie...

- Handy nie wierzy w ani jedno słowo na ten temat. A gdyby nawet wierzył, wie, że zamontowalibyśmy w śmigłowcu drugi transponder. Zapewne planował skierować się na Stadion Buscha. Albo tam, gdzie, jak dowie się z telewizji, grają dziś wieczorem ważny mecz.

- Co?

- A może na parking przy Uniwersytecie Missouri w czasie, kiedy kończą się wieczorne wykłady. Albo do McCormick Place. Wylądować tam, gdzie kręci się dużo ludzi. Wtedy nie będziemy go mogli zdjąć. Mogłoby zginąć ze sto osób.

Wreszcie Marks zaczął rozumieć. Nie wiadomo, czy wobec perspektywy zagrożenia życia tylu osób czy własnej kariery, a może przypomniawszy sobie beznadziejną sytuację córki, skinął głową.

- Oczywiście. Naturalnie, on może być do tego zdolny. Ma pan rację.

Potter uznał, że może wziąć to ustępstwo za przeprosiny i zostawić prokuratora w spokoju.

Z furgonetki wyjrzał Tobe.

- Arthurze, mamy telefon. Detektyw z policji stanowej Kansas, o której mówił nam Charlie. Sharon Foster. Jest na linii.

Potter wątpił, czy Foster im pomoże. Wprowadzenie nowego negocjatora mogło mieć nieprzewidziane skutki. Lecz policjantka miała atut, który mógł pomóc - swoją płęć. Miał wrażenie, że Handy za większe zagrożenie uważa mężczyzn - fakt, że ukrył się z dziesięcioma zakładniczkami kobietami, oznaczał, że być może potrafił wysłuchać kobiety bez uruchamiania mechanizmów obronnych.

W wozie Potter wziął słuchawkę i oparł się o ścianę.

- Detektyw Foster? Mówi Arthur Potter. Kiedy możemy się pani spodziewać?

Kobieta powiedziała, że jedzie na sygnale i powinna dotrzeć mniej więcej o wpół do jedenastej. Z jej głosu można się było domyślić, że jest młoda, rzeczowa i wyjątkowo spokojna, choć prawdopodobnie jechała teraz z prędkością stu mil na godzinę.

- Czekamy - rzekł trochę szorstko Potter i odłożył słuchawkę.

- Powodzenia - powiedział Marks. Zawahał się, jak gdyby chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz zadowolili się tylko życzeniem: - Niech Bóg ma w opiece te biedne dziewczynki - po czym wyszedł z furgonetki.

- Ludzie z DEA są już w drodze - oznajmił Tobe. - Mają gotówkę. Leca skonfiskowanym turbośmigłowcem. Te fiuty zawsze mają najlepsze zabawki.

- Zaraz - odezwał się Budd. - Wiozą sto tysięcy, zgadza się?

Potter przytaknął.

- Co zrobimy z tymi pięćdziesięcioma tysiącami, które zostaną? To kupa forsy, trzeba ją będzie gdzieś przechować.

Potter położył palec na ustach.

- Podzielimy się, Charlie, pół na pół.

Budd spojrział na niego zszokowany.

Wreszcie Potter puścił do niego oko.

Kapitan roześmiał się serdecznie, a zawtórowały mu Angie i Frances.

Tobe i LeBow byli bardziej wstrzemięźliwi. Znali Arthura Pottera i wiedzieli, że rzadko żartuje. Robił to jedynie w chwilach największego zdenerwowania.

22.01

W ubojni zrobiło się zimno jak w lodówce.

Wtulone w Melanie Beverly i Emily przyglądały się pani Harstrawn leżącej dziesięć stóp od nich: kobieta miała otwarte oczy i oddychała, lecz poza tym nie dawała żadnych oznak życia, jak Niedźwiedź, którego ciało wciąż tarasowało wejście; w ich stronę wolno pełzły trzy strużki ciemnej, prawie czarnej krwi.

Beverly, z trudem wciągając powietrze w płuca, jak gdyby nigdy już nie mogła normalnie oddychać, nie odrywała oczu od płynącej krwi.

W sąsiednim pomieszczeniu coś się działo. Melanie nie widziała dokładnie, ale zdawało się jej, że Brutus z Gronostajem pakują broń, naboje i mały telewizor. Chodzili po pomieszczeniu, rozglądając się dookoła. Czego szukali? Czyżby przywiązali się do tego miejsca?

Może chcą się poddać...

Nie ma mowy, pomyślała. Pójdą do helikoptera, powloką nas ze sobą i uciekną. Ten koszmar nigdy się nie skończy. Polecimy w inne miejsce. Będą inni zakładnicy, zginą kolejni ludzie. Jeszcze więcej ciemnych pomieszczeń.

Melanie uświadomiła sobie, że znów owija wokół palca kosmyk włosów, teraz wilgotnych i brudnych. Dłoń nie układała się już w słowo „blask”. Nie było światła. Ani nadziei. Schyliła głowę.

Do ubojni wkroczył Brutus, obrzucając spojrzeniem panią Harstrawn, zatrzymując wzrok na zmarszczce między jej brwiami. Na ustach miał ów uśmiezek, który Melanie już dobrze знаła i którego nienawidziła. Pociągnął za sobą Beverly.

- Idzie do domu. Do domu. - Wypchnął ją z ciemnego pomieszczenia. Odwróciwszy się, wyciągnął z kieszeni nóż, otworzył i przeciął drut doczepiony do zbiornika z benzyną. Następnie skrępował nim Melanie ręce za plecami oraz nogi. Związał też Emily.

Roześmiał się.

- Związać wam ręce to jakby was zakneblować, nie?

I wyszedł, zostawiając w ubojni trzy ostatnie zakładniczki.

W porządku, pomyślała Melanie. Bliźniaczkom się udało; im też musi się udać. Wydostaną się, idąc za zapachem rzeki. Melanie odwróciła się plecami do pleców Emily, podsuwając jej swe związane ręce. Dziewczynka zrozumiała i zaczęła się mocować z węzłami. Jednak wszystko na nic; Emily bardzo podobały się długie paznokcie u innych, lecz sama miała za krótkie.

Próbuj dalej!

Nagle Melanie wzdrygnęła się, bo Emily wbiła jej palce w przeguby. Skuliła się, gdy ręce dziewczynki chwyciły się rozpaczliwie jej palców, a po chwili zniknęły. Ktoś ją musiał złapać i odciągnąć!

Co się dzieje?

Marszcząc brwi, Melanie odwróciła głowę.

Niedźwiedź!

Z zakrwawioną, wykrzywioną wściekłością twarzą, pchnął Emily na ścianę i rozpląszczył na kafelkach. Mała padła jak ogłuszona. Melanie otworzyła usta, by krzyknąć, ale Niedźwiedź przypadł do niej, zakneblował ją brudną szmatą, mocno zaciskając pokrwawioną rękę na jej ramieniu.

Melanie upadła na plecy. Niedźwiedź zbliżył szeroką twarz do jej piersi i zaczął ją całować. Przez tkaninę bluzki poczuła gorącą wilgoć. Spróbowała wypłuć knebel. Grubas przyglądał się jej zamglonymi oczyma. Wyciągnął z kieszeni nóż, po czym otworzył go jedną ręką i zębami.

Melanie starała się wywinąć z jego rąk, lecz Niedźwiedź dalej uciskał jej piersi. Uniósł się na łokciu i zsunął z jej ciała. Kopnęła z całej siły, lecz potrafiła podnieść skrępowane nogi na wysokość ledwie dwóch cali. Z miejsca na jego ciele, z którego przez ostatnią godzinę wypływała krew, tworząc kałużę na podłodze, bluznął strumień gęstej cieczy, oblewając jej nogi.

Melanie, szlochając z przerażenia, usiłowała go odepchnąć, lecz on kurczowo trzymał się przodu jej bluzki. Przerzucił nogę przez jej łydki, przygważdżając ją do podłogi i oblewając równocześnie jeszcze większą ilością krwi.

Pomocy, błagam. Niech mi ktoś pomoże. De l'Epee... Pomocy! Błagam...

O, nie. Przejęta grozą, zadygotała. Tylko nie to. Proszę. Dłonią, w której trzymał nóż, podciągnął jej spódnicę na wysokość bioder. Zdarł czarne rajstopy. Ostrze noża zaczęło sunąć po jej udzie w kierunku różowej bawełny majteczek.

Nie! Próbowała się wyswobodzić, a krew z wysiłku dudniła jej w skroniach. Nie było jednak drogi ucieczki. Przygniatało ją do posadzki ogromne cielsko, z którego na jej nogi kapała krew. Ostrze dotknęło jej wzgórka łonowego, rozcinając szew bielizny. Poczuła zimną stal między nogami i wzdrygnęła się.

Wlepiął w nią lodowate okrągłe oczy, uśmiechając się obleśnie. Metal przeciął majteczki z tyłu. Spadła ostatnia zasłona. Wszystko pociemniało. Nie mdlej! Nie wolno ci tracić wzroku! Przygwożdżona do ziemi jego ciężarem i tak bała się poruszyć; nóż zawisł mniej więcej cal nad jej sromem.

Niedźwiedź wolną ręką rozpiął spodnie. Kaszlnął, opryskując jej pierś i szyję krwią. Kiedy sięgał do spodni, drugą ręką pchnął nóż i Melanie jęknęła, omal nie krztusząc się kneblem, gdy zimny metal wśliznął się jej między nogi.

Po chwili ostrze znów się cofnęło, a Niedźwiedź wy dobył swój wielki połyskujący członek. Rozpaczliwie szarpnęła ciałem w tył, ale on ponownie chwycił ją za pierś i unieruchomił.

Otarł się o jej nogę. Z jego wyprężonego organu ciekła krew, plamiąc jej obnażone udo. Przycisnął się do niej raz i drugi, a następnie poprawił położenie ciała, żeby wejść głębiej.

A potem...

Potem...

Nic.

Nigdy nie sądziła, że człowiek może oddychać tak szybko jak ona teraz; cała się trzęsała. Niedźwiedź zamarł z twarzą tuż obok jej twarzy, z jedną ręką na jej pierś i drugą ściskającą nóż skierowany w dół, między jej nogi, kilka milimetrów od jej ciała.

Wypluła szmatę, czując odór jego ciała przemieszany z rdzawą wonią krwi. Wciągnęła głęboki haust powietrza.

Zimne ostrze trąciło jej skórę raz i drugi, a potem znieruchomiało.

Dopiero po minucie zorientowała się, że Niedźwiedź nie żyje.

Z trudem opanowała mdłości, pewna, że zaraz zwymiotuje. Ale powoli to uczucie minęło. Nogi miała zupełnie zdrętwiałe, ponieważ ciężar jego cielska zatamował krążenie. Oparła się mocno skrępowanymi dłońmi o beton posadzki i usiłowała się dźwignąć. Krew była śliska jak świeża emalia i udało się jej odsunąć od niego o kilka cali. Spróbowała jeszcze raz. I znowu. Po pewnym czasie prawie zdołała uwolnić nogi.

Jeszcze raz...

Wysunęła stopy naprzód, opierając je w miejscu, w którym jego martwa dłoń trzymała nóż. Napinając mięśnie brzucha, lekko uniosła nogi i zaczęła trzeć krępującym je drutem o stalowe ostrze.

Zerknęła na drzwi. Ani śladu Brutusa ani Gronostaja. Od rytmicznego piłowania o nóż czuła w mięśniach brzucha pulsujący ból.

Wreszcie... trzask. Drut puścił. Melanie wstała. Kopnęła lewą dłoń Niedźwiedzia raz, potem drugi. Nóż wypadł na podłogę. Kopnęła go w stronę Emily i pokazała na migi, by dziewczynka go podniosła. Mała usiadła, popłakując. Spojrzała na leżący w kałuży krwi nóż i przecząco potrząsnęła głową. Melanie gniewnie powtórzyła polecenie. Emily zamknęła oczy, odwróciła się i zaczęła po omacku szukać noża w lepkiej kałuży. Wreszcie z grymasem obrzydzenia znalazła go i podniosła. Odwróciwszy się plecami, Melanie zaczęła trzeć o ostrze drutem krępującym jej ręce. Kilka minut później więzy puściły. Złapała nóż i uwolniła ręce i nogi Emily.

Melanie przemknęła do drzwi. Brutus i Gronostaj stali przy oknach, nie patrzyli w stronę ubojni. Beverly znajdowała się obok drzwi. Melanie dostrzegła zbliżającego się policjanta z teczką. A więc oddawali dziewczynkę w zamian za coś. Przy odrobinie szczęścia będą zajęci przez parę minut - wystarczająco długo, by Melanie z panią Harstrawn i Emily dostały się na przystań.

Melanie pochyliła się nad starszą nauczycielką, której całe ubranie przesiąkło krwią Niedźwiedzia. Kobieta patrzyła w sufit.

- Chodźmy - powiedziała na migi Melanie. - Wstań.

Pani Harstrawn nie ruszała się.

- Natychmiast! - Gest Melanie był zdecydowany.

Wtedy dłonie kobiety wypowiedziały zdanie, jakiego Melanie nigdy wcześniej nie widziała w języku migowym.

- Zabij mnie.

- Wstawaj!

- Nie mogę. Idźcie.

- Szybko. - Dłonie Melanie cięły powietrze. - Nie mamy czasu! - Uderzyła kobietę, próbując postawić ją na nogi; nauczycielka była bezwładna i potwornie ciężka.

Melanie skrzywiła się z niesmakiem.

- Chodź, bo będę cię musiała zostawić!

Nauczycielka pokręciła głową i zamknęła oczy. Melanie wsunęła otwarty nóż do kieszeni spódnicy i chwyciwszy Emily za rękę, wymknęła się z ubojni. Minawszy drzwi prowadzące na tył rzeźni, zniknęły w ciemnych korytarzach.

Lou Handy spojrział na dziwnie mały, zważywszy na sumę, plik banknotów i powiedział:

- Powinniśmy pomyśleć o tym wcześniej. Liczy się każdy grosz.

Wilcox wyjrzał przez okno.

- Jak myślisz, ilu mają na nas snajperów?

- Czy ja wiem... pewnie koło setki. Po tym, jak stuknęliśmy ich człowieka, znajdzie się kilku, co to walną od razu, a potem będą udawać, że nie słyszeli rozkazu „nie strzelać”.

- Zawsze myślałem, że z ciebie mógłby być dobry snajper, Lou.

- Ze mnie? Nie, jestem zbyt niecierpliwy. Znałem kilku w wojsku. Wiesz, co robią przez większość czasu? Zanim raz sobie strzelą, leżą na brzuchu dwa albo trzy dni. Nie ruszają palcem w bucie. Co w tym fajnego?

Wrócił myślami do swojej służby wojskowej. Życie wydawało się wtedy prostsze, a zarazem cięższe od życia w ukryciu i bardzo podobne do życia w więzieniu.

- Ale strzelanie musiało być fajne.

- No pewnie... Kurwa ich mać!

Zerknąwszy w głąb rzeźni, dostrzegł krwawe ślady stóp prowadzące z pomieszczenia, gdzie były zakładniczeki.

- Niech to szlag - wyrzucił z siebie Wilcox.

Lou Handy szczerze wierzył, że jego działaniem kierują pozytywne impulsy. Rzadko tracił nad sobą panowanie; owszem, był mordercą, ale zabijał ze względów praktycznych, nigdy powodowany emocjami.

Jednak kilka razy w życiu zdarzyło mu się, że wezbrał w nim dziki gniew, który zmieniał go w najokrutniejszego człowieka na świecie. Którego nie mogła powstrzymać żadna siła.

- To ta dziwka - wyszeptał urywaniem głosem. - Ta pierdolona suka.

Podbiegli do drzwi, za którymi zniknął ślad.

- Zostań tu - rozkazał Wilcoxowi Handy. - Lou...

- Kurwa, masz tu zostać! - wrzasnął Handy. - Muszę zrobić suce to, co już dawno powinienem zrobić.

Zanurzył się w mroczne wnętrza rzeźni, trzymając w opuszczonej ręce nóż skierowany ostrzem w górę, tak jak go nauczono - ale nie w wojsku, tylko na ulicach Minneapolis.

22.27

Wzrok to cudowna rzecz i najważniejszy z naszych zmysłów. Jednak równie ważnym źródłem informacji jest dla nas słuch.

Widok rzeki mówi nam, co to jest, lecz odgłos płynącej wody może nam wiele wyjaśnić: czy rzeka jest spokojna, czy niebezpieczna. Pozbawiona tego zmysłu Melanie Charrol musiała polegać na węchu. Bystry nurt pachnie świeżo i intensywnie. Nieruchoma woda wydziela stęchlą woń. Zapach Arkansas nie wróżył nic dobrego - ostry, głęboki i przesiąknięty zgnilizną, jak gdyby rzeka była grobem wielu żyjatek.

Mimo to woda wzywała: chodźcie, chodźcie, jestem waszą drogą ucieczki.

Melanie pewnym krokiem szła za jej głosem, prowadząc przez labirynt rzeźni dziewczynkę w nieszczęsnej sukience od Laury Ashley. W wielu miejscach deski podłogi przegniły, ale nagie żarówki z głównej części budynku były na tyle mocne, że oświetlały im drogę. Od czasu do czasu Melanie przystawała i wciągała

nosem powietrze, sprawdzając, czy zmierzają w dobrą stronę. Potem zwracała się w kierunku rzeki, od czasu do czasu oglądając się z lękiem za siebie.

Węch nie mógł zastąpić słuchu w roli prymitywnego systemu ostrzegania.

Jednak zdawało się, że Brutus i Gronostaj nie zauważyli jeszcze ich ucieczki.

Nauczycielka i uczennica brnęły coraz dalej w gęstniejący mrok, często się zatrzymując i po omacku szukając drogi. Jedynym zbawieniem dla Melanie były padające z góry cienkie pasma światła. U góry ściany przegniły zupełnie i właśnie tamtędy wpadał błogosławiony słaby blask, rozpraszając nieco mrok tej części budynku.

I nagle znalazły, tuż przed sobą! Wąskie drzwi, nad którymi wisiała tabliczka z napisem „Przystań”. Melanie chwyciła mocniej dłoń Emily i pociągnęła za sobą dziewczynkę. Przecisnęły się przez drzwi i weszły do pomieszczenia, za którym znajdowało się wyjście na pomost załadowniczy. Walały się tu tylko beczki olejowe, które dałoby się wykorzystać jako boje. Jednak drzwi prowadzące na zewnątrz były uniesione mniej więcej na wysokość jednej stopy - mogły się więc pod nimi przeczołgać, ale nie przeciągnęłyby ani jednej beczki. Wyśliznęły się na zewnątrz.

Wolność, pomyślała Melanie, upajając się świeżym powietrzem.

Zaśmiała się w duchu, uświadamiając sobie paradoks - płakała ze szczęścia, że udało jej się uciec z Wewnątrz do Świata Zewnętrznego. Drgnęła, spostrzegłszy jakiś ruch na rzece; ujrzała kołyszącą się na fali niedaleko brzegu łódź. Siedzieli w niej dwaj policjanci. Oni także je zauważyli i zaczęli wiosłować w stronę przystani.

Melanie odwróciła do siebie Emily i poleciła jej na migi: - Czekaaj tu na nich. Nie wychylaj się. Schowaj się za słupem.

Emily pokręciła głową.

- Ale ty nie...

- Wracam. Nie mogę jej zostawić.

- Proszę. - Po policzkach dziewczynki popłynęły łzy. Wiatr rozrzucił jej włosy. - Przecież ona nie chciała iść.

- Idę.

- Chodź ze mną. Bóg chce, żeby tak było. Powiedział mi.

Melanie uśmiechnęła się, objęła małą, a potem odsunęła się, obrzucając spojrzeniem jej wymiętą, brudną sukienkę.

- Umówiłyśmy się na zakupy w przyszłym tygodniu.

Emily otarła łzy i podeszła do krawędzi przystani. Policjanci byli już bardzo blisko. Jeden uśmiechał się do dziewczynki, drugi bacznie obserwował budynek, kierując czarną lufę śrutówki w ciemne okna nad ich głowami.

Melanie zerknęła na nich, pomachała i przez uchylone drzwi wśliznęła się z powrotem do rzeźni. Z kieszeni zakrwawionej spódnicy wydobyła nóż Niedźwiedzia i ruszyła w drogę powrotną, instynktownie odnajdując tę samą trasę, którą tu dotarła.

Poczuła, że jeżą się jej włosy na karku. Ostrzegł ją szósty zmysł, który ponoć posiadają niektórzy głusi ludzie. Spojrzała i - tak, zobaczyła Brutusa, który w odległości pięćdziesięciu stóp od niej skulony przemykał od jednej maszyny do drugiej, uzbrojony tak jak ona w nóż.

Zadrżała z przerażenia, chroniąc się za ułożonymi w stertę metalowymi szafkami na ubrania. Najpierw chciała schować się do jednej z nich, ale uświadomiła sobie, że ucho Brutusa złowi każdy dźwięk. Znów odezwał się szósty zmysł, okrywając jej kark gęsią skórką. Zorientowała się jednak, że nie jest to żadne nadprzyrodzone zjawisko; poczuła wibrację głosu Brutusa, który wołał coś do Gronostaja.

Co mu powiedział?

Po chwili już wiedziała. Zgasły światła i cały budynek pogrążył się w ciemnościach.

Sparaliżowana strachem przypadła do ziemi. Głucha, a teraz jeszcze ślepa. Przez chwilę leżała skulona, modląc się o utratę świadomości, bo strach stał się nie do zniesienia. Stwierdziła, że zgubiła nóż. Zaczęła macać wokół siebie, lecz zaraz dała temu spokój; Brutus na pewno usłyszał brzęk upadającej

broni i prawdopodobnie szedł już w jej stronę. Mógłby kopać wszystkie przeszkody, jakie stanęłyby mu na drodze, a ona i tak w ogóle by się nie zorientowała, że się zbliża. Melanie musiała natomiast ostrożnie pełznąć, omijając wszystkie kawałki metalu i drewna, maszyny i narzędzia, żeby nie narobić hałasu.

Muszę...

Nie!

Poczuła dotknięcie na ramieniu.

Odwróciła się w panice, waląc na oślep dłonią.

Tylko drut zwisający z sufitu.

Gdzie on jest? Tam? Czy tam?

Cicho. Musisz być cicho. Tylko tak możesz się uratować.

Pocieszająca myśl: owszem, Brutus słyszy, ale widzi nie lepiej ode mnie.

Opowiedzieć ci żart, Susan? Kto ma gorzej od głuchego ptaka?

Ślepy lis.

Osiem ptaszków drży w ciemnościach...

Jeżeli będę zupełnie cicho, nie znajdzie mnie.

Nadzwyczajny wewnętrzny kompas, którym niesprawiedliwy skądinąd los obdarował Melanie, podpowiadał jej, że idzie w dobrym kierunku, z powrotem do ubojni. I jeżeli będzie trzeba, Bóg jej świadkiem, wyniesie stamtąd Donnę Harstrawn na rękach.

Powoli. Noga za nogą.

Cicho. Absolutna cisza.

Będzie łatwiej, niż przypuszczał.

Lou Handy wiedział, że jest teraz najniebezpieczniejszy - wciąż czuł, że kipi w nim gniew i żądza odwetu, a jednocześnie potrafił chłodno myśleć. Właśnie wtedy zabijał i torturował, czerpiąc z tego największą satysfakcję. Doszedł po czerwonych śladach do przystani, gdzie, jak przypuszczał, dostały się obie gówniary. Jednak kiedy miał już zawrócić, usłyszał brzęk metalu. Spojrzał w głąb korytarza i ujrzał ten myszowaty wybryk natury, Melanie, która wracała do głównej części budynku.

Podszedł bliżej i co usłyszał?

Ciap, ciap.

Jej kroki. Chłupot krwi w butach. Pocciwy Bonner pozostał sobą do samego końca, kapiąc ją we własnej krwi. Każdy krok Melanie był sygnałem wskazującym jej dokładne położenie. Zawołał więc do Wilcoxa, żeby wyłączył światła.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Czarno jak w smole. Nie widział własnej ręki. Najpierw starał się nie robić żadnego hałasu. A po chwili pomyślał, co jest, kurwa, przecież ona nie słyszy! I pobiegł za nią, zatrzymując się co kilka minut i nasłuchując mokrego ciapania.

Jest.

Pięknie, skarbie.

Był coraz bliżej.

Słuchał...

Ciap.

Musi być najwyżej trzydzieści stóp od niego. Proszę bardzo, jest. Zobaczył przed sobą zarys jej sylwetki, która podążała w kierunku głównego pomieszczenia rzeźni.

Ciap, ciap.

Podszedł bliżej. Przewrócił stół, lecz nadal słychać było jej kroki. Nie słyszała żadnego dźwięku. Zbliżał się powoli, piętnaście stóp... dziesięć, pięć.

Był tuż za nią.

Tak jak kiedyś był tuż za Rudym i widział na jego koszuli drzewny pył, a w tylnej kieszeni spodni portfel wypchany czymś, co nie powinno się tam znajdować. „Skurwielu” - wrzasnął do brata Handy, nie czując złości, ale palącą wściekłość w najczystszej postaci. Rudy z drwiącym uśmiechem szedł dalej.

Wypaliła broń, którą Handy trzymał w zaciśniętej dłoni. Mała dwudziestkadwójka załadowana długimi pociskami, nienadającymi się nawet do strzelby. Po których na

karku Rudy'ego wykwitły małe czerwone kropki, a brat wykonał krótki, przerażający taniec, padł na podłogę i umarł.

Handy znów poczuł złość na Arta Pottera, który wspominał dziś o Rudym, wciskając w jego duszę wspomnienie o bracie tak, jak podczas więziennej bójkii dostaje się do ręki kamyk. Wściekał się na Pottera i na grubego Bonnera, który już nie żył, i na Melanie, pieprzoną zalęknioną myszkę.

Szedł dwie stopy za nią, obserwując jej niepewne kroki.

Nie miała o niczym pojęcia...

Fantastycznie było tak iść krok w krok za nią. Tyle możliwości...

Cześć, panno myszko...

Ale wybrał najprostsze. Nachylił się blisko i liznął ją w kark.

Uskoczyła w bok tak szybko, iż pomyślał, że skręci sobie kark.

Skręcając, wpadła na stos zardzewiałych blach. Złapał ją za włosy i powlókł za sobą; potykała się i wiła, usiłując się uwolnić.

- Shep, włącz z powrotem lampy!

W chwilę później budynek zalało słabe światło, w którym Handy dostrzegł drzwi prowadzące do głównego pomieszczenia. Melanie starała się wyrwać włosy z jego uścisku, ale trzymał mocno i mogła go tak walić do końca świata, a i tak by nie puścił.

- Nie podobają mi się twoje piski. Zamknij się! Kurwa mać, zamknij się!

- Uderzył ją w twarz. Nie sądził, by rozumiała, co mówi, ale mimo to uciszyła się. Pociągnął ją przez strumienie kapiącej z sufitu wody, między stosami śmieci.

Prosto do gilotyny.

Maszyna składała się z wielkiego drewnianego kłosa do rąbania mięsa, w którym wycięto zagłębienie na ciało świni albo młodego wołu. Na górze zamontowano ramę z trójkątnym ostrzem, którym sterowało się za pomocą zakończonej gumowym uchwytem dźwigni. Przypominała wielką gilotynę do papieru.

Wilcox przyglądał się jego poczynaniom.

- Naprawdę chcesz... ?

- A co? - krzyknął Handy.

- No bo już tak blisko do końca i zaraz mamy wyjść...

Nie zwracając na niego uwagi, Handy chwycił leżący na podłodze kawałek drutu i owinał nim prawy nadgarstek Melanie. Zacisnął mocno. Szamotała się, uderzyła go lewą ręką w ramię.

- Pierdolona kaleka - mruknął i rąbnął ją w plecy. Upadła na podłogę, zwijając się z jękiem w kłębek i z przerażeniem wpatrując się w siniejącą rękę.

Handy zapalił zapalniczkę i przesunął płomień wzdłuż ostrza gilotyny.

Melanie gwałtownie potrząsnęła głową, patrząc na niego wielkimi oczyma.

- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zaczęłaś bruździć.

Podniósł ją z podłogi i rzucił na podstawę gilotyny.

Myszowata suka próbowała się wyswobodzić, płacząc i wymachując na oślep rękami. Domyślał się, że ból prawej dłoni, która stała się już fioletowa, musiał być nie do zniesienia. Handy pchnął ją na gilotynę tak, że uderzyła kroczeniem w drewniany blok, a potem zmusił ją, by położyła się na brzuchu, wyciągając prawą rękę pod ostrzem. Kopniakiem w nogi pozbawił ją równowagi i ciało Melanie zawisło bezwładnie na podstawie maszyny. Bez trudu przywiązał jej rękę do wyżłobienia w drewnie.

Przez moment zawahał się, spoglądając na jej twarz i słuchając jej urywanego oddechu.

- Jezu, nienawidzę tych dźwięków, które wydajecie. Trzymaj ją, Shep.

Wilcox zbliżył się niepewnie i ujął w ręce jej ramię.

- Chyba nie chcę na to patrzeć - powiedział niespokojnie, odwracając głowę.

- A ja chcę - mruknął Handy. Nie mogąc się powstrzymać, zbliżył twarz do jej twarzy, wdychając jej zapach i ocierając się o jej zalany łzami policzek. Pogłaskał ją po włosach.

Jego dłoń powędrowała do dźwigni. Przesunął ją tam i z powrotem, opuszczając ostrze tuż nad jej ręką, a potem unosząc z powrotem. Ostrze podjechało na szczyt ramy. Ujął gumowy uchwyt obiema dłońmi.

Zadzwoił telefon.

Handy rzucił okiem na aparat.

Przez chwilę nikt się nie ruszał. Wreszcie Wilcox puścił rękę Melanie i odsunął się od gilotyny.

Niech to szlag. Handy zastanawiał się, co robić.

- Odbierz.

- Taa? - powiedział do słuchawki Wilcox. Wzruszył ramionami i zerknął na Handy'ego, który zastygł z dźwignią w ręce.

- Do ciebie, stary.

- Powiedz Potterowi, żeby się odpiardolił.

- To nie Potter. Jakaś dziewczyna. I powiem ci, że chyba niezła laska.

22.53

Potter siedział przy oknie, lustrując przez lornetkę budynek rzeźni, gdy tymczasem młoda, impulsywna detektyw Sharon Foster, która dziesięć minut wcześniej z karkołomną szybkością wpadła swoim wozem do bazy operacyjnej, chodziła nerwowo tam i z powrotem, klnąc Louisa Handy'ego przez telefon.

- Kurwa twoja mać, Lou! - warknęła. Jak wiele innych kobiet oficerów operacyjnych policji, cechowało ją zdecydowanie i pozbawiona poczucia humoru bezwzględność. Nikogo nie mogła zwieść jej ładna buzia i związane w zawadiacki kucyk blond włosy.

- Kopę lat, suko. Jesteś teraz detektywem?

- No, awansowałam. - Pochyliła się i mrużąc oczy, spojrzała przez okno furgonetki na rzeźnię. Jej głowa znajdowała się parę cali od skroni Pottera. - Coś ty zrobił ze swoim życiem, Lou? Oprócz tego, że je spieprzyłeś?

- Jestem dumny ze swoich osiągnięć. - W głośniku rozległ się tak dobrze znany Potterowi chichot.

- Zawsze uważałam cię za dupę wołową pierwszej klasy. Można by o tobie napisać książkę.

Potter doskonale wiedział, co robi Foster. Sam nie uciekał się do takich metod. Wolał spokój w stylu Willa Rogersa. W razie potrzeby bywał twardy, lecz unikał otwartych potyczek, które łatwo mogły się przerodzić w konflikt emocjonalny. Arthur Potter nigdy nie przekomarzał się z Marian ani z przyjaciółmi. Jednak czasem w rozmowach z pewnymi porywaczami - zwłaszcza bezczelnymi i zbyt pewnymi siebie przestępcami - styl prezentowany przez Foster zdawał egzamin: do kompromisu prowadziło przerzucanie się złośliwymi uwagami.

Potter wciąż obserwował rzeźnię, gorączkowo próbując dojrzeć gdzieś Melanie. Czuwający w skifie na rzece ludzie Stillwella zabrali z przystani ostatnią z uczennic, Emily. Za pośrednictwem Frances dziewczynka wyjaśniła, że Melanie wyprowadziła ją na zewnątrz, a sama wróciła po panią Harstrawn. Ale to wszystko zdarzyło się prawie dwadzieścia minut temu i nikt nie zauważył, by ostatnim dwóm zakładniczkom udało się uciec. Potter przypuszczał, że Handy ją znalazł. Chciał się za wszelką cenę dowiedzieć, czy dziewczynie nic się nie stało, lecz nie mógł przerwać negocjatorowi rozmowy.

- Dupek z ciebie, Lou - ciągnęła Foster. - Może i nawet uciekniesz tym śmigłowcem, ale i tak cię złapią. Chciałeś do Kanady? Zanim zdążysz się obejrzeć, już będzie po ekstradycji.

- Najpierw będą mnie musieli znaleźć.

- Myślisz, że w Kanadzie gliniarze biegają w tych swoich kapeluszach i czerwonych mundurkach i ganiają bandziorów z gwizdkami? Lou, zabiłeś zakładników i gliny. Żadna policja na świecie nie odpuści, dopóki cię nie znajdzie.

LeBow i Potter spojrzeli po sobie. Potter był coraz bardziej niespokojny. Mocno go cisnęła. Potter posłał jej surowe spojrzenie, ale albo tego nie zauważyła, albo zignorowała, lekceważąc krytykę ze strony starego człowieka - na dodatek fedzia. Agent poczuł też ukłucie zazdrości. Zbudowanie więzi z Handym zabrało mu kilka godzin; Potter miał już zaawansowany syndrom Sztokholm. A tu zjawia się taki złotodziób, blond panienka, i zabiera mu przyjaciela i towarzysza.

Potter dyskretnie pokazał komputer. LeBow zrozumiał w lot i połączył się z krajową bazą danych osobowych policji. W chwilę później obrócił w stronę



Pottera ekran monitora. Sharon Foster tylko wyglądała na młodą i niedoświadczoną; w rzeczywistości miała trzydzieści cztery lata i imponujący wynik w negocjacjach z porywaczami. Na trzydzieści prowadzonych przez nią rozmów napastnicy poddali się w dwudziestu czterech przypadkach. W pozostałych doszło do szturmów oddziału antyterrorystycznego, ale tam porywaczami były osoby nie zrównoważone psychicznie. Negocjacje odnoszą sukces najwyżej w dziesięciu procentach takich przypadków.

- Wolę Arta niż ciebie - powiedział Handy. - On mi przynajmniej nie wciska kitu.

- Cały Lou. Zawsze idzie na łatwiznę.

- Odpierdol się - odburknął Handy.

- Zastanawiałam się nad czymś, Lou - zaczęła jakby nieśmiało. - Ciekawa jestem, czy naprawdę chcesz lecieć do Kanady.

Potter spojrzał na D'Angela. Plan akcji zakładał, że w drodze do helikoptera Handy i Wilcox przejdą przez zagajnik. Jeżeli Foster da mu do zrozumienia, że mu nie wierzą, Handy zwietrzy zasadzkę i nie ruszy się z kryjówki.

Potter wstał, kręcąc głową. Foster uniosła wzrok, lecz znów go zignorowała. LeBow i Angie byli wstrząśnięci tak jawnym lekceważeniem. Potter usiadł z powrotem, bardziej zawstydzony niż dotknięty.

- Jasne, że lecę do Kanady. Dostałem specjalne pozwolenie. Kurwa, sam rozmawiałem z Urzędem Lotnictwa.

Zupełnie nie zwracając uwagi na to, co powiedział, Foster wychrypiła ze swoim południowym akcentem:

- Zabiłeś gliniarza, Lou. Gdziekolwiek wylądujesz w Stanach, z zakładnikami czy bez, już nie żyjesz. Każdy policjant w kraju wie, jak wygląda twoja gęba. I Wilcoxa. Możesz mi wierzyć, że najpierw strzelą, a dopiero potem przeczytają ci twoje prawa. Mogę ci też obiecać, że karetka wioząca cię do szpitala więziennego nie będzie się spieszyła.

Potter miał dość jej agresywnej taktyki. Był już pewien, że przez nią Handy nie ruszy się z nory. Wyciągnął rękę, by dotknąć jej ramienia, lecz zamarł w pół gestu, bo Handy rzekł:

- Nikt mnie nie złapie. Nigdy nie znałaś nikogo gorszego ode mnie. Jestem samą śmiercią.

Nie chodziło o jego słowa, ale o ton, jakim je wypowiedział. Jak przestraszone dziecko. Nieomal budzące litość. Mimo mało wyrafinowanego stylu Foster zdołała coś w Handym poruszyć.

Zwróciła się do Pottera.

- Mogę zaproponować kapitulację?

LeBow, Budd i D'Angelo spojrzeli na Pottera.

Zastanawiał się, o czym myśli Handy. Czyżby nagle uświadomił sobie beznadziejność własnej sytuacji? Może jakiemś dziennikarzowi udało się poinformować widzów o przybyciu na miejsce oddziału HRT?

A może po prostu był już zmęczony.

Czasem tak się zdarzało. Cała energia ulatnia się w jednej chwili. Porywacze już mają wychodzić z bronią gotową do strzału, gdy nagle siadają na podłodze i po wtargnięciu jednostki specjalnej patrzą tępo na funkcjonariuszy, nie mając nawet siły unieść rąk nad głowę.

Istniała jeszcze jedna możliwość, myśl, której Potter najchętniej w ogóle nie dopuściłby do siebie. Że ta młoda kobieta jest po prostu lepsza od niego. Wpadła jak burza, przejrzała Handy'ego i uderzyła w najczulszy punkt. Znowu ukłucie zazdrości. Co mam robić?

Nagle pomyślał o Melanie. Jaki był najlepszy sposób jej ocalenia?

Skinął głową młodej policjantce.

- Proszę.

- Lou, czego byś od nas chciał za wyjście stamtąd?

Twojej dupy, pomyślał Potter.

- Mogę cię zerznąć?

- Musiałbyś zapytać mojego męża, a on się nie zgodzi.

Chwila milczenia.

- Chcę tylko wolności. I już ją mam.

- Naprawdę? - zapytała cicho Foster.

Znów cisza. Dłuższa niż poprzednio.

Jasne. I nikt mi jej nie odbierze, pomyślał Potter.

Lecz Handy powiedział coś wręcz przeciwnego.

- Nie... nie chcę umrzeć.

- Nikt nie chce do ciebie strzelać, Lou.

- Wszyscy chcą do mnie strzelać. A jak wyjdę, sędzia zapisze mi ostatni zastrzyk.

- Możemy o tym porozmawiać. - Jej głos brzmiał łagodnie, niemal macierzyńsko.

Potter patrzył na żółty kwadrat światła. Gdzieś w głębi serca zaczęło się rodzić przekonanie, że dziś wieczorem popełnił bardzo poważne błędy. Błędy, których ceną będzie ludzkie życie.

Foster odwróciła się do agenta.

- Kto może zagwarantować, że sąd stanowy nie będzie się domagał kary śmierci?

Potter powiedział jej, że mają w pobliżu Rolanda Marksa i wysłał Budda, by go odnalazł. W chwilę później do furgonetki wszedł Marks i Foster wyjaśniła mu warunki Handy'ego.

- Poddasz się? - Zimne oczy prokuratora spoczęły na Potterze, który poczuł, jak cała krytyka i pogarda, jakimi poczęstował dziś Marksa, kieruje się teraz przeciw niemu. Po raz pierwszy agent nie potrafił spojrzeć w oczy zastępcy prokuratora stanowego.

- Chyba uda mi się go do tego skłonić - oświadczyła Foster.

- Tak, mogę mu dać gwarancje. Z wielką czerwoną pieczęcią na papierze, wstążkami i tak dalej. Nie mogę uzyskać zmniejszenia obecnego wyroku...

- Jestem pewna, że to zrozumie.

- Ale zagwarantuję, że nie dostanie od nas wyroku śmierci. - Lou, jest tu zastępca prokuratora stanowego. Gwarantuje, że nie zażąda kary śmierci, jeżeli się poddasz.

- Tak? - Milczenie i odgłos poprawiania słuchawki w ręce. Po chwili: - To samo dla mojego kumpla Shepa?

Foster zmarszczyła brwi. LeBow odwrócił do niej komputer, by mogła przeczytać informacje o Wilcoxie. Policjantka spojrzała na Marksa, który kiwnął głową.

- Jasne, Lou. Dla obu. A twój drugi kumpel?

Skurwysyn miał mały wypadek, pomyślał Potter.

Handy wybuchnął śmiechem.

- Miał wypadek.

Foster zerknęła pytająco na Pottera, który rzekł:

- Chyba nie żyje.

- W porządku, ty i Wilcox - powiedziała blond policjantka. - Umowa stoi.

Ta sama umowa, którą ustami Charliego Budda zaproponował mu Potter.

Dlaczego teraz Handy jest skłonny ją przyjąć? Zaraz uzyskał odpowiedź.

- Moment, oziębła suko. To nie wszystko.

- Uwielbiam, kiedy tak do mnie mówisz, Lou.

- Chcę też gwarancji, że nie wrócę do Callany. Zabiłem tam strażnika.

Jak wrócę, zajebią mnie na śmierć. Tylko nie federalne pudło.

Foster ponownie spojrzała na Pottera, który dał znak Tobe'emu.

- Zadzwoń do Departamentu Sprawiedliwości - szepnął. - Do Dicka Allena.

Był to zastępca prokuratora generalnego w Waszyngtonie.

- Lou - powiedziała Foster. - Sprawdzamy to.

Ciągle mi stoi, odgadywał znów Potter. Może cię jednak zerżnę?

W głosie Handy'ego zabrzmiała dawna wesoła nuta.

- Może żeby skrócić czekanie, przyjdiesz tu i zajmiesz się moim fiutem?

- Chętnie, Lou, ale nie wiem, gdzie go wcześniej trzymałeś.

- W majtkach, za długo.

- To potrzymaj go tam jeszcze trochę.

Potter uzyskał połączenie z Allenem, który wysłuchawszy wszystkiego, niechętnie zgodził się, żeby w razie kapitulacji Handy najpierw odsiedział swój wyrok stanowy. Allen był też gotów odstąpić od federalnego zarzutu ucieczki, ale

nie morderstwa strażnika. W praktyce oznaczało to, że Handy trafiłby do federalnego więzienia najwcześniej pięćdziesiąt lat po własnej śmierci.

Foster przekazała te informacje Handy'emu. Nastąpiło długie milczenie. Po chwili Handy odezwał się.

- Zgoda, poddamy się.

Foster posłała Potterowi znaczące spojrzenie. Oniemiały agent niemrawo pokiwał głową.

- Ale muszę to mieć na piśmie - oznajmił Handy.

- W porządku, Lou. Załatwimy to.

Potter już spisywał odręcznie wszystkie warunki. Podał kartkę Henry'emu LeBowowi, żeby je przepisał i wydrukował.

- I koniec - rzekł LeBow, nie odrywając oczu od niebieskiego ekranu. - Jeden zero dla drużyny Dobrych.

W wozie rozległ się gromki śmiech. Potter zobaczył radość na twarzy Budda i agentów federalnych. Sam też się uśmiechnął, ale rozumiał - jako jedyny spośród wszystkich członków dowództwa akcji - że wygrali i przegrali równocześnie. Wiedział też, że nie zawiodła go siła ani odwaga, ani inteligencja, tylko ocena sytuacji.

A to skończyło się największą porażką, jakiej może doświadczyć człowiek.

- Proszę bardzo - powiedział LeBow, podając Potterowi wydruk, który razem z Marksem podpisał dokument, a Stevie Oates ruszył w ostatnią wyprawę do rzeźni. Gdy wrócił, miał trochę zdziwioną minę, a w ręku trzymał otrzymaną od Handy'ego puszkę piwa.

- Agencje Potter? - Sharon Foster powiedziała to chyba któryś raz z kolei, zanim podniósł wzrok. - Chce pan koordynować kapitulację?

Patrzył na nią przez chwilę, po czym skinął głową.

- Tak, oczywiście. Tobe, połącz się z Deanem Stillwellem. Poproś, żeby tu przyszedł.

Tobe spełnił polecenie. Nieporuszony LeBow zapisywał nowe informacje w swojej kronice akcji. Detektyw Sharon Foster posłała Potterowi spojrzenie, w którym agent odczytał współczucie; jej protekcjonalność zabolala go bardziej, niż gdyby ujrzał na jej twarzy złośliwy uśmiech triumfu. Patrząc na nią, nagle poczuł się bardzo stary, jak gdyby wszystko, co wiedział i czego w życiu dokonał, co mówił do znajomych i obcych i co myślał o świecie - w jednej chwili stało się nieważne i przestarzałe.

A może wręcz nieprawdziwe.

Dzięki maskującemu ubiorowi nikt nie zauważył szczupłego mężczyzny, który leżał między śnieżnobiałymi pniami brzoź niedaleko furgonetki dowodzenia.

Trzymał noktowizor, a na jego dłoniach widniały liczne kropelki potu.

W tej pozycji Dan Tremain spędził całą godzinę, podczas której przyleciał i odleciał helikopter, przyjechał i zajął pozycje oddział HRT, a obok furgonetki zatrzymał się radiowóz, w którym siedziała jakaś młoda policjantka.

Tremain znał już wiadomość, która lotem błyskawicy rozchodziła się wśród funkcjonariuszy - Handy postanowił się poddać w zamian za zgodę na odstąpienie od kary śmierci.

Jednak dla Dana Tremaina to rozwiązanie było nie do przyjęcia.

Jego człowiek, młody Joey Wilson, i tamta biedna dziewczyna nie zginęli po to, żeby Lou Handy żył i mógł zabijać dalej, ciesząc się i przeżywając na nowo perwersyjną radość z rzezi, która była jedynym celem jego bezsensownego życia.

Czasami trzeba ofiar. Któż jest lepszą ofiarą od żołnierza gotowego oddać życie za sprawiedliwość?

- Kapitulacja za dziesięć minut - zawołał jakiś głos za jego plecami. Tremain nie wiedział, czy był to głos policjanta, czy anioła, który zstąpił z niebios, by obwieścić nowinę. Nieważne - kapitan wstał, wyprostował się, otarł łzy, poprawił mundur i przyczesał palcami włosy. Choć nigdy nie przykładał szczególnej wagi do stroju i fryzury, teraz uznał, że jego wygląd powinien wyrażać siłę, zdecydowanie i dumę, odpowiednie do formy, w jakiej pragnął zakończyć swoją karierę w policji.

Kapitulacja porywaczy to krytyczna faza każdej akcji pod barykadą.

Właśnie wtedy ginie najwięcej osób, oczywiście poza szturmem na zajęty przez napastników budynek. Potter wiedział, że tym razem będzie szczególnie ciężko, ponieważ istota kapitulacji - oddanie kontroli nad sytuacją - mogła się okazać dla Handy'ego przeszkodą nie do pokonania.

Znów wrodzona niecierpliwość popychała go, by skończyć z wszystkim jak najszybciej i aresztować Handy'ego. Musiał się jednak opanować i przeprowadzić kapitulację zgodnie z zasadami, gromadząc najpierw w wozie cały sztab akcji.

Na początku uścisnął dłoń Deana Stillwella.

- Dean, teraz operację taktyczną przejmie Frank i HRT. Wykonałeś naprawdę dobrą robotę, ale z Frankiem współpracowałem już wiele razy w takich akcjach.

- Nie ma sprawy, rozumiem, Arthurze. Jestem zaszczycony, że mogłem pomóc. - Ku zakłopotaniu Pottera szeryf z rozmachem zsalutował, więc agent ociągając się, odwzajemnił honory.

Potter przeszedł do kolejnych punktów działań i po chwili Budd, LeBow, Tobe i D'Angelo pochyliłi się nad mapami terenu i rysunkami rzeźni. Angie, która nie miała doświadczenia w operacjach bojowych i niewiele mogła pomóc Frankowi, pojechała z Emily i Beverly do Days Inn. Młoda, poważna detektyw Sharon Foster wyszła zapalić - prawdziwego camela. Frances została w furgonetce, cierpliwie czekając.

- Wszyscy będą zdenerwowani i będą się zachowywać trochę jak stuknięci - rzekł Potter. - I nasi ludzie, i porywacze. Wszyscy jesteście zmęczeni, więc możemy być nieostrożni. Musimy dokładnie ustalić każdy krok, jak choreograf. - Zamilkł, patrząc przez okno w żółte kwadratowe okazy budynku.

- Arthur? - odezwał się LeBow. Chciał mu tym samym powiedzieć: czas ucieka.

- Tak, oczywiście.

Pochyliłi się nad mapami i Potter zaczął przydzielać zadania. Zdawało mu się, że zupełnie stracił głos, więc bardzo się zdumiał, gdy stojący przed nim ludzie kiwali w skupieniu głowami, jak gdyby rozumieli słowa, których on sam nie słyszał.

Dwadzieścia minut później, leżąc w kępie pachnących traw i telefonując do Handy'ego, Potter pomyślał nagle, że coś tu jest nie tak. Przyszło mu do głowy, że Handy szykuje jakąś pułapkę.

Przypomniał sobie, o czym wcześniej mówił Budd - że Handy może mieć jakiś sprytny i misterny plan, który być może pozwoli mu uciec.

Intuicja. Słuchaj Pottera. Zwykle się nie myli.

A teraz przecucie było bardzo wyraźne.

Trzask odbieranego telefonu.

- Lou. - Była to prawdopodobnie ich ostatnia rozmowa telefoniczna.

- Jaki jest plan, Art?

- Chcę tylko przekazać ci parę zasad. - Potter znajdował się pięćdziesiąt jardów od wejścia do rzeźni. Za sobą miał Charliego Budda i Franka D'Angelo. LeBow i Tobe zostali w furgonetce. - Ta kobieta jest przytomna? Starsza nauczycielka?

- Padła zupełnie. Mówiłem ci, Art. Miała ciężki wieczór. Bonner to kawał chłopca. Pod każdym względem.

Przy następnym pytaniu Potter stwierdził, że głos mu drży.

- A druga nauczycielka?

- Blondyneczka? Myszka? - Po krótkiej chwili Handy wybuchnął swoim słynnym śmiechem. - Dlaczego tak się nią interesujesz, Art? Przypominam sobie, że już parę razy o nią pytałeś.

- Chcę wiedzieć, jak się czują ostatnie zakładniczki.

- No jasne. - Handy znów parskał śmiechem. - Też pewnie miała w życiu lepsze dni.

- Co masz na myśli, Lou? - zapytał, siląc się na niedbały ton. Jak straszną karę na niej wykonał?

- Jest za młoda dla takiego starego pierdziela jak ty, Art.

Niech to szlag, pomyślał wściekły Potter. Handy czytał w nim jak w otwartej książce. Agent zmusił się, by o niej nie myśleć i skupić się na rozdziale dziewiątym napisanego przez siebie podręcznika zatytułowanym „Faza kapitulacji”. Potter i D’Angelo postanowili wysłać do rzeźni szpicę - kilku ludzi, którzy mieli się przekraść na tyły przez uchylone drzwi na przystań, żeby zabezpieczyć wnętrze i ochronić zakładniczeki, a potem dopilnować, żeby porywacze wyszli od frontu.

- Dobrze, Lou - ciągnął Potter. - Kiedy ci powiem, macie odłożyć broń i wyjść na zewnątrz z rękami wyciągniętymi na boki. Nie na głowie.

- Jak Jezus na krzyżu.

Wiatr zaczął wiać jeszcze silniej, przyginając do ziemi młode drzewka, wysokie błękitne trawy, turzyce i wiechcie dzikiej marchwi, wzbijając w górę chmury pyłu. Mógł cholernie popsuć zadanie snajperom.

- Powiedz mi prawdę. Bonner nie żyje czy tylko jest ranny?

W jednym z namiotów szpitala polowego Potter odwiedził wcześniej Beverly, biedną astmatyczkę, i dowiedział się od niej, że grubas istotnie został postrzelony. Lecz dziewczynka tłumaczyła, że starała się za wszelką cenę na niego nie patrzeć, nie była więc pewna, czy jeszcze żył.

- Mam dość gadania, Art. Naradzę się parę minut z Shepem, a potem wychodzimy. Art?

- Tak, Lou?

- Chcę, żebyś był z przodu. Żebym cię widział. Tylko wtedy wyjdę.

Zrobię to, pomyślał instynktownie Potter. Wszystko, czego będziesz chciał.

- Będę, Lou.

- Przed samym frontem.

- Na pewno. - Chwila ciszy. - Dobra. Lou, teraz powiem ci dokładnie, co...

- Do zobaczenia, Art. Fajnie było.

Trzask.

Potter kurczowo ścisnął słuchawkę jeszcze długo po tym, jak umilkł głos Handy’ego i słychać było tylko głuchy szum. Nagle, nie wiadomo skąd, przyszła mu do głowy myśl: ten człowiek zdecydował się popełnić samobójstwo. Sytuacja była beznadziejna: brak szansy ucieczki, widmo nieustannego pościgu, czekająca go wieloletnia odsiadka. Chciał to skończyć w jednej chwili.

Moja ukochana Ostrella...

W ten sposób do końca zachowa kontrolę.

Jego rozmyślania przerwał D’Angelo, mówiąc:

- Dopóki nie dostaniemy potwierdzenia śmierci Bonnera, przyjmujemy założenie, że żyje i jest uzbrojony.

Potter skinął głową, wyłączył i wsunął do kieszeni telefon.

- Ustal wszystko dokładnie, Frank. Myślę, że po jego wyjściu może dojść do strzelaniny.

- Tak? - zapytał Budd szeptem, jak gdyby Handy mógł ich usłyszeć przez Duże Ucho.

- Przeczucie, to wszystko. Ale dostosuj odpowiednio plan.

D’Angelo skinął głową. Wezwał nowych ludzi, podwajając liczbę snajperów na drzewach, przesunął pirotechników do pierwszego zespołu. Gdy wszyscy znaleźli się na miejscach, zapytał:

- Mamy ruszać, Arthurze?

Potter kiwnął głową. D’Angelo rzucił rozkaz do mikrofonu i czterech agentów HRT ruszyło wzdłuż frontu rzeźni. Dwóch przystanęło pod otwartymi oknami, dwaj pozostali zniknęli w cieniu po obu stronach drzwi. Ci pod oknami mieli na ramionach siatkowe ochroniacze pirotechniczne.

Następnie dowódca oddziału wywołał przez radio dwóch ludzi ze szpicy, którzy weszli do budynku z tyłu. Przez chwilę słucał meldunku, który zaraz przekazał Potterowi:

- Dwie zakładniczki, chyba żywe, leżą na podłodze pomieszczenia, które wskazałeś. Ranne, rozmiar obrażeń nieznany. Bonner prawdopodobnie nie żyje. - W beznamiętnym głosie nagle zadrgała nuta zaniepokojenia. - Cholera, wszędzie krew.

Czyja? - zastanawiał się Potter.

- Handy i Wilcox są uzbrojeni?

- W rękach nie mają broni, ale mają podejrzenie grube koszule. Mogą chować coś pod nimi.

Ranne, rozmiar obrażeń nieznany.

- Mieli jakieś narzędzia - powiedział do D'Angela Potter. - Być może mieli też taśmę i przykleili sobie broń pod ubraniem.

Dowódca HRT skinął głową.

Wszędzie krew...

Do mężczyzn na wzniesieniu dołączyła Sharon Foster. Miała na sobie obszerną kamizelkę kuloodporną.

Jak to się skończy? - myślał Potter. Słuchał żałosnego wycia wiatru. Poczul nieprzewartą chęć przeprowadzenia jeszcze jednej rozmowy z Handym. Wcisnął przycisk na swoim telefonie.

Kilkanaście dzwonek, potem jeszcze kilkanaście. Nikt nie odbierał.

D'Angelo i LeBow patrzyli na niego. Wyłączył aparat.

W rzeźni zgasły światła. Budd zeszywniał. Potter uspokoił go gestem. Porywacze często wyłączali przed wyjściem światła, bojąc się, by ich cień nie wskazał celu snajperom, mimo że się poddawali.

Rogalik księżycy zdażył się przesunąć po niebie o piętnaście stopni. Często negocjatorowi widok miejsca, w którym spędził kilka godzin, wydaje się swojski, a nawet perwersyjnie uspokajający. Jednak dziś na widok czarnoczerwonej cegły Potterowi przyszły na myśl tylko słowa Handy'ego - „sama śmierć”.

Drzwi uchyliły się wolno, zatrzymały się w połowie i otworzyły szerzej. Nic.

Jak to się odbędzie - dobrze czy źle? Jak wyjdą - spokojnie czy gwałtownie?

Och, moja piękna Ostrello.

Widział już wszystko podczas kapitulacji: terrorystów, którzy padali na ziemię, płacząc jak dzieci. Kryminalistów, którzy bez broni wybiegali jak szaleni na wolność. Ukrytą broń. Młodą Syryjkę, która wolnym krokiem wyszła z izraelskiego konsulatu, przepisowo wyciągając ramiona i posiała mu uroczy uśmiech, a po chwili granaty ukryte w jej staniku rozerwały na strzępy ją i trzech agentów HRT.

Strzeż się.

Po raz trzeci czy czwarty w swojej karierze Arthur Potter wyciągnął broń z zawieszanej wysoko na biodrze kabury i niezręcznym ruchem odciągnął kurek, przeładowując pistolet. Schował broń z powrotem, nie odbezpieczając.

- Dlaczego nic się nie dzieje? - szepnął zdenerwowany Budd.

Potter opanował nieoczekiwane pragnienie, by wybuchnąć histerycznym śmiechem.

- Art? - Z rzeźni doleciał do nich z wiatrem cichy głos Handy'ego, stłumiony i przerywany.

- Tak? - zawołał Potter przez megafon.

- Gdzie ty, kurwa, jesteś? Nie widzę cię.

Potter zerknął na Budda.

- Popatrz, jak zarabiam na życie.

Podniósł się niepewnie, przetarł okulary o klapę marynarki. Sharon Foster zapytała, czy na pewno chce to zrobić. Spojrzawszy na nią przelotnie, ruszył niezgrabnym krokiem w dół zbocza, przechodząc przez połamane stare ogrodzenie. Zatrzymał się trzydzieści jardów przed frontem rzeźni.

- Jestem, Lou. Możesz wyjść.

Wtedy wyłonili się.

Najpierw Handy. Za nim Wilcox.

Od razu zauważył, że trzymają ręce założone z tyłu głowy.

W porządku, Ostrello. Wyjdz, jak chcesz. Nikt cię nie skrzywdzi. Wszystko będzie dobrze.

- Lou, wyprostuj ręce! Na boki!

- Hej, spokojnie, Art - zawołał Handy. - Bo serce ci pierdolnie. - Mrużył oczy przed oślepiającym światłem reflektorów. Rozglądał się dookoła rozbawiony.

- Lou, mierzy do ciebie kilkunastu snajperów...

- Tylko kilkunastu? Cholera, myślałem, że jestem więcej wart.

- Wyprostuj ręce, bo zaczną strzelać.

Handy zatrzymał się. Obejrzał na Wilcoxa. Wymienili uśmiechy.

Potter położył rękę na kolbie pistoletu.

Powoli wyciągnęli ramiona w bok.

- Wyglądam jak jakaś tancerka, Art.

- Bardzo dobrze, Lou.

- Łatwo ci mówić.

- Rozdzielcie się - zawołał Potter. - Przejdźcie dziesięć stóp i połóżcie się twarzą do ziemi.

Odeszli od rzeźni dalej, niż polecił im Potter, ale zaraz padli na kolana i położyli się na brzuchu. Dwaj agenci HRT przy drzwiach mieli swoje H&K wycelowane w plecy obu uciekinierów, trzymając się z dala od drzwi, w razie gdyby się okazało, że Bonner żyje albo w środku są jeszcze inni porywacze, o których istnieniu nie miały pojęcia nawet zakładniczki.

Agenci, którzy zajmowali pozycje pod oknami, weszli do środka, a ich śladem podążyli następni dwaj, którzy wysunęli się z cienia i wbiegli przez drzwi. Mrok rzeźni porozcinały mocne snopy światła z zamontowanych na karabinach latarek.

Ludzie D'Angela zostali poinformowani o urządzeniu zapalającym skonstruowanym przez Handy'ego, poruszali się więc bardzo wolno, szukając drutów odpalających bombę-pułapkę. Potter chyba nigdy w życiu nie czuł większego niepokoju. Był przygotowany na to, że w każdej chwili wewnątrz rzeźni stanie w pomarańczowych płomieniach.

Dwaj agenci ruszyli naprzód, żeby osłaniać ludzi przy drzwiach, którzy zbliżyli się teraz do Handy'ego i Wilcoxa.

Mieli przy sobie granaty?

Ukryte noże?

Dopiero gdy zostali skuci kajdankami i obszukani, Potter zdał sobie sprawę, że to koniec akcji. Był cały i zdrowy.

Popełnił jeszcze jeden błąd przy ocenie Handy'ego.

Wrócił do Budda, D'Angela i Foster. Powiedział dowódcy HRT, by przekazał agentom, którzy mieli doprowadzić obu porywaczy, rozkazy, jak się z nimi obchodzić. Potter pamiętał, że Wilcox był największym kowbojem z całej grupy, bardziej impulsywnym od innych. Polecił, żeby kajdanki, którymi miał unieruchomione ręce, przykuto mu dodatkowo do pasa, ale zakazał agentom, by zrobili to samo z Handym. Wiedział, że Lou będzie bardziej skłonny do współpracy, jeżeli zostawi mu się przynajmniej odrobinę kontroli.

Zjawili się następni agenci, by osłaniać dwóch konwojentów. Postawili aresztowanych na nogi, przeszukali jeszcze raz, dokładniej, a potem szybko ruszyli z nimi rowem w stronę wzniesienia.

Wtedy w środku zapaliły się światła.

Nastąpiła bardzo długa chwila ciszy, choć w rzeczywistości musiało upłynąć nie więcej niż kilka sekund.

Gdzie ona jest?

- Proszę - powiedział do mikrofonu D'Angelo. Słuchał przez minutę, po czym rzekł do Pottera: - Zabezpieczone. Nie ma innych porywaczy. Ani pułapek. W tamtym pomieszczeniu coś było, ale już zdemontowane.

Reszta ludzi stała, obserwując zbliżającego się Handy'ego.

- A zakładniczki? - spytał zaniepokojony Potter.

D'Angelo słuchał.

- Bonner nie żyje - oznajmił głośno.

Tak, tak, ale... ?

- Znaleźli dwie zakładniczki. Pierwsza, biała, prawie czterdzieści lat. Przytomna, ale trudno się z nią porozumieć.

Na litość boską, a co z...

- Druga, biała, dwadzieścia kilka lat. Też przytomna. - D'Angelo skrzywił się. - Ma chyba poważne obrażenia.

Nie. Boże, nie.

- Co - krzyknął Potter. - Co jej się stało? - Negocjator wziął własną krótkofalówkę i dostroił się do ich kanału. - Co z nią? Z tą młodszą?

Agent przeszukujący rzeźnię powiedział:

- Handy musiał się naprawdę nad nią znęcać.

- Jakie obrażenia? - pytał rozgorączkowany Potter. Budd i D'Angelo patrzyli na niego zdziwieni. Handy zbliżał się, mając po dwóch agentów z każdej strony. Potter stwierdził, że nie jest w stanie na niego patrzeć.

Agent z rzeźni powiedział przez radio:

- Nie widać żadnych poważnych ran, ale musiał ją chyba strasznie bić. Dziewczyna nie słyszy nic, co do niej mówimy.

Kapitulacja nastąpiła tak szybko, że zapomniał powiedzieć oddziałowi specjalnemu, że Melanie jest głucha.

D'Angelo powiedział coś do niego, potem Budd, lecz Potter nie słyszał ich, ponieważ wybuchnął oszalałym, histerycznym śmiechem. Sharon Foster i stojący w pobliżu policjanci spojrzeli na niego niespokojnie. Potter przypuszczał, że zobaczyli w nim stukniętego staruszka - nie bez racji. W ogóle go to jednak nie obchodziło.

- Lou.

- Art, wyglądasz zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałem. Naprawdę musisz stracić kilka funtów.

Handy stał za furgonetką z rękami skutymi za plecami. Sharon Foster przyglądała się więźniom z boku. Gdy Handy z uśmiechem zerknął znacząco na jej ciało, zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem. Potter wiedział, że po ciężkich negocjacjach, zwłaszcza gdy ktoś zginął w ich trakcie, często przychodzi chęć, by obrazić lub okazać lekceważenie wrogowi. Sam potrafił się opanować, lecz Foster była młodszą i w większym stopniu kierowała się uczuciami. Poczęstowała Handy'ego szyderczym uśmiechem i oddaliła się. Zatrzymany wybuchnął śmiechem, odwracając się do Pottera.

- Wygląd nie oddaje prawdy o człowieku - rzekł do niego negocjator.

- Szczególnie u skurwieli.

Jak zawsze po kapitulacji porywacz wydawał się mniejszy w porównaniu z jego obrazem, jaki nosił w sobie Potter. Handy miał szczupłą twarz o twardych rysach, bladą i poorlyą głębokimi bruzdami. Potter wiedział, ile Handy ma wzrostu i ile waży, mimo to dziwił się, że przestępca wydaje się taki drobny.

Szukał w tłumie Melanie. Nigdzie jej jednak nie dostrzegł. Wokół budynku rzeźni krążyli policjanci, strażacy, ratownicy i członkowie oddziałów Stillwella. Samochód, autobus szkolny i sam budynek przetwórci były teraz naturalnie traktowane jak miejsca zbrodni, a ponieważ według umowy, formalnie rzecz biorąc, operacja znalazła się w gestii policji stanowej, Handy'ego i Wilcoxa aresztował Budd, który starał się również zabezpieczyć teren dla ekip kryminalistycznych.

Gdzie ona jest?

Wcześniej nastąpił mały incydent, gdy Potter aresztował Handy'ego, przedstawiając mu zarzuty federalne. Handy spojrział na niego lodowatym wzrokiem.

- Co jest, kurwa?

- Chcę tylko zabezpieczyć nasze prawa - powiedział Potter. Agent specjalny Henderson wyjaśnił, że to po prostu formalność, a Roland Marks również potwierdził, że wszystkich obowiązuje spisana wcześniej umowa. Potter przeżył też chwilę niepokoju, gdy wydawało mu się, że Marks chce wymierzyć zatrzymanemu cios. Zastępca prokuratora stanowego wymamrotał jednak tylko:

- Pieprzony dzieciobójca. - Po czym oddalił się z szybkością błyskawicy. Handy zaśmiał się, spoglądając na jego nikinące w oddali plecy.

Shep Wilcox rozglądał się dookoła, szczerząc zęby w uśmiechu, lecz wydawał się zawiedziony, że w pobliżu nie ma reporterów.



Starszą nauczycielkę, Donnę Harstrawn, wyniesiono z rzeźni na noszach. Potter zbliżył się i zaczął iść obok pielęgniarki. Spojrzał na jednego z nich pytająco.

- Nic jej nie będzie - rzekł szeptem młody sanitariusz. - W każdym razie fizycznie.

- Pani mąż i dzieci są w Days Inn - powiedział do niej Potter.

- To było... - zaczęła, ale natychmiast zamilkła. Pokręciła głową. - Nie mogę teraz nikogo widzieć. Proszę. Nie... ja nigdy... - Jej słowa utonęły w beładnym majaczeniu.

Potter uściskał jej rękę i przystanął, obserwując, jak niosą ją do czekającej na wzniesieniu karetki.

Odwrócił się z powrotem w stronę rzeźni właśnie w chwili, gdy wyprowadzano stamtąd Melanie Charrol. Jej blond włosy były potargane. Podobnie jak Handy wydawała się niższa, niż się Potter spodziewał. Agent ruszył w jej stronę, ale przystanął. Melanie nie widziała go; szła szybkim krokiem ze wzrokiem utkwionym w Donnie Harstrawn. Była ciemno ubrana - w szarą spódnicę, czarne pończochy, ciemnowiśniową bluzkę - lecz Potter odniósł wrażenie, że cały strój jest przesiąknięty krwią.

- Skąd ta cała krew? - spytał jednego z agentów z HRT, którzy byli w środku.

- To nie jej - padła odpowiedź. - Prawdopodobnie Bonnera. Facet krwawił jak wypatroszony dorodny jelen. Chce pan ją wypytać o szczegóły?

Zawahał się.

- Później - rzekł w końcu. Lecz słowo zabrzmiało dla niego jak pytanie, na które nie znał odpowiedzi.

Podeszła do niego detektyw Sharon Foster i podała mu dłoń.

- Dobranoc, agencie Potter.

- Dziękuję za wszystko - powiedział spokojnie.

- Nie ma o czym mówić. - Bezceremonialnie wycelowała w niego palec. - Świetna robota przy kapitulacji. Poszło jak po maśle. - Odwróciła się i podażyła do swojego wozu. Potter czuł, że płonie mu twarz jak żółtodziobowi, którego zrugał srogi sierżant.

Z Days Inn wpadła na moment Angie Scapello, by pozbierać swoje rzeczy i pożegnać się z Potterem i resztą. Miała jeszcze trochę pracy w motelu, gdzie chciała porozmawiać z zakładniczkami oraz dać dziewczynkom i rodzicom nazwiska terapeutów zajmujących się objawami stresu pourazowego.

Budd i D'Angelo zabrali się z Angie do bazy na tyłach. Potter z dwoma policjantami odprowadzili porywaczy do furgonetki. Niedaleko czekały radiowozy, by zabrać ich do centrali policji stanowej znajdującej się dziesięć mil od rzeźni.

- Zdaje się, że mieliście tu pożar - zauważył Handy, spoglądając na czarne pląty spalonej ziemi. - Za to mnie chyba nie będziecie obwiniać, co?

Choć Potter patrzył na zatrzymanego, kątem oka dostrzegł jakiegoś człowieka, który wynurzył się z cienia, zbliżając się od strony jednego z rowów. Nie zwrócił na niego szczególnej uwagi, ponieważ w okolicy krążyło kilkudziesięciu policjantów. Jednak w kroku tego mężczyzny widać było zdecydowanie; szedł zbyt szybko, by można było uznać, że znalazł się w tym miejscu przypadkowo. Zmierzał prosto w kierunku Pottera.

- Broń! - krzyknął agent, gdy znajdujący się w odległości dziesięciu stóp Dan Tremain uniósł pistolet.

Wilcox i eskortujący go funkcjonariusz padli na ziemię, to samo zrobił drugi policjant, w pozycji stojącej zostali więc tylko Potter i Handy. Stanowili doskonały cel.

Handy z uśmiechem odwrócił się twarzą do Tremaina. Potter wyciągnął własną broń i celując w dowódcę jednostki specjalnej, wysunął się przed Handy'ego.

- Nie, kapitanie - powiedział stanowczo agent.

- Zejdź mi z drogi, Potter.

- Narobiłeś już dość kłopotów.

Pistolet w dłoni Tremaina wypalił. Potter poczuł, jak pocisk rozciął powietrze tuż obok jego głowy. Usłyszał śmiech Handy'ego.

- Zejdź mi z drogi!

- Zrób to - szepnął Potterowi do ucha Handy. - Pociągnij za spust.

Rozwał skurwiela.

- Zamknij się! - warknął agent. Kilku policjantów znajdujących się w pobliżu wyciągnęło pistolety i wzięło na cel Tremaina. Żaden nie wiedział, co robić.

Albo żaden nie chciał zrobić tego, co powinien.

- Jest mój - powiedział Tremain.

- Masz prawo - szeptał dalej Handy. - Zabij go, Art. Przecież chcesz. Naprawdę chcesz.

- Cicho! - krzyknął Potter. Lecz nagle zrozumiał, że Handy ma rację. Rzeczywiście chciał tego. Co więcej, czuł, że wolno mu to zrobić - zabić człowieka, który omal nie spalił żywcem Melanie.

- Zrób to - naciskał Handy. - Musisz.

- Dan, to się bardzo źle skończy - powiedział wolno Potter, nie zwracając uwagi na zatrzymanego. - Lepiej tego nie rób.

- Ty znowu swoje, Art. Ciągłe radzisz ludziom, co mają robić. Ja ci mówię, co ty masz zrobić. Masz strzelić do tego kutasa. O mało co nie zabił ci dziewczyny. To twoja dziewczyna, nie, Art? Me-la-nie?

- Zamknij się, do cholery!

- Zrób to, Art. Strzelaj!

Tremain strzelił drugi raz. Potter skulił się, gdy kula przemknęła tuż obok jego głowy, odłupując kawałek muru rzeźni.

Kapitan podtrzymał broń drugą ręką, celując dokładniej.

Arthur Potter rozkrzyżował ramiona, zasłaniając człowieka, którego aresztował. I Charliego, który był jego przyjacielem.

- Zrób coś złego - szepnął Handy łagodnym, uspokajającym głosem. - Odsuń się o parę cali i pozwól mu strzelić do mnie. Albo sam strzelaj.

Potter obejrzał się.

- Mógłbyś...

Kilku agentów FBI wyciągnęło pistolety i krzyczało do Tremaina, żeby rzucił broń. Ludzie z policji stanowej kibicowali, popierając w duchu dowódcę jednostki specjalnej.

Potter pomyślał: Handy o mały włos nie zabił Melanie.

Wystarczy się troszeczkę odsunąć.

Tremain też omal jej nie zabił.

Strzelaj. Śmiało.

- Gdyby wykonał swój plan, Art - szeptał dalej Handy - twoja dziewczyna miałaby teraz oparzenia trzeciego stopnia na całym ciele. Spalone włosy i cycki. Nawet ty nie miałbyś ochoty rznąć kogoś takiego jak...

Potter okręcił się na pięcie. Jego wzniesiona pięść trafiła Handy'ego w szczękę. Aresztowany zatoczył się i wylądował na ziemi. Tremain dalej stał w odległości dziesięciu stóp od nich. Znow wycelował w pierś Handy'ego.

- Rzuć broń - rozkazał Potter, odwracając się i robiąc kilka kroków w jego stronę. - Rzuć to, Dan. Jeszcze żyjesz. Ale jeśli pociągniesz za spust, twoje życie się skończy. Pomyśl o swojej rodzinie. - Dodał ciszej: - Bóg nie chce, żebyś się poświęcał dla takiej kreatury jak Handy.

Pistolet zadrżał i poleciał na ziemię.

Nie patrząc ani na Pottera, ani na Handy'ego, Tremain podszedł do Charliego Budda i wyciągnął ręce do kajdanek. Budd przyjrzał się swemu koledze, chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie wolał się nie odzywać.

Gramoląc się na nogi, Handy rzekł:

- Ale szansę straciłeś, Art. Niewielu ma okazję rozwalić kogoś i...

Potter chwycił go za włosy, wbijając mu lufę pistoletu pod nieogolony podbródek.

- Ani słowa.

Cofnął się, oddychając ciężko. Pierwszy odwrócił wzrok, naprawdę przestraszony. Lecz strach trwał tylko chwilę. Handy roześmiał się.

- Prawdziwy z ciebie oryginał, Art. Poważnie. Kończmy to. Zapuszczaj mnie już, Dan.

Północ

Arthur Potter był sam.

Spojrzał na swoje dłonie i zobaczył, że drżą. Do incydentu z Tremainem były nieruchome jak skała. Wziął wyimaginowane valium, ale nie pomogło. Po chwili zdał sobie sprawę, że jego niepokój jest nie tyle skutkiem konfrontacji, ile wynika z uczucia zawodu. Chciał porozmawiać z Handym. Dowiedzieć się o nim czegoś więcej, ustalić, co nim powodowało.

Dlaczego zabił Susan? O czym wtedy myślał? Co stało się w tamtym pomieszczeniu, w ubojni?

I co on o mnie myśli?

Miał wrażenie, jak gdyby eskortujący go policjanci odprowadzali część jego samego. Wpatrywał się w tył głowy Handy'ego, w jego zmierzwiłone włosy. Porywacz rozglądał się na boki, uśmiechając jak hiena. Potter dostrzegł kanciastą linię szczęki.

Strzeż się.

Przypomniał sobie o pistolecie. Rozładował broń i wsunął do kabury. Kiedy po chwili uniósł wzrok, radiowozy, do których wsadzono Handy'ego i Wilcoxa, już odjechały. W tym momencie wydawało mu się, że perwersyjna braterska więź łącząca negocjatora z porywaczem nigdy się nie zerwie. Poczul nawet coś na kształt żalu, że Handy odjeżdża.

Skupił się na pracy, jaka jeszcze go czekała. Trzeba będzie napisać raport IR-1002. Potem telefoniczne sprawozdanie dla dyrektora wydziału w Waszyngtonie i osobiste sprawozdanie dla Admirala, kiedy szef zapozna się już z raportem. Potter powinien od razu zacząć przygotowywać swoją prezentację. Dyrektor lubił sprawozdania krótkie jak wiadomości telewizyjne, a rzeczywistość rzadko bywała tak życzliwa, by przybrać tak zwięzłą formę. Potter wstąpił na konferencję prasową Hendersona, ale odpowiedziawszy na kilka pytań, wyszedł, pozwalając agentowi specjalnemu przypisać sobie tyle zasług i winy, ile mu się podobało; Pottera nic to nie obchodziło.

Musiał jeszcze pomyśleć, jak załatwić sprawę nieudanego szturmu ludzi Tremaina. Wiedział, że kapitan nigdy nie porwałby się na podobnie szaleńczą akcję bez pozwolenia z góry - prawdopodobnie od samego gubernatora. Gdyby tak jednak było, szef władzy wykonawczej stanu zdażył się już pewnie odciąć od poczynań Tremaina. Być może nawet planował jakiś subtelny manewr ofensywny - na przykład publiczne napiętnowanie niejakiego Arthura Pottera. Agent musiał się więc przygotować i na to.

Trzeba jeszcze odpowiedzieć na pytanie - czy ma tu zostać przez parę dni? Wrócić do Chicago? Czy może wrócić do Waszyngtonu?

Stał niedaleko nadpalonej furgonetki, którą opuścili już odjeżdżający policjanci, i czekał na spotkanie z Melanie. Patrzył na rzeźnię, zastanawiając się, co ma powiedzieć dziewczynie. Ujrzał Frances Whiting, która opierała się o swój samochód; wydawała się równie wyczerpana jak on. Zbliżył się do niej.

- Masz chwilę czasu, żeby udzielić mi lekcji? - spytał.

- Jasne.

Dziesięć minut później poszli do szpitala polowego.

Melanie Charrol siedziała w namiocie na niskim stole. Lekarz zdażył już zabandażować jej szyję i barki. Żeby ułatwić mu pracę, naprędce zaplotła włosy w warkocz.

Potter podszedł bliżej i - wbrew temu, co sobie wcześniej przysięgał - zamiast do Melanie, zwrócił się do lekarza opatrującego jej nogę betadyną:

- Wszystko z nią w porządku?

Melanie skinęła głową. Patrzyła z jasnym uśmiechem prosto w jego oczy, spoglądając tylko od czasu do czasu na usta Pottera, kiedy mówił.

- To nie jej krew - poinformował go lekarz.

- Niedźwiedzia? - zapytał Potter.

Melanie ze śmiechem kiwnęła głową. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, lecz Potter zauważył, że dziewczyna ma szklany wzrok. Lekarz dał jej jakąś pigułkę, którą popiła dwiema szklankami wody. Młody człowiek powiedział:

- Zostawię was samych na parę minut.

Gdy wyszedł, do namiotu wśliznęła się Frances. Obie zaczęły zamazywać gestykulować.

- Melanie pyta o tamte dziewczynki - powiedziała Frances. - Opowiadam jej krótko, co z nimi.

Melanie ponownie utkwiała wzrok w Potterze. Ich spojrzenia spotkały się. Młoda kobieta wciąż była wytracona z równowagi, ale - mimo bandażu i krwi - tak piękna, jak się spodziewał. Niesamowite niebieskoszare oczy.

Uniósł ręce, żeby powiedzieć zdanie w języku migowym, którego przed chwilą nauczyła go Frances, lecz pamięć, zwykle doskonała, zupełnie go zawiodła. Pokręcił głową, zdziwiony własnym roztargnieniem. Melanie spojrzała na niego z ciekawością.

Potter znacząco podniósł palec. Chwileczkę. Spróbował jeszcze raz i znów znieruchomiał. Gdy Frances pokazała mu pierwszy gest, wreszcie sobie przypomniał.

- Jestem Arthur Potter - przedstawił się na migi. - Miło mi cię poznać.

- Nie, jesteś Charles Michel de l'Epee - przetłumaczyła Frances.

- Taki stary nie jestem - powiedział z uśmiechem. - Od Frances Whiting wiem, że opat urodził się w osiemnastym wieku. Jak się czujesz?

Zrozumiała bez tłumaczenia. Pokazując na swoje ubranie, zmarszczyła brwi z udawanym rozdrażnieniem, po czym zaczęła gestykulować. Frances przetłumaczyła:

- Spódnica i bluzka do wyrzucenia. Nie mogliście nas wydestakować trochę wcześniej?

- Jak w filmie tygodnia, ludzie spodziewają się napięcia do samego końca.

Chciał wiedzieć wszystko. Podobnie jak w rozmowach z Handym, cisnęło mu się na usta mnóstwo pytań, ale nie wypowiedział żadnego.

Podszedł jeszcze bliżej. Przez chwilę żadne z nich się nie poruszyło.

Potterowi przyszło na myśl inne zdanie w języku migowym, którego Frances nauczyła go wcześniej.

- Jesteś bardzo odważna - rzekł na migi.

To stwierdzenie wyraźnie sprawiło Melanie przyjemność. Frances przyglądała się chwilę jej gestom, ale potem zmarszczyła brwi, kręcąc głową. Melanie powtórzyła.

- Nie rozumiem, co ma na myśli - zwróciła się do Pottera Frances. - Powiedziała: „Gdyby cię ze mną nie było, nic bym nie zrobiła”.

On jednak zrozumiał.

Usłyszawszy głośny huk silnika, odwrócił się i ujrzał kombajn. Obserwując go, miał przez chwilę wrażenie, że niezgrabny pojazd pędzi przed sobą roje owadów. Zaraz się jednak zorientował, że to kłosa i pył wzbijane w górę przez łopatkę hedera.

- Będą tak jeździć całą noc - przetłumaczyła słowa Melanie Frances.

Potter spojrzał na dziewczynę.

- Najgorsza jest wilgoć - ciągnęła Melanie. - Przy dobrej pogodzie harują, aż się kurzy. Muszą.

- Skąd to wiesz?

- Mówi, że jest dziewczyną ze wsi.

Spojrzała mu prosto w oczy. Próbował sobie wmówić, że tak samo patrzyła na niego Marian i dlatego ogarnęły go sentymenty i nostalgia, więc powinien skończyć raz na zawsze z tym nierealnym uczuciem. Nie potrafił. Spojrzenie, a także to, co czuł pod jego wpływem, oraz ta młoda kobieta były autentyczne.

Potter przypomniał sobie ostatnie zdanie, jakiego nauczyła go Frances. Zawahał się przez moment, lecz zaraz zaczął instynktownie gestykulować. Wydawało mu się, że doskonale wyczuwa każdy znak, jak gdyby tylko dłonie potrafiły wyrazić to, co chciał jej powiedzieć.

- Chciałbym się jeszcze z tobą zobaczyć - rzekł na migi. - Może jutro?

Po bardzo długiej chwili przytaknęła z uśmiechem.

Nagle wyciągnęła do niego ręce i ścisnęła jego ramię. Potter natomiast dotknął obandażowaną dłońią jej barku. Stali przez moment w tym dziwnym uścisku, a potem on delikatnie dotknął palcami jej włosów. Schyliła głowę, a Potter zbliżył do niej usta, niemal muskając nimi gruby, jasny warkocz. Poczł

nagle piżmowy zapach jej włosów, jej potu, ledwo zaznaczoną woń perfum, krew. Zapachy spółkujących kochanków. I nie potrafił jej pocałować.

Ależ jest młoda! Kiedy to sobie uświadomił, w jednej chwili zniknęło pragnienie, by ją objąć, a starcza fantazja - nigdy niewypowiedziana, niemal pozbawiona konkretnego kształtu - uleciała jak plewy znad kombajnu, który przed chwilą obserwował.

Wiedział, że musi wyjść.

Wiedział, że już nigdy jej nie zobaczy.

Odsunął się raptownie. Spojrzała na niego skonsternowana.

- Muszę porozmawiać z prokuratorem - rzekł szorstko.

Melanie skinęła głową, wyciągając do niego dłoń. Myśląc, że to jeden ze znaków języka migowego, spojrzał, czekając na ciąg dalszy. Wtedy sięgnęła dalej i ujęła ciepło jego rękę. Oboje skwitowali śmiechem to nieporozumienie. Nagle Melanie przyciągnęła go do siebie i pocałowała w policzek. W drodze do wyjścia przystanął i odwrócił się.

- „Strzeż się”. To do mnie powiedziałaś, prawda?

Melanie kiwnęła głową, znów patrząc na niego szklanym wzrokiem. Pustym i zrozpaczonym. Frances przetłumaczyła jej odpowiedź:

- Chciałam, żebyście wiedzieli, jak jest niebezpieczny. I żebyście byli ostrożni.

Znów się uśmiechnęła, gestykulując. Słuchając tłumaczenia, Potter się roześmiał.

- Jesteście mi winni nową spódnicę i bluzkę. Spodziewam się refundacji. Lepiej o tym nie zapominaj. Wredna ze mnie Głucha. Marny wasz los.

Potter wrócił do furgonetki, podziękował Tobe'emu Gellerowi i Henry'emu LeBowowi, którzy wracali do domów samolotami rejsowymi. Zabrał ich radiowóz. Jeszcze raz uściśnął dłoń Deana Stillwella, czując niedorzeczną ochotę, by ofiarować mu jakiś prezent, wstążkę, medal albo pierścień agenta federalnego. Szeryf przygładził swą płową czuprynę i miał na tyle przytomności umysłu, by rozkazać ludziom - z sił federalnych i stanowych - poruszać się po okolicy ostrożnie, przypominając im, że znajdują się w miejscu zbrodni, z którego trzeba zebrać wszystkie dowody.

Potter stanął pod jednym z halogenowych reflektorów i spoglądał na surowy budynek rzeźni.

- Dobranoc - dobiegł go zza pleców głos przeciągający samogłoski.

Stevie Oates. Negocjator podał mu dłoń.

- Bez ciebie byśmy tego nie zrobili, Stevie.

Chłopak lepiej sobie radził z unikaniem pocisków niż z komplementami.

Wbił wzrok w ziemię.

- No wie pan.

- Dam ci jedną radę.

- Jaka?

- Nie zgłaszaj się tak często na ochotnika.

- Tak jest. - Policjant wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Będę pamiętał.

Potter odnalazł Charliego Budda i poprosił o podwiezienie na lotnisko.

- Nie pokręcisz się tu jeszcze trochę? - zapytał młody kapitan. - Nie, powinienem już jechać.

Wsiedli do cywilnego samochodu Budda i odjechali. Potter ostatni raz spojrzał na rzeźnię; w ostrym świetle ponura czerwono-biała budowla przypominała nagą, zakrwawioną kość. Wzdrygnął się i odwrócił wzrok.

W połowie drogi na lotnisko Budd powiedział:

- Dzięki, że dałeś mi szansę.

- Miałeś odwagę mi się przyznać, Charlie...

- Po tym, jak o mało cię nie wrobiłem.

- Więc też ci się do czegoś przyznam.

Kapitan przejechał dłonią jasne włosy i przez chwilę wyglądał, jakby chodził do tego samego fryzjera co Dean Stillwell. Miało to oznaczać: „Wal śmiało, zniosę wszystko”.

- Zrobiłem z ciebie mojego zastępcę, bo musiałem wszystkim pokazać, że to operacja federalna, a policja stanowa gra tu drugie skrzydło. Nie chciałem ci dawać swobody. Inteligentny z ciebie facet, więc się pewnie domyśliłeś.

- Aha. Wydawało mi się, że raczej nie potrzebujesz takiego kosztownego chłopca na posyłki jak ja. Żeby zamawiał frytki, piwo i helikoptery. To był jeden z powodów, dla których schowałem w kieszeni magnetofon. Ale wyciągnąłem go dlatego, że mówiłeś mi to, co mówiłeś, i traktowałeś tak, a nie inaczej.

- Masz prawo być na mnie wściekły. Ale chciałem ci powiedzieć, że poradziłeś sobie o wiele lepiej, niż się spodziewałem. Naprawdę stałeś się częścią zespołu. A kiedy sam z nim rozmawiałeś - byłeś naprawdę świetny. Możesz prowadzić ze mną negocjacje, kiedy zechcesz.

- Za żadne skarby. Wiesz co, Arthur, zróbmy tak - ja ich zagnam do jakiejś kryjówki, a ty ich wyciągniesz.

Potter roześmiał się.

- To jest myśl, Charlie.

Jechali w milczeniu wśród ciągnących się milami pól pszenicy. Poruszone wiatrem zboże w świetle księżyca wyglądało jak żywa, gładka skóra zwierzęcia gotującego się do biegu.

- Mam wrażenie - powiedział wolno Budd - że myślisz sobie: „Popełniłem dzisiaj błąd”.

Potter nie odzywał się, patrząc w owadzie oczy kombajnów.

- Myślisz, że gdybyś wyszedł z tym, co zaproponowała im Foster, udałoby ci się wyciągnąć ich wcześniej. Może nawet ocaliłbyś życie tej dziewczynie i Joeyowi Wilsonowi.

- Rzeczywiście coś takiego przyszło mi do głowy - powiedział po minucie. Och, jak bardzo nie lubimy się tłumaczyć, kiedy ktoś nas rozgryzł. Dlaczego tak jesteśmy przywiązani do myśli, że dla innych ludzi stanowimy tajemnice? Wyjawię ci moje sekrety, Marian. Ale tylko tobie. To chyba przejaw miłości, dość logiczny. Czujemy się jednak bardzo niewyraźnie, kiedy obcy człowiek potrafi nas przejrzeć na wskroś.

- Ale udało ci się przetrzymać kilka terminów ultimatum i żadna nie zginęła - ciągnął Budd.

- Jednak ta dziewczyna, Susan...

- Przecież zastrzelił ją, zanim zaczęłaś negocjować. Nie mogłeś nic zrobić, żeby ją ocalić. Poza tym Handy miał niejedną okazję, żeby zażądać tego, co proponowała mu Sharon, a nie zrobił tego. Ani razu.

To prawda. O ile jednak Arthur Potter znał się na swoim fachu, negocjator jest podczas operacji pierwszy po Bogu i każda śmierć spada tylko na jego barki. Nauczył się - dzięki czemu po tylu latach jego serce funkcjonowało normalnie - że nie każda śmierć waży tyle samo.

Przejechali kolejne trzy mile. Potter zorientował się, że wpatruje się jak zahipnotyzowany w pobieloną blaskiem księżyca pszenicę. Budd znowu do niego mówił. Coś o domu. O żonie i córkach.

Potter odwrócił wzrok od falującego zboża i zaczął słuchać kapitana.

Siedząc w małym odrzutowcu, Potter wsunął do ust dwa kawałki gumy do żucia i pomachał do Charliego Budda, który stał na płycie lotniska, choć Potter wątpił, czy kapitan w ogóle go widzi, ponieważ we wnętrzu samolotu panował półmrok.

Potem zagłębił się w miękkim beżowym fotelu grummana gulfstreama. Pomyślał o buteleczce irlandzkiej whisky, którą miał w teczce, lecz stwierdził, że zdecydowanie nie jest w nastroju.

Co ty na to, Marian? Jestem po służbie i rezygnuję z kielicha do poduszki. Co na to powiesz?

Na konsoli obok dostrzegł telefon i pomyślał, że powinien zadzwonić do kuzynki Linden i powiedzieć jej, żeby na niego nie czekała. Może jednak lepiej po starcie. Poprosi do telefonu Seana; chłopiec będzie pewnie podekscytowany, słysząc, że wujek Arthur mówi do niego z wysokości dwudziestu tysięcy stóp. Patrzył nieobecny wzrokiem przez okno na kolorowe światła wyznaczające granice pasów startowych i dróg do kołowania. Wyciągnął z kieszeni jeszcze wilgotną kartkę, na której Melanie napisała do niego list. Jeszcze raz go przeczytał. Następnie zmiął papier i wcisnął do tylnej kieszeni fotela przed sobą.

Ryknęły silniki i mocno szarpnęło, a Potter stwierdził, że zamiast pędzić po pasie startowym, samolot prawie natychmiast wystrzelił w niebo jak rakieta wynosząca statek na Marsa.

Wznosili się, mknąc w kierunku księżyca wiszącego na zamglonym niebie jak widmowy sierp. Samolot wycelował prosto w otulony białym rogalikiem czarny krąg. Obraz ten wydał się Potterowi osobliwie poetycki: oto lodowaty kciuk i palec wskazujący wiedzmy sięgają po szczyptę mroku nocy.

Negocjator zamknął oczy, układając się wygodnie na miękkim siedzeniu.

W tym samym momencie grumman gwałtownie się przechylił. Manewr był tak nagły, że Potter doszedł do wniosku, iż za chwilę zginie. Przyjął ten fakt do wiadomości z ogromnym spokojem. Pewnie odpadło skrzydło albo jeden z silników. Śruba trzymająca cały samolot w końcu się poluzowała. Otworzył szeroko oczy i - naprawdę! - w białej poświacie księżyca, obok którego przelecieli szerokim łukiem, dostrzegł twarz żony. Zrozumiał, że to, co łączyło go z Marian przez te wszystkie lata, łączy ich nadal z tą samą siłą, i dlatego zjawiała się przy nim w chwili śmierci.

Znów zamknął oczy. I poczuł absolutny spokój.

Jednak tym razem nie było mu dane zginąć.

Kiedy samolot zakończył ostry zwrot i skierował się z powrotem na lotnisko, gdy już opuścił klapy i podwozie, zniżając się coraz bardziej nad płaskim krajobrazem Kansas, Potter przyciskał do ucha telefon, słuchając drżącego i surowego głosu agenta Hendersona, który informował go, że pół godziny temu znaleziono na wpół rozebrane zwłoki prawdziwej detektyw Sharon Foster niedaleko jej domu i powstało podejrzenie, że osoba, która podawała się za nią podczas akcji, jest dziewczyna Lou Handy'ego.

Czterej policjanci eskortujący Handy'ego i Wilcoxa zginęli - sam Wilcox także - w ostrej strzelaninie, jaka wywiązała się pięć mil od rzeźni.

Natomiast Handy i kobieta zniknęli bez śladu.

4

Panieński grób

1.01

Jadąc przez pola rozświetlone nikłym blaskiem księżyca, małżonkowie w nissanie dzielili się wrażeniami z wieczoru spędzonego w domu ich córki w Enid, który był tak nieprzyjemny, jak się spodziewali.

Jednak tematem ich rozmowy nie była zdezelowana przyczepa, w której mieszkały dzieci, ani niedomyty wnuk, ani nagłe zniknięcie zięcia o zlepionych brudem włosach, który wymknął się na zawalone śmieciami podwórko, by pokrzepić się łyżkiem jacka danielsa. Nie - rozmawiali o pogodzie i niezwykłych znakach drogowych, jakie mijali.

- Jesienią będzie mocno padać. Będzie powódź.

- Może.

- Coś o pstrągu w Minnesocie. Tyle przeczytałem.

- Pstrągu?

- Mówiłem o deszczach. Stuckey jest ledwie pięć mil stąd. Zobacz. Masz ochotę tam wstąpić?

Harriet, ich córka, przygotowała kolację, o której można powiedzieć tylko tyle, że była niejadalna - wszystko zostało tragicznie przypalone i przesolone. Na dodatek mąż znalazł w fasoli coś, co przypominało popiół z papierosa. Oboje umierali więc z głodu.

- Można. Na kawę. Patrz, jak wieje. Jezu! Mam nadzieję, że zamknąłeś okna w domu. I kawałek ciasta.

- Zamknąłem.

- Ostatnim razem zapomniałeś - zauważyła piskliwym głosem kobieta. - Nie chcę, żeby znowu zbiła się lampa. Wiesz, ile kosztują te trójstopniowe żarówki.

- Co się dzieje? - rzekł mężczyzna.
- Co?
- Zatrzymują mnie. Radiowóz.
- Zjedź na bok!
- Przecież zjeżdżam - odparł rozdrażniony. - Nie chcę ostro hamować.

Zaraz stanę.

- Co znowu zrobiłeś?
  - Nic. Było ograniczenie do pięćdziesięciu pięciu, a ja miałem pięćdziesiąt siedem na liczniku. To nie przestępstwo.
  - No to zjedź z drogi.
  - Zjeżdżam. Uspokoisz się wreszcie? Proszę, zadowolona?
  - Patrz - krzyknęła w zdumieniu kobieta. - Za kierownicą siedzi policjantka!
  - Teraz pełno bab w policji. Przecież wiesz. Oglądasz „Gliny”. Mam wysiąść czy czekać, aż podejda?
  - Może lepiej idź do nich - poradziła kobieta. - Bądź miły. Jak jechałeś tylko trochę za szybko, może nie dadzą mandatu.
  - Dobra. Ale ciągle nie wiem, co takiego zrobiłem.
- Uśmiechając się jak domokrażny sprzedawca encyklopedii, mężczyzna wysiadł z nissana i ruszył do radiowozu, wyciągając po drodze portfel.

Wjeżdżając policyjnym radiowozem w pole pszenicy i kładąc pokotem łan wysokiego zboża, Lou Handy miał żywo w pamięci inne pole - to przy skrzyżowaniu, na którym rano zderzyli się z cadillakiem.

Przypomniał sobie tamto szare niebo. Twardy dotyk rękojeści noża w dłoni. Przypudrowaną twarz kobiety z odcinającymi się od bieli pudru czarnymi zmarszczkami, kropelki krwi pokrywające coraz gęściej jej blade policzki, gdy zagłębiał nóż w miękkim ciele. Jej bezradne i bezbrzeżnie smutne spojrzenie. Dziwaczny krzyk i zduszony skowyt - odgłosy, które bardziej przypominały kwik zwierzęcia niż głos ludzki.

Umarła tak samo, jak przed chwilą ci dwoje z nissana, którzy leżeli teraz w bagażniku radiowozu. Do diabła, musieli zginać i ci, i tamci. Mieli coś, czego on potrzebował. Samochody. Cadillac i nissan. Hank i Ruth rozpieprzyli mu rano chevroleta. A wieczorem - nie mógł przecież z Pris jechać kradzionym radiowozem. Po prostu nie mógł. Potrzebował nowego auta. Musiał mieć nowe.

I kiedy Lou Handy wziął, co mu się należało, gdy zaspokoił przemożne pragnienie, stał się najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

Zaparkował wóz policyjny, którego wewnątrz pachniało prochem i krwią, w środku pola, pięćdziesiąt jardów od drogi. Do rana go znajdą, ale to nie miało znaczenia. Za kilka godzin wyjadą ze stanu i przelecą nad granicą Teksasu i Meksyku, kierując się do San Hidalgo.

Cholera, trzeba się mocno trzymać... Silny wiatr wstrząsał samochodem i bębnił kłosami pszenicy w przednią szybę jak śrutem.

Handy wysiadł i wrócił przez zboże na drogę, gdzie stał nissan, za którego kierownicą siedziała Pris. Zdażyła już zrzucić policyjny mundur, przebierając się w dżinsy i sweter, a Handy myślał tylko o tym, by zedrzeć z niej levisy i tanie nylonowe majtki, jakie zawsze nosiła, i zerznąć ją tu, na masce tego małego japońca. Trzymając ją za związane w koński ogon włosy, tak jak lubił najbardziej.

Mimo to skoczył na siedzenie pasażera i ponaglił ją gestem, by ruszała. Pris wyrzuciła przez okno niedopałek i zapaliła silnik. Samochód wystartował z pobocza, błyskawicznie zawrócił i po chwili przyspieszył do sześćdziesiątki.

Mknęli tam, skąd przed chwilą przyjechali. Na północ.

Oczywiście, wydawało się, że to szaleństwo. Handy szczycił się jednak sławą największego dziwaka wśród świrusów, któremu mimo wszystko udawało się w życiu. W rzeczywistości wybór takiego kierunku był całkiem sensowny - przecież to ostatnie miejsce, gdzie ktoś chciałby ich szukać.

W każdym razie chuj z tym, pomyślał. Głupota czy nie, już postanowił. Miał tam sprawę do załatwienia. Lou Handy musiał odebrać to, co mu się należało.



Testament heiligenstadzki - list napisany przez Beethovena do braci, jest zapisem jego rozpaczy z powodu stopniowego zanikania słuchu, które półtorej dekady później zakończyło się zupełną głuchotą.

Melanie Charrol wiedziała o tym, bo Beethoven był nie tylko jej duchowym nauczycielem i wzorcem, ale i częstym gościem w jej pokoju muzycznym, w którym naturalnie miał równie doskonały słuch jak ona. Przeprowadzili wiele interesujących rozmów na temat teorii muzyki i kompozycji. Oboje żalili się, że w nowoczesnej kompozycji odchodzi się od melodii i harmonii. Melanie nazwała to „muzyką o smaku lekarstwa” - a Ludwigowi bardzo się to określenie spodobało.

Siedziała teraz w salonie we własnym domu i głęboko oddychała, myśląc o wielkim kompozytorze i zastanawiając się, czy jest już pijana.

W barze motelu w Crow Ridge wypijała dwa kieliszki brandy w towarzystwie Frances Whiting i kilkorga rodziców dziewczynek. Frances skontaktowała się z rodzicami Melanie w St. Louis i poinformowała ich, że córka jest cała i zdrowa. Mieli wracać zaraz po operacji Danny'ego i zatrzymać się - w Hebronie. Melanie zdenerwowała się na tę wieść. Chciała, żeby ją odwiedzili, czy nie? Zamiast podjąć decyzję, wypijała jeszcze jedną brandy.

Potem poszła pożegnać się z dziewczynkami i rodzicami.

Bliźniaczki już spały, Kielle jeszcze nie, ale demonstracyjnie ją ignorowała - choć o ile Melanie znała się na dzieciach, ich nastroje były kapryśne jak pogoda; jutro lub pojutrze dziewczynka na pewno wpadnie do klitki Melanie w szkole i rozłoży na jej nienagannie uporządkowanym biurku nowy komiks o Ludziach X albo położy kartę z Power Rangersami. Emily oczywiście dawno już spała, ubrana w absurdalnie kobiecą koszulę nocną z falbankami. W centrum uwagi znajdowały się Shannon, Beverly i Jocylyn. Otoczone troską i hołubione, wesoło i z zawiadłą miną opowiadały, jak z ich gestów wynioskowała Melanie, o swoich przygodach dzisiejszego dnia ze szczegółami, o których ona wolałaby zapomnieć. Przeszły się nawet „Dziesiątka z Crow Ridge” i postanowiły zrobić sobie takie nadruki na koszulkach. Dopiero później zderzą się z rzeczywistością, gdy zaczną im brakować Susan. Lecz na razie - czemu nie? Poza tym, mimo obaw, jakimi dzieliła się z de l'Epee na temat społeczności Głuchych, jej członkowie mieli nadzwyczajną zdolność dochodzenia do siebie po ciężkich przeżyciach.

Melanie powiedziała wszystkim „dobranoc”, odrzucając kilkanaście propozycji noclegu. Nigdy przedtem nie użyła tyle razy znaku „nie, dziękuję” jak tego wieczoru.

Teraz była w domu, wcześniej pozamykała wszystkie okna i drzwi. Zapaliła trociczkę, nalała sobie jeszcze jeden kieliszek brandy - porzeczkowej, lekarstwa jej babci na skurcze - i siedziała w skórzanym fotelu, myśląc o de l'Epee... właściwie o Arthurze Potterze. Masowała ślad na nadgarstku po drucie, którym Brutus skrępował jej rękę. Miała na uszach słuchawki Kossa, rozbrzmiewał w nich czwarty koncert fortepianowy Beethovena. Wcześniej podkręciła głośność prawie do oporu. Nadzwyczajny utwór. Skomponowany w okresie, który historycy muzyki nazywali drugim w jego twórczości - z którego pochodziła również „Eroica” - gdy boleśnie przeżywał powolną utratę słuchu, a jeszcze przed zupełną głuchotą.

Słuchając koncertu, zastanawiała się, czy Beethoven napisał go, mając na uwadze przyszłość, gdy będzie miał coraz gorszy słuch, czy celowo wykorzystał pewne akordy i dynamikę, by głuchy starzec mógł przynajmniej poczuć ducha kompozycji - ponieważ mimo że w utworze były frazy, których Melanie w ogóle nie słyszała (ciche i delikatne jak dym), pasję muzyki wyczuwała w mocnych niskich tonach, gdy obie dłonie uderzały w klawisze basowe i temat zataczał coraz niższe koła, jak jastrząb atakujący ofiarę, a kotły i najniższe struny mknęły w radosnym galopie, który w przekonaniu Melanie nadawał całemu koncertowi ducha wielkiej nadziei.

Dzięki wibracjom dźwięków i partyturze potrafiła sobie wyobrazić prawie cały koncert. Pomyślała, jak zawsze przy tym utworze, że oddałaby duszę, by móc usłyszeć go naprawdę.

Choć raz przed śmiercią.

Podczas drugiej części zerknęła za okno i nagle ujrzała samochód przejeżdżający pod jej domem. Pomyślała, że to dziwne, ponieważ rzadko kto tędy jeździł. Ulica była ślepa, a Melanie znała wszystkich jej mieszkańców i ich samochody. Tego auta nie poznała.

Zsunęła słuchawki i podeszła do okna. Zobaczyła, że samochód, w którym siedziały dwie osoby, zaparkował przed domem Albertsonów. To rozbudziło jej ciekawość, bo Melanie była pewna, że rodzina wyjechała na cały tydzień. Zmrużywszy oczy, spojrzała dokładniej na wóz. Dwie osoby - widziała tylko ich sylwetki - wysiadły i przeszły przez furtkę, znikając za wysokim żywopłotem okalającym podwórko przed domem, który znajdował się dokładnie naprzeciw jej domu. Melanie przypomniała sobie, że Albertsonowie mają kilka kotów. Prawdopodobnie podczas ich nieobecności zwierzęta karmili przyjaciele. Wróciła na swoje miejsce i usiadła, nakładając słuchawki z powrotem.

Tak, tak...

Choć jej kontakt z muzyką był ograniczony jak z całym światem dźwięków, to znajdowała w niej niewiarygodne ukojenie, większe, niż mogła dać brandy i towarzystwo rodziców jej uczennic, większe niż rozmyślanie o zagadkowo pociągającym Arthurze Potterze; muzyka w magiczny sposób unosiła ją gdzieś daleko, jak najdalej od grozy tego wietrznego lipcowego dnia.

Melanie zamknęła oczy.

1.20

W ciągu ostatnich dwunastu godzin kapitan Charlie Budd znacznie się postarzał.

Potter obserwował go w zwodniczym świetle jarzeniowym w ciasnym biurze szeryfa Crow Ridge, które znajdowało się w półkolistym pasażu w handlowej części miasteczka. Budd już nie wydawał się młody ani niedoświadczony; przybyło mu jakieś dziesięć lat. Jak u wszystkich pozostałych, jego twarz wyrażała głęboki niesmak.

Oraz niepewność. Nie mieli bowiem pojęcia, czy ktoś zdradził, a jeżeli tak, to kto. Budd i Potter siedzieli za biurkiem naprzeciw Deana Stillwella, który rozmawiał przez telefon, kiwając w skupieniu głową. Podał słuchawkę Buddowi.

Tobe i Henry LeBow przyjechali już z lotniska, pędząc na łeb na szyję. Komputery LeBowa były już włączone, jak gdyby stanowiły naturalne przedłużenie jego ciała. Samolot Angie zawrócił gdzieś nad Nashville i agentka miała się zjawić w Crow Ridge za pół godziny.

- No, dobrze - powiedział Budd, odkładając słuchawkę. - Oto szczegóły. Mało przyjemne.

Dwa radiowozy, do których zapakowano Handy'ego i Wilcoxa, odjechały spod rzeźni i skierowały się na południe do centrali Oddziału C w Clements, oddalonej o dziesięć mil. Między Crow Ridge a siedzibą policji stanowiąc samochód, który jechał pierwszy i za którego kierownicą siedziała prawdopodobnie Priscilla Gunder, ostro zahamował, zostawiając na asfalcie ślady długości dwunastu stóp. Drugi radiowóz, by uniknąć zderzenia, zjechał z drogi. Kobieta zapewne wyciągnęła pistolet i strzeliła do funkcjonariusza siedzącego obok niej oraz drugiego, który siedział z tyłu. Obaj zginęli na miejscu.

Technicy kryminalistyczni, którzy badali miejsce zbrodni, przypuszczają, że znajdujący się w drugim wozie Wilcox rozkuł kajdanki za pomocą kluczyka, który dała mu Gunder, a potem chwycił broń policjanta siedzącego obok. Jednak ze względu na to, że zgodnie z poleceniem Pottera dodatkowo przykuto mu kajdanki do pasa, uwolnienie się potrwało dłużej, niż zakładał. Zastrzelił funkcjonariusza obok, lecz kierowca zdołał wyskoczyć z radiowozu i strzelić do Wilcoxa, a potem Handy lub jego dziewczyna zabili policjanta strzałem w plecy.

- Wilcox nie zginął od razu - ciągnął Budd, przyglądając włosy; w obecności Stillwella nie mógł opanować tego odruchu. - Wysiadł i zaczął się czołgać do pierwszego samochodu. Ktoś - podejrzewają, że Handy - dobił go strzałem w głowę.

Potter usłyszał w głowie: Zabijasz, kiedy ktoś nie robi tego, co ma zrobić. Zabijasz słabych, bo mogą być dla ciebie ciężarem. Co w tym złego?

- A co z detektyw Foster? - zapytał.

- Znalaziono ją przy skradzionym samochodzie około mili od jej domu. Jej mąż powiedział, że wyjechała dziesięć minut po telefonie z informacją o akcji

pod rzeźnią. Podejrzewają, że ta Gunder namierzyła ją niedaleko autostrady, zabrała jej mundur, zabiła ją i ukradła radiowóz. Wstępne badania wykazały, że w wozie są odciski palców Gunder.

- Co jeszcze, Charlie? - Potter wyczytał z twarzy kapitana, że ten nie powiedział im wszystkiego.

Budd zawahał się.

- Kiedy prawdziwa Sharon Foster rozebrała się do bielizny, dziewczyna Handy'ego zakneblowała ją i skuliła. Potem użyła noża. Nie musiała, ale to zrobiła. Mało przyjemne i trwało dość długo.

- A potem przyjechała do nas - dokończył ze złością Potter - i odjechała ze swoim chłopakiem.

- Dokąd pojechali? - zapytał LeBow. - Dalej na południe?

- Nikt nie ma pojęcia - odrzekł Budd.

- Jada radiowozem - zauważył Stillwell. - Nietrudno ich będzie znaleźć.

- Wysłaliśmy już helikoptery - powiedział Budd. - Sześć.

- Och, na pewno zdążył już zmienić samochód - mruknął Potter. - Trzeba sprawdzić każde zgłoszenie o kradzieży auta w południowośrodkowej części Kansas. Każde.

- Blok silnika w radiowozie trzyma ciepło przez jakieś trzy godziny - odezwał się Tobe. - Śmigłowce mają kamery termowizyjne?

- Trzy tak - powiedział Budd.

- Którą drogę powinni wybrać - zamyślił się LeBow - żeby w najkrótszym czasie znaleźć się jak najdalej? Handy musi wiedzieć, że niedługo zaczniemy go gonić.

W nijakim pomieszczeniu biura na niskiej szafce stało pięć ogniście czerwonych kwiatów doniczkowych; były to najbardziej zdrowo wyglądające rośliny, jakie Potter kiedykolwiek widział w zamkniętej przestrzeni. Stillwell przestępował z nogi na nogę pod ścianą, na której wisiała mapa czterech okręgów.

- Mógł wskoczyć na trzydziestą piątą - to płatna autostrada - i pojechać na północny wschód. Albo osiemdziesiątą pierwszą do I-70.

- A może tak - rzekł Budd. - Osiemdziesiątą pierwszą do Nebraski, a potem skrócić w dwudziestą dziewiątą?

- Tak - ciągnął Stillwell. - To długa droga, ale może się nią dostać do Winnipeg.

- Może ta cała Kanada stanowiła tylko zasłonę dymną? - zastanawiał się Tobe.

- Nie wiem - odparł Potter. Miał wrażenie, że rozgrywa partię szachów z człowiekiem, który mógł być arcymistrzem albo nie znał nawet ruchów poszczególnych figur. Wstał i przeciągnął się, co nie należało do łatwych zadań w ciasnym biurze. - Żeby go znaleźć, przyda się nam odrobina szczęścia, ale przede wszystkim musimy się dowiedzieć, jak to zrobił. Henry, jak wygląda chronologia?

LeBow wcisnął kilka klawiszy i zaczął recytować:

- Dwudziesta pierwsza trzydzieści trzy, kapitan Budd powiedział, że miał telefon od swojego komendanta z informacją o kobiecie, której kilka lat temu poddał się Handy. Znalaziono ją w McPherson w Kansas. Komendant zastanawiał się, czy przysłać kobietę na miejsce akcji. Po naradzie agent Potter i kapitan Budd zdecydowali, że poproszą o sprowadzenie policjantki.

- Dwudziesta pierwsza czterdzieści dziewięć, kobieta przedstawiająca się jako detektyw Sharon Foster zgłasza się ze swojego radiowozu i melduje, że będzie na miejscu między dwudziestą drugą trzydzieści a dwudziestą drugą czterdzieści.

- O dwudziestej drugiej czterdzieści pięć na miejsce akcji przyjeżdża kobieta podająca się za detektyw Sharon Foster, ubrana w mundur policji stanowej Kansas, i podejmuje negocjacje z Handym.

- Charlie? Kim jest komendant? - spytał Potter.

- Ted Franklin z Oddziału B. - Trzymał już w dłoni słuchawkę i wybierał numer. - Proszę z komendantem Franklinem... to pilne... Ted? Mówi Charlie Budd... Nie, brak jakichkolwiek wiadomości. Przełączę cię na głośnik. - Pomieszczenie biura wypełnił szum. - Ted, mam tu połowę FBI. Z agentem Arthurem Potterem na czele.

- Witam, panowie - przywitał ich przetworzony elektronicznie głos.

- Dobry wieczór, komendancie - rzekł Potter. - Staramy się odtworzyć przebieg wypadków. Pamięta pan, kto do pana dziś dzwonił z informacją o Sharon Foster?

- Cały czas grzebię w pamięci, żeby sobie przypomnieć. Jakiś policjant. Szczerze mówiąc, nie zwróciłem uwagi, kto to był, ale co mówił.

- „Mówił”, komendancie? A więc to był „on”?

- Tak, to był mężczyzna.

- I on powiedział panu o detektyw Foster.

- Zgadza się.

- Znał ją pan wcześniej?

- Słyszałem o niej. Błyskotliwa młoda osoba. Miała wybitne osiągnięcia w negocjacjach.

- Czyli po telefonie policjanta zadzwonił pan do niej? - zapytał Potter.

- Nie, najpierw skontaktowałem się z Charliem w Crow Ridge, żeby zapytać, czy nie będziecie mieli nic przeciwko temu. Dopiero potem do niej zadzwoniłem.

- Czyli ktoś podsłuchał pański telefon do niej - rzekł Stillwell - i zjawił się pod domem detektyw Foster, kiedy wyjeżdżała.

- Ale jak? - spytał Budd. - Jej mąż twierdzi, że wyszła dziesięć minut po telefonie. Jak dziewczyna Handy’ego mogła zdażyć?

- Tobe? - powiedział Potter. - Można sprawdzić, czy jest podsłuch?

- Komendancie Franklin - rzekł Tobe. - Czy ktoś sprawdza, czy w pańskim biurze są pluskwy?

Krótki śmiech.

- Nie. W każdym razie nie takie, jakie pan ma na myśli.

- Można sprawdzić - powiedział do Pottera Tobe. - Zobaczymy, czy coś jest. Ale wtedy dowiemy się tylko, czy jest, czy nie ma. Nie będziemy wiedzieli, kto podsłuchał ani kiedy.

Nie, Budd miał rację, pomyślał Potter. Priscilla Gunder nie zdażyłaby dojechać do domu Foster zaraz po telefonie od Franklina.

W imieniu wszystkich przemówił LeBow.

- To wcale nie wygląda na podsłuch. Poza tym kto by wiedział, że ma założyć pluskwę właśnie w gabinecie komendanta Franklina?

- Zdaje się, że wszystko zaplanowano dużo wcześniej - podsumował Stillwell.

Potter przytaknął.

- Funkcjonariusz, który do pana dzwonił, komendancie, w ogóle nie był z policji. To wspólnik Handy’ego. A dziewczyna zapewne cały czas czekała pod domem detektyw Foster, podczas gdy on - kimkolwiek jest - telefonował do pana.

- To by znaczyło, że ktoś musiał wiedzieć o prawdziwej Sharon Foster - doszedł do wniosku Budd. - I o tym, że Handy poddał się po negocjacjach z nią. Kto to mógł być?

Przez chwilę panowała cisza, a wszyscy zgromadzeni w biurze szeryfa sprytni i pomysłowi mężczyźni zastanawiali się, jakie są sprytne i pomysłowe sposoby uzyskania informacji o negocjacjach policyjnych - z wiadomości telewizyjnych, komputerowych baz danych, źródeł w departamencie.

LeBow i Budd jednocześnie odkryli pierwszą możliwość.

- Handy!

Potter przed chwilą sam do tego doszedł. Skinął głową.

- Kto mógłby wiedzieć lepiej niż sam Handy? Spróbujmy pomyśleć, jak to było. Siedzi uwięziony w rzeźni. Podejrzewa, że nie dostanie swojego helikoptera, a nawet gdyby dostał, nie ukryje się przed nami nawet na końcu świata - z przywilejem M-4 czy bez - więc daje znać swojemu wspólnikowi o Foster. Wspólnik dzwoni do jego dziewczyny i oboje planują odbicie. Ale Handy nie mógł do niego zadzwonić z naszego telefonu. Musielibyśmy to słyszeć. - Potter zamknął oczy, myśląc o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru. - Tobe, te zakodowane sygnały, które cię zastanawiały... Myśleliśmy, że to Tremain i oddział antyterrorystyczny Kansas. Możliwe, że to był ktoś inny?

Młody człowiek skubnął swe przekłute ucho, po czym wygrzebał z plastikowej koperty kilka dyskietek. Podał je LeBowowi, który załadował jedną do

laptopa. Tobe nachylił się nad klawiaturą i po chwili na ekranie zobaczyli poruszający się wolno wykres dwóch fal sinusoidalnych nachodzących na siebie.

- Są dwa! - oznajmił, podekscytowany odkryciem. W jego oczach naukowiec pojawiły się błyski. - Dwie różne częstotliwości. - Przyjrzał się dokładniej. - Obie zastrzeżone dla organów ścigania. I kodowane z sygnałem zwrotnym.

- Tremain korzystał z obu? - zastanowił się głośno Potter.

Ted Franklin zapytał o częstotliwości.

- Czterysta trzydzieści siedem megaherców i czterysta osiemdziesiąt koma cztery - poinformował go Tobe.

- Nie - odparł Ted Franklin. - Pierwszej używa nasz oddział antyterrorystyczny. Z drugiej policja stanowa w ogóle nie korzysta. Nie wiem, czyja może być.

- Czyli Handy miał w rzeźni inny telefon? - zapytał Potter.

- Nie telefon - rzekł Tobe. - Raczej krótkofalówkę. Czterysta osiemdziesiąt jest często zarezerwowana dla operacji federalnych, Arthurze.

- Naprawdę? - Potter zamyślił się, po czym zauważył: - Ale na miejscu nie znaleziono nadajnika, zgadza się?

Budd pogrzebał w czarnej aktówce. Znalazł kartkę z listą wszystkich dowodów znalezionych na miejscu zbrodni i wstępnym protokołem aresztowania.

- Radia nie było.

- Przypuszczam, że mogli je ukryć. W takim miejscu jest milion różnych schowków i zakamarków. - Potter zamyślił się. - Jest jakiś sposób, żeby zlokalizować transmisję?

- Teraz nie. Sprawdzić można tylko podczas nadawania. - Tobe powiedział to takim tonem, jak gdyby Potter pytał, czy w lipcu może spaść śnieg.

- Komendancie Franklin, miał pan telefon od tego rzekomego policjanta, tak? - spytał Potter. - To nie była transmisja radiowa?

- Połączenie z sieci stacjonarnej. I chyba nie było to połączenie z nadajnika radiowego. To zawsze słychać.

Potter zaczął oglądać badawczo jeden z kwiatów. Begonia? Fuksja? Ogród u nich zawsze uprawiała Marian.

- Czyli Handy połączył się z panem X, który następnie zadzwonił do komendanta Franklina. Później X zadzwonił do dziewczyny Handy'ego i dał jej znak do zatrzymania Sharon Foster. Tobe?

Oczy młodego agenta rozbliły. Zrozumiał.

- Jasne, Arthurze - rzekł, odgadując jego prośbę. - Musimy mieć cały rejestr połączeń telefonicznych z pańskim biurem, komendancie. Zgadza się pan?

- Oczywiście. Chcę go dostać tak samo jak wy.

- Ma pan bezpośrednią linię? - zapytał Tobe.

- Owszem, ale połowę telefonów do mnie łączą przez centralę. Kiedy podnoszę słuchawkę, zwykle nie wiem, skąd jest telefon.

- Sprawdźmy wszystkie - odparł cierpliwie niezrażony tym Tobe.

Kim może być wspólnik Handy'ego? - zastanawiał się Potter.

- Henry - zwrócił się do LeBowa Tobe. - Daj mi prośbę o nakaz.

LeBow wydrukował ją na NEC-u Stillwella i podał Potterowi, a potem otworzył federalny spis sądów i wyświetlił listę na ekranie. Potter zadzwonił do przewodniczącego sądu okręgowego w Kansas i wyjaśnił mu sprawę. Sędzia, który o tej godzinie był w domu, zgodził się podpisać nakaz na podstawie dowodów przedstawionych mu przez Pottera; oglądał CNN i wiedział wszystko o całym zajściu.

Jako członek palestry w Waszyngtonie i Illinois, Potter podpisał nakaz. Tobe przefaksował dokument sędziemu, który podpisał i natychmiast odesłał. Następnie LeBow przejrzał elektroniczną książkę telefoniczną firm Standard & Poor, w której odnalazł nazwisko głównego radcy prawnego Midwestern Bell. Przesłali nakaz faksem do domu prawnika. Wystarczyła jedna rozmowa telefoniczna, by po pięciu minutach pliki, o które prosili, zostały bezceremonialnie zrzucone na komputer LeBowa.

- No, dobrze, komendancie - powiedział LeBow, przewijając dane na ekranie. - Mamy siedemdziesiąt siedem połączeń z centralą, z czego trzydzieści sześć z pańską linią.

- Zapracowany z pana człowiek - zauważył Potter.

- Ha. Rodzina może to poświadczyć.
- Potter zapytał Franklina, kiedy dostał telefon z wiadomością o Foster.
- Mniej więcej w pół do dziesiątej.
- Uwzględnij dwudziestominutowy margines - powiedział do Henry'ego

Potter.

LeBow postukał w klawisze.

- Zostaje nam szesnaście. Z tym da się już coś zrobić.
- Jeżeli Handy miał nadajnik radiowy - odezwał się Budd - to o jakim

zasięgu?

- Dobre pytanie, Charlie - rzekł Tobe. - W ten sposób jeszcze bardziej ograniczymy pole poszukiwań. Jeśli to standardowa krótkofalówka policyjna, ma zasięg mniej więcej trzech mil. Nasz pan X musiał być cholernie blisko rzeźni.

Potter pochylił się nad monitorem.

- Nie znam tych miejscowości poza Crow Ridge, a stąd nikt do pana nie dzwonił, komendancie. Charlie, rzuć na to okiem. Powiedz nam, co leży niedaleko.

- Do Hysford jest siedemnaście mil. Billings jeszcze dalej.

- To moja ślubna - poinformował ich Franklin.

- A to? Trzyminutowa rozmowa z Townsend o dwudziestej pierwszej dwadzieścia sześć. Tak długo rozmawiał pan z tym policjantem, komendancie?

- Tak, mniej więcej.

- Gdzie jest Townsend?

- Graniczy z Crow Ridge - odrzekł Budd. - Spore miasteczko. Możesz zdobyć adres? - zapytał Tobe'ego.

W danych z firmy telefonicznej nie było adresów, lecz jeden telefon do centrum komputerowego Midwestern Bell pozwolił ustalić, z którego automatu dzwoniło.

- Droga 236 i autostrada Roosevelta.

- Największe skrzyżowanie - zasępił się Stillwell. - Restauracje, hotele, stacje benzynowe. Autostrada ma wylot na dwie międzystanowe. To mógł być każdy jadący dokądkolwiek.

Potter patrzył na pięć czerwonych kwiatów. Nagle uniósł głowę i wyciągnął rękę do telefonu. Jednak nie wiadomo dlaczego zatrzymał dłoń na słuchawce i speszył się, jak gdyby popełnił poważną gafę na oficjalnym przyjęciu. Cofnął rękę, nie podnosząc słuchawki.

- Henry, Tobe, chodźcie ze mną. Ty też, Charlie. Dean, zostaniesz tu i będziesz miał na wszystko oko, dobrze?

- Jasna sprawa.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Charlie.

- Porozmawiać z kimś, kto zna Handy'ego o wiele lepiej niż my.

2.00

Zastanawiał się, jak mają zawiadomić o swoim przybyciu. Przy drzwiach frontowych był guzik, taki jak wszędzie. Potter spojrział na Budda, który wzruszył ramionami i nacisnął.

- Chyba coś słyszałem. Dzwonek. Po co dzwonek?

Potter również coś słyszał. Ale przez firankę zauważył też błysk czerwonego światła.

Nikt nie otwierał.

Gdzie ona jest?

Potter już chciał zawołać: „Melanie”. Kiedy się jednak zorientował, że to daremne, wznosił pięść, żeby zastukać. Pokręcił głową, cofając dłoń. Widząc światła w cichym domu, poczuł ukłucie niepokoju. Rozpiął marynarkę, odsłaniając spoczywającego w kaburze glocka. LeBow zauważył jego ruch, lecz nic nie powiedział.

- Zaczekajcie tu - poleciał trójce mężczyźni Potter.

Ruszył wolnym krokiem wzdłuż werandy wiktoriańskiego domu, zaglądając w okna. Nagle stanął jak wryty, dostrzegłszy bosa nogi leżące nieruchomo na kanapie.

W panice pośpiesznie okrążył całą werandę, nigdzie jednak nie znalazł punktu, z którego mógłby zobaczyć całą postać - widział tylko nogi. Zastukał mocno w szybę, wołając Melanie po imieniu.

Nic.

Powinna czuć wibracje, pomyślał. Poza tym nad wejściem migają czerwone światła - „dzwonek” - które musiała przecież widzieć.

- Melanie!

Wyciągnął pistolet. Pchnął okno - zamknięte

Zrób to.

Rąbnął łokciem w szybę i kawałki szkła posypały się na parkiet. Sięgnął do środka, otworzył od wewnątrz okno i zaczął się przez nie gramolić. Nagle zamarł, bo zobaczył czyjąś postać - była to Melanie we własnej osobie, siedząca wyprostowana na kanapie i z przerażeniem patrząca na wchodzącego przez okno intruza. Zdażyła się już otrząsnąć z resztek snu.

Potter podniósł ręce w geście kapitulacji. Uświadomił sobie, jakiego stracha jej napędził, i na jego twarzy też odmalował się lęk. Nade wszystko zdumiał go jednak widok stereofonicznych słuchawek na jej uszach. Po co jej to?

Melanie Charrol otworzyła drzwi, gestem zapraszając gości do środka.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył Arthur Potter, była duża akwarela przedstawiająca skrzypce otoczone surrealistycznymi ówierc- i półnutami w tęczy kolorach.

- Przepraszam za okno - powiedział wolno. - Możesz je sobie odliczyć od podatku.

Uśmiechnęła się.

- Dobry wieczór pani - rzekł Charlie Budd. Potter przedstawił jej Tobe'ego Gellera i Henry'ego LeBowa. Melanie spojrzała przez otwarte drzwi na samochód zaparkowany dwa domy dalej i dwie osoby stojące za żywopłotem, które patrzyły na jej dom.

Dostrzegł jej zaniepokojenie.

- To nasi ludzie - powiedział.

Zmarszczyła brwi.

- Policjanci - wyjaśnił. - Przysłałem ich tu wcześniej, żeby mieli na ciebie oko.

Pokręciła głową, jak gdyby pytała - po co?

Potter zawahał się.

- Wejdźmy do środka.

Na ulicy zahamował radiowóz policji z Hebronu, migając światłami. Z samochodu wysiadła Angeline Scapello, która wyglądała na wykończoną, tyle że nie miała już na twarzy śladów sadzy. Agentka wbiegła po schodach do domu i skinęła wszystkim głową - i jak pozostali członkowie sztabu akcji, w ogóle się nie uśmiechnęła.

Dom Melanie wydawał się bardzo miłym i przytulnym miejscem. Grube zasłony. W powietrzu unosił się korzenny zapach trocizki. Na ścianach, pokrytych tapetami w trawiastozielone i złote pasy, wisiały stare ryciny, wśród których były portrety kompozytorów muzyki klasycznej. Największy był portret Beethovena. W pokoju stało kilka stoliczków - antyków - oraz pięknych secesyjnych wazonów. Potter pomyślał z zażenowaniem o swojej obskurnej norze w Georgetown. Przestał dbać o wygląd mieszkania trzynaście lat temu.

Melanie miała na sobie dzinsy i czarny kaszmirowy sweter. Pozbyła się już niewygodnego warkocza i rozpuściła włosy. Sińce i zadrapania na twarzy były bardzo widoczne, podobnie jak brązowe plamy po opatrzeniu ran betadyną. Potter zwrócił się w jej stronę, szukając w myślach słów, które wymagały czytelnego ruchu ust.

- Lou Handy uciekł.

Z początku nie zrozumiała. Gdy powtórzył, w jej szeroko otwartych oczach błysnęło przerażenie. Zaczęła gestykulować, lecz zaraz się zmytygowała i chwyciła kilka kartek papieru.

LeBow dotknął jej ramienia.

- Umie pani pisać na komputerze? - Pokazał gestem, o co mu chodzi.

Kiwnęła głową. Henry otworzył swoje dwa laptopy, włączył w każdym edytor tekstów, połączył kablem przez port szeregowy i ustawił obok siebie. Zasiadł przed jednym, a Melanie przed drugim.

- Dokąd pojechał? - napisała.

- Nie wiemy. Dlatego przyjechaliśmy do pani.

Melanie wolno pokiwała głową.

- Zabił kogoś podczas ucieczki? - Umiała pisać, nie patrząc na klawisze, więc zadając pytanie, utkwiała spojrzenie w Potterze.

Ten przytaknął.

- Zginął Wilcox - ten, którego nazywałaś Gronostajem. Zabił też policjantów.

Znów pokiwała głową, marszcząc brwi i zastanawiając się nad konsekwencjami tego faktu.

- Muszę cię poprosić o coś, na co nie będziesz miała ochoty - napisał Potter.

Spojrząwszy na tę wiadomość, wystukała:

- Najgorsze już mam za sobą. - Jej dłonie poruszały się niezauważalnie nad klawiaturą, nie popełniając ani jednego błędu.

Bóg wynagradza pokrzywdzonym ich nieszczęścia.

- Chciałbym, żebyś wróciła do rzeźni. Pamięcią.

Jej palce zastygły niezdecydowanie nad klawiszami. Zamiast pisać, skinęła tylko głową.

- Nie rozumiemy pewnych rzeczy. Jeżeli będziesz nam mogła pomóc, chyba uda nam się domyślić, dokąd pojechał.

- Henry - zawołał Potter, wstając i chodząc po pokoju. LeBow i Tobe wymienili krótkie spojrzenie. - Pokaż chronologię i jego portret psychologiczny. Co o nim do tej pory wiemy?

LeBow zaczął czytać, lecz Potter przerwał mu.

- Nie, do prostu spróbujmy postawić jakąś hipotezę.

- To spryciarz - włączył się Budd. - Chce sprawiać wrażenie chama, ale jest niegłupi.

- Udaje głupiego, ale moim zdaniem to w dużym stopniu maskarada - wystukał Potter.

- Jest amoralny - odpisała Melanie.

- Niebezpieczny - dorzucił Budd. - Idźmy dalej.

- Jest zły - napisała. - Jest ucieleśnieniem zła.

- Ale jakiego zła?

Przez chwilę panowała cisza. Angie napisała:

- Jest samą śmiercią.

Potter kiwnął głową i powiedział głośno:

- Zgadza się. Lou Handy to samo zło. Nie agresja, ale zło. Pamiętajmy o tym.

Angie ciągnęła:

- Nie jest sadystą. Wtedy okazywałyby emocje. Nie czuje nic z powodu bólu, jaki zadaje innym. Jeżeli chcąc osiągnąć swój cel, musi kogoś zabić albo skrzywdzić, robi to. Tak jak z oślepieniem zakładniczek - to po prostu jego narzędzie.

Potter nachylił się nad komputerem i napisał:

- Czyli jest wyrachowany.

- I co? - odezwał się Budd.

Potter pokręcił głową.

- Tak, jest wyrachowany, ale masz rację, Charlie - co to może znaczyć?

Przerwali rozmowę, gdy palce Melanie zaczęły tańczyć na klawiaturze.

Potter podszedł z drugiej strony i stanął blisko niej. Otarł się lekko dłonią o jej ramię i zdawało mu się, że Melanie nieznacznie oparła się o jego rękę.

Pisała:

- Wszystko, co robi, ma jakiś cel. Jest jednym z tych niewielu ludzi, którzy nie pozwalają życiu kierować sobą; to on chce wszystkim kierować.

- Kontrola, kontrola, kontrola - wystukała Angie.



Potter stwierdził, że jego dłoń leży na ramieniu Melanie. Dziewczyna zbliżyła do niej policzek. Być może przypadkiem odwróciła głowę. Być może nieprzypadkowo.

- Kontrola i cel - powiedział Potter. - Tak, o to mu chodzi. Napisz, Henry, żeby mogła to zobaczyć. Wszystko, co dzisiaj robił, miało swój cel. Nawet jeżeli coś wydawało się zupełnie przypadkowe. Zabił Susan - żeby nam pokazać, że nie żartuje. Zażądał helikoptera z ośmioma miejscami, ale bez oporów oddał większość zakładniczek. Dlaczego? Żeby nas zająć. Żeby dać swojemu wspólnikowi i dziewczynie dużo czasu na załatwienie prawdziwej Sharon Foster. Wziął ze sobą telewizor, kodujący nadajnik radiowy i broń.

Angie pochyliła się nad klawiaturą i napisała:

- Jaki więc jest jego cel?

- Ucieczka, to jasne. - Budd roześmiał się. - A co innego? - Dwoma palcami wystukał: - Ucieczka.

- Nie! - napisała Melanie.

- Racja! - krzyknął Potter. Pokazał na Melanie, kiwając energicznie głową. - Ucieczka wcale nie była najważniejsza. Pomyślcie. Przecież niemal sam pozwolił zapędzić się w pułapkę. Po wypadku z cadillakiem gonił go tylko jeden policjant. We trzech mogli urządzić na niego zasadzkę, zabrać mu wóz i uciec. Po co ktoś sam włączyłby w pułapkę?

- Do diabła - powiedział Budd. - Zaszczuty królik też sam bezmyślnie wchodzi do lisiej nory. - Sumiennie wstukał to do komputera, zastanawiając się nad każdym klawiszem.

- Ale on myśli - napisała Melanie. - Nie wolno nam o tym zapominać. I nie jest zaszczuty.

- W ogóle się nie boi - dodała Angie. - Przypomnijcie sobie analizę stresu na podstawie głosu.

Potter uśmiechnął się do Melanie, ponownie łapiąc ją za ramię.

- Spokojny jakby kupował sobie kawę w Seven-Eleven.

- Nazwałam go „Brutus”. Ale tak naprawdę przypomina łasicę.

- Jeżeli jest łasicą - ciągnął Budd - to ukryłby się tylko wtedy, gdyby wiedział, że nie wchodzi w pułapkę. Gdyby to była droga ucieczki.

- Kiedy pierwszy raz wszedł do rzeźni - napisała Melanie - Niedźwiedź powiedział mu, że nie ma stamtąd wyjścia. A Brutus powiedział: „To nie ma znaczenia. Żadnego”.

Potter zamyślił się.

- Mógł uciec, ale nie - zboczył z drogi i dał się złapać w rzeźni. Nie ryzykował jednak wiele, bo wiedział, że się stamtąd wydostanie. Miał broń i radio, żeby się porozumieć ze wspólnikiem i opracować plan ucieczki. Może od razu wymyślił, żeby podstawić swoją dziewczynę za Sharon Foster. - Napisał: - Melanie, opowiedz nam dokładnie, co się stało, kiedy was porwali.

- Znalazłyśmy rozbity samochód - pisała. - Zabijał tych ludzi. Nie spieszył się.

- Był pewny siebie?

- Bardzo. Rozkoszował się tym, co robił - pisała z ponurą miną Melanie.

Potter rozłożył mapę.

- Którędy jechaliście?

- Nie znam numerów dróg - napisała Melanie. - Minęliśmy stację radiową, farmę z krowami. - Zmarszczyła brwi i po chwili pokazała palcem na mapie. - Może tędy.

- Więzienie leży jakieś dziewięćdziesiąt mil na południe od rzeźni - pisał Potter. - Tamci trzej jechali na północ, tu mieli wypadek z cadillakiem, stąd autobusem dojechali tu... - Pokazał drogę, którą jechał Handy, mijając rzeźnię, a potem zawracając.

- Nie. Pojechaliśmy prosto do rzeźni. To jedno wydało mi się śmieszne. Jakby wiedział, gdzie jest ten budynek.

- Jeżeli jednak pojechał od razu do rzeźni - wystukał Potter - kiedy minęliście lotnisko?

- W ogóle nie mijaliśmy.

- Czyli musiał o nim wiedzieć wcześniej. Gdy zażądał helikoptera, wiedział, że kilka mil dalej jest lotnisko. Skąd?

- Już wcześniej sobie załatwił, że stamtąd wystartuje - napisał Budd.  
- Ale jeżeli lotnisko leży tylko parę mil dalej - LeBow pisał z taką samą szybkością, z jaką mówił - i jeżeli czekał tam na niego samolot czy helikopter, po co w ogóle jechał do rzeźni?  
- Po co? - mruknął Potter. - Henry, powiedz, co o nim wiemy. Zaczniemy od tego, co miał ze sobą.  
Masz klucz, czarodziejski miecz, pięć kamieni i kruka w klatce.  
- Do rzeźni wszedł z zakładniczkami, bronią, kanistrem benzyny, amunicją, telewizorem, nadajnikiem radiowym, zestawem narzędzi...  
- Narzędzia, właśnie - rzekł Potter, czytając z ekranu. Odwrócił się do Melanie. - Widziałaś, jak ich używał?  
- Nie - odpowiedziała Melanie. - Ale większość czasu spędziłam w ubojni. Pamiętam, jak pod koniec chodzili i oglądali maszyny i urządzenia. Myślałam, że chcą ostatni raz popatrzeć na to miejsce, chociaż może czegoś szukali.  
Potter pstryknął palcami.  
- Dean mówił nam o czymś takim.  
LeBow zajrzał do chronologicznego zapisu przebiegu wypadków.  
- Dziewiętnasta pięćdziesiąt sześć - przeczytał. - Szeryf Stillwell melduje, że jeden z funkcjonariuszy zauważył, jak Handy i Wilcox przeszukują budynek, oglądając drzwi i urządzenia. Powód nieznany.  
- No, dobrze. Zostawmy na chwilę te narzędzia. Miał je przy sobie, kiedy wszedł. A co dostał od nas?  
- Tylko jedzenie i piwo - odparł Budd. - Aha, i pieniądze!  
- Pieniądze! - zawołał Potter. - O które w ogóle nie prosił.  
- I nie próbował wytargować więcej niż pięćdziesiąt tysięcy - napisała Angie. - Dlaczego?  
- Jest tylko jeden powód, dla którego ktoś nie chce pieniędzy - napisał LeBow. - Kiedy ma więcej, niż mu potrzeba.  
Potter energicznie kiwał głową.  
- W budynku są ukryte pieniądze. Taki miał plan od początku - wstąpić do rzeźni, żeby je zabrać.  
- Po to wziął narzędzia - żeby wyciągnąć forszę ze skrytki - zdołał wystukać Budd. Potter przytaknął.  
- Skąd miał pieniądze? - zastanawiał się głośno Tobe.  
- Przecież obrabował bank - odparł drwiąco Budd. - To jedna z możliwości.  
- Henry - powiedział Potter - skocz do Lexis/Nexis i poczytajmy o jego ostatnim napadzie. Tym z podpaleniem.  
W ciągu pięciu minut LeBow połączył się z bazą danych Mead. Przeczytał relacje prasowe i oznajmił:  
- Handy'ego zatrzymano z dwudziestoma tysiącami skradzionymi w skoku na bank Farmers & Merchants w Wichicie.  
- Czy wcześniej miał na koncie jakieś podpalenia?  
LeBow przebiegł wzrokiem notki prasowe i własną szesnastostronicową biografię Louisa J. Handy'ego.  
- Nie.  
- Po co więc podpalił bank? - napisał Potter.  
- Zawsze ma jakiś cel - przypomniała mu Angie.  
Melanie pokiwała wymownie głową, lecz nagle wzdrygnęła się i zamknęła oczy. Pewnie jakieś straszne wspomnienie odżyło jej w pamięci. Potter i Budd spojrzeli po sobie pytająco. Po chwili agent rzekł:  
- Tak, Charlie. Zgadza się.  
Pochylił się nad klawiaturą.  
- Wcale nie chciał obrobić banku. Pojechał tam tylko po to, żeby go spalić.  
LeBow czytał opis sylwetki Handy'ego.  
- I kiedy otoczyła ich policja, strzelił w plecy współnikowi. Może po to, żeby nikt się nie dowiedział, co tam naprawdę robił.  
- Ale dlaczego to zrobił? - napisał Budd.  
- Ktoś go wynajął? - zapytał Potter. LeBow skinął głową.  
- No jasne.

- Kimkolwiek był zleceniodawca - rzekł Potter - zapłacił mu górę pieniędzy. Dużo więcej niż pięćdziesiąt tysięcy. Dlatego nie przyszło mu do głowy żądać od nas forsy. Był już bogaty. Henry, połącz się z bazą danych Corporation Trust i znajdź mi dokumenty banku.

LeBow wyszedł z bazy Mead i po chwili przewijał na ekranie statut, regulamin wewnętrzny i kartotekę zabezpieczeń banku.

- Dobrze tego pilnują, więc dostęp do informacji jest ograniczony. Wiemy jednak, że członkowie zarządu są też w radzie nadzorczej. Proszę: Clifton Burbank, Stanley L. Poole, Cynthia G. Grolsch, Herman Gallagher. Kody pocztowe wskazują na okolice Wichity. Burbank i Gallagher mieszkają w samym mieście. Poole mieszka w Auguście. Pani Grolsch w Derby.

Potterowi nazwiska nic nie mówiły, ale każda z tych osób mogła mieć związek z Handym. Równie dobrze mogła to być winna malwersacji kasjerka, wyrzucony z banku były pracownik czy odtracona kochanka dyrektora. Arthur Potter wołał mieć jednak za dużo możliwości, niż nie mieć żadnej.

- Charlie, jakie hotele są w pobliżu automatu, z którego pan X dzwonił do Teda Franklina? W Townsend.

- Cholera, dużo. Co najmniej cztery czy pięć. Holiday Inn, jakaś Ramada. Chyba Hilton i jakiś mały, miejscowy. Townsend Motor Lodge. Może jeszcze jeden albo dwa.

Potter polecił Tobe'emu i ten zaczął dzwonić.

- Sprawdź, czy w tych hotelach meldował się dzisiaj którykolwiek z szefów banku albo ktoś z miast, w których mieszkają.

Po pięciu minutach mieli odpowiedź. Tobe pstryknął palcami. Wszyscy z wyjątkiem Melanie spojrzeli na niego.

- Zameldował się ktoś z Derby. Tam mieszka Cynthia Grolsch.

- Zbyt grubymi nićmi szyte na zbieg okoliczności - mruknął Potter, biorąc telefon. Przedstawiwszy się, rozmawiał chwilę z recepcjonistą. Wreszcie pokręcił ze smutkiem głową.

- W którym pokoju?

Zanotował na kartce: „Holiday Inn, pokój 611”.

- Nie. Proszę też nie informować o moim telefonie - powiedział do recepcjonisty. Odłożył słuchawkę i stuknął w notatkę. - Być może to jest nasz Judasz. Chodźmy z nim pogadać, Charlie.

Melanie zerknęła na kartkę. Jej twarz znieruchomiała.

- Kto? Kto to jest? - Oczy jej zapłonęły. Wstała raptownie, zdjęła z wieszaka skórzaną kurtkę.

- Niech się tym zajmą - powiedziała Angie.

Melanie spojrzała na Pottera błyszczącymi oczyma.

- Kto to jest? - napisała jeszcze raz.

- Proszę. - Potter ujął ją za ramiona. - Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Pokiwała wolno głową, ściągając kurtkę i zarzucając ją na ramię.

Wyglądała jak letniczka z lat trzydziestych.

- Henry, Angie, Tobe - rzekł Potter - zostańcie tutaj. Handy wie o Melanie. Może wrócić. - Zwrócił się do dziewczyny: - Niedługo będę z powrotem. - Szybkim krokiem podszedł do drzwi. - Chodź, Charlie.

Po ich wyjściu Melanie uśmiechnęła się do pozostałych agentów.

- Herbaty? Kawy? - wystukała.

- Ja dziękuję - rzekł Tobe.

- Ja też. Może chce pani postawić pasjansa? - LeBow włączył grę.

Pokręciła głową.

- Nie, wezmę prysznic. To był długi dzień.

- Racja.

Melanie zniknęła i kilka minut później dobiegł ich z łazienki szum wody.

Angie zaczęła pracować nad raportem z przebiegu akcji, a Tobe włączył na laptopie „Doom II” i zaczął grać. Po kwadransie rozwaliła go armia obcych. Agent wstał i przeciągnął się. Zajrzał Henry'emu przez ramię, rzucił uwagę na temat damy kier, której nikt nie brał zbyt chętnie, a potem zaczął chodzić po pokoju. Zerknął na niską komodę, na której położył kluczyki do służbowego samochodu. Nie

było ich. Podeszedł do frontowych drzwi i spojrział na pustą ulicę. Zastanawiał się, po co Potter i Budd pojechali do Holiday Inn dwoma samochodami.

Jednak żądza krwi okazała się silniejsza, przestał więc zaprzętać sobie głowę głupstwami i wrócił do komputera, żeby wywalczyć sobie drogę ucieczki z fortecy Doom.

2.35

W Holiday Inn była dziś Noc Hawajska.

Z głośników sączyły się dźwięki stalowej gitary, a na szyjach nocnej obsługi hotelowej kołysały się wątłe lei z plastiku.

Agent Arthur Potter i kapitan Charles Budd przeszli między dwiema sztucznymi palmami, a potem ruszyli windą na szóste piętro.

Dla odmiany to Budd wydawał się teraz absolutnie pewny siebie; Potter z kolei zdradzał oznaki niepokoju. Ostatni nalot, w jakim agent brał udział, był związany z aresztowaniem sprawcy, który miał wówczas na sobie bogato zdobiony turkusowy garnitur i srebrną, kwiecistą koszulę z poliestru, czyli musiało to być około roku 1977.

Przypomniał sobie, że nie wolno mu stać bezpośrednio przed drzwiami. Co jeszcze? Pocięszał go widok Budda, który miał na pasie błyszczący futerał z czarnej skóry z kajdankami. Sam Potter nigdy nie skuł prawdziwego podejrzanego - tylko ochotników podczas ćwiczeń z akcji odbijania zakładników dawno temu w Quantico.

- Tym razem ustąpię ci pola, Charlie.

Budd uniósł w zdumieniu brwi.

- W porządku, Arthurze.

- Ale będę cię osłaniał.

- Aha. Świetnie.

Obaj wyciągnęli z kabur broń. Potter przeładował pistolet - drugi raz w ciągu jednej nocy, trzy lata po ostatniej akcji, podczas której wprowadził pocisk do komory z poważnym zamiarem użycia broni.

Zatrzymali się pod pokojem 611, wymieniając krótkie spojrzenie. Negocjator skinał głową.

Budd zastukał. Delikatne puk-puk.

- Tak? - zawołał z pokoju szorstki głos. - Kto tam?

- Charlie Budd. Może pan otworzyć? Znalazłem coś ciekawego.

- Charlie? O co chodzi?

Szczęknał otwierany zamek i zadzwonił łańcuch. Uchyliwszy drzwi, Roland Marks ujrzał wycelowane w siebie lufy dwóch identycznych pistoletów automatycznych: jeden był nieruchomy, drugi lekko drżał, lecz obydwie były odbezpieczone.

- Tak, Cynthia jest dyrektorem kasy. To stanowisko nominalne. W rzeczywistości ja podejmuję decyzje. Zachowaliśmy jej panięskie nazwisko. Nie jest niczemu winna.

Zastępca prokuratora stanowego mógł sobie twierdzić, co chciał, ale i tak o losie jego żony zdecydują dopiero sędziowie i przysięgli.

Obyło się bez kpiących uwag. Marks był teraz poważny. Miał zaczerwienione, wilgotne oczy, a Potter, czując tylko pogardę, bez kłopotu wytrzymał jego spojrzenie.

Przeczytali prokuratorowi jego prawa. Marks miał świadomość, że to koniec. Postanowił więc współpracować. Jego zeznanie nagrywali na tym samym magnetofonie, który wcześniej wcisnął Buddowi.

- Co dokładnie robiłeś w kasie oszczędnościowo-kredytowej? - zapytał Potter.

- Przyznawałem sobie kredyty i ich nie spłacałem. Właściwie pożyczalem fikcyjnym osobom i firmom. Potem odpisywałem jako nieściągalne, a pieniądze zatrzymywałem. - Wzruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: „To chyba oczywiste, prawda?”.

Marks, prokurator specjalizujący się w przestępstwach gospodarczych, sporo się nauczył od swoich podejrzanych; wyciągnął od klientów i akcjonariuszy z Wichity blisko pięć milionów dolarów - z których większość już chyba przepuścił.

- Sądziłem, że przy koniunkturze na rynku nieruchomości niektóre legalne inwestycje banku przyniosą zysk, który pokryje straty - ciągnął. - Ale kiedy zajrzałem do ksiąg, zobaczyłem, że to się po prostu nie uda.

Bank miała właśnie zająć Resolution Trust Corporation, agencja rządowa przejmująca bankrutujące przedsiębiorstwa bankowe.

- A więc wynająłeś Lou Handy'ego, żeby spalił firmę - rzekł Budd. - I zniszczył wszystkie papiery.

- Skąd go znałeś? - zapytał agent.

Zamiast Marksa odpowiedział Budd.

- Oskarżyłeś Handy'ego pięć lat temu, zgadza się? Napad na sklep i negocjacje prowadzone przez Sharon Foster, której Handy się poddał.

Zastępca prokuratora stanowego skinął głową.

- Tak, przypomniałem sobie o nim. Jak można zapomnieć? Sprytny sukinsyn. Bronił się sam i o mało nie zapędził mnie w kozi róg. Musiałem się nieźle napracować, żeby go znaleźć do tej roboty. Sprawdziłem u jego kuratora, uruchomiłem kontakty na mieście. Zaproponowałem mu dwieście tysięcy za podpalenie banku po skoku. Ale nie dał się złapać. Nie było rady - musiałem iść na układ. Musiałem mu pomóc w ucieczce, bo inaczej by mnie wydał. To mnie kosztowało jeszcze trzysta tysięcy.

- Jak ci się udało go wyciągnąć? Callana to najlepiej strzeżone więzienie.

- Zapłaciłem dwóm strażnikom ich roczne pensje, gotówką.

- To jednego z nich zabił Handy, tak?

Marks kiwnął głową.

- Miałeś okazję trochę zaoszczędzić - zauważył z goryczą Charlie Budd.

- Zostawiłeś mu samochód z bronią, nadajnikiem radiowym i telewizorem - ciągnął Potter. - I narzędziami, żeby mógł zabrać pieniądze z rzeźni, gdzie je dla niego ukryłeś.

- Do cholery, nie mogliśmy przecież zostawiać forsy w samochodzie. Za duże ryzyko. Schowałem je więc w starej rurze parowej za oknem od frontu.

- Jak miał wyglądać plan ucieczki? - spytał Potter.

- Początkowo miał odlecieć z kumplami prywatnym samolotem, który czekał na nich w Crow Ridge, na tym małym lotnisku. Ale Handy nie zdążył. Przez wypadek z cadillakiem stracił pół godziny.

- Dlaczego porwał dziewczynki?

- Potrzebował ich. Wiedział, że nie ma już czasu zabrać pieniędzy, a potem zdążyć na samolot - zwłaszcza że na ogonie siedziały mu gliny. Ale nie chciał odjeżdżać bez forsy. Lou pomyślał sobie, że jeżeli zdobędzie zakładników, a ja będę się starał go stamtąd wyciągnąć, nie ma znaczenia, ilu policjantów znajdzie się pod rzeźnią. Prędzej czy później wyjdzie. Skontaktował się ze mną przez radio i zgodziłem się przekonać FBI, żeby dali mu helikopter. Nie udało się, ale potem przypomniałem sobie o Sharon Foster, która kilka lat wcześniej negocjowała z Handym. Dowiedziałem się, gdzie mieszka, a potem - zadzwoniłem do Pris Gunder - jego dziewczyny - i kazałem jej jechać do domu Foster. Później, udając policjanta, zadzwoniłem do Teda Franklina z policji stanowej.

- A więc twoja wruszająca ofiarność, żeby w zamian za ciebie oddał dziewczynki... to była maskarada - rzekł Potter.

- Naprawdę chciałem je uwolnić. Nie chciałem, żeby ktokolwiek zginął. Oczywiście, że nie!

Oczywiście, pomyślał sarkastycznie Potter.

- Gdzie jest teraz Handy?

- Nie mam pojęcia. Moja rola skończyła się, kiedy wydostał się z rzeźni. Zrobiłem, co do mnie należało, a dalej miał sobie radzić sam.

Potter pokręcił głową. Budd spytał spokojnie:

- Powiedz, Marks, jak się czujesz jako zabójca tamtych policjantów?

- Nie! Przyszedł mi, że nikogo nie zabije! Jego dziewczyna miała tylko skuć Foster kajdankami. A on...

- A ci drudzy gliniarze? Eskorta?

Marks przez minutę patrzył na kapitana bez słowa, a kiedy nie przyszło mu do głowy żadne brzmiące wiarygodnie kłamstwo, wyszeptał:

- To nie tak miało być. Nie tak.

- Zadzwoń po opiekunów - powiedział Potter. Jednak zanim Budd to zrobił, zadzwonił jego telefon.

- Halo? - słuchał przez chwilę. Szeroko otworzył oczy. - Gdzie? Dobra, już jedziemy.

Potter spojrział na niego pytająco.

- Znaleźli wóz, ten, którym uciekli Handy i jego dziewczyna. Wygląda na to, że jadą na południe. W stronę Oklahomy. Radiowóz znaleziono dwadzieścia mil za centralą policji, do której jechali. W bagażniku było dwoje ludzi. Nie żyją. Handy pewnie ukradł ich samochód. Nie mają przy sobie dokumentów, więc nie można ich na razie zidentyfikować, określić marki wozu ani numeru rejestracyjnego. - Budd podszedł bliżej do prokuratora i warknął: - Jedyna dobra wiadomość to ta, że tym razem Handy się spieszył. Ci ludzie zginęli dość szybko.

Marks jęknął z bólu, gdy kapitan obrócił go i mocno pchnął na ścianę. Potter nie zrobił nic, by mu w tym przeszkodzić. Budd skrępował ręce prokuratora plastikowymi zaciskami i przykuł jego prawą dłoń do ramy łóżka.

- Za mocno - zaskomlał Marks.

Budd rzucił go na łóżko.

- Chodźmy, Arthurze. Ma nad nami za dużą przewagę. Rany, może już być w Teksasie.

Otoczał ją Świat Zewnętrzny.

A jednak nie było tak źle, jak się obawiała.

Tamten kierowca chyba zatrafił z wściekłością, kiedy przed chwilą przejechała oś jezdnii. Ale ogólnie rzecz biorąc, radziła sobie całkiem nieźle. Melanie Charrol nigdy w życiu nie prowadziła samochodu. Oczywiście wielu głuchych ludzi jeździło autami, nawet jeśli nie było im wolno, lecz Melanie zawsze za bardzo się bała. Jej strach nie wynikał z tego, że kiedyś brała udział w wypadku. Przerazała ją myśl, że mogłaby coś zrobić źle i najeść się wstydu. Na przykład wjechać na niewłaściwy pas. Zatrzymać się za daleko albo za blisko czerwonego światła. Ludzie stanęliby wokół samochodu i śmiali się z niej.

Teraz jednak jechała drogą numer 677 jak wytrawny kierowca. Nie miała już słuchu muzyka, lecz zostały jej dłonie muzyka - wrażliwe i silne. Palce dość szybko nauczyły się nie kontrować za mocno ruchów kierownicy i po chwili pędziła prosto do celu.

Lou Handy miał swój cel; ona też.

Zło jest proste, a dobroć skomplikowana. A proste zawsze zwycięża. Do tego się wszystko sprowadza. Tak działa natura, a ludzie, którzy ignorują prawa natury, mają zwykle poważne kłopoty.

Mknęła przez noc, czterdzieści mil na godzinę. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt.

Zerknęła na tablicę rozdzielczą. Nie знаła przeznaczenia wielu dźwigni i wskaźników. Rozpoznała jednak radio. Zaczęła kręcić gałkami, dopóki na wyświetlaczu nie pojawiła się częstotliwość 103,4. Spoglądając to na radio, to na drogę, odnalazła regulator głośności i wduszyła przycisk, aż diodowy wskaźnik pokazał maksimum. Z początku nic nie słyszała, lecz kiedy podkręciła bas, usłyszała miarowe dudnienie i od czasu do czasu pojedyncze tony grane legato. Niski rejestr, rejestr Beethovena. Tę skalę zawsze była zdolna usłyszeć.

Może nadawali Dziewiątą Symfonię z podniosłą i porywającą „Oda do radości”. Zbyt dziwny zbieg okoliczności, zważywszy na jej obecną misję. Stacja 103,4 grała prawdopodobnie jakiś rap albo heavy metal. Ale wystarczył jej głęboki, hipnotyczny rytm, który przenikał jej ciało.

Jest!

Nadepnęła na hamulec, zatrzymując wóz na pustyni parkingu pod sklepem żelaznym. Na wystawie zobaczyła dokładnie to, czego szukała.

Cegła gładko przeszła przez szybę i choć zapewne uruchomiła alarm, Melanie nic nie słyszała, nie musiała się więc spieszyć. Pochyliwszy się, wybrała z wystawy nóż, który wyglądał na najostrzejszy - dziesięciocalowy

rzeźnicki chicago cutlery. Spokojnie wróciła do samochodu, położyła narzędzie na fotel pasażera, po czym wrzuciła bieg i ruszyła dalej.

Rozpędzając wóz do siedemdziesięciu mil na godzinę i czując bezgłośnie uderzenia wiatru, Melanie myślała o Susan Phillips. Która wkrótce na zawsze spocznie w grobie, cichym jak jej życie.

Paniński grób...

Och, Susan, Susan... Nie jestem tobą. Nie mogę być tobą i nie będę cię nawet prosić o wybaczenie, choć kiedyś błagałabym na kolanach. Dzisiaj już wiem, że nie mogę przez resztę życia słuchać muzyki, tylko w wyobraźni. Wiem, że gdybyś żyła, znienawidziłabyś mnie za to. Ale chcę słyszeć słowa, chcę słuchać cudownych potoków samogłosek i spółgłosek, chcę słyszeć moją muzykę.

Byłaś Głuchą wśród Głuchych, Susan. To dawało ci siłę, mimo że w końcu sprowadziło na ciebie śmierć. Ja byłam bezpieczna, bo jestem słaba. Ale nie mogę być dłużej słaba. Należę do świata Innych i nic tego nie zmieni.

Melanie nagle uświadamia sobie z przerażeniem, dlaczego tak dobrze rozumiała, co mówił ten sukinsyn Brutus. Bo jest taka jak on. Czuje dokładnie to, co on.

Tak, chcę sprawiać ból, chcę im wszystkim odpłacić: Losowi za to, że odebrał mi muzykę. Ojcu za intrygi, żebym jej nigdy nie odzyskała. Brutusowi i człowiekowi, który go wynajął, za to, że nas porwał, bawił się nami i nas krzywdził, za wszystkich: dziewczynki, panią Harstrawn, tamtego biednego policjanta. I oczywiście za Susan.

Samochód mknął przez noc. Melanie trzymała kierownicę jedną wypielęgnowaną dłonią, podczas gdy druga pieszczotliwie dotykała gładkiego drewna rękojeści noża.

Pan ziemskich dróg wskazał mi szlak...

Wiatr gwałtownie uderzył w auto, a przez zimne niebo błyskawicznie przemknęły czarne strzępki chmur.

Odmienił nędzny mój los,  
Światło dał oczom, a sercu znak.  
Idę, gdzie brzmi słodki głos.

Melanie położyła nóż na siedzeniu i chwyciła kierownicę oburącz, słuchając basowego dudnienia wibrującego w jej piersi. Przypuszczała, że wiatr wyje jak stado wilków, ale naturalnie nie mogła tego wiedzieć.

Będziesz więc w domu.  
Nigdy.

Znajdowali się trzy mile od Crow Ridge i jechali na południe, gdy Budd wyprostował się nagle, poprawiając jeszcze bardziej swą nienaganną sylwetkę. Zwrócił raptownie głowę w stronę Pottera.

- Arthur!

Agent FBI skulił się.

- No, jasne. Cholera!

Samochód zahamował, wpadając w poślizg, i stanął w poprzek autostrady, blokując obydwa pasy ruchu.

- Gdzie to jest, Charlie? Gdzie?

- Pół mili stąd, w tym kierunku - zawołał Budd, pokazując w prawo. - Skręcimy na tym skrzyżowaniu, które przed chwilą minęliśmy. Tam jest skrót. Trafimy od razu na miejsce.

Arthur Potter, zwykle nadzwyczaj rozważny kierowca, co nieraz irytowało innych, skręcił gwałtownie i w ostatniej chwili uniknął wjechania do rowu melioracyjnego, odbijając w lewo, aż spod opony poszedł dym.

- O rany - mruknął Budd, ale nie miał na myśli szalonej jazdy Pottera, tylko własną głupotę. - Nie mogę uwierzyć, że wcześniej o tym nie pomyślałem.

Potter również był na siebie wściekły. Zrozumiał, gdzie teraz jest Handy. Nie pojechał wcale na południe, lecz po swoje pieniądze. Wszystkie inne dowody z rzeźni zabrała policja. Ale grupa zabezpieczania miejsc zbrodni nie

znalazła nadajnika radiowego - ani forsy. Pieniądze wciąż były ukryte w budynku. Setki tysięcy dolarów.

Zgambony nad kierownicą Potter poprosił Budda, by zadzwonił do Tobe'ego, który siedział w domu Melanie. Po chwili wziął od kapitana telefon.

- Gdzie jest Frank i HRT? - zapytał agent.

- Zaczekaj - odparł Tobe. - Zaraz sprawdzę. - Chwilę potem powiedział: - Zaraz będą lądować w Wirginii.

Potter westchnął.

- Niech to szlag. Dobra, zadzwoń do Teda Franklina i Deana Stillwella, niech wyślą ludzi do rzeźni. Handy właśnie tam jedzie, a może już jest na miejscu. Najważniejsze, żeby go nie spłoszyć. Być może to jedyna szansa, żeby go zgarnąć. Niech podjadą bez świateł i syren i zaparkują jakieś pół mili przed rzeźnią, na bocznych drogach. Nie zapomnij im powiedzieć, że Handy jest uzbrojony i bardzo niebezpieczny. I że Charlie i ja będziemy w środku.

- Gdzie teraz jesteście?

- Chwila. - Potter przekazał pytanie Buddowi, który podał ich położenie.

- Charlie mówi, że na Hitchcock Road, zaraz za skrzyżowaniem z trzystą czterdziestą piątą - powiedział do telefonu agent. - Skręciliśmy ze dwie minuty temu.

Chwila ciszy.

- Charlie Budd jest z tobą? - spytał niepewnie Tobe.

- No, tak. Widziałeś przecież, że wychodziliśmy razem.

- Ale wzięliście dwa samochody.

- Nie, pojechaliśmy moim.

Znów milczenie.

- Zaczekaj chwilę, Arthur.

Zaniepokojony Potter powiedział do kapitana:

- Coś się tam dzieje. W domu Melanie.

Wracaj Tobe. Odezwij się.

Po chwili usłyszał głos młodego agenta.

- Nie ma jej, Arthur. Nie ma Melanie. Odkręciła wodę w łazience, a potem wzięła drugi samochód.

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

- Jedźcie do Holiday Inn zabić Marksa - powiedział Potter.

- Co? - wrzasnął Budd.

- Nie zna jego nazwiska. Zna jednak numer pokoju. Widziałam, jak go zapisywałem.

- A ja zostawiłem go związanego jak prosię, bez żadnego strażnika.

Zapomniałem kogoś wezwać.

Potter przypomniał sobie wyraz jej oczu - zimny ogień. Spytał Tobe'ego:

- Zabrała jakąś broń? Zostawiliście coś w samochodzie?

Tobe zawołał coś do LeBowa.

- Nie, obaj mamy broń przy sobie. W wozie nic nie było.

- To wyślijcie szybko ludzi do hotelu. - Oczywiście wyobraźni ujrzał Melanie atakującą z wściekłością Marksa, niezwracającą uwagi na obecność policjantów. Gdyby miała w ręku pistolet albo nóż, mogliby ją zabić w jednej chwili.

- Dobra, Arthur - odrzekł Tobe. - Załatwimy to.

W tym momencie mroczny krajobraz zaczął wyglądać znajomo - de facto wracającego koszmaru. W oddali ukazał się budynek rzeźni. Teren przed nią był zaśmiecony kubkami po kawie i poznaczony śladami kół - które pozostawiły radiowozy, nie wozy konne z przeszłości. Na polu nie dostrzegli nikogo. Potter zamknął klapy telefonu i oddał aparat Buddowi. Przekręcił kluczyk i ostatnie pięćdziesiąt stóp przejechał z wyłączonym silnikiem.

- A Melanie? - szepnął Budd.

Nie było czasu o niej myśleć. Agent położył palec na ustach i pokazał na drzwi. Obaj mężczyźni wysiedli i natychmiast zostali zaatakowani przez wiatr.

Szli rowem, którym wracał z rzeźni Stevie Oates, niosąc Shannon i Kielle jak worki pszenicy.

- Frontowym wejściem? - spytał szeptem Budd.

Potter skinął głową. Drzwi były otwarte na oścież; mogli wejść bez obawy, że skrzypną zawiasy. Poza tym okna znajdowały się pięć stóp od ziemi.



Budd może by się wgramolił, lecz Potter, który już był wyczerpany i ciężko dyszał, na pewno nie dałby rady.

Przez parę minut nie ruszali się, ale nic nie wskazywało na obecność Handy'ego. Nie było widać żadnych samochodów ani zbliżających się świateł, nie zauważyli blasku latarek. I nie dobiegał żaden dźwięk prócz świstu porywistego wiatru.

Potter wskazał frontowe drzwi.

Pochylili się i między wzniesieniami terenu podbiegli do frontu rzeźni, do muru z czerwonej i białej cegły - jak z krwi i kości. Przystanęli obok miejsca, gdzie wyrzucono zwłoki człowieka z oddziału Tremaina.

Rura za oknem, przypomniał sobie Potter. Wypełniona połową miliona dolarów, która jak przynęta zwabiła Handy'ego z powrotem.

Stanęli po obu stronach drzwi.

To nie ja, pomyślał nagle Potter. Nie ja miałem to robić. Ja pracuję słowem, nie jestem żołnierzem. Nie żebym się bał. Ale tu nie czuję się pewnie.

Nie boję się, nie boję...

Jednak się bał.

Dlaczego? Ponieważ, jak przypuszczał, po raz pierwszy od wielu lat w jego życiu był ktoś jeszcze. Z jakiegoś powodu istnienie stało się dla niego cenniejsze niż dwanaście godzin wcześniej. Tak, chcę z nią rozmawiać. Z Melanie. Chcę jej opowiadać różne rzeczy. Słuchać, jak jej minał dzień. Tak, chcę po kolacji wziąć ją za rękę i wejść po schodach na górę, poczuć na uchu goraco jej oddechu, poczuć pod sobą jej ciało. Chcę tego!...

Budd dotknął jego ramienia. Potter kiwnął głową i z wyciągniętą bronią weszli do rzeźni.

Ciemno jak w jaskini.

Wiatr wciskał się we wszystkie dziury i stare spoiny murów, wyjąc tak głośno, że obaj mężczyźni nie byli w stanie usłyszeć nic więcej. Instynktownie wsunęli się za dużą metalową konstrukcję - jakąś obudowę. Czekali. Stopniowo wzrok Pottera przyzwyczaiał się do atramentowych ciemności. Dostrzegł dwa jaśniejsze kwadraty okien po każdej stronie drzwi. Obok najbliższego okna znajdowała się krótka rura średnicy około dwóch stóp, która miała kształt litery L i wyrastała z podłogi jak ujście przewodu wentylacyjnego na statku. Potter pokazał na nią, a Budd, zmrużywszy oczy, skinął głową.

Kiedy ruszyli naprzód jak ślepcy, Potter zrozumiał, co Melanie tu przeszła. Wiatr odebrał mu słuch, a ciemność wzrok. Dodatkowo ziało stępił zmysł dotyku i powonienia.

Przystanęli. Dreszcz paniki wstrząsnął Potterem, jak gdyby po krzyżu spłynęła mu strużka lodowatej wody. Wstrzymał oddech, gdy Budd ostrzegawczo uniósł rękę, przypadając do ziemi. Potter dostrzegł jakiś poruszający się cień, ale okazało się, że to tylko kawałek blachy kołyszący się na wietrze.

Byli pięć jardów od rury. Potter zatrzymał się i rozejrzał wolno. Słyszał tylko wiatr. Odwrócił się.

Ruszyli dalej, lecz Budd znów dotknął jego ramienia.

- Uważaj, coś tu jest rozlane - szepnął kapitan. - Wygląda na jakiś olej.

Potter spojrział pod nogi. U podstawy rury ujrzał duże plamy srebrzystego płynu - przypominającego bardziej rtęć niż wodę czy olej. Schylił się, wyciągając palec.

Dotknął chłodnego metalu.

To nie olej.

Stalowe nakrętki.

Z rury odkręcono osłonę.

Handy już tu musiał...

Strzał padł z odległości nie większej niż dziesięć stóp. Ogłuszający huk odbił się od płytek podłogi, metalu i gołej, mokrej cegły.

Potter i Budd obrócili się na pięcie.

Nic, ciemność. Przemknął tylko lekki cień, gdy chmury przysłoniły księżyc.

Potem odezwał się zduszony szept Charliego Budda:

- Przykro mi, Arthurze.

- Co?

- Przy... przykro mi. Dostałem.

Pocisk trafił go w plecy. Budd osunął się na kolana i Potter dostrzegł poszarpaną ranę wylotową na jego brzuchu. Kapitan runął bokiem na podłogę.

Agent instynktownie ruszył naprzód. Ostrożnie, mówił sobie, odwracając się w stronę, z której padł strzał. Przede wszystkim miej się na baczności.

Kawałek rury uderzył go prosto w bark. Uszło z niego powietrze, a po chwili poczuł, jak muskularna ręka wyrwa mu pistolet z dłoni.

- Jesteście sami? Tylko we dwóch? - Głos Handy'ego był szeptem.

Potter nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Handy wykręcił mu rękę za plecami, odginając boleśnie mały palec. Ból promieniując z dłoni przeszył Potterowi szczękę i głowę.

- Tak, tak. Tylko dwóch.

Handy z gniewnym pomrukiem obrócił go na plecy i mocno skrępował mu ręce drutem, aż metal werznął się w ciało.

- Nie uda ci się... - zaczął Potter.

Nagły ruch rzucił Handym w bok o rurę, w której były ukryte jego pieniądze. Z głuchym brzękiem uderzył bokiem głowy o metal.

Charlie Budd, brocząc krwią, z twarzą zalaną potem, wymierzył Handy'emu drugi cios, trafiając go w nerkę. Bandyta zarzęził z bólu i runął głową naprzód.

Potter daremnie próbował wstać, gdy tymczasem Budd szukał po omacku swojego automatu. Czując, że sam traci przytomność, zatoczył się na bok. Po chwili otrząsnął się nieco i oparł o poplamiony blok rzeźnicki.

Handy skoczył na niego z wściekłym rykiem, chwycił Budda za gardło i pociągnął na podłogę. Mimo bólu miał dużo siły; natomiast Budda siły opuszczały z każdą sekundą.

- O rany - wykrztusił Budd. - Nie mogę...

Handy chwycił go za włosy.

- Taki z ciebie bokser? To dopiero pierwsza runda.

- Idź do diabła - szepnął kapitan.

- Co za zawodnik. - Handy złapał Budda i postawił. - Nie słyszałem gongu. No już, kibice czekają.

Krwawiący coraz bardziej Budd, z oczyma zachodzącymi mgłą, odsunął się i zaczął mlócić szczupłą twarz Handy'ego. Jeden z ciosów był tak silny, że bandyta cofnął się zaskoczony. Gdy jednak minęła fala bólu, Handy wybuchnął śmiechem.

- No, chodź - szydził. - Sugar Ray, chodź...

I kiedy Budd machnął pięścią ostatni raz, Handy przyskoczył bliżej, wymierzając mu w twarz kilka szybkich ciosów. Kapitan padł na kolana.

- Hej, będzie liczenie.

- Daj... mu spokój - zawołał Potter.

Handy wyszarpnął zza pasa pistolet.

- Nie! - krzyknął agent.

- Arthur...

- Ma szczęście, że to robię - powiedział do Pottera Handy. - Gdybym miał więcej czasu, bardziej by zabolalo.

- Posłuchaj mnie - zaczął zrozpaczony Potter.

- Ciii - szepnął Handy.

Wiatr wzmógł się, zawodząc żalobnie.

Padły trzy krótkie strzały, po których odezwał się zduszony krzyk Pottera:

- Och, Charlie, nie, nie, nie...

3.00

Przez mroczone pochylnie, którymi prowadzono kiedyś skazane na śmierć bydło, między prostokątnymi bryłami drewnianych bloków, pod tysiącem rdzewiejących haków dzwiczących jak dzwony...

Cały czas szalał wokół nich wiatr, świszcząc w szczelinach i wybitych oknach jak gwizdki lokomotyw.

Potter czuł pulsujący ból w skrępowanych nadgarstkach. Pomyślał o dłoniach Melanie. O jej gładkich, błyszczących paznokciach. Pomyślał o jej włosach jak z miodu. Zdjął go dojmujący żal, że wcześniej jej nie pocałował. Po upadku na twardą posadzkę obluzował mu się ząb i chwiał się niebezpiecznie, wypchnął go więc językiem i wypluł. Usta wypełniły się krwią, więc splunął jeszcze raz, plamiąc na czerwono podłogę.

- Biedny skurwieli - powiedział Handy z nieukrywaną satysfakcją w głosie.  
- Nie rozumiałeś, co, Art? Po prostu nie rozumiałeś.

Przed nimi pojawiło się wątle światło. Właściwie nie tyle światło, ile niewyraźna poświata, ledwie rozpraszająca ciemność. Z zewnątrz wpadał do środka blask gwiazd i księżyca.

- Nie musiałeś go zabijać - powiedział agent, nim zdążył pomyśleć.

- Tędy. Właż tu. - Handy wepchnął go w cuchnący stęchlizną korytarz. - Długo pracujesz u federalnych, Art?

Potter nie odpowiedział.

- Pewnie ze dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. I założę się, że robiłeś tylko to, co dzisiaj - gadałeś z takimi dupkami jak ja. - Handy był drobny, ale miał żelazny uścisk. Potter czuł mrowienie w palcach, z których odpłynęła krew.

Minęli kilkanaście pomieszczeń, ciemnych i cuchnących - scenerię krwiożerczych marzeń panów Stoltza i Webbera.

Handy wypchnął Pottera za drzwi z tyłu budynku. Znaleźli się na dworze, smagani podmuchami wiatru.

- Ale będzie dzisiaj rzucać. - Handy pociągnął Pottera w stronę zagajnika. Między drzewami agent dostrzegł zarys samochodu. Silnik stygnie blisko trzy godziny. Gdyby miał kamerę termowizyjną, zobaczyliby wóz.

I Charlie Budd mógłby żyć...

- Dwadzieścia pięć lat - przekrzykiwał wiatr Handy. - Zawsze byłeś po drugiej stronie taśmy policyjnej, po tej bezpiecznej. Zastanawiałeś się kiedyś, jak to jest być zakładnikiem? To by było przeżycie. Chodź, Art, prędeej. Chcę, żebyś poznał Pris. Niedojebaną Pris. Tak jest, zostaniesz zakładnikiem. Wiesz, ludzie za mało przeżywają sami. Większość nigdy nikogo nie zastrzeliła. Nie weszła do banku z wyciągniętą bronią. Nie patrzyła na żadną dziewczynę bez słowa, a ona zaczynała ryczeć jak zbity szczeniak i rozbierać się. Bo domyśliła się, że tego właśnie chcesz.

Większość ludzi nigdy nie była blisko kogoś, kto umiera. Wiesz, nie dotykała go, kiedy to się dzieje. Kiedy przestaje się ruszać ostatnia komórka. A ja to wszystko robiłem. Ty nawet nie poczułeś smaku żadnej z tych rzeczy. To są przeżycia, Art.

Próbowałeś mnie powstrzymać. Nie powinieneś. Zamierzam cię zabić, jak się pewnie domyślasz. Ale jeszcze nie teraz. Pojedziesz z nami. I nie możesz zrobić teraz nic, żeby mnie powstrzymać. Nie możesz mi teraz dać sześciopaku piwa, nie dasz mi pieprzonego przywileju M-4 na lot do Kanady. Kiedy znajdziemy się już daleko, będę chciał tylko jednego - żebyś umarł. A jeżeli nie uda się uciec w bezpieczne miejsce, też umrzesz.

Nagle zadrżał z wściekłości i chwycił Pottera za klapy.

- Nie powinieneś mnie powstrzymywać!

W kieszeni marynarki coś zaszeleściło. Handy uśmiechnął się.

- A co my tu mamy?

Nie! - pomyślał Potter, usiłując się wykręcić. Lecz Handy sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd fotografię.

- Co to?

Zdjęcie Melanie Charrol. To samo, które wisiało na tablicy w furgonetce.

- Twoja dziewczyna, co, Art?

- Nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie będziesz bezpieczny - powiedział Potter.

Handy nie zwrócił uwagi na jego słowa.

- Wyjedziemy stąd z Pris na jakiś czas. Ale zachowam zdjęcie. Wrócimy, żeby złożyć jej wizytę. Ostra suka z tej Melanie. Rzuciła mnie na ziemię i mało nie udusiła. Widzisz te ślady? To jej pazurki. I wyrzuciła za drzwi tamtą małą, zanim zdążyłem słowo powiedzieć. Wyciągnęła też małą ślicznotkę, która wpadła Sonny'emu w oko. O, tak, Melanie za to jeszcze zapłaci. - Jak gdyby wyjawiając

mu tajemnice zawodowe, Handy dorzucił: - Mężczyzna nie może nikomu pozwolić wejść sobie na głowę. Zwłaszcza kobiecie. Za miesiąc czy dwa będziemy na nią czekać z Pris w jej własnym łóżku. A ona nie umie nawet zawołać o pomoc.

- Musiałbyś być stuknięty, żeby tu wracać. Każdy gliniarz w stanie zna twoją gębę.

Handy znów wpadł w złość.

- Ta kurwa musi mi za to zapłacić! Musi! - Wepchnął zdjęcie do kieszeni i pociągnął za sobą Pottera.

Zamierzali więc jechać na lotnisko - „Będzie dzisiaj rzucało”. Zabijają go, gdy tylko poczują się bezpiecznie. Może wyrzucą go z samolotu i z wysokości trzech tysięcy stóp spadnie na pole pszenicy.

- Oto i moja Pris. - Handy ruchem głowy wskazał zaparkowanego wśród drzew nissana. - Naprawdę niezła dziewczyna, Art. Kiedyś dostałem postrzał w bok i ten sam gliniarz, który mnie trafił, wziął na cel Pris. Miała w ręku gnata, ale zanimby zdążyła go unieść, już by leżała. I wiesz, co zrobiła? Spokojnie porozpinała bluzkę, cały czas uśmiechając się do gliniarza. Facet naprawdę chciał do niej strzelić! Ale nie mógł. Popatrzył na jej cycki, a ona wygarnęła do niego z glocka - pach, pach, pach. Trzy kule w pierś. Potem podeszła i wpakowała mu jeszcze kulę w łeb, w razie gdyby miał kamizelkę. Myślisz, że twoja dziewczyna umiałaby zachować się tak spokojnie? Założę się, że nie, Art.

Handy przystanął, zatrzymując Pottera, i rozejrzał się, po czym uniósł głowę i głęboko wciągnął powietrze, wężąc i marszcząc brwi. Melanie nazwała go Brutusem, a tamtym dwóm nadała przydomki zwierząt, lecz agent miał wrażenie, że Handy ma więcej ze zwierzęcia niż Wilcox czy Bonner.

Handy zwrócił oczy na samochód.

Potter ujrzał otwarte drzwi po stronie kierowcy, a w środku wpatrująca się przed siebie kobietę, która udawała Sharon Foster. Nadal miała włosy związane w koński ogon, ale zmieniła strój na cywilny. Zamiast w mundur była ubrana w spodnie i ciemny golf.

- Pris? - szepnął Handy.

Nie zareagowała.

- Pris? - powiedział głośniejszym głosem, by zagłuszyć gwizd wiatru. - Prissy?

Handy rzucił Pottera na ziemię. Agent zwinął się bezradnie na trawie, przyglądając się, jak Handy podbiega do samochodu i przytula swoją dziewczynę.

A potem wydał z siebie ryk, pełen rozpaczy i wściekłości.

Potter przyjrzał się dokładniej. Nie, to nie był golf ani w ogóle żadna część garderoby. Kobieta miała poderżnięte gardło od żyły szyjnej do tętnicy, a sweter był ciemny od krwi, która w potwornej ilości spływała na jej ramiona i pierś. Zdołała tylko w rozpaczliwym geście wyciągnąć przed siebie rękę, zostawiając krwawe ślady na szybie.

- Nie, nie, nie! - Handy tulił ją do siebie, kołysząc się jak oszalały w przód i w tył.

Potter przekręcił się na bok, próbując się odczołgać. Zdołał pokonać odległość trzech stóp, gdy nagle usłyszał trzask gałązki i odgłos kroków. Po chwili twardy but rąbnął go między żebra. Potter padł na ziemię, zasłaniając twarz skrępowanymi rękami.

- Ty to zrobiłeś! Zakradłeś się od tyłu! Ty, skurwielu!

Potter zwinął się w kłębek, starając się osłonić przed wściekłymi kopniakami.

Handy cofnął się i uniósł pistolet.

Potter zaniknął oczy, opuszczając związane ręce.

Próbował myśleć o Marian, ale nie widział w pamięci jej twarzy. Szykując się dzisiaj drugi raz na śmierć zamiast Marian znów zobaczył Melanie.

Nagle Arthur Potter usłyszał, jak w szalejącym wietrze formują się jakieś słowa. Ale słowa nie z tego świata: dziwne sylaby zdawały się dobywać z ust zwiastującej śmierć zjawy, która usiłowała naśladować mowę żalostnego rodzaju ludzkiego. Z początku nie potrafił uchwycić znaczenia powtarzanych w zapamiętaniu kilku słów, kipiących tłumioną pasją. Po chwili głos zmieszał się z krzykiem i gdy Handy zakręcił się w miejscu, Potter usłyszał zniekształcone „Nienawidzę cię, nienawidzę cię, nienawidzę...”.

Nóż wszedł głęboko w bark Handy'ego, z którego ust wyrwał się nieludzki krzyk, a silna dłoń Melanie Charrol wyrwała długie ostrze, ponownie wbijając je w jego ciało - w prawe ramię. Pistolet upadł na ziemię. Potter poczołgał się w tę stronę i porwał broń.

Handy machnął pięścią, mierzając w twarz Melanie, ale ona uskoczyła lekko, wciąż trzymając przed sobą nóż. Handy osunął się na kolana z zamkniętymi oczami, trzymając się za ramię, z którego buchnęła krew, kapiąc z palca prawej ręki, wyciągniętej jak dłoń Boga z fresku w Kaplicy Sykstyńskiej.

Potter z trudem wygramolił się na nogi, obszedł Handy'ego i stanął u boku Melanie. Spojrzawszy na jego ręce, rozplatała krępujący je drut. Młoda kobieta dygotała. A więc i ona doszła do tego samego wniosku co agent i Budd - że Handy wróci tu po swoje pieniądze. W ogóle nie pojechała do hotelu, by zemścić się na Marksie.

- No już, zrób to - warknął Handy do Pottera takim tonem, jak gdyby to on najwięcej dziś wycierpiał.

Czując w dłoni ciężar glocka, Potter spojrzął na skrzywioną w grymasie nienawiści twarz Handy'ego. Nic nie powiedział, nie zrobił żadnego ruchu.

Zrobiłeś kiedyś coś złego?

Arthur Potter zrozumiał nagle, jak bardzo w rzeczywistości różni się od Handy'ego i zawsze się różnił. Podczas akcji agent przypominał aktora - na krótko wcielał się w kogoś, komu nie ufał, kogo się bał, a nawet kim się brzydził. Jednak na szczęście ów talent równoważyła niezwykła zdolność do wyjścia z roli i powrotu do własnej osobowości.

I to Melanie Charrol zbliżyła się i wbiła długi nóż między żebra Handy'ego po samą zakrwawioną rękonoż.

Chudy mężczyzna zakrztusił się krwią i padł na plecy, drgając konwulsyjnie. Powoli wyciągnęła nóż.

Potter wyjął nóż z jej ręki, wytarł rękonoż o marynarkę i rzucił go na ziemię. Wyprostował się, patrząc jak Melanie kuca obok Handy'ego, którego żyłaste ciało opuszczał ostatni znak życia. Pochylała się nad nim, nie odrywając od niego spojrzenia. W półmroku Potter nie widział wyraźnie jej twarzy, lecz odgadł, że lekko się uśmiecha, jak gdyby z zaciekawieniem.

Wyczuł coś jeszcze. Pozycja jej ciała, pochYLENIE głowy sprawiały wrażenie, że upaja się bólem tego człowieka jak korzenną wonią trociczki, której dym unosił się w jej domu.

Usta Lou Handy'ego poruszyły się. Wydały mokry, zduszony dźwięk, tak cichy, że nie zrozumiał go nawet Arthur Potter, którego słuch okazał się tu niewiele lepszy od słuchu Melanie. Gdy ciało Handy'ego drgnęło jeszcze raz i wreszcie znieruchomiało, Potter pomógł Melanie wstać.

Podtrzymał ją ramieniem, gdy szli przez noc, a wokół nich wiatr miotał młodymi drzewkami i wysoką trawą. Przy drodze, pięćdziesiąt jardów od rzeźni, stał służbowy samochód, który Melanie zarekwirowała w Hebronie, by przyjechać do rzeźni.

Odwróciła się do Pottera, zapinając sfatygowaną kurtkę z brązowej skóry.

Chwytał ją za ramiona, czując, jak wiatr okręca jej długie włosy wokół jego dłoni. W głowie tłukło mu się mnóstwo słów, które chciał jej powiedzieć. Chciał spytać, czy nic jej nie jest, co czuje, chciał powiedzieć, jak wytłumaczy wszystko policji, ile razy myślał o niej podczas akcji.

Ale nie powiedział nic. Księżyc skrył się za plamą poszarpanych chmur i pole jeszcze bardziej pociemniało; Melanie i tak nie mogłaby widzieć jego ust. Potter nagle przyciągnął ją do siebie i szybko pocałował w usta, gotów się odsunąć, gdyby wyczuł najlżejsze wahanie. Nie poczuł jednak żadnego. Objął ją mocno, wtulając twarz w pachnącą skórę jej szyi. Stali tak dłuższą chwilę. Gdy Potter odsunął się, księżyc znów wyszedł i rozjaśnił twarze obojga bladym blaskiem. Jednak agent nadal milczał i bez słowa zaprowadził ją do samochodu.

Melanie wsiadła, uruchomiła silnik i zerkając za siebie, oderwała dłonie od kierownicy, mówiąc do niego coś w języku migowym.

Po co to robiła? Co chciała mu powiedzieć?

Zanim jednak zdążył ją zatrzymać, poprosić, żeby to napisała, Melanie wrzuciła bieg i ruszyła po wyboistym polu, wjeżdżając na drogę gruntową.

Samochód wykonał gwałtowny skręt i zniknął za drzewami, migając jeszcze światłami stopu.

Potter powlókł się z powrotem do zalanego krwią nissana. Rozmazał wszystkie odciski palców poza własnymi, a potem przełożył w inne miejsce nóż i pistolety oraz przeniósł ciała tak, by całość wyglądała wiarygodnie i pozwalała wyciągnąć właściwe wnioski.

A czym tak naprawdę jest kłamstwo, Chanie? Prawda to bardzo niepewny grunt. Czy istnieją słowa w stu procentach szczerze?

Przyglądając się swemu dziełu, nagle uświadomił sobie, co mu powiedziała Melanie. Jego ubogi słownik języka migowego pozwolił mu rozpoznać znaki, których przed chwilą użyła - zresztą sam powiedział dziś do niej to zdanie. „Chcę się jeszcze z tobą zobaczyć”. Zgadza się? Uniósł ręce i powtórzył całe zdanie. Z początku niezgrabnie, po chwili jak prawdziwy fachowiec. Tak, to chyba było to.

W oddali Arthur Potter dostrzegł zbliżający się samochód. Postawiwszy kołnierz, by osłonić się przed szalejącym nadal wiatrem, usiadł na kamienistej ziemi. Czekał.